



**UUK**

**EWA BIAŁOŁĘCKA**

# **PIOŁUN I MIÓD**

Księga trzecia Kronik Drugiego Kręgu



**Część pierwsza**  
**Miasto Na Drzewach**

El Koret Korin ostrożnie zmienił pozycję. Legowisko z brudnych worków i zeschniętych gałęzi zachrząściło cicho. Mężczyzna zmiął w ustach przekleństwo. Sądząc z kolejnego ogniska bólu, dorobił się następnego wrzodu na plecach. Nic dziwnego — od prawie trzydziestu dni nie zdejmował ubrania, nie mógł się umyć ani uczesać. Oblazło go robactwo i drapał się już nawet przez sen, rozdzierając skórę połamanymi paznokciami. Głód nie dokuczał mu tak dojmująco, jak na początku niewoli. Żołądek skurczył się i ciążył mu w brzuchu jak kamień, ale Koret starał się nie myśleć o jedzeniu. Myślał o śmierci. Pogodził się z tym, że umrze. Skoro nie mógł żyć, śmierć wydawała się naturalną kolejną rzeczą. Nie umierał jednak, trwał tylko w zawieszeniu między oboma tymi stanami, aż czasem miał ochotę krzyczeć i przeklinać swych ciemniejszych. Żądać, aby wreszcie zakończyli tę okrutną zabawę i zabili go, by mógł odpocząć.

Próbował uciekać. Oczywiście, że próbował. . . na samym początku, kiedy byli jeszcze na to dość silni. On, Kewiar i Mess — z osiemnastu ludzi jedynie trzech przetrwało atak z zasadzki. Reszta poległa, wystrzelana z łuków jak przepiórki, pozarzynana z zaskoczenia. Kewiar zginął później, przy próbie ucieczki. Mess. . . biedny, umęczony chłopak. Do tej pory Koret miał w uszach jego krzyki, gdy tamci wrywali mu paznokcie. „Powiedziałem, och, el. . . powiedziałem. . . nie wszystko, nie. . .” — szeptał bezładnie młodzieńcy łowca, sztywno rozkładając ociekające krwią palce. Łzy spływały mu po ściągniętej cierpieniem twarzy. „Wiedzą, gdzie. . . jak dojść. . . nie znają haseł. . . pułapek. . . powiedziałem, żeś ty jest el. . . oszczędzą cię na razie. . . tak. . . będziesz żył, el. . . nie wiedzą. . . ilu ludzi do obrony, myślą że dużo. . . kłamałem. . . będą układy. . .”. Potem okaleczone ręce zaczęły puchnąć i sinieć. Mess długo jęczał, majaczył, aż jeden z bandytów dobił go, rozdrażniony ciągłym mamrotaniem chorego. Koret został sam. Drażyło go poczucie winy — zakatowany myśliwy przekazał oprawcom fałszywe wiadomo-

ści, odraczając tym samym wyrok na leśne miasto. W ten sposób został większym bohaterem niż jego przywódca, leżący teraz na kupie liści z nogami uwięzionymi w kłodzie i czekający na swój koniec.

Z początku więzy były ze zwykłego rzemienia. Zdołał je namoczyć w deszczówce spływającej po ścianie ruiny służącej za więzienie, rozciągnęły się i udało mu się uwolnić ręce. A potem pomóc towarzyszom. To był jedyny sukces. Wartownicy okazali się zbyt czujni. Rozszczepiony pień młodej brzozy zamknął jego nogi w drewnianych kleszczach. Luzu było akurat tyle, by powoli, niezdarnie przestawiać nogi. Wgłębienia niedbale obrobiono siekierą i zadziory zdążyły już pozdzierać elowi skórę. Zwłaszcza że już pierwszego dnia jednemu ze zbirów spodobały się buty Koreta. Więzień owinął stopy i narażone na otarcia kostki szmatami, ale niewiele to pomagało.

Koret jeszcze raz policzył kreski wydrapane na brudnym murze zrujnowanej wieży. Było ich dwadzieścia osiem. Nie do wiary, że aż tyle dni minęło. Grasanci musieli wiązać z nim pewne nadzieje, skoro nadal pozostawał przy życiu. Zdołał ich policzyć, kiedy wychodził pod strażą za potrzebą. Czternastu dorosłych mężczyzn, dwóch wyrostków. Z podsłuchanych urywków rozmów wnioskował, że czekają na inną, liczniejszą bandę. Czterdziestu chłopów mogło bez większego kłopotu zająć nawet tak dużą osadę, jaką była eliga Koreta, i urządzić się tam wygodnie, przemieniając ją w zbójce gniazdo. Gdyby wiedzieli, że teraz większość mieszkańców Bukowiny stanowią kobiety, dzieci i starcy, nie wahaliby się ani chwili. Co prawda mieszkanki Miasta Na Drzewach radziły sobie z łukami, ale jak długo zdołałyby się opierać? Bohaterstwo Messa okazało się zbawienne przede wszystkim dla leśnego miasta. Tymczasem za przedłużenie życia el Bukowiny mieszkańcy płacili żywnością i paszą dla koni. Sam Koret wiedział, że nie może to trwać wiecznie. Napisał już trzy listy do żony, na znak, że żyje. W zamian za nie grasanci otrzymywali worki mąki i fasolę. Niedawno postanowił, że nie napisze czwartego pisma. Nie napisze... i umrze. Przynajmniej to wszystko się skończy.

W mieście został Yuron, więc będzie miał kto objąć stanowisko ely po jego śmierci. Yuron jest silny i ma dużo zdrowego rozsądku. Może myśli trochę wolno, ale lepsze to niż za gorącą głową. Będzie dobrym elem, zaopiekuje się Bukowiną i będzie dobry dla el-len, wdowy po swoim poprzedniku. Może nawet ożeni się z nią. Dobrze by było... została Lija z trójką dzieci własnych, a jeszcze jest przecież sierota po bracie — Messil. Koret nie zastanowił się nad faktem, że myśli już o sobie jak o martwym.

Jego więzieniem była prastara ruina zagubiona wśród puszczy na wysoczyźnie. Dawno, dawno temu stała tu potężna wieża strażnicza sięgająca ponad korony drzew, strzegła szlaku handlowego przez góry, a na jej wierzchołku nocami rozpalano ognie sygnalizacyjne lub dawano znaki lustrem za dnia. Szlak jednak podupadł, a wieżę opuszczono. Czy to fundamenty były niedobre, czy też wzgó-



rze zaczęło się zapadać — budowla przechylała się z latami coraz bardziej, aż przełamała się na dwie części. Dwie trzecie konstrukcji legło u podnóża urwiska w postaci kupy kamieni i pokruszonych cegieł, które stworzyły przypadkową zapórę na strumieniu. Pozostałość sterczała smętnie jak ostatni wypróchniały ząb w szczęce staruchy. Mury chroniły przed wiatrem, a pochylenie trochę osłaniało od deszczu. Jednak było to prawie nic. Bandyci pomieszkiwali w szałasach z choiny i pewnie było tam znacznie zaciszniej.

Z zamyślenia wyrwały Koreta głosy na zewnątrz.

— Patrzaj, no, com ułowił!

— Po coś go przywłóczył? Ubić trza było i się nie babrać!

— Głupiś, patrzaj na niego. Obcy je, Gardziel go zechce zobaczyć.

— Gardziel na trakt poszedł. Rozeznać się.

— Już on ta się dużo porozeznaje. Na pluchy kupcom nie pora. Chyba że branka idzie, a co komu po brance? A ten tu szczurek po lesie przepatruje i węszy. Jak mu paluchy obfuskam albo uszy obetnę, to zaraz będzie śpiewać na co i po co.

— A może by tak po gardle i do dołu? Na co ci to gównno? Mało roboty masz?

— Nie mądruj się, bo Gardzieli powiem, że się migasz.

Koret pojął, że zbóje mówią o człowieku. Zdjęty trwogą, że w ich łapy dostał się następny mieszkaniec Bukowiny, podczołgał się do szczeliny w murze i wyjrzał na zewnątrz. Niewiele widział, więc zrobił jeszcze jeden wysiłek, by podciągnąć się wyżej i zyskać lepszy widok. Dwóch mężczyzn pochylało się nad leżącym na ziemi nieruchomym kształtem. Trzeci przyglądał się zdobyczy wsparty rękami pod boki w buńczucznej postawie. Czwarty podnosił właśnie coś w wyciągniętej ręce.

— Pies?

— A co? Jak ci się sarny zachciewa, to se złów. Tłusty jest, na polewkę dobry.

— Ale pies...?

— Jak głód był, to żeśmy z braćmi nietopyrze na strychach spod belek wybierali, a tobie, smarku, pies śmierdzi? Jeden z pochylonych wyprostował się i wzruszył ramionami.

— Ciężko grabę masz, Wagun. Ubić go na miejscu żeś chciał? Ledwo dycha.

— Eee, trochę się tam szarpał, to mu przylepiłem ździebko — odpowiedzi udzielono lekceważącym tonem.

Koret przygryzł wargę z gniewem. Jeśli nawet nieczuły zbir zwracał uwagę na stan ofiary, to musiała być nieludzko skatowana. Wagun celował w takich rzeczach. To on właśnie torturował Messa, a potem dźgnął nożem w serce równie obojętnie, jakby skracał życie zwierzęcia.

— Do wieży?

— Do wieży. Dobra ta wieża, nie?

Koret szybko wycofał się na stare miejsce. Po chwili pojawiło się dwóch bandytów dźwigających bezwładne ciało. Rzucili je niedbale na pochyłe klepisko we-

wnętrz ruiny, aż nowy więzień przetoczył się niżej, tam gdzie spływająca wilgoć tworzyła małą kałużę. Odeszli, a Koret natychmiast przyciągnął nieprzytomnego na swój nędzny barłóg. Tu przynajmniej było w miarę sucho. El od razu zorientował się, dlaczego bandyci nie zadali sobie trudu, by związać jeńca. Był w takim stanie, że nie tylko nie mógłby uciec, ale nawet utrzymać się na nogach. Pierwsze, co rzucało się w oczy, to zmasakrowana prawa strona twarzy — Wagun był mańkutom, co el ustalił na samym początku niewoli. Koret delikatnie obmacał obrażenia, próbując dojść, czy brutalne ciosy nie naruszyły kości. Sądząc po rozległości krwawiaków i opuchlizny, było to całkiem możliwe. Nie ulegało też wątpliwości, że jeńiec ma złamaną rękę przynajmniej w dwóch miejscach — zasinienie sięgnęło już palców, a przy poruszeniu ramieniem słychać było cichy chrobot przesuwających się kości. Ranny zajączał. Oddychał bardzo płytko. Koret był prawie pewien, że ma również połamane zębra. Bestia Wagun musiał długo kopać leżącego, rozkoszując się jego bólem, póki chłopak nie stracił przytomności. Właśnie — chłopak. El poznał, że nie ma do czynienia z dojrzałym mężczyzną. Z zaciekawieniem przyjrzał się uważniej nowemu towarzyszowi niedoli. Na pewno nie miał jeszcze dwudziestu lat. Nie pochodził z leśnego miasta — tam el znał wszystkich. Nie był nawet mieszkańcem Ogorantu. Pod burą opończą nosił bluzę z delikatnej koziej wełny tkanej splotem właściwym dla hajgońskich wyrobów. Wysokie buty na solidnej podeszwie także wyszły spod ręki szewca z gór. Spodnie z grubego samodziału były tak samo bezosobowe jak płaszcz i mogły należeć do każdego, bez względu na stan oraz narodowość. Ostatnie wątpliwości zniknęły, gdy przyjrzeć się było bliżej szczupłej fizjonomii — jedno oko utonęło w wałkach obrzęku, lecz kącik drugiego subtelnym łukiem unosił się ku skroni. Włosy jeńca prezentowały się równie zdradliwie — smoliście czarny język, gęsty i sztywny jak ściernisko. Zbyt wielu Koret widział w życiu legalnych kupców i przemytników przemierzających szlaki przez Góry Zwierciadlane, by nie rozpoznać znajomych cech.

— Co tu robi Lengorijen, i to samotnie? — szepnął sam do siebie.

Tknięty pewną myślą, odwrócił dłoń chłopca wnętrzem do góry. Nie, ten młody człowiek nigdy ciężko nie pracował. Zaintrygowany jeszcze bardziej el zaczął przetrząsać jego odzież. Oczywiście kieszenie zostały już opróżnione przez złodziei, lecz Koret miał nadzieję znaleźć cokolwiek, co powiedziałoby mu coś więcej o przybylszu z Południa. Odkrył tylko, że bluza została ozdobiona na ramionach bursztynowymi paciorkami i jedwabną wstążką przeplecioną misternie przez wełnę. Był zatem kimś majątniejszym od zwykłego wędrownego rzemieślnika. Ale czemu podróżował samotnie? A może właśnie przeciwnie...?

Koret zamoczył w obtłuczonym dzbanku kawałek gałgana, zaczął wycierać ślady krwi i błota z twarzy chłopaka, który zapewne pod wpływem tego dotyku z wolna odzyskiwał zmysły. Ciemne oko otwarło się, jeńiec poruszył głową i znów jęknął głucho.

— Ja mówić lengore — odezwał się Koret szeptem. — Trochę. Ty rozumieć?

Ranny miał problem z otwarciem ust. Koret pomyślał, że Wagun chyba jednak złamał mu szczękę.

— Yhm. . .

— Ty być cicho. Tu niebezpiecznie.

— Yhm. . . — Spojrzenie bystrzejsze i zarazem pełne obawy.

Koret usilnie szperał w pamięci, szukając lengorchiańskich słów. Miał kłopoty z odmianą i określaniem czasu, ale tamten powinien zrozumieć, jeśli tylko el będzie mówił prosto i wyuczonymi na pamięć zwrotami.

— Ty być kupiec?

Tym razem chłopiec zaprzeczył ruchem ręki.

— Ty być bogaty człowiek?

Znów zaprzeczenie.

— Źle — zmartwił się mężczyzna. — Ty umrzeć. Oni zabić ciebie. Ty być sam, bez przyjaciół? Niedobrze. Musi być pieniąż. Zbójcy kochać pieniąż. Być pieniąż, wtedy ty żyć.

To legło u podstaw pomysłu Koreta, by przedłużyć życie młodego Lengorchianina. Przekonać wodza grasantów, że można spróbować wymienić chłopca za spory okup. Tylko kto miałby go zapłacić? Niedobrze. Skąd wziął się ten młody kruk i co teraz z nim będzie?

— Kto za ciebie zapłaci? — powiedział w ojczystym języku, patrząc smutno na chłopca.

Lengorchianin zrobił wysiłek, by coś powiedzieć. Przez zęby, z trudem poruszając wargami, wykrztusił w northlanie:

— Jest ktoś. . .

Koret natychmiast zawisł wzrokiem na jego ustach.

— Mówisz w moim języku?

Lengorchianin pokazał dwa palce oddalone od siebie na małą odległość: trochę. Koret nabrał nieco otuchy. Każdy trochę, a ta mieszanina lengore i northlanu da im szansę porozumienia i może razem coś wymyślą. Ranny lewą, zdrową ręką niezdarnie próbował rozpiąć bluzę. El pomógł mu, a chłopak obciągał tkaninę coraz niżej i niżej, aż odsłonił górną część piersi, gdzie widniało niewielkie, zielono-czarne kółko z zawitym symbolem wewnątrz. Przez moment Koret niczego z tym nie kojarzył, a potem aż syknął.

— Oszszsz. . . zaraza!

Czym prędzej zapiął chłopcu ubranie i nawet podciągnął skraj oponczy aż pod szyję. Pochylił się nisko, prawie dotykając nosem skroni tamtego.

— Nic nie widziałem — wyszeptał gorączkowo do ucha Lengorchianina. — Nic! Masz być cicho. Masz spać. Kiedy źli ludzie przyjdą, masz spać!

Chłopak mruknął na znak zgody. El uspokoił się trochę. Pomyślał, że ranny może być spragniony. Duże naczynie z wodą było nieporęczne, więc spróbował ostrożnie napoić chłopca ze złączonych dłoni. Ten przełknął łyk wody i nie chciał



więcej. Potem leżał cicho, nieruchomo — drzemał lub znów popadł w omdlenie. Koret przygryzał paznokcie, ponuro rozmyślając nad niespodzianką, którą sprawił mu los. Czarownik! A niech to... Chyba nie tak znów potężny, skoro Wagun dał mu radę. Coś się tu kroi. Powiedział wyraźnie: „jest ktoś”. To znaczy, że nie jest sam. Dwóch ich? Paru? A może stu? Na północy wojna, w puszczy bandy, a tu Lengorchianie przekraczają granicę. I to nie zwykli Hajgowie, śmierdzący baranem, ale przybysze z dalekiego Południa, zza gór. Może nawet z samej Zakłętej Twierdzy, co ponoć stoi na wodzie zbudowana.

Jeden wróg w granicach, a drugi po sąsiedzku nóż w plecy wbija, pomyślał el z goryczą. Ogorant od zawsze był terenem spornym. Rościł sobie prawa do niego i cesarz Ogniw, i król Northlandu. Żyli tu ludzie mówiący zarówno w skundlonej odmianie lengore, jak i używający w miarę czystego northlanu. Jedni ciemnowłosi o drobnej kości, innych można by wziąć za Hajgów, gdyby nie ich język. Ogorant był garnkiem, w którym warzyła się przedziwna wielorasowa polewka i właściwie przynależność narodowa zależała od zapatrywań konkretnego ela. Koret opowiadał się za królem Ataelem. Skoro w granicach Ogorantu pojawili się czystej krwi Lengorchianie, mogło to znaczyć, że Ogniw postanowił skorzystać z okazji, jaką były walki na północy Northlandu, i przejąć Ogorant.

Przez króciutką chwilę Koreta kusiło, by zacisnąć palce na szczupłej szyi ranego chłopaka. Byłoby jednego mniej. Jednego mniej twórcy „żywych pochodni”, potwora miażdżącego jednym zakłęciem całe regimenty zbrojnych, czarownika zdolnego powołać do życia upiory, bestie i jadowite gady pozbawiające życia rodaków Koreta. O tym wszystkim opowiadał mu dziad, który widział wojnę z Lengorchią. A teraz el miał takiego skośnookiego barbarzyńcę przed sobą. Wystarczyłoby na dłużej przycisnąć tę pulsującą żyłę na szyi albo po prostu rzec słowo jednemu ze zbirów... Koret przetarł oczy palcami. O czym on właściwie myśli, na Łaskę Pana? O morderstwie bezbronnego?! Gdyby ten biedny chłopak miał jakiegokolwiek nadprzyrodzone moce, to nie leżałby tutaj.

Po pewnym czasie do ruin zająztał zbójcecki terminator. Szczęrzyząc zęby, postawił na ziemi parującą miskę wypełnioną nieapetyczną paćką. Sądząc z zapachu, istotnym składnikiem potrawy była stara rzepa, ale przez ten odór przebijała się także nuta odmiennej woni.

— Znaj pana — odezwał się wyrostek. — Dziś mięso.

Koret uniósł brwi w mimowolnym zdumieniu.

— Mięso? — powtórzył.

— Psina — wyjaśnił opryszek i zarechotał szyderczo. — Dobry piesek, dobry... hau, hau...!

Poszedł sobie, wciąż rżąc głupio. Koret nie miał nic przeciwko zjedzeniu psa, a nawet czegoś gorszego. Głód był mu nieodłącznym towarzyszem od wielu dni. Zobaczył jednak wyraz twarzy lengorchiańskiego chłopaka, który wpatrywał się w przyniesione naczynie, jakby wił się w nim pęk jadowitych żmij.

— To mięso — odezwał się el, podnosząc miskę. — Ty chory — przeszedł na łamany lengore. — Ty jeść. Potrzeba być silny. Potrzeba być żywy.

Chłopak z niespodzianą energią zamachnął się i omal nie wytrącił Koretowi naczynia z rąk. Twarz wykrzywił mu okropny grymas. Próbował coś powiedzieć, ale zmieniło się to w niezrozumiały bełkot. Koret odsunął się, wyłowił palcami z miski kość z całkiem sporym kęsem mięsa. Mimo wygłodzenia był gotów oddać go chłopcu, jeśli tamten zdoła to przeżuć. Młody czarownik krzyknął rozpaczliwie, zakrył twarz ramieniem. Przewrócił się na bok, tyłem do Koreta i tak już pozostał, jęcząc cichutko. Zdezorientowany el zjadł posiłek samotnie. Pies był całkiem niezły. Czemu chłopak nie chciał spróbować? Może tam, w Lengorchii, brzydzono się psami, jak na Północy węzami lub szczurami? Zresztą, z poranionymi ustami pewnie i tak nie mógłby niczego pogryźć. Dopiero po jakimś czasie przyszło elowi do głowy, że do zbójckiej jamy chłopak i pies przybyli jednocześnie. Możliwe, że zwierzę należało do młodego czarodzieja. Przykre. Bardzo przykre, ale cóż... tak to bywa w tym parszywym życiu.

Chłopiec i jego pies. Ciekawe, jak tu trafili.

\* \* \*

Było ich siedmiu: Kamyk, Myszka, Promień, Stalowy, Wężownik, Winograd i Koniec. Trzej pierwsi opuścili góry, bo co prawda Hajgowie uwielbiali cuda, ale woleli takie, które nie spełniały się na ich oczach. Stalowego wymiotły z Pierścienia wyrzuty sumienia. Choć doszedł do jakiejś takiej równowagi, bardzo chciał się na coś przydać. Motywy Końca i Winograda były niejasne. Możliwe, że martwili się o przyjaciół i nie chcieli ich opuszczać w potrzebie, a może zwyczajnie nie odpowiadały im Góry Zwierciadlane — coraz zimniejsze i bardziej mgliste. Wężownik natomiast postanowił zobaczyć większy kawałek świata, skoro już nadarzyła się okazja. Nocny Śpiewak bardzo poważnie podchodził do swego obowiązku opieki nad rodziną. W Pierścieniu podobało mu się i miał zamiar zostać na dłużej (może na zawsze) wśród Hajgów. Srebrzanka naturalną koleją rzeczy trzymała się męża. Ona także tęskniła do czegoś stałego. Gryf był zmęczony włóczęgą i wbrew spodziewaniom postanowił zaczekać na powrót zwiadowców. W dodatku hajgońskie dziewczyny były aż nadto łaskawe dla przystojnego Obserwatora. Wiatr Na Szczycie postawił sprawę twardo — on był w domu, wśród swoich, i zostanie tam, choćby to miało go zabić! Jagoda nie odzywała się zbyt wiele po wypadkach w czasie Strzyży. Omijali się z Kamykiem tak starannie, jakby jedno było ogniem, a drugie beczką prochu. Czuło się na odległość, że coś niedobrego między nimi zaszło. Było pewne, że dziewczyna, nie wybierze się w podróż z grupą, do której dołączy Tkacz Iluzji. Pożeracz Chmur wprawdzie nie mógł się zdecydować, a potem nagle postanowił zostać. Odkrył w Zwierciadlanych Górach znakomite tereny ło-

wieckie. W taki to sposób siedmiu podróżnych znalazło się w imponującej, choć wilgotnej puszczy Ogorantu.

— No i masz ten swój większy kawałek świata. Coś niesamowitego — odezwał się Myszka do Wężownika, z upodobaniem rozglądając się wokoło.

— Pięknie — przyznał starszy z Wędrowców. — Warto było tu skoczyć.

Dokoła nich rozciągała się niewiarygodna dekoracja w kolorach złocistym i purpurowym. Co jakiś czas nadciągał lekki podmuch wiatru, a wtedy z koron drzew sypał się deszcz liści. Cała okolica zasłana była brązowo-złotym dywanem, z którego wyrastały srebrzystoszare pnie buków. Gdzieniedzie, jak rdzawo łuszcząca się kolumna, tkwiła osamotniona sosna, tak jakby natura postawiła ją tam tylko w tym celu, by dołem złamać inną barwą jednostajną kompozycję, a w górze podkreślić żałobną purpurę za pomocą zieleni igieł.

— Tak to wygląda, jakby cały świat płonął na stosie — powiedział Myszka.

— Masz teraz dziwnie pogrzebowe skojarzenia — odezwał się Winograd. Dokładał właśnie drewna do ogniska, nad którym gotowała się w kociołku woda na zupę. Uważał przy tym, by gałęzie były podsuszone i nie dymiło się nadmiernie. Szczeniak bawił się liściem u jego boku.

— Dziwisz się? — spytał Promień za jego plecami. Obdzierał ze skóry ubitego zająca, więc Bestiar przezornie wolał się nie oglądać. — Zresztą jesteśmy właśnie w kraju, gdzie pali się magów na stosach!

— Naprawdę?! — Myszka zrobił wielkie oczy.

— Nie słuchaj go. Gada byle co, jakby w Lengorchii nie paliło się nikogo na stosie. W tym magów.

— Ale tutaj PRZED śmiercią, a nie PO — zadrwił Promień i z chlupnięciem wrzucił oderżnięte zajęcze skoki do kociołka.

Winograd odwrócił się z krzykiem:

— Co ty robisz?! Gdzie wrzucasz te zwłoki?! Ja też mam to jeść!

— Niech to...! Zapomniałem. Nie ciskaj się. Raz mógłbyś zjeść to, co wszyscy!

— Daruj sobie. Zeżryj i moją część, ludożerco.

— Szczurzy kochanek! Idź modlić się do fasolki!

— Przynajmniej się modlę, a ty wcale! Bezbożnik i ścierwojad do tego!

Promień z pasją rzucił mięsem o ziemię. Winograd nastroszył się. Był głodny, a nieprzemyślany postępek Iskry pozbawił go obiadu.

— Czego?! Twój pies mięso żre, tak? A mnie nie wolno? — warknął Promień.

— Zwierzęta zjadają się nawzajem! Taka ich natura.

— To może i ja jestem zwierzę, tłumoku!

— One są lepsze od ciebie, Promień! One myślą, czują i okazują to, a ty nie masz pojęcia o uczuciach wyższych! Dla ciebie zwierzę to tylko mięso! Zeżarłbyś własnego brata, gdybyś go miał!

Promień aż spurpurowiał. Myszka próbował załagodzić spór, ale nikt go nie słuchał.

— Nie będziesz mi tu robił wykładów z filozofii, głąbie kapuściany! Ani tykał mojej rodziny. Jarzynki, jarzynki. . . ! A mleko pijesz, co? A jajka?

— Co mają jajka do rzeczy?

— To, że jesteś hipokrytą, szcurzy pyszczku. Jajko to taki kurczak, któremu się nie powiodło. No pomyśl, ile to życia poczętego pochłonałeś od chwili, kiedy mamka cię odstawiła od cycka?

Winograd zeszywniał. Spojrzenie, jakim zmierzył Promienia, wyraźnie dało do zrozumienia, co o nim sądzi.

— Nie odzywaj się do mnie — wycedził. — Mam cię powyżej uszu. Obyś się kością zadławił!

Odwrócił się na pięcie i ruszył w las. Po drodze podniósł szczura, i posadził go sobie na ramieniu. Pies jak wierny cień podążył za Bestiarem.

— Hej, dokąd idziesz?! — zawołał zaniepokojony Wężownik.

Winograd machnął ręką, nie oglądając się za siebie.

— Skoro nie ma dla mnie zupy, to idę poszukać orzechów. Może jeszcze jakieś znajdę.

\* \* \*

Gdy tylko zniknął kolegom z oczu, Winograd poczuł ulgę. Lubił ich, ale podczas posiłków stanowili męczące towarzystwo. W gospodarstwie, gdzie dorastał, nigdy nie dostał do jedzenia niczego, co przedtem oddychało. Jego talent nie tolerował nawet wywaru z ryby. A potem, w Zamku, skrzętnie przygotowywano Mówcom Zwierząt posiłki całkowicie pozbawione wszelkich zwierzęcych elementów. Jadali też przy osobnym stole. Gdyby ktoś podstępem zmusił Bestiara do spożycia kawałka mięsa, skończyłoby się to ciężkim rozstrojem żołądka na tle nerwowym. Tylko ktoś tak pozbawiony wrażliwości, jak Promień nie potrafił zrozumieć, że zwykle pieczenie kury było dla Bestiara równie potworne, jak dla innych smażenie dziecka. Jeśli zaś chodziło o samego Promienia, Winograd był przekonany, że Iskra kochał zabijać. Gdyby w grę wchodziło jedynie zaspokojenie głodu, Winograd postawiłby go w jednym rzędzie z drapieżnikami takimi jak tygrys, wilk czy pantera. . . albo smok. Promień jednak uwielbiał łucznictwo, a polowanie było dla niego doskonałą rozrywką. Mordował zwierzęta nawet wtedy, gdy jego towarzysze mieli inną żywność, i lubił chwalić się celnymi strzałami. W dodatku miał chyba rację co do jajek i Winograd był naprawdę wściekły z tego powodu. Pił mleko, lubił śmietanę, jajka jadał, odkąd sięgał pamięcią, nie kojarząc ich jakoś z kurą oraz jej sprawami rodzinnymi. Były takie. . . bezosobowe. A tu — życie poczęte! Niech to! Od tej chwili będzie mu się wydawało, że każde

jajko na twardo zawiera ugotowanego żywcem kurczaka. Koszmar! Już zaczynało go mdlić.

Czerwono-złoty las tchnął jednak spokojem, który zaczął udzielać się także Winogradowi. Szedł tak bez pośpiechu ze szczeniakiem u nogi. Od czasu do czasu sięgał talentem do umysłu psa, a wtedy razem z nim wyczuwał setki fascynujących zapachów. Szczur kręcił się na ramieniu młodego Bestiara, łaskotał go wąsami w ucho. W płytkim parowie kłębiły się kolczaste pędy. Winograd znalazł dwa ostatnie owoce pod zwiedłym liściem i dał je szczurowi, choć nie był pewien, czy są jadalne. Wiedział doskonale, że Niuchacz nie tknie trucizny ostrzeżony instynktem. Zwierzątko zjadło, po czym dało znać, że chętnie wrzuciłoby do brzucha coś jeszcze. Winograd podrapał szczura po wąskim łbie i karku.

— Cierpliwości. Znajdziemy leszczynę, zjemy orzeszków.

Winograd nie był pewien, czy rozpozna zarośla leszczyny w tym powszechnym zalewie żółci i rudości. W pamięci zapisany miał kształt liści, lecz zielonych. Trafił na coś, co było ogromnie podobne do leszczyny z kształtu gałęzi, lecz orzecha nie znalazł ani jednego. Może zaopiekowały się nimi zaradne wiewiórki. Poszli więc dalej. Szczur chciał zejść na ziemię, chłopiec posadził go wśród brązoworudych, wrzecionowatych liści. Niuchacz natychmiast zaczął w nich gmerać. Wygrzebał duże nasiono w kształcie spiczastego grotu i spokojnie zabrał się do obgryzania go. Winograd rozgarnął liście za przykładem szczura, znalazł więcej nasion. Brązowe, lśniące łuski dawały się łatwo obierać. Wnętrze było całkiem smaczne. Lekko cierpkie, trochę oleiste, ale niewątpliwie jadalne. I pochodziło z rośliny, co dla Winograda było najważniejsze. Szczur szeleścił wśród liści, pies kręcił się dokoła i ze szczenięcą ciekawością chłonał świat. Czasem grzebał łapą tuż przy rękach Winograda, chcąc pomóc i oczywiście okropnie przeszkadzając. Winograd zjadł garść bukowych orzeszków. Nappełnił nimi kieszeń na zapas. Potem położył się na szeleszczącym kobiercu i patrzył w zachwyceniu na taniec spadających liści. To było to, co nazywano northlandzką złotą jesienią. Słyszał o niej, ale nawet nie wyobrażał sobie, że może być tak wspaniała. Las wydawał się bezkresną komnatą balową wyłożoną drogocennymi tkaninami.

Późna jesień w Lengorchii była beznadziejną porą słońca, błota i mgieł. Drzewa na południu zrzucały liście, ale robiły to raczej w najgorętszej fazie lata, dla oszczędności, na czas suszy. W dodatku każdy gatunek preferował inną porę. Na jesieni wszystkie rośliny pęczniały w deszczu jak gąbki. Listowie było przerzedzone, smętnie oklapłe, ale w ogromnej przewadze zielone. A tutaj wszystkie drzewa jednocześnie, jakby się umówiły, wykładały na pokaz wszelkie bogactwa w ekstatycznym ataku rozrzutności.

— Jak tu pięknie... — wyszeptał Winograd w podziw.

Niuchacz wspiał się na jego pierś, a Tajfun wpasował w zgięcie łokcia. Chłopiec pogłaskał szczura, pieścił miękkie uszy psa i był w tej chwili doskonale szczęśliwy. Głupią kłótnię z Promieniem zepchnął na skraj umysłu. To nie wi-

na Iskry, że jest taki. Po prostu nie potrafi być inny. We krwi ma tę arogancję i porywczość. A co tam. . .

Po chropawym pniu, głową w dół, zsunęła się wiewiórka. Tak samo ruda i złota jak otoczenie. Różniła się od swoich krewnych z gór i zza gór. Tamte były bure albo ciemnobrązowe, miały krótsze ogonki, za to większe uszy. Przysiadła między korzeniami buka, zawinęła puchatą kitę ogona nad czołem, patrzy. Winograd uśmiechnął się. Zabawna cwaniara. Nie boi się, tylko ciekawa jest, co to za przysłysze wygniatą ziemię pod jej domem. Bestiar powstrzymał chęć, by zespolić się z drobną iskierką jaźni zwierzątka. Mały rudzielec byłby dezorientowany, może chciałby się poufalić, a to nie było dla niego bezpieczne. Dzikie stworzenia powinny pozostawać dzikie. Wiewiórka wygrzebała coś spod opadłego listowia, wpakowała pod policzek i smyrnęła z powrotem w górę pnia jak rdzawa błyskawica. Tajfun odprowadził ją wzrokiem, a potem kichnął, jakby podkreślając ważność zdarzenia.

— No proszę, jak taki malec sobie tu radzi, to chyba i my nie zginiemy, co, pieseczku? — mruknął Winograd, a szczeniak trącił go nosem, domagając się nowych pieszczot.

Po jakimś czasie Winograd zziębnał. Po skromnym posiłku z buczyny zachciało mu się pić. Postanowił przejść jeszcze kawałek, szukając dolnego biegu strumyka, w górze którego magowie rozbili obóz, a potem wrócić wzdłuż brzegu. Obrany kierunek okazał się dobry. Woda wpływała czystym, wartkim nurtem wprost do jaru o stromych zboczach. Opadłe liście żeglowały na jej powierzchni jak maleńkie łódeczki. Gdzie je zanieś? Jak daleko? Winograd przykleknął na brzegu i zanurzył dłoń w zimnej wodzie. Z przeciwległego brzegu poderwał się do lotu kruk z głośnym krakaniem. Wiatr znów wpadł między gałęzie i otrząsał z nich liście złotym deszczem. W tym szumie Winograd ledwo dosłyszał szelest za plecami, jednocześnie pies zawarczał i obnażył zęby. Chłopiec poderwał się, obrócił, odruchowo zasłaniając głowę ramieniem. Cios pałki, który miał go ogłuszyć, spadł na rękę. Trzasnęła kość, gorąca fala bólu przebiegła aż do barku. Następne uderzenie trafiło go w twarz. Oszołomiony, upadł na plecy. Tajfun rzucił się z ujadaniem na napastnika, chcąc bronić pana. Tamten mężczyzna jednak bardzo sprawnie posługiwał się kijem. Ogłuszył szczeniaka niewiarygodnie łatwo — szybkim, oszczędnym ruchem, jakby miał do czynienia z kupką liści. Płynnie zmienił kierunek uderzenia i następny cios dosięgnął chłopca. To co nastąpiło potem, Winograd zapamiętał jako jedno pasmo udręki. Razy spadały jeden za drugim, a każdy z siłą łamiącą kości. Nie mógł bronić się ani uciekać. Napastnik katował go z dziką uciechą, roześmiany, jakby świetnie się bawił. Winograd zwijał się jak robak, instynktownie chroniąc brzuch i krocze przed kopniakami. Czuł, jak pękają mu żebra. Ostatnim widokiem, zanim litościwa Bogini zesłała na niego omdlenie, był jego pies leżący bez ruchu z roztrzaskaną głową.



\* \* \*

Stalowy, Koniec i Kamyk znaleźli w lesie ślady ludzkiej obecności, dlatego też tym bardziej zaniepokoiili się, gdy powrócili na miejsce popasu i nie zastali tam Winograda. Przedmiot sporu — nieszczęsna zupa na zajacu — dogotowała się już jakiś czas temu, więc zaczęto jeść. Chłopcy czekali, a Bestiar nie wracał.

— Może to właśnie jego tropy znaleźliście? — wysunął przypuszczenie Wężownik.

Stalowy pokręcił głową przecząco.

— Ktoś wyciął siekierą kilka młodych drzewek. Na pewno nie Winograd.

Koniec przeczesywał talentem najbliższą okolicę.

— Nie wyczuwam go nigdzie. Niedobrze. Za to jest tu paru innych. . . hmm. . . nie podobają mi się ich myśli.

Promień skończył jeść. Sięgnął po swój łuk i kołczan.

— Pójdę poszukać tego miłośnika zwierzątek.

— Jeszcze czego! A jak i ty się zgubisz?

— Nie będziemy mieli tyle szczęścia — mruknął pod nosem Wężownik i dodał głośno: — A jak trafisz na tamtych „nieprzyjemnych”, których odkrył Koniec?

— To będą mieli pecha — rzekł dobitnie Promień.

Trudno było nie przyznać mu racji. Był Iskrą i do tego lepszym tropicielem od całej reszty. Z pewnością samotna włóczęga po lesie niczym mu nie groziła.

Wrócił po niecałej godzinie. Bez Winograda. Już z daleka było po nim widać, że przynosi złe wieści.

— Niedaleko stąd, w dół strumienia. Ślady na ziemi, rozrzucone liście, krople krwi — zameldował krótko. — Odciski stóp i kopyt. I to. . .

Sięgnął pod kurtkę, skąd wydobył ciało szczura. Zwierzątko zwisało z jego dłoni jak łachman. Jeszcze żyło, lecz widać było, że koniec jest bliski. Stalowy dotknął szczura.

— Nic się nie da zrobić. Ma przetracony grzbiet.

— To chyba trzeba go dobić — powiedział Promień, ale w jego głosie zabrzmiało niezdecydowanie. — Tylko jak? To taki drobiazg. . .

Wężownik bez słowa wziął od niego dogorywającego szczura i odszedł na chwilę. Wrócił z pustymi rękami.

— A co z Winogradem?! — zawołał Myszka niespokojnie.

— Jego nie znalazłem. Ale te końskie ślady prowadzą w dół, na północny zachód. Koniec, poszukaj w tamtym kierunku.

\* \* \*

Wyglądało to na tymczasowy obóz w środku lasu. Wzgórze zarośnięte częściowo świerczyną, wśród drzew rozrzucone luźno szałas. Sądząc z ich liczby —

zamieszkiwało tu sporo ludzi. Niespodziewanym elementem okazała się dziwna ruina, przechylona w niepewnej pozycji na szczycie pagórka. Nie dalej jak pikę od muru wzgórze kończyło się nagle bardzo stromym stokiem, u jego stóp płynął potoczek omywający kupy gruzu. Było to korzystne dla obozu ze względu na obronność, ale też wygodne dla młodych magów, gdyż z tej strony pilnowano leśnego siedliska wyjątkowo niedbale.

Niemniej Wężownik, który wyprawił się na szczyt na przeszpiegi, wrócił błady jak papier.

— Trafiłem na jednego! — oświadczył dramatycznym szeptem, wślizgując się do kryjówki między zaroślami na dnie parowu.

— Wartownik?

— A czy ja wiem? Prawie wleźliśmy na siebie. Chyba zwyczajnie chciał się odlać z urwiska. Wyciągnął nóż...

— Widział cię?

— Musiałby być ślepy. Ale już nic nie powie. Posłałem go na rybki.

— Jednego mniej — szepnął Stalowy. — Ilu jeszcze? Koniec, ty jesteś lepszy „czytac” ode mnie.

— Kilku w obozie, więcej w lesie. Trudno policzyć, są rozproszeni. A tego pechowca zaczynają chyba niedługo szukać. Winograd jest w ruinie. Nie reaguje. Pewnie nieprzytomny, ale żyje. Jeden go pilnuje. Trudno mi wszystko zrozumieć, bo myślą po northlandzku.

Myszka zadarł głowę, spoglądając między gałęziami na wierzchołek wzgórza.

— Można tam skoczyć w jednej chwili, zabrać Winograda i uciec. Kamyk może tam wejść nawet teraz, w iluzji niewidzialności, i wynieść go na plecach. Nic trudnego.

— Jest ranny — powiedział Koniec. — Co z nim zrobimy? Z powrotem w góry? Trzeba się zastanowić.

— Tylko szybko, bo w każdej chwili jakiś zbir może poderżnąć mu gardło.

Promień po raz kolejny pociągnął nosem. Węszył już od pewnego czasu.

— Co tu tak śmierdzi? — odezwał się z rozdrażnieniem.

— Nie masz innych problemów? — syknął Wężownik. — Twoje sumienie cuchnie. Nie trzeba było drażnić Winograda. Poszedł sam w las i nie wrócił. To twoja wina!

— Zamknij się!

— Zamknijcie się obaj! — zażądał Koniec zduszonym szeptem. — Jak dzieci! Zaczynajcie śpiewać, tamci prędzej usłyszą!

Promień wycofał się ostrożnie między młodymi drzewkami. Nos prowadził go nieomylnie. Źródło niepokojącego słodkawego odoru padliny musiało znajdować się bardzo blisko. Rzeczywiście, trafił doń bez większego trudu. Rozgarnął zarośla, spojrzął, a następnie zacisnął powieki i dłuższą chwilę walczył z podchodzącym do gardła żołądkiem. Ciało, które znalazł, musiało leżeć w zaroślach od wielu

dni. Napoczęły je lisy, a rozkład posunął się już znacznie. Zakrywając nos i usta rękawem, Promień przyjrzał się dokładniej zwłokom. Mężczyzna o młodzieńczej sylwetce, być może faktycznie bardzo młody. Spoczywał w bardzo nienaturalnej pozycji. Twarzą do dołu, tak że Promień widział tylko tył jego głowy, czego zresztą zupełnie nie żałował. Jedno ramię zaplątane było w gałęziach, drugie sztywno wyciągnięte na ziemi. Biodra i nogi celowały skośnie w niebo — podparte przygiętymi nieco krzewami. Brak było śladów walki i Promień był pewien, że nie tutaj dokonano zabójstwa. Trup miał na sobie tylko podartą, zaplamioną koszulę i spodnie. Był bosy. Ktoś, kto zabił tego człowieka, ograbił zwłoki, a potem usunął je, nie zadając sobie trudu najprostszego pogrzebu. Sądząc z ułożenia ciała, najprawdopodobniej zrzuciono je z urwiska i nie zaprzętało sobie nim więcej głowy. Ponure znalezisko trzeba było pokazać towarzyszom. Promień po krótkim namyśle wytypował Końca, którego zawsze uważał za opokę ich małej grupki, i Kamyka, gdyż ten miał pewną wiedzę medyczną wyniesioną z domu, a poza tym potrafił wziąć do ręki najobrzydliwszego robala w tropikalnej dżungli. Lepiej, żeby zwłaszcza Myszka nie widział nieboszczyka, bo wpadnie w histerię i będą mieli dodatkowy kłopot, jakby Los mało ich jeszcze doświadczył.

Sprowadzony na miejsce Koniec dokonał dodatkowego odkrycia: z obu rąk ofiary zerwano wszystkie paznokcie. Śmierć poprzedziły tortury. Zdecydował się, by odwrócić zwłoki, co było najgorsze ze wszystkiego — twarz zabitego była sina i nabrzmiała. Znaleźli jeszcze jedną ranę na piersi — podłużny, wąski ślad po sztylicie.

*Prosto w serce* — wypisał w powietrzu Kamyk. — *Co to za ludzie?*

Rozłożył bezradnie ręce.

*Jak tak można? Umęczony, zabity, a potem wyrzucony jak śmieć... Kto jest zdolny do takich rzeczy?*

Końcowi przeszło przez głowę, że zna paru takich, ale nie podzielił się tą myślą.

— To nie są ludzie, ci na górze — szepnął Promień gorączkowo. — To bestie. Mordercy, kaci... śmietnisko dusz. Słuchaj, Koniec, tak nie może być. Ja tego nie daruję. Winograd...

Koniec przyłożył palec do ust, więc Promień zamilkł, ale widać było, że gotuje się w środku.

\* \* \*

Naradzali się w bezpiecznej odległości od fatalnego jaru. Odkrycie Promienia zmieniło rangę problemu. Nie mieli do czynienia ze zwykłymi „nieprzyjemnym” ludźmi, jak to określił przedtem Koniec. Najwyraźniej Winograd wpadł w łapy zbójców i jego życie wisiało na bardzo cienkiej nici. Oni sami też byli zagrożeni.

*Możemy go stamtąd zabrać, to nie problem. A potem znów uciekać. Jak zwykle uciekać. Nie wiem, jak wy, ale ja mam dość uciekania. Nie chcę wciąż oglądać się przez ramię, czy ktoś nie czai się za moimi plecami. Choć raz bądźmy mężczyznami.*

— Mamy walczyć? — spytał niepewnie Wężownik, a Stalowy powtórzył jego słowa Kamykowi w mentalnym przekazie.

*A czemu nie? Robiłeś to już nad Enite, na drodze w Lengorchii, i tutaj też. Nawet pół godziny nie minęło, jak wysłałeś jednego zbira w nicość.*

— Dobrze, ale ja nie umiem tak po prostu podejść do kogoś i go zabić! — zdenerwował się Wężownik.

— Ani ja — powiedział cicho Stalowy z zakłopotaniem. — Jak to właściwie sobie wyobrażacie? Mamy tam wkroczyć, zrobić rzeź, a potem może jeszcze spokojnie zjeść kolację?

Myszka siedział z boku, milcząc jak zakłęty. Nawet nie podnosił wzroku. Było absolutnie zrozumiałe, że ze wszystkich on najmniej nadawał się do tego rodzaju rzeczy.

— Mnie też wcale nie sprawi przyjemności zabijanie kogokolwiek — powiedział Promień z żarem. — Ale, Stalowy, idź tam, zobacz sam tego człowieka. Mógłby być naszym starszym bratem. Umarł w mękach. A my tu mamy moralne dylematy? Jakbyś spotkał wściekłego psa, to zastanawiałbyś się, czy go zabić?

— Nie o to chodzi, czy chcę. Ja chcę. Ja tylko nie wiem... nie jestem pewien... czy będę potrafił.

Promień postukał się palcem w czoło.

— Kamyk ma rację, że tym razem nie powinniśmy uciekać. Ale to nie są baranki. To kupa uzbrojonych mężczyzn. Bardzo silnych i bardzo złych. Jedynie talenty dają nam przewagę. Bądź pewien, że gdy się już rozpocznie, to się tylko będziesz zastanawiał, jak przeżyć.

Koniec, który od dłuższej chwili naradzał się w myślach z Kamykiem, rzucił propozycję:

— Niedługo zacznie zmierzchać. Wszyscy bandyci wrócą do obozowiska. Najlepszy jest zawsze atak z zaskoczenia. Niech zjedzą, z pełnym brzuchem jest się wolniejszym. Myszka, ty skoczysz wprost do wnętrza tego rumowiska i ochroń Winograda.

Myszka uniósł zwieszony smętnie nos.

— W ciemno? A jak tam są jakieś ściany w środku?

— Nie ma — stanowczo zaprzeczył Mówca.

— A jak tamten Northlandczyk się na mnie rzuci?

— To go przetrzucisz gdzieś dalej. Myszo, nie marudź.

Myszka tylko westchnął.

*Przydałaby się nam jakaś dodatkowa przewaga. Ich tam jest kilkunastu. Stalowy, czy jest coś, co pozwala widzieć w ciemnościach? Może coś z tych twoich smakołyków.*

Stalowy zaniemówił na moment, błękitne oczy omal nie wyskoczyły mu z orbit.

— Nie!!! Absolutnie! Mało ci było? Skończyłem z tym... Przeszedł na kontakt mentalny:

„Oszalałeś? ONA mi zakazała! Wiesz, co może mi zrobić!? Mam już niebieskie oczy, cały mam się zrobić niebieski? Dzięki za ten bal! Ja wychodzę!”

Na Kamyku nie zrobiło to szczególnego wrażenia.

„Nikt ci nie każe znów tego używać. Chcę dla siebie. Tylko poradź: co?”

„Krew Bohaterów rozszerza źrenice. I daje kopa. Ale tylko małe dawki”.

„Wiem. Potrafisz to zsyntetyzować?”

„Umiem, ale nie chcę!”

Tym razem Kamyk uciekł się do iluzyjnego dźwięku.

— Sssstaaalooowyyy! — zabrzmiało to złowroźnie, zwłaszcza że Tkacz Iluzji nawet nie otworzył ust.

„Jesteś opętany! Nie biorę za nic odpowiedzialności! Powiedz to JEJ przy okazji!” — Stworzyciel ugiął się, ale widać było, że jest o wiele bardziej przerażony planowanym nieposłuszeństwem wobec Bogini niż nadchodzącą bitwą.

\* \* \*

Gardziel wrócił tuż przez zmrokiem. Od razu przyszedł obejrzyć łup Waguna. Stał nad chłopcem, założywszy ramiona na piersiach i poświstywał przez zęby. Z jego nieruchomej twarzy nie można było niczego wyczytać. Koret milczał przeźornie. Odzywianie się do Gardzieli sprowadzało kłopoty, tego już zdążył się nauczyć. Gardziel był najtwardszy ze wszystkich. Półzartem mówiono, że czerwona blizna na szyi, od której wziął przydomek, powstała wtedy, gdy ostrze godzącego w niego noża zatrzymało się na kamieniu pod skórą herszta.

— Wasz? — spytał Gardziel krótko, kierując wzrok na ela.

Koret miał ogromną ochotę potwierdzić. Jednak kłamstwo byłoby zbyt oczywiste.

— Nie.

Gardziel wyciągnął nóż, przykucnął i płazem poklepał policzek chłopaka. Nie doczekał się żadnej reakcji. Przyłożył mu sztych do wgłębienia tuż poniżej krtani. Koret przełknął ślinę. Lengorchianin nie dawał znaku życia już od pewnego czasu. Gardziel z pewnością doszedł do wniosku, że nie będzie z niego żadnego pożytku i chce się go pozbyć.

— Wagun go niepotrzebnie oprawił — odezwał się el, stawiając wszystko na ten jeden rozpaczliwy pomysł, który błysnął mu w chwili natchnienia. — Chłopak z lepszej rodziny, to widać. Mógłby być okup za niego.

Gardziel cofnął nóż.

— No... ?

Koret pokazał mu to, co sam odkrył wcześniej: delikatne ręce chłopca i ozdoby na ubraniu.

— Nigdy w życiu nie robił za pługiem. To ręka do pióra. Prawdziwy bursztyn. Aż znad Morza Syren. Sporo wart. Miał też złoto. . .

— Złoto? — Oczy Gardzieli błysnęły złowrogo.

— Wagun nie oddał? Przy mnie wytrząsał chłopakowi kieszenie. Była jedna złota moneta i kilka srebrnych.

Gardziel wstał i oddalił się wielkimi krokami. Koret usłyszał jego ryk:

— Waguuun!!

Potem nastąpiła gwałtowna kłótnia, a po niej odgłosy kilku uderzeń, których Koret słuchał z niekłamaną przyjemnością. Gardziel karał samowolnego podwładnego, usiłując wyciągnąć od niego złoto, które nigdy nie istniało. Gardziel rzeczywiście musiał niewiele zyskać na gościńcu, co tym bardziej wprawiało go w gniew. Wojna dawała się odczuć nawet tu. Handel z Południem osłabł. Ruch na tym rzadko uczęszczanym szlaku kupieckim zamarł zupełnie. Zbójcy rekrutujący się z wyrzutek, zbiegów spod katowskiego topora lub zwyczajnych obiboków i chciwców nie tylko nie opływali w bogactwa, ale wręcz walczyli z głodem. Użeranie się o parę worków mąki z tak ubogim elastem jak Bukowina świadczyło, że sięgnęli dna.

\* \* \*

Zapadła noc. Zbójcom nie było do pogwarek przy ogniskach. Prędko porzucali się do swoich legowisk. Wygaszono ogień. Wystawiono warty. Zwykle strażnicy lenili się jak mogli — komu by się chciało w taki czas ganiać zbójów po lasach? Król miał poważniejsze kłopoty w północnych granicach. Tym razem jednak Gardziel nakazał większą czujność. Zapodział się gdzieś jeden ze starszych. Zniknął bez śladu, jakby rozwiął się w powietrzu. Być może wróci nazajutrz, ale należało mieć się na baczności. Nieraz jakaś banda była zdradzana, dla złota i ułaskawienia.

Niebawem wzgórze oblało srebrne światło wschodzącego księżyca i okolica zapełniła się tajemniczymi, ruchliwymi cieniami. Jeden z takich cieni oderwał się od pnia, zbliżył się cicho do wartownika od tyłu. Coś błysnęło w księżycowej poświacie, zataczając płaski łuk w powietrzu. Bezgłowe ciało bluznęło ciemną krwią z kikuta szyi, po czym padło na ziemię z głuchym tąpnięciem.



W przeciwnym końcu obozowiska inny strażnik usłyszał ten odgłos, lecz uspokoił się, widząc podnoszącą się z ziemi postać, machającą ręką. Pomyślał, że tamten potknął się tylko. To była jego ostatnia myśl w życiu. Czyjaś dłoń zamknęła się mocno na jego ustach, a ostrze noża wbiło głęboko między zębra. Umarł bardzo cicho.

Koniec wciągnął głębiej w krzaki martwe ciało. Krew zabitego pachniała oszłamiająco, aż miał ochotę oblizać pokrytą nią rękę. Księżyc świecił niebywale jasno. Spojrzał w górę, blask Giganta odbił się w jego powiększonych źrenicach, zamieniając je na moment w dwie srebrne monety. Koniec wyszczerzył do niego zęby.

Jestem wilkołakiem, zabijam pod księżycem, pomyślał i ta myśl szalenie go rozbawiła. Zatykając usta kufakiem, by nie śmiać się głośno, chyłkiem udał się na dalsze polowanie. Okazja była tuż — mroczne wnętrze szałas, w którym dało się słyszeć sapanie śpiących. Wewnątrzwidzenie Mówcy ukazywało ich sny — niewyraźne, mgliste widma klujące się jeszcze na pograniczu jawy. Koniec bezszelestnie wśliznął się między śpiących. Przez chwilę sycił się widokiem iskerek ich żywotów. Nocne ciemności w środku szałas dla jego rozszerzonych źrenic były jedynie półmrokiem odbierającym otoczeniu barwy i ostrość konturu. Zaciśnął mocno jedną dłońią usta śpiącego na wznak, a kantem drugiej natychmiast zadał silny cios w nasadę nosa. Trzasnęła łamana kość. Uderzony drgnął silnie i przeszedł przez Bramę, zanim jeszcze jego mięśnie się rozluźniły. Jego sąsiad wybelkotał coś przez sen, przewrócił się na brzuch. Kolano zabójcy, wciśnięte nagle w krzyże, odebrało mu oddech, a gwałtowne szarpnięcie za głowę złamało kark. Koniec przekreślał głowę trupa tak długo, aż ścięgna zerwały się, a martwe oczy spojrzały prosto w górę. Dopiero wtedy Mówca uznał, że to wystarczy. Gdy wyczołgał się na zewnątrz — trafił prosto na kolejnego ze strażników. Wciąż na czworakach, zawarczał głucho. Zbójca, przez chwilę był jeszcze niepewny, czy nie ma przed sobą wygłupiającego się kompana. Lecz zacisnął mocniej ręce na oszczepie i nabrał powietrza, by zaalarmować obóz. Z ciemnego wału zarośli wyleciała z cichym świstem strzała. Wbiła się prosto w szyję wartownika, zduszając jego krzyk do krótkiego charknięcia. W następnej chwili zniknął, zanim zdążył upaść na ziemię. Zza nieforemnego garbu szałas wyłoniła się przygięta sylwetka. Koniec rozpoznał płomyk jaźni Wężownika.

— To już wszystkie warty — prychnął mu prosto w ucho Wędrowiec, dusząc się od tłumionego chichotu. — Czterech było. Jednego dorwałem przedtem. A teraz patrz.

Koniec spojrzął za palcem Wężownika. Najbliższy szałas raptem rozsypał się w drobiazgi, ścięty w połowie talentem maga. Trzech mężczyzn zbudziło się nagle, gdy poleciały na nich szczątki drągów i gałęzi. Rozespani, zaskoczeni i źli zaczęli gramolić się na nogi pośród tego pobojuwiska. Wężownik pstryknął palcami,

po czym trzy bezgłowe ciała padły z powrotem w rozgrzebane barłogi, zalewając je posoką. Koniec nie zdzierzył i ryknął śmiechem.

\* \* \*

Czyjś śmiech wyrwał Koreta z pierwszego snu. Ktoś na zewnątrz wieży zanosił się szaleńczym rechotem, jakby postradał zmysły. Ełowi ścierpła skóra. Tak mógł śmiać się upiór lub demon. Usiadł gwałtownie, odruchowo zaciskając na piersiach poły złachmanionego koca, i zmarł. W niższej części ruiny, częściowo oświetlone księżycową poświatą, stało dziecko. Srebrne światło kładło się lśniąca plamą na jego włosach i wypukłości czoła, malowało srebrny prążek na wierzchu nosa. . . Głębokie cienie legły w zagłębieniach koło oczu, pod brodą i w dołku tuż poniżej ust. Szczuplutki chłopiec (o ile Koret się nie mylił co do płci) zdawał się figurką wyciętą z czarnej kory oraz srebrnej blachy. Stał tak sobie — bez ruchu, bez słowa i Koret tylko czuł na sobie uważne spojrzenie tego niesamowitego przybysza. Nagle przyszło mu do głowy, że Pan czasem objawia się pod postacią dziecka. Co prawda nie mógł pojąć, czym miałby zasłużyć na podobny zaszczyt, lecz. . . Niezdarnie podwinął spętane nogi, by uklęknąć, po czym dotknął czołem ziemi w pokornej postawie. Potem podniósł wzrok, czekając na słowa łaski lub potępienia. Chłopiec przestąpił z nogi na nogę, cofnął się nieco. Koret ze zdumieniem rozpoznał oznaki zmieszania i niepewności. Nie, to nie mogło być żadne bóstwo. Bogowie zawsze byli nieomylni, zawsze pewni siebie. W końcu od tego byli bogami.

Wreszcie dzieciak podszedł ostrożnie, bokiem, do młodego czarodzieja. Pochylił się nad nim i dotknął jego ręki.

— Fail’ess? Fail’ess, seva nin tar?

Nie doczekał się odpowiedzi.

— Fail’ess, tar awen Sori. . . Ekeri, Hevela’, ano. . . ofan-wa do gon.

El słuchał obcej mowy, w której kolejne słowa toczyły się gładko jak drewniane paciorki po gładkim stole. Czasem tylko dźwięczne „r” odzywało się nagle, niczym krótkie przeciągnięcie piły w kłodzie. Rozumiał tylko pojedyncze, oderwane od siebie słowa. Kolejny Lengorijen, na pewno przyjaciel rannego. Jeden z tych, którzy mieli „zapłacić”. Tknięty nagłą myślą Koret poczołgał się ku szczelinie w murze — swemu okienku na obozowisko. Nie dalej jak przed chwilą stamtąd właśnie dobiegał ów przerażający śmiech, a teraz dały się słyszeć niewyraźne krzyki. Wyjrzał na zewnątrz i zobaczył piekło.

\* \* \*

Koniec nie był w stanie się opanować. Uczynek Wężownika wydał mu się niewiarygodnie zabawny. Zupełnie jak na komediowym przedstawieniu — rymy,

ciach i łubudu. . . ! Niestety, odgłosy dobrej zabawy wywabily z legowisk pozostałych zbójów. Jeden wypadł z szałasów z bronią w rękę, głośno wzywając do ataku. Nie zdążył zrobić ani dwóch kroków, gdy zarył twarzą w zwiędłą trawę, całkiem jakby ktoś podstawił mu nogę. Koniec z Wężownikiem płakali ze śmiechu. Nad ciałem powalonego na moment ujawniła się wysoka postać Kamyka. Tkacz Iluzji przyszpilił go sztychem do ziemi, po czym znów zniknął pod zasłoną niewidzialności. Następny spotkany zbój zginął, nie wiedząc nawet, co go zabiło. Z wstrętnym młasnieniem otworzyła się w jego brzuchu długa poprzeczna rana i wylały się z niej wnętrzności. Nie zdążył upaść, a już następny cios rozrąbał mu czoło. Jeden z szałasów stanął w ogniu. Wężownik w świetle pożaru ujrzał szamoczącego się w panice obcego, na którym zajęło się ubranie, i unieszkodliwił go, przenosząc jego głowę nieco dalej od reszty ciała. Tymczasem poprzednia ofiara Tkacza Iluzji podniosła się, przyciskając rękę do rany na piersi. Krew lejąca się spomiędzy palców wydawała się zupełnie czarna w zwodniczym oświetleniu. Zanim obaj magowie zdążyli zrobić cokolwiek, kolejna strzała Promienia definitywnie zakończyła życie rannego. Ktoś usiłował umknąć w zarośla. Trafił na Stalowego i jego nadzieje, by unieść cało skórę z nagłego pogromu, okazały się płonne. Stworzyciel, który już przedtem cicho, bez niepotrzebnego hałasu unieszkodliwił dwóch chrapiących beztrósko zbójców, zjawił się w kręgu światła, otrząsając krople krwi z klingi.

Raptem okazało się, że to już koniec. Nie ocalał nikt ze zbójckiego gniazda. Magowie ściągali w jedno miejsce, obok palących się resztek szałasów. Stalowy wyrwał z ogniska płonący drąg i z zaimprovizowaną pochodnią skierował się do ruiny.

— Tam został jeden — powiedział. — Co robi Mysz? Już powinien tu być.

Wśród spękanych murów Stworzyciel zobaczył w świetle żagwi jedyne ocalałego Northlandczyka i od razu zorientował się, dlaczego ten nie brał udziału w walce ani też nie uciekał — nogi mężczyzny tkwiły w solidnie wyglądających dybach. Więzień z obawą patrzył na Stalowego i pałasz w jego rękę. Przyciskał się plecami do muru, czekając w milczeniu na cios. Stalowy wyminął go, nie poświęcając mu więcej uwagi. Podeszedł do Myszkę, który klęczał u boku leżącego bez ruchu Winograda.

— Jest źle — powiedział cicho mały Wędrowiec, gdy światło padło na nich. — On mnie wcale nie słyszy. Jest strasznie pobity.

Trudno się było nie zgodzić z oceną Myszkę. Stworzyciel przesuwając dłonią po ciele Bestiara, oceniając talentem obrażenia. Połamane kości, rozległe wylewy pod skórą. . . Na szczęście nie miał żadnych obrażeń brzucha, które mogłyby go zabić w ciągu paru godzin. Wyglądało to trochę tak, jakby chłopak chronił wnętrzności kosztem pleców i głowy. Skądinąd słusznie.

— Myszko, tam jest pełno trupów — odezwał się Stalowy. — Lepiej będzie, jak Winograd zostanie tutaj. Przypilnuj go.

Zdjął opończę i przykrył nią rannego.

— Jak się rozwidni, to spróbuję pospajać mu kości. Na razie tam jest jedna jatka i musimy posprzątać. Ten tutaj to więzień, chyba niegroźny.

Myszka kiwnął głową na znak zgody. Zajął znów miejsce u boku chorego Bestiara jak małe bóstewko opiekuńcze.

Stalowy wrócił na pole walki i zaklął na niespodziany widok, który ukazał się jego oczom. Reszta towarzystwa padła pokotem, tak jak stali, zasypiając kamiennym snem ponarkotycznym. Postronny obserwator nie odróżniłby ich od trupów. Wyczerpane organizmy zażądały raptem odpoczynku i nikt im się nie sprzeciwiał. Stalowy westchnął z głębi serca. Odciągnął najbliższe zwłoki nieco dalej. Następnie przysiadł na kłodzie i objął, chcąc nie chcąc, całonocną wartę.

\* \* \*

Błade poranne słońce oświetliło smętne pobojuwisko. Najbliżej Stalowego leżący Promień zaledwie uniósł głowę, a natychmiast opadła z powrotem. Oczy Iskry miały dziwnie szkliste spojrzenie, drgał mu mięsień na policzku. Dopiero po dłuższej chwili oprzytomniał na tyle, by przekreślić się na bok i splunąć z niesmakiem gęstą śliną.

— I jak tam po nocce? Miałeś jakieś nowe wizje, książę? — spytał Stalowy, po czym ziewnął głośno. Był rozpaczliwie niewyspany.

Promień przycisnął ręką żołądek i skrzywił się.

— Do ust już nie wezmę tego paskudztwa. W głowie mi się kręci, niedobrze mi... ohyda.

Z wolna budzili się pozostali — zziębnięci i rozbici po nocy spędzonej na gołej ziemi. Wszyscy ledwo powłóczyli nogami. Widok trupów wywoływał mdłości, a wspomnienie tego, co zrobili pod wpływem Krwi Bohaterów — niepokój sumienia i wstręt.

— Krew Bohaterów... — mruknął Koniec z goryczą. — Rzeczywiście! To świństwo zwalnia wszelkie hamulce. Można zrobić najgorszą rzecz ze śpiewem na ustach.

— Ale potem się budzisz — dodał Wężownik, masując zdrętwiały kark. — Czy ja się mylę, czy też naprawdę wykończyłem czterech ludzi?

— O trzech wiem na pewno, jednak chyba ich będzie więcej. Policz tych, którzy nie mają głów.

Wędrowiec tylko jęknął. Dzień zapowiadał się bardzo przykro.

Promień zajrzał z ciekawością do szałas, z którego sterczały dwie pary stóp w zniszczonych skórniach. Gdy się odwrócił, nerwowo przetykał ślinę i wydawał się nieco bledszy niż przedtem.

— Który z was był tutaj? Ciekawa rzecz — chłop tak ma szyję wykręconą, że własne plecy sobie ogląda.

- Ja — przyznał się Koniec ponuro.
- Jak ty to zrobiłeś? — spytał oszołomiony Promień.
- Rękami.
- Drugiego też rękami?
- Też — mruknął Koniec niechętnie.
- Ale jak? Skąd ty to umiesz?

— Brat mnie nauczył — uciał Koniec, odwrócił się na pięcie i odszedł na drugi kraniec obozu, by uniknąć dalszych pytań. Jedno pytanie pociągnęłoby za sobą drugie, to — następne, a Koniec absolutnie nie miał ochoty objaśniać, czemu brat uczył go ciosów wbijających odłamki kości w mózg ofiary, łamania karku i paru innych sztuczek. Ani też tego, dlaczego jego starsze rodzeństwo w ogóle miało takie umiejętności.

\* \* \*

Koret usiłował w nocy uwolnić się od kłody, korzystając z tego, że mały czarownik zasnął. Nic nie działo się prócz tego, że połamał sobie do reszty paznokcie. Poza murami wszczął się ruch i el w każdej chwili oczekiwał swego końca. Dlaczego przybysze z Lengorchii mieliby go oszczędzić? Był dla nich zupełnie obcy i stanowił obciążenie. Jednak nikt nie zwracał na niego szczególnej uwagi. Skonsternowany Koret obserwował, jak Lengorchianie wchodzi i wychodzą. Spoglądali na niego mimochodem, lecz znakomitą większość uwagi poświęcali rannemu. Zabrali go na rozpostartym płaszczu. Coś działo się na zewnątrz, poza zasięgiem wzroku Koreta. Śmierdziało spalenizną. Słyszał wyłącznie obcą, szybką mowę, z której nie mógł wyłowić żadnego sensu. Nie przeżył chyba nikt prócz niego samego. Po pewnym czasie jeden z czarowników przyniósł mu dzbanek z wodą, chleb i płat wędzonej słoniny, po czym natychmiast oddalił się w swoich sprawach. To przynajmniej znaczyło, że nie mają zamiaru go zabić — nikomu nie opłacałoby się żywić kogoś, kto za chwilę miał się stać trupem. Zjadł pospiesznie, dławiąc się prawie, zanim obcy zmienią zdanie. A potem czekał.

Wreszcie przyszedł do niego jeden z przybyszów. Przysiadł na kamieniu, mierząc taksującym wzrokiem więźnia. Koret poczuł się jeszcze bardziej nędznie.

— No i cóż się tak gapi? — mruknął pod nosem z rozdrażnieniem. — Czaruje, czy co?

— Nie czaruje — odparł tamten w bezbłędnym northlanie. — Patrzy i zastanawia się, ile tu siedzisz.

Koret bezwiednie spojrział na wydrapane kreski.

— Dwadzieścia dziewięć dni — odpowiedział, dodając dzień bieżący.

Przybysz pokiwał głową, jakby stan ela zgadzał się w zupełności z jego osądem.

- Jesteś stąd? — indagował Lengorijen.
- Stąd. Tutejszy. A ty?
- Stamtąd — odparł sucho rozmówca, jakby to wszystko wyjaśniało.
- Czarownik?
- Mag. Mówi się „mag”.

Zamilkli obaj. Rozmowa się nie kleiła. Oceniali się wzajemnie, obserwując spod oka. Koret nigdy by nie przypuszczał, że ma przed sobą czarodzieja. . . to jest maga, gdyby ten sam tak się nie przedstawił. Chłopak był równie młody, jak ofiara Waguna. Długie, czarne włosy związał na karku. Spod jego opończy w brudno-zielonym kolorze wyglądała bluza z cienkiej skórki. Przeguby chłopaka owinięte były rzemieniami jakby dla ochrony przed uderzeniami cięciwy. Koret mógłby przysiąc, że ma przed sobą myśliwego.

- Dobrze strzelasz z łuku? — spytał bez namysłu.

Chłopak mrugnął, zaskoczony.

- Dobrze — odrzekł.

- Ilu was jest?

— Za dużo chcesz wiedzieć! — rozzłościł się młody mag. — Siedz tu i ciesz się, że nie na tobie próbowałem celności!

- Czy ktoś z tamtych przeżył?

- Nikt.

- Świetnie. A co ze mną?

Mag nie odpowiedział, tylko wzruszył ramionami. Pewno jeszcze nie zdecydowali.

- Tych szesnastu tutaj to nie wszyscy. Czekali na resztę — odezwał się el.

Oczy chłopaka błysnęły czujnie.

- Ilu? — spytał krótko.

- Nie wiem. Może drugie tyle, może więcej.

Mag — łowca — natychmiast wstał i odszedł, by podzielić się nowiną z towarzyszami, a Koret miał nadzieję, że właśnie kupił sobie jeszcze trochę czasu.

Chyba miał rację, bo tuż przed zmrokiem wrócił jego rozmówca z dwoma innymi magami. El ze zdumieniem przekonał się, że nie są chyba starsi od myśliwego i chłopaka o skośnych oczach. Przypomniawszy sobie dziecko widziane w nocy i nie mógł już powstrzymać ciekawości. Mag władający językiem northlandzkim osadził go krótko:

— Wystarczająco dorośli, by radzić sobie z bandytami. . . i myć się samodzielnie. Zdejmuj te szmaty. I niech ci do głowy nie przychodzi nic głupiego.

Postawił na ziemi parujący kubeł. Upokorzony Koret zorientował się, że ma się rozebrać do naga na oczach obcych. Jeden z magów gołymi rękami, pozornie bez żadnego wysiłku uwolnił jego nogi. Trzasnęło tylko pękające drewno. Wstrząśnięty mężczyzna, już bez protestu i wahań zdjął ubranie, odrywając przy tym koszulę od ran na plecach. Mył się w ciepłej wodzie, po raz pierwszy od miesiąca,



starając się przy tym zapomnieć, że patrzą na niego trzy pary oczu. Było to dla niego ogromnie poniżające, zwłaszcza że mógł sobie wyobrazić, jak wygląda — koszmarnie brudny, zawszony, wychudzony, z poranionymi nogami i czyrakami na karku. Skóra piekła go od ługu. Tymczasem jego strażnicy traktowali sytuację równie obojętnie, jakby wśród nich stało zwierzę — w końcu nikt nie może rzec, że krowa czy koza są nagie. Koret sam już nie wiedział, czy drży bardziej z zimna, czy ze wstydu. Jego łańcuchy spłonęły natychmiast w rozpalonym magicznie ogniu. Wysoki mag ocenił stan jego ran, nałożył na nie jakąś maść i kawałki płótna. Dopiero wtedy el dostał świeże ubranie. Nie chciał się zastanawiać, do kogo przedtem należało. Ważne, że było czyste. Dostał nawet buty — za duże, ale to nawet lepiej, bo w ten sposób nie urażyły pokrytych strupami kostek.

— Chodź — polecił Koretowi jego poprzedni rozmówca.

Nie miał innego wyjścia.

Na zewnątrz, przy pochylonym murze zrujnowanej wieży usłyszał:

— Stój.

Miał ochotę zaprotestować, że nie jest koniem, którego się tresuje, ale ugryzł się w język. Coś objęło jego szyję od tyłu. Poczul zimne dotknięcie i usłyszał brzęk metalu. Dopiero wtedy zorientował się, że znów go uwięziono. Z wściekłością szarpnął łańcuch, który jednym końcem przymocowany był do cienkiej obręczy, otaczającej luźno jego szyję, a drugim do muru. Koret wybuchnął gejezem przekleństw, zacinając się chwilami ze złości. Opryszki pod wodzą Gardzieli przynajmniej w jakiś sposób uznawały jego, Koreta, pozycję i urodzenie. Tymczasem trzej magowie spokojnie poszli sobie, uwiązawszy go przedtem jak psa! El pociągnął łańcuch, próbując jego osadzenia między kamieniami. Długowłosy mag, który został nieco z tyłu, odezwał się, widząc jego wysiłki:

— Bezelowe. Sab'lan zrobił dobrą robotę i łatwiej będzie ci obciąć sobie łeb, niż rozerwać ogniwa.

— Jestem elem! — ryknął Koret. — Jestem wysoko urodzony, ty barbarzyńco! Dlaczego po prostu mnie nie zastrzelisz?!

Mag zastanowił się, wydymając wargi.

— Dotarliśmy do pułapu zabójstw na najbliższy tydzień — powiedział. — Idź spać do szopy i nie przeszkadzaj.

W najbliższym sąsiedztwie stał szalas, a łańcuch był na tyle długi, by Koret miał dość dużą swobodę ruchów. Próbował jeszcze raz wyrwać łańcuch ze ściany. Owinął go kilka razy wokół ramienia, zaparł się nogą o mur, ale skobel nawet nie drgnął, jakby stanowił monolit z kamieniem. Koret marnował tylko siły. W końcu, owinąwszy się derką, usiadł pod murem i obserwował, co porabiają magowie.

Porządkowali obozowisko, krzątając się sprawnie — dobrze zorganizowani, jak mały oddział wojska. Wydawało się, że każdy wie, co ma robić. Ciała zabitych zniknęły, być może strącone ze stoku albo już zakopane. Wyrzucali też stosy śmieci i palili w osobnym ognisku zapchłone szmaty. Nad ogniem piekła się sar-

na, a w żarze z boku parował kociołek z zupą. Koret policzył Lengorchian. Było ich sześciu. Przypomniawszy sobie rannego — siedmiu. Próbował ustalić, jak się nazywają, ale nie potrafił. Dziki obyczaj Południa, by nadawać ludziom imiona od przedmiotów, zwierząt lub zjawisk, utrudniał zadanie. Jeden z magów nazywał się Sab'lan, co znaczyło chyba Żelazny. Reszta była jedną siekaniną pojedynczych słów, które el ledwo umiał przetłumaczyć.

Dostrzegł rannego chłopca, którego jeden z towarzyszy podtrzymał troskliwie, sadzając wygodnie na stosie futer pod świerkiem. Chory odpoczywał, przyglądając się zajęciom innych. Czasem ktoś zamienił z nim kilka zdań. W pewnej chwili mały czarodziej, wyraźnie na prośbę skośnookiego chłopca, pomógł mu dojść do ruin i usadowił tak, by mógł oprzeć się plecami o mur. Koret przyjrzał się niespodzianemu gościowi. Wyglądał lepiej niż poprzedniego dnia. Widział na oboje oczu, choć obrzęk nie zszedł do końca, a cały oczodół wraz z policzkiem pokrywały wszystkie odcienie fioletu. Był osłabiony, lecz nic go chyba nie bolało. Złamana ręka spoczywała w wygodnej kołysce z szerokiego szala, ale Koret zauważył, że chłopak może nią trochę poruszać.

— Ty — odezwał się chłopiec. — Ja dziękuję. Ty jesteś dobry człowiek.

Zaskoczony el nie wiedział, co odpowiedzieć. Zamiast tego spytał w łamanym lengore:

— Ręka. Nie boli?

Chłopak poruszył palcami.

— Nie. Niedługo zdrowa. Dobrze.

— Czary?

Chłopak przekrzywił głowę jak ptak, wsłuchując się w brzmienie obcej mowy.

— Cza-ry? — powtórzył.

— Czary. Cudowna rzecz. Praca czarodzieja... — el wymieniał określenia, niezadowolony, że tak źle sobie radzi.

— Czary... — powiedział chłopiec. — Tak. Czary. Misstiyr'... Czary. Jego praca. — Pokazał palcem wysokiego, przystojnego chłopaka, który przedtem założył Koretowi łańcuch. — On jest... simni'ar. Robi różne rzeczy. Dobre rzeczy.

Wyglądało na to, że mag imieniem Sab'lan wyleczył rannego, wyciągając go ze stanu bliskiego śmierci. To były te „dobre rzeczy”. Łańcuch na szyi el był gorszą rzeczą. Skoro jednak nadarzała się okazja, Koret postanowił dowiedzieć się jak najwięcej o przybyszach. Ten chłopak był bardziej chętny do rozmów niż oschły łowca.

— Kto on jest? — spytał Koret, robiąc ruch, jakby strzelał z łuku.

Chłopak zrozumiał.

— Hevela' — odpowiedział. — Ogień.

— On się nazywa Ogień?

— Nie, on robi ogień.

Koret poczuł mimowolnie ucisk w dołku. Magów Podpalaczy zawsze bano się najbardziej. Potoczył wzrokiem po obozowisku. Młodzi magowie nie wyglądali jednak groźnie. Zwłaszcza ten obok, o łagodnym głosie i smutnym spojrzeniu. Wkrótce dowiedział się nieco więcej. Chłopak nazywał się Fail'ess, co chyba miało coś wspólnego z winem. Najmłodszy z nich nosił imię Sori. Koret wiedział, że słowo „sore” oznacza „mysz”. Kto to widział, żeby dzieciaka nazywać Myszka? Naprawdę, w głowie mają pokręcone ci za górami. Był jeszcze Ekeri, co stanowiło zdrobnienie od „eker”, czyli „kamienia”. Grubawy młodzieniec długo pozostawał dla niego bezimienny, póki el nie przyjął do wiadomości, że istotnie ktoś może nazywać się Zakończenie.

— A twoje czary? — zapytał Koret.

Chłopiec przymknął oczy, opierając głowę o ścianę. Wyglądał na zmęczonego. Wyciągnął przed siebie zdrową rękę, zacmokał cicho przez zęby. Po chwili gdzieś spomiędzy gałązek sfrunął szyszkojad i usiadł mu na kciuku. Koret patrzył okrągłymi ze zdumienia oczami na to cudowne zjawisko. Mały ptaszek bez najmniejszej obawy przyglądał się młodemu czarodziejowi to jednym, to drugim paciorkowatym oczkiem, wytarł energicznie dziób o jego palce, po czym odleciał na powrót między zielone igły świerkowe. Więc takie były czary Fail'essa — obłaskawianie zwierząt. Koret z przykrością przypomniał sobie zjedzonego psa. Gdyby wtedy wiedział to, co teraz, powstrzymałby się, mimo głodu. Dobrze, że chłopak nie ma mu za złe.

\* \* \*

— Co z nim zrobimy? — spytał Promień podczas posiłku, gdy wszyscy delectowali się sarniną.

— Z kim? — spytał Koniec z roztargnieniem. Myślami błądził gdzie indziej. Kamyk przygotował dla Winograda specjalną zupę według przepisu Płowego, tylko bez śladu rosołu. Tymczasem Bestiar wmusił w siebie cztery łyżki i dostał torsji, co osłabiło go jeszcze bardziej.

— Z tym tubylcem. Jak mu tam. . . Koretem — wyjaśnił Promień.

— Wypuść go.

— Akurat. Jesteśmy na obcym terenie. Sprowadzi nam na głowę innych „nieprzyjemnych”.

— To weź nóż i poderznij mu gardło. O właśnie. . . czy ktoś zadbał o tego biedaka z parowu?

— Wężownik umieścił go pod ziemią. Tutaj zakopuje się zmarłych. Co z więzieniem?

— Daj mi spokój! — rozzłościł się Koniec. — Na razie nie mam do tego głowy.

— On pewnie chciałby wrócić do domu — odezwał się Myszka. — To przecież nie żaden bandyta, tylko tutejszy myśliwy albo rolnik. Winograd mówi, że on dbał o niego, dzielił się jedzeniem. . . Porządny człowiek, nie możemy go trzymać na łańcuchu.

— Ot, naiwna Myszka — rzekł Promień z przekąsem. — I co ci przyjdzie z tej szlachetności? Puścimy go, a za dzień lub dwa zwali ci się na głowę. Z dziesiątką uzbrojonych wieśniaków, których będziemy mieć potem na sumieniu.

— Może masz rację. Ale Bogini oczekuje wielkoduszności — powiedział cicho Myszka.

Promień zmarszczył się i nie odezwał już więcej. Właśnie on nie mógł poskarżyć się ani słowem na brak wielkoduszności z JEJ strony. Jedno zdanie z ust Myszki do reszty zepsuło mu nastrój.

\* \* \*

Następnego dnia Winograd nadal nie jadł. Stalowy połatał największe obrażenia Bestiara, ale nie był specjalistą chirurgiem, więc chory organizm musiał radzić sobie sam z całą resztą, a do tego potrzebował energii. Winograd tymczasem zwracał każdy kęs i słał coraz bardziej, co poważnie zaniepokoiło już wszystkich. Nawet northlandzki więzień przechadzał się na tyle blisko, na ile pozwalał mu łańcuch i popatrywał z troską na chłopca, który nie miał siły wstać. Promień z ponurą miną kręcił się w pobliżu Bestiara, jakby dręczyły go wyrzuty sumienia. W końcu zdecydował się podejść.

— Nie chciałem aż tak ci dokuczyć, Winograd — powiedział cicho, by nie dotarło to do innych. — Z tymi jajkami to bujda. Tak tylko plotłem.

Bestiar spojrział na niego z zaskoczeniem.

— Wiem.

— To dlaczego nie jesz?

— Nie mogę. Po prostu nie mogę.

— Wykończysz się.

— Może. Nie wiem. To nie jest łatwe. . . zetknąć się z podobnym okrucieństwem.

Promień potrząsnął głową.

— Nie można tak się poddać. Wiesz, że ja. . . Mnie próbowali zabić. Sam zabijałem. Umarłem w końcu, i wróciłem. I dalej chcę żyć, mimo wszystko.

— Ty jesteś silny, Promień. A ja nie. Ja tak nie umiem. Czasem ci zazdroszczę, że jesteś taki. . . twardy.

Promień przygryzł wargę i spuścił oczy.

— Gdybym cię nie drażnił, nie poszedłbyś w las i nikt by cię nie napadł.

— Nie obwiniaj się. Jeśli ktoś tu jest winny, to ten potwór, który zabił mojego szczeniaka i próbował dać mi jego ciało do zjedzenia. Wiesz, co to znaczy dla nas,

Bestiarów. Nikt by tego nie wytrzymał. A teraz ciągle wydaje mi się, że wszystko czuć mięsem. Pójdę za moimi zwierzętami, Promień. Tak mi się wydaje.

— To nie ma sensu.

— Dla mnie ma. Ciągle mam w uszach skowyt Tajfuna. Kiedy umrę, przynajmniej przestanę go słyszeć.

Promień zerwał się nagle i odszedł jeszcze bardziej przygnębiony. Więc to tak, Winograd miał zamiar zamorzyć się głodem. Nie... po prostu zagładzał się niezależnie od woli. Tak czy owak, skutek będzie ten sam — stos rozpalony gdzieś na obcej ziemi i ból po stracie towarzysza.

O zmroku Promień sam zgłosił się na pierwszą wartę. Chciał choć trochę po-  
być sam. Zaczekał, kiedy wszyscy pójdą spać i wdrapał się po stromym murze aż na jego wyszczerbioną krawędź. Usiadł, spuszczać w dół nogi, i uniósł oczy ku niebu.

— Słyszysz mnie? — szepnął. — Nie umiem się modlić. Ale wiem, że mnie słyszysz. Na pewno patrzysz na mnie i świetnie się bawisz. Co cię obchodzi jakiś tam pies i jakiś tam chłopaczek... To tylko pionki w grze, prawda?

Niebo nie dało odpowiedzi — zasnuło strzępami chmur, z kilkoma bladymi gwiazdami, które wyglądały jak gwoździe niedbale wbite w ciemne obicie. Księżyc jeszcze nie weszły i las tonął w ciemnościach.

— Dlaczego to robisz? — spytał Promień. — Po co? Mam mieć wyrzuty sumienia? Mam je, do cholery. Zazdrościłem Winogradowi psa, ale nigdy nie chciałem, żeby go stracił, wiesz o tym dobrze. Więc dlaczego? Może się jednak pofatygujesz i odpowiesz na to pytanie? Dlaczego pozwalasz, żeby Winograd umierał taką straszną śmiercią?

Chłopiec wyjął nóż z pochwy i przeciął sobie dłoń. Krople krwi spadły w dół, na ziemię.

— Składam ofiarę, widzisz? A może to za mało? — Ciął jeszcze raz. — Nie wiem, co może cię zadowolić. Myszka mówi, że jesteś wielkoduszna. Proszę cię, Matko, spraw żeby Winograd wyzdrowiał.

Oczekiwał z napięciem jakiegoś znaku, lecz nic się nie działo. Tylko gdzieś w lesie odezwało się wycie wilka, a u podnóża ruiny więzień zabrzączał łańcuchem. Chłopak siedział tak długo, aż krew na jego ręku zaschła. Płomień wiary i nadziei przygasł w nim do małej iskierki. Brzęknięcie łańcucha ozwało się znowu, a po nim ciche szepty. Promień zjechał na siedzeniu po stromiźnie muru i wylądował tuż koło szafasu więźnia, gdzie prawie wpadł na Myszkę.

— Co tu się dzieje? — syknął groźnie.

Myszka, który w pierwszym przestraszu zasłonił głowę ramieniem, opuścił rękę i wyjaśnił szeptem:

— Wypuszczam go.

— Oszalałeś?

— A może ty oszalałeś? Ile chcesz go tutaj trzymać? To nie pies łańcuchowy.

Mężczyzna stał tuż obok, zbierając ogniwa w rękę z cichym pobrzękiwaniem.  
— Chcesz wracać do domu? — spytał Promień opryskliwym tonem w northlanie.

— Chcę — potwierdził więzień i dodał szybko: — Mam żonę i troje dzieci. Czekają. . . — W jego głosie pojawiła się nadzieja.

— Dobrze — przerwał mu Promień i zwrócił się do małego Wędrowca: — Zdejmij mu to żelastwo.

Myszka namacał stalową obrozę na szyi mężczyzny. Dało się słyszeć ciche trzaśnięcie, a potem dźwięczne „pling” kawałka metalu, który upadł na kamienie. Uwolniony przesunął obiema rękami po szyi, jakby nie wierząc, że łańcuch opadł. Promień obrócił mężczyznę w odpowiednim kierunku.

— Idź tam, a znajdziesz konie, które zostały po zbójcach. Wracaj do żonki.

— Dziękuję. . .

— Idź i nie dziękuj, bo się rozmyślę! Wynocha! — warknął Iskra. — Mysz, spać! Pożałujemy tego jeszcze, zobaczysz!

Były więzień rozplynął się w mroku. Myszka, zanim odszedł, zwrócił się do Promienia:

— Ty jednak jesteś przyzwoitym człowiekiem. Tylko rzadko to widać.

— Wynocha, gryzoniu! Spać! Obudzę cię na następną turę!

Podenerwowany Promień usiadł pod wieżą, by dalej trzymać straż. Wkrótce jednak oczy same zaczęły mu się zamykać, choć walczył z sennością, szczypiąc się w uszy i recytując w myślach długie fragmenty wierszy. Wreszcie powieki opadły mu po raz ostatni i chłopiec, oparty o szorstki mur, zasnął na siedząco. Wielki księżyc wysunął lśniące czoło znad wierzchołków drzew i jego blask padł prosto na twarz śpiącego maga. Po chwili powieki zaczęły mu drgać. Poruszył wargami, widać rozmawiał z kimś we śnie. Jego zmartwiona twarz rozpozgodziła się, jakby śnił o czymś przyjemnym.

\* \* \*

Promienia zbudziło kopnięcie w podeszwę i gniewny głos Stalowego:

— Wartownik! Cud, że cię nie ukradli!

Zdezorientowany chłopak przetarł oczy i rozejrzał się, niezbyt jeszcze przytomny. Słońce wstawało. Wyglądało na to, że nie tylko nie obudził kolejnego strażnika, ale sam przespał całą noc, i to w bardzo w niewygodnej pozycji. Stalowy stał nad nim jak pomnik potępienia.

— No co, no co. . . — zagderał Promień. — Nic się nie stało. Ciesz się, że się wyspałeś, bo byłbyś następny.

Zniknięcie więźnia nie oburzyło nikogo, a raczej nawet poprawiło nastroje. Tak naprawdę nikt nie wiedział, co z nim robić, więc z ulgą przyjęto jego odejście.

Promień wspominał swój nocny monolog skierowany do Bogini. Zastanawiał się, czy sen, który miał później, powinien traktować jak odpowiedź. Śnił mu się Mówca Zwierząt — zdrowy i pogodny. Na rękę trzymał zabawne, puszyste zwierzątko — podobne do łasicy, lecz większe.

Tymczasem jednak trzeba było podjąć jakąś decyzję co do dalszych losów Winograda. Od trzech dni nie jadł niczego, pił tylko wodę. Wypalał się powoli jak świeczka, coraz częściej zasypiając. Pozostawanie na zbójeckim wzgórzu nie miało sensu. Młodzi magowie, obciążeni chorym kolegą, nie mogli ruszać dalej, a szafas z jedliny, choć chronił przed niepogodą, stanowił nader nędzne schronienie, zwłaszcza że noce stawały się coraz zimniejsze. Dalsze penetrowanie puszczy trzeba było odłożyć na później. Kamyk nie chciał więcej narażać zdrowia i życia towarzyszy nawet z powodu nakazów Bogini. Powinna zrozumieć, że muszą wrócić w Góry Zwierciadlane, gdzie na chorego Bestiara czekał przyjazny dom i poślanie wygodniejsze niż stos liści przykryty derką. Czas nie sprzyjał podróży. Pozbierali swój skromny bagaż. Kamyk zszedł ze wzgórza, by rozpuścić konie, które zostały po pechowych rabusiach.

— Trochę czuję się winny — rzekł Winograd słabym głosem. — Mało zdążyliśmy zobaczyć, a kraj wydaje się piękny i ciekawy. Przepraszam, nie powinienem się sam oddalać. Powinienem pomyśleć, że tu nie jest bezpiecznie.

— Bałwany! Łby drewniane! — zasyczał nagle Promień. — Kto ostatnio przeczesywał okolicę?

— Co...? — zająknął się Stalowy.

— Tubylec twierdził, że to nie była całość bandy. Drugie tyle w każdej chwili może się tu zjawić. A my tu tracimy czas i pętamy się jak zagubione dzieci!

Koniec przerwał mu gestem gniewną tyradę. Na jego krągłą twarz wypłynął wyraz niepokoju, który po chwili zmienił się w lęk.

— Zaraza... — jęknął. — Są już w parowie z końmi.

— Uciekajmy! — pisnął Myszka.

— Nie ma czasu. Matko... Kamyk jest na dole! Oby ich zobaczył i zdążył się ukryć!

— Koniec, uprzedź go! Do ruin! Szybko! A potem zobaczymy — rozkazał Promień. — Baby jesteście? Nie poradzicie sobie?

Po raz pierwszy wszyscy posłuchali Promienia bez najmniejszego sprzeciwu. Popękany mur dawał choć złudzenie ochrony i skryje ich przed obcym wzrokiem przynajmniej przez parę minut.

— Ja już nie chcę nikogo zabijać! — jęknął cichutko Wężownik.

— Chyba nie mamy dużego wyboru — szepnął ponuro Iskra.

\* \* \*

Koret zdecydował się powrócić w okolice starej strażnicy. Oczywiście nie sam. Towarzyszyło mu sześciu zbrojnych. El odczuwał pewne wyrzuty sumienia, że znów pozbawił osadę wartościowych mężczyzn, którzy mieli obowiązek bronić mieszkańców, a nie jego osobiście. Tym razem jednak byli uprzedzeni, że w lesie zagnieździł się grasanci. Poprzednia tragedia nie miała prawa się powtórzyć. Poza tym el miał niejasne przeczucie, że chyba nie spotkają już nikogo ze znajomków Gardzieli. Potęga lengorchiańskiej magii była wręcz oszałamiająca. Szesnastu zbirów zostało rozgromionych przez sześciu... nie, pięciu wyrostków w niewiarygodnie krótkim czasie i bez strat własnych (jeśli nie liczyć ранego Fail'essa). Cóż im więc mogło stanąć na drodze?

— A jak ich już tam nie ma? — spytał półgębkiem zbrojny imieniem Hazar jadący bok w bok z elem.

— Tym lepiej. Mniej kłopotów — odparł Koret.

— A jak są?

— To spytamy grzecznie, czy sprowadzili się na stałe i co sobie myśli ich cesarz, że łamie porozumienia.

Hazar wypuścił powietrze z sykiem. Oczy biegały mu na wszystkie strony, gdy wypatrywał niebezpieczeństwa wśród zarośli wyzłoconych jesienią.

— Niedaleko już — mruknął.

Strzała musnęła niemal jego włosy, wbiła się w pień buka. Jeździec błyskawicznie ściągnął wodze i zsunął się z siodła jak zdmuchnięty. Równie szybko reszta miniaturowej drużyny poszukała schronienia za drzewami i końskimi grzbietami. Koret ostrożnie spojrzął zza pnia — pióra strzały ufarbowano na czerwono, grot sporządzono z błyszczącej stali. Bandytów nie było stać na takie zbytki. Koret odetchnął głęboko i zawołał:

— Hej! Czarodzieju! Jesteś tam?

Przez chwilę panowała cisza.

— Mówi się „magu”! — rozległa się odpowiedź.

— Czemu chciałeś zabić mojego człowieka?

— Jakbym chciał go zabić, to już by nie żył — odparł mag lodowato.

— Ale to nie jest odpowiednie powitanie.

— A po co wróciłeś? Po łańcuszek? — w głosie strzelca zabrzmiała drwina.

— Mogę wyjść? — spytał Koret. — Czy mnie zamordujesz? Chcę tylko porozmawiać.

Nie doczekał się odpowiedzi, więc zaryzykował i powoli wynurzył się z kryjówki, a potem dał znak podwładnym, by zrobili to samo. Dopiero wtedy spomiędzy konarów najbliższego drzewa zsunął się lengorchiański łucznik.

El wyciągnął jego strzałę z drewna.

— Ładna rzecz — ocenił, podając ją chłopcu. — Dobrze zrobiona.



— Czego chcesz? — spytał sucho tamten.

— Dowiedzieć się, jak zdrowie rannego. I jak długo macie zamiar pozostawać na mojej ziemi.

Mag zmierzył ela spojrzeniem od góry do dołu. Koret prezentował się znacznie korzystniej niż poprzednio, w najlepszym ubraniu, starannie ogolony i uczesany.

— A więc to jest twoja dziedzina? Te trochę drzew, błota i ruin?

— Skromne, ale własne — odparł Koret. — Nie każdy, kogo zastaje się w niewoli, jest niewolnikiem z urodzenia. Mam swoją ziemię, swoich ludzi i obowiązki, by wiedzieć, co się dzieje na moim terenie. Na przykład na tym pagórku.

— Możesz się nie martwić. Pagórek nie istnieje, a my się właśnie wynosimy. Nie zaczepiaj nas, a my damy wam spokój.

Mag miał zamiar odejść, lecz Koret zatrzymał go.

— Jak to: pagórek nie istnieje?

Chłopak wzruszył ramionami.

— Chcesz zobaczyć? To chodź. Tylko sam. Oni tam są trochę zdenerwowani.

— Mogę wziąć jednego człowieka?

Mag skinął ręką, by podążyć za nim.

Wzgórze nie istnieje? Koret zachodził w głowę, co też to mogło znaczyć. Jednak dopiero wtedy, gdy razem z przybocznym wdrapali się stromą ścieżką prawie na szczyt, przekonał się na własne oczy, że Podpalacz mówił całkiem dosłownie. Obozowisko nie istniało. Dwaj Ogorantczycy, nie wierząc własnym oczom, rozglądali się w osłupieniu. Pod nogami mieli twardą, równą jak stół płaszczyznę. Zupełnie jakby wierzchołek wzgórza został ścięty jednym poprzecznym ciosem gigantycznego miecza. Hazar przykłęknął i ciekawie przesunął dłońią po ziemi.

— O Kamienny Panie. . . Popatrz tylko!

Koret rzucił okiem, po czym ze zdumieniem wziął z ręki towarzysza niewielki kamień — z jednej strony był nierówny, pokryty ziemią, a z drugiej zupełnie płaski i lśniący, jakby przepołowiono go, a potem wypolerowano. El zorientował się, że w ziemi tkwi pełno takich kamieni, dużych i małych. Wyglądała jak świąteczne ciasto z owocami, przekrojone ostrym nożem.

— Robi wrażenie, co? — odezwał się Podpalacz.

— Co tu się stało?

— Ci, o których mówiłeś, przyszli wczoraj i w dużej liczbie. Na własne nieszczęście.

— Gdzie są teraz. . . ? — spytał Koret prawie bez tchu, choć domyślał się prawdy.

— Nigdzie — usłyszał w odpowiedzi. — Nie ma ich. Nie żyją.

Koret dojrzał kątem oka, jak Hazar ukradkiem robi kilka gestów odstraszaających złe duchy. Nieco go to zirytowało. Czarodzieje mimo wszystko nie byli demonami i takie zabobony w niczym nie pomagały, a mogły obrazić obecnych.

Zwłaszcza ci tutaj nie wyglądali na istoty z piekła. Wytwórca łańcuchów akurat wyczesywał włosy gęstym grzebieniem, pochylony nad gorącym popiołem z ogniska. Trudno o bardziej przyziemną czynność niż walka z wszami. Malutki czarodziej podszywał oberwany skraj płaszcza.. Reszta skupiła się wokół chorego Fail'essa, rozmawiając o czymś.

— Co z nim? — Koret stanął tuż obok.

Masywny jak dębowy pniak czarodziej podniósł na niego oczy, po czym rzekł dość poprawnym northlanem, choć z silnym obcym akcentem:

— Niedobrze jest. My musimy wracać. Tutaj nic nie ma. Nie ma jedzenia, domu... nic. Niedobrze dla niego.

Rzeczywiście, el ocenił, że młody „władca zwierząt” wygląda dużo gorzej. Twarz mu wychudła, długi nos zaostrzył się. Słyszając obcą mowę, otworzył oczy. Uśmiechnął się lekko, gdy rozpoznał Koreta, po czym powieki mu opadły, jakby nawet to było za dużym wysiłkiem. Wyglądał, jakby miał umrzeć lada chwila.

Koret jeszcze raz rozejrzał się. Z całego obozowiska ocalały tylko resztki wieży. Nawet najbliższe zarośla wyglądały, jakby przejechała po nich brzytwa.

— Jak to zrobiliście?

— To on. — Ogniowy mag wskazał palcem chłopaka z ciemną grzywą wpadającą nieporządnymi kosmykami do oczu. Siedział na ziemi, wspierając łokcie na kolanach, a twarz podpierając rękami, i ponuro gapił się w przestrzeń.

— On sam? — upewnił się Koret.

— Tak. Wystarczyło. Jak to po waszemu? Wędrowiec. Znika tu, pojawia się tam, albo przenosi różne rzeczy. Przeniósł bandytów.

— Gdzie? — nie rozumiał Koret.

— Nigdzie. Albo gdziekolwiek. Jak widać, razem z kawałem ziemi. Tego nie udało się uniknąć.

— Jeden starczyłby za armię — rzekł el, wstrząśnięty. Nagle zrozumiał, jakie możliwości kryły się w mocy nawet pojedynczego maga, i dostał gęsiej skórki na samą myśl o tym.

Jego rozmówca wzruszył ramionami.

— Chyba masz rację, ale jakoś nikt go do tej pory nie chciał wynająć.

— Za kosztowny?

— Nieee... — roześmiał się młody czarodziej. — Jakoś się nie składało. A co, chciałbyś go nająć do gwardii przybocznej? Chcesz, to spytam, ile brałby za tydzień.

Koret uśmiechnął się krzywo.

— Ba! Mnie nie stać, ale król pewnie by go obsypał złotem. Teraz, w czasie wojny, taki żołnierz byłby wart tyle, co zaważy.

Czarne oczy maga zwęziły się.

— Wojna? Jaka wojna?

— Jak to „jaka”? Na północnej granicy, z obcymi.

Okazało się, że przybysze są kompletnie niezorientowani w sytuacji politycznej Northlandu, co Koreta wprowadziło w osłupienie. Oddział potężnych czarodziejów, domniemanych szpiegów, szpica głównych sił lengorchiańskich — które według mieszkańców Bukowiny stały już u południowej granicy — okazała się nieco zagubioną gromadką silnych i zaradnych, ale... po prostu imigrantów. Ich zdziwienie na wieść o northlandzkiej wojnie było tak szczere, że Koret musiał wziąć pod uwagę, iż faktycznie nic o niej nie wiedzą.

— Gdzie wyście się uchowali?! — wybuchnął el. — Czego tu właściwie szukacie?

Zażenowane spojrzenia, wymieniane ukradkiem. Wzruszenia ramion.

— No cóż... czego szukamy? — rzekł z zastanowieniem ogniowy mag. — Chyba na razie dachu nad głową i jakiegoś zajęcia.

Popatrzył na Fail'essa i dodał:

— I dobrej opieki dla niego.

— Aaaachaaa... — powiedział bardzo powoli Koret. Hazar, który znał od lat wszystkie miny swego ela, konwulsyjnie przełknął ślinę. Ogarnęło go okropne przecucie.

\* \* \*

*Nazywają to miejsce Bukowiną lub Miastem Na Drzewach — całkiem słusznie. Nigdy przedtem nie widzieliśmy czegoś podobnego. Jest to niewiarygodny zupełnie twór, chyba niepowtarzalny w skali całego kraju. Obszar, jaki zajęłaby przeciętna wieś, został otoczony wysoką palisadą, lecz w środku pozostawiono wszystkie duże drzewa — w przeważającej części owe słynne ogoranckie buki o srebrzystej korze. Ich konary posłużyły za podstawę napowietrznych chat o ścianach wyplatanych z wikliny i łyka, pokrywanych dodatkowo dużymi płatami kory. Podłogi są solidnymi tratwami z grubych kantówek. Dachy za to podtrzymuje przedziwna konstrukcja, złożona częściowo z żywych gałęzi, a częściowo z powiązanych drągów, starannie dobieranych. Całość pokryta jest starą, pocziwą trzcina, jak u nas w domu. Nadrzewne domki przypominają gniazda wyplatane przez myszy na źdźbłach wysokiej trawy. Wpasowane są między gałęzie dostosowane wielkością i kształtem do otoczenia — daleko im do eleganckiej geometryczności. Między poszczególnymi drzewami porozciągano wiszące mostki z lin i deszczulek, drabinki sznurowe oraz zwykłe grube powrozy z węzłami do wspinania. Mieszkańcy są niewiarygodnie sprawni w poruszaniu się tymi drogami. Na ziemi widują tylko kobiety w mocno widocznej ciąży i bardzo małe dzieci. Śmiałkowie przefruwają z drzewa na drzewo na linach, zawsze nieomylnie trafiając stopami na wybrany konar. Po drzewach poruszają się wszyscy, bez względu na płeć. Ubiór kobiecy dostosowany jest do takiego życia — zamiast sukien żeńska część tej społeczności nosi rodzaj specjalnych krótkich tunik, spinanych na ramionach ozdobnymi*

broszami, a pod nimi luźne spodnie. Koniec twierdzi, że mieszkańcy sami siebie nazywają „wiewiórkami”, co wydało nam się bardzo trafne.

Oczywiście w tych leciutkich siedzibach „wiewiórczych” łatwo zaproszyć ogień, więc do gotowania służą naziemne kuchnie starannie wymurowane z kamieni, zadaszone i osłonięte przed niepogodą. Tam kobiety przyrządzają posiłki od wiosny aż do jesieni, kiedy to wszyscy przenoszą się do ciepłych, zimowych siedzib, wyrytych w gruncie. Te z kolei przypominają mrówcze kopce z pojedynczym wejściem i dymnikiem. W ciepłe miesiące służą za magazyny, a zimą za sypialnie „wiewiórek”. Przy czym w środku zupełnie nie przypominają prymitywnych nor, jakich można by się spodziewać. Są to obszernie, dwu- i trójizbowe domy o ścianach wyłożonych pachnącym drewnem, zabezpieczonych przed osuwaniem się ziemi. Podłogi wysypywane są zwykle żółtym piaskiem rzeczonym, dla czystości i dla ochrony przed węgielkami czasem wypadającymi z paleniska. Wszystkie sprzęty robi się z drewna, także talerze, miski, kubki i temu podobne rzeczy, choć widziałem także gliniane naczynia — bardzo ładne, malowane w różne geometryczne wzory i zwierzątka. Tutejszy naród lubi otaczać się pięknymi rzeczami. Rzemiosło ceni się bardzo wysoko. Wszyscy strugają w drewnie, ale jest też warsztat snycerski z prawdziwego zdarzenia, garbarnia i kuźnia. Kowal pracuje głównie w spiżu, bo dobrej stali jest bardzo mało i przeznaczają ją przede wszystkim na narzędzia, noże myśliwskie oraz krótkie, proste miecze.

Muszę napisać jeszcze, że Bukowina to coś więcej niż tylko osada zagubiona w przepastnych lasach. Według praw tutejszych do „wiewiórek” należy cały szmat ziemi, łącznie z pobliskim jeziorem, gdzie łowią ryby. Jest to całkiem spory obszar, a nazywają go eliga. Nie orientuję się, jak duży, ale nie da się go w jeden dzień pokonać w poprzek, nawet konno. Nasz były więzień, któremu na imię Koret, jest tu elem, czyli czymś w rodzaju namiestnika. Nie możemy dokładnie pojąć, na jakich zasadach przewodzi. Przejął stanowisko po ojcu, jednak wcale nie jest pewne, że pozostawi je synowi. Ziemia należy do niego, a zarazem nie należy. Nie jest baronem, a już na pewno nie księciem. Ma posłuch i szacunek u wszystkich, lecz nie widać, żeby był bogatszy od innych. Bukowina podlega królowi Northlandu i opłaca mu podatki, ale król nie może odwołać ela i ustanowić innego. Z drugiej strony właśnie z powodu zaciągów wojennych we właściwym Northlandzie z Bukowiny poszło „pod blachy” (tak tu się mówi) pięćdziesięciu mężczyzn zdolnych do noszenia broni. Wojna sprzyjała za to spływanii do Ogorantu rozmaitych pomysłów ludzkich i w ten sposób osada straciła następnych ludzi, zabitych przez bandę Gardzieli. Razem z Koretem zostało dwunastu dorosłych do obrony leśnego miasta (bo podrostków oraz starców liczyć raczej nie można) i el chyba potraktował nas jako cudowny podarunek Losu. Tyle dowiedziałem się okrężną drogą od Końca, a on od Promienia i bezpośrednio od ela. Mam nadzieję, że niczego nie pomyliłem. Potem poproszę Iskrę o korektę.

*Dostaliśmy dwie ziemianki pozostałe po samotnych myśliwych. Jeden poszedł na wojnę, drugi zginął w potyczce z bandytami. Przytulnie tu. W porównaniu z nędznym wegetowaniem na zbójeckim wzgórzu to wręcz pałace. Wreszcie mogliśmy porządnie się wykapać. W szatach, mimo sprzątań, było brudno i wszyscy złapaliśmy pchły. Obrzydliwe!*

*Gdyby jeszcze Winograd poczuł się lepiej, nie brakowałoby nam niczego.*

\* \* \*

Ludzie z Miasta Na Drzewach oglądali się za Promieniem i sprawiało to, że czuł się dość nieswojo. Zdążył przywyknąć, że w swoim sfatygowanym stroju myśliwego wtapia się w tło, a tu każda twarz obracała się ku niemu, jak korona kwiatu do słońca. Był nowym zjawiskiem, więc wzbudzał ciekawość — to dotyczyło zresztą każdego z Lengorijenów. Iskra pomyślał, że tubylcy mają niepokojącą manierę wymawiania tego słowa. W ich ustach gwarowe określenie narodowości Promienia brzmiało jak nazwa jakiegoś gatunku małpy. „Lengorijen” było zresztą i tak lepszym słowem niż na przykład: „Podpalacz”. Promień raz jeden posłyszał ten obelżywy epitet — rzucony lekko, jakby stanowił całkiem normalne miano, ale i tak włosy podnosiły mu się na karku z irytacji na samo wspomnienie.

Na szczęście Wiewiórki rzadko rozmawiały między sobą o magii i magach. Pierwszym poleceniem, które wydał el Koret natychmiast po decyzji zaproszenia Lengorchian do Bukowiny, było zatajenie ich profesji. Wszyscy ludzie towarzyszący elowi w jeździe do starej strażnicy mieli trzymać bezwzględnie język za zębami. Wprowadzenie do Miasta Na Drzewach grupy obcych było wystarczającym wstrząsem dla małej społeczności. Rozgłoszenie, że i przybysze dysponują nadprzyrodzonymi mocami, mogłoby doprowadzić nawet do zamieszek. Tak więc tylko kilka osób, łącznie z żoną ela, znało prawdziwą tożsamość Lengorijenów, a sami przybysze nie mieli zamiaru afiszować się ze swymi talentami.

Promień doszedł na skraj osiedla, aż pod palisadę. Jego uwagę zwrócił charakterystyczny świst zwalnianej cięciwy i puknięcie grotu strzały wbijającej się w drewno. Za przesłoną z pni i plecionego chruścianego płotka migwały zielone i brązowe kubraki, słychać było co chwila przekomarzanki oraz odgłosy, które świadczyły nieomylnie, że strzelano tam z łuku. Na drewnianej ścianie, palisady zawieszono tarczę z jasnej kory, na której wymalowano kontury rozmaitych zwierząt — dużego niedźwiedzia, wilka, lisa, małego zająca i wielu całkiem już malutkich postaci ptaków, jeży oraz myszy. Tarcza poznaczona była ospą drobnych skaleczeń od celnych trafień. Nie więcej jak dziesięć kroków przed nią stała gromadka dzieciarni obu płci, na oko w wieku od lat ośmiu do dziesięciu. Każdego malca wyposażono w mały łuk dziecięcy, który był niczym więcej niż giętką listwą ze sznurkiem. Mimo to każdy małećni łucznik z pietyzmem naciągał ów

instrument, z większym lub mniejszym powodzeniem wysyłając pociski w stronę niedalekiego celu. Opiekę nad dziećmi sprawował młody chłopak, który wciąż jeszcze nie pozbył się miękkiego, dziecinnego obrysu twarzy i szczupłości ramion, choć wzrostem wybujał wysoko. Właśnie układał cierpliwie ramię dziewczynki o krągłej buzi obsypanej żółtymi cętkami piegów.

— Wyżej łokieć, Laisa. Wyżej. Do nosa naciągaj, nie do ucha.

— Boli mnie ręka! — pisnęła dziewczynka.

— Nie mazgaj się. No... teraz.

Dziecko zwołniało cięciwę, ale strzała całkowicie minęła się z celem. Ktoś z tytu zagwizdał w opadającej tonacji, wyrażając lekceważenie. Zawstydzona Laisa polizała otarte palce i wycofała się.

— Vink, pokażesz, że umiesz gwizdać, to pokaż, że umiesz też strzelać — odezwał się starszy łucznik, bezbłędnie wyławiając z gromadki niesfornego chłopca.

Vinkowi jednak powiodło się niewiele lepiej. Jego strzała trafiła w sam skraj tarczy, odłupując kawałek kory, a i ten połowiczny sukces należało złożyć raczej na karb przypadku. Następne próby były równie nieudane. Promień zasyczał pogardliwie, obserwując te zmagania, czym wreszcie zwrócił na siebie uwagę.

— To tylko dzieciaki — odezwał się chłopak z irytacją. — Nie zawadzaj. Idź stąd.

— Jak zechcę — odparł Promień przekornie. — Może nauczyciel jest niedobry?

— Lepszego nie ma — odgryzł się tamten. — Mogę i ciebie pouczyć, hako-nosy.

— Chyba na odwrót.

— Pokaż mu, Rijen, pokaż! — wyrwał się zuchowaty chłopczyk, ciągnąc swego nauczyciela za skraj tuniki.

— Właśnie. Dlaczego nie? Katujesz dzieciaki, a sam nie używasz tej zabawki. Pochwal się, jeśli masz czym — poparł dziecko Promień, wskazując na duży łuk myśliwski, oparty o drzewo.

— A ty masz czym?

— A mam, żebyś wiedział — rzekł Promień zaczepnie. Tubylczy strzelec był mu obojętny, ale Iskra nudził się i w spodziewanym pojedynku łuczniczym upatrywał niejakiej rozrywki.

Kiedy wrócił z własnym łukiem, jego przeciwnik przymierzał się na sucho do swojego. Stanęli obok siebie, Promień za przykładem sąsiada wbił pięć strzał w ziemię przed sobą. Dostrzegł, że chłopak zezuje na jego eleganckie strzały o stalowych grotach i lotkach farbowanych na czerwono. Pociski tamtego były znacznie skromniejsze — miały szpice z oszlifowanych kości. Podniecone dzieci tłoczyły się za plecami i po bokach rywali.

— Będziemy strzelać do tych zwierzątek? — spytał Promień. — To niepoważne. I to z tak bliska?

W odpowiedzi chłopak zwany Rijenem naciągnął cięciwę i strzelił, prawie nie celując. Jednocześnie rzekł:

— Dolna mysz.

Rzeczywiście, strzała utkwiała w samym środku tułowia myszy, narysowanej u dołu tarczy. Promień nie mógł być gorszy.

— A ja myślałem. . . o czymś mniejszym.

Pocisk Iskry wbił się w kontur sąsiedniego zwierzątka.

— Oko — powiedział tylko Rijen i posłał swoją strzałę tuż obok, w głowę malowanej myszki.

Promień zagryzł wargę. Trudno było pokazać coś lepszego w takich warunkach. Wycelował starannie. Wolno napinana cięciwa dotknęła czubka nosa. Ta chwila była niesformułowaną modlitwą. Wstrzymał oddech, zaczekał, aż opadnie nitka na łączyisku wskazująca kierunek podmuchów wiatru. Wtedy rozprostował palce. Grot strzały o czerwonych lotkach uderzył w tył swej poprzedniczki, odłupał od niej długą drzazgę i utkwił w celu.

— Wygrałem — stwierdził mag z zadowoleniem.

Rijen odwrócił do niego rozwścieczoną twarz.

— Zniszczyłeś mi strzałę! Myślisz, że one na drzewach rosną?

— A nie? — zakpił Promień. — Zwłaszcza twoje na to wyglądają.

Natychmiast jednak dodał pojednawczo:

— Możesz wziąć moją w zamian. I tak na tym zyskasz.

Rijen przez moment wyglądał tak, jakby chciał powiedzieć, że Promień ma sobie wsadzić swoją łaskę w tradycyjne miejsce, ale najwidoczniej przełknął zniechęcenie i rozmyślił się. Zamiast tego zaproponował:

— Jak jesteś taki hojny, hakonosie, to może założymy się o coś?

— O co?

— Może o twój śliczny łuk?

— Po moim trupie — odparł Promień lodowato. Piękny, leciutki łuk kompozytowy — klejony z wielu warstw drewna cienkich jak pergamin i równie cienkich, lecz niewiarygodnie wytrzymałych i elastycznych wstęp wytworzonych ze zwierzęcych ścięgien — był prawdopodobnie wart więcej niż cała eliga Koreta. Ten łuk był też ostatnią rzeczą, jaka łączyła Promienia z luksusowym życiem w posiadłości Brin-ta-ena oraz jedynym przedmiotem, do którego był naprawdę przywiązany.

— Zresztą, ty raczej nie masz niczego równej wartości — dodał Iskra oschle, tanio wyceniając zarówno ubiór, jak i broń rywala.

— Zatem „w ciemno” — zaproponował tamten. — Z zaznaczeniem, że nie wolno upokarzać pokonanego.

— Może być — zgodził się Promień. — Już się boisz?

Trudno było wymyślić na poczekaniu zadanie godne dwóch wytrawnych łucz-  
ników. Tarcza do ćwiczeń nie była dla nich wyzwaniem w najmniejszym stopniu.  
W obrębie Miasta Na Drzewach nie wolno było strzelać na dalsze dystanse ze  
względu na brak miejsca i niebezpieczeństwo wypadku. Przenieśli się więc poza  
palisadę, gdzie pas wykarczowanej przestrzeni oddzielał osadę od ściany lasu, za-  
bezpieczając ją przynajmniej częściowo przed groźbą pożaru. Płat białej kory jako  
zaimprovizowany cel zawisł na rudym pniu sosnowym. Promień i Rijen strzelali  
z trzydziestu kroków, potem z czterdziestu i pięćdziesięciu. Podniecone Wiewió-  
reczki obserwowały ich, siedząc na szczycie ostrokołu. Jednak po kilku zmianach,  
kiedy groty stukały z nużącą regularnością wprost w środek tarczy, gromadka wi-  
dzów przerzedziła się.

— To już nudne — rzekł nagle Rijen, opuszczając łuk. — Możemy tak szyć,  
aż zejdzie nam skóra z ręki.

Zanim Promień zdążył się odezwać, Ogorantczyk zawołał pierwsze z brzegu  
dziecko. Pouczony odpowiednio malec wdrapał się z łatwością na sosnę i zaczął  
o gałąź długi sznurek, na końcu którego Rijen przywiązał zdjętą z własnego palca  
obrączkę. Ozdoba kołysała się w pewnej odległości przed tarczą.

— Po jednym strzale z trzydziestu, hakonosy — rzekł Rijen. — Kto przyszpili  
to do tarczy, ten wygra.

Promień zmrużył oczy. Cienką obrączkę było ledwo widać z tej odległości.  
Rozluźnił ramiona, po czym stanął w pozycji. Celował długą chwilę, oddychając  
spokojnie i obserwując wahnięcia pierścienia na sznurku. Wiatr wychylił cel. Pro-  
mień wybrał moment, w którym według niego wracająca obrączka i grot strzały  
powinny się spotkać. Brzęknęła zwolniona cięciwa. Pierścionek zawirował, tań-  
cząc na końcu sznureczka, ale został na swoim miejscu. Strzała musiała jedynie  
go musnąć.

— E tam, tobie też się nie uda — powiedział Promień, ustępując miejsca ry-  
walowi. Ten nie odpowiedział. Cekał, aż ozdoba przestanie szaleńczo tańczyć  
w powietrzu, po czym starannie wymierzył i wypatrywał, podobnie jak Promień,  
dogodnego momentu. Mag obserwował go spod oka, zastanawiając się nad wyglą-  
dem swojego przeciwnika. Nie był w stanie określić, ile tamten właściwie ma lat.  
Rijen był wyższy od Promienia, ale na jego twarzy nie widać było śladu zarostu.  
Głos chłopca nadal miał nijakie brzmienie okresu między chłopięctwem a doro-  
słością. Lekko zadarty nos nadawał mu zawadiacki wygląd, podobnie jak brązowe  
nastroszone włosy, byle jak obcięte na wysokości ucha i przewiązane rzemienną  
plecionką. Szare oczy wpatrywały się w dal bez mrugnięcia, nieruchome w tej  
chwili jak ślepiec ryby.

Cięciwa świsnęła nagle, Promień błyskawicznie spojrzął w stronę tarczy...  
skrzywił się kwaśno. Strzała Rijena przeszła przez środek obrączki i wbiła się  
w górną część tarczy.

— Jesteś mi winien przysługę — powiedział zwycięzca z zadowoleniem.



— Jaka?

— Zastanowię się — odparł Rijen. — Takich zobowiązań nie marnuje się na głupstwa, hakonosy.

— Mam na imię Promień — warknął Iskra.

— Promyczek? Z takim czymś pośrodku twarzy? — zakpił tamten. — Zupełnie nie pasuje.

Promień, zły, odwrócił się na pięcie i ruszył w drogę powrotną. Ukradkiem pomacał nos. Co złego jest w jego nosie, do czarnej zarazy? Wszyscy z linii Brin-ta-ena takie mają: wąskie, o grzbiecie schodzącym w dół łagodnym łukiem. Przyrównywano tę rodową spuściznę do sokolego dzioba, ale nigdy do haka. Jakie to prostackie! Promień spróbował określić stopień własnego niezadowolenia i doszedł do wniosku, nieco tym nawet zdziwiony, że właściwie niewiele obchodzi go przegrana. Rijen był tak dobry, że nie było wstyd z nim przegrać. Niech się cieszy ten mizerak, co sam sobie musi rzeźbić kościane grociki. Przynajmniej tyle będzie miał z życia — satysfakcję.

W osadzie panował zwykły pracowity ruch. Głównie zajmowano się przenoszeniem wyposażenia z nadrzewnych siedzib do wnętrza ziemianek, gdyż robiło się coraz zimniej i czas był po temu najwyższy. Nawet teraz, choć dzień oceniano jako pogodny, jak na tę porę roku oczywiście, lekki wiatr rwał siwe chmury nad lasem, a słońce jakby z wysiłkiem słało przez dziury swe złote promienie. Jakaś kobieta skończyła doić pstrokatą kozę. Napelniwszy dzbanek, resztę mleka ze skopka przelała do miseczki, którą postawiła pod drzewem, i zaczęła nawoływać monotonie:

— Jokjokjokjokjok... jokjokjokjokjok...

Promień zatrzymał się jak wryty, prawie zapominając o niedawnych zawodach. Nie wiadomo skąd, nagle, zaczęły zbiegać się do mleka małe, puchate zwierzaki. Wyłaniały się spomiędzy zarośli, ześlizgiwały z pni, wyskakiwały z rozmaitych zakamarków. Było ich chyba ze dwadzieścia. Tłoczyły się wokół miski, przepychały, chłepcąc głośno. Jakiś awanturnik wspiał się na tylne łapy, by wydać się większym, nastroszył ogon i groził rywalowi zębami, pokrzykując „jo-k... jo-k”! Zupełnie jakby przedrzeźniał gospodynię. Promień przyglądał się, urzeczonny. Różnokolorowe futerka — czarne jak węgiel, rdzawe, żółtawe niczym siarka, w łatki i prążki — tworzyły ruchliwy dywanik. Dopiero gdy miska pokazała dno, biesiadnicy zaczęli się rozchodzić, oblizując z zadowoleniem wąsy.

— Co to za zwierzaczki? — zapytał ciekawie Promień.

— Joki — odrzekła po prostu kobieta, która z sympatią przyglądała się, jak znika jej poczęstunek. — Myszy łapia.

— Myszy? — Dopiero teraz Promień uświadomił sobie, że od dawna nie widział żadnego kota. W górach królowały hajgońskie pantery, a zwyczajne kiciusie najwyraźniej wołały ciepłą, zasobną Lengorchię.

— A tak, myszy tu takie mrowie, żeby nas ze szczętem pożarły, jakby nie joki. Orzechów pilnują, ziarna, rzepy i co tam jeszcze mamy. A mleko lubią, to zawsze trochę im się zostawi. Obłaskawione takie, że i do ręki idą jak psy. Oj, biedaku ty mój, a co tobie?

Ostatnie słowa poczciwa niewiasta skierowała do spóźnionego amatora mleka. Kulejąc mocno na tylną łapę, dopiero teraz pojawił się koło miski i węszył smutno po wylizanym dnie, na próżno szukając choćby przeoczonej kropelki. Umaszczenie spóźnialskiego stanowiło wariację na temat wszystkich barw jesienno-łaskawego lasu — rozbryzgi pstrokatych łątek: brązowych, rudych, czarnych i ciemnożółtych.

Promień przykucnął, przyglądając się bliżej ranie. Przedstawiała się paskudnie — jakiś większy drapieznik odgryzł jokowi wszystkie palce wraz ze sporą częścią stopy. Nie krwawiła już, ale zwierzę zostało poważnie okaleczone, więc raczej nie miało szans na długie życie. Jeśli nawet nie padnie czymś łupem, umrze z głodu, nie mogąc polować, a nawet zdążyć na mleczny poczęstunek przed silniejszymi i bardziej łakomymi pobratymcami.

Łucznicze rękawice Promienia były tam, gdzie zwykle — zwinięte w kłębek, wetknięte do kołczana. Chłopiec włożył je teraz, z zamiarem schwywania zwierzątk. Jok dał się złapać z łatwością, ale — jak się można było spodziewać — natychmiast wykręcił giętkie ciało w ludzkich dłoniach i wbił ostre ząbki w palec Iskry. Na szczęście skóra rękawiczki była wystarczająco gruba. Gęste futerko joka dawało mylne wyobrażenie o jego wymiarach. Pod grubą sierścią Promień wyczuwał zadziwiająco szczupłe, sprężyste ciało. Jok puścił jego palec, ponowił próbę ucieczki i wbił ze złością zęby — tym razem w mankiet. Z pyszczkiem wypełnionym całkowicie fałdem skóry warczał, całkiem jakby ktoś szybko przeciągał kijem po drewnianych sztachetach.

— Ty wredny potworku — powiedział Promień niemal z czułością.

Od pierwszej chwili, gdy tylko ujrzał gromadę przepychających się, depczących po sobie joków, przypomniał sobie sen, który miał dwa dni temu u stóp zrujnowanej strażnicy. Już wiedział, że Ona jednak potraktowała poważnie jego niezdarne modlitwy. Zwierzak ze snu był jokiem, a ten łaciaty stworek z pewnością miał przypaść Winogradowi w miejsce utraconego psa. Promień był o tym absolutnie przekonany. Trzymając w obu rękach nastroszoną kulę futra, skierował się do ziemianki zajmowanej przez Kamyka, Końca i Winograda.

\* \* \*

W ziemiankach nie było okien. Wnętrze oświetlały łojuówki. W powietrzu unosił się przykry swąd spalonego tłuszczu. Promień pomyślał mimochodem, że powinni postarać się o porządne świece woskowe lub delikatny olej do lamp, jaki w Lengorchii tłoczono ze słonecznika i włoknicy. Jok na jego rękach uspokoił się

tymczasem. Nie wyrywał się już i nie hurkotał. Owinął się wokół jego przegubu, przeżuwając kawałek rękawicy.

— Zastanawia mnie, dlaczego w Lengorchii nie słyszeliśmy o wojnie w Northlandzie — usłyszał głos Winograda.

Bestiar tym razem nie spał, jak to zdarzało mu się ostatnio coraz częściej. Siedział na łożku, oparty o wysoki stos podglówek i poskładanych futer. Marne oświetlenie sprawiało, że wyglądał jeszcze gorzej. Zawsze bardzo szczupły — teraz przypominał obciągnięty skórą szkielet. Jego wychudłe ręce spoczywały bezwładnie na derce.

— Może dlatego, że tam nikogo ona nie obchodzi? — wyraził przypuszczenie Koniec siedzący przy postaniu chorego.

— Jak może nikogo nie obchodzić śmierć i zabijanie? — powiedział Winograd z przygnębieniem.

— Ludzi interesują tylko własne sprawy — wtrącił się Promień. — Czy ciebie na przykład obchodzi w tej chwili, co się dzieje nad oceanem? Gada się zwykle o handlu, o kobietach...

— O pieniądzach... — uzupełnił Koniec. — Albo się narzeka na podatki. Jak coś jest daleko, to tego nie ma. I tyle.

— Coś w tym jest — rzekł Promień. — Może o northlandzkiej wojnie rozmawia się w Pałacu Tysiąca Komnat albo w Kręgu, ale czy ona ma jakiś wpływ na interesy szynkarza z Sitowego? Żadnego. Więc nikt nie zawraca sobie tym głowy.

— A my jesteśmy niedoinformowani — podsumował Koniec. — Co ty tam masz? — zainteresował się.

— To się nazywa jok. Dla ciebie, Winograd. Zamiast szczura. — Promień próbował położyć joka Bestiarowi na podołku, ale zwierzak nie zwolnił chwytu i zawisł w powietrzu niczym kosmaty owoc. Chłopiec musiał najpierw wyjąć z rękawicy dłoń. Jok przycupnął na kolanach Winograda, łypiąc nieufnie ciemnymi ślepkami. Twarz Bestiara wykrzywił nagły skurcz. Cofnął ręce, jakby bał się ugryzienia.

— Nnie... nie chcę. Za... zabierz to — wyjąkał.

Promień nie oczekiwał takiej reakcji. Był pewien, że Winograd ucieszy się, a tu spotkało go rozczarowanie.

— Co ja znów zrobiłem źle? — spytał z rozgoryczeniem.

Winograd podniósł na niego podkrążone oczy.

— Nic. Ja... ja po prostu nie chcę już żadnych zwierząt.

— Przecież jesteś Bestiarem. Bestiarowie żyją ze zwierzakami. Zawsze tak było.

— Nieważne. Czy zawsze muszę podporządkowywać się talentowi? Ciągłe kręca się koło mnie jakieś żałosne stworzenia, ciągle cierpią, ciągle giną...! Mam tego dość! Już nie mogę... nie chcę! Robisz mi na złość?! — Winograd prawie krzyczał.

Zwinął się w kłębek i nakrył kocami z głową. Odrażony jok ześliznął się na skraj łóżka. Wypluł rękawicę, z niepokojem węszył w powietrzu, po czym wcisnął się w kącik koło belki wzmacniającej ścianę i zaczął lizać ranną łapę. Cisza, jaka nastąpiła, była wręcz namacalna. Po dłuższej chwili przerwał ją Promień.

— Winograd. . . Zastanawia mnie jedna rzecz. Umierasz z powodu psa i szczura, a co z ludźmi? Tak mi kiedyś powiedział Wiatr Na Szczycie: „Co z ludźmi?”. Nie szalałeś tak, kiedy byliśmy martwi — Kamyk, ja i Myszka. Nie próbowałeś się wtedy zabić z rozpaczy. Wygląda na to, że pies jest ważniejszy ode mnie. Winograd. . . mnie to po prostu obraża. A jak już chcesz zejść z tego świata, to zrób to jak mężczyzna. Padnij na miecz albo się powieś i nie absorbuj swoją osobą wszystkich dokoła.

Po tych słowach Promień wyszedł, z premedytacją trzaskając drzwiami.

Koniec już otwierał usta, lecz rozmyślił się i nie powiedział ani słówka. Wpaływał się w pagórek z pledów, pod którymi krył się Bestiar, lecz ten nie odzywał się, nadal trwając bez ruchu. Wreszcie Koniec wyniósł się po cichu, zostawiając chorego samego z własnymi myślami. Promień wygarnął Winogradowi wiele bardzo niemiłych rzeczy, ale może ów szok wyrwie go z marazmu i beznadziei. Przynajmniej taką cichą nadzieję miał Mówca.

\* \* \*

Winograd czuł się upokorzony. „Zrób to jak mężczyzna. . . nie absorbuj sobą całego otoczenia. . .”. Najgorsze, że Promień miał rację, choć wypowiedział ją tak brutalnie. Winograd zdawał sobie sprawę, że jest znacznym obciążeniem dla współtowarzyszy, choć do tej pory starał się odsuwać od siebie to zawstydzające odczucie. Wszyscy tak bardzo troszczyli się o niego. Nawet Promień starał się być pomocny, a on potraktował go źle i niesprawiedliwie. Słusznie należały mu się te ostre słowa — sam to przyznawał przed sobą, choć nie miał pewności, czy starczy mu hartu ducha, by powiedzieć to głośno Iskrze i poprosić o wybaczenie. Winograd wiedział, że Promień był najmniej lubiany w ich małej gromadce. A teraz z nieprzyjemną wyrazistością uświadomił sobie, że właściwie nie ma ku temu szczególnych powodów. Każdy z chłopców miał swoje wady, ale przewinny Promienia zawsze liczono jakby podwójnie. Gryf był równie pyskаты, często na granicy złości. Stalowy wcale mu nie ustępował, na dodatek dając pokazy nieprawdopodobnej wprost lekkomyślności. Ale jedynie w słowach i czynach młodego Mistrza Iskier zawsze doszukiwano się ukrytych podtekstów. Nigdy nie wierzono do końca w jego szczerłość i nie ufano tak absolutnie, jak na przykład Kamykowi czy Końcowi. A to nie było bynajmniej sprawiedliwe.

Winograd wysunął głowę spod koców, poszukał wzrokiem przyniesionego przez Promienia zwierzątka. Kosmaty przybysz przysiadł na skraju posłania i starannie wylizywał zranioną kończynę. Wyczuł nieznaczny ruch chłopca, przerwał

swe zajęcie i węszył, wyciągając w jego stronę podłużny, uszaty łebek. Pęki białych, długich wibrysów drżały w powietrzu. Z czystego przyzwyczajenia Winograd sięgnął do tego małego umysłu, szukając w nim uczuć i pragnień. Znalazł głód oraz ciekawość. Ból okaleczonej łapy istniał na dalszym planie, zepchnięty przez energiczną istotkę gdzieś w głąb, jako uczucie stałe, choć mniej ważne. Teraz i tutaj liczyło się zdobycie pożywienia, schronienie i ciepło. Jakaś inna istota była blisko, lecz nie wydawała się groźna. Pachniała niezbyt dobrze — zwierzę instynktownie czuło słabość i chorobę. Na trzech łapach jok przebrnął przez wzgórze i fałdy przykrycia, wspiął się na pierś chłopca, dotykając jego brody zimnym, wilgotnym nosem. Ześliznął się potem znów na brzeg pośłania, po czym zeskoczył niezgrabnie na podłogę. Uraził przy tym chorą kończynę — pisnął rozdzierająco, przez moment wtulał kikut w miękką sierść pod brzuchem, ale już po chwili znów myślał o jedzeniu.

— No i po co tak się starasz? — szepnął Bestiar smutno. — Po co tak się czepiasz życia?

Jok spróbował wspiąć się po stołowej nodze, lecz była zbyt gładka. Podskoczył, znów uraził łapę i zakłapał zębami z irytacji. Stroszył futerko, drapał się szybko za uchem, a cały czas Bestiar wyczuwał swym talentem, jak niewielki rozumek obraca różne pojęcia, obmyślając sposoby dostania się tam, gdzie leżał pokarm, co nieomylnie sygnalizował czuły węch.

— Po co ci to? — ciągnął chłopiec. — Jesteś kaleką. Sam widzisz, że nie umiesz już się wspinać ani skakać, ani szybko biegać. . . Nic nie upolujesz, raczej zostaniesz sam zjedzony. Czy nie lepiej byłoby zaszyć się w norze i odejść sobie spokojnie za Bramę Istnień?

Jok obejrzał się na Winograda, całkiem jakby rozumiał jego słowa. Powoli obliznął wąsy i kichnął, co wyglądało dość obelżywie.

— Dlaczego nie? — spytał chłopak. — Obaj jesteśmy w podobnej sytuacji. Obu nas potrzaskano, choć mnie o wiele okrutniej niż ciebie, ty szczurku nadrzewny. I tak samo ani po mnie, ani po tobie nikt nie będzie płakał.

Chłopiec udał, że słucha uważnie wyimaginowanej odpowiedzi joka.

— Tak? Spodziewasz się żałoby, bo masz samiczkę? Och, mój drogi, zapomni o tobie już w następną ruję. A i moi przyjaciele zmartwią się na niezbyt długo. Będzie płacz, będzie rozpacz. . . ale to jak burza — przechodzi. Nikt nie będzie za mną tęsknił aż po własny kres. Nie mam samiczki, nie mam rodziny. . . ani żywotnika. Już nie.

Zwierzątko zaczęło zajadle skrobać stołową nogę pazurkami, jakby chciało zestrugać ją na trociny.

Winograd westchnął ciężko.

— Chyba jednak muszę ci pomóc, ty uparciuchu.

Z trudem podniósł się do pozycji siedzącej. Zakręciło mu się w głowie — czekał, aż srebrne iskierki i beżowe obłoki umkną sprzed oczu. Wolno wyciągnął

nogi spod przykrycia. O Bogini. . . dlaczego kolana wydają się takie duże? A łydki przypominają kołki z płotu. Jeśli reszta wygląda podobnie, należy cieszyć się z braku lustra. Ależ osłabł. . . musi być ostrożny. Nie wolno mu się przewrócić. Bał się, że nie dotrze od posłania do stołu. Ciało przypominało ciężki, zacinający się mechanizm — Winograda zmęczyło pokonanie tych paru kroków tak, jakby przewędrował Pierścień tam i z powrotem. Stołek. . . usiąść. . . nareszcie.

Przekazywał jokowi kojące sygnały spokoju i bezpieczeństwa. Malec bez oporu dał się wziąć w rękę i posadzić na blacie. Obwąchał serwetkę przykrywającą kawałek chleba. Nagle skoczył, dopadając dużego pająka, który wylazł spod płótna. Tylko błysnęły małe, spiczaste zęby. Jok oblizał się smacznie, po czym zaczął pożerać okruchy rozsypane na stole. Bestiar włożył do ust mały kawałek pieczywa i roztarł go językiem na podniebieniu. Chleb był twardy, wiórowaty — zupełnie nie przypominał pulchnych bochenków z Południa, wypiekanych na piwnym zakwasie. W ustach Winogradowi został smak orzechów, otrębów i jeszcze czegoś nieokreślonego, co jednak nie było niemiłe. Jok opychał się zapamiętałe.

— Ty pewnie wolałbyś jakąś myszkę, co? — mruknął chłopak. — Niestety, jest tylko to.

Zajrzał do glinianego garnuszka, podnosząc pokrywkę.

— O, jest i mleko. Lubisz mleko?

Jok natychmiast zapuścił głowę do garnuszka. Różowy ozorek łakomie wachlował w powietrzu, nie mogąc dosięgnąć powierzchni płynu. Miski stały daleko, a osłabiony Bestiar nie miał ochoty na dalsze wędrówki po naczynie. Zamoczył końce palców w mleku i jok zlizywał z nich białe krople.

— Tak się nie robi, wiesz? — powiedział cicho do zwierzątka. — Nikt już by nie chciał tego pić. Ale ja nie wygadam, a ty? Nie? Tak myślałem — ciągnął. — Czy aby nie skwaśniało? A może wolisz chleb razem z mlekiem?

Zamoczył skórkę. Przez umysł dzielony teraz z małym biesiadnikiem przesączał się smak orzechowego chleba i mleka, smaczne zapachy i wrażenia zaspokajanego apetytu. Jok pożerał zamoczony miękisz. Chłopiec bezwiednie oblizał palce.

— Skąd masz tyle żywotności, łotrzyku? Źresz tak, że zaraz pękiesz. Nie, ty nie umrzesz tak od razu. Niewiele myśli naraz mieści ci się w głowie: zjeść, wyspać się i rozmnożyć w odpowiednim czasie, co? Pewnie nawet nie masz pretensji do tego typu, który zeżarł twoją nogę. Każdy większy zjada mniejszego — takie realia, no nie? Ciekawe, co byś sobie pomyślał o takim, co zabija nie dla jedzenia, lecz dla czystej zabawy. Nie mieści ci się to w tej małej czaszce? Mnie też nie. Też mam do tego za małą głowę. Nie umiem sobie z tym poradzić, wiesz? Pierwszy raz spotkałem kogoś takiego. Można zabijać dla jedzenia, dla pieniędzy, ze strachu, z nienawiści. . . ale bez powodu? Bez żadnego powodu? Jak tak może być?

Jok przerwał posiłek, stanął słupka, sięgając wrażliwym noskiem do twarzy chłopca.

— Pachniesz okruciami — mruknął Winograd. — Nawet przyjemnie...

Nagle zdał sobie sprawę, zaskoczony, że po raz pierwszy od wielu dni zapach jedzenia nie wywołał u niego zwykłych mdłości. Ba, nawet miał coś w ustach, choć w rezultacie niczego nie przełknął. Był to jednak bardzo widoczny postęp. Niepewnie spojrzął na garnek. Naprawdę chciało mu się pić. Może spróbować? Wahał się. Post sprawił, że czuł się w środku jak wydrążony. Wyskrobany do czysta ze wszystkich trzewi, sił i uczuć, prócz tej głuchej beznadziei. Na początku, na prośby przyjaciół, próbował zmuszać się do jedzenia, ale ciągłe ataki torsji tak go wyczerpywały, że bał się już podejmowania następnych prób.

A co tam, pomyślał, najwyżej będą mieli trochę sprzątań.

Powąchał mleko, nieufnie wypatrując niepożądanych reakcji ze strony żołądka. Nic się nie działo, więc pociągnął łyk, omal się nie krztusząc. Napój był świeży, niedawno schłodzony. Winograd nie czuł niczego, prócz zimna w brzuchu. Coś załaskotało go w rękę — to jok najspokojniej w świecie wlał mu do rękawa koszuli nocnej i wyraźnie szykował się do drzemki.

— Hej! Nie bądź bezczelny. Wynocha! — wysapał Bestiar, potrząsając słabo ramieniem. Zyskał tyle, że zwierzączek zainstalował się głębiej. — Nie mam zamiaru cię oswajać! A sio!

Najmniejszej reakcji.

— Ale ty chcesz oswoić mnie, spryciarzu?

Winograd zmarzył w cienkim okryciu. Nie pozostawało nic innego, jak wrócić do łóżka. Podróż powrotna przez niezmierzone połacie podłogi była jakby mniej męcząca. Bestiar położył się ostrożnie, by nie przygnieść joka. Powieki opadały mu same. Zasnął, czując na ramieniu leciutki, szybki oddech nowego żywotnika.

\* \* \*

Z jakichś powodów poprawa zdrowia Winograda została uznana przez ela za kolejny dowód potęgi lengorchiańskich przybyszów. Pewnego ranka pojawił się niespodzianie w ich progach razem z żoną, Liją, która wiodła za rękę dziewczynkę. Dziecko miało dziesięć, a może jedenaście lat. Posadzone troskliwie na stołku, siedziało tam grzecznie, nie kręcąc się ani nawet nie rozglądając na boki.

— To Messil — powiedział Koret miękkiem tonem. — Moja bratanica.

— Przyszliśmy po pomoc — dodała el-len niepewnie. — Jeżeli tylko zechcecie... Znacnie zakłęcia...

Kamyk przechylił się do dziewczynki, pomachał jej ręką przed twarzą. Wciąż patrzyła w ten sam nieokreślony punkt przestrzeni — jej oczy nie poruszyły się. Drobne palce bawiły się frędzlą przy ubraniu, splatając i rozplatając cienkie warokocyki z rzemyczków.

*Ona jest ślepa* — wypisał Kamyk w powietrzu widmowym pismem to, czego natychmiast domyślili się inni. Było to jak pieczęć postawiona na dokumencie. — *Czego on oczekuje? Czego chce? Cudu?*

Koret i jego żona z fascynacją patrzyli na iluzyjne znaki, pojawiające się, obracające, a potem rozplywające jak dym.

— Chcecie, żebyśmy przywrócili jej wzrok? — zapytał wprost Promień.

Kiwnęli głowami jednocześnie, jak marionetki szarpnięte sznurkiem. W ich spojrzeniach nadzieja brała górę nad rezerwą. El wskazał palcem na Stalowego. Zaczął mówić okropnym, łamanym lengore:

— Ty. Ty wiedzieć, co robić. Ty zrobić. . . naprawić kości Winograd. Ty umieć, to twoja praca. Ty nam pomóc!

Stalowy z przestachem uniósł ręce, jakby chciał się zasłonić przed jakąś groźbą.

— Ja nie jestem lekarzem! — wybełkotał. — Powiedzcie mu! Ja się na tym nie znam!

Koret tymczasem wpił w niego przenikliwy wzrok, jakby chciał przybić biednego Stworzyciela spojrzeniem do ściany.

— On nie jest lekarzem — powtórzył Promień w northlanie. — Nikt z nas nim nie jest. Nie możemy nic zrobić.

— Chłopak umierał, a teraz jest zdrowy — upierał się el. — Miał połamane kości, a następnego dnia były całe. Dlaczego mnie oszukujesz?!

Dziewczynka szukała po omacku ręki ciotki. Podniesione głosy obecnych zaniepokoiły ją i przestraszyły. Nie była nawet pewna, o co się kłóć w dwóch językach.

— Spojenie kości to najprostsza rzecz, jaką można zrobić — tłumaczył Promień. — Nawet łatwiejsze niż wyleczenie sińca. Zupełnie jak klejenie kawałków drewna. Każdy to umie. A teraz chcesz, żeby Stalowy zabrał się do jej oczu. On nigdy nie uczył się na chirurga. Boi się, że zrobi jej większą krzywdę. Przecież to ogromna odpowiedzialność.

— No cóż. . . może zbyt wiele się spodziewałem.

— Myśleliśmy, że coś da się zrobić. Ona czasem widzi światło — dodała Lija. Niespodziewanie odezwała się sama Messil, obracając twarz w kierunku, z którego dobiegał ją głos Iskry:

— Nie szkodzi. Nic nie szkodzi. Ja już. . . się. . . przy-zwy-czałam. . .

Ostatnie słowa wyjąkała z trudem. Próbowała być dzielna, ale broda zaczęła jej drżeć, a po policzku spływała łza. Rozczarowanie było tak wielkie. . . Ciotka przytuliła ją szybko.

— Czy ona nie widzi od dawna? — zapytał Promień po dłuższej chwili milczenia, a potem, gdy el zaczął opowiadać historię bratanicy, dokładnie tłumaczył każde zdanie towarzyszom.



Dziewczynka straciła wzrok ponad dwa lata temu. Była dzieckiem nadprzeciętnie ruchliwym. Jak wszystkie małe Wiewióreczki czas spędzała głównie wysoko nad ziemią — w koronach drzew. Ktoś przeoczył, że jedna z lin przetała się i Messil, przerzucając się z konaru na konar, spadła. Miała mocno rozbitą głowę, przez kilka dni nie odzyskiwała świadomości i obawiano się, że nie przeżyje. Kiedy się ocknęła, okazało się, że straciła wzrok. Z wesołego, żywego dziecka stała się milcząca i niepewna. Odmawiała mieszkania na platformach w koronach drzew — przerażała ją myśl, iż ma pod sobą przestrzeń, której nie jest w stanie ocenić. Ciemność ślepoty stała się niezmierną otchłanią, gdzie można było spadać i spadać bez końca.

Kamyk — wychowanek lekarza, miał największą z nich wszystkich wiedzę o urazach głowy.

*Gdyby to była zaćma, można by ją było operować metodą igły, nawet nie mając pod ręką Stworzyciela. Ale to sprawa głowy. Jeżeli ma uszkodzony sam mózg — niewiele zrobiłby z tym i doświadczony medyk. A jeśli to zakrzep, można by spróbować.*

„Wolałbym nie. Czy ty sobie nie zdajesz sprawy, co to jest operacja na tkance mózgowej?” — zaproponował wprost Stalowy.

„Przynajmniej można obejrzeć to dziecko. Od razu ją wymazujesz?”

Kamyk wziął dziewczynkę pod brodę, przysunął lampę do jej twarzy. Tak jak się spodziewał, źrenice zareagowały na światło. Przesunął ręką po jej głowie, szukając blizn po wypadku. Znalazł ślady na potylicy i aż się wzdrygnął, gdy jego palce natrafiły na głęboki dół w czaszce dziecka. To było wręcz zadziwiające, że tak ciężkie obrażenia nie wyprawiły Messil na drugą stronę Bramy. Musiała spaść z dużej wysokości na coś twardego, a rozhuśtana lina dodała upadkowi impetu. Wszyscy westchnęli z niedowierzaniem, gdy rozgarnął jasne włosy dziecka, pokazując przyczynę nieszczęścia.

— Niewiarygodne. Po prostu niewiarygodne — mruknął Winograd, mocniej przygarniając joka. Stała obecność zwierzątka wzmacniała go i odganiała złe myśli.

— Ale ona coś jeszcze widzi? — przypomniał Koniec. — Światło? Czy może to są złudzenia? Albo sny?

— Nie wiemy — odpowiedziała el-len, której Promień powtórzył pytanie. — Messil mówi, że czasem widzi światła.

— A teraz?

Wszyscy spodziewali się, że mała wskaże na lampę, palącą się na stole. Tymczasem Messil powiedziała krótko:

— Dużo światełek. Mniejsze i większe. — Obróciła głowę, jakby rozglądała się niewidzącymi oczami. Z wahaniem uniosła rękę i wskazała palcem. — Największe tutaj... i tu... i tam.

Koret ze zdumieniem ujrzał, jak wszyscy magowie — zaskoczeni, zmieszani w najwyższym stopniu — odchylają się w tył, niby trawy trącone nagłym podmuchem wiatru. Nie rozumiał tego.

— Matko Miłosierna. . . — wymamrotał Koniec. — Ja w to nie wierzę!

— Gdzie widzisz najjaśniejsze światełka? Powiedz jeszcze raz! — rozkazał szybko Promień, pochylając się ku Messil. Dziewczynka zlekła się, ale posłusznie powtórnie wskazała palcem, omal nie wkładając go Iskrze do oka.

— Tu, blisko. I tam. I tam z boku.

— A to niespodzianka! — mruknął Stalowy, mierzwiąc sobie włosy w geście zakłopotania.

Dziewczynka nadal siedziała grzecznie na stołeczku, nie mając pojęcia, co takiego właściwie zrobiła. Zawstydzona, znów zaczęła bawić się frędzelkami przy tunice.

— To zmienia postać rzeczy, czyż nie? — powiedział głośno Promień.

Trudno było się z nim nie zgodzić. Ociemniała dziewczynka wskazała bezbłędnie trzy największe talenty w ich grupie, naiwnie nazywając ich emanacje światełkami.

\* \* \*

„Czy ona nie utraciłaby tych zdolności, gdyby odzyskała wzrok?” — zapytał Koniec.

„A co jej dają teraz, kiedy jest ślepa? — odparł Kamyk. — Myślisz, że talent całkowicie rekompensuje mi brak słuchu?”

„Z pewnością nie — zgodził się Stalowy. — Ale ja nie mogę zacząć grzebać jej w głowie, nawet przy najszczerszych chęciach. Do tej pory pracowałem głównie na martwej materii. Myślę, że trzeba tu sprowadzić Nocnego Śpiewaka. Poza tym ta sytuacja. . . to wymaga poważniejszych badań”.

„Przewraca do góry nogami wszystkie teorie”.

„Wiele dałbym, żeby to wyjaśnić”.

„Jak wiele?”

„Wiele własnego czasu. I wysiłku. Mam wrażenie, że to jest bardzo ważne”.

„Tylko wrażenie? To jest przełom taki, że nasze imiona wyryją w marmurze”.

„Nagrobkowym” — podsunął Stalowy z przekąsem.

Powyższa rozmowa miała miejsce w dwa dni po badaniu Messil i zadziwiającym odkryciu, które wstrząsnęło głęboko wszystkimi młodymi magami. Nie chodziło już o to, że dziewczynka urodziła się z dala od źródła magii, za jakie uważali Lengorchię, ale o jej wygląd. Była tak zdecydowanie jasnowłosa, białoskóra i northlandzka, że nawet ten niepełny, śladowy talencik, pokrewny zdolnościom Obserwatorów i Mówców, wydawał się tutaj wręcz nie na miejscu.

Kamyk jeszcze raz podniósł do oczu zabazgrane notatkami kartki. Zadali sobie wiele trudu, by dyskretnie przebadać wszystkie dzieci w Bukowinie pod pozorem wesołej zabawy. Ogromną pomocą służył tu Myszka, który błyskawicznie zyskał sympatię dzieciarni, maskując swoje szesnaście lat i proponując coraz to nowe zgadywanki oraz zawody, które wymagały szybkości i refleksu. Rozchichotane dzieci dogadywały się z nim głównie na migi. Zadowolone z poświęcanej im uwagi beztrudnie szukały „lisa w norze”, odgadywały, „w którym kubku orzech”, pokazywały, „czego chce mały osiołek” i „łapały muchy”. Nie zwracały przy tym szczególnej uwagi na dwóch Lengorijenów, którzy kręcili się w pobliżu, wciąż kreśląc coś na tabliczkach. Nie miały najmniejszego pojęcia, że są obiektami badań. Koniec wraz ze Stalowym starannie obserwowali kolejne „obiekty”, zaglądać im do głów i porównując jasne emanacje dusz, które przypominały senne kłębki błyskawic, które egzystowały na innej płaszczyźnie życiowej, dostępnej jedynie wybranym. Kamyk zmusznie zestawiał rejestry, kreśląc tabele i uproszczone rodowody. Przy tych ostatnich pomagała el-len Lija, a Promień służył za tłumacza.

Palec Tkacza Iluzji przesuwiał się po nieco krzywo narysowanych tabelkach, gdzie pospiesznie wpisano imiona i tajemnicze znaczki.

„Dobrze, Koniec, że pamiętałeś chociaż niektóre testy. Według mnie wyniki wybijają dach. Na dwadzieścioro dwoje — dziesięcioro ma pozytywne cechy”.

„A czworo z nich w Lengorchii zostałyby skierowanych na wstępne szkolenie przez Krąg. Messil piąta. To jest po prostu niewiarygodne”.

„Popatrzcie na zestawienie cech zewnętrznych — wtrącił Stworzyciel. — Jasne włosy, brązowe... Oczy: niebieskie... niebieskie... szare... zielone... szare, szare... i tak dalej. Czarnych ilość zerowa. Brązowych dwie pary”.

„A jak wygląda ta najbardziej obiecująca czwórka?”

„Piątka. Licz bratanicę Koreta. — Koniec wodził nosem po zapiskach. — Messil: włosy słomkowe, oczy niebieskoszare. Kia: włosy brązowe ciemne, oczy zielone. Chonar: rudy, oczy szare...”

Kamyk zmarszczył brwi, uderzony nagłym skojarzeniem. Koniec kontynuował:

„Baluka: włosy ciemne, ale oczy jasnoniebieskie. Akaine: włosy myszowate, oczy w kolorze piwa. Trójka chłopców, dwie dziewczynki”.

„Przypomniałem sobie coś ważnego — natychmiast podjął Kamyk swój wątek w mentalnej dyskusji. — Miedziany i Moneta. Pamiętacie, jak wam o nich opowiadałem? Obaj byli... są z urodzenia Northlandczykami. Czupryny pomarańczowe jak ogień. Szare i niebieskie oczy. Moneta nigdy nie wspominał o jakichś swoich predyspozycjach, ale Miedziany był... jest zarejestrowanym Wiatromistrzem. Czarnym, ale Wiatromistrzem”.

„A więc wyjątki wcale nie muszą być wyjątkami — zastanowił się Koniec. — Wygląda na to, że na sprawę dziedziczenia talentów patrzyło się przez całe stu-

lecia od złej strony. Może powinniśmy szukać w liniach rodowych cech właśnie takich jak u tych dzieciaków?”

„Moją linię możesz od razu sprawdzić — przekazał Stalowy. — Ja, a przede mną nikogo. I pamiętaj, że przedtem oczy miałem piwne”.

„Racja. Podstawy wątpliwe. Żaden z nas, prócz może Promienia, nie zna tak daleko swoich powiązań rodzinnych, żeby budować na tym jakieś teorie. Poza tym, jak sprawdzić, czy pradziadek był ciemny, czy jasny?”

„Coś jednak nie pasuje. Mamy w tej dziczy pokaźny potencjał magiczny. Większy niż w przeciętnym miasteczku na Południu. Spodziewałby się kto, że talenty w Bukowinie rosną jak pleśń na chlebie, a tymczasem nikt tutaj o prawdziwej magii pojęcia bladego nie ma. W kronikach stoi: zza morza przyплыnęli wojownicy i magowie. Zajęli Smoczy Archipelag, a potem rozpirzyli w drobną kaszkę te wszystkie luźne księstwka aż do gór. Gdyby na kontynencie żyli kiedyś zupełnie niezależni magowie, wynik wojen byłby może całkiem inny. Jak pamiętam z lekcji, stosunek liczby żołnierzy był na niekorzyść Archipelagu. To magowie dawali tę znaczącą przewagę. Gdyby nie oni, wszyscy byśmy mówili po northlandzku”.

Nic nowego jakoś nikomu nie przychodziło na myśl. Zastanawiali się jeszcze długo, porządkując w głowach fakty i usiłując znaleźć jakiś punkt zaczepienia. Wreszcie doszli do wniosku, że wciąż wiedzą za mało. Należało w jakiś sposób określić predyspozycje innych mieszkańców Miasta Na Drzewach, także dorosłych. Z tym będzie zdecydowanie trudniej, bo żaden z dorosłych nie zechce przecież zgadywać, pod którym kubkiem schowano orzeszek ani grać w „łapki”. Pozostawało jedynie zwyczajne „czytanie”, czyli niedyskretne bebeszenie umysłów — zajęcie, któremu stale mogli oddawać się Stalowy i Koniec, bez zwracania na siebie uwagi. Zapowiadało się sporo zmudnej pracy, ale zawsze było to coś lepszego niż snucie się bez określonego celu i sztuczne wypełnianie czasu monotonnymi zajęciami. Kamyk pomyślał, że może właśnie dlatego wyprawiła ich Bogini do tego zapadłego zakątka. Po to, by odkryli te załóżki talentów i nauczyli posiadaczy pożytecznego ich wykorzystania. Może także po to, by odkryli tajemnice magii i dokopali się aż do samego ich środka? Robota zapowiadała się na gigantyczną niczym góra, do tego najeżoną całym lasem trudności. Tutaj nie lubiano magów, oj, nie... Publiczne ujawnienie tylko pogorszyłoby sytuację, a ogłoszenie wyniku testów mogłoby być wręcz katastrofą. Albo nikt by im nie uwierzył, albo w najgorszym przypadku odrzucono by wskazane dzieci jak chore na jakąś zarazę. Kamyk westchnął tak ciężko, że zabrzmiało to jak jęk. Czy Matka Świata nie za dużo od nich wszystkich wymaga? Czy nie mogła po prostu powiedzieć: „jest tak i tak, a wy macie zrobić to i tamto”? Ale nie! Zagadki, półśłówka, jakieś niezbyt jasne wskazówki, które nawet na zelówki się nie zdadzą. Pewnie patrzy na nich teraz przez mur niebiański i podśmiewa się z nierozgarniętych ludzików, miotających się na dole jak myszy, którym ktoś przykleił kawałki sera do ogonów.

Kiedys Kamyk był religijny tak „na wszelki wypadek”, jak znakomita większość magów, a Matka Świata stanowiła dla niego postać dość odległą i nieokreśloną, ale pozytywną. Po dramatycznych zdarzeniach w Pierścieniu Bogini stała się jak najbardziej realna i mocno niepokojąca. Prawie czuł jej boski oddech na karku... i chyba przestawał ją lubić.

\* \* \*

Jagoda wyciągnęła przed siebie rękę, próbując chwytać białe płatki wirujące w powietrzu. Zdawało się, że omijają jej dłoń, jakby były żywymi malutkimi zwierzątkami, które boją się kontaktu z ciepłem ludzkiej skóry, ale na jej ramionach i kapturze rosły śnieżne łąty.

— Śnieg — powiedział stojący obok Pożeracz Chmur. Uniósł twarz ku górze, skąd spływała niespodziana obfitość zimnego puchu. Mrugał, kiedy opadał mu na rzęsy. Po jego nosie spływały kropelki wody z topniejących śnieżynek. Miał osłupiałą minę psiaka, który po raz pierwszy w życiu widzi niepojęte dla siebie zjawisko.

— Śnieg — powtórzył Gryf jak echo. Zlizał kilka płatków, jakie uczepiły się jego rękawa. Niczym nie smakowały.

Pożeracz Chmur węszył w powietrzu.

— Nie wiem dlaczego, ale zawsze wydawało mi się, że to powinno rosnąć na ziemi.

Obserwator parsknął śmiechem.

— Jak pleśń?

— Przedtem był szron na liściach i na ziemi. A pojawiał się tak, jakby rzeczywiście wyrastał. Nic nie fruwało w powietrzu i nie włąziło mi do oczu — skrzywił się smok.

— Przecież to zamarznęty deszcz. A skąd ma się brać deszcz, jak nie z nieba? Tyle że jest okropnie zimno. — Gryf otrząsnął się lekko.

— E tam, wcale nie. — Pożeracz Chmur jak zwykle miał na sobie tylko lekki przyodziewek. Zaledwie taki, by nie wzbudzać niepotrzebnych sensacji. Para z gorącego oddechu buchała mu z ust i kłębiła się wokół głowy, robiąc cudaczne wrażenie, jakby młody smok gotował się w środku. Płatki śniegu topniały natychmiast, dostawszy się w ten wilgotny, ciepły obłok. Chwilę dłużej utrzymywały się na jego czuprynie, ale i tam po krótkiej chwili zmieniały w pojedyncze, drobne kropelki, które lśniły na ciemnych włosach jak klejnociki. — Jeden myśliwy, co za młodu chodził daleko za góry, przez Northland aż na brzeg północnego morza, mówił, że tam, jak w górę wrzątkiem chlusnąć, to na ziemię śniegiem spada. Takie tam mrozy — wspomniął mimochodem.

Gryf prychnął pogardliwie.

— Takie bajki niech wnukom opowiada, a nie nam!

Jagoda nie odzywała się, puszczając mimo uszu niby naukowe rozważania towarzyszy. Było jej wszystko jedno, czy to białe wokoło jest odmienioną wodą, piórami cudownych ptaków, czy może kaszą wysypaną za niebiański mur przez psotne boskie bliźniaki. Ważne, że widok był tak niezmiernie piękny i niesamowity, aż coś bolało ją w piersiach. Z siwych niebios spływały zasłony leciuteńkich, delikatnych drobinek, miękkich jak kłaczki bawełny. Pojawiały się jakby znikąd, a było ich mrowie nieprzeliczone. Czasem leniwy podmuch wiatru szarpnął te cudowne kotary łączące niebo z ziemią — falowały wtedy, wirowały w kolejnej figurze zimowego tańca. Jagoda próbowała śledzić wzrokiem poszczególne śnieżynki. Każda spływała coraz niżej, robiąc miejsce bliźniaczym siostronom, a w końcu znajdowała swe miejsce na ziemi, tworząc wielki, gładki dywan okrywający białą całą dolinę Pierścienia.

— Ciekawe, czy w Ogorancie też śnieg teraz pada? Były wieści od chłopaków? — przypomniał sobie Gryf, zwracając się do dziewczyny.

— Czemu sam ich nie sięgniesz? — odparła. — Za długi dystans dla ciebie?

— Wiesz, że nie! Sięgałem przedwczoraj. Ale to jednostronny kontakt. Myślałem, że może odezwał się Koniec.

— Odezwał się. Wcześniej, ledwo szarzało. Obudził mnie.

— I ty nic nie mówisz?!

— Chciałam powiedzieć wszystkim, jak będziemy razem jeść.

— Ale co?! Co się tam dzieje?!

— Ciekawe nowiny. — Jagoda uśmiechnęła się tajemniczo.

— Co u Kamyka? — wtrącił pytanie Pożeracz Chmur.

Uśmiech dziewczyny zniknął, jak wytarty ścierką.

— Nie pytałam — odrzekła sucho.

Strzepnęła śnieg z opończy i podreptała w stronę chat. Gryf wahał się sekundę — iść czy zostać i dalej prowadzić obserwacje. Smok podążył w przeciwną stronę, klucząc instynktownie i rzucając na boki nieufne spojrzenia — celem jego wędrówki była skrytka w hałdzie kamieni, gdzie poprzedniego dnia ukrył płat surowej wątroby oraz kość szpikową.

Gryf obejrzał się na Jagodę. Nadarzała się okazja, by porozmawiać z nią bez świadków. Od dawna widać było, że między nią a Tkaczem Iluzji coś się psuje, a po pamiętnej nocy Strzyży rozsypało się do reszty. Czy powodem był ten okropny wstrząs, jaki zafundowała im Matka Świata, zwykła kłótnia czy może co innego — Jagoda nie pisała nawet słówkiem. Ulotniła się za to gdzieś jej zalotność. Kiedyś celowała w cienkich aluzjach i żarcikach na temat miłosnych zbliżeń, a teraz nie śmiała się nawet z tych opowiadanych przez innych. Przestała się malować, twierdząc, że farba w tym klimacie nie trzyma się skóry, co było oczywiście nieprawdą. Znow zaczęła ubierać się po męsku. Nosila z uporem smętne barwy późnojesienne, pochmurne szarości i matowe brązy niczym pożyczone od

butwiejących liści. Wśród rumianych góralek, strojnych w haftowane żółtą i czerwoną nicią burki, obwieszonych złotymi blaszkami, wyglądała jak polna myszka wśród papug. Jej zmartwienie, jakiegokolwiek by było, musiało bardzo jej ciążyć. Ale zwierzyć się nie chciała nikomu, nawet Srebrzance.

Człapała w wielkich futrzanych buciorach przez śnieżycę zakutana grubo w wełniane i filcowe okrycia. Ukryta przed wzrokiem ludzkim jak jądro orzecha w łupinie. Wyglądała tak jakoś smutno i biednie, że Obserwatorowi zadrżało serce.

— Poczekaj, Jagoda! — zawołał niezbyt głośno. Dogonił dziewczynę w paru susach. — Zaczekaj, chciałbym. . . chciałbym o coś spytać — zająknął się Gryf, kiedy podniosła na niego wzrok. Ostatnie trzy kolory — czerwień oczu, biel brwi i rzęs oraz malinowa różowość zziębniętych policzków — podzieliły jej twarz między siebie. Brak upiększających malowideł nie sprawił, że zbrzydła. Wyglądała natomiast wzruszająco dziecinnie. — Kamyk. . . To już zupełnie skończone?

— Zupełnie — potwierdziła obojętnym tonem.

— Czy. . . nie czujesz się teraz. . . samotna? — Gryf ważył słowa jak złoty piasek.

Spojrzenie Jagody stwardniało.

— Zwolniło się miejsce, więc nowy ptaszek chce uwić gniazdko? Już dawno temu ustaliliśmy te sprawy — prychnęła ironicznie. W jednej chwili pokazała się dawna Jagoda z wyspy Jaszczur — ostra, uparta i stanowcza. Obserwator zmieszał się, ale brnął dalej.

— Jak sama mówisz, to było dawno temu. Coś się zmieniło. Twój Tkacz Iluzji najwyraźniej cię zawiódł. A ja. . .

— A ty będziesz lepszy? — przerwała mu. — Nie, Gryf, ty nie będziesz lepszy. Byłbyś weselszy, rozmowniejszy, może miłszy. . . ale nie lepszy. Dość mam zabawek. Po co mi następny chłopiec, kiedy powinnam szukać mężczyzny?

— Ho, ho! Wielkie słowa! — rzekł gniewnie Gryf. — Ma się za duże wymagania? To już skromny błękitny Obserwator ci nie wystarcza? Może i nie, skoro nawet Wielki Mistrz Miraży nie był dość dobry!

— Talent nie czyni mężczyzny. Ani to, żeś tak wyrósł — wypaliła dziewczyna. — Co mi zaoferujesz? Małżeństwo? Dom? Dzieci? Bezpieczeństwo? Nic z tych rzeczy. Nie pójdę z tobą do łóżka tylko dlatego, że jesteś wolny i chętny. Ani z nikim innym. To wszystko.

Ruszyła w dalszą drogę zamaszystym krokiem. Gryf poczuł się zbesztany, skarcony jak dzieciak. Miała słuszość. W końcu o nic innego mu nie chodziło, jak tylko o wzajemną bliskość, przytulanki, czułe szepty — cały ten blichtr romansowy, który wyglądał tak samo ślicznie jak ozdóbki z lukru. . . i był tak samo trwały. Dogonił Jagodę przed samym progiem, złapał za ramię. Wyrwała się, marszcząc brew, nadąsana, gotowa do dalszej walki na słowa. Jednak jeden rzut oka na chłopca wystarczył. Nawet nie musiała sięgać do jego myśli.

— Przepraszam — powiedział Gryf cicho. — Nie gniewaj się. Wszystko rozumiem. Ale... pamiętaj o mnie, dobrze?

— Może kiedyś — powiedziała, lecz chłopak był i tak pewien, że znaczyło to „nigdy”.

\* \* \*

— I tak to właśnie wygląda. Gdyby tych pięcioro dzieciaków było ze sobą spokrewnionych, nie byłoby to aż tak wstrząsające. W końcu ja też mam dwóch braci z talentami. Ale tu nie ma żadnych powiązań. Kam... Oni chcą prowadzić dalej badania i przekonać się, jak potencjał rozkłada się wśród reszty mieszkańców. I jeszcze Koniec prosił, żeby Nocny Śpiewak rozważył przenosiny, tam, do lasu, bo Stalowy boi się leczyć tę dziewczynkę sam — Jagoda zakończyła swoje sprawozdanie.

— Rozważę — powiedział Śpiewak krótko, a jego wzrok powędrował natychmiast ku Srebrzance. Nie uszło to uwagi Wiatru Na Szczycie, który pomyślał, że niegdysiejszy swobodny ptak, wielbiciel cudzych kobiet i mocnych trunków, całkiem już został omotany przez tę drobną osóbkę. „Rozważę” znaczyło w rzeczywistości „spytam żony”, a Hajga napełniało to lekkim niesmakiem. W końcu do mężczyzny należało podejmowanie decyzji i odpowiedzialność za rodzinę. Właśnie mężczyzna powinien być na tyle pewien swego rozumu, by wiedzieć bez pomocy kobiety, co jest słuszne, a co nie. Kiedy jego Róża przybędzie tu z nadzieją wiosny... kiedy założą własną rodzinę, wtedy... na pewno on... a ona... W miarę jak przypominał sobie cechy charakteru swojej wybranki, twarz Mistrza Iluzji wydłużała się coraz bardziej. Przypominał sobie oświadczenia, podczas których miał do powiedzenia jedynie „tak” lub „nie”. Z całą pewnością jego nowe małżeństwo nie zapowiadało się spokojnie — zbyt dobrze znał zarówno siebie, jak i swą narzeczoną — ale przynajmniej nie nudno — pocieszył się natychmiast i rozgrzeszył w myśli Nocnego Śpiewaka.

Tymczasem odezwała się Srebrzanka, nadspodziewanie spokojnie, a nawet słodko:

— Kiciuniu...

Bawiąca się u jej kolan córeczka roześmiała się perłście i zawołała „kicia-kicia!”, machając rączkami do ojca. Wiatr Na Szczycie zagryzł wargę, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

— Myślę, że powinieneś być tam, gdzie cię najbardziej potrzebują. Jeżeli nawet mamy porzucić tutejsze wygody — ciągnęła Srebrzanka jakby nigdy nic, choć słowo „wygody” zabrzmiało podejrzanie sarkastycznie — chyba warto to zrobić dla niewidomego dziecka?

— Jaka ty jesteś kochana i szlachetna, Srebrzaneczko! — zachwycił się Śpiewak, a potem po prostu musieli się pocałować. Długo i bardzo namiętnie.



Gryf z udawanym niesmakiem wyjął wargi, unosząc wzrok do powały obwiezionej kolekcją myśliwskich trofeów i wyleniałych skalpów.

— Ciekawa sprawa — odezwał się. — Magia w Northlandzie? Czy możliwe jest, żebyśmy dziedziczyli talenty z obu stron? Po wyspiarzach i tych z kontynentu?

— Dotychczasowa teoria twierdziła, że tylko z wysp — powiedziała Jagoda. — Przecież nawet nas w końcu starzy próbowali wciągnąć w te swoje eksperymenty.

Śpiewak oderwał się od ust żony, roześmiał się i wziął na kolana córkę.

— Wynik jednego z nich mamy tutaj. Jedyne jej talenty to zdobywanie serc. Moje ma już od dawna.

— Kto wie, skąd się biorą talenty? Jedną z wielkich tajemnic tego świata — rzekł Gryf. — Skąd na przykład ma swoje zdolności Wiatr? Przecież bardzo mało jest magów tu, w górach. Właśnie, kim był twój ojciec?

— Tym, kim jest tu większość mężczyzn — odpowiedział Hajg z roztargnieniem. Jego myśli wciąż po części krążyły wokół Róży. — Pasterzem, drwalem, gdy trzeba, to wojownikiem. . .

— Mówiłeś, że jesteś dzieckiem Strzyży. . .

— A! — Wiatr ocknął się. — O tym mówisz. Ten, który mnie spłodził, był ponoć gościem. Przybyszem skądś tam. . . pewno Lengorijenem. Matka wspomniała o nim raz, a może dwa. Czy to ważne? Nie był magiem! — dodał szybko. — Matka przecież by mi powiedziała.

— Ale jesteś do niego podobny, prawda?

— Jeśli był wysoki i czarnowłosy, to na pewno.

— Więc jesteś półkrwi Lengorchianinem! — zawołał Gryf.

— Nigdy tak o sobie nie myślałem.

— I nie byłeś ciekawy swojego prawdziwego ojca?

— Przecież miałem prawdziwego ojca — odparł Wiatr z naciskiem.

Gryf zamilkł, podpierając twarz pięściami. Wszyscy wiedzieli, że nigdy tak do końca nie pogodził się ze swoim niejasnym pochodzeniem. Odkąd pamiętał, zawsze jego domem był wiejski majątek należący do Kręgu, a jego pytania o rodziców zbywano kłamstwami. Wiatr Na Szczycie zacisnął zęby, patrząc na jego zmarkotniałą minę. Kiedy jeszcze żyli w Zamku, przypadek sprawił, że dowiedział się, kto jest ojcem Gryfa. Nieraz kusiło go, by zdradzić tajemnicę, ale zawsze powstrzymywała go myśl, iż ta wiedza nie uszczęśliwi chłopca. Czyż może bowiem komukolwiek sprawić radość świadomość, że przez cały rok spotykało się rodzica przy rozmaitych okazjach, a ten nie zainteresował się własnym dzieckiem nawet na tyle, by zamienić z nim kilka słów? Niezbyt dobrze się stało, że odkrycie w Ogorancie znów zwróciło uwagę wychowanków Kręgu na smutne fakty z przeszłości. Ale kto wie, może zdobyta wiedza będzie kluczem odkrycia praw

dziedziczenia talentów? „Hodowcy” Kręgu nadal błądzili we mgle. W aranżowanych związkach błękitnych magów z wybranymi kobietami najczęściej rodziły się dzieci absolutnie przeciętne. Ogromne zdolności nagle objawiały się w rodzinach, w których nigdy nie było magów, jak w przypadku Promienia, albo wielce utalentowani okazywali się potomkowie ludzi z niskich warstw, a tam z kolei prawie niemożliwe było ustalenie linii rodowej dalej niż do dziada. Zdołano odkryć jedynie to, że dziedziczenie częściej następuje w linii żeńskiej, czyli przeskokiem z ojca matki, oraz to, że innych reguł nie ma, choć być powinny.

\* \* \*

Śniegowe chmury rozciągnęły swe sute spódnice także nad pogórzem od strony północnej. Dla tubylców nie było to zjawisko tak nadzwyczajne, jak dla przybyszów z głębokiego Południa. Toż do końca roku zostało dni ledwie trzydzieści i pięć. Zwyczajna pora na to, by zaczęło sypać. Śnieg zresztą wisiał w powietrzu od pozazeszłego ranka. Powietrze aż kroilo nozdrza, na ziemi wykwiwały białe paprocie szronu, a wodę po brzegach lód ścinał.

Promień wyszedł na polowanie o bladym świetle, z nadzieją, że ustrzeli coś większego, co pozwoli zrobić zapas mięsa na kilka dni. Czuł się nieswojo w odmienionym zimą lesie. Brązowe, zeschnięte liście skryły się pod jednolitym płaszczem bieli. Pnie drzew były szare lub brunatne i zdawało się chłopcu, że te kolory pozostały jako jedyne w całym lesie. Kiedy nagle dostrzegł czerwone plamki jaskrawo odcinające się od tła, przez moment miał nader niemiłe wrażenie, że to świeża krew. Wzrok jednak mylił — była to tylko kiść twardych owoców pozostałych na bezlistnej gałęzi nisko nad ziemią. Śnieg poskrzypywał cichutko pod podszwami. Promień wspominał wysoki, jękliwy dźwięk, jaki wydawał sypki piasek na plaży Jaszczura, gdy się go deptało. Biały las był jak wymarły, choć Iskra dobrze wiedział, że to tylko złudzenie. W gałęziach kryły się ptaki i drobne gryzonie. Pojedynczy ścieg śladów na świeżym puchu powiedział mu, że z pewnością sznurował tędy wilk. To było niedobre mięso, ale dobre futro — chłopak przypomniał sobie skórę, która leżała na posadzce w sali myśliwskiej jego dawnego domu — długi włos, gruby podszerstek, w którym palce zagłębiały się aż do nasady. Przydałoby mu się coś takiego na podbicie płaszcza. Miał na sobie co prawda ukochaną bluzę z wyszmelcowanej skórki i drugą wełnianą (zrobioną haczykiem przez jakąś pracowitą Hajgonkę) oraz sukienną oponczę z kapturem, ale wszystko to okazało się zdecydowanie niewystarczające. Po godzinie brodzenia w śniegu musiał sięgać do swych zdolności, by się ogrzać, bo mróz ścisnął coraz tęższy. Chłopiec wstrząsnął się i podążył po tropie, jednak bez większych nadziei na sukces. Westchnął ciężko, po raz nie wiadomo już który żałując, że nie ma z nim Miętówki. Choć z gładkiej powierzchni śniegu i tak można było czytać jak

z otwartej księgi. Tu przetańczył po niej zając, tam znów — sądząc po drobnych śladach i smugach, jakby kto szurnał miotełką — musiała gospodarować wiewiórka lub jok. Wszędzie też było pełno cienkich znaków pozostawionych przez ptasie łapki. Promień podążył za zającem, ale niemal natychmiast natknął się na zdeptane miejsce i pojedynczy kleks szkarłatu, gdzie zwierzę oddało życie w paszczy jakiegoś drapieźnika. Sądząc z odcisków łap, mógł być to jakiś duży kot. Myśliwy cofnął się do wilczego tropu. Szedł za nim dłuższy czas, gdy raptem wilcza ścieżka skrzyżowała się z odciskami butów. Dwóch ludzi nadeszło od strony zachodniej, zastanawiali się chyba chwilę nad zmianą kierunku, bo ślady raptem spletały się, jakby ktoś postąpił parę kroków w bok, rozglądał się może, a potem wrócił na starą drogę i dwie pary nóg podjęły marsz. Zaciekawiony Promień zapomniał o wilku i podążył w nowym kierunku.

\* \* \*

Pora dnia była dobra na polowanie. Wystarczająco wczesna, by drobna zwierzyna jeszcze drzemała w norach i pod niskimi daszkami zaśnieżonej choiny. Natomiast wystarczająco późna, aby niebezpieczne zombaki znalazły sobie już miejsca dziennego odpoczynku. A Rijen i Marake byli na tyle doświadczonymi łowcami, by nie zakłócać ich spokoju. Kierowali się ku łowieckiej platformie zbudowanej między gałęziami potężnego drzewa na skraju karczowiska. Tam gdzie brakło drzew, pieniały się bujnie krzewy garbunka, lubiące słoneczne światło miotłacze i ognichy o słodkich sercach, które można było wydobyć z ziemi, jeżeli umiało się unikać parzących skórę witek. Liczyli, że przyjdzie do tej spiżarni przynajmniej kilka saren, by wygrzebać jakiś przysmak spod śniegu.

Tymczasem po drodze Rijen dostrzegł wysoko na pniu kępy dorodnych grzybów.

— Zamrozki! — ucieszył się. — Będzie dziś dobra wieczerza, Marake!

— Wysoko — skrzywił się jego towarzysz, ale Rijen już zrzucił kołczan z ramienia i wierzchnie okrycie. Ostrożnie zdjął wysokie buty, stając na płaszczu, by nie oblepić śniegiem grubych skarpet. Marake pomógł mu zrobić pętlę, opasując pień i talię wspinacza. Łowca, zgrabnie jak prawdziwa wiewiórka, zaczął piąć się w górę, zapierając stopami w pofałdowaną korę i wyćwiczonymi ruchami przesuwając sznur coraz wyżej. Miodowo żółte grzyby, podobne do mięsistych krowich języków, aż do pierwszych śniegów rosły sobie spokojnie w głębokich spękaniach kory. Dopiero po przemrożeniu nabierały charakterystycznego, pikantno-słodkawego smaku i miłego aromatu. Były ulubionym dodatkiem do wielu dań mięsnych. Rijen odcinał każdy kapelusz osobno i zrzucił wprost do rąk kolegi. Rozglądał się przy okazji z osiągniętej wyżyny. Szare oczy zwęziły się, gdy dostrzegły nikły ruch między drzewami oddalonymi o kilkadziesiąt kroków. Ktoś tam był i obserwował ich z ukrycia.

— Mamy gościa — mruknął Rijen, gdy zsunął się z powrotem w dół. — Za nami. Nie oglądaj się.

— Tylko jeden?

— Jeden — potwierdził obserwator. — Na razie udawajmy, że nic nie wiemy. Do polany blisko. Jeden wlezie na wierch, a drugi go z tyłu zajdzie. Zobaczymy, co to za szperacz.

Jednak kiedy dotarli do celu, ich plany musiały ulec raptownej zmianie.

\* \* \*

Promień rozpoznał Rijena dopiero wtedy, gdy ten zdjął płaszcz. Z podziwem obserwował, jak chłopak błyskawicznie wdrapuje się po pniu. Coś mu szeptało za uchem, że powinien podejść wprost do tamtej dwójki, ale został na miejscu — ciekaw, co jeszcze mu pokażą tutejsi myśliwi. Kiedy zaczęli skradać się pod wiatr, naśladował ich, rozsądnie uznając, że lepiej od niego znają teren i szybciej trafią na zwierzynę. Zorientował się, że w przedzie widać prześwit, jakby znajdowała się tam wolna przestrzeń, więc odbił w bok. Wyszedł na skraj wyrębu w zupełnie innym miejscu niż jego przewodnicy. Przytaił się między dwoma młodymi świerkami, które wyrosły tuż obok siebie. Pomiedzy karczami i kępami bezlistnych zarosli przesuwali się z wolna popielate grzbiety dużych zwierząt. Na pierwszy rzut oka stado liczyło co najmniej kilkanaście sztuk i Promień poczuł dreszcz podniecenia. Wiatr mu sprzyjał. Łowy będą udane! Bez pośpiechu wybrał odpowiednią strzałę i czekał na okazję, by ją wypuścić. Stado żerowało spokojnie, chrupiąc podmarzniętą trawę. Bure kształty przemieszczały się niespiesznie. Tu i ówdzie unosiła się w górę ciemna głowa o tępym pysku, z nozdrzy buchała para, a uszy nasłuchiwały podejrzliwie. Promień szukał w pamięci dawno oglądanych rycin. Przeglądał w myślach rodowe trofea. Nie były to jelenie, a już na pewno nie sarny. Wyglądały raczej jak krewni mocno zbudowanych koni roboczych.

Zza zaśnieżonego krzaka wyłonił się masywny łeb zwieńczony wspaniałym, wygiętym rogiem, który przypominał nieco gigantyczny cierń róży. Chłopcu aż zaparło dech. Jednorożec! Stado jednorożców! Potężny ogier potrząsnął łbem, zlustrował okolicę, a potem rozrył rogiem ziemię i zaczął wybierać ruchliwymi wargami jakieś korzonki. Pozycja do strzału nie była idealna, ale Promień bał się ruszyć z miejsca, by nie spłoszyć wspaniałej zdobyczy. Nic dziwnego, że nie poznał w pierwszej chwili, jakie stworzenia ma przed sobą. Wszystkie skóry jednorożców w sali myśliwskiej pałacu Brin-ta-ena były płowe jak piasek, a wizje malarzy z podziwu godną konsekwencją przedstawiały wiotkie istoty na patykowatych nóżkach i z rogami prostymi jak miecze! Te tutaj były aż nazbyt realne. Promień czuł ostry zapach ich potu. Klacze były nieco mniejsze i bezrogie, za to ogier swym orężem mógłby bez wysiłku przebić i rozerwać każdego wroga.

Promień powoli naciągnął cięciwę do ust. Jednorożec postąpił krok, odsłaniając się bardziej. W tej chwili dał się słyszeć świst i inne zwierzę zachwiało się, stęknęło boleśnie, a potem padło na ziemię. Ogier ryknął krótko i spiął się do skoku. Rozdwojone kopyta trąciły krzak, który sypnął śniegiem. Strzała Iskry, wymierzona w nasadę szyi, trafiła w pachwinę. Zwierzę potknęło się, zaryło nosem w zaspę, ale natychmiast poderwało się do biegu. Reszta stada już zniknęła z tupotem między drzewami. „Ucieknie!” — krzyknął Promień w myśli. Bez zastanowienia uderzył swą zdobycz mocą ognia jak niewidzialną włócznią. Ogier upadł ponownie niczym rażony gromem. Raz tylko grzebnął kopytami i nie poruszył się już więcej.

\* \* \*

Lowcy z Bukowiny rozdzielili się, zapominając tymczasowo o obcym, który ich śledził. W razie czego mogli go zgubić w każdej chwili. Niemało było sposobów na pogmatwanie śladów lub urządzenie pułapki. Na wyrębie żerowały jednorożce — utuczone na grzybach i żołądźkach, obleczone już w zimowe szuby. Rijen zajął dogodne miejsce za grubym bukiem i gęstym kłębem kolczastych zarośli. Niemał natychmiast dostrzegł ogiera wyróżniającego się dorodnym rogiem. Resztę stada stanowiły samice, po jesiennych godach wszystkie pewnie już żrebne, oraz parę niedorostków. Rijen starannie wybrał na cel jednego z roczniaków, pasącego się na skraju i posłał mu strzałę pod łopatkę, gdzie bije serce. Stado spłoszyło się oczywiście. Ale na zdeptanym śniegu zostało jeszcze jedno martwe ciało — piękny ogier przewodnik. Osłupiały ze zgrozy Rijen patrzył, jak z ukrycia wyłazi intruz i z nożem pochyla się nad powalonym jednorożcem, jakby przyszedł do swego! Na dodatek był to ów zarozumiały Lengorijen z nosem niby hak do wędzenia słoniny.

— Nie rusz! — wrzasnął Bukowianin nie swoim głosem, wybiegając na otwartą przestrzeń.

— Czego? — warknął tamten. — Tam twoje leży! — wskazał kciukiem kierunku.

Rijen nie posiadał się ze złości. Chciwy sukinsyn! Głupiec z łbem wypróchniałym! Kto przy zdrowych zmysłach zabija przewodnika o pierwszych śniegach? Stado pójdzie w rozsypkę, część pewnie co zeżre, a wszystko dlatego, że temu głupkowi zachciało się rogu. Zabił ogiera, i to jakiego! Rijen z żalem popatrzył na powalone zwierzę. Myśliwi znali go i nawet nadali mu imię — jak człowiekowi — Awan. Oszczędzali go, bo płodził żrebce tak ładne i mocne, że daleko by szukać. A teraz wszystko przepadło!

— A ty czego tu węszysz? Twoja ziemia? Jak szczur w szkodę włazisz! Wynocha!

— Sam się wynoś! — odkrzyknął Lengorijen hardo, mocniej ściskając nóż. — Moja strzała, moja zwierzyna! Won, bo ci drugie usta pod brodą zrobię!

— Nic ci się nie należy! Złodziej! Złodziej! — zapał cienko Rijen, nie panując już nad sobą, i również sięgnął po nóż.

— Zostaw! — To Marake nadbiegł w samą porę, by powstrzymać towarzysza. Do jednego nieszczęścia nie powinno się dodawać drugiego. — To Awan — stwierdził niepotrzebnie, rzucając okiem na łup Lengorchianina. Rijen tylko kiwnął głową. Twarz wykrzywił mu gniew. — Zostaw — powtórzył Marake, a w jego głosie zabrzmiała, bezbrzeżna, pogarda. — Lengorijeny myślą, że jednoróżcowy szpic to dobry lek, jak któremu maczuga nie staje. Pewno i jemu tego trzeba.

Obraza była jasna, oczywista i niemożliwa do zignorowania. Lengorchianin rzucił nóż, a następnie rąbnął Marake w zęby.

\* \* \*

Promień wygrałby, gdyby tamci mieli choć szczyptę honoru. Walka nie była uczciwa. Rijen wmieszał się, zamiast stać z boku. Raptem zrobiło się dwóch na jednego. Dość szybko Promień skończył z twarzą wciśniętą w śnieg i bokami obolałymi od twardych pięści przeciwników. Kiedy go puścili, nie pozostało mu nic innego, jak pozbierać swoje rzeczy i opuścić plac boju. Gotując się z wściekłości, ruszył w las. Brnął w śniegu sięgającym wyżej kostki. Nie obchodziły go już tropy zwierzyny. Odebrano mu łup w sposób absolutnie bezczelny i niesprawiedliwy. Ci dwaj zachowali się jak... jak smoki. A może i gorzej. Promień w złości nawet nie pilnował drogi. Było mu wszystko jedno — zgubi się czy nie. Przepędziła go wściekłość. Ogromnie żałował, że nie mógł sobie pozwolić na użycie talentu wobec tych drani. Popamiętaliby! Zaczął biec, patrząc wyłącznie pod nogi jak byk atakujący ze spuszczonego łbem. Potknął się o jakąś gałąź ukrytą pod śniegowym puchem. Kolce złapały go za nogawkę, jakby chcąc zatrzymać.

— Świnie! Łotry! Opryszki! Gównojady...! Wytrzebione... parszywe kurogrzmoty... w mordę im ośli pęcherz! — warczał pod nosem najgorsze obelgi, jakie przyszyły mu na myśl.

Najbardziej bolało go przypuszczenie, przegradzające się coraz bardziej w pewność, że tamci przywłaszczą sobie jego zdobycz jako własną i nikt nie uwierzy w Promieniowy wyczyn. Może to właśnie sprawiło, że nie zauważył czyhającego niebezpieczeństwa i wrócił do rzeczywistości, gdy było za późno — bo stracił już grunt pod nogami.

Bywają miejsca, w które woda deszczowa spływa do naturalnych niecek, skąd nie ma odpływu. Takie zagłębienia są jak wielkie, ciepłe wanny, gdzie radośnie pleni się wodna roślinność i niezliczone rzesze komarów. Z upływem lat te płytkie zbiorniki zarastają szuwarem oraz grubym kożuchem wodorostów, na nim zaś

z kolei zasadzają się bezczelnie bagienne trawy, mchy, a nawet małe krzaczki. Nieostrożny wędrowiec, który wejdzie na powierzchnię takiego torfowego stawu, wyczuje, jak grunt faluje mu pod nogami niby galareta. Jeśli ma choć odrobinę rozsądku, czym prędzej oddali się z niebezpiecznego rejonu. Chyba że ma koniecznie życzenie zostać pokarmem dla raków.

Rozpęd, jaki nadało Promieniowi zejście z pochyłości, wyniósł go parę kroków za daleko. Poczuł, jak niepewne jest podłoże, a potem nagle wpadł po pachy do zimnej topieli. Odruchowo rozrzucił ramiona, chwytając najbliższe kępy. Łęczysko łuku wpiło mu się w podbródek, ale przynajmniej nie zapadł się głębiej. Próbował namacać stopami twarde dno, lecz bezskutecznie.

— Idiota — westchnął chłopak głośno. Ten dzień nie zaczął się dobrze, a dalej szedł ku coraz gorszemu. Przynajmniej tego mógł sobie oszczędzić — kąpieli w lodowatym, śmierdzącym bagnie. Zanim wygrzebie się stąd, na pewno się przeziębi, a może nawet dostanie zapalenia płuc. Spróbował podciągnąć się na rękach, wyczołgać, lecz niepewna powierzchnia trzęsawiska, zmarznięta tylko po wierzchu, zaczęła trzaskać podejrzenie i zapadać się.

— Gówniany los — mruknął Promień, wciąż bardziej zirytowany niż przestraszony. Spróbował znów zgruntować, lecz nadal jego stopy nie znajdowały oparcia w rzadkim szlamie. Równie dobrze dno zbiornika mogło znajdować się pół łokcia niżej, jak i pikę czy dwie. Wyrzucał sobie nieostrożność. Przecież wystarczyło spojrzeć uważniej, by dostrzec wystające spod śniegu oszronione pędzle rurkowej trawy bagiennej. Każdy, kto nie ma wyłącznie powietrza między uszami, powinien omijać takie miejsca.

— Cholera. . . — jęknął chłopiec w przestrzeń. — Cholera. . . ratunku. . . ! Zielonooka. . . grasz nieczysto, wiesz? — dodał z pretensją. — Po to zmartwychwstałem, żeby utopić się w tym garnku z żabami?

W akcie desperacji usiłował wydostać się w twardsze miejsce i zapadł się prawie po brodę. Zaczął szczękać zębami z zimna, lecz bał się używać talentu, by ogrzać błoto dokoła. Jeżeli stopnieje lód, bardzo szybko pójdzie na dno, nie znajdując już żadnego oparcia. Wodne chwasty i ciężar namokniętego ubrania wykluczały pływanie. Promień uświadomił sobie, że nikt z towarzyszy nie będzie go szukał aż do zmroku, czyli jeszcze przez wiele godzin. Po głowie zaczęły mu chodzić ponure myśli i pojawiać obrazy koni i bydła utopionego w bagnie.

— Ratunku!! Pomocy!! Tonę!! Ratunku!! — wrzeszczał przez dobre kilka minut w płonnej nadziei, że ktoś go usłyszy. Nasłuchiwał, a potem znów krzyczał. W końcu zaprzestał tych wysiłków. Znajdował się w samym środku wielkiej puszczy. Prędzej bogowie usłyszą go w niebie niż jakiś człowiek tutaj. Bardziej prawdopodobne było, że jego rozpaczliwe nawoływania sprowadzą stado głodnych wilków. Promień już widział je oczami wyobraźni, jak podchodzą na swych szerokich, kosmatych łapach, dyszą, oblizują się łakomie, ich czerwone paszcze zieją smrodem. . . Zacisnął powieki, odpędzając okropną wizję.

— Spokój, spokojnie... bywało gorzej... — wymamrotał. — Myśl! Myśl!

W rzeczywistości było jednak o tyle gorzej, że tym razem stawiał czoło niebezpieczeństwu całkiem samotnie. I nigdzie nie widział możliwości ratunku. Na kolejny cud nie było co liczyć. W heroicznych opowieściach nad tonącym w bagnie bohaterem zwykle znajdowała się zbawcza gałąź albo ratował go niezwykle mądry pies... albo koń... albo pojawiała się czarodziejka zaklęta w żabę... Ciekawe, że zawsze jakoś im się upiekło. Promień miał jednak niejasne podejrzenia, że na każdego takiego śmiałka przypadało ze dwudziestu, którym się nie powiodło, i nikt nie ułożył o nich pieśni. Oczy chłopaka gorączkowo szukały drogi ratunku — kamienia, mocniejszej kępy, niskiej gałęzi, której mógłby dosięgnąć. Niestety, niczego w zasięgu ręki... Drzewo! A gdyby zdołał przepalić jeden z konarów na tyle, by spadł obok? Możliwe, że na nic to się nie zda albo ciężki kawał drewna spadnie mu na głowę i uśmierci natychmiast. Jednak było to lepsze od tonięcia na raty połączonego z powolnym zamarzaniem. Promienia bolały już stawy z zimna. Lepiej zacząć coś robić, póki jeszcze może poruszać zziębniętymi palcami. Wybrał młode drzewo rosnące krzywo prawie na skraju trzęsawiska i rozpoczął żmudną pracę przepalania pnia. Świeża, żywa tkanka stawiała opór. W powietrzu unosiło się mnóstwo gryzącego dymu. Niespodzianie znów zaczął padać śnieg. Białe puszkki kołowały z wdziękiem nad ziemią. Płatek za płatkim, coraz więcej i więcej, aż stworzyły gęstą ruchliwą zasłonę. Przyciągały wzrok, zmuszały do śledzenia ich drogi na dół. Chłopcu wydało się nagle, że nie tylko ruszają się, ale i mrugają jednostajnie. Nie wiadomo skąd przypląnęła zupełnie absurdalna woń ciasta z jabłkami. W śnieżnej kurtynie zaczęły pojawiać się wykrzywione maski. „Tylko nie to...!” — zdążył pomyśleć w panice, a potem czas przestał dla niego istnieć.

\* \* \*

Dwaj łowcy oprawiali mniejszą zdobycz. Wprawnie ściągnęli skórę, a potem układali na niej kawałki mięsa, ciemnoczerwoną wątrobę, język i ścięgna, które po oczyszczeniu przydać się miały do sporządzania łuków.

— Będzie co nieść — mruknął Rijen. — Tamten jeszcze większy. Przynajmniej kubrak mu zedrzejmy, bo jak stężeje, to siekierą będziemy go rąbać.

— Było go zostawić tamtemu. Sam by to teraz obrabiał — odparł Marake. — Trzeba będzie na jesionie Awana zawiesić, albo co. Lisy już się po krzaczki szukają.

Rijen wytarł zakrwawione ręce śniegiem i wyprostował zgięte plecy. Nasłuchiwał przez chwilę.

— Słyszalesz?

— Co?

— Jakby kto wołał. Ee, chyba mi się zdawało — Rijen potrząsnął głową.



Nie dalej jak dziesięć kroków dalej leżała tusza przewodnika. Skradał się do niej na ugiętych łapach chudy lisek. Zwierz musiał być bardzo głodny i zdesperowany — może i chory, skoro odważył się podejść tak blisko do ludzi. Podkulając niepewnie ogon, pokazał jednak zęby. Z pyska zwisała mu cieniutka nitka śliny. Rijen błyskawicznie złapał łuk. Strzała opatrzona kościaną świstawką z przeraźliwym gwizdem wbiła się w ziemię między lisimi łapami. Przestraszone zwierzę podskoczyło i umknęło w las.

— Trzeba było ubić — odezwał się Marake.

— Oczu nie masz? To łachacz. — Rijen wzruszył ramionami. — Zje ostatki, jak odejdziemy. Mało masz roboty, żeby jeszcze tę mizerotę ze skóry obdzierać?

Poszedł po strzałę, a przy okazji wyciągnąć te należące do Lengorijena. Wy-rwał pocisk tkwiący w pachwinie jednoroźca. Szukał drugiego.

— Marake!

— Czego?!

— Chodź no tu!

Myśliwy niechętnie oderwał się od pracy. Podszedł, za przykładem towarzysza ocierając dłonie garścią śniegu. Rijen wskazał palcem łup.

— Gdzie strzała? Druga. Od trafienia w zadek zwierz trupem nie pada.

— Na pewno jest.

— Gdzie? Bo ja nie widzę.

— Musi być.

Marake zaczął obmacywać kadłub martwego jednoroźca. Bywało, że pocisk wystrzelony z bliska krył się w środku razem z pierzyskiem, a nawet potrafił prze-szyć zdobycz i polecieć dalej. Tym razem jednak nie znalazł niczego. Żadnej ra-ny skrytej w sierści, żadnej krwi. Tylko w jednym miejscu poniżej twardej kości piersiowej wypalona była łysinka z wielkości i kształtu podobna do pająka, jak-by ktoś napiętnował zwierzę rozpalonym żelazem. Łowca wzruszył ramionami, potem rozłożył bezradnie ręce.

— Dziwne to jakieś. Ale robota czeka.

Miał słuszność. Nie zrobili nawet połowy.

Trzeba było obedrzeć i wypatroszyć to wielkie cielsko, a potem podciągnąć na linie wysoko między gałęzie, żeby nie dobrały się do niego wilki i lisy. Nawet nie było co marzyć, by zabrać tyle mięsa na raz. Trzeba było wrócić tu nastę-pnego dnia z pomocnikami. Ogier jednoroźca miał bez mała rozmiary konia. Choć był bez wnętrzości, ledwo we dwóch przeważyli jego ciężar. Śnieg znów zaczął prószyc, co nie ułatwiało pracy.

— Niech no ja jeszcze dorwę tego obwiesia — sapnął Marake, macając obo-łały grzbiet. — Wepchnę mu ten śliczny łuk w tyłek, a potem gardłem wywlokę.

Rijen nagle przerwał rolowanie skóry. Węszył podejrzliwie. Między zwykłe zapachy — krwi, śniegu, martwego listowia — wkradła się nowa, niepokojąca woń.

— Dym!

— Nie pora na pożogi. Ktoś ogień rozpałił?

— Trzeba by spojrzeć — mruknął Rijen z wahaniem, bo niezbyt mu się chciało nadkładać drogi. Spojrzał na nitkę u szczytu łączyska, która wychylała się leciutko, wskazując kierunek wiatru. Jak rzekł Marake, nie była to pora pożarów lasu — największego zagrożenia tutejszych mieszkańców. O tej porze ogień mogli rozpałić tylko ludzie. Prawdopodobnie inna grupa myśliwych albo zbieraczy chrustu, którzy postanowili odpocząć i ogrzać się. Jednak tyle dymu, że było go czuć z daleka, dawać mogło duże ognisko, a komu takie potrzebne na tymczasowy popas? Między drzewami przeleciał żółto brzuchy stróżyk, trzepocąc gwałtownie skrzydłami i skrzecząc szybko, jakby kto po desce nożem skrobał. Nad wierzchołkami drzew kołowało spłoszone stadko gołębi. Gdzieś w głębi lasu pyskował głośno bobak.

— Coś niepokoi zwierzynę. Chyba lepiej nadwerezzyć kulasy — osądził łowca i z westchnieniem zaczął gotować się do drogi.

— Lepiej samemu nie łązić. Całe mięso na sosnę, a potem razem nawrócimy. Tam Czaplisko, pewno rybaki po brzegu buszują.

\* \* \*

Padający śnieg nie zdążył jeszcze zakryć śladów Lengorijena. Natknęli się na nie prawie od razu. Nie obeszło to ich z początku. Potem jednak, kiedy nierówny trop tańczył przed nimi, ciągle włączając w oczy, bezwiednie zaczęli go śledzić, zwłaszcza że zapach spalenizny stawał się coraz silniejszy. W pewnej chwili Marake znalazł w śniegu pojedynczą irchową rękawicę.

— Niech skonam, jeśli on znów czego nie nabroił — mruknął pod nosem, otrzepując znaleźisko.

— Nie chcę krakać, ale coś mi się widzi, że ten półgłówek idzie prosto na moczadło — rzekł Rijen z niepokojem.

— Et, głupstwa. Oczy chyba ma. Znaki po brzegach zrobione.

— Obcy tu jest. Nie zna okolicy. Szedł za nami, bo pewno bał się zgubić. A jak mu się co stanie?

— Serduszko masz po babsku miękkie.

— Zawrzyj się! — warknął Rijen i przyspieszył kroku, pochylając nos nad śladami jak pies gończy.

Najpierw zobaczyli kłęby dymu. Paliła się krzywa sosenka, walcząca dotąd o byt na podmokłej glebie. Płomień lizał ją od dołu, pożerając żywiczny miąższ, krtuszając się i prychnając z niesmakiem topniejącym śniegiem. Nie było czasu na zdumienie, gdyż obok, pośrodku ciemnej łąty podeszłej wodą zmarzliny sterczała głowa i dwoje rąk.

— A żeby to zdechła wrona obesrała! Wykrakałeś! — burknął Marake ponuro. Na próżno Bukowianie zrywali gardła. Tonący chłopak najwyraźniej ich nie słyszał. Oczy miał otwarte, lecz nic nie wskazywało, że widzi cokolwiek. Woda dochodziła mu już prawie do ust. Na powierzchni utrzymywał go jedynie łuk, który zaparł się końcami w bagienną roślinność. Rijen jako lżejszy próbował wejść na powierzchnię trzęsawiska, lecz prawie od razu jedna noga zapadła mu się prawie po kolano i musiał się wycofać.

— Promień!! Promień!! Patrz na mnie! Promień!! Złap sznur! Promień!! — Rijen przypomniał sobie imię chłopca i wrzeszczał je prawie do ochrypnięcia, lecz bez skutku.

— Zamroczyło go. Za długo tam tkwi — powiedział Marake. — Nic nie poradzisz.

— A właśnie że poradzę! — krzyknął Rijen i z twarzą zaciętą w dzikiej furii zaczął zdzierać z siebie ubranie.

— Co ty chcesz zrobić?!

— Jestem lżej... lżejszy... od ciebie — stęknął Rijen, ściągając bluzę przez głowę. — Przeczolgam się. W razie czego... ściągniesz mnie z powrotem.

— O Leśny, okaż miłosierdzie — mruknął Marake do siebie, wiążąc na końcu liny pętlę zaciskową.

Rijen wsunął się na nadwerężony kozuch torfowiska płasko niczym wąż. Starał się jak najszerzej trzymać ręce i nogi, by rozłożyć ciężar na większej powierzchni, co z kolei upodabniało go do pajaka. Śnieg dostawał mu się za koszulę. Zacisnął zęby. Woda chlupotała pod brzuchem, bagnisko kołysało się lekko, jakby drwiąc groźnie: „jeszcze jeden ruch, jeszcze chwila i...”. Z bliska widać było, że Lengorijen ma źrenice skurczone jak nakłucia kolcem. Powieki drgały mu miarowo, w kątach uchylonych ust zbierała się ślina. Rijen zacisnął pętlę ze sznura na jego ręce, najwyżej jak się dało. Na powierzchni zmarzliny było wody już na pół dłoni wysoko.

— Ciągnij! — zawołał Rijen, wycofując się rakiem. Dopiero gdy bezpiecznie dotarł na brzeg, Marake zaparł się mocno i zaczął wybierać linę. Oparzelisko niechętnie oddawało swoją zdobycz, ale w końcu jego niedoszła ofiara znalazła się w bezpiecznym miejscu. Dygocący, mokry Rijen wciągał na grzbiet odzienie, a Marake starał się ocucić Promienia w mało delikatny sposób — bijąc go po twarzy i uszach płaską dłonią. Rijen spojrzał krzywo na te zabiegi, po czym podszedł do tłącej się sosenki i ugasił drzewko paroma garściami śniegu.

\* \* \*

To było bardzo, bardzo nieprzyjemne. Promień chciał spać. Dlaczego nie pozwalają mu odpocząć? Jacyś ludzie krzyczą, na niego, czegoś żądają, czegoś się

domagają. Bełkot. Niczego nie rozumie. Siłą stawiają go na nogi, chociaż te same załamują się w kolanach. Ten o grubym głosie podtrzymał go i znów uderzył w twarz. Co jest...?

— Musisz wstać! Stój prosto, do nędzy parszywej! Nogi masz całe! Chcesz żyć czy nie?!

Umysł Promienia przypominał zardzewiały mechanizm, który z trudem można było ruszyć z miejsca. Czy on chce żyć? Czy chce...

— Chcę... odpocząć — powiedział niewyraźnie i osunął się z powrotem na zdeptany śnieg. Znów krzyki, szarpanie za włosy. Było mu wszystko jedno — zmęczą się niebawem i dadzą mu spokój. Nie zrezygnowali. Ten starszy złapał go za głowę, naciągnął mu skórę na czole, aż chłopak był zmuszony otworzyć oczy. Zobaczył swój własny łuk, trzymany przez obcą rękę.

— Jeżeli natychmiast nie pozbierasz się do kupy, połamię to cacko na drobne kawałki i rzucę w bagno!

Podziałało lepiej niż kolejny policzek.

— Od... daj.

— Nie! Wstawaj i sam weź!

\* \* \*

Nie było mowy, by zdołali zabrać cokolwiek ze zdobyczy. Ani o tym, by próbować dojść do Miasta Na Drzewach. Prowadzili półprzytomnego, ślaniającego się Promienia między sobą. Mechanicznie, sztywno stawiał kroki. We włosach miał kryształ lodu, biała skorupa tworzyła się na jego mokrym ubraniu. Zziębnięty, wściekły Rijen prawie mu współczuł. Jeśli jemu było zimno w mokrej koszuli i spodniach, to tamten chyba po prostu umierał z wychłodzenia. W pewnej chwili Bukowianin usłyszał, że Lengorijen mamrocze coś we własnym języku. Może się modlił, a może przeklinał. Cokolwiek to było, jeżeli utrzymuje chłopaka w jakiej takiej przytomności, niech trwa jak najdłużej. Chata Garuna Samotnika stała po drugiej stronie jeziornej zatoki. Jego siedlisko było zagłębione w gruncie niczym grzyb bojanek, a do tego zasłonięte ze wszech stron jałowcami. Niewtajemniczony mógł przejść obok, pojęcia nie mając o istnieniu tej leśnej kryjówki. Kiedy tam dotrą, będą wreszcie bezpieczni. Ogrzeją się i zaspokoją głód.

\* \* \*

— Namaścił pachnidłem swe włosy i paliję wdział płową, miecz lśniący u jego boku, chmur dosięgał głową... — szeptał Promień, starając się dopasować rytm marszu do wiersza. — Jak tam dalej było? Dosięgał głową... dosięgał... Słońce złote czoło kładzie w królestwo podziemi, Zachodu bramy, lecz potem świt

zwycięskim promieniem zdobywa... ramtam-tamtam-ramtam-tam-tam... i łzami niebo obmywa spieczoną twarz ziemi...

Marzył o tym, by położyć się i zasnąć, nawet jeśli byłaby to ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu. Atak wyczerpał go zupełnie. Nienawidził tej swojej ułomności, która objawiała się zawsze nagle i zwykle w najbardziej nieodpowiednich momentach. Pół biedy, gdy były to te krótkie chwile „zawieszenia”, kiedy tracił świadomość tylko na kilkanaście sekund. Dezorientacja mijała szybko. Czasem coś upuszczał, ale to można było łatwo zatuszować jakimś wykrętem. Nikt nie zwracał na to uwagi, prócz oczywiście starego księcia, który wściekał się na gapiostwo syna. Przez lata zbierał doświadczenia, więc wiedział, co spowoduje chorobę. Nauczył się rozpoznawać ostrzegawcze znaki nadchodzącego niebezpieczeństwa: dziwne zapachy znikąd, nagłe sztywnienie karku, a czasem podwójne widzenie. Unikał patrzenia, na ostre błyski słońca odbitego od powierzchni wody, a także na płomyki świec. Wrogami były wypolerowane blachy oraz lusterka łowiące blaski. A teraz do listy rzeczy niebezpiecznych powinien dodać jeszcze padający śnieg. Zapowiadała się ciężka i ogromnie męcząca zima.

— Strażniczka stoi w progu i obraca oczy na tego, na tamtego człeka, na kogo skinie, w bogów krainy wieczysta podróż go czeka. Bądź pozdrowiona, Pani Łuku, co krańce ziemi spina... bez bojaźni pójdę... bez bojaźni... pójdę tam... cholera, jak to dalej idzie... Nie upaść... raz, dwa, trzy, cztery... Choć imię jego w kamieniu ryte na głębokość grotu, a jeno tyle trwałe, co ludzka pamięć warta. I morze wiatr wypije, i góra co wieczna się zdaje, na proch będzie starta. Nad losem płaczą bohatera...

Strzępy wierszy wygrzebywane z pamięci były jak ochronna formuła. Bez nich poddałby się od razu. Bez nich i bez ramion dwóch niespodziewanych towarzyszy, którzy trzymali go mocno z obu stron, zmuszając do ruchu. Zdążył już stracić nadzieję, że owa koszmarna wędrówka skończy się kiedykolwiek, więc kiedy wreszcie usłyszał cudowne słowo: „dotarliśmy”, prawie nie wierzył własnym uszom.

— Dotarliśmy — powtórzył Rijen.

Promień jeszcze chwilę bohatersko trzymał pion, po czym łagodnie złożył się na podobieństwo ciesielskiego przymiaru.

\* \* \*

Wyływał na powierzchnię snu powoli, z trudem, jakby wygrzebywał się z kreciej nory. Nareszcie było mu ciepło — cudowne uczucie. Leżał skulony, spowity w coś miękkiego. Przez moment wydawało mu się, że jest w swym wielkim łożu, w wysokiej komnacie pałacowej. Otworzył oczy. To były grube, puchate, miękko wyprawione futra. Na wyciągnięcie ręki znajdowało się palenisko,

gdzie wolno zwęglaly się grube polana. W gorącym popiele, z boku, tkwił prymitywny gliniany garnek. Pachniało dymem, ziołami, żywicą i garbarnią. Promień usiłował przypomnieć sobie, co wydarzyło się między jego upadkiem przed wejściem a obecnym przebudzeniem. Pamięć jednak podsuwała tylko porwane, mętne wspomnienia. Pokryta cienką warstwą lodu odzież trzeszczała, kiedy ją z niego ściągnano. Bolały go potwornie zeszywniałe ręce i stopy. Pamiętał jeszcze paskudny smak samogonu oraz błogosławione ciepło rozlewające się z żołądka po całym ciele. Nie miał pojęcia, jak długo spał — ścięty alkoholem i słabością po ataku choroby.

Od strony nóg Promienia siedział na niziutkim zydelku Rijen i czesał się leniwymi ruchami niczym senny kot. Miał na sobie wyłącznie jakiś bezkształtny łach z szarego płótna. Promień z legowiska na podłodze miał doskonały widok na jego długie nogi. Jeszcze na pograniczu jawy, ospały i gnuśny, gapił się bezmyślnie na owe kończyny, póki nie dotarło doń, że coś z nimi jest nie tak. Rijen miał małe stopy, krągłe kolana i szczupłe łydki. Bardzo mało owłosione. Właściwie prawie wcale. Iskra przeniósł wzrok wyżej. Zamyślony łowca wpatrywał się w płomienie, raz za razem machinalnie przeciągając grzebieniem po czuprynie. Miękkie pomarańczowe światło wyzłacało drobne piegi na gładkich policzkach, kładło ruchliwe plamy na brązowych pasmach włosów. Jaki chłopak usiadzie w ten sposób: z kolanami razem, jakby się bał jajecznego złodzieja? — zastanowił się Promień. — I czemu się tak wyczesusuje? Takie ściernisko to wystarczy cztery razy przegrabić. Chyba że...”

— Hej... — odezwał się głośno.

Rijen aż podskoczył. Upuścił grzebień i odruchowo obciągnął koszulę, usiłując zakryć kolana.

— Ty jesteś... dziewczyną! — wybuchnął Promień wstrząśnięty.

— No i co z tego? — warknął Rijen, a może raczej „warknęła”.

— Przegrałem z dziewczyną?!

— Powiniennem zostawić cię w bagnie — powiedziała Rijen z irytacją.

Promieniowi na moment zabrakło głosu. Za dużo zważyło się na niego na raz. Czuł, że dał z siebie zrobić durnia. W dodatku ten... ta Rijen strzelała lepiej od niego!

— Co to za głupoty? Dlaczego mówisz o sobie jak mężczyzna? „Powiniennem”, „szedłem”, „zrobiłem”?!

Wzruszyła ramionami.

— Ja jestem mężczyzną, dlatego. Przecież chłopak nie może mówić „zjadłam” albo „poszłam”.

— Wybacz, ale ktoś, komu wąsy nie rosną i kto nie ma tego... wiesz czego... nie może być mężczyzną.

— Może — odparła z godnością. — Może, jeśli złoży Przysięgę Miecza.

Ach, tak. . . Oblubienice Miecza. Promień słyszał o nich, choć nie była to wiedza kompletna, a także szczególnie pożądana. Kobiety, które mogły używać broni większej niż nakazany obyczajem sztylecik. . . Niewiasty w męskich strojach. . . wojowniczkki — kłócił się ten obraz z porządkiem świata i łatwiej było go zepchnąć w przeszłość, pomiędzy legendy. Najstynniejszą z nich była Kianur Zawsze-Nigdy. Królewska córka, która po śmierci ojca włożyła jego zbroję i poprowadziła armię do zwycięskiej bitwy, a potem objęła tron jako król, a nie królowa. Było to jednak tak dawno, że niewiele zostało zapisów o pierwszej Zaślubionej Ostrzu, a niektórzy uczeni nawet powątpiewali, czy kiedykolwiek istniała naprawdę. W obecnych czasach składanie Przysięgi Miecza było ogromnie rzadkie. Na tyle, by Promień po raz pierwszy w życiu zetknął się z takim przypadkiem. Koczyło go, by spytać, czy rzeczywiście jednym z warunków, jaki musi spełnić kandydatka do męskich przywilejów i obowiązków, jest nienaruszone dziewictwo. Odpędził tę pokusę, przypuszczając, że odpowiedź Rijen by go nie zadowoliła w najmniejszym stopniu. Najprawdopodobniej dostałby po prostu w łeb. Zamiast tego spytał:

— Dawno złożyłaś przysięgę?

— Ponad cztery lata temu.

— I twoja rodzina się zgodziła?

Rijen, patrząc w bok, wzruszyła ramionami.

— Nie miał kto protestować. Rodzice pomarli. Zostałem tylko ja i moje dwie siostry. Nie miał kto dziedziczyć rodowego imienia. A tak, to ja będę je nosić, a potem moje dziecko.

Kto by się spodziewał, że w tak zapadłym kącie gdzieś w puszczy Promień spotka kogoś równie wyczulonego na sprawy rodowe, jak on sam?

— Ale przecież wam, Zaślubionym Mieczowi, nie wolno mieć dzieci. Nie bierzecie sobie mężów ani kochanków — zauważył trzeźwo Iskra.

— Kiedy smarkate dorosną i pójdą za mąż, będę miał prawo przysposobić siostrzanego syna — wyjaśniła Rijen. — Ale to jeszcze potrwa, bo Tiali idzie dopiero na dwunasty rok, a mała nawet dziesięciu nie ma.

— A ile ty masz?

— Dwadzieścia jeden. — Uśmiechnęła się jednym kątem ust. — Pewno i tego nie zauważyłeś, hakonosy?

— Poznać dość trudno — odciął się chłopiec. — Piersi ci natura nie dała. Za to wzrostu w nadmiarze. Jaśnie Pani Drabina!

Rijen zignorowała zaczepkę. Pomacała schnące przy ogniu ubrania. Odsunęła nieco dalej bluzę Promienia, żeby skóra nie skurczyła się z nadmiaru gorąca. Uznała, że jej własne spodnie podeschły na tyle, by je móc włożyć. Promień demonstracyjnie oglądał ścianę, kiedy Rijen się ubierała.

— W każdym razie dziękuję. Dziękuję, żeś mnie wyciągnęła — odezwał się tonem niby obojętnym. Z jakiegoś powodu zawsze łatwiej przychodziły mu sprzeczki niż wyrażanie wdzięczności.

— Dobrze — skwitowała to jednym słowem.

Nie powiedziała „nie ma za co” ani „drobnostka”, bo było za co dziękować i nie był drobiazgiem jej czyn. Po prostu „dobrze” — dobrze się skończyło.

— Oko masz celne, ale po lesie łazisz jak ślepy. Nie widziałeś, że tam bagno? — dodała z irytacją.

— Nie widziałem. Wszystko zasypane. U nas śnieg nie pada. Za to ty pewnie z dzungli byś żywa nie wyszła. Zaraz by cię wąż ukąsił albo jadowity pająk.

— Chodziłeś po gorących lasach?

— Pewnie. Nieraz zwierzynę podchodziłem w puszczy. Czasem trzeba było się czołgać w błocie, czasem mrówki człowieka obłaziły — wielkie na palec. A czasem wąż się trafił. Najgorsze te małe kolorowe — jadowite, a mięsa z nich mało.

— Kto cię uczył tropienia?

— S-ssam — Promień w ostatniej chwili ugryzł się w język. O mały włos nie powiedział: „smoki”. — Sam się uczyłem. Miałem kiedyś panterę. Patrzyłem, co ona robi i robiłem to samo.

— To żadna nauka, samemu. A tu trzeba wiedzieć: ile zwierzyny wolno ustrześć, w jakiej porze i kiedy — powiedziała Rijen. — My w tym lesie żyjemy od pokoleń. Jak własny dom go znamy. A w domu ład trzeba mieć. I gość, co w szkodę wchodzi, nie jest miło widziany — dodała, patrząc w oczy Promieniowi.

— Jak gość jest nieświadomy, to go trzeba pouczyć, a nie obrażać i bić. W dodatku dwóch na jednego — odparł zgryźliwie.

Promień rozglądał się po wnętrzu chaty. Była mroczna i duszna. Dwa małe świetliki umieszczone pod samą powałą wpuszczały odrobinę dziennego światła oraz nieco świeżego powietrza. Dym znad paleniska odprowadzała wielka tuba upleciona z wikliny i wylepiona od spodu gliną dla ochrony przed iskrami. Podłogę stanowiła warstwa twardo ubitej gliny gdzieniegdzie przykrytej trzciniowymi matami, ciężki dach, przysypany dla ciepła ziemią i liśćmi, podpierały trzy słupy sporządzone z ledwo okorowanych pni. Budowniczy zostawił na nich większość sęczków, które teraz służyły za wieszadła. Wisiały na nich całe pęki skórek, naszyjniki z suszonych owoców nanizanych na sznurki, jakieś woreczki o nieznannej zawartości, podbieraki i siatki. Od razu było widać, że chatkę zamieszkuje myśliwy i rybak. Rijen zajęła się pracą. Wyciągnęła z kosza garść jakichś skorup oraz narzędzia. Wybrała białawy owal, zaczęła wiercić w nim dziurę. Zaciekawiony Promień obserwował, jak jedną ręką trzyma pewnie długi trzpień wiertła, a drugą miarowo porusza malutkim łukiem, którego cięciwa wprawiała w ruch ostrze. Brakło jej ręki, więc przytrzymała cienką płytkę bosą stopą.



— Co robisz? — zapytał wreszcie, nie mogąc rozszyfrować tajemniczych czynności.

— Końskie klapki — odpowiedziała natychmiast.

— Nie nabijaj się ze mnie!

— Osłony na oczy.

Wiertło przeszło na wylot. Rijen zdmuchnęła biały pył i ustawiła ostrze w nowym miejscu kawałeczek dalej.

— Po co? Do czego potrzebne? — dopytywał się Promień. — To drewno, kamień czy może kość?

— Aleś ciekawy. Kość. Najlepsze kawałki są z łopatk. Teraz nawiercam z brzegu, potem od tych dziurek trzeba zrobić nacięcia w poprzek, a na koniec dwa takie plastrony łączy się razem.

Rijen sięgnęła znowu do koszyka i rzuciła coś chłopcu.

— Tak wyglądają gotowe.

Dwie kościane płytki pocięte były wąziutkimi szparkami i osadzone w misternej plecionce z białego, surowego rzemienia. Jego długie końce najwyraźniej służyły do tego, by związać je z tyłu głowy. Promień na próbę przyłożył osłony do twarzy, zerknął przez nacięcia.

— Można robić podobne z plastrów rogowych, ale tamte lubią się wykruszać. Te lepsze — ciągnęła Rijen, wciąż zręcznie poruszając świdrem. — Nam to w lesie niepotrzebne. Hajgowie biorą.

— A im po co?

— Ale ty zielony jesteś... W górach jak śnieg mocno w słońcu błyszczą, to zaślepnąć łatwo. Oczy pieką, puchną... I bez tego na osuwiskach łatwo kark skrócić.

— Więc handlujecie z Hajgami? — powiedział z namysłem Promień, obracając w rękę wyrób Rijen. — Ale chyba nie tylko tym?

— Nieee. Zawsze chcą miodu i soli. I barwionego płótna. Najbardziej lubią niebieskie. Żebyś ty wiedział, ile trzeba żuków zebrać po krzakach, żeby jeden łokieć ufarbować! Sto światów! — westchnęła Rijen, ale nie widać było po niej szczególnej troski.

— To niebieską farbę u was robi się z robaków?

— A u was nie?

— U nas... eee... ze ślimaków.

— Jedno i drugie paskudztwo.

— A czym płacą górale? — indagował Promień. Rijen rozgadała się, więc należało to pożytecznie wykorzystać.

— Miedzią, wełną, czasem złotem. A złoto wymieniamy z eligą od północnej strony, na żelazo i cynę.

— A z żelaza, i brązu robicie noże, miecze i narzędzia..

— Robimy. I to dobre.

— Czy powinnaś mówić mi takie rzeczy? Przecież ja jestem obcy.  
Rijen rzuciła chłopcu kose, nieco drwiące spojrzenie.

— To żadne tajemnice. Zwyczajne sprawy. Jak kto tu ma tajemnice, to chyba ty. Może mi powiesz, jak zabiłeś jednoróżca?

Promień spochmurniał. Coś się tu kroilo. Źle zrobił, używając talentu na zwierzęciu pod bokiem tutejszych łowców. A jeszcze gorzej się stało, że jego zdobycz wpadła w ich ręce.

— Zastrzeliłem — burknął krótko. — Głupie pytanie. Oczu nie masz?

— Mam. I jakbym ich nie wypatrywał, to tej celnej strzały dojrzeć nie mogłem — Rijen nadal uparcie używała męskiego rodzajnika. Może zresztą nie był to upór, tylko przyzwyczajenie.

— W chaszczę poszła — mruknął chłopak i usiłował zmienić temat. — Kto weźmie skórę?

— Marake z Garunem poszli po łupy. Wedle prawa róg należy do ela. Mięso idzie do podziału, a skórę bierze myśliwy. Ale ja bym się za bardzo nie chwalił na twoim miejscu, że ubiłem przewodnika.

Myślałby kto, że to bydlę było święte, pomyślał Promień z irytacją. Sięgnął do swojego przyodziewku porozwieszanego na drągach i sęczkach. Wolałby ulotnić się z tego miejsca, zanim wrócą towarzysze Rijen. Niestety, ubranie nadal było wilgotne, a do tego roztaczało niemiłą woń mułu.

Niebawem nadeszli Marake wraz z gospodarzem samotnej chałupki obciążeni mięsem jak juczne konie. Oczywiście pierwsze pytanie, jakie zadała im Rijen, brzmiało:

— Znalezliście drugą strzałę Promienia?

— Nie — stęknął Marake, prostując obolały grzbiet. — Po prawdzie, żeśmy mało się rozglądali. Zmierzcha, czasu nie było.

— Czerwone pierzysko na śniegu ślepy by zobaczył — prychnęła Rijen.

— Jak czego nie ma, to ani się dojrzy, ani wymaca — odezwał się Garun, wiercąc Promienia przenikliwym wzrokiem. Skóra starca, garbowana przez dziesięciolecia słońcem oraz wiatrem, nabrała koloru i faktury spękanego błota. Tylko oczy błyszcząły w niej żywo jak pociągnięte niebieską farbą. Przez długą chwilę mierzyli się z Promieniem spojrzeniami, oceniając nawzajem. Chłopak siedzący na polepie, zawinięty szczelnie w futrzaną kołdrę, usiłował wyglądać hardo nawet w tych niesprzyjających warunkach.

— Strzała, strzała... — zagderał Garun. — Na co jemu strzała? Jemu ani łuk nie potrzebny. Tacy to słowem zabijają, dzieciaki moje. Nie musisz się tak zakrywać — zwrócił się wprost do Iskry. — Już ja sobie dobrze obejrzałem to twoje piętno. I znak na Awanie, jak od pioruna. Serce miał rozerwane, jakby mu krew we środku zawrzała. Ot, doczekałem się na stare lata. Podpalacz pod mój dach zawitał.

Sięgnął na półkę po długi nóż z brzeszczotem cienkim od ciągłego ostrzenia. Marake i Rijen gapili się na Promienia, jakby był beczką prochu z krótkim lontem.

— Ostrzegam — głos Iskry wydobywał się gdzieś z głębi trzewi niczym złowieszczy pomruk niedźwiedzia. — Ostrzegam. Odłóż ten nóż, bo pożałujesz.

Starzec poruszył tylko brwiami, po czym wręczył nóż dziewczynie ze słowami:

— Nakrój chleba, Rijen. I słoniny. Głodniśmy.

Przysiadł na dawnym miejscu Rijen, wyciągając sękaty palec do pełgającego ognia. Nalał z gliniaka do kubka pachnącego ziołami naparu i podał go Promieniowi. Zmieszany chłopak przyjął poczęstunek, łamiąc sobie głowę nad spodziewanymi konsekwencjami ujawnienia i tym, jak powinien właściwie zareagować.

— Myślałeś, że chcę twojej krzywdy? — odezwał się starzec spokojnym głosem. — Że wpierw gościa przyjmuję pod dach, a potem zechcę go mordować? Tu nie ma takich obyczajów.

— Nienawidzicie Lengorchian — odparł Promień. — A magów po tej stronie gór nic lepszego od stosu nie czeka.

— Hmm. . . Nie mamy za co was kochać. Dziad mój z wojny nie wrócił. Pod Rudawą tyle ino zostało z jego kohorty, że w jednej skrzynce ich wszystkich pochowali.

„Wędrowcy” — mignęło Promieniowi.

— A co ja mam z tym wspólnego? — zaoponował. — Przecież mnie wtedy na świecie nie było. Ani nawet moich rodziców!

Rijen rozdała szybko chleb obłożony żółtobrazowymi płatkami wędzonki i przysiadła obok Garuna, nastawiając uszu. Gospodarz przeżuł najpierw pierwszy kęs, a potem mruknął:

— Ano właśnie. Ani ty, ani ja tej wojny na oczy żeśmy nie widzieli. Może twój pradziad mojego dziada żywcem spalił. Może mój twojego o głowę skrócił, ale kto teraz prawdy dojdzie? Wielkie króle wojny prowadzą, ale życie dają ci najmniejsi.

— Mogę jeszcze popatrzeć? — spytała Rijen i nie czekając na pozwolenie, odsunęła skraj okrycia, by spojrzeć na tatuaż Promienia. — To coś znaczy?

— Krąg magów i słońce, czyli Iskra. Władam ogniem.

— Jakoś ta twoja siła z bagna cię nie wyniosła.

— Bo nie do wszystkiego się nadaje.

— Najprędzej do mordowania. Zawsze mnie mówili: z kręgiem na piersi każdy jeden wróg i zmija jadowita. . . Powiadali, co dla takich jeno żelazo ostre, ogień i grób głęboki — podjął znów Garun. — Ale ja tu żadnej żmii nie widziałem. Żadnej żmii. Mokrą, ubłoconą. . . żabę! I tyle!

Zachichotał krótko jak małpka.

Promienia jakoś to nie rozbawiło.

— Powiem wam, dla kogo faktycznie mieliście to żelazo i ogień — warknął ponuro. — Dla Obserwatorów, Mówców albo Przewodników Snów. Dla tych, którzy potrafią tylko zaglądać do ludzkich myśli. Nie umieli się bronić, więc można ich było brać do niewoli, a potem wieszać, ćwiartować, palić i zakopywać w ziemi żywcem. Nigdy w wasze ręce nie dostał się ani jeden Stworzyciel, Wędrowiec ani Iskra. Mściliście się na niewinnych! A w ogóle to było ze sto lat temu! Świat się zmienia, czas idzie naprzód, a tutaj wciąż magom wypomina się tamtą wojnę!

— Ale ty umiesz zadawać śmierć — odezwał się Marake.

— Umieję, lecz to nie znaczy, że chcę. Że morduję ludzi bez powodu. A nawet wtedy, gdy miałbym powód. Zrobiłeś mi kilka ładnych sińców, zabrałeś zdobycz i jeszcze żyjesz. Przemyśl to.

\* \* \*

Ku własnemu zdziwieniu Promień nie rozchorował się po tych ciężkich przejściach. Może sprawiły to zioła Garuna, a może jego okropny samogon... w każdym razie chłopak nie dostał nawet kataru. Poprawiło to nieco jego wizerunek w oczach Rijen, która uznała, że Promień jest zrobiony z twardszej materii, niż się zdaje, a więc może towarzyszyć jej w polowaniach. Pod okiem gospodarzy tej ziemi nie narobi szkód i sam nie wplącze się w nowe kłopoty. Z początku Promień obruszył się na to, lecz potem sam zaczął uświadamiać sobie własną ignorancję. Chodzenie po śladach, sprawne uбиcie zwierzyny i obdarcie jej ze skóry to był zaledwie początek. Promień złapał ten początek jak kosmaty ogon, a wtedy okazało się, że ogon ciągnie się dalej i przyczepiony jest do ogromnego cielska zlepionego z kolejnych problemów. Iskra zyskał pochwałę za umiejętność rozpalenia ognia w każdych warunkach, ale jednocześnie Rijen bezlitośnie obnażyła jego niewiedzę dotyczącą wielu spraw, na przykład jak zimą odróżnić martwe drewno od żywych gałęzi i które gatunki dają najmniej dymu. Umiał ściągnąć skórę ze zdobyczy, ale miał nader mętne pojęcie o jej konserwowaniu, gdyż takie rzeczy pozostawiał dotąd Stworzycielom. Oni też dostarczali mu każdą ilość doskonałych strzał. Ogoranccy łowcy natomiast potrafili dokonywać sztuk niemal magicznych, wykonując potrzebne przedmioty pozornie z niczego. W zręcznych rękach odłamki kości zamieniały się w groty, szpicaki, haczyki na ryby lub skrobaki do skór. Kawałki krzemienia w ostrza narzędzi nieustępujące metalowym, choć nie tak trwałe. Kilka patyków i rzemienna pętla mogły stworzyć prostą, acz skuteczną pułapkę na króliki, a z wewnętrznej warstwy kory, cierpliwie ubitej, rozdzielonej na włókna, można było skręcać nici lub wyplatać doskonałe siatki i sakiewki. Wydawało się, że Garun, Marake i Rijen po lesie nad Czaplim Jeziorem rzeczywiście poruszają się jak po własnym domu i starczy im sięgnąć ręką, by zaopatrzyć się we wszystko, czego potrzebowali. W coraz większym stopniu Promień utwierdzał

się w mniemaniu, że on sam — opuszczony, samotny gdzieś na odludziu, musiałby ciężko walczyć o przeżycie i zapewne przegrałby prędzej czy później. Po raz pierwszy dotarło do niego w pełni, jak bardzo jest w rzeczywistości uzależniony od magii — tej należącej do jego towarzyszy z Drugiego Kręgu i własnej. Spędzał teraz długie godziny z nowymi znajomkami, zafascynowany odkrytym źródłem wiedzy o tutejszym świecie. Garun zaproponował mu wymianę skóry jednorożca na inne futro, już wyprawione i gotowe do spożytkowania. Chłopiec na początku miał zamiar zachować choć taką oznakę swego tryumfu nad ogierem, potem jednak zaczął się wahać. Tylko wstępne wyprawienie jego łupu potrwałoby ze dwa tygodnie, a tutejsza zima już zaczynała się srożyć. Gdy stary myśliwy pokazał, co chce dać w zamian: dwa idealne srebrno-siwe błamy o długim, gęstym włosie cienko wyprawione, które dawały się nieomal składać w kostkę niczym jedwabna chustka, w Promieniu wzięła górę zwykła, ludzka chęć posiadania. Z najwyższym trudem przeszło mu przez gardło, że te futra mają o wiele wyższą wartość i na lengorchiańskim rynku osiągnęłyby zawrotną cenę w złocie.

— Mnie tam złota mało trzeba — burknął Garun szorstko. — Co mnie potraza, to mam. Bierz jak dają, a ciesz się.

Radość Iskry zmalała zdecydowanie, gdy Rijen zagnała go do krojenia i szycia tych pięknych futer. Pod czujnym okiem Zaślubionej Ostrzu Promień musiał uczyć się, jak usuwać sierść z krawędzi, jak dziurkować brzegi skóry szydłem i zszywać je potem specjalnym ścięciem. Jako nici używał żył. Wsuszone — przypominały cienkie, poskręcane kawałki pnącza. Po namoczeniu stawały się elastycznymi i trochę lepkimi strunkami. Nie była to zbyt przyjemna robota, ale na pytanie, dlaczego by nie użyć zwykłych nici lnianych, Rijen odparła:

— Można by, ale wtedy skóra po brzegach się rwie i szwy będą przemakać. Uważaj z następnym kawałkiem. Włos musi iść w dół, żeby śnieg się po nim zsuwał.

\* \* \*

Do ziemianki w Mieście na Drzewach Promień wracał zwykle późno, czasem już po zmierzchu, ograniczając kontakty z kolegami do zdawkowej wymiany informacji i dostarczenia porcji świeżego mięsa. Czasem nie wracał na noc, spędzając ją u Garuna albo — gdy szybki zmierzch zastał myśliwych za daleko od domu — w schronieniu ulepionym ze śniegu, bo i taką sztukę opanowali tubylcy.

Dni mijały, a każdy wypełniał je na swój własny sposób. Promień polował, Koniec nadal zbierał informacje o utajonych zdolnościach magicznych wśród Wieiórek, Kamyk ze Stalowym zaczęli katalogować tutejsze rośliny i grzyby. Pora nie sprzyjała takiej pracy, lecz spiżarnie el-len i jej przyjaciółek obfitowały w pęki suszonych ziół, zakonserwowane leśne owoce, nasiona... ogólnie wszystkie

plody tej ziemi nadające się do jedzenia.. Wystarczało to na początek, a zapiski można było uzupełnić wiosną, gdy wszystko znów budziło się do życia. Miało to nastąpić za trzy miesiące, wcale szybko — według zapewnień tubylców. Natomiast ciepłolubnych Lengorchian perspektywa spędzenia prawie stu dni w tym białym, jałowym, koszmarnie zimnym pejzażu przyprawiała o nasilone dreszcze. Jediną pociechę stanowiła myśl, że w górach Zwierciadlanych, choć położonych bardziej na Południe, było prawdopodobnie jeszcze zimniej. Koniec regularnie kontaktował się z Jagodą i w każdej chwili oczekiwano sygnału, że pozostawiona w górach część grupy jest gotowa do przenosin.

\* \* \*

*Życie płynie tu na sposób dwukółki toczącej się po polnej drodze. Koła się obracają, osiołek drobi potulnie zakurzonymi kopytkami. Co jakiś czas wózek podskoczy na kamieniu, a drzemiący woźnica ocknie się, trąci kijem ośli grzbiet, rozejrzy się i znów zapadnie w półsen. Podobnie w Mieście Na Drzewach — nawet jeśli nagle spadnie człowiekowi na głowę gromada obcych, nie znaczy to jeszcze, że można zaniedbywać gospodarstwo. Pozwalać, by w ustalony rytm życia wkradał się niepotrzebny chaos. Należy po prostu usunąć się lekko, wykazać podstawową elastyczność i dostosować do nowego biegu zdarzeń. Niczego nie robić na siłę. Po prostu obserwować, wyciągać wnioski oraz podejmować działania adekwatne do rzeczywistości. Tutejsi mieszkańcy — takie mam wrażenie — są dużo solidniejsi, bardziej rzeczowi i oszczędniejsi we wszystkim (łącznie z wykorzystaniem czasu) od swoich sąsiadów zza gór. To znaczy od nas. Jakoś nigdy nie miałem okazji zobaczyć, by jakikolwiek tubylec zajmował się „nicnierobieniem” (co na Jaszczurze stanowiło praktykę niemal powszechną, zwłaszcza w największe upały). Nawet gdy kto siedzi w zaciszu domowym, to ma zajęte ręce — dłubie coś, struga albo poleruje.*

*Jak już pisałem, Wiewiórki przyjmują kaprysy Losu jak fale morskie — wiadomo, że przetoczy się jedna, po niej nadejdzie następna, ale pomiędzy nimi jest czas na oddech i mocniejsze zakotwiczenie w wybranym miejscu na ziemi. Nie inaczej przyjęto nagłe powiększenie się naszej gromadki o Gryfa, Pożeracza Chmur, Jagodę i rodzinę Śpiewaka. Wiatr Na Szczycie z isticie kocim uporem wczepił się pazurami w odzyskaną dziedzinę, by czekać na wiosnę, a z nią na przybycie Róży. Pomysł małżeństwa z piękną oberżystką ugruntował się w nim tak dalece, że nawet dochowuje jej wierności na zapas, jak zapewnia nasz Obserwator z pewnym rozbawieniem.*

*Miasto Na Drzewach przygotowuje się do uroczystości powitania nowego roku. Wprawia to nas wszystkich w pewne zakłopotanie. Jak sięgamy pamięcią, w naszych domach świętowano to wydarzenie podczas letniego przesilenia, a tym-*

*czasem w Northlandzie w łaskach jest przesilenie zimowe. Za nami stoi siła przyzwyczajęń i tradycji, a za Northlandczykami logika. Po przesileniu dzień zaczyna się wydłużać, powraca światło słoneczne, a więc w domyśle ŻYCIE zaczyna się od początku. Może więc tutejsi mają rację. . . to chyba zresztą nie takie ważne. Dzieci budują z lepkiego śniegu domki i latarnie, gdzie w najdłuższą noc umieszczone zostaną łojowe lampki. Z suchej trawy oraz sitowia splata się małe kukielki i ni to słoneczka, ni to kwiaty, które farbuje się na rozmaite kolory. W świąteczny poranek zawisną na bezlistnych gałęziach, by cieszyć oko. El zapowiada, że akurat w dzień przesilenia mniejszy księżyc nasunie się na tarczę słoneczną, tworząc na niebie wielką podobiznę Bożego Oka. Będzie to sygnałem do złożenia ofiary dla Zrodzonego z Kamienia, a po rytuale religijnym rozpoczną się śpiewy i tańce przy ogniskach oraz tradycyjna biesiada. Dania zapowiadają się równie niewyszukane jak w górach, lecz przynajmniej nie zagraża nam gotowany owczy żołądek. A miejsce piwa zajmie przefermentowany miód. Choć bardzo to przypomina urządzenie Strzyży, nie przypuszczamy, by zakończenie było równie rozpasane. Tutejsze niewiasty są daleko bardziej skromne.*

\* \* \*

*Nie przywitamy nowego roku w Bukowinie. Fala Losu nadeszła nagle, zastając nas nieprzygotowanych. Daleko nam do fatalizmu Wiewiórek. Wszyscy wokół twierdzą, że zawsze wyglądam, jakbym był doskonale opanowany i nic mnie nie poruszało. Doskonałe pozory. Naprawdę za każdym razem czuję się, jakby wyrywano mi kładkę spod stóp nad najgłębszym miejscem rzeki. Nic przyjemnego. Przy tym doskwiera mi wstyd, za siebie i innych także, że nie starczyło nam inteligencji, by skojarzyć dwóch bardzo prostych faktów. Tego, iż el Koret jest lojalnym poddanym króla Northlandu i tego, że ma tyle wykształcenia, by umieć napisać list.*

\* \* \*

— Koszmarne! Po prostu koszmarne! — zrzędził lord Garanso, kiwając się w siodle regularnym ruchem, kierującym myśli patrzących z boku w stronę tych sprytnie pomyślanych figurynek z porcelany, które bujały się całkiem identycznie, gdy puknęło się je w nos. Oczywiście nikt nie odważyłby się naruszyć powagi nosa wielmoży, chyba że byłby wyrafinowanym samobójcą. Lord Arn-Kallan nie myślał o pukaniu — raczej o solidnym walnięciu. Rozmyślał także o braku uczynnych bandytów, głodnych wilczych watah czy choćby karczarza, który podałby na wieczerzę coś na tyle niejadalnego, by uwolnić go od tego półgłówka obok. Od dwóch tygodni wysłuchiwał narzekań na pogodę, opieszałość służby, głupotę

eskorty, paskudne jedzenie, pokoje gościnne duszne lub na odmianę zbyt przewiewne. A gdy z powodu marnych dróg, zbyt już obficie zasypanych śniegiem, obaj lordowie musieli przesiąść się z kolasy na końskie grzbiety, litania narzekań wzbogaciła się o niewygody siodła.

— Oby gnijące bebechy wypadły z parszywych brzuchów tych synów osła i szczurzy! Każdą nogę ma innej długości to wredne konisko. Gdyby toto było z mojej stajni, dawno kazałbym mu łeb rozwalić. I do tego ta fatalna aura, drogi lordzie! Wilgotno, zbyt wilgotno! Nader niekorzystne fluktuacje, o tu, tu... Proszę spojrzeć, wyjątkowo niesprzyjające dla płuc oraz hollerum.

Wielmożny Garanso wyciągnął z kieszonki szklaną kulkę, w której niemrawo podrygiwał jakiś odrażający robal zalany niebieskawym płynem.

Arn-Kallan westchnął dyskretnie. Słuchanie krasomówczych popisów towarzysza było równie fascynujące, jak obserwowanie przemieszczania się zawartości miejskiego rynsztoka. W obu przypadkach zachodziły zastanawiające podobieństwa.

— I pomyśleć, że narażamy zdrowie i życie wyłącznie z powodu... .

— Z powodu wyraźnego życzenia i rozkazu naszego miłościwie panującego króla — przerwał znaczącym tonem lord Arn-Kallan.

— Oczywiście! Oczywiście! — przyświadczył gorliwie Garanso. — Życzenia Jego Wysokości są zawsze na pierwszym miejscu. Jednak przy całej mądrości i przenikliwości naszego ukochanego władcy... — dodał — wydaje mi się, że potraktował zbyt poważnie ten żaloszny świstek od... tego... jak on się zwał, ten plebejusz?

— El Koret Korin w Bukowinie — odpowiedział Arn-Kallan.

— No właśnie, Bukowina! To nawet trudno znaleźć na mapie, drogi lordzie. Do owej sprawy bardziej pasowałby zwyczajny kapitan gwardii niż szacowne osoby naszej pozycji.

Arn-Kallan nie podjął dyskusji. Zdjął rękawice i ostrożnie wyciągnął z zana drza list, z którego powodu musiał podjąć tę długą podróż aż na granicę królestwa. Chciał go jeszcze raz przeczytać. Pismo było niewyrobione, jakby litery ostrożnie stawiała ręka nienawykła do pióra.

*Wielce Umiłowany Mój Panie Królu, bardzo jestem rad że jest okazja by pozdrowić uniżenie Waszą Wysokość i przekazać ważne wieści. To znaczy myślę że są one ważne gdyż tyczą się przybyszów z Lengorchiji, a oni wszyscy są czarodziejami. Nasamprzód napiszę jak było od początku. Małe zbójeckie bandy poszły pod jednego wodza, co go Gardziel nazywali. Było tego tajdactwa więcej niżli trzy dziesiątki. Wielu moich ludzi ubili, a ja sam poszłem w niewolę. Ale tak się zdażyło że Gardziel i jego zbiry natrafiły na tych czarodziejów co zza gór przyszli. Dość rzec że z bandy ani jedna noga nie uszła. I mnie Lengorchijeni życiem i zdrowiem darowali. Wszyscy siedmiu teraz u mnie w elidze goszczą od dni trzech.*



*Chociaż może jak to pismo dojdzie, to ich sześciu zostanie bo jeden chory bardzo. Nie wygląda jakby szpiegowali, a mamy na nich oko ja i moi ludzie. Wszyscy ci czarodzieje młodzi a po młodemu głupi. O ważne rzeczy nie pytają, ani o wojsko, ani o wojnę nie bardzo, ani o kopalnie czy żelazo. Jeden z nich jest stwórca, co umie każdą rzecz z piasku zrobić, choćby i właśnie stal najtwardszą. Dwóch znika z oczu na zawołanie, a potem się jawi gdzieindziej. Jeden Podpalacz i ten dobrze naszą mową włada, bo inni mało albo wcale. Jeden zwierzęta obłaskawia i to on właśnie ranny. O ostatnich dwóch niewiele jest do opowiedzenia. Jeden głuchy, obrazki w powietrzu pokazuje a drugi ponoć w myślach ludziom szpera. Tych dwóch najwięcej po osadzie chodzi, przypatruje się jak my tu pracujemy i żyjemy, ale co im z tego, nikt się nie domyśla. Na razie żadnych kłopotów nie ma. Lengorchijeni są upsejmi, jak coś poprosić to zrobią, pomogą nawet jak robota ciężka. Całkiem jakby nie po pańsku chowani tylko gdzieś we wsi. Wszystko to pod rozwagę Najjaśniejszego Mojego Pana przekazuję i na kolanach proszę o odpowiedź co dalej robić z tymi gośćmi. Nikt tutaj oprócz mnie i sześciu moich myśliwych nie wie że to są czarownicy. Nawet posłaniec nie wie. Pomyślałem że tak będzie lepiej dla wszystkich bo pewnie zaraz by się zaczęły bojaźnie i swary. A tak jest spokój. Pozostaje jako pokorny sługa i wierny poddany Jego Wysokości.*

*Koret Korin el na Bukowinie w Ogorantckiej ziemi.  
Pisane na dni czterdzieści do końca roku.*

Arn-Kallan starannie złożył na powrót pismo. Autor listu miał problemy z ortografią. A jego starania, by zwracać się do władcy z szacunkiem, były zabawnie niezdarne. Natomiast zasługiwało na uznanie to, że na jednej stronicy ów nieznaną el potrafił zawrzeć wyłącznie konkretne informacje i trzymać się ściśle tematu. Lord już jakiś czas temu doszedł do wniosku, że Koret jest zapewne człowiekiem prostym, lecz trzeźwo myślącym i solidnym. Potwierdzał to zresztą posłaniec z Bukowiny, który obecnie służył za przewodnika. Zagłębili się już w otchłanie ogoranckich lasów, gdzie jego pomoc była wręcz bezcenna. Przez dwa dni podróżnych eskortowali ludzie ela Nunt, lecz wycofali się, nie chcąc naruszać granic sąsiada. Drogi stały się ledwo widocznymi przesmykami między wiekowymi pniami buków i dębów. Bez pomocy „leśnego” zgubiliby się już dawno. Garanso wciąż mamrotał pod nosem niekończący się monolog o tym, jak bardzo nie znosi zimowych podróży, a także jak mało sensu widzi w wysyłaniu na podobne odludzie kogoś o jego pozycji na dworze. Arn-Kallan wiedział, dlaczego sam się tu znalazł — król potrzebował do owej misji człowieka, który potrafiłby ocenić właściwie sytuację i podjąć odpowiednie decyzje, a jednocześnie był wysoko urodzony. Tak wysoko, by nie urazić członków Kręgu, z którymi miał mówić. Magowie, choćby wydawali się najbardziej nieszkodliwi i skromni, byli jednak istotami w pewnym sensie nadnaturalnymi. W końcu nawet nieszczęsny cesarz Ogniwio musiał się liczyć z potęgą tego potwornego mrowiska w delcie Enite,

przesyconego magią od lochów po dachy. W świetle tych przemyśleń Arn-Kallan nie rozumiał do końca, co właściwie robi u jego boku Garanso. Nie uważał go za szczególnie inteligentnego. Lord Koniuszy odznaczał się raczej rodzajem małpiego sprytu, który unosił go jak bańkę na fali popularności. W każdej chwili gotów był zarówno do całowania butów ludzi wyżej stojących od niego w hierarchii, jak i do upokarzania tych poniżej. Możliwe, że Garanso znalazł się w tak niewygodnej sytuacji, gdyż zbyt gorliwie próbował ukazać własne zalety przed obliczem władcy. Czasem król Atael przejawiał dość przewrotne poczucie humoru.

Gdzieś z przodu dał się słyszeć skomplikowany ptasi tryl. Kawalkada zatrzymała się. Składała się ze szpicy sześciu żołnierzy, za którymi jechali sami lordowie, następnie — po nieco przetartym szlaku, pod opieką dwóch służących — sunęły sanie wyładowane bagażami. Pochód zamykało kolejnych dziesięciu gwardzistów w pełnym uzbrojeniu. Wszyscy, no, prawie wszyscy, cierpliwie odczekali, aż przewodnik wymieni sygnały z niewidocznym obserwatorem. Po chwili pomiędzy ośnieżonych zarośli, gdzie pozornie nie było absolutnie nikogo, wyłoniła się smukła postać z łukiem. Kiedy odrzuciła w tył kaptur z siwego futerka, zobaczyli gładką twarz i jasny warkocz zawinięty nad czołem.

— Pozdrowienie dla gości! — zawołała kobieta. — El powita was z radością!

Arn-Kallan odetchnął z ulgą, prawie już czując ciepło ognia i smak gorącej zupy. Najwyraźniej byli bardzo blisko celu.

\* \* \*

Nie pomylił się co do ela — Koret Korin okazał się dokładnie takim człowiekiem, jakiego Arn-Kallan oczekiwał. Rozgrywał tę grę z dyskrecją, bez zbędnego szumu. Zostali przyjęci bardzo uprzejmie, choć nie uniżenie. Do dyspozycji lordów natychmiast oddano jedną z podziemnych siedzib, tymczasowo opuszczoną przez stałych mieszkańców. Oczywiście Garanso za plecami ela natychmiast nazwał ją zatęchłą norą, choć pomieszczenia były przytulne i czyste. O wiele lepsze niż ponure izby karczemne. Uwagi Arn-Kallana nie uszło, że Korin w obecności swych ludzi nazwał jego i Garanso „oczekiwanymi wysłannikami Jego Wysokości w sprawie politycznej” oraz „osobami odpowiedzialnymi za poprawne układy z Lengorchią”. W paru słowach objaśnił tym sposobem status gości i zapobiegł rozprzestrzenianiu się plotek oraz niepokojom. Arn-Kallan pomyślał przy tym, że el znacznie lepiej się wystawia, niż pisze. Cóż, i tak bywa. Zauważył też, że w osadzie jest bardzo niewielu mężczyzn. To by tłumaczyło, dlaczego trafili na tamtą jasnowłosą łowczynię — wojna i ostatnie nieszczęście wspomniane w liście przetrzebiły leśne miasteczko na tyle, że kobiety musiały przejmować męskie zajęcia. Lord, nim rozpuścił eskortę po wyznaczonych kwaterach, przypomniał o zachowaniu dyscypliny. Żadnego pijaństwa, żadnego obłapiania kiecek. Osobiście złamie szcękę pierwszemu, który zlekceważy rozkaz.

— A kiedy zobaczymy tych pana... gości? — odezwał się niedbale Garanso do Koreta. Wciąż uważał go za zwykłego kmiotka, któremu słowa wyłazi z butów, więc nie silił się na grzeczność.

— Niebawem, lordzie — odrzekł el. — Spodziewam się, że obaj panowie są zmęczeni i głodni. Przyda się zjeść i odetchnąć przed spotkaniem. Lepiej też tamtych uprzedzić. Zrobiło się ich więcej — dodał, ku zdumieniu obu mężczyzn. — Niedawno dotarło tu jeszcze trzech, a z nimi dwie kobiety i małe dziecko.

\* \* \*

Arn-Kallan spodziewał się mężczyzn około dwudziestu pięciu, a co najmniej dwudziestu trzech lat. Określenie „młodzi a po młodemu głupi” kładł na karb wieku ela, który już zbliżał się do czterdziestki i wszyscy poniżej pewnego przedziału mogli wydawać mu się smarkaczami. Zupełnym zaskoczeniem był dla niego widok tyłu gładkich twarzy. W pierwszym momencie miał wrażenie, że wkroczył do izby wypełnionej po brzegi dziećmi. Na łaskę Pana, po ile oni mieli lat?! Piętnaście? Szesnaście? Garanso za jego plecami wymamrotał coś nieskładnie, po czym zamilkł, jakby nagle zabrakło mu inwencji lub oddechu. Dopiero po chwili oczy przybyłych dostosowały się do żółtego światła lamp i Arn-Kallan zaczął rozpoznawać w tej jednolitej gromadzie indywidualne cechy oraz drobne różnice wieku. Nadal jednak wszyscy tu obecni pozostawali irytująco młodzi. Pewne przewidywane możliwości działania, jakie lord ustalił w czasie podróży, właśnie brały w łeb. Wpatrywało się w niego dziesięć par oczu. Zdawało się, że wszystkie z wyrazem oczekiwania. El Korin za jego plecami milczał, jakby mu język ucięto.

— Jestem Jugorian Tosse Matel-Garanso, lord w służbie Jego Wysokości Miłościwego Ataela Toho — odezwał się Garanso, odymając się niczym żaba, która właśnie połknęła sąsiadkę z tego samego liścia.

Chłopcy podnieśli się prawie jednocześnie ze swoich siedzisk i ukłonili się. Niezbyt głęboko. Raczej zupełnie płytko.

— Mikel Kaemo Arn-Kallan — przedstawił się Arn-Kallan. — Z tymi samymi tytułami.

Od razu zaczął mówić w lengore, chcąc okazać uprzejmość większą niż jego towarzysz, który właśnie bez zaproszenia zasiadł na ławce i roztaczał wokół aureę arogancji. Młodzi zignorowali jednak Garanso, całkowicie skupiając uwagę na Arn-Kallanie. Te uważne, taksujące spojrzenia w pewien niepokojący sposób kojarzyły mu się ze spojrzeniem kota, który ocenia właśnie pulchność napotkanej myszy.

— Pozdrowienie — odezwał się wreszcie przysadzisty, pyzaty chłopak, robiąc krok do przodu. — Jestem Koniec, Mówca w randze mistrzowskiej.

— Promień. Iskra, z tym samym tytułem i dodatkami — długowłosa z jastrzębim nosem świadomie sparodiował prezentację Arn-Kallana.

Przedstawiali się kolejno, a „w randze mistrzowskiej” powtarzało się jak refren. Arn-Kallan zorientował się, że ma przed sobą reprezentację większości magicznych profesji. Tylko co oni tutaj, na Łaskę Pana, robili?

— Mistrzowie. . . ! — prychnął Garanso obelżywie, jakby wypluwał pestkę. — Drogi lordzie, jak to są mistrzowie, to niech mi rybi ogon wyrośnie! Czy to są w ogóle czarodzieje, oto pytanie! Szczenia. . . agh! — W tym momencie lord Koniuszy gruchnął na ziemię z trzaskiem. Po drodze zawadził brodą o kant stołu i przygryzł sobie język. Przyciskał teraz dłonią usta, a gdyby na drodze jego wzroku przypadkiem pojawiła się mucha, padłaby martwa, nie zdążywszy zabzyzczyć.

— Rybi ogon też da się zrobić — rzekł któryś z magów w nienagannym northlanie. Inni wyraźnie dławili się śmiechem. Garanso z pomocą Koreta pozbierał się z podłogi, po czym z niedowierzaniem obejrzał zniszczoną ławkę. Jej nogi nie wyłamały się, lecz po prostu zniknęły, pozostawiając po sobie cztery króciutkie kikuty, ścięte z jubilerską precyzją.

— Może jeszcze jakieś dowody? Umiemy całkiem sporo. Tylko przedmiot eksperymentów może się nieco sfatygować — ciągnął z uciechą ten sam głos i Arn-Kallan zorientował się, że należy do chłopca, który przedstawił się jako Iskra.

— Nie ośmielicie się! — wybełkotał Garanso. Na jego twarzy złość walczyła z obawą. Postawy bezczelnych młodzieńców wykazywały jednak, że mogą się ośmielić. Spotkanie zaczęło toczyć się w niepożądanym kierunku, więc Arn-Kallan uciał pospiesznie:

— Dziękujemy. Więcej nie trzeba. Chcę natomiast. . .

W tym momencie zbliżył się do niego wysoki, kędzierzawy chłopak, który do tej pory stał z boku — milczący i nieruchomy tak, że niemal trudno było go odróżnić od słupów podtrzymujących strop. Posłał lordowi na wpuł przepraszający uśmiech, po czym ostrożnie dotknął szpilki spinającej jego płaszcz. Pochylił się, oglądając ją uważnie, a potem wyciągnął z tkaniny i przysunął bliżej światła. Arn-Kallan zastanowił się mimochodem, jak duże zapasy cierpliwości ma jeszcze na składzie.

— Kłós! — powiedział któryś z chłopców, a lord usłyszał w jego głosie nabożne zdumienie.

Szpila miała rzeczywiście kształt kłosa. Trzpień zachował naturalną barwę złotego kruszcu, lecz wyżej metal pokryto zieloną emalią, jakby kłosek był nie-dojrzały. Był to tani drobiazg, lecz Arn-Kallan cenił go i lubił, gdyż poręczny klejnocik stanowił podarek od królowej.

— Zielony kłós! — wędrowały od ust do ust słowa, jakby zwykła spinka była czymś absolutnie nadzwyczajnym.

— To pewnie on.

— On? Myślisz, że on?

— Z pewnością. Jest naznaczony.

Lord wziął głębszy oddech. Wyjął szpilkę z palców wysokiego maga i na powrót wpiął w płaszcz.

— Zostałem zobowiązany do wyjaśnienia, co członkowie Kręgu Magów robią na northlandzkiej ziemi — starał się, by zabrzmiało to bardzo stanowczo i oficjalnie.

— Czekaliśmy na ciebie. I Ona cię przysłała — usłyszał odpowiedź.

Bezwiednie dotknął prezentu od królowej.

— Nie. To tylko podarunek od królowej. Przysłała mnie Jego Wysokość Atael.

Lekka konsternacja. Wymiana spojrzeń, drobne gesty, jakby chłopcy wysyłali sobie ustalone sygnały. Wreszcie decyzyja.

— Nie szkodzi. Ona wie lepiej. Mieliśmy czekać na kogoś ze znakiem. Przybyłeś. Powiesz nam, co dalej robić.

Arn-Kallan doznał przerażającego wrażenia, że właśnie został wciągnięty w sam środek jakiegoś spisku, o którego istnieniu do tej pory nie miał pojęcia, a ma w nim do odegrania kluczową rolę. Zielony kłos na białym polu był herbem rodu Ainelów, z którego pochodziła królowa. Jakiegokolwiek powiązania z Kręgiem i tymi tutaj mieli Ainelowie, na pewno nie wiedział o nich król. ONA, wypowiadane z takim naciskiem, zapewne oznaczało samą Jej Wysokość Iditalin, lecz czemu królowa nie uprzedziła go nawet słowem, skoro widzieli się tuż przed wyjazdem i nawet życzyła mu szczęśliwej podróży? No cóż, będzie musiał zamaskować swoją ignorancję i delikatnie pociągnąć za język tych zuchwałych młokosów. Wyniki mogą okazać się nader interesujące. Na szczęście Garanso milczy, nie próbując już zajmować eksponowanej pozycji. Może boli go język, a może wreszcie poszedł po rozum do głowy. Znalazł sobie miejsce na zydlu pod ścianą i tylko omiata wzrokiem okolicę jak szuler czyhający na ofiarę. Krok od niego, w niszy sypialnej częściowo przysłoniętej kotarą, Arn-Kallan dostrzegł jeszcze kogoś — białe, arystokratyczne dłonie złożone na kolanach, szczupłe ramię, zarys ust i czubek nosa. Tyle widać. Kobieta czy raczej może dziewczyna, biorąc pod uwagę średni wiek młodych magów. Siostra, a może nałożnica jednego z nich. Po babsku ciekawska.

Mieszkańcy ziemnego domu nareszcie przypomnieli sobie o dobrych manierach. Zaproszono ela i obu przybyłych do stołu, na którym znalazły się ciastka w towarzystwie sławnego tutejszego miodu. Wypieki mogły służyć za pociski do procy, za to Arn-Kallan z niekłamana przyjemnością umoczył wargi w słodkim alkoholu. Po czym omal nie odgryzł brzegu naczynia z wrażenia, gdy wewnątrz jego głowy zabrzmiał stanowczy nakaz:

„Nie podnoś się. Nie rób gwałtownych ruchów. Słuchaj”.

Arn-Kallan jak sparaliżowany wpatrywał się w głąb kubka, gdzie widział odbicie własnych rozszerzonych oczu na powierzchni złocistego płynu. Jedyne rutyna uchroniła go przed zakrztuszeniem się i pozwoliła zachować w miarę normalny wyraz twarzy. Popijał miód, chwalił go niezbyt składnie, a cały czas większość

uwagi skupiał na bezosobowym głosie, który sączył mu lengorchiańską mowę wprost do umysłu.

Wreszcie el odstawił swój kubek na stół i zaproponował, by zakończyć na dziś, gdyż obaj lordowie są ogromnie zmęczeni podróżą. Poza tym z pewnością chcieliby przemyśleć wiele rzeczy.

— O, tak — zgodził się Garanso. — Tęsknię za wygodnym łóżkiem.

Ledwo wyczuwalna nuta ironii w jego tonie sugerowała, że nie ma na myśli tutejszego postłania. Kiedy znaleźli się na zewnątrz, Arn-Kallan zgarnął w dłonie trochę śniegu i przetał nim rozpaloną twarz.

— Nie spodziewaliśmy się czegoś takiego. Prawda, drogi lordzie? — rzekł Garanso.

— Nie. Nie spodziewaliśmy się — odpowiedział Arn-Kallan i popatrzył na towarzysza tak, jakby widział go po raz pierwszy w życiu.

\* \* \*

Obudził się z krótkiego, dusznego snu, w którym ciemnookie widma szeptały do niego w obcym języku, dysząc i błyskając białymi kłami wewnątrz paszcz świecących jak wnętrze rozpalonego pieca. A więc jednak zasnął, choć obiecywał sobie czuwać. Garanso przed snem natarczywie proponował rozpicie jeszcze jednej butelki miodu i Arn-Kallan dla spokoju wypił trochę. Wystarczyło, by zmorzył go niechciany sen. Żółtawe światło małej świecy wyłatało sęki na drewnianej ścianie. Garanso wieczorem kazał zostawić ją służącemu na stole, a dla bezpieczeństwa wstawić lichterzyk do miski z wodą. Panowała głęboka cisza, maćona jedynie cichuteńkim skrzypieniem wypaczających się desek. Czegoś brakowało — oczywiście, chrapania lorda Koniuszego. Arn-Kallan rozluźnił mięśnie gardła, dobywając z siebie ciężkie sapanie głęboko uspiętego człowieka. Jednocześnie powoli przekręcił głowę, unosząc minimalnie jedną powiekę, by skontrolować izbę. Zgodnie z przewidywaniem Garanso nie spał. Z ponurą determinacją malującą się na twarzy, czujnie popatrując w stronę uspiętego sąsiada, właśnie przecinał sobie skórę wewnątrz lewej dłoni. Arn-Kallan ostrożnie odszukał palcami rękojeść sztyletu ukrytego w łóżku. Garanso skaleczył się jeszcze w ramię, dla lepszego efektu rozmazując krew na koszuli, po czym zbliżył się na palcach. Ostrze zawisło nad piersią Arn-Kallana, lecz ten nagle szeroko otworzył oczy. Jego palce zacisnęły się na przegubie ręki trzymającej nóż. Pchnął od dołu wprost w brzuch Garanso. Niedośzły morderca rozwarł szeroko usta — nieme i krągłe jak pysk zdychającej ryby. Arn-Kallan przekręcił ostrze, czując jak ciepła krew oblewa jego rękę i spływa do rękawa, po czym odepchnął rannego. Garanso padł z głuchym łoskotem i dopiero wtedy zawył z bólu, skręcając się na podłodze jak robak przecięty na pół łopatą.

— Straż! Straż!! Służba!

Dudnienie w drzwi uprzytomniło lordowi, że zostały zamknięte na zasuwę. Otworzył je. Do wnętrza wpadło dwóch gwardzistów z dobytymi mieczami.

Nastąpiło kilka chwil zamieszania, gdyż żołnierzom trudno było pojąć, że dogorywający lord Garanso jest właśnie sprawcą napadu, a nie jego ofiarą. Zirytowany Arn-Kallan kopnął służącego, który nadal leżał na barłogu pod ścianą i zdawał się spać mimo całego tego zamętu.

— Nie żyje.

W progu stanęło dwóch magów: ów krępy Mówca i Iskra.

— Udusił go poduszką. Niepożądany świadek. Próbowałem cię obudzić, ale już było za późno — rzekł Mówca ze smutkiem.

— To ty? To byłeś ty, przedtem? — spytał Arn-Kallan.

Chłopak kiwnął głową.

— Dostałeś ostrzeżenie. Czuwaliśmy, ale... — bezradnie machnął ręką.

Garanso wciąż był przytomny, choć krew nieprzerwanie lała mu się między palcami przyciśniętymi do brzucha. Ciemnoczerwona jak wiśniowy syrop, rozlewała się w wielką kałużę, barwiąc piasek, którym wysypano podłogę. Gwardzista, klęcząc obok, dał szmaty na opatrunek, ale jego twarz wyrażała jasno, że nie widzi w tej czynności wielkiego sensu. Zbyt wiele ran już oglądał. Ta była śmiertelna.

— Przeeee... kli... nam... was wszystkich... — wyrzeźbił lord. Krew pojawiła mu się także w ustach. — Po-mio-ty Mro-ku... wę-że... Arn... zdraj-ca... przekli-nam-cię... w ukła-dy z ni-mi... nig... dy... — Westchnął spazmatycznie i zamarł z otwartymi oczami, patrząc gdzieś w przestrzeń, jakby oglądał już rzeczy nieprzeznaczone dla wzroku żyjących.

— Koniec — rzekł Iskra.

— Co? — spytał odruchowo Mówca.

— Tutaj koniec. Umarł.

Arn-Kallan znużonym gestem przetarł czoło i oczy, rozmazując sobie po twarzy czerwone smugi.

— Skąd wiedziałeś?

— Czytam w myślach. Ten tutaj od początku mi się nie spodobał. I racja, bo już przy stole zaczął sobie układać, co zrobi, jak i kiedy.

— Ale dlaczego ja? Nie byliśmy przyjaciółmi, ale wrogami także nie. Dlaczego chciał mojej śmierci? I jak miał zamiar ją wytłumaczyć?

Mówca znalazł kilka dodatkowych świec. Zapalił je, by dać więcej światła żołnierzom, którzy zawijali właśnie zwłoki w grube prześcieradła, i przerażonemu słudze uprzątającemu drżącymi rękami zakrwawiony piach.

— Koret napisał list, ale król do końca mu nie wierzył, prawda?

— Prawda — potwierdził lord.

— Miał pan potwierdzić prawdziwość raportu, a gdyby okazał się zgodny z rzeczywistością — nawiązać kontakt z Kręgiem. Przez nas.

— Mniej więcej.

— Garanso nie chciał do tego dopuścić za żadną cenę. Wymyślił sobie, że cię zamorduje po cichu, a potem winę rzuci na nas. Żołnierze dostaliby rozkaz nagłego wkroczenia w nasze skromne progi i wyrżnięcia do nogi. Najlepiej we śnie. Co mogłoby się częściowo udać.

— W małej części — mruknął Iskra złowróżbnym tonem. — Pewnie ktoś z nas by zginął. Może nawet kilkoro, ale z tego oddziału nie zostałyby tyle, by napełnić psią miskę. Zapewniam.

— Głupiec! Po prostu furiat! — rzekł Arn-Kallan ze złością. — Incydent mógłby doprowadzić nawet do nowej wojny. Jakby tej obecnej było mało.

— Ale zdążyłeś.

— Właściwie dlaczego nie zajęliście się tym sami? Podobno jesteście Mistrzami. Władacie ponoć wielką mocą.

— Zasada nieingerencji. Miałem wskazać palcem na northlandzkiego lorda i powiedzieć, że planuje morderstwo? Uwierzyłybyś? I tak nie wierzyłeś aż do końca. Poza tym on by się natychmiast wyparł wszystkiego i wyszedłbym tylko na głupca. A potem nie dałoby się już niczego przewidzieć. Zaskoczyłby nas kiedy indziej i w inny sposób.

Arn-Kallan westchnął.

— Lekceważyłem Garanso, to prawda. Ale nie było najmniejszego powodu, by podejrzewać go o jakiegokolwiek złe zamiary. Prawdę powiedziawszy, uważałem go zawsze za człowieka nieco ograniczonego. Jakim cudem osoba tak prymitywna...?

— Cały ten zamach był akurat w takim stylu — odparł Mówca. — Gdyby Garanso był profesjonalnym cichorękiem, na pewno byśmy teraz nie rozmawiali. Ale był też sprytniejszy, niż to okazywał. Już dawno się przekonałem, że rzadko kiedy człowiek jest dokładnie tym, na kogo wygląda. Jak to mówią: nie obejrzyysz rzepy przed wykopaniem.

Lord pomyślał, że w przypadku magów „kopanie” może przybrać rozmiary robót górniczych. I to z niepewnym wynikiem.

\* \* \*

Lord Arn-Kallan uznał za stosowne użytkowanie osobistego służącego lorda Garanso, skoro ten zabił jego własnego. Do oczywistego aspektu moralnego — zabójstwo dokonane na niewinnym, wdowa i drobne dzieci, o które trzeba będzie zadbać po powrocie — dochodziły niewygody, na jakie Arn-Kallan został narażony. A to go bardzo irytowało. W końcu nie miał aż tak wielkich wymagań —



chciał czystej koszuli, śniadania i obsługi przy toalecie. Poprzedniego dnia nie prezentował się zbyt elegancko. Nic dziwnego, że ta magiczna młodzież traktowała go dość poufale. Dzisiaj to się powinno zmienić. Arn-Kallan przeczuwał, że zastosowanie wszystkich reguł mody obowiązującej na dworze królewskim mogłoby odnieść skutek odwrotny do zamierzonego. Po krótkim namyśle zrezygnował z trefienia włosów. Kazał je tylko uczesać i związać wstążką. Sługa przejęty po nieżyjącym Garanso posługiwał się brzytwą równie zręcznie, jak jego własny. Jeszcze tylko odrobina pudru, by zamaskować sińce po źle przespanej nocy. Swobodne, prawie niedbałe muśnięcia farbki na skroniach dla podkreślenia koloru oczu. Oczywiście nawoskowanie i wymodelowanie wąsów — bez tego upodabniał się do melancholijnej wydry.

— Dobrze, podaj mi kaftan i płaszcz — powiedział lord do sługi, odkładając lustro podróżne. — Kiedy mnie nie będzie, uporządkuj rzeczy swego pana i Kaila. Potem przygotuj mi świąteczny kołnierz i mankiety.

— Tak, wielmożny panie. Wielmożny lordzie...? — Przez zawodową barbarwość służącego przedarł się nieśmiały promyk inicjatywy.

— Słucham.

— Co się stanie z moim... zmarłym panem?

— Drogi są ciężkie. Nie możemy wieźć ze sobą ciała. El o nie zadba, a z wiosną odeśle do stolicy.

Jeśli lojalny poddany Garanso obawiał się, że Arn-Kallan zechce poniewierać trupa, to jego obawy właśnie zostały rozwiane. Zemsta należała się żywym. Garanso był zbyt samolubny i płytki, by stanowić sobą coś więcej niż tylko narzędzie osób dalece mądrzejszych. A istnienie na dworze frakcji ludzi niechętnych wszelkim przejawom magii nie było wielką niespodzianką.

Ranek okazał się kwintesencją wszelkich zimowych poranków. Niebo lśniło jak wypolerowana tarcza, a słońce słało poprzez korony drzew złociste włócznie promieni. W nocy przeszła chwilowa odwilż, lecz nad ranem znów ścisnął mróz i teraz wszystkie gałęzie pokrywały miliardy lodowych igiełek. Arn-Kallan postanowił przejść się po osadzie bez asysty przybocznej straży. Z pewnością nie groziło mu tutaj już żadne realne niebezpieczeństwo. Zresztą w razie czego miał pod ręką swą laskę, w której kryło się cienkie ostrze. Było niezbyt wcześnie, lecz nie widział dokoła wielu ludzi. Między pniami przesunęła się sylwetka z nosidłem i wiadrami. Gdzieś ktoś rąbał drewno, o czym świadczyło jednostajne stukanie siekiery. Troje dzieci ześlizgiwało się na podszwach z kopca nad ziemianką, czwarte kołysało się na linie przewieszzonej przez grubą gałąź. Ich śmiech przypominał rejwach czyniony przez szczenięta. Bajeczna sceneria nie przystawała do tych trywialnych odgłosów i lord zбочzył w stronę palisady, by oddalić się od dokazującej dzieciarni. Zanim znów odda się w ręce polityki, chciał choć trochę obmyć duszę w owym tak bezinteresownym pięknie natury. Może potrafiłby ułożyć czterowiersz o tym poranku, kunsztownym jak sen koronczarki? Subtelnym

niby muzyka? Niespodzianie, jakby tajemniczy bożek postanowił spełnić życzenie lorda, z oddali dobiegł głos fletu. Zaciekawiony Arn-Kallan poszedł w tamtą stronę. Słodka muzyka to spływała wolno w niskie melodyczne doliny niczym gęsty syrop, to znów rozsypywała się na kapryśne tryle, zdające się podskakiwać jak stadko wróbli, by za chwilę wznieść się w górę lotem skowronka. Niewidoczny muzyk przerwał na jedno uderzenie serca, jakby zastanawiał się, co zrobić z ową figurą, po czym przybrał ją szybko okrągłutkimi frazami schodzących coraz niżej kadencji. Arn-Kallan pomyślał, że znalazła się w tej głuszy przynajmniej jedna osoba, która potrafiła uczcić nieoczekiwany podarek zimowej aury, zamiast oddawać się przyziemnym czynnościom w rodzaju karmienia kóz sianem.

Na niskim konarze, starannie omiecionym ze śniegu, siedział ciemnowłosy młodzieniec, niedbale machając nogą w powietrzu. Brodę oparł na podpórce fletu, jego wargi układały się miękko nad ustnikiem, a palce biegały po otworach instrumentu tak niewymuszenie, jakby wola flecisty nie miała tu żadnego udziału. Przystojna twarz o cerze jak karmel ze śmietaną owiana była mgłą zadumy. Pęki oszronionych gałęzi obramowały ciemnowłosą głowę śnieżną aureolą, a przypadkowa słoneczna plamka lśniła dokładnie pośrodku czoła niczym złoty motyl. Chłopiec wyglądał jak lengorchiańska wersja fantazji erotycznych większości dam znanych Arn-Kallanowi.

Niepokojąca melodia skończyła się zalotną półnutką. Piękny flecista skierował na lorda rozmarzone, brązowe oczy i Arn-Kallan w nagłym napięciu oczekiwał, kiedy się odezwie. Czy jego słowa będą sentencją, cytatem poezji czy może pozdrowieniem? Usta chłopca rozchyliły się...

— Czy takie wąsy kłują?

**Część druga**  
**„Pani Zielonego Kłosa”**

Lord Arn-Kallan z pewnym rodzajem nostalgii wspominał podróż w towarzystwie „godnej pamięci” lorda Garanso. Jego wieczne utyskiwanie można było przy odrobinie wprawy ignorować, tak jak nie zważa się na monotonne poszczekiwanie psa lub turkot kół powozu. Obecnych towarzyszy podróży ignorować nie był w stanie. Istnieli w sposób tak intensywny, narzucający się i nieobliczalny, że momentami przyprawiało go to o ból głowy. Co prawda cała kawalkada poruszała się teraz znacznie szybciej — w zależności bowiem od tego, który z magów jechał akurat na przedzie, zasy rozsuwały się, rozplływały lub po prostu znikwały — lecz inne przejawy chłopięcej aktywności były trudne do przyjęcia.

Zachmurzyło się, ze stalowosiwego nieba zaczął sypać śnieg. Arn-Kallan naciągnął głębiej na uszy swój podbity futrem kapelusz. Magów było tylko ośmiu (aż ośmiu!). Dwóch zdecydowało się zimować w Bukowinie, opiekując się kobietami i dzieckiem. Reszta z ochotą przyjęła zaproszenie do stolicy Northlandu — Kodau, a lord właśnie ponosił konsekwencje własnej decyzji. Wędrowcy, Jodłowy i Wężownik, akurat zabrali do pomocy Stalowego. Wysforowali się daleko w przód, oczyszczając drogę ze śniegu. Arn-Kallan doskonale wiedział, co knują. Rzeczywiście — na rozstajach wznosiła się niewielka lodowa forteca, a na jej blankach stał w wyzywającej pozie Stalowy, powiewając na kiju własnym szalem, jakby to była wojenna chorągiew.

— Wrogowie nadciągają! Zwyciężymy, o żołnierze Bogini! Nap...!

W tej chwili śniegowa kula trafiła go twarz. Tym razem gwardziści zaczęli jako pierwsi. Zgodnie z zasadami strategii wycofali się pod śniegowy wał na poboczu drogi, by stamtąd czerpać materiał na pociski, a ciała koni stanowiły osłonę. Pozostali Lengorchianie czym prędzej dołączyli do załogi broniącej zamku. Arn-Kallan mógł wydawać rozkazy własnym ludziom, lecz już na początku przekonał się, że nie może niczego wyegzekwować od magów, czego skądinąd można

się było spodziewać. Tak więc z rezygnacją wycofał się z terenu działań, pozwalając obu stronom po raz kolejny rozegrać lengorchiańsko-northlandzką wojnę na śnieżki. Po kwadransie zaciętych walk armia Northlandu zdobyła chorągiew... to jest szalik i obie strony zgodnie ruszyły w dalszą drogę. Lord obserwował to wszystko z miną człowieka, który znalazł w zupie żywą ośmiornicę.

\* \* \*

„Najważniejsze, żeby przestali się nas bać. I żeby się przyzwyczaili”.  
„Chyba już całkowicie uspiłiśmy ich czujność”.  
„Uwielbiam usypiać czujność. Kiedy następna akcja?”  
„Na razie przerwijmy te bitwy. Trzeba wymyślić coś innego. Kto rzucił w lorda? Podrywacie mu autorytet”.  
„To był czysty przypadek. A nie uważasz, że te wygłupy podrywają także nasz autorytet?”  
„Wolisz mieć autorytet czy być żywy? Musimy wydawać się niegroźni. Nie jesteś w stanie pilnować własnego tyłka przez cały czas”.  
„A jak będę potrzebował szacunku?”  
„To spojrzysz groźnie i powiesz: a-ha!!”  
„Aha...?”  
„Bardziej demonicznie. A-HHA!!”  
„...!?!...”  
„Bardzo cię proszę, nie rób tego więcej”.

\* \* \*

Zwykle, kiedy król Arael chciał widzieć któregoś ze swych lordów „natychmiast”, oznaczało to, że mają przeciętnie dziesięć do piętnastu minut na dokończenie tego, co aktualnie robili. Tym razem jednak „natychmiast” zostało Arn-Kallanowi przekazane tonem na tyle znaczącym, że nie pozostało mu nic innego, jak pospieszne udanie się za sekretarzem królewskim. Zdążył jedynie zrzucić w przedśionku płaszcz i kapelusz. Jego zaśnieżone buty, ku niezadowoleniu mijających służących, zostawiały na posadzce mokre ślady.

— Wiadomość wyprzedziła wasze przybycie zaledwie o kilka godzin, lordzie — rzekł sekretarz. — Król jest zaintrygowany. Czekają na wyjaśnienia.

Władca tym razem nie przyjmował w sali posłuchań ani w prywatnym gabinecie. Sekretarz zaprowadził Arn-Kallana na piętro, do jednej z rzadko używanych komnat, której okna wychodziły na dziedziniec. Król wyglądał na zewnątrz przez uchylone minimalnie okno. Arn-Kallan opadł na jedno kolano, czekając, aż król zechce go zauważyć.

— Lordzie. . .

— Najjaśniejszy Panie. . .

Król dał znak, by Arn-Kallan wstał.

— Twój list, lordzie, wydaje się jeszcze mniej zrozumiały niż doniesienie z Ogorantu. Co oznacza sformułowanie: „niejasne powiązania Kręgu z pewnym rodem bliskim Jego Wysokości”? I czy nie dało się aresztować tego półgłówka Garanso, zamiast go zabijać?

— Obawiam się, że nie, Wasza Wysokość.

— Jestem zaniepokojony. Czy określenie „najemnicy” jest adekwatne do członków Kręgu?

— Do tych? Raczej tak — odrzekł lord. — Może trochę. . .

— A dlaczego uznałeś za stosowne ściągnięcie tych magów aż tutaj? — przerwał mu król.

— Uważałem, że łatwiej będzie ich mieć pod kontrolą tutaj niż w Ogorancie. Potrafią przemieszczać się bardzo szybko. Kto wie, gdzie byliby za kilka tygodni. Czy Jego Wysokość jest niezadowolony? — spytał Arn-Kallan.

— Niezadowolony to złe słowo. Raczej zaskoczony. Gdzie oni są teraz?

— Chyba nadal na dziedzińcu, Wasza Wysokość.

Atael ponownie zerknął przez szparę, marszcząc brwi.

— Widzę jedynie żołnierzy, konie i trochę służby młodszego sortu.

— Ten młodszy sort. . . Najjaśniejszy Panie. . . obawiam się, że to właśnie oni. Kiedy el Korin pisał „młodzi”, należało to potraktować bardzo dosłownie.

Brwi króla podjechały do góry w niemym zdumieniu.

— Najstarszy z nich ma dziewiętnaście lat. To chłopcy. Choć rzeczywiście są obdarzeni mocą — dodał Arn-Kallan.

— Jestem bardzo zaskoczony — stwierdził król.

Arn-Kallan postanowił na razie nie wspominać o incydentach, które zaszły po drodze. Przez gardło by mu chyba nie przeszła opowieść o bitwie na śnieżki; o tym, co się działo, gdy w oberży podano im nieświeżą rybę; ani o tym strasznym momencie, gdy na podgrodziu jakiś ulicznik rzucił w Tkacza Iluzji kamieniem. Kiedy odjeżdżali, przechodnie właśnie usiłowali ściągnąć dzieciaka z najwyższego dachu w okolicy.

— Jutro złożysz na ręce mego sekretarza bardziej szczegółowy raport niż te notatki robione na brzegu stołu w gospodzie — rzekł król. — A naszych gości umieśćcie w wygodnych kwaterach. Niech niczego im nie brakuje. Obejrzę ich wieczorem. Jeśli zdążę. To wszystko, lordzie. Dziękuję.

Arn-Kallan złożył jeszcze jeden głęboki ukłon, po czym wycofał się z ulgą. Król nie był niezadowolony, lecz trudno było rzec, że jest zadowolony. Niepokój Arn-Kallana wynikał raczej z tego, iż miał uczucie, jakby nie dopełnił całości swych obowiązków. Trudno było jednak działać według utartych schematów na

gruncie tak niepewnym jak obecność lengorchiańskiej magii w smarkatym opakowaniu.

\* \* \*

*Nocny Śpiewak, który jest ode mnie zdecydowanie lepszy w matematyce, wymyślił kiedyś formułę: „Częstotliwość znajdowania odpowiedniego domu jest wielkością odwrotną do liczby potencjalnych mieszkańców i dwójnią ich wymagań”, cokolwiek znaczy to ostatnie. Z grubsza rzecz biorąc, była mała szansa, że jakiegokolwiek pomieszczenia (czy będzie to ośła stajenka, czy cały pałac) spełnią idealnie wszystkie wymagania ośmiu młodych mężczyzn, zwłaszcza jeśli wszyscy oni są magami.*

*Byliśmy już naprawdę zmęczeni tutejszym koszmarnym klimatem, zimnem, od którego pękała skóra na ustach oraz źle (lub wcale) ukrywaną wrogością ludzi spotykanych po drodze. Miałem wrażenie, że nogi wykrzywiły mi się od siodła i nigdy już nie wrócą do formy pierwotnej. Kiedy wreszcie dotarliśmy do Kodau, miasto stołeczne wydało mi się jedynie większą ilością tego, co już widzieliśmy po drodze, w barwach niezdecydowanie szaro-białych. Kamień, który trafił mnie w łopatkę, utwierdził nas w przekonaniu, że mieszkańcy stolicy w niczym nie różnią się od tych z prowincji. Być obiektem tak czystej, zupełnie bezinteresownej nienawiści — to ogromnie przygnębiające. A powodem jest takie głupstwo jak to, że około stu lat temu jeden przodek poderżnął gardło drugiemu.*

*Zamek królewski wydawał się natomiast kilkoma tysiącami ton granitu i paroma milionami cegieł poukładanych jedna na drugiej w rozmaitych konfiguracjach. W przeciwieństwie do „naszego” Zamku Magów, który od razu został zaprojektowany jako spójna całość i także wzniesiony, tutejsza siedziba najwyższej władzy sprawia wrażenie, jakby rozrastała się samodzielnie niby grzyb na pniu. Oczami wyobraźni widzę jakiegoś roztargnionego króla, jak zwraca się do nadwornego architekta: „Przyjeżdża stryjasek z rodziną, więc dobuduj szybko jakieś dodatkowe skrzydło. A jak się nie da, to wstaw coś w jakieś puste miejsce, byle daleko od mojej sypialni”.*

*Jak pisałem wyżej, trudno jest ulokować ośmiu magów tak, żeby zadowolić absolutnie wszystkich. Kiedy stanęliśmy w progu oferowanej kwatery, najpierw zaparło mi dech, a potem natychmiast przyszła myśl, jak w ogóle da się w czymś takim żyć? Malutkie okna wpuszczały niewiele światła. W powietrzu unosił się zastarzały zapach pachnideł. Jedną ze ścian zajmował gigantyczny gobelin przedstawiający jakiegoś miejscowego bohatera znęcającego się nad wielkim jaszczurem. Na innych wisały duże, ponure portrety sprawiające dość starożytne wrażenie. Umebłowanie składało się z pewnej liczby twardych krzesel, zaprojektowanych niezgodnie z ludzką anatomią, kilku stoliczków, które dałoby się nakryć w całości*

tabliczką do notatek, oraz paru innych sprzętów o niesprecyzowanym przeznaczeniu. Ani jednej półki na książki! Poza tym wytwórca tych mebli miał skłonność do nadużywania złotej farby i kanciastych ornamentów. Boczne drzwi zaprojektował najwyraźniej jego bliski kuzyn. Zajrzeliśmy za nie i naszym oczom ukazała się sypialnia z wyeksponowanym pośrodku monstrualnym łóżem. Do samego łóżka w zasadzie nie miałbym zastrzeżeń (choć sprawiało wrażenie samodzielnej budowli — może namiotu, z powodu brokatowych zasłon) ani do obciągniętych ozdobną tkaniną parawanów. Problem stanowił szereg pilastrów, wspierających strop, a zwieńczonych obnażonymi kobiecymi torsami bez rąk. Może zamysłem rzeźbiarza było nadanie wnętrzu atmosfery zmysłowości, efekt jednak walił między oczy nieokreśloną grozą, zwłaszcza że wszystkie te alabastrowe twarze o ciężkich podbródkach miały jednakowo trupie spojrzenie. Kilka minut w tym pomieszczeniu i nawet prawdziwemu mężczyźnie jądra chowały się w żołądku. W dodatku okazało się, że w tych komnatach miało zamieszkać tylko dwóch z nas, a co najwyżej trzech (tylu zmieściłoby się na tym wielgachnym łożu). Inni mieliby zająć podobne apartamenty rozrzucone na kilku piętrach. Nie chcieliśmy się rozdzielać za żadną cenę ani zostać razem w tym miejscu. Było bezsensownie urządzone i zupełnie dla nas nieprzydatne — nie było tu miejsca do pracy ani nawet do przechowania osobistych rzeczy. Pewnie gdzieś istniały osobne izby, gdzie składowano ubrania szlachetnie urodzonych, buty, naczynia do herbaty, szczotki i różne temu podobne drobiazgi, ale tym zajmowała się służba. My nie mieliśmy służby, na wszelkie demony! A gdyby nam jakąś przydzielono, to NIGDY nie pozwolimy obcym na grzebanie w naszych bagażach.

Obejrzeliśmy jeszcze dwa apartamenty — oba równie bezsensownie urządzone i nieprzydatne. Oprowadzający nas rządcą był już chyba bliski obgryzania paznokci. Promień, który najlepiej ze wszystkich mówi po northlandzku, wyliczył mi na palcach nasze wymagania. Biedny zarządca wzniósł oczy do powały, jakby szukał pomocy przychylnego bóstwa, po czym począł korytarzem. My za nim, a za nami para osiłków, obarczona najcięższymi z naszych tłumoków. Celem wędrówki okazała się część zamku mniej okazała i nieco zaniedbana. Nasz przewodnik otworzył potężnym kluczem masywne drzwi z czarnego drewna, i cofnął się, puszczając nas przodem. Rozłożył bezradnie ramiona, a dolna warga zwisała mu posepnie, jakby chciał okazać, że osiągnął właśnie kres swoich możliwości i niczego innego już nie jest w stanie zaproponować.

\* \* \*

To była wysoka, długa komnata, wyposażona w cztery dość spore okna z witrażowych szybek w kolorze bladozielonym, bladoróżowym i niezdecydowanie cytrynowym. Na jednej z węższych ścian panoszył się gigantyczny kominek



z czerwonego granitu (przynajmniej tam, gdzie nie był okopcony), na drugiej wisiał duży portret podstarzałej damy o czujnym spojrzeniu malowanych źrenic. Tynk na murach aż do wysokości wyciągniętego ramienia był pokryty setkami zadrapań, jakby szalało tu stado rozwścieczonych kocurów. Powyżej zniszczeń wił się szlak z winorośli i poczwarnych masek — wszystkie jednak miały zaskakujący wyraz poczciwego znudzenia, zupełnie jak stareńkie psy dosypiające swych ostatnich dni na progu domostw. Pod dłuższymi ścianami stało około dwudziestu jednakowych wąskich łóżek z płóciennymi zasłonami i skrzyniami u stóp. Pośrodku komnaty ciągnął się długi rząd stołów oraz obitych popękana skórą taboretów. Całość robiła dość koszarowe wrażenie.

— To chyba szkoła? — odezwał się Wężownik, który spędził dwa lata w podobnym otoczeniu. — To znaczy stancja — poprawił natychmiast.

Szkolne sypialnie podobne są do siebie jak ptasie jaja, niezależnie od miasta czy kraju.

— Może być — ocenił Stalowy. — Pomieścimy się wszyscy.

Zakłopotany przewodnik tłumaczył tymczasem we własnym języku, iż rzeczywiście była to wspólna sypialnia synów urzędników dworskich i pomniejszego rycerstwa. W tej chwili najmłodszy chłopcy zostali odesłani do domów, a starsi praktykują u wyznaczonych patronów. Komnata przeznaczona, do odmalowania i niezbyt tu wytwornie, ale skoro panowie nalegają. . .

Panowie nalegali. Promień nieco wyniośle oznajmił, że istotnie na razie domagają się jedynie ciepłego posiłku, czystych prześcieradeł i takiego miejsca, które nadawałoby się do praktykowania magii.

— Demony często rujną podłogę albo ryczą i przeszkadza to sąsiadom — ciągnął beznamiętnie, a tymczasem twarz zarządcy pokrywała się kredową białością. — Węże się rozłażą. . . A pewne komponenty eliksirów, hmm. . . nigdy nie wiadomo, co człowiekowi ubędzie lub przybędzie, jeśli choćby tego dotknie. W najlepszym interesie tutejszych mieszkańców leży, byśmy mieli tu spokój.

— Oczywiście, oczywiście. . . ! — nerwowo potwierdził zarządca, wycofując się tyłem. — Miłego dnia życzę. Przyślę kogoś do posługi. . . tak, oczywiście. Żegnam wielmożnych panów. . .

Zamknął za sobą drzwi nieco gwałtowniej, niż jest to przyjęte, jakby chciał jak najszybciej odgrodzić się od czyhającego nań niebezpieczeństwa.

Młodzi magowie parsknęli śmiechem. Tylko Myszka zapytał z niezadowoleniem:

— Po co go straszylesz? I tak nas tu nie lubią.

— Ale nikt nie będzie nam przetrząsał rzeczy w czasie naszej nieobecności.

\* \* \*

Kiedy zjawili się zapowiedziani przez rządcę posługacze, ze zdziwieniem oraz pewnym rozczarowaniem stwierdzili, że zbędne sprzęty z komnaty już piętrzą się na korytarzu i można je zacząć przenosić do składu. Tak samo zaciekawione cztery służące — przysłane z tacami zastawionymi jedzeniem, z ręcznikami, dwoma miednicami do mycia rąk i dzbankami gorącej wody — miały okazję zerknąć do środka jedynie przez chwilę. Ciemnowłosi cudzoziemcy odebrali im brzemiona w progę. Widać było tylko, że w środku panuje ożywiony ruch i gwar obcej mowy. Zasapana piąta służka, która dogoniła towarzyszkę, dźwigając wielki kosz polan na rozpałkę, trafiła jeszcze gorzej, z pewnego punktu widzenia oczywiście. Drzwi otwały się znowu na moment, musiała oddać drewno, a kiedy odwracała się do pozostałych dziewcząt, bezczelny młodzieniec klepnął ją w pośladek.

— Oni myślą, że im wszystko wolno! — prychnęła ze złością, odruchowo wygładzając popielatą spódnicę i poprawiając godnym ruchem chusteczkę na ramionach.

— Pewno, że wolno! Kamlasowi o tak ręce chodziły, jak o posługi wołał. Boi się sam, a nas to posyła, kiedy tu mrokołaki nastały.

— Ten na mrokołaka nie wyglądał — odezwała się trzecia, kręcąc zalotnie biodrami. — Po prawdzie to śliczny jak jaka figura z ogrodu Najjaśniejszej Pani albo taka malowanka, co je damy w piórnikach chowają.

— Ale ja muszę koszyk nazad zabrać! — załamała ręce pierwsza. — Zapukać, czy co? Czy oni po ludzku rozumieją? Odda mi?

— Odda, odda! — zapewniła ją koleżanka ze złośliwym uśmiechem. — I jeszcze co dołoży za fatygę ani się nie zasapie!

Zapewne pokojówki nie pozwoliłyby sobie na tak dosadne wyrażenia, gdyby wiedziały, że przedmiot ich rozmowy stoi właśnie oparty o drzwi po drugiej stronie i doskonale się bawi, śledząc ich paplaninę. Gryf rozpoczął bowiem układanie w myślach nowej listy podbojów, umieszczając na początku cztery rumiane buzie. A najwięcej uwagi oczywiście poświęcił tej, która należała do małej rozpustnicy o ciętym języku. Oceniał ją jako bardzo łatwopalny materiał.

\* \* \*

Osobisty sekretarz króla Northlandu był postacią dalece różniącą się od obiegowych wyobrażeń o dworzanach. Doskonale przeciętny — średniego wzrostu, w nieokreślonym wieku między trzydziestką a pięćdziesiątką, o burych włosach i wąsach sterzających modnie niczym jaskółcze skrzydła. Był to zresztą jego jedyny ukłon w stronę tutejszej mody. Nie pudrował twarzy i nie malował powiek. Jego czarną szatę, choć uszytą zapewne z bardzo drogiej materii, należało raczej nazwać praktyczną niż szykowną. Sekretarz ginął w jej obfitych fałdach jak

w namiocie. Jedyłą oznakę rangi królewskiego urzędnika stanowiła duża, owalna brosza z wyobrażeniem skrzydlatego jaszczura i dwóch pałek skrzyżowanych nad potworem. Mężczyzna przedstawił się jako Berilan Wyrn O'hore, lecz jakoś trudno było myśleć o nim inaczej niż jako po prostu o „Sekretarzu”.

Sekretarz zdziwił się, że magowie nie chcieli skorzystać z okazalszych komnat, lecz po krótkim namyśle ocenił dawną sypialnię paziów jako „dość zadowalającą”. W ciągu niespełna trzech godzin niewiele dało się zrobić z jej wyglądem, lecz przynajmniej na palenisku trzaskał już ogień, na posłaniach leżały czyste prześcieradła i kołdry. Osiem prostych łóżek stało pod witrażowymi oknami, a stoły przesunięto pod ścianę przeciwległą, zostawiając dużo miejsca pośrodku. W kącie posługaczka kończyła szorować posadzkę. Poza tym komnata nie leżała w bezpośrednim sąsiedztwie ministerialnego skrzydła, więc stwarzało to nadzieję, iż dworzani nie będą niepokoić obecność „czarowników”. Sekretarz był zadowolony, że zadbano o najpilniejsze potrzeby gości i przekazał życzenie samego króla: Jego Wysokość wyraził chęć, by oficjalnie przedstawiono mu członków Kręgu Magów dzisiejszego popołudnia w sali posłuchań.

— Czy mają panowie odpowiednie stroje? — spytał Sekretarz, obrzucając dyskretnym spojrzeniem codzienne ubrania chłopców. — Jeśli nie, to postaramy się...

— Dziękujemy — przerwał mu Koniec, uśmiechając się nieco sztucznie. — Mamy wszystko, co trzeba na specjalne okazje.

— Prócz żelazka, i kogoś, kto umiałby prasować jedwab — dodał Winograd.

— Ja umiem prasować jedwab — odezwał się Myszka i natychmiast schował się za plecy Kamyka, zawstydzony.

— A więc tylko żelazko? — Uśmiech Sekretarza wyglądał zupełnie naturalnie. Zawierał raczej sympatię, a nie drwinę.

Koniec, tknięty nagłym impulsem, wyciągnął do niego dłoń wnętrzem ku górze.

— Jesteśmy tu obcy, panie. Przyzwyczailiśmy się radzić sobie sami, ale nie znamy tutejszych zwyczajów. Nie chcemy popełniać zbyt wielu błędów i robić niepotrzebnego zamętu. Czy zechciałbyś nas prowadzić i być przyjacielem?

Przez chwilę Sekretarz patrzył wprost w oczy Mówcy. Koniec czekał w napięciu na jego reakcję. O'hore mówił w ich języku tak swobodnie i czysto, że istniało podejrzenie, iż jakiś czas spędził za granicą i zna lengorchiańskie obyczaje. Jeśli urzędnik tylko uniesie otwartą dłoń — będzie to oznaczało grzeczną odmowę; jeżeli dotknie jego ręki samymi końcami palców — umiarkowane poparcie. Jeśli jednak kontakt będzie ściślejszy, tym samym Sekretarz złoży wiążącą obietnicę.

— Oczywiście — rzekł mężczyzna — Takie rzeczy wchodzą także w zakres moich obowiązków. Król chciałby, abyście się tutaj dobrze czuli, panowie.

Były to suche i zdawkowe słowa, lecz ręka Sekretarza wyłoniła się spomiędzy fałd jego niewiarygodnego okrycia, a palce zacisnęły się aż na nadgarstku

młodego Mówcy — nadspodziewanie silne i bardzo ciepłe. Zaskoczony Koniec powtórzył ten gest, a obie ich dłonie utworzyły podwójny, nierozzerwalny splot.

— Dziękuję — rzekł chłopiec. W ten sposób obaj obiecali sobie bardzo wiele. Koniec w imieniu Drugiego Kręgu, a Sekretarz jako przedstawiciel króla. Jak dużo, miał pokazać czas.

O'hore pożegnał się zaraz potem.

— Dość dziwne indywiduum — powiedział z namysłem Stalowy. — Próbowiałem zajrzeć mu do głowy, ale miałem uczucie, że babrzę się w kisielu. Wszystko zamazane. Ani jednej dokończonej myśli. Łatwiej gołą ręką ryby w kubie łąpać. Zupełnie jakby robił to specjalnie. Blokował mnie, czy co? Przecież nie mógł wiedzieć... i skąd to miałby umieć?

Koniec wzruszył ramionami.

— Zauważyłeś coś jeszcze?

— Niby co?

— Mnie się wydaje, że wielmożny pan O'hore nie ogranicza się wyłącznie do bazgrania na pergaminie i kapania woskiem po królewskich dokumentach.

— Jaśnie pan Cień?

— Możliwe. Królewski sekretarz to osoba przebywająca blisko władcy, stoi wysoko w hierarchii — odezwał się Promień. — A ten tutaj wygląda, jakby chciał jak najmniej rzucić się w oczy.

— I ten jego przyodziewek... nie sposób ocenić, jaką ma sylwetkę ani gdzie trzyma ręce — ciągnął Koniec. — A tym bardziej, co ma w kieszeniach. Miałem też wrażenie, że cały ten feret da się zrzucić jednym ruchem. W dodatku chodzi jak kot. Ma bardzo miękkie podszwy.

— Nie myślisz chyba... że to cichoręki?! — spytał z odrazą Promień i mimowolnie poruszył ramionami, jakby coś go oblaźło. Od czasu serii zamachów na jego własną osobę Iskra był przeczulony na punkcie skrytobójców, niezależnie po czyjej stali stronie.

— Nic pewnego, ale chyba wolałbym nie mieć z nim żadnych zadrażnień.

\* \* \*

— Jak ich oceniasz?

— Ciekawe typy. Przedziwne połączenie skromności i zuchwałości. Są na swój sposób rozsądni, a jednocześnie ogromnie naiwni. Gotowi zaufać pierwszemu, kto przypadnie im do gustu.

— Urocze. Syndrom nieśmiertelności?

— W czystej postaci.

— Każdy młodziak to przechodzi. Co poza tym?

— Widziałem kilka książek, parę sztuk broni — nic nadzwyczajnego, nic szczególnie wartościowego. Najwyraźniej kształcono ich oraz uczono walki. Pytanie: jak dobrze? Jeśli Krąg wysłał ich jako szpiegów, to są najbardziej niezdarnymi wywiadowcami w dziejach. Arn-Kallan twierdzi, że to zwykli poszukiwacze przygód, którym wydaje się, że spełniają życiową misję. Przychylam się do tej opinii.

— Czy przedstawiają jakąkolwiek wartość?

— Wszystko da się wykorzystać. Uprzejmość dla dzieci Kręgu da nam zyski podczas negocjacji ze starszyzną.

— A więc poklepiemy ich za uszami dziś wieczorem. Rozdam kilka uśmiechów i podarunków, a potem zobaczymy, co dalej.

— Właśnie tak, Ataelu. Właśnie tak. . .

\* \* \*

Galowe stroje, przygotowane na święto Zimowego Przesilenia, dotąd tłamszone w torbach, nareszcie mogły się przydać. Myszka rzeczywiście umiał prasować jedwabne tkaniny, czego nauczył się przed laty od matki — szwaczki i hafciarki. Gdy wreszcie skończył, ociekał potem i bolały go ręce, ale osiem lśniących satynowych tunik prezentowało się wspaniale. W wyniku długich narad, do których również dorzucił szczyptę arystokratycznej przyprawy Promień, spod igieł Srebrzanki i Jagody wyszły niepowtarzalne mieszańce wygodnych okryć gminu oraz rozbuchanej wykwintności cesarskiego dworu. Pozostało mozolne naciąganie dopasowanych przesadnie pończoch, spodni, polerowanie butów, wzajemna pomoc przy owijaniu się błękitnymi szarfami i układanie fałd w sposób doskonale symetryczny.

— Czy nie powinniśmy mieć jakiegoś podarunku dla króla? — spytał w trakcie tych przygotowań Wężownik.

Wszyscy wymienili niepewne spojrzenia. Nikomu dotąd jakoś nie przyszło to do głowy. A pewnie wypadałoby złożyć coś u podnóża tronu. Wynikiem nierozważnych słów Wędrowca była zażarta dyskusja na ten temat, która przerodziła się nieomal w kłótnię. Gdy zjawił się pokojowiec, którego zadaniem miało być odprowadzenie gości do sali posłuchań, chłopcy byli zdenerwowani jak przed egzaminem. Stalowy ledwo zdążył schować do kieszeni brylant wielkości jajka, powstały z paru kawałków węgla drzewnego. Nadal był gorący, więc Stworzyciel przeżywał nieprzyjemne chwile, usiłując utrzymać go jak najdalej od ciała.

„A jeśli się okaże, że ten drobiazg jest większy niż klejnoty koronne?” — zaczął w drodze Promienia.

„To możliwe. Mam nadzieję, że nie” — odparł Iskra. Brylant był imponujących, iście królewskich rozmiarów.

„To źle?” — Stalowy zaniepokoił się jeszcze bardziej.  
„Popisywanie się bogactwem akurat tutaj może być nie na miejscu”.  
„Więc może powiedzieć, że ten diament jest sztuczny?”  
„Wtedy na pewno król się obrazi. Dawać władcy podrabiane klejnoty? Trzymaj język za zębami, uśmiechaj się i staraj wyglądać inteligentnie. A jak o coś zapyta, to mów, że jesteś zaszczycony”.  
„Masz doświadczenie, co, Promień?”  
„A mam, coś ty myślał. . .”

\* \* \*

Architekt, który projektował sień przed salą posłuchań, musiał cierpieć na gigantomanie. Strop pomieszczenia znajdował się o piętro wyżej niż sufit korytarza, co czyniło z niego bezsensowną przechowalnię powietrza i dynastycznych chorągwi. Po obu stronach wejścia tkwiły okazałych rozmiarów, marmurowe, przysadziste kolumny. Stały na nich identyczne kamienne wazy, w których można by podać zupę na obiad olbrzymów. Ściany zdobiły historyczne freski. Pod ścianami komnaty, dla wygody oczekujących, stały wyscietlane krzesła. Na szczęście miały normalne rozmiary.

W sieni zebrało się już kilku magnatów i z wolna nadchodzili nowi. Wśród nich, ku swemu miłemu zaskoczeniu, chłopcy dostrzegli znajomego Arn-Kallana, lecz lord przywitał ich dość chłodno.

Młodzi magowie spodziewali się, że zostaną zaprowadzeni przed oblicze króla Northlandu jeśli nie natychmiast, to przynajmniej bardzo szybko. Oczekiwanie jednak przedłużało się. Król najwyraźniej zajęty był ważniejszymi sprawami, a petenci zmuszeni byli czekać cierpliwie. Niektórzy rozmawiali ze sobą, inni tkwili w bastionie milczenia, jakby sąsiedzi byli ich wrogami. Może zresztą i tak było. Prawie każdy trzymał w ręku tuleję z jakimś dokumentem. Za jednym z przybyłych dwóch pachółków przydźwigało obitą blachą skrzynię. Właściciel — starszy człowiek z siwą czupryną i poczernionym wąsem — nie chciał zdradzić, co zawiera paka i dąsał się, podejrzliwie lustrując wszystkich, jakby szukał wśród nich złodzieja. Większa część Northlandczyków z ogromną ciekawością przypatrywała się przybyszom z Południa, za to reszta postanowiła ich całkowicie ignorować, jakby w ogóle nie istnieli. Obserwowani chłopcy oddawali pięknym za nadobne, gapiąc się tamtym prosto w twarz i zmuszając do odwracania wzroku.

Ubiory szlachetnie urodzonych zdradzały, że aktualne trendy modniarskie kładą silny nacisk na linie poziome. Nieodzownymi elementami męskiego stroju zdawały się bardzo szerokie, wystające poza ramiona kołnierze zdobne mnóstwem plisek, haftów i koronek oraz dobrane do nich mankiety — sztywne od dekoracji,

masywne niczym bojowe bransolety. W tym samym stylu pozostawały aksamitne kapelusze i berety, na których pyszniły się całe ogony srebrnych lisów albo misterne brosze wysadzone drogimi kamieniami. Przody kaftanów przeważnie pozszywane były z poprzecznych pasów jedwabiu i aksamitu lub poprzekreślane brokatowymi tasiemkami. Poły odstawały mocno od bioder. Luźne spodnie sięgały mniej więcej do pół łydki, by między ich mereżkowanym brzegiem a podwyższoną cholewką lśniącego trzewika pokazać pończochę. Z pewnym zdziwieniem Lengorchianie spostrzegli, że wszyscy obecni mają laski, niezależnie od wieku. Zupełnie jakby był to element ostatecznie dopełniający ekwipunku dworzanina.

Pierwsze zainteresowanie jednak wkrótce opadło i zaniechano wzajemnych obserwacji. Drzwi nadal pozostawały zamknięte. Powiało nudą. Kamyk, nie mogąc w tej sytuacji zabawić się mirażami, wyciągnął z kieszeni wyświechtany tomik i za pomocą lektury odciął się skutecznie od otoczenia. Wszyscy przybysze wstali tego dnia grubo przed świtaniem, więc niejednemu głowa zaczęła opadać ze zmęczenia, a szczęki kurczowo rozwierać w tłumionym ziewaniu. Na szczęście nie groziło nikomu, że zacznie niespodzianie chrapać, by dać satysfakcję northlandzkiemu obozowi spod przeciwległej ściany. Przesadnie obszernej poczekalni nie dawało się w żaden sposób należycie ogrzać. Na grubo pokrytych ciężką materią wielmożach chłód nie robił wrażenia, lecz „południowcy” w cienkich jedwabiach zaczęli drzeć coraz wyraźniej. Znudzony Stalowy bezmyślnie obracał w palcach diamentowe jajo. Podrzucił je kilka razy na dłoni. Fasetowana kula lśniła, migotała i rzucała blaski rozpoznawalne dla każdego, kto widział brylant choć raz w życiu. Nic dziwnego więc, że Stworzyciel nagle ściągnął na siebie uwagę całej obecnej arystokracji. Przez chwilę miał wrażenie, jakby wpatrywało się w niego stado wygłodniałych psów, które zaraz rozszarpia go na kawałeczki. Czym prędzej schował klejnot i opanował rozbuchaną wyobraźnię.

„Nie popisuj się, na Miłosierną Matkę!” — skarcił go Koniec, który dostrzegł te manipulacje.

Arn-Kallan z gracją podniósł się ze swego miejsca, by przysiąc do Stalowego.

— Czyżby był to brylant, czy może oczy mnie mylą, Mistrzu Stworzycielu? — odezwał się ugrzecznionym tonem.

— Oczy cię mylą, lordzie — mruknął Stalowy niezbyt uprzejmie, ale natychmiast dodał pojednawczo: — Proszę wybaczyć. Nie każda rzecz, która błyszczy, jest wartościowa.

— Człowiek jest omylny i zwykle spostrzega swe błędy zbyt późno — rzekł Arn-Kallan półgłosem. Było to zawołane ostrzeżenie, ale Stalowy nie był w stanie ocenić, czy lord miał na myśli jego, samego siebie czy może zgromadzenie naprzeciw.

„Sugerujesz, lordzie, że ktoś z obecnych mógłby chcieć mnie uwolnić od tego cacka?” — przeszedł na kontakt mentalny.

Jego rozmówca nie zmienił wyrazu twarzy, jedynie mocniej zacisnął dłonie na lasce.

„Na demony, nie! Ale połowa z nich to ścierwinki, które lgną do bogactwa. Uwielbiają się przyjaźnić z możniejszymi od siebie i ciągnąć korzyści z takich znajomości. Kiedy dobra się kończą, kończy się sympatia, a zaczyna wykorzystywanie odkrytych słabości byłego przyjaciela. Zresztą nigdy nie można być do końca pewnym, czy któryś z nich nie wpadnie na jakiś dziwny pomysł. Sam na siebie ściągasz kłopoty, chłopcze!”

„Dziękuję za nauki i przychyłność”.

Lord ledwo zauważalnie wzruszył ramionami.

„Prawdę mówiąc, wcale cię nie lubię”.

„Jak wszyscy Northlandczycy tutaj obecni. Ale ja nie boję się stadka słabeuszy, którzy chodzą, podpierając się laseczkami” — wytknął zgryźliwie Stworzyciel.

Arn-Kallan jakby w zamyśleniu przekręcił powoli uchwyt swej laski. Coś cicho trzasnęło, a z wnętrza wysunęła się górna część cienkiego ostrza. Stalowy bystro rozejrzał się po sali. Wszyscy mężczyźni operowali swymi podporami z wielką swobodą i zawsze pozostawały one w zasięgu ręki.

„Broń? We wszystkich?”

„Bez wyjątku”.

„Dlaczego nie otwarcie?”

„Jeszcze za czasów poprzedniego króla wydano zarządzenie, że w obrębie miasta nie wolno nikomu nosić broni długiej. Wyjątek stanowią oczywiście żołnierze i żandarmeria. Z drugiej strony trudno bronić się w razie napadu bandy nożowników kijem. Stąd te faszrowane laski”.

„Bardzo sprytnie”.

Nudę oczekiwania rozproszyło pojawienie się jedynej w tym towarzystwie kobiety. Weszła, a raczej wtoczyła do środka, ocierając się suknią o obie framugi. Młodzi magowie jak na komendę wytrzeszczyli oczy. Po raz pierwszy mieli okazję zobaczyć z bliska northlandzką arystokratkę. Strój owej damy przodował pod względem dziwaczności i niewygody, bijąc na głowę ubiory męskie.

— Czy ona ma pod spodem kółka? — wyszeptał Gryf cichutko, ledwie poruszając wargami.

— Rusztowanie, kółeczka i karzełka, który to wszystko popycha — mruknął półgębkiem Wężownik.

Lord złowił te szepty i ogarnęła go zgroza.. Najwyraźniej te upiorne chłopczyska znów wpadły w swawolny nastrój, co mogło się skończyć towarzyską katastrofą. Przez moment Arn-Kallan widział oczami wyobraźni scenę, jak Stalowy rzuca uwagi w karczemnym stylu, klepiąc króla po ramieniu i aż skręciło go wewnątrz od tej wizji.



Tymczasem towarzyszący damie pacholik rozłożył przyniesioną pod pachą konstrukcję. Dopiero gdy usadowiła się na niej, rozkładając swe sute spódnice niczym pawie ogony, chłopcy zorientowali się, że jest to po prostu przenośne siedzisko, dostosowane do tej niewiarygodnej sukni. Kobieta tkwiła w niej sztywno i godnie, jak dziewczyna-wojownik w swej zbroi. Nie zaszczyciła jednym spojrzeniem ani prawej, ani lewej strony poczekalni. Wbiła wzrok w drzwi królewskiego gabinetu, a jej pokryta pudrem i szminką twarz nie wyrażała niczego. Jedyną oznaką jakichkolwiek uczuć mógł być ruch wachlarza w kształcie chorągiewki, którym dama poruszała przed twarzą, choć w komnacie było zimno jak w stodole. Być może wachlarz był odpowiednikiem męskiej laski. Stałowy mimochodem zastanowił się, czy w jego rękojeści nie skrywa się na przykład mały sztylecik.

Wkrótce przed oblicze króla zaproszono owego nerwowego posiadacza skrzyni, co widocznie nie spodobało się damie — wachlarz zaczął migać szybciej. Czekanie przedłużało się, lecz raptem zostało ożywione pojawieniem się nowej postaci.

Młody człowiek w pomiętym ubraniu i przekrzywionym fantazyjnie kołnierzu przekroczył próg. Obie ręce założył za plecy, idąc, rozglądał się wokoło, darząc wszystkich obecnych sennym uśmiechem oraz roztargnionym spojrzeniem. Krótkie jasne włosy sterczały mu nad czołem na podobieństwo gotowych do odfrunęcia nasion buronu. Nadepnął na falbanę naburmuszonej petentki — co wywołało pełne oburzenia „ochch!” — wcale tego nie zauważając. Zatrzymał się przed Myszką, pochylił i wpatrywał w chłopca przez chwilę. Oczy miał szaroniebieskie, lśniące jak gołębie skrzydło. Mały Wędrowiec skulił się w nagłym uczuciu lęku, gdyż w źrenicach przybysza było tyle wyrazu, co w bezmyślnych ślepkach ptaka.

Po „northlandzkiej stronie” narastał pomruk niezadowolenia. Jasnowłosa podreptał dalej, by ten sam manewr dociekliwej analizy powtórzyć z Kamykiem. Tkacz Iluzji niczego nie zauważył, nadal pogrążony w lekturze. Niespodzianie obserwator chwycił go za głowę, wołając radośnie:

— Gallo!! Kast gallo, nen moe wistre’ amtolre!

Zaskoczony Kamyk podskoczył na siedzisku niczym pchnięty sprężyną. Książeczka wyfrunęła mu z ręki, zatoczyła w powietrzu regularny łuk i spadła na beret przestraszonego pazia.. Sprawca zamieszania tymczasem ani myślał puścić swej ofiary, rozwodząc się nad czymś entuzjastycznie. Chwilę potrwało, zanim Lengorchianie przypomnieli sobie, że „gallo” znaczy w northlanie „wspaniale”. Doszli więc do wniosku, iż Kamykowi chyba jednak nie grozi ukręcenie karku. Niedbale odziane indywiduum nagle przeszło na dość poprawny lengore, klaszcząc w dłonie z naiwną radością.

— Bardzo, bardzo ucieszony! Wspaniała głowa! Ja muszę go narysować! Bardzo ładna czaszka, piękny kantragen. . . widok z boku! Ciekawy typ i bardzo chcę to namalować, nen?

Arn-Kallan zdecydowanym gestem wziął młodzieńca pod ramię i odprowadził do drzwi, klarując mu coś spokojnie przyciszonym głosem. „Nen! Kue're?!” zawołał ostatni raz kłopotliwy gość, zgadzając się na propozycje lorda, jakiegokolwiek one były. Rozdzielił przypadkowe ukłony między Arn-Kallana, plecy urażonej dworki oraz pobliski świecznik i wymaszerował z poczekalni, dziarsko tupiąc. Kamyk odprowadzał go osłupiałym wzrokiem, trzymając się za szyję, jakby sprawdzał, czy wciąż ma głowę na miejscu.

— O co tu chodziło? — zapytał zdumiony Winograd. — Co to za figura?

Promień już otwierał usta, by rzucić jakąś uwagę, lecz ubiegł go powracający lord.

— Dramat. Dziś ma chyba jeden z tych gorszych dni. Nazywa się Tait Jorel Nardo... zwykle o tym pamięta. Genialny iluminator, rzeźbiarz oraz konstruktor. W każdym razie do niedawna.

— A co się stało?

— Z końcem zeszłego lata miał wypadek z machiną latającą. Bardzo staranna konstrukcja, miała nawet przyklejone pióra, ale... fiuu! na dół. — Lord machnął ręką obrazowo. — Złamał obojczyk, spadł na głowę i chyba coś mu się w środku poprzestawiało.

— Wydawał się dość sympatyczny — bąknął Myszka.

— Był bardzo miłym młodzieńcem i nadal taki pozostał mimo swego szaleństwa. Królowa zatrzymała go w swej łasce na zamku, bo nie dało się ustalić, czy ma jakąś rodzinę. Zleca mu robienie fresków, malowanie miniatur i temu podobne drobne prace. Czasem Nardo znów zaczyna roić o lataniu, ale wtedy poją go opium i uspokaja się.

Arn-Kallan nie zdążył opowiedzieć niczego więcej, gdyż w tej chwili odzwierny wywołał namaszczonym tonem jego imię i tytuł. Lord zniknął za drzwiami sali posłuchań, pozostawiając chłopców samych w niechętnym otoczeniu reszty pententów.

W ciągu następnej godziny tą samą drogą udało się kilku następnych, łącznie z ową kobietą w sukni jak sen szalonego architekta. Młodzi magowie zaczęli szemrać między sobą, coraz bardziej znudzeni i zmarznięci.

— Najjaśniejszy przeciąga strunę — warknął Stalowy, nie dbając o to, że ktoś z obecnych Northlandczyków może go zrozumieć.

— Jestem głodny — mruknął smętnie Koniec.

— Na zewnątrz już pewno zmierzcha.

— Marnujemy czas. To zupełnie bez sensu.

Myszka tylko ziewnął.

— Mam tego dość! — zbuntował się nagle Wężownik. — Nawet po tej aferze z Gladiatorem starzy tyle nas nie trzymali pod drzwiami! Ulatniam się! Jak król nas zechce zobaczyć, to wie, gdzie szukać!

Raczej nie należało się spodziewać, że to nagłe wyjście zostanie dobrze przyjęte. Alternatywą jednak było zdanie się na niepewny wiatr królewskich fanaberii. Rzucano się w oczy, że posłuchania prowadzono bez pomyślunku i niestarannie. Nikt nie wiedział, jak długo przyjdzie mu czekać, kiedy na niego przyjdzie pora i czy w ogóle dostanie się tego dnia przed oblicze władcy. Reguły, według których tajemnicza osoba po drugiej stronie wrót ustalała kolejność audiencji, również stanowiły jedną wielką niewiadomą. Zasada chyba była tylko jedna: przyjdź, siądź i miej nadzieję. Młodzi magowie czuli się tym bardziej urażeni, że władca sam chciał ich widzieć, a teraz najwyraźniej o tym zapomniał.

— Kto ma ochotę na gorącą herbatę, niech wstanie — rzekł Wężownik, wychodząc na środek sali.

Reszta bez słowa otoczyła go ciasnym kręgiem. Zanim zaskoczeni sąsiedzi zdążyli mrugnąć, cała gromadka zniknęła nagle sprzed ich oczu bez śladu. Tylko od wysokiego sufitu odbił się echem niezwykley dźwięk, jakby ktoś klasnął nad wylotem pustej butelki.

\* \* \*

— To nam się jeszcze odbije — rzekł Promień ponuro, ledwie znaleźli się na powrót w sypialni.

— Nudziarz — odburknął Gryf, przeciągając się. — Jak się boisz, to wleź pod łóżko.

Tymczasem gospodarzy Wężownik już rozgarniał żar i wstawiał weń imbryk napełniony wodą. Koniec przetrząsał własny bagaż w poszukiwaniu serowych sucharków, które do tej pory chronił przed zdrowym apetytem kolegów. Wkrótce w pomieszczeniu rozszedł się miły zapach ziół i suszonych owoców, które Wędrowiec wrzucił do wrzątku. Chłopcy zrzucili buty, pozbyli się paradnych tunik na rzecz zwyczajnych koszul z płótna. Skupili się przy ogniu, chłonąc jego ciepło, dmuchając na gorący napój i popijając go małymi łydkami. Jok, którego Winograd zostawił śpiącego w umoszczonym dołku na kołdrze, obudził się. Skrobał pazurkami i fukał, domagając się okruchów. Zapanował zwykły w takich okolicznościach lekki nieład oraz rozleniwienie. Zrobiło się swojsko, a chłopcy nawet zaczęli pokpiwać ze swojej przygody, komentując dworską modę i rzucając sarkastyczne uwagi co do krótkiej pamięci króla.

Jedynie Promień nie brał udziału w tych pogaduszkach. Siedział na brzegu stołu wypolerowanego setkami uczniowskich łokci, grzał dłonie na kubku z herbatą. Patrzył z góry na swych towarzyszy zgromadzonych razem przy kominku i myślał o tym, że ci wywodzący się z gminu oraz drobnego ziemiaństwa chłopaczkowo niezupełnie zdają sobie sprawę, gdzie właściwie trafili. Ani dom, ani pobyt w Zamku Magów, gdzie hierarchia przewidywała co najwyżej bycie „pierwszym

wśród równych”, nie mogła ich przygotować do współistnienia z northlandzką arystokracją. Z żadną arystokracją, do licha!

Iskra wiedział, że dzisiejsze wydarzenia były doskonałym probierzem ich statusu w tym miejscu. Król o nich nie zapomniał — od przypominania miał odpowiednich ludzi — tylko zwyczajnie zlekceważył. Byli mało istotnymi osobami na dzisiejszej liście przyjęć. Prawdopodobnie w hierarchii ważności plasowali się gdzieś między planowanym turniejem a zatwierdzeniem żołdu straży pałacowej. Co nie znaczyło, że Promień potulnie godził się na taki stan rzeczy.

Gadanina kolegów mierzyła go coraz bardziej. Dopił herbatę, po czym zaczął się ubierać. Z lekkim żalem odrzucił ulubioną powycieraną skórzaną kurtkę i wciągnął schludną bluzę wełnianą. Na nowo owinał się w tali błękitną szarfą — lepiej będzie, jeśli od razu przechodnie dostrzegą, kim jest. Podobnie jadowne węże przybierają jaskrawe barwy, by ostrzegać potencjalnych wrogów.

— Dokąd się wybierasz? — zapytał Stalowy.

— Zgubiłem... ee... zapinkę — Iskra skłamał błyskawicznie. — Pójdę poszukać.

— Już ją ktoś pewno znalazł. Zrobię ci drugą — zaproponował Stworzyciel życzliwie.

— Nie trzeba.

Promień ulotnił się czym prędzej, zanim ktoś zaproponuje, że pomoże mu w szukaniu.

\* \* \*

Poszukiwanie zguby było jedynie pretekstem, by uwolnić się od towarzystwa. Promień ani niczego nie zgubił, ani też nie wiedział, dokąd właściwie chce iść. Niespodzianie zatęsknił do ogoranckich lasów. Tam mógł przebywać wyłącznie sam ze sobą, bez deprymującego uczucia, że jest ciągle obserwowany i oceniany — zwykle negatywnie. Zapewne były to czysto osobiste odczucia, nierzeczywiste i niesprawiedliwe względem innych, lecz to nie zmieniało faktu, że był po prostu zmęczony swoimi kolegami.

Szedł krokiem spacerowym, nie pilnując drogi. Nie bał się, że mógłby nie trafić z powrotem. Było mu to obojętne, może nawet chciałby się zgubić. Nadałoby to tej wędrowce nową jakość — jakby niewielkiej podróży w nieznaną. Za mijanymi oknami gęstniał mrok. Nowe miejsce już na pierwszy rzut oka różniło się zarówno od pałacu rodu Brin-ta-ena, jak i siedziby Jego Światłości Cesarza Lengorchii. Promień szedł wolno korytarzami, przypatrując się malowidłom na ścianach. Mijał sielskie pejzaże mające cieszyć oko widza spokojem i harmonią natury lub zadziwiać mnogością zrodzonej spod pędzla artysty fantastycznej zwierzyny. Przesuwał wzrok po scenach bitew, które pojawiły się tuż za skrzyżowaniem.

korytarza. Nie rozpoznawał żadnej. Nie umiał dopasować nazw znanych z lekcji historii. Nawet tam, gdzie na płaszczyźnie ściany ścierały się dwie armie — wyciągnięte w szpice hełmy Południa mieszały się w tłoku z oskrzydłonymi kaskami Północy — Promień nie był w stanie nazwać przedstawionej przez malarza wojny. Wydarzenia, które przeminęły, zanim jeszcze na świat przyszedł jego dziad, zlewały się w jego umyśle w jedną masę o wspólnej nazwie „przeszłość”. Cóż mogły obchodzić malowane wojny chłopca, który urodził się i żył w czasach pokoju? Tylko jeden fragment fresku obudził w nim żywsze uczucia: cofające się w nieładzie szeregi żołnierzy, postacie zastygłe w pozach bólu i rozpacz. Jedne wznoszące ramiona ku niebu, inne zasłaniające twarze, kulące się do ziemi, ogarnięte jaskrawym woalem płomieni. I konie o grzywach ogarniętych ogniem, w szale tratujące piechurów. Rzeźnia... Odwrócił oczy od obrazu, gdzie malarz uwiecznił nieme oskarżenie skierowane do Iskier.

Minął Promienia sługa zapalający latarnie. Rzucił magowi ciekawe spojrzenie, ale poszedł dalej ze swą zapalarką. Przystawał co jakiś czas, otwierał osłony lamp, dolewał oleju i podpalał knoty, po czym dążył dalej. Promień zauważył, że latarnik opatruje jedynie co trzecią lampę. Zamyślił się nad tym faktem, a nogi niosły go dalej, prawie niezależnie od woli. Dotarł w końcu do miejsca już mu znanego — sieni przed salą posłuchań. Wysokie, dwuskrzydłowe wierzaje zamknięte były na głucho. Najwyraźniej król skończył już dzień przyjęć. I tutaj świeciła zaledwie jedna latarnia, słabo rozjaśniając nieduży fragment westybulu. Na tyle jednak dobrze, by zaskoczony Promień dojrzał obrazek dość niecodzienny. Oto z brzegu jednego z owych gigantycznych naczyń strzegących wejścia zwieszał się pomięty kłęb fałdzistej materii, a z niego sterczały dwie nogi w białych pończochach! Promień podszedł bliżej, ciekawie przypatrując się zjawisku. Bezradnie majtające się wśród pogniecionych falbanek stopki były małe, obute w płytkie pantofelki. Bezskutecznie poszukiwały oparcia, o włos mijając się z krawędzią kolumny. Z wnętrza wazy dobiegały odgłosy świadczące, że właścicielka nówek jest bliska płaczu. Rozbawiony Promień wyciągnął rękę i złapał ją za kostkę. Z góry rozległo się przytłumione kwiknięcie. Swobodna nóżka wykonała energiczny wymach, przy czym pantofelek zsunął się z niej i przepadł w jakimś zakamarku. Nad krawędzią wazy mignęła czerwona z wysiłku buzia dziewczynki.

— Poczekaj, zdejmę cię — powiedział Promień, chwytając ją gdzieś w okolicach kolan. Krzyk powtórzył się, a kopnięcie tym razem trafiło chłopca w obojczyk.

— Przestań machać tymi kulasami, wstrętna dziewucho! — zdenerwował się. — Bo cię tak zostawię. I nie wrzeszcz! Chyba że chcesz, żeby jeszcze ktoś przyszedł i obejrzał twoje majtki.

Dziewczynka rozplakała się już na dobre.

— Zde... zdejmij mnie...! Ja... chcę... zejść...! — Było to gęsto okraszone chlipaniem i pociąganiem nosa.

Promień nakierował stopy dziewczynki na wąski rant wokół podstawy wazy.  
— Stań tu. Trzymasz się tam?  
— Y-hyyy...  
— Uważaj, teraz złapię cię w pasie... mniej więcej w pasie... Wtedy zesko-  
czysz. Będę cię trzymał.  
Po chwili dziewczynka stała bezpiecznie na posadzce. Natychmiast zaczęła  
się rozglądać, zmartwiona i bezradna.  
— Zgubiłam bucik... ojej...  
Jedną ręką wycierała oczy, a drugą usiłowała bezskutecznie przygłodzić potar-  
gane ciemne włosy. Promień rozejrzał się po najbliższej okolicy. Pantofla nigdzie  
nie było widać.  
— Za ciemno — stwierdził. — Trzeba będzie poszukać rano.  
— Zimno — poskarżyło się dziecko, chwiejąc się niepewnie na jednej nodze.  
Promień rzucił dziewczynce posępne spojrzenie. Blask lampy padał z góry,  
najlepiej oświetlając wierzch jej głowy, a twarz kryjąc w cieniu. Promień domyślał  
się jednak, że to stworzenie ma około dziesięciu lat. Sięgało mu do ramienia, no  
i nie było zbyt ciężkie. Obrócił się tyłem, przykleknął.  
— Złap mnie za szyję — rozkazał. Tej smarkuli z pewnością już ktoś szu-  
kał. Była zbyt dobrze ubrana jak na córkę kogoś ze służby, a dobrze urodzonych  
panienek nie puszczano samopas.  
Posłuchała bez protestu. Zaczęła wiercić się dopiero, gdy splótł ręce pod jej  
udami.  
— To nieprzyzwoite! — pisnęła.  
— Możesz iść do domu boso. Proszę bardzo — zgniewał się mag. — Poza  
tym nie usłyszałem jeszcze „dziękuję”. A w ogóle, kto ty jesteś, gdzie mam cię  
zanieść i co, do ciężkiej cholery, robiłaś w tej wazie?  
— Mówisz brzydkie słowa! — W głosie dziewczynki, prócz zgorznienia, za-  
brzmiała nutka satysfakcji. — Ale dziękuję. Ty mnie nie znasz?  
— Nie. A powinienem?  
— Wszyscy mnie znają. Jestem Jana. Na razie idź prosto w tamtą stronę —  
palec małej wskazał kierunek.  
Promień podjął wędrówkę z żywym ciężarem na plecach. Nie zapomniał jed-  
nak o pytaniu.  
— Co robiłaś w wazie?  
Jana westchnęła ciężko, dmuchając mu w kark.  
— Strasznie chciałam zobaczyć czarnoksiężników...  
— Oho...!  
— Wdrapać się do środka było łatwiej. Schowałam się i czekałam aż wyjdą,  
ale jakoś nie wychodzili...  
Promień przypomniał sobie, że faktycznie „wyszli” wszyscy całkiem inną dro-  
gą — przez wrota Wędrowców.

— A potem czekałam, aż pójdzie sobie służba, bo przecież nie mogłam zezwolić, aby ktoś mnie zobaczył. A potem chyba zasnęłam. W końcu obudziłam się, a wtedy okazało się, że nie mogę zejść! Skręć w lewo. A potem schodami na górę.

Kierowała tak Promieniem przez spory kęs czasu. Iskrę zaczęły trochę boleć ręce i pożałował nieprzemyślanego gestu szlachetności. Nasłuchiwali cudzych kroków, przeczekiwali, aż ucichną, by nie wchodzić w oczy niepotrzebnym świadkom.

— Pewnie mnie szukają od długiego czasu. Oj, co to będzie... — westchnęła dziewczynka.

— Lanie będzie — mruknął Promień.

— Mnie nie biją — oświadczyła Jana z godnością. — Mateczka mnie skrzyczy albo... A w ogóle nic ci do tego! — zakończyła gniewnie.

— Pewnie — zgodził się Promień obojętnie.

— U kogo służysz? — spytała Jana. — Nie znam cię. Jesteś paziem? Nie, za duży jesteś — odpowiedziała za niego. — Przyboczny, tak?

— Skądże...!

Więcej Promień powiedzieć nie zdążył, bo doszli do rejonu, gdzie paliła się co druga latarnia, a Jana zsunęła się na ziemię. Z niedaleka dobiegał odgłos kroków straży i postukiwanie włóczni o posadzkę. Promień widział, jak Jana zagłąda niepewnie za węgiel, przestępuje niezdecydowanie z nogi na nogę i gniecie w palcach fałdę sukienki.

— Iść z tobą? — zapytał.

— Uhm... proszę — skwapliwie chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą.

Strażnik był tylko jeden. Na widok przybyłych zamarł na chwilę, po czym natychmiast otworzył najbliższe drzwi i zawołał do wnętrza:

— Najjaśniejsza Panienska wróciła!

Promień zgrzytnął zębami. A to dopiero! Królowna! Dziecko w jednym bucie okazało się córką Ataela! Było już jednak za późno na odwrót. Królowna kurczowo ścisnęła jego dłoń. Razem przekroczyli próg i znaleźli się oko w oko z dwiema zdenerwowanymi do ostatnich granic kobietami. Młodsza natychmiast chwyciła za ramiona Janę.

— Dziecko, gdzieś ty była?! Służba szuka cię po całym zamku! Co robiłaś?! Nic ci się nie stało?!

Starsza matrona rzuciła się na Promienia.

— Gdzie znalazłeś królownę? Co się stało? Mów natychmiast! Złapała go za ramię i zacisnęła palce jak obcęgi. Promień nie znosił, gdy na niego krzyczano, a o stopień bardziej nienawidził, gdy dotykali go obcy. Ale skąd miała to wiedzieć bona królowny? Natychmiast przybrał najbardziej odpychającą ze swych min i oparł się o drzwi w swobodnej pozycji, patrząc na wychowawczynię, jakby była nadnaturalnych rozmiarów glistą.

— Nie pamiętam — wycedził chłodno.

Tymczasem królowa zajmowała się wyłącznie córką, nadal wydając okrzyki grozy, lecz były one coraz cichsze.

— Jak ty wyglądasz, Janael? Gdzie masz pantofel?

— Zgubiłam, mateczko...

— A rogowkę spod sukienki? Też zgubiłaś?

— Zdjęłam, mateczko...

— Na łaskawość Pana, czy ty wstydu nie masz, dziewczyno? Gdzie byłaś?

Biedna królowa kuliła się pod pręgierzem wyrzutów.

— Strasznie chciałam zobaczyć czarodziejów, mateczko — tłumaczyła się załośnie.

— No i zobaczyłaś, prawda? — odezwał się ktoś, parszkając śmiechem. — I nawet wzięłaś sobie jednego na pamiątkę?

Wtedy Promień zauważył, że w komnacie jest ktoś jeszcze. Kilkunastoletni chłopiec klęczał na krześle, opierając się łokciami o jego oparcie i z upodobaniem przyglądał się całej scenie. Twarz miał jasną, skórą do uśmiechu, oczy bardzo niebieskie, jak szklane kulki. Włosy brązowe z rudawym odcieniem, miękko układające się w naturalne fale. Ubrany był w ciemnoniebieski kaftan ze srebrnymi naszykami i wielkim, haftowanym kołnierzem. Skoro Jana była królową, to łajząca ją kobieta musiała być królową. Natomiast chłopiec zajmujący krzesło nie mógł być nikim innym, jak tylko następcą tronu. Jakoż Iskra nie mylił się.

— Toroj, usiądź porządnie — poleciła królowa automatycznie, kierując wzrok na przybysza. Królewicz równie machinalnie spełnił polecenie, nie odrywając oczu od maga.

— Oj! — pisnęła królowa, zasłaniając usta ręką. Dopiero teraz, w jasno oświetlonym pomieszczeniu, miała okazję obejrzeć dokładnie swojego wybawcę. Może rozpoznałaby go wcześniej, jeszcze na korytarzu, lecz zmylił ją czysty akcent Iskry mówiącego w northlanie, a poza tym przez znakomitą większość drogi miała okazję widzieć wyłącznie tył jego głowy.

— Czy łaskawa pani jest królową? — upewnił się Promień.

— Tak, młodzieńcze, jestem królową — odrzekła uprzejmie zapytana.

Mag oderwał się od futryny i wykonał jak najbardziej prawidłowy ukłon, który w bardzo nudnym podręczniku obyczajów podpisany był jako „odpowiedni osobom szlachetnie urodzonym, a pozdrawiających z uszanowaniem równego sobie rangą, lecz wiekiem starszego”.

— Promień, Iskra w randze mistrzowskiej, do usług Jej Wysokości — odruchowo przedstawił się we własnym języku, a królowa bez wahania podjęła dialog w lengore.

— Miło poznać. — Lekko skinęła głową. — Jaka pogoda na Południu?

— Pada — bąknął, zaskoczony pytaniem.



Chwilę trwało, zanim zdał sobie sprawę, że właśnie uczestniczy we wstępie do właściwej rozmowy. Słyszał o tym dziwnym obyczaju northlandzkim, by zanim dotrze się do sedna, wymienić kilka zdań o sprawach błażych, jakby rozmówcy dopiero nabierali pędu, zastanawiali się nad doborem słów niczym broni.

— U nas jest znacznie cieplej, Najjaśniejsza Pani — dodał. — Brak śniegu, za to mamy ciągle ulewy.

— To chyba niedogodne? — rzekła z uprzejmym zainteresowaniem, dając jednocześnie dyskretne znaki guwernantce. Wychowawczyni wzięła za rękę królowną i wyprowadziła do sąsiedniej komnaty, przy czym Jana szła tyłem, nie odrywając pełnego fascynacji wzroku od Promienia. Najwyraźniej jego egzotyczna powierzchowność i obcy ubiór zrobiły na niej niemałe wrażenie.

— Tak. To dość niedogodne — zgodził się Iskra. — Za to tutaj jest bardzo zimno.

— Czy zmarzył pan podczas spaceru?

— Nie, Najjaśniejsza Pani. Nie wychodziłem na zewnątrz. Choć muszę przyznać, że różnica jest niewielka. — Promień nie mógł odmówić sobie krytyki systemu ogrzewania zamku.

— I spotkał pan moją córkę... w jakim miejscu?

Aha, więc nadeszła chwila prawdy. Promień ani na jotę nie zmienił przybranego na użytek królowej dystygowanego wyrazu twarzy.

— Obok wejścia do sali przyjęć. Zgubiła bucik, więc przyniosłem ją tutaj na rękach. Możliwe, że naruszyłem etykietę, lecz nie wiedziałem, że jest córką króla.

Królowa uśmiechnęła się lekko.

— Na rękach? Musisz być silny, panie magu. Jana nie jest malutkim dzieckiem. Proszę usiąść z nami do stołu — zaproponowała nieoczekiwanie.

Promień odczekał, aż królowa sama siądzie, po czym spełnił polecenie, zajmując miejsce naprzeciw następcy tronu. Zdawał sobie sprawę, że właśnie podlega drobiazgowej ocenie. Osądza się każdy jego ruch, słowo, zachowanie. Niebawem zostanie mu przyznana odpowiednia lokata w prywatnym rejestrze władczyni i zgodnie z nią będzie traktowany. Ale i on sporządzał w myślach swoją własną wycenę. Królowa, w przeciwieństwie do humorzastej bony, spodobała mu się od razu. Była ładna, urodą niebanalną, niemającą nic wspólnego z ideałami przedstawianymi na setkach przechwalonych płócien. Dostrzegał w niej coś, co promieniowało na zewnątrz, nadając wyraz szczupłej twarzy z cienkim noskiem. W niebieskich oczach widział błysk poczucia humoru oraz inteligencji. Odmienne też niż inne mieszkanki zamku ledwie musnęła pudrem policzki, nie maskując swej rzeczywistej urody. Królowa miała na sobie granatową suknię, zgodnie z tu-tejszą modą — bardzo szeroką, rozpiętą na kolistym rusztowaniu, lecz gładką i skromną w porównaniu z kreacją, która niedawno zszokowała magów w poczekalni. Bystre oko Promienia natychmiast spostrzegło również to, że królowa nie

nosiła żadnych klejnotów. Gdy sięgnęła po dzwonek stojący na stole, zobaczyła na jej palcu odcisnięty ślad po pierścieniu. To było zastanawiające.

Delikatne dzwonienie sprowadziło służącego. Królowa poleciła mu nalać wina gościowi. Królewicz otrzymał to samo wino z dodatkiem wody i rzucił zazdrosne spojrzenie na kielich maga.

— Powinam wcześniej go przedstawić — odezwała się monarchini. — To oczywiście mój syn — Toroj Brianon Idaeł Toho, przyszły władca Northlandu.

Promień dość sztywno zgiął kark przed królewiczem.

— Czy należy używać jakiegoś oficjalnego tytułu, Najjaśniejsza Pani?

— Wystarczy „wasza wysokość” — odezwał się chłopiec. — Czy Hevela’ to imię twoje czy rodowe?

— Moje własne — wyjaśnił mag sucho. — Nazywam się Promień, Mistrz Iskier Drugiego Kręgu. Wystarczy mówić „mistrzu”.

Złowił spojrzenie królowej, która przyglądała mu się badawczo spod przymrużonych powiek.

— Zawsze wyobrażałam sobie maga jako starszego mężczyznę, posiwiąłego, z brodą. . .

— W długim płaszczu i spiczastym kapeluszu?

— Coś w tym rodzaju — zaśmiała się cicho, jakby nie dostrzegając, że wpadł jej niegrzecznie w słowo. — Czy nie jest pan zbyt młody jak na Mistrza magii? Od ilu lat zajmuje się pan czarami?

— Od osiemnastu — odpowiedział.

Doceniła żart. Uniosła kielich w niemym toaście. Odwzajemnił się tym samym. Wino było słodkie, mocne, zostawiało na języku i podniebieniu korzenny posmak. Uderzało w nos ciężkim, słodkawym zapachem, kojarzącym się z wygrzaną słońcem winnicą, wiszącym wśród pęków liści dojrzałym owocem — narbrzmiałym sokiem, lepkiem i lekko przykurzonym. Promień przymknął oczy. Od dawna nie pił takiego wina, od bardzo dawna. . .

— Killawen — szepnął cicho.

— Tak, to killawen — potwierdziła królowa, kołysząc lekko kielichem. — Wyczulony język, Mistrzu Iskier. A może czytasz w myślach?

Sącyli trunek wolniutko, gwarząc o sprawach lekkich. Znacznie ważniejsze były tu wzajemne obserwacje. Promień czuł, że zdobył w jakiś sposób akceptację królowej. Nie był natomiast pewien królewicza Toroja, który odzywał się z rzadka, a patrzył na maga jednocześnie i z ciekawością, i taksująco.

Wreszcie królowa dała do zrozumienia, że spotkanie uznaje za dobiegające ku końcowi. Promień wstał natychmiast, na własny użytek stwierdzając z zażenowaniem, że wino uderzyło mu do głowy. Ostatni konkretny posiłek spożył przed południem. Cała komnata przechyliła się lekko na bok. Promień zacisnął kurczowo palce na oparciu krzesła, po czym zmobilizował z wysiłkiem zmysł równo-

wagi. Otoczenie wróciło do pionu i ustabilizowało się. Ukłonił się jednak bardzo ostrożnie.

— To był wielki zaszczyt i przyjemność, Jasna Pani.

— Czy Mistrz Iskier mógłby odprowadzić mnie do mojej komnaty? — spytał Toroj, zwracając się jednak do matki, a nie do Promienia, który poczuł się lekko dotknięty. — Kwatera magów jest w innym skrzydle, więc wysłałbym z nim Margora, żeby nie zbłądził.

Królowa wyraziła zgodę i w ten sposób Promień miał okazję obejrzeć od wewnątrz także apartament królewskiego syna. Podobnie jak u królowej, przed wejściem stał halabardnik. Promień spodziewał się, że natychmiast po wejściu do środka królewicz wezwie służącego i wyda odpowiednie dyspozycje, ale ten nie kwapił się. Zamiast tego obchodził Promienia wokoło, jakby oglądał posąg. Iskra postanowił uzbroić się w cierpliwość.

— Przyjechało was ośmiu, tak?

— Zgadza się — odrzekł mag.

— I podobno nie ma wśród was nikogo dorosłego.

— Są i starsi, i młodsi ode mnie — rzekł Promień oględnie. „Nikogo dorosłego” — też coś!

Królewicz podskoczył, usiadł na blacie stołu, kiwając nogą i przypatrując się Promieniowi badawczo. Zdecydowanie działał Iskrze na nerwy.

— Phi... — rzekł Toroj lekceważąco. — To szkółka. Na pewno nie umiecie porządnie czarować. Tak samo i ja bym potrafił, gdybym nauczył się zaklęć.

— Na pewno nie — odparł Promień i usiadł bez zaproszenia w fotelu, rozpie-  
rając się w nim wygodnie.

— Na pewno tak. Skąd wiesz, że nie? To powiedz jakieś zaklęcie, naucz mnie, a zobaczymy, któremu z nas lepiej pójdzie!

Aaaa, to o to chodzi, pomyślał Promień, a głośno powiedział:

— Avatum koro ivite.

— Avatum koro ivite — powtórzył w skupieniu następca tronu, po czym ukradkiem rozejrzał się wokoło.

— Nie działa!

— Nie powiedziałem, że zadziała — odparł Promień z szyderczym uśmie-  
kiem. — Macie tu takie pojęcie o magii jak żaby o astronomii. Zaklęć nie ma i nigdy nie było. Magia jest aktem woli oraz talentu, a nie grą w słówka.

Królewicz zeskoczył ze stołu i zaczął przechadzać się po komnacie, założyw-  
szy ręce za plecy. Najwyraźniej coś go nurtowało.

— Czy to prawda, że magowie umieją czytać w myślach?

— Mhm... Niektórzy — mruknął Promień twierdząco. W danej chwili bar-  
dziej zajmowała go walka z opadającymi powiekami. Tutejsze killawen musiało  
być wzmacniane dodatkową destylacją.

— A ty? Ty też...?

Królewiczowi odpowiedziało milczeniem. Obrócił się w stronę gościa i zadane pytanie zamarło mu na wargach. Młody mag siedział w fotelu. Jego ręce luźno spoczywały na poręczach, głowa opadła na ramię. Iskra po prostu spał. Jeszcze przed chwilą rozmawiał z Torojem, a tu nagle jego świadomość zgasła jak zdmuchnięta świeca. Następca tronu przyglądał się śpiącemu ze zdziwieniem i pewną dozą ciekawości. Nieczęsto zdarzało mu się obserwować kogoś w takiej sytuacji. Etykieta surowo zabraniała zasypiania w obecności członków rodziny panującej. Lecz ten tutaj miał najwyraźniej etykietę w głębokiej pogardzie. Królewicz uniósł brwi z pobłażaniem, wzruszył ramionami. No cóż, widocznie Iskra był naprawdę bardzo zmęczony. W dodatku musiał nieść jego nieznośną siostrę przez te wszystkie korytarze. Następca tronu postąpił krok, szturchnął palcem wskazującym w pierś śpiącego.

— Obudź się!

Mag tylko westchnął, osunął się trochę w siedzisku i wsparł skronią o bok oparcia. Teraz, gdy jego ironiczne spojrzenie skryło się pod powiekami, znikła zmarszczka między brwiami, a twarz nabrała niekontrolowanego wyrazu łagodności, mag okazał się młodszy, niż wydawało się królewiczowi przedtem. Na pewno byli niemal rówieśnikami. Toroj zastanawiał się, co robić dalej. Oczywiście mógłby zacząć krzyczeć i szarpać maga za ubranie lub włosy. To obudziłoby go na pewno. Ale... czy warto? Królewicz rozmyślał dalej. Zaproszenie obcego do prywatnych komnat bez asysty zaufanej służby było już i tak bardzo poważnym nagięciem obyczaju dworskiego. A już zachowanie gościa wydawało się wręcz nie do pomyślenia. Naginany ceremoniał trzeszczał i ronił drzazgi — tak w każdym razie widział go Toroj oczami wyobraźni: jako grubą deskę odgradzającą go od reszty ludzi. A gdyby tak zachować ten lengorchiański bibelot dla siebie? Przynajmniej na jakiś czas? To byłoby z pewnością interesujące, a do tego doprawione sosem „zakazane”. Rankiem Toroj mógłby wypytać jeszcze Iskrę o inne sprawy dotyczące kraju za górami, magii i tajemniczego Zamku Na Wyspie. Toroj przeszedł do sypialni, po sekundzie namysłu podniósł z łoża pled. Wrócił, przykrył maga, po czym na palcach podszedł do drzwi prowadzących na korytarz i zamknął je starannie. Wycofał się do komnaty sypialnej. Z mocno bijącym sercem przekreślił klucz tkwiący w zamku od wewnątrz. Nie, nikt mu nie zarzuci, że jest lekkomyślny. Było bardzo późno, najwyższy czas iść do łóżka. Drobne płatki śniegu przylepiały się do szyb. Toroj patrzył na nie, ściągając ubranie i rzucając je na podłogę. Sługa na pewno drzemał jak zwykle w przedsionku, ale Toroj nie miał zamiaru go wołać. Już od lat radził sobie sam. Nie był przecież dzieckiem. Zdmuchnął świecę. Wśliznął się między prześcieradła, pod kołdrę i koce z delikatnej wełny. Dotyk pościeli był lodowato zimny. Dlaczego pokojówka nie wygrzała łóżka? Poskarży się jutro. Chłopiec skulił się, dygocąc, próbując odnaleźć w sobie odrobinę zbędnego ciepła, które mogłoby rozgrzać otoczenie, a potem wrócić do niego.

Nie cierpię zimy, pomyślał. Nienawidzę wojny, nienawidzę oszczędności.

Był czas, gdy na wielkich paleniskach zamku płonęły całe pnie drzew, a ogrzane powietrze płynęło rurami do przestronnych komnat, ale minął i nie wiadomo było, kiedy powróci. W czas wojenny cały dwór przestawił się dla oszczędności na ogrzewanie kominkowe lub przenośne mosiężne piecyki na nóżkach, zwane żartobliwie pieskami. Królewicz zwinął się jeszcze ciaśniej, wcisnął nos w poduszkę i zaczął liczyć. Przy piętnastu zrobiło mu się cieplej, przy dwudziestu trzech zmylił rachunek, do dwudziestu sześciu już nie dotarł. Zasnął.

\* \* \*

Świt wsączał swe blade jak odciągane mleko światło poprzez matowe szyby komnaty. Promień w pierwszej chwili nie potrafił się zorientować, gdzie jest. Bolał go kark i plecy. Najwyraźniej spał też z uchylonymi ustami, bo język miał suchy jak wiór. Poruszył się, z piersi zsunęło mu się coś miękkiego. Poczul na rękach dotyk wełny. Ktoś przykrył go kocem. Ach tak... Promień przypomniał sobie poprzedni wieczór. Co za historia! Zasnął tutaj, zupełnie nagle. Przymknął oczy i już go nie było, całkiem jakby niespodzianie odcięto mu głowę. Zawstydzające. Wino, którym poczęstowała go królowa, było mocne. Powinien odmówić lub przynajmniej nie wypić wszystkiego. Na pusty żołądek podziałało niczym najlepszy środek nasenny. W ten sposób, całkiem wbrew swej woli, spędził noc w komnacie księcia — królewicza, jak mówi się tutaj. Podniósł się z fotela, masując obiema rękami zdrętwiały kark. Przeciągnął się, aż trzasnęło mu w stawach. Najlepiej byłoby zniknąć stąd, zanim ktoś ze służby odkryje jego obecność. Promień był przekonany, że nie zrobił niczego złego, ale tłumaczyć się — jak? dlaczego? — to zupełnie mu się nie uśmiechało. Podszedł do ciężkich, okutych ozdobnymi listwami drzwi i nacisnął klamkę. Były zamknięte, a dziurka od klucza ziała pustką. Niezrażony niepowodzeniem Promień pomaszerował do drugich drzwi, tkwiących w sąsiedniej ścianie. Niestety, i tu spotkało go rozczarowanie.

Mysz w pudełku, pomyślał z rosnącą irytacją. Po prostu zamknęli mnie. A niech to...!

Z trudem powstrzymał się od kopnięcia w odporne wierzeje. Zapewne już niedługo ktoś przyjdzie tutaj i wypuści go. Na razie postanowił rozejrzeć się po swym „więzieniu”. Przez okna wpadało coraz więcej światła. Komnata należąca do królewskiego dziedzica była urządzona bez przepychu, ale ze smakiem. Wzdłuż ścian na wysokości ramienia ciągnęły się kolorowe szlaki z regularnie powtarzającym się motywem niebieskich kwiatów, żółtych jabłek i liści. Promień uniósł głowę. Sufit przecinały trzy masywne belki, na których wymalowano taki sam wzór jak na ścianach. Sprzętów było niewiele — kilka rzeźbionych szafek z jasnego drewna, stół, dwa wyściełane krzesła i ów głęboki fotel, w którym spędził noc, sekretera zdobiona piękną intarsją w dębowe liście. Promień spróbował uchylić jedno

z okien — otwarło się niechętnie, pchając po zewnętrznym parapecie niewielką pryzmę śniegu. Do środka wpadł lodowaty powiew, aż chłopak wstrząsnął się z zimna. Zgarnął trochę śniegu i zjadł chciwie, oszukując pragnienie. Zewnętrzny świat był biało-szarą akwafortą. Biały puch, szare kamienie dziedzińca, po których szara, skurczona figurka sprzątacza niemrawo szurała drewnianą szuflą, zgarniając śnieg na kupy.

Wysoko. Zbyt wysoko, by wydostać się tą drogą — ocenił Promień. Zamykając na powrót okno, przyjrzał się okrągłym gomółkom malowanego witraża, wstawionym na stykach „kryształowego” szkła. Na jednym krążku kaczką zrywała się do lotu z niebieskiej tafli wody, na drugim siedziała wiewiórka. Następne okno ozdabiał bażant i sarna. Całe wnętrze sprawiało przytulne wrażenie. Promień dokonał w myślach porównania między tą komnatą a własną, pozostawioną daleko na Południu, na niekorzyść tej drugiej. Tam większość przedmiotów wykonana była z zimnego marmuru i metalu. Kiedyś w łóżeczku rozłożonego dwulatka po raz pierwszy zajęły się żywym ogniem muślinowe zasłonki. Jeszcze tego samego dnia usunięto z komnat małego Iskry większość palnych przedmiotów. Niewiele z nich wróciło na swoje miejsce, choć chłopiec rósł i coraz lepiej pannaował nad swoim talentem. Ogołocono jego ściany z gobelinów oraz kolorowych obrazków. Zabrano zabawki wykonane z tkanin, a także te drewniane. Uważał to za karę przez długie lata i być może nie mylił się tak do końca.

Lecz, o dziwo, bystre oko Promienia dojrzało i tutaj, na królewskim terytorium, oznaki plądrowania. Puste haki sterczały ze ścian jak niemy wyrzut. Na jasnym tynku znać było ślady zdjętych z nich ozdób — obrazów i plakiet. Tylko jedno płótno ocalało z pogromu. Na krótszej ścianie wisiał portret przedstawiający mężczyznę i małego chłopca, który miał rysy królewicza Toroja. Mężczyzna musiał być zatem samym Ataelem. Promień z ciekawością przyjrzał się wizerunkowi. Król przypominał mu jakieś zwierzę — szerokie czoło, ciężkie brwi... Twarz przedstawiono z półprofilu i widać było, że władca Northlandu jest niemal całkowicie pozbawiony wgłębienia u nasady nosa. W dodatku miał kwadratową szczękę i stanowczo wysunięty podbródek. Falujące włosy otaczały tę imponującą męską głowę ciemną aureolą. Oczywiście, przypominał lwa! Monarcha opierał się lewą ręką o blat stolika, na którym leżały w malowniczym nieładzie zwoje pergaminu, ozdobny kałamarz i sztylet. Prawą otoczył syna. Chłopiec na portrecie przechylił głowę, opierając ją o ramię ojca, obiema rękami obejmował jego rękaw i patrzył wprost na widza, cały w uśmiechu szczęścia. Tło obrazu było ciemne. Zarówno ubranie króla, jak i królewicza zostało utrzymane w tonacjach brązowych, z rzadka tylko rozjaśnionych pasmem kremowej naszywki czy koronki, a mimo to zdawało się, jakby z obrazu promieniowało tajemnicze, ciepłe światło. Obraz musiał być dziełem nie byle jakiego mistrza. Promień podszedł bliżej do płótna, przyglądając mu się krytycznie i z dużą dozą niedowierzania. Nie wyobrażał sobie takiej poufałości między ojcem a synem. Oczywiście mogło

to być możliwe w niższych sferach. Nie wykluczał takich scen w domach kupców czy rzemieślników, ale nie u arystokracji. Na pewno nie! Mistrza z pewnością poniosła fantazja. Chyba że tutaj, w Northlandzie, rzeczywiście wszystko stało na głowie. Wyidealizowana scenka drażniła go coraz bardziej.

— Bajeczka! — syknął ironicznie. — Jakież to słodkie!

Trącił nogą konia na biegunach, stojącego pod ścianą. Uniósł brwi z politowaniem. Królewiatko nadal bawi się w wojsko? Nie, chyba jednak nie. Drewniany rumak nosił co prawda ślady intensywnego użytkowania, ale do jego siodła przymocowano oparcie, a bieguny z tyłu podbito wysokimi klockami, by ktoś, kto przechylił się zanadto, nie wylądował na podłodze. Najwyraźniej dzielny biegus służył obecnie za jeszcze jeden mebel. Tuż obok, na wierzchu szafki leżała książka w grubej oprawie obciągniętej wytłaczaną skórą. Promień z ciekawością zajrzał na stronę tytułową. Jakież to lektury ma tutejszy następca tronu? Przez moment wpatrywał się w obcy krój pisma, przestawiając umysł na inny język i formułę zapisu.

„Wojna... o... puchar” — przeczytał i raptem zachciało mu się śmiać, gdy rozpoznał awanturniczą opowieść doskonale znaną i popularną w rodzinnych stronach.

„*Z języka lengore przetoczył na northlan oraz treść dla młodych umysłów go-dziwie przykroił szanowny pan Farybel Wieron*” — głosił dopisek pod spodem i Promień całkiem już jawnie zachichotał.

Nadal zajęty był pobieżnym przeglądaniem zawartości tomu, gdy postyszał zgrzyt metalu o metal, a potem ciche skrzypnięcie. Na progu drzwi prowadzących z gabinetu do sypialni pojawił się królewicz — nieco jeszcze zaspany, rozczochrany, odziany w coś, czego krój Promień ocenił jako dobry na szatę pokutnika, a co być może służyło w tym dzikim kraju za strój nocny.

— Aha — rzekł królewicz. — Więc wyspałeś się już. Myślałem, że wstanę pierwszy. Wygodnie ci było?

Promień rzucił okiem na fotel.

— Sypiałem lepiej — rzekł sucho. — Chociaż gorzej także — dodał, przypominając sobie twardy barłóg w szałasie obok zrujnowanej wieży strażniczej. — Jeśli można, chciałbym już iść, ale drzwi są zamknięte.

Królewicz jakby tego nie słyszał. Popatrzył na książkę w rękach Iskry i spytał:

— Czytasz w northlanie?

— Tak. I znam tę powieść. Ale to jest wersja dla dzieci. Szanowny pan Wieron powyrywał „z mięsem” wszystkie fragmenty z najbardziej nawet niewinną erotyką. I wydaje mi się, że zmienił też ustęp dotyczący odwrotu wojsk northlandzkich spod Jeleniego Brodu. — Promień pochylił głowę nad stronicą. — „Ustąpili pola bezecnym hordom, w dzikości jak zwierz plugawy zajadłym”. No proszę, napisał to wręcz od nowa. Poprawność polityczna — cóż to za piękna rzecz.

Odłożył książkę na poprzednie miejsce.

— Czy „jego dostojność” może mnie stąd wypuścić?

— Może, ale nie chce — rzekł Toroj przekornie. — Jego dostojność ma życie, żebyś towarzyszył mu przy śniadaniu.

Po czym odplynęła majestatycznie na powrót do sypialni, ciągnąc za sobą tren długiej koszuli. Promień miał ogromną ochotę na niego nadebrać. „Towarzyszenie przy śniadaniu” brzmiało obiecująco, ale Promień nie miał złudzeń. Zbyt długo obracał się wśród dworzan cesarza, by dać się nabrać na puste gadanie. Ni mniej, ni więcej: królewicz zażyczył sobie, by mag usługiwał mu przy stole — kroił chleb, dolewał wody do wina, o ile to się pije tutaj o poranku, obierał owoce i tak dalej. Potem ewentualnie usługujący może pożywić się tym, co pozostawił biesiadnik. Kilka razy Zwycięski Promień Świtu sam wyświadczał taki zaszczyt paru osobom, a teraz zła krew go zalewała na myśl, że ma się znaleźć w sytuacji odwrotnej. Zaciśnął zęby i postanowił wytrzymać.

Jakoż nie mylił się. Jego przecucia sprawdziły się co do joty. Może z wyjątkiem jadłospisu. Gdy Toroj już się ubrał, oczywiście przy pomocy służącego, na stole pojawiło się masło, słabe piwo, miód, biały chleb, smażona ryba i jakaś biało-żółta masa, którą Promień po namyśle rozpoznał jako sałatkę z jajek na twardo. Obsługa była mało skomplikowana. Polegała na smarowaniu kromek masłem i słodzeniu miodem królewskiego piwa. Królewicz jadł i paplał jednocześnie, wykazując się podziwu godną koordynacją jednej czynności z drugą.

— Hevela’ znaczy Promień, prawda?

— Prawda — potwierdził Promień krótko.

— Nie pasuje do ciebie — oznajmił Toroj. — Powinieneś nazywać się Kruk.

— Czemu? — spytał Iskra tonem wypranym z zainteresowania.

— Bo jesteś czarny i ponury.

A gdybym tak podbił ci oko, smarkaczu? — pomyślał mag, ale zamiast tego dołał królewiczowi piwa do kubka.

— Czy to prawda, że magiem może zostać każdy?

— Każdy człowiek obdarzony talentem.

— Bez względu na urodzenie?

— Każdy.

— A skąd ty pochodzisz? Z jakiej rodziny?

— Z podnóża pasma Igielnych. Ojciec jest myśliwym. Ja zresztą też — zmyślił Promień na poczekaniu.

Królewicz oszacował jednym rzutem oka postać Iskry.

— Nie do wiary. Myśliwy. Jak na myśliwego, doskonale władasz moim językiem. Umiesz czytać, pisać... rachować pewnie też?

I poemat *Złote bramy zachodu* na pamięć, i heraldykę, i historię, i niezły kawał geografii, dziecino, pomyślał Promień kwaśno, ale powiedział tylko:

— Musiałem się uczyć. Krąg ma duże wymagania.

— Szkoła w lesie? — zapytał Toroj z niedowierzaniem.



— Prywatny nauczyciel — odparł mag, wprawiając rozmówcę w jeszcze większe zdumienie.

Królewicz zaczął z innej beczki:

— Iskry władają ogniem, prawda? To zapal tamtą świecę! Chcę zobaczyć, jak to robisz! — Wskazał palcem.

Promień rzucił okiem. Oczywiście mógłby zapalić nie tylko tę nieszczęsną świecę, ale też stopić ją w mgnieniu oka razem z lichtarzem. Jednak cały wzdragał się wewnętrznie przed robieniem tego rodzaju sztuczek. Był magiem, do ciężkiej zarazy! Magiem, a nie jarmarcznym kuglarzem!

— Przykro mi, mój talent działa tylko na ludzi — rzekł w nagłym natchnieniu. — Mogę podpalić tego sługę, jeśli takie jest twoje życzenie, panie.

— Nie! — powiedział szybko królewicz i spochmurniał.

Niebawem skończył jeść. Promień podjął jeszcze jedną próbę uwolnienia się od królewskiego towarzystwa.

— Jeśli nie jestem potrzebny, to wolałbym dołączyć do mych towarzyszy. Prawdę mówiąc, jestem głodny i chciałbym się umyć.

— Mycie zimą jest niezdrowe — usłyszał w odpowiedzi. — Czy jeździsz konno?

— Tak.

— A więc zjesz tutaj. A potem będziesz towarzyszył mi w przejażdżce. Pokażę ci zamek, a ty opowiesz o Lengorchii. Margorze, moje buty do jazdy!

Promień przyrzekł sam sobie, że na każde następne pytanie odpowie „nie”, niezależnie, czego będą dotyczyły. Ze złością wbił zęby w kromkę chleba. Sługa, nazwany Margorem, przyniósł buty o bardzo długich cholewkach, po czym sprawnie obuł swojego pana. Dostarczał kolejno: kurtkę podbitą futrem, kapelusz z bażancim piórem i rękawice, a także ciepły płaszcz dla Promienia. Znalazły się też rękawiczki dla Iskry — nieco przykrótkie w palcach, ale królewicz nawet nie chciał słyszeć o tym, by mag poszedł po swoje rzeczy. Nie ulegało wątpliwości, iż uczynił Promienia więźniem swego kaprysu i nie wypuści go, póki się nim nie znudzi.

\* \* \*

Pocieszeniem dla Promienia stał się koń — piękna, rasowa klacz, w niczym nieustępująca koniom, na których jeździł po rozległych parkach wokół wiejskiej posiadłości ojca. Przypadła mu kobyłka pstra jak śmietankowy krem posypany bakaliami. Królewicz dosiadł karoszki w białych skarpetkach i z gwiazdką na czole. Stępa przejechali przez ceglana bramę, za którą ciągnęła się ośnieżona aleja, wysadzana wiązami. Strażnicy przy bramie sprezentowali broń przed królewskim synem. Toroj zasalutował im pejczem.

- Dobrego dnia. Mróz dziś, prawda?
- Zimno, Wasza Wysokość — odpowiedział jeden z żołnierzy z uśmiechem. — Ale w strażnicy czeka grzane piwo.
- Miłej przejażdżki życzymy, Wasza Wysokość — dodał drugi.
- Może zajrzemy do was później — rzekł królewicz.

Promień pomyślał, że następca tronu jest w zadziwiająco poufłych stosunkach ze służbą i że chyba na bardzo dużo mu się pozwala. Przeszli w kłus, potem płynnie w galop. U końca alei Toroj wstrzymał klacz i skierował ją wzdłuż muru. Stąd był lepszy widok na dwie z czterech zamkowych wież. Obie klacze gryzły wędzidła, rwąc się do dalszego biegu, lecz jeźdźcy utrzymywali je w umiarkowanym truchcie. Bezlistne korony drzew przesuwają się na tle czerwonych ścian budowli.

- Jak ci się podoba? — spytał Toroj, odwracając głowę w stronę towarzysza. Odrapana kupa cegieł, pomyślał Promień i odpowiedział:
- Niezły. Może być.
- Co „może być”, co „może być”!? — zaperzył się królewicz. — To jest największy zamek w kraju! Widziałeś już coś lepszego?

Promień miał ochotę powiedzieć, że pałac należący do jego rodziny jest równie duży, a przy tym nieporównywalnie bardziej elegancki. Westchnął niezauważalnie.

- Siedziba cesarza Ogniu jest większa — oznajmił chłodno.
- Widziałeś pałac cesarza? — zaciekał się Toroj.

I Promień był zmuszony opisywać złote kopuły Pałacu Tysiąca Komnat, górujące nad Lenenją. Białe, skrzące się jak cukier mury pokryte sztukateriami i srebrnymi arabeskami. Wiecznie zielone ogrody, po których przechadzały się bajecznie kolorowe ptaki oraz oswojone lwy. Królewicz słuchał z napiętą uwagą, nie roniąc ani słowa. Promienia raptem uderzyła jedna myśl: „Te wszystkie cuda mogły być moje. Zamieniłem je na... właśnie, na co? No tak, na życie, na wolność... I to wszystko?”. Myśl zerwało następne pytanie królewicza, zadane tonem, w którym pobrzmiwała nuta zniechęcenia:

- Zamek Na Wyspie też pewnie jest większy i wspanialszy od naszego?

— Zamek Magów jest największy i najwspanialszy na świecie — odparł z głębokim przekonaniem Iskra. — To miasto samo w sobie. Wzniesione i utrzymywane za pomocą magii. Nazywają go też czasem Miastem Dłoni, bo struktura budowli opiera się na układzie pięciu wież, jak pięciu palców. Największa ma sto pik wysokości.

Przerwał na chwilę, wspominając czas spędzony w siedzibie magii.

- Tam jest bardzo pięknie — podsumował.

Królewicz jakoś nie żądał od niego rozwinięcia tematu. Trącił klacz obcasem, by zachęcić ją do biegu. Promień podążył za nim. Zrównując się z czarną

wierzchówką, dojrzał zmarszczone brwi towarzysza i wargi wydęte jak u naburmuszonego dziecka.

\* \* \*

Toroj się rozczarował, to musiał przyznać. Ten mag był wyjątkowo nietowarzyski, a na dodatek sprawiał cały czas wrażenie, jakby towarzyszył mu z łaski lub wręcz z przymusu. Toroj miał ochotę go uświadomić, że niejedyn syn lorda byłby zachwycony propozycją wspólnego spędzenia czasu z potomkiem króla. Powstrzymało go tylko niejasne podejrzenie, że mag zbyłby tę uwagę milczeniem i w odpowiedzi posłałby jedno z tych swoich specjalnych spojrzeń. Na razie jedzie obok, a jego twarz ma akurat tyle wyrazu, co drewniany maszkaron, którym ozdabia się poręcze. Trzyma się prosto, jak przyklejony do siodła, podczas gdy Toroj zaczął się ślizgać po końskim grzbiecie niczym kawałek lodu na talerzu. Przeklęta kobyła, znów się nadeła przy siodłaniu! Toroj spojrział ze smutkiem na swój dom. Jakby dopiero teraz zobaczył połataną świeżą cegłą fragmenty murów. Gdzieniegdzie szczyt, popękana dachówka... Toroj od zawsze kochał te przysadziste gmachy oraz wieże zwieńczone spadzistymi dachami. W każdym kącie czuło się krzepiący zapaszek kurzu i tradycji. Tymczasem kilka zdań przybysza z bogatej Lengorchii zmieniło nagle ten szacowny, pięćsetletni przybytek niemalże w kupę gruzu.

Dotarli pod wieżę zwaną Ustronną. Stała wpasowana w zewnętrzny mur obronny. Połączona z resztą fortyfikacji drewnianym, krytym pomostem, po którym właśnie przechadzał się strażnik obserwujący z góry zarówno cały szmat zamkowego parku, jak i część osuszonej na zimę fosy po drugiej stronie muru.

— W tej wieży straszy — powiedział Toroj, zadzierając głowę. Miał nadzieję, że to zrobi wreszcie na tym zarozumiałym magu wrażenie. I nie pomylił się — z zadowoleniem dojrzał błysk zainteresowania w ciemnych oczach.

— Co straszy? — spytał Iskra.

— Mój prapradziadek po kądzieli — wyjaśnił królewicz nie bez dumy. — Zginął w tej wieży. Prawie dwa wieki temu nastąpił spór o sukcesję. Prapradziad Everel Kialan Toho zmarł nagle, pozostawiając moją prababkę Tadilię Renę jako jedyną następczynię. A jej dziad ze strony matki koniecznie chciał zostać regentem, bo Tadilia miała dopiero trzynaście lat. Tymczasem Everel na łożu śmierci regentem ustanowił swojego kuzyna Brianona Toho. Skończyło się na tym, że prapradziadek Sornet, obłączony w tym miejscu, rzucił się na miecz. A Brianon w odpowiednim czasie ożenił się z Tadilią.

— I ten samobójca ukazuje się tu jako duch? — upewnił się Promień.

— Żołnierze i słudzy często go widują, a już zawsze w rocznicę śmierci — Toroj jakoś nie wyczuł cienia drwiny w głosie maga. Od czasu, gdy usłyszał o duchu

po raz pierwszy, uważał Sorneta za postać romantyczną i żałował, że nie wolno mu wychodzić poza obręb królewskich apartamentów po zmroku. Chętnie zapytałby swego przodka, czemu ten tak bardzo upierał się przy czymś, co w końcu doprowadziło go do bezsensownej śmierci.

Iskra, zadzierając głowę, przypatrywał się wieżyczce zwieńczonej galeryjką i trójspadowym dachem.

— Niezłe miejsce — ocenił. — W razie potrzeby można spalić pomost i bronić się we wnętrzu dość długo. W środku jest wartownia?

— Ustępy — odpowiedział Toroj bez namysłu i natychmiast tego pożałował.

Iskra ryknął niepohamowanym śmiechem.

— Zjawa w wychodku! Nie wytrzymam! Uchachacha! Wygódkowy duch! Ale sobie miejsce znalazł do straszenia! Ja bym się bał tam siadać! Nie... litości!

Toroj osłupiał. Gorąco buchnęło mu na twarz. W najgorszych snach nie przewidywał, że kiedykolwiek zostanie tak znieważony. Mag rechotał, ślaniając się w siodle i ledwo panując nad koniem.

— Dość! Przestań, słyszysz!?! — wrzeszczał wściekły królewicz. — Ty śmieciu! Każę cię ściąć!

Była to czcza i raczej dziecinna pogrożka, więc Iskra zlekceważył ją całkowicie. Później Toroj przyznał, że powodowała nim niska chęć odwetu i że nie zastanawiał się nawet przez sekundę nad tym, co robi. Promień krzyknął z bólu, chwytając się za bok głowy. Po chwili z zaskoczeniem wypisanym na twarzy spojrzął na dłoń, sprawdzając odruchowo, czy nie ma na niej śladów krwi. Pejcz Toroja trafił go w ucho i dolną krawędź policzka, kreśląc czerwoną pręgę aż do brody. Królewicza tymczasem już ukłuła przykra myśl, że chyba nie wybrał najlepszej metody do poskromienia butnego maga.

Milcząc, Promień ściągnął wodze, owinał je wokół kuli przy siodle i zeskoczył na ziemię. Niespodzianie ręce maga w mgnieniu oka sięgnęły wyżej, chwyciły królewicza za ubranie. Zanim Toroj się obejrzał, został wyrwany z siodła i zwalony w śnieżną zaspę. Dojrzał jeszcze uniesioną nad sobą rozwartą dłoń, po czym otrzymał ogłuszający policzek.

— Gówniarz! — wysyczał rozwścieczony mag. — Pieprzone królewskie szczenię! Dziedzic kraiku wielkości chustki do nosa!

Następny piekący cios spadł z drugiej strony. Toroj złapał Promienia za długie włosy, zdołał też kopnąć go kolanem w zębra. Nie miał wprawy w bójkach. Nie takich rzeczy uczono go do tej pory. Tarzali się w śniegu, stękając z wysiłku. Jeden drugiego usiłował obezwładnić i wcisnąć twarz przeciwnika w lodową biel. Torojowi udało się uderzyć maga w uszkodzone ucho, aż tamten znów jęknął. W rewanżu Iskra wepchnął mu kciuk w kącik ust i rozciągnął je prawie do granicy rozerwania skóry. Przetoczyli się znowu. Gdzieś poza ciasnym światkiem zawężonym jedynie do złości i wysiłku mięśni narastał harmider. Ktoś krzyczał: „straże! strażę...”. Promień akurat był na wierzchu. Posypały się na niego razy.

Czyjeś ręce oderwały go od przeciwnika, stawiając prosto. Otrzymał cios pięścią w twarz, a potem w brzuch, aż zgiął się w pół. Gwardziści nie pozwolili mu upaść. Padł rozkaz: „dość!” i bicie ustało. Promień zobaczył, jak jakiś żołnierz pomaga wstać gramolącemu się z zasy Torojowi.

— Wasza Wysokość...! Wasza Wysokość, czy jesteś ranny?!

— Zamach. To był zamach! — zawołał inny ze zgrozą.

Zamach. Też pomyśl, pomyślał Promień z pogardą. Miałbym się na kogo zamachiwać! I to na widoku w biały dzień!

— Zawieśiesz za to! — warknął do Promienia jeden ze strażników.

— Do wieży z nim. Ja zawiadomię marszałka. Ty odprowadź Jego Wysokość do komnat — wydał dyspozycje jeden z przybyszów — oficer, sądząc z ozdobnych sznurów na płaszczu.

— Do wieży? Świetnie! — stęknął Promień, wciąż trzymając się za brzuch. — Chętnie pozwiadam tutejsze lochy! Byle dalej od tego bachora!

Gdy Iskra zniknęła z oczu Toroja, popychany brutalnie przez straż, królewicza opadły wątpliwości. Krzyki o zamachu na jego życie były całkowitą bzdurą. Nie doszło do niczego prócz prostackiej, niegodnej jego pozycji burdy. Oczywiście ten przybłęda odpokutuje za podniesienie ręki na królewskiego syna, ale sam Toroj czuł się coraz bardziej niepewnie, myśląc o reakcji ojca na wieść o zaszłych wypadkach. Jego Wysokość król Atael chyba nie będzie zadowolony. Właściwie na pewno. Gdy Toroj oddawał klacz pod opiekę stajennego, humor miał już zważony całkowicie.

\* \* \*

Promień bardzo szybko doszedł do wniosku, że jego dotychczasowa wiedza o więzieniach była z gruntu fałszywa. Choć oczywiście teraz przebywał w Northlandzie i wszyskiego można się było spodziewać po tej dziczy. Wyobrażał sobie celę z grubymi drzwiami oraz okratowanym oknem, gdzie mógłby usiąść i w spokoju zastanowić się nad swoją sytuacją, oczekując uwolnienia. Tymczasem został wepchnięty do ordynarnej dziury w ziemi! Znajdował się w obszernej, głębokiej na ponad dwie piki studni, obmurowanej wszechobecną tutaj cegłą, o dnie wyłożonym solidnymi płytami granitowymi. Gdyby były tu jakieś drzwi, mógłby je przepalić. Kratek zwyczajnie by stopił. Ale tu nie było niczego. Po prostu niczego! Nawet światło padało z góry, od dwóch pochodni osadzonych na ścianach w pomieszczeniu wyżej. Miejsce, skąd nie było ucieczki. Chyba że miało się oskard, rydel i dużo czasu albo umiało się latać. Emocje opadły, a Promień doszedł do przykrego wniosku, że wpadł w bagno po uszy. Pozostawało czekać, aż towarzysze dowiedzą się o jego położeniu i zabrają go stąd. Czas jednak mijał, mierzony biciem serca oraz nieczęstym stukaniem podkutych butów straży gdzieś na zewnątrz, a nie zjawiał się ani Wężownik, ani Myszka. Promień coraz bardziej tracił

pewność siebie. W żołądku rosła mu zimna bryła lęku. Niezachwiana dotąd wiara w towarzyszy kruszyła się jak wysychający zamek z piasku.

Usiadł na wilgotnych kamieniach, opierając się plecami o ścianę. W duchu cieszył się, że strażnikom nie przyszło do głowy zabrać mu płaszcz. Dlaczego nikt się nie zjawia? Czyżby reszta Drugiego Kręgu również ucierpiała? Przecież nie można uwięzić Wędrowca ani Stworzyciela. Ale... można skrytobójczo zamordować. Strzała w plecy... nóż rzucony zniecka... Promień przycisnął pięści do skroni. Nie! Absolutnie nie wolno mu myśleć o czymś takim! Nic się nie stało, niedługo stąd wyjdzie, król nie zrobi nic złego ani jemu, ani tamtym...

Czekał. W końcu nie było niczego innego do roboty. Bolały go plecy i czuł mdłości po uderzeniu w brzuch. Obawiał się, czy nie pękło mu coś w środku, ale chyba wtedy bolałoby znacznie bardziej...? Cierpienie zdążyło jednak przycichnąć do natrętnego pulsowania, jakby ta część ciała powtarzała: „jest niedobrze, jest niedobrze...”. Tak samo zresztą zachowywało się miejsce, gdzie dosięgnął go pejcz królewicza. Przyłożył policzek do zimnej ściany z nadzieją, że to przyniesie ulgę. Coraz bardziej żałował, że dał się ponieść nerwom. I to właśnie on! On, który miał się za znawcę meandrów życia arystokracji oraz wszelkich pułapek dworskich! Z lekka pogardzał naiwnością swoich towarzyszy, a tymczasem jako pierwszy przez własną głupotę wpadł w bagno po uszy! Cóż za ironia.

W końcu chłód podziemia zaczął docierać pod grubą warstwę zimowej odzieży. Promień zmarzł i stwierdził, że wilgoć zdążyła przedostać się przez spodnie aż do skóry. Topniejące resztki śniegu, w którym się wytarzał, też zrobiły swoje. Wstrząsnął się. Wstrętna, mokra i zimna dziura! Zdjął płaszcz, otrząsnął go z kropli wody, po czym zaczął suszyć, korzystając z talentu. Potem przystąpił do nagrzewania cegieł i kamieni. Jeśli ma tu spędzić jeszcze trochę czasu, to niech przynajmniej będzie mu ciepło.

\* \* \*

Za czasów Ataela w Wieży Pokutnej więźniów zawsze było jak na lekarstwo. Król był łagodnym człowiekiem, poza tym całkiem rozsądnie uważał, że znacznie bardziej opłacalne jest ściągnięcie grzywny z winowajcy niż żywienie go na koszt państwa. A od początku inwazji sędziego, na wyraźne życzenie króla, dawał aresztantom propozycję krótką a treściwą: pobór do wojska lub gardło. W ten sposób ponure mury tego pamiętnego dnia zajmowało tylko trzech więźniów i dwóch dozorców. Można sobie wyobrazić niepokój tych ostatnich, gdy niespodzianie dostarczono im jeszcze jednego podopiecznego. A do tego zalecono najwyższą ostrożność, gdyż ów młody człowiek miał być czarodziejem! Co prawda w chwili osadzenia miotał ordynarne wyzwiska, a nie magiczne zaklęcia, lecz obu strażnikom nie było do śmiechu.

— Siedzi w jamie, to niech siedzi! — upierał się jeden z nich. — Ja tam nawet nosa nie wetknę. Widziałeś, co się dzieje? W całej izbie mgła się kłębi, jakby tam czeluść się otworzyła!

— Eee... — zwątpił drugi. — Zajrzeć by trza było. Już ze trzy godziny, jak żeśmy go wsadzili. A jak ucieknie?

— A jakże... Ucieknie! — zadrwił pierwszy. — Z dziury ma uciec, co? Ani on wiewiór, ani nietopyrz. A jak będzie umykał, to co, Mikel? Za pięty go chycisz?

Mimo wszystko, gdy tylko dozorca obszedł górne piętra i zajrzał do trzech jeńców umieszczonych w osobnych celach, postanowił zejść również do podziemi, by zobaczyć, co robi czwarty. Czasem zdarzało się, że do jamy skazańców dostawały się szczury, a dozorcóm surowo nakazano tępienie szkodników i utrzymywanie cel w jakiej takiej czystości. Właśnie w więzieniach zawsze było najłatwiej o wylęgnięcie choroby, która mogła roznieść się po całym zamku. Mgła z podziemia zdążyła już się ulotnić, ale ku zaskoczeniu stróża, w pomieszczeniu było ciepło, a powietrze przesycił dziwny zapach — ni to sukna, ni to wilgotnego tynku. Przypominał mu nieco woń, którą pamiętał z prasowni, gdzie czasem odwiedzał siostrę. Ostrożnie, stąpając na palcach, zbliżył się do brzegu studni i zajrzał do wnętrza, przyświecając sobie pochodnią wyjętą z uchwytu. Więzień leżał skurczony na boku, na rozłożonym płaszczu. Zdawało się, że śpi.

Taki młody, zadziwił się na nowo mężczyzna. Toż chłopak młodszy od mojej Damii. Ciekawość, kto go tak przez gębę chlasnął...

Niespodzianie więzień otworzył oczy i zerwał się z cienkiego pośłania.

— Kto tam?!

Dozorca wzdrygnął się i omal nie upuścił łuczywa. W czarnych oczach chłopaka odbijał się płomień. Poczul, jak oblewa go gorąco i z przestachem zorientował się, że fala ciepła bucha wprost z dziury.

— Ja nic... Ja tu tylko pilnuję... — wymamrotał, czując, jak mrówki przebiegają mu wzdłuż krzyża.

Przez chwilę patrzyli na siebie nawzajem.

— Czy ktoś tu przychodził? Pytał o mnie? — spytał mag.

— Żadnych nowych rozkazów nie było — odpowiedział strażnik wymijająco.

— Która godzina?

— Południe minęło.

Chłopak oblizał usta.

— Chce mi się pić. Przyniesiesz wody?

Dozorca zrobił ruch, jakby miał odejść, ale jeszcze raz nachylił się nad studnią.

— Naprawdę jesteś czarownikiem? — zapytał ciekawie.

Więzień nic nie odpowiedział. Usiadł z powrotem, oplatając kolana ramionami.

\* \* \*

Stracił resztę nadziei. Minęło wiele godzin, a on nadal tkwił w tym obmierzłym dole. Piękne słowa, myślał z goryczą, cudowne deklaracje. Przyjaźń... lojalność... Garści piachu to niewarte. Służyć za piecyk, mięso dostarczać, mordować zbójów — do tego byłem dobry. A jak już mają dach nad głową i miskę przed nosem, to żaden mnie nie szuka! Przyjaciele spod świńskiego ogona... Co za wstyd. Książęcy potomek siedzi w lochu jak pospolity rzezimieszek. Dobrze, że jego krewni o tym nie mogą wiedzieć. Matka chyba by się ciężko rozchorowała. A ojciec... o tym nawet lepiej nie myśleć.

Dozorca jednak przyniósł mu wody. Opuścił dzbanek na sznurze, ale zostawić go nie chciał. Promień musiał napić się na zapas. Potem znów został sam.

\* \* \*

— On powinien mieć na imię Problem — oświadczył ponuro Gryf, podpierając dłońią skołataną głowę.

— Sięgnąłeś go? — spytał Wężownik.

Gryf kiwnął głową.

— Siedzi w tym lochu. Nic mu nie jest. Przynajmniej na razie.

Młodzi magowie popatrywali na siebie niepewnie. Spojrzenia wyrażające pomieszaną obawę i wątpliwości zderzały się, a potem rozbiegały natychmiast. Czuli się ogłuszeni i bezradni. Sekretarz, który przyniósł im złe wieści, obserwował to spod oka, milcząc.

— Co grozi Promieniowi? — zwrócił się do niego Koniec.

— Może raczej powiem, co by mu groziło, gdyby sprawa była prostsza. Stańby na słomie — odrzekł Sekretarz w lengore.

— Na słomie? — nie zrozumiał Myszka.

— Tak tu mówimy. Słomę rozkłada się dokoła pnia. Bach! — Mężczyzna, uderzył kantem dłoni o drugą. — A potem uprzęta się ją, nasiąkniętą krwią.

Myszka westchnął spazmatycznie i zbladł.

— Do tego raczej nie dojdzie — pocieszył go O'hore. — Królewicz sprowokował zajście. Jest świadek w osobie strażnika. Poza tym inaczej traktuje się maga, a inaczej zwykłego zamachowca.

— Promień nie jest zamachowcem! — zdenerwował się Gryf. — Jest niedo-warzonym półgłówkiem! Jest jak drzazga w tyłku, ale nie jest mordercą! Wbij to sobie do głowy!

Sekretarz tylko spojrział na niego ciężko i chrząknął.

— On nie chciał nic złego! Zróbmy coś! Ratujmy go! — jęknął Myszka.

Urzędnik złagodniał. Myszka działał w ten sposób na większość ludzi — po prostu nieświadomie poczuli się do opieki nad nim.



— Wstrzymajcie się na razie z jakimiś działaniami. Iskra jest bezpieczny w miejscu, którego nie opuści, i nie napyta sobie większej biedy. Zdałbym się na łaskę króla. Znam go od wielu lat. Będzie się starał zatrzeć to niemile zajście. Zakończyć jak najbardziej polubownie.

Przerwał na chwilę, odruchowo potarł palcem dolną wargę, namyślając się.

— Nie jest zachwycony, że jego syn dopuścił się czynu nielicującego z honorem — dodał, poufnie zniżając głos. — Jeśli Iskra go czymś obraził, królewicz powinien odwołać się do osądu króla lub wyzwąć maga na pojedynek.

\* \* \*

— Nie jestem tym zachwycony, Idit. Zupełnie nie jestem — powiedział król z rozdrażnieniem. Chodził po komnacie szybkim krokiem, co chwila łapiąc się za skronie. Żona obserwowała go, nie przerywając nawijania wełny na kłębek. Uznała, że jedno z nich musi zachować zimną krew i jaki taki rozsądek.

— Ati, usiądź, bardzo cię proszę — poprosiła łagodnie. — Do niczego nie doprowadzi to, że będziesz tak biegał.

Byli sami, więc oboje mogli pozwolić sobie na poufałe zwracanie się do siebie po imieniu. Atael siadł z rozmachem na fotelu, po czym natychmiast odchylił się w przód, wyciągając zza pleców duży kłębek przebity drutami do robótek.

— Idit, kochanie, co to właściwie za pobojuwisko? — spytał, tocząc dokoła wzrokiem, jakby dopiero teraz dostrzegł panujący w komnacie królowej nieład. Wszędzie leżały zwoje włóczki i kłębki, zwitki tasiemek, druty, zagadkowe pudełeczka oraz poduszeczki najeżone igłami.

— Ty prowadzisz wojnę, a ja zajmuję się tymi, którzy przed nią uciekają — wyjaśniła królowa. — Jest zima. Z tej wełny będzie przynajmniej siedem kubraczków.

— Ach, tak... Te twoje wdowy i sieroty — mruknął król.

— Także twoje, Ati. Ty je stwarzasz — zauważyła królowa.

Atael z gniewem uderzył pięścią w poręcz.

— Jeśli ktokolwiek je stwarza, to te wąskookie potwory! Bądź sprawiedliwa, Idit! I jakbym miał za mało kłopotów, jeszcze to! — dodał z irytacją. — Nasz syn, twoje oczko w głowie, następca... wdaje się w bijatykę na oczach pospólstwa. Dzięki ci, Władco Młota, że zamek jest wyludniony i widziało ten skandal tylko paru żołnierzy. I to z kim? Z kim, Idit? Z magiem! — Król aż jęknął z desperacji. — Idit, ja się cackam z Lengorchianami jak z popękana porcelaną. Chowam dumę do kieszeni, zniżam się do próśb, podlizuję się jak fryzjer, a ten... ten bezmyślny smarkacz rozbija mi wszystkie zamierzenia! Co ja mam z nim zrobić? I co mam zrobić z tym drugim?

— Wbij na pal. Obu — odparła królowa beztrosko. — Ati, uspokój się. Prawdę mówiąc, ja jestem zadowolona. Toroj... — Uniosła palec w znaczącym geście. —

Toroj miał nieładny zwyczaj wymuszania na rówieśnikach różnych rzeczy, korzystając ze swojej pozycji następcy tronu. To mnie od dawna niepokoiło. Ktoś narazie odważył się mu przeciwstawić. Nie stało się nic, prócz tego, że jego duma ucierpiała. Może nabierze rozumu. To naprawdę dobre dziecko, ale dworzanie go rozpuszczają w skandaliczny sposób.

— Jednak jeśli zignoruję tę całą sprawę, ludzie gotowi pomyśleć, że można bezkarnie porywać się na rodzinę królewską. Z drugiej strony nie mogę przecież posłać pod topór chłopaka za takie głupstwo — rzekł z goryczą król.

— No właśnie, kochany. Za głupstwo. Pomijając to, że jeden był następcą tronu, a drugi magiem, to pod basztą pobili się po prostu dwaj chłopcy, a chyba wiesz, jak karze się chłopców — odpowiedziała królowa, sięgając po następny motek. — Nigdy jeszcze nie karaliśmy Toroja chłostą. A może powinniśmy? Po raz pierwszy nasz syn podniósł na kogoś rękę.

— I po raz pierwszy ktoś mu oddał — mruknął Atael. — Chyba nie powinniśmy czekać, aż spróbuje tego samego na jakimś pośle lub ministrze.

— Zachowajmy dyskrecję. Karania Toroja nie zlecałabym nikomu ze służby, a i ten młody mag nie powinien być widziany przez cały dwór w tak poniżającej sytuacji. Wydawał się bardzo dobrze ułożony — ciągnęła królowa w zamyśleniu. — Poważny młody człowiek. Inteligentny. . .

Król zastanawiał się długą chwilę. Widać było, że się uspokaja.

— Idit, jesteś najmądrzejszą kobietą, jaką znam, i kocham cię za to. Rozprawię się z tym naszym kłopotliwym potomstwem. Oby pomogło.

Ucałował ją w czoło. Królowa pochyliła głowę i uśmiechnęła się skromnie.

\* \* \*

Gdy król Atael wszedł do komnat syna, ten stał akurat z wyciągniętymi na boki ramionami, a dwaj służący wiązali na nim pikowany kaftan. Król machnął ręką, jakby odganiał muchę.

— Zdejmijcie to z niego. Lekcja szermierki odwołana. Tak samo wszystkie inne zajęcia, aż do wieczora. Wynieście się z zasięgu wzroku i słuchu. Szybko!

Tak też zrobili. Wszyscy, prócz Margora, który wycofał się jedynie na swoje stałe miejsce w przedsiönku sypialni. Stary sługa doskonale słyszał zagniewany głos Jego Królewskiej Mości i „tak, ojcz; nie ojcz;” królewicza, powtarzane coraz pokorniejszym tonem. Margor pokiwał głową ze zrozumieniem. Delikatnie zdjął porcelanową miskę z umywalni, po czym cichutko wymknął się za drzwi, by na zewnątrz nabrać w nią śniegu.

\* \* \*

Margor zawinął kolejną porcję śniegu w ręcznik i przyłożył ją do pleców Toroja. Grzbiet chłopca przypominał pasiasty chodnik wykonywany z resztek przez wiejskie gospodynie. Od chwili, gdy Margor wrócił do sypialni, obaj nie odezwali się do siebie ani słowem. Margor opatrywał swego podopiecznego, a ten poddawał się temu biernie.

W końcu odezwał się:

— To pierwszy raz... pierwszy raz ojciec był taki zły. Pierwszy raz dostałem baty... Nie miałem pojęcia, że to może aż tak boleć. Zrobiłem coś okropnego. Dlaczego ten Lengorchianin jest tak ważny?

— Nie wiem. Ale to, co ważne dla władcy, powinno być ważne także dla nas. Toroj położył się na łożu, przytrzymując zimny okład na karku.

— Co się stało z tym Iskrą? Z Promieniem? — zapytał.

— Jest w Wieży Pokutnej. Wrzucono go do Głodowej Jamy. Tak mówią w strażnicy.

Królewicz poderwał głowę z poduszki.

— Zagłodzą go na śmierć?!

Margor spokojnie poprawił ręcznik na jego ramionach.

— Tego nie wiem, Wasza Wysokość.

— Ojciec nic o tym nie mówił... — wykrztusił Toroj. — Nie powiedział, co z nim zrobi. Nie każe go chyba zabić? Co mnie napadło? Czemu go sprowokowałem?

Zerwał się z łoża i zaczął chodzić po sypialni, wczepiając palce w rozwichrzone włosy. Nie przypuszczał przy tym, że powieli zachowanie własnego rodzica. Margor podniósł porzucony ręcznik i wyszedł z komnaty, by przyrządzić herbatę. Herbatę, której znaczącym składnikiem będzie wyciąg ze słomy makowej.

Herbata uspokoiła królewicza, co jego sługa zauważył z zadowoleniem. Toroj przestał się miotać po apartamencie jak wilk w klatce. Trochę czytał, trochę drzemał. Przyniesiono obiad, którego prawie nie tknął. Zjawił się nauczyciel, ale królewicz nie życzył sobie go przyjąć. Czas mijał, niewypełniony żadnymi konkretnymi zajęciami. Margor, tak cichy i dyskretny, że prawie niewidzialny, krzątał się przy swym podopiecznym, śledząc jego nastroje. Przekonał się, że była to dla chłopca pora odpoczynku, przemyśleń i podejmowania decyzji. Nie przeszkadzał mu. Zaczęło zmierzchać, a na stole pojawił się kolejny posiłek.

— Margorze, cały dzień tu jesteś — odezwał się Toroj. — Idź już do siebie, żona pewnie czeka z kolacją. Niech cię Fabin zmieni. Tylko uprzedź, żeby tu nie wchodził. Chcę być sam.

\* \* \*

Torój znał herbacianą sztuczkę Margora, ale nie miał mu jej za złe. Bóg wie, że tym razem bardzo tego potrzebował, tak dręczyły go wyrzuty sumienia. Niemniej druga filiżanka została cichaczem wylana do nocnego naczynia. Torój snuł się po sypialni i gabinecie, udając senność, chociaż był całkowicie przytomny.

Ciągle na nowo przeżywał tę fatalną rozprawę, jaką miał z nim ojciec. Z początku rozgoryczony i butny, skarżył się na bezczelność maga oraz jego niesłychane zupełnie zachowanie. Król słuchał tego wszystkiego, kiwając głową potakująco, a potem spytał, jak — zdaniem Toroja — ma ukarać winnego. Dokładnie tego słowa użył — „winnego”.

A Torój rzucił lekkomyślnie: „dwadzieścia batów”, a już po chwili miał tego żałować, bo według ojca właśnie on sam był winny, a przynajmniej współwinny. W taki sposób sam dla siebie wybrał karę i musiał ją przyjąć. Na dodatek król użył tego samego pejsza, który królewicz miał na przejażdżce. Torój mógł jedynie być wdzięczny, że nie było świadków owego upokorzenia.

Jeszcze bardziej zaskakujące było następne posunięcie króla. Pozostawił decyzję o ukaraniu Iskry synowi. Torój miał zdecydować, czy kat wymierzy taką samą liczbę uderzeń lengorchiańskiemu magowi. Plecy piekły go żywym ogniem i już miał na końcu języka „tak”, bo dlaczego miałby cierpieć jako jedyny, ale zawahał się. Przed oczami stanęła mu wykrzywiona z bólu twarz Iskry, naznaczona purpurową pręgą. Żołnierze bili maga drzewcem włóczni i pięściami, póki nie powstrzymał ich oficer. Kto wie, czy potem, w lochach, nie dokonczyli dzieła i teraz tamten chłopak leży może gdzieś z połamanymi kośćmi, krwawiąc. Torój wykrztusił więc „nie”, a król wydawał się zadowolony. Może właśnie takiej odpowiedzi oczekiwał.

Kiedy Torój nareszcie został sam, mógł zacząć działać na swój własny sposób. Do jego pokoi można było wejść albo przez sień, gdzie zawsze czuwał przynajmniej jeden sługa, albo bezpośrednio z korytarza. Przed obiema parami drzwi dniem i nocą stali halabardnicy. Torój szybko zawinął w serwetę prawie nienaruszoną kolację. Ukrył paczkę w zanadrzu. Zabrał jeszcze jabłko z misy i wyszedł na korytarz. Strażnik jak zwykle sprezentował broń.

— Czy Jego Wysokość życzy sobie czegoś?

— Idę odwiedzić królową, nie musisz mi towarzyszyć — powiedział Torój, po czym wolnym krokiem udał się w głąb korytarza. Apartament królowej znajdował się na tym samym piętrze. Torój podrzucał jabłko na dłoni i starał się wyglądać jak najbardziej beztroško. Doskonale wiedział, że odprowadzają go czujne oczy. Skręcił za róg, znalazł się w martwej strefie obserwacyjnej. Rozejrzał się jeszcze raz uważnie, po czym zbiegł po schodach kondygnację niżej, gdzie były pomieszczenia gospodarskie i część opustoszałych w tej chwili pokoi paziów. Wetknął ostrze cienkiego sztyletu w szparę między drzwiami a futryną. Podważona za-

padka puściła i królewicz cicho wsunął się do pokoju kredensowego. Jedyne okno było okratowane. Toroj otworzył masywne skrzydło, wyciągnął żelazne ankry, pozornie tkwiące mocno w murze. Krata dała się odchylić przy niewielkim wysiłku. Sekretne przejście, wykorzystywane swego czasu przez paziów, stało otworem. Toroj przecisnął się na zewnątrz, sycząc z bólu, gdy obity grzbiet otarł się o futrynę. Zeskoczył w kopny śnieg, który natychmiast nasypał mu się do butów. Kuląc się w podmuchach lodowatego wiatru, pobiegł w stronę baszty więziennej.

\* \* \*

Promień usiłował zasnąć, co przy twardości pośłania i niepokoju, jaki go wciąż nurtował, było sztuką niewykonalną. Leżał na plecach, wpatrując się w krąg mizernej, żółtawej poświaty nad sobą. Tam na górze pochodnie musiały już się dopalać. Gdzieś w oddali słychać było chrobotanie i stuki.

Jeśli to szczury... jeśli któryś tu zawędruje, pomyślał tonem groźby, zrobię tu porządek, choćbym miał się sam usmażyć!

Ktoś wszedł do pomieszczenia na górze, ale zamiast spodziewanego dozorczy Promień zobaczył nad sobą ciemną sylwetkę kogoś szczuplejszego, niższego, wyraźnie młodszego. Z niemałym zdumieniem rozpoznał głos królewskiego syna.

— Iskro! Hevela'!

— Jego Wysokość przyszedł odzyskać płaszcz? — spytał Promień uprzejmym tonem. Przybysza chyba zatkało.

— Nie, oczywiście że nie... — odezwał się po chwili milczenia. — Czy możesz wstać?

— A muszę? — znów zapytał mag.

— Jesteś nieznośny — dobiegło z góry. — Myślałem, że straż pobiła cię do nieprzytomności.

— Nie. Rozczarowany?

— Ty po prostu nic sobie z tego nie robisz! — stwierdził królewicz tonem, w którym brzmiał jednocześnie i podziw, i irytacja. — Nie boisz się kary? Tortur? Jutro mógłbyś stracić głowę!

— Nie — powiedział Iskra. — Na pewno nie pójdę pod topór i na pewno nikt mnie nie będzie brał na męki. Zabiję każdego, kto spróbuje.

— Cha, cha... — rzekł Toroj kwaśno. — Fałszywe bohaterstwo. Żołnierze obili cię jak jabłko.

Mag skrzyżował ręce na piersiach buntowniczym gestem.

— Mógłbym cię uśmiercić tu i teraz, głupi szczeniaku — warknął ze złością. — Nawet nie muszę cię dotykać! Prawdę mówiąc, miałeś dużo szczęścia, że nie zabiłem cię tam pod wieżą, zupełnie niechcący!

Głowa królewicza zniknęła znad krawędzi jak zdmuchnięta. Przez długi czas panowała cisza, aż Promień doszedł do wniosku, że następca tronu przestraszył się i uciekł. Wstał, przeciągnął się z jękiem.

— Uuuch... łóżeczko dobre dla Hajga. Niech to... Czego chciało to stworzenie? Pewnie napawać się zwycięstwem — wymruczał do siebie. Drgnął, zaskoczony, gdy nagle nad nim znów ozwał się głos królewicza:

— Nieprawda. Właściwie to przyszedłem spytać, czy dali ci tutaj cokolwiek do jedzenia.

Promień stropił się.

— Tak naprawdę to nie — przyznał niechętnie.

Tuż przy jego stopach upadło zawiniątko.

— Łap!

W locie schwytał coś okrągłego.

— Zimówka. Z tutejszych sadów — oznajmił Toroj.

W paczusce było zimne mięso i chleb. Iskra dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, jak straszliwie jest głodny. Między jednym kęsem a drugim wykrztusił:

— Zadziwiające... tego się... nie spodziewałem. Piękne dzięki... skąd ta troska...?

— Nie powinienem cię wtedy uderzyć — przyznał królewicz niechętnie. — Nie miałem dostatecznego powodu.

Promień przetrwał to niesłychane wyznanie, intensywnie pracując szczękami. To było dla niego coś zupełnie nowego. Dziedzic korony przychodzi do więzienia, by przyznać się do popełnionego błędu — nie, to było coś absolutnie niebywałego, coś, co nie mieściło mu się w głowie. Król mógł się mylić, oczywiście, ale nigdy, przenigdy nie zdarzało się, by którykolwiek się do tego przyznawał. Ukradkiem uszczypnął się w ramię. Zabolało, więc nie był to sen. Co za kraj! Co za dynastia!

Tymczasem Toroj ciągnął dalej:

— Słyszałem, że magowie są potężni, lecz nie bardzo w to wierzyłem. Wyglądasz zwyczajnie. Ale bywałeś w pałacu cesarza i... tam, na południu pewnie byłeś przyzwyczajony, że nawet możnowładcy muszą się liczyć z Kręgiem, prawda?

— Przywilejem każdego maga jest, że nie musi padać na twarz przed cesarzem — powiedział Iskra. — Za uderzenie członka Kręgu grozi obcięcie kciuka. Próba zabójstwa karana jest stosem. Tak, przywykliśmy do przywilejów. Przywykliśmy do uprzejmości, wygod i głaskania. Nie powinienem się puszyć — dodał, dziwiąc się swojej szczerości. — Źle, że wyśmiewałem twojego przodka. Niezbyt dobrze zaczęła się nasza znajomość.

— Miałem duże nieprzyjemności — wyznał królewicz. — Ojcu zależy, żeby mieć dobre układy z zagranicą, a ja to zepsułem.

Promień nastawił uszu. To było ważne.

- Wstępne negocjacje? Przegrywacie wojnę, co?
- Na gorze dało się słyszeć ciężkie westchnienie.
- Jutro pewnie stąd wyjdę. Do czego twój ojciec nas potrzebuje?
- Nie wiem. Ojciec niewiele mówi mi o polityce.
- Ile masz lat? — spytał Promień, zadzierając głowę.
- Niedługo skończę piętnaście.

Tylko rok więcej miał Zwycięski Promień Świtu, gdy zdecydował się na dobre porzucić ciążyący mu nadzór Kręgu Magów i rodzicielską opiekę. Królewicz zdradzał jednak nadal pewne oznaki rozchwianych dziecięcych nastrojów. Nic dziwnego, że król odgradza go od spraw państwowych. A może właśnie było to błędem? Jak można dorosnąć, ciągle przebywając pod kloszem sztucznie przedłużanego dzieciństwa? Promień wciąż dobrze pamiętał własne. Z jednej strony zasypany był podarkami i natrętnymi czułościami matki, a z drugiej bezwzględnie tresowany przez ojca — doprowadzało go to do obłędu.

— Muszę wracać, zanim... — powiedział królewicz i urwał, jakby ugryzł się w język.

— Zanim ktoś odkryje, że się wymknąłeś? — dokończył Promień. — Więc idź już, niegrzeczny chłopcze, bo cię matka skrzyczy. Przekaż pozdrowienia królownie, jeśli tylko znów nie zaginęła.

Z dna Głodowej Jamy dobiegł kpiący śmieszek. Królewicz oddalił się, tym razem na dobre. Promień usiadł znów na swoim improwizowanym legowisku, chrupiąc jabłko. Miał nieco do przemyślenia. Przestał się bać. Utrata głowy mu nie groziła. Pewnie cała kara będzie polegała właśnie na spędzeniu jakiegoś czasu w tym paskudnym miejscu. A to da się wytrzymać. „Wszystko, co dobre, kiedyś się kończy — mawiał Koniec — ale to co złe, również”. Po prostu należy uzbroić się w cierpliwość. Według nieprecyzyjnych wyliczeń chłopca, na zewnątrz już od dłuższego czasu panowały głębokie ciemności nocne. Dzięki hojności Toroja miał pełny brzuch, łatwiej będzie mu zasnąć i skrócić oczekiwanie.

Zaczynał już drzemać, gdy nad nim rozległ się szelest. Poruszył się gwałtownie, zmieniając pozycję, by spojrzeć do góry. Coś z leciutkim podmuchem przeleciało tuż-tuż koło twarzy młodego maga i z cichym trzaśnięciem uderzyło w kamień. W górze, za krawędzią jamy mignęła ciemna sylwetka. Iskra zerwał się na równe nogi, przycisnął plecami do cegieł, instynktownie przybierając taką postawę, by stanowić jak najmniejszy cel.

— Kto tam jest?!

Milczenie. Tylko cichutki szmer, jakby ktoś kroczył wokół lochu na miękkich podszwach. Serce Promienia biło mocno. Nie bać się... nie bać... — powtarzał w myślach i starał się oddychać miarowo. Nie bać się... nie bać się... nie bać się... — obracały mu się w głowie wciąż te same słowa, mielone na papkę przez młyn rozumu, aż straciły sens. Wiedział, czuł każdym nerwem, kto jest tam nad nim. Morderca. Jeden z tych beznamiętnych ludzi, którzy żyli z cudzej śmierci.

Młody mag miał tylko dwa atuty w ręku: w pomieszczeniu nad Głodową Jamą było jaśniej niż w dole, więc był słabo widocznym celem, druga szansa to jego talent. Raptem na krawędzi przed nim zjawiła się znowu przygarbiona sylwetka. Promień skoczył w bok. Pstryknięcie... Strzałka, przemknęło mu przez myśl. Jednocześnie zebrał w sobie i cisnął w kierunku zabójcy potężny ładunek energii. Przez krótką chwilę łączył ich niewidzialny sznur mocy, jak błyskawica, która spina niebo z ziemią. Skrytobójca wydał krótki, wstrętny odgłos — ni to jęk, ni urwany charkot. Padł, tworząc na brzegu jamy niewielki pagórek martwego mięsa. W powietrzu rozszedł się mdlący swąd nadpalonych szmat, włosów i przypieczonej skóry. Na dno lochu spadł jakiś przedmiot, odbił się parokrotnie, wygrywając dźwięczny werbelek na granicie. Promień podniósł cienką, długą na łokieć metalową rurkę. Z takich instrumentów wydmuchiowano zatrute igły. Jedna z ulubionych broni cichorękich — prosta, elegancka, łatwa do ukrycia. Chłopiec upuścił dmuchawkę, czując, że robi mu się niedobrze. Upadł na kolana, podparł się rękami, chwytając spazmatycznie powietrze. Nie zwymiotował jednak. Z trwogą uświadomił sobie, iż zna to przekłete uczucie — mdłości, nagle zgęstniała ślina, wypełniająca usta niczym słony klej, zeszywnienie karku... Czym prędzej dotarł do porzuconego płaszcza. Nieposłusznymi palcami zwinął go i wepchnął pod głowę. Zacisnął w zębach skrawek sukna. Atak dopadł go w trzy sekundy później. Jeden z tych gorszych. Umieram... — pomyślał. Tym razem jednak umieram... Ale nie umierał. Raptem został odłączony od własnego ciała, które stało się jedynie skorupą, w której przyczaiła się zmęczona, przestraszona dusza. Obserwował je jak widz, jak zawsze z uczuciem zdrady. Zeszywniałe, drgające mięśnie. Palce odrzuconej w bok ręki stukają o kamień, w niezamierzonej parodii tradycyjnego „czy mogę wejść?”. Czuł, jak ślina spływa mu do gardła, dławiąc. Dawno już nie było tak ciężko. Ostatnio chyba po wypadku z Kamykiem. Tkacz Iluzji uciekł i na szczęście nie widział, jak Promienia podnoszą z ogrodowej alejki — w konwulsjach, z pianą na ustach i przygryzionym językiem.

Atak skończył się równie nagle, jak rozpoczął. Iskra wypluła tkaninę. Otarł wargi powolnym, umęczonym ruchem. Kasłał, łapał powietrze płytkimi haustami, jakby odgryzał je po kawałku. Dwie piki nad nim leżał trup. Nic go to już nie obchodziło. Czuł się tak, jakby przez te parę minut przerzucił pryzmę kamieni. Powieki same mu opadły i zanurzył się w mulistych toniach snu, który bardzo przypominał omdlenie.

\* \* \*

Poranek przyniósł coś nowego — to znaczy Promień miał wrażenie, że jest już rano, gdyż obudziły go rozmowy i odgłos wielu kroków, a potem spuszczone drabinę na dno jego więzienia. Gwardzista z obnażonym mieczem stanął u jej szczytu, patrząc w dół na Iskrę.



— Nie chcemy kłopotów, magu.

— Nikt nie chce — odpowiedział Promień zmęczonym głosem.

Bolała go głowa. Wspiął się na górę. Ledwo dotknął najwyższego szczybla, dwaj żołnierze natychmiast związali mu ręce. Niepokoili się — to było widać na pierwszy rzut oka. Promień rozejrzał się szybko po pomieszczeniu, szukając śladów nocnego zajścia. Nie dostrzegł niczego. Ciało zabitego zniknęło, jakby nic nigdy się tu nie zdarzyło. Gotów byłby pomyśleć, że wszystko mu się zdawało, ale w powietrzu wciąż unosił się nikły odór spalenizny. Przyszła mu na myśl dmuchawka, która zapewne nadal leżała na dnie jamy. Rzucił okiem poza krawędź, lecz w dole było zbyt ciemno, by dostrzec drobny przedmiot.

— Zgubiłeś coś? — spytał żołnierz.

— Nie...

— No to szybciej! — powiedział gwardzista niecierpliwie i pchnął Iskrę lekko w stronę drzwi.

— Ręce przy sobie! — warknął chłopak.

Na zewnątrz królował wspaniały, słoneczny dzień. Słońce skrzyło się oślepiająco na świeżym śniegu. Więzień natychmiast zasłonił oczy skrępowanymi dłońmi. Odbite od tej bieli światło kłuło boleśnie nawykłe do mroku źrenice. Mroźne powietrze ścisnęło nozdrza, jak kleszczami, wśliznęło się pod cienką bluzę chłopca. Wstrząsnął się mimowolnie. Mrużąc oczy pod wpływem blasku, pozwolił się prowadzić strażnikom. Gdziekolwiek go powiodą, nie będzie tam gorzej niż w Pokutnej Wieży.

Droga nie była długa. Zabrała zaledwie tyle czasu, że oczy maga zdążyły przyzwyczać się do jaskrawego światła dziennego. Weszli do wnętrza najbliższego pawilonu, połączonego z sąsiednim gmachem krytą galerią. Pokonali schody i stanęli przed podwójnymi drzwiami, których strzegło dwóch halabardników, sztywnych jak drewniane figury. Za chwilę miał się zdecydować dalszy los Promienia. A gdzie się podziwiali jego tak zwani przyjaciele?

Okazało się, że są właśnie za owymi drzwiami. A z nimi niewielkie zgromadzenie Northlandczyków z samym królem na czele. Iskra rozpoznał królewskiego sekretarza oraz lorda Arn-Kallana, którego widać na stałe przypisano do spraw związanych z lengorchiańskimi gośćmi. Czwartą osobę widział po raz pierwszy, lecz musiał być to ktoś znacznej godności, sądząc z bogatego stroju i insygniów z motywem herbowej bestii.

Król rzeczywiście przypominał lwa. Jednak według obowiązującego aktualnie stylu wyhodował sobie długie wąsy — usztywnione, malowniczo wygięte nad górną wargą i ostre jak szydła. W ten sposób upodobił się do lwa, który właśnie połknął chrabąszcza. Promień — uderzony tym nagłym skojarzeniem — omal nie parsknął śmiechem. W ostatniej chwili opanował się straszliwym wysiłkiem woli, nie doprowadzając w ten sposób do nowego skandalu.

Koledzy rzucali mu spojrzenia, w których odbijała się cała tęcza uczuć: od litości, po irytację. Z przewagą tej ostatniej.

Promień dostrzegł kątem oka, że jego eskorta przykłęka na jedno kolano, z szacunkiem chyląc głowy przed władcą. Postąpił jeszcze dwa kroki, by stanąć bliżej króla i nie pozostawić wątpliwości, że pozdrawia tylko i wyłącznie jego. Zgiął się w sztywnym, półwojskowym ukłonie. Efekt psuły związane ręce.

— Na kolana! — syknął nieznany wielmoża.

— Kłękam tylko przed Matką Świata — odparł chłodno Iskra.

— Obyś nie miał wkrótce takiej okazji — zrewanżował się tamten.

Król dał mu znak, by zamilkł.

— Więc to jest ten niedoszły zamachowiec? — odezwał się, mierząc wzrokiem Promienia od stóp do głów. — Ten straszliwy mag, który rzucił się na mojego syna i... co? Chciał go udusić gołymi rękami, urwać mu głowę czy może zakopać skrytobójczo w zaspie?

Atmosfera nagle uległa wyraźnemu odprężeniu. Arn-Kallan, który dotąd wyglądał, jakby cierpiał na kurcze żołądka, odetchnął zauważalnie. Król bębnił palcami po poręczy krzesła, marszczył brwi, rozważając zapewne wyrok.

— Jak sformułowano oskarżenie, Wyrn?

Sekretarz wyrecytował posłusznie:

— Hevela', maga Iskry w randze mistrzowskiej, uznaje się za winnego naruszenia nietykalności cielesnej następcy tronu. Według prawa czyn taki podlega karze śmierci przez ścięcie...

Promień syknął pogardliwie. Głowa nie przestawała go boleć. Był coraz bardziej zirytowany. Czy oni wszyscy poszaleli? Czy naprawdę myślą, że on pozwoli choćby dotknąć się katu? A ci jego tak zwani przyjaciele po prostu stoją jak stado cieląt i żaden nie ruszy choćby palcem.

— W sumie jednak mój syn nie doznał uszczerbku na zdrowiu — przerwał król swemu urzędnikowi. — Więc postanowiliśmy okazać miłosierdzie. Początkowo mówiło się o odcięciu ręki... — W tym miejscu rzucił wymowne spojrzenie na stojącego obok magnata.

Iskra wbił wzrok w spętane dłonie. Podmuch gorącego powietrza przetoczył się przez pomieszczenie i dotarł do obecnych. Ze sznura zaczęła unosić się smużka dymu, a po chwili przepalone więzy spadły na podłogę. Chłopak demonstracyjnie roztarł nadgarstki, patrząc na nieznajomego lorda morderczym wzrokiem. Król zignorował ten fakt, ciągnąc dalej swój wywód:

— Potem padł projekt wymierzenia dwudziestu plag na odkryte plecy...

W komnacie robiło się coraz cieplej. Promień czuł mrowienie skóry, zupełnie jakby magia wydzielala się przez jej pory razem z potem. Tętno i częstotliwość oddechu rosły mu z chwili na chwilę. Jeżeli władca Northlandu podrażni się z nim jeszcze trochę, to nie wiadomo, czy zdoła się opanować.

— Znalazł się jednak ktoś, kto wstawił się za tobą, Iskro. Ostatecznie uznaję, że noc spędzona w więzieniu wystarczy. Traktuj to jako łagodne upomnienie.

Ty draniu! — wrzasnął chłopiec w myślach. Ty cholerny draniu! Zostałem pobity, nasłałeś na mnie zabójców, miałem najgorszy od lat atak konwulsji, a ty udajesz, że nic o tym nie wiesz?

Miał ochotę wykrzyknąć prosto w twarz królowi wszystkie oskarżenia, żale, dać upust gniewowi. Zdawało mu się, że powietrze wokoło ścięło się jak gęsty kisiel, po czym skręciło w szklisty lej, na którego końcu widział jedynie poruszające się usta northlandzkiego władcy. Czuł przemożną chęć, by skierować strumień mocy wprost do jego gardła, aby zadławił się swymi kłamstwami i ogniem. W ostatniej chwili przeniósł wzrok na stojącą pod ścianą zbroję i otworzył służę talentu, jakby zwalniał ciężką łuk. Odczuł ulgę, jak gdyby wyrwał cierń z rany. W powietrzu zaczął unosić się zapach rozgrzanej blachy, oliwy i zasmażanego kurzu.

— Uznaję sprawę za niebyłą. Możecie odejść — podsumował monarcha.

— Królewicz mnie przeprosił, więc ja też uznaję sprawę za niebyłą — odrzekł Promień zimno i złożył pożegnalny ukłon.

\* \* \*

Atael odprawił obu lordów i został tylko w towarzystwie Sekretarza. W zamyśleniu przyglądał się stygnącej zbroi, która powoli traciła ciemnowisniową barwę. Obok intensywnie parowała waza z pachnącą wodą różaną. Woń kwiatów mieszała się ze smrodem przypalonych rzemieni i tłuszczu.

— I co o tym sądzisz, Wyrn? Takich trzech rozwiązałoby problem ogrzewania całego zamku.

— Jest niebezpieczny.

— Oczywiście. Jak każdy mag. Królowa określiła go jako inteligentnego i dobrze ułożonego młodzieńca. Ale my zobaczyliśmy inną stronę jego natury.

— Porywczy. Arogancki. Trudny.

— Bezczelny. Jeden z tych, których łatwiej złamać, niż nagiąć do swej woli. Byłby cudownym narzędziem w rękach odpowiedniego formierza — rzekł Atael, a w jego głosie zabrzmiała ledwo wyczuwalna nutka rozmarzenia. — Jeszcze coś, Wyrn. Zauważyłeś, w jaki sposób ci młodzieńcy się witają?

— Niezbyt unizony ukłon cywilny drugiego stopnia. Odpowiedni dla pozdrowienia starszego od siebie. Ledwo zadowolający w stosunku do osoby królewskiej.

— Mniejsza z tym. A nasz Iskra? Tylko on nie złożył rąk do tyłu, lecz przycisnął pięść do ramienia. Pochylenie stopnia pierwszego. Można to nazwać kombinacją ukłonu i wojskowego salutu.

— Tak pozdrawiają się starzy generałowie w stanie spoczynku.  
— Dowiedz się czegoś więcej o tym chłopcu. Koniec rozrywek, wróćmy do spraw państwowych.

Król Atael z westchnieniem podszedł do stołu zawałonego stertą dokumentów.

\* \* \*

Królewski gabinet miał dwa wejścia. Okazało się, że drzwi w drugim końcu komnaty prowadzą do znajomej sieni z chorągwiami i rzędami krzesel — o tak wczesnej porze pustego. Ledwie chłopcy się tam znaleźli, na Promienia spadł gęsty deszcz wymówek. Przekrzyczał wszystkich, trzęsąc się wręcz ze złości.

— Ja?! Ja oszalałem?! Uprzejmiej...?! Wdzięczność?! O mało nie... — przełknął słowa „zostałem zabity”. — Mam być może wdzięczny za to?! — ryknął, wskazując pręgę na twarzy, która zdążyła już zrobić się granatowa. — Nie, nie uspokój się! Zamknij się, Koniec! Do kurwy twojej nędzy, spałeś tej nocy w łóżku, a ja nie, więc mnie nie drażnij!

Potoczył nabiegłymi krwią oczami po urażonych, wstrząśniętych towarzyszach.

— Nie było mnie przez tyle czasu, a kto z was się zainteresował, gdzie jestem? Dlaczego żaden z was nie zabrał mnie z lochu?! Dlaczego byłem sam?! Czemu nikt się do mnie nawet nie odezwał? Stalowy...? Koniec...? Dlaczego mnie zostawiliście samego?!

— Sekretarz powiedział... — bąknął Gryf.

— Sekretarz! — warknął Promień pogardliwie. — Na was to wystarczy zagwizdać! Dalej, pieski, idźcie się łąsić do pana O'hore!

Odwrócił się na pięcie i wybiegł z sali. Szarpnięte skrzydło drzwi uderzyło o ścianę.

Młodzi magowie zastali Promienia w kwaterze. Zjadł późne śniadanie, potem umył się dokładnie za zasłoną i włożył świeże ubranie. Przez cały czas milczał uparcie, demonstrując głęboką obrazę. Było to tym bardziej przykre, że pozostałym członkom Drugiego Kręgu doskwierało sumienie. Dotąd podstawą ich egzystencji była wzajemna lojalność i przywiązanie. Tym razem nie przeszli próby, zawiedli. Cokolwiek zrobił Promień, jakiegokolwiek zaszły okoliczności, nie powinni go opuszczać, kiedy najbardziej potrzebował wsparcia.

Kiedy więc wciąż obrażony chłopak zabrał swój łuk, by poćwiczyć strzelanie do tarczy na korytarzu, wszyscy odetchnęli z ulgą. Milczący wyrzut sumienia znikł im tymczasowo z oczu.

Około południa razem z lekkim posiłkiem dostarczono list. Papierowy rulonik pachniał wonnym olejkiem, a na zielonej woskowej pieczęci odciśnięty był wizerunek pojedynczego kłosa.

— To od królowej!

Wszyscy odruchowo spojrzeli na biegle czytającego w northlanie Iskře, ale ten tylko wzruszył ramionami i odwrócił się tyłem. Z tekstem musiał więc borykać się Koniec. Niektóre słowa pozostały zagadką, lecz z reszty wynikało jasno, że królowa Iditalin pragnie spotkać się z „miłymi gośćmi” dzisiejszego wieczora na nieoficjalnej kolacji o godzinie siedemnastej, a pomocą oraz „wszelkimi odpowiedziami” będzie służyć wyznaczony specjalnie pokojowiec. Wytwornie haftowane jedwabie miały się więc jednak przydać.

Promień nie brał udziału w krzątaniu. Rozczochrany i nieogolony leżał na brzuchu w poprzek swego łóżka, skrobiąc coś na woskowej tabliczce. Dopiero gdy Gryf zwrócił mu uwagę, że robi się późno, Iskra odezwał się:

— Ja nie idę.

— Musisz!

— Nic nie muszę.

— To życzenie królowej! Znów zaczynasz? Musisz iść!

Promień odwrócił tylko głowę i popatrzył na swoją tunikę, wiszącą na haczyku. Błyskawicznie zajęła się ogniem.

— Nie mam w czym — wycedził.

Gryf zerwał tłący się strój i przydeptał płomienie, mamrocąc przekleństwa. Sprawy uczestnictwa Promienia w kolacji z królową więcej nie poruszano.

\* \* \*

Poszli wreszcie. Znów został sam. Zrobiło się tak pusto i cicho, że ta cisza aż dzwoniła w uszach. Tak naprawdę chciał iść razem z nimi, nawet bardzo, lecz okropnie się wstydził. Na myśl, że pośrednio zrobił przykrość królowej i na pewno miała do niego żal o spoliczkowanie syna, aż kulił się wewnątrz. Na dodatek ta jego twarz! Z „podpisem” królewicza połączył się ślad pięści gwardzisty — jedno spojrzenie w lustro przekonało Promienia, że wygląda, jakby stratował go koń. Nie mógł pokazać się tej miłej kobiecie w takim stanie.

Czuł się strasznie osamotniony. Nie, nie sam ze sobą — takie uczucie należało do pozytywnych — lecz samotny, wręcz przerażająco. Zupełnie jakby pozostał ostatnim człowiekiem na świecie. Pamiętał, że podobny stan ogarnął go pamiętnej nocy w Zamku Magów, kiedy odkrył, że jego sługa i jedyny opiekun nie żyje. W panice wybiegł wtedy z sypialni — wprost w ręce dusiciela. A teraz znowu ktoś próbował go zabić, i znów miał jedynie niejasne podejrzenia, żadnych dowodów.

Próbował się czymś zająć. Napisać list do Koreta i przy okazji przesłać parę słów do Rijen. Nie zdążył się pożegnać. Dziewczyna zakładała wtedy pułapki po drugiej stronie jeziora, a lordowi się spieszyło. Słowa się nie układały. Oficjalne zwroty ze wzorów ładnego pisania nie przewidywały przygód Lengorchian w obcej ziemi. „Zastaję w dobrym zdrowiu. . . udana podróż. . . z czego wnoszę, iż. . .”

głupstwa, głupstwa... Jechali w śniegu, jedzenie było fatalne, jeden koń okulał. „Pozdrowienie dla Rijen. Jestem już w Kodau. Domy tu wysokie, drzew prawie nie ma. Spotkałem dzieci króla. Oboje niezwykli”. Jakim cudem Kamykowi tak łatwo przychodzi pisanie? Ciągłe skrobie w tej swojej księdze, jakby płacili mu za to majątek. Nawet dzisiaj wyciągnął pióra. Pewnie notował coś o nim, o utra-pionym Promieniu, którego nikt nie lubi.

Promień odłożył tabliczkę i poszedł do postania Kamyka. Namacał pod materacem gruby tom. Kryjówka była aż zbyt oczywista. Zapisy wypełniały czwartą część księgi, a między okładkami tkwiły powtykane luźne kartki z notatkami na brudno. Iskra przerzucił je szybko. W oczach zatrzymywały mu się pojedyncze znaki. „*Stalowy... przejmuję... zbyt mocno...*” O, coś o nim. Promień podniósł nierówny skrawek papieru. Tkacz Iluzji nabazgrał na nim pospiesznie myśl: „*Promień ma żal do świata i do nas, nie dlatego że jesteśmy, jacy jesteśmy i nawet nie dlatego, że to się stało, tylko dlatego, że nie potrafi być inny, niż jest. Sam nie wie, czego chce*”.

Promień stropił się. Co to właściwie miało znaczyć? Być inny? Czyli jaki? Pod spodem leżała większa kartka.

„*Tęsknię do Smoczyc Wysp, do tego okresu, kiedy świat wydawał się lepszy, niż jest. Brakuje mi Jagody. Zrozumiałbym, gdyby znudziła się i opuściła mnie dla kogoś innego, ale ona jest teraz przecież zupełnie sama. Co się stało? Nie, to nie miłość ani zazdrość, ale smutek, że już nie jesteśmy tymi radosnymi, niewinnymi dziećmi z gorącej wyspy. Czyja to wina? Moja? Jej? A może Losu?*”

Było to bardzo osobiste. Promień z rosnącym zaciekawieniem zaczął przerzucać karty. Może znajdzie między nimi wyjaśnienie tajemnicy, dlaczego Tkacz i Obserwatorka zakończyli romans? A może pikantne szczegóły? Zanim jednak znalazł cokolwiek, usłyszał charakterystyczny dźwięk skoku Wędrowca. W mgnieniu oka odepchnął od siebie pamiętnik Kamyka, który z hukiem spadł na podłogę za łóżkiem.

— Królowa... chce cię koniecznie... widzieć — powiedział powoli Myszka, a oczy mu okrąglały. — Czytałeś jego pamiętnik?! — wybuchnął nagle.

Przylapany na gorącym uczynku Promień poczerwieniał z zakłopotania. Że też Mysz musiał trafić akurat na tak fatalny moment. Teraz wypapla wszystko pozostałym i Promień już ostatecznie straci twarz. Z desperacji cisnął w małego Wędrowca rysikiem.

— Nic ci do tego! Piśnij słówko, a łeb ci rozwałę, ty... eunuchu!

Myszka aż się zachwiał. W jego oczach odbiło się zaskoczenie, ogromny żal... Nie odezwał się więcej. Przycisnął pięść do ust i nosa, jakby chciał zatamować krwotok. Zrobił krok do tyłu, po czym zniknął. Promieniowi zrobiło się zimno.

— Ja nie chciałem... — jęknął. — Ja naprawdę nie chciałem. Och, Mysz...

Dłuższy czas siedział bez ruchu, pograżając się w depresji. Nawet gdyby postanowił teraz uczynić zadość życzeniu królowej, oznaczało to samotną wędrówkę źle oświetlonymi korytarzami. Po wydarzeniach dzisiejszej nocy serce podchodziło mu do gardła na samą myśl o tym. Zresztą słodki Myszka pewnie jest już na miejscu i wypłakuje swoją krzywdę. Po co bardziej psuć ten wieczór?

Wreszcie podniósł kronikę Kamyka, pieczołowicie wyprostował zagięte karty i schował na powrót pod siennik. Zaczął rozglądać się apatycznie w poszukiwaniu rysika. Koniec z lekkim traktowaniem zgubionych przedmiotów. Z pewnością Stalowy od dziś niczego już dla niego nie wykona. W ogóle najlepiej byłoby zebrać manatki i wynieść się stąd.

Stylus leżał daleko pod stołem, więc chłopak wpełzł na czworakach między odrapane taborety. Wtedy odkrył coś, czego nikt dotąd nie zauważył. Wszystkie stoły, o blatach po wierzchu schludnych, ledwo odrobinę poplamionych atramentem, pod spodem stanowiły istną kopalnię transkrypcji. Napisy biegły w różne strony, kanciaste znaki miały rozmałą wielkość, mieszały się ze sobą. Najczęściej wycięte nożem, nierówno wydrapane kolcem, może ostrym końcem metalowego rylca do wosku, rzadko nakreślone barwnikiem. Zwykle powtarzały się imiona uczniów i daty, czasem kilka słów upamiętniających ważne w pojęciu autora wydarzenie. Promień z ciekawością odczytywał te zapiski. „Najlepszy jeździec Asseo 235 prT”; „Markan i Kevas — na zawsze razem”; „Kolandra kocha Joly” i tym podobne. Ku własnemu zdziwieniu, Promień znalazł nawet wyeksponowany ryt, głoszący: „Torój Toho 237 prT”. Z pewnością następca tronu nie sypiał w tym miejscu, ale może odwiedzał rówieśników? Pod stołami było nieco mroczno, więc przy tej dziwnej lekturze Iskra nieledwie wodził nosem po drewnie. Omal nie przeoczył napisu na bocznej listwie. Nie zawierał imion, tylko złowróżbne słowa, utrwalone w twardej dębinie: „Czerwone oczy w mroku. Strzeż się demona. S 204 prT”. Skrót oznaczał „panowania rodu Toho”, więc tajemniczy „S” wypisał swe ostrzeżenie ponad trzydzieści lat temu. Pewnie miał teraz dorosłe dzieci i może nawet wnuki. Co tak bardzo go przeraziło w 204 roku, że przelał swój lęk na drewno? Promień siedział wciąż pod masywnym meblem, zastanawiając się nad tym. Podobne notki nie wpływają korzystnie na wyobraźnię, gdy człowiek jest zupełnie sam, a zimowy zmierzch osuwa się w noc.

I właśnie wtedy głęboką ciszę zakłócił powolny zgrzyt narzędzia, manipulującego w zamku. Chłopiec zmartwiał. Drzwi były zamknięte, a zapasowy klucz miał w kieszeni. Powracający koledzy zachowywaliby się znacznie głośniejsz lub skorzystali z talentu Wędrowca. To musiał być ktoś obcy. Zanim Promień zdążył podjąć jakąkolwiek decyzję, intruz dostał się do środka. Chłopak widział tylko jego nogi w ciemnych bryczesach wojskowego kroju i miękkich butach na cienkiej podeszwie. Komnatę oświetlała olejowa lampa, lecz przybysz nie widział Promienia — stół był szeroki, a chłopiec skulił się pod samą ścianą. Zasłaniały go też siedziska. Nie był w stanie oderwać oczu od stóp mężczyzny. Patrzył na buty bez

obcasów, w których chodzi się cicho niczym kot, w których można podkraść się do kogoś od tyłu i zadławić go pętlą lub wbić nóż między żebra.. Obuwie na miękkich podszewkach ze specjalnej skóry, do wspinania się po dachach i spacerów po gzymsach... To był towarzysz skrytobójcy, którego Promień zabił w więzieniu, przyszedł dokończyć dzieła!

Przybysz jednak ani myślał zaglądać pod stół. Kolejno przeszukiwał skrzynki, gdzie chłopcy pochowali swoje rzeczy. Następnie przyszła kolej na obmacywanie podgłówek i sienników. Najwyraźniej czegoś szukał, ale czego? Mężczyzna zatrzymał się na moment przy kominku, jakby medytując nad czymś. Promień wciąż nie śmiał zmienić pozycji, więc nadal widział tylko jego dolną część ciała. Intruz nagle zasyczał, jakby z irytacją, a potem pospiesznie wyszedł. Niegłośno szcęknęła zasuwa wracająca na swe miejsce. Promień dopiero wtedy odważył się odetchnąć głębiej. Ręce miał lodowate, a plecy mokre od potu. Spojrzał na ręciový zegar, stojący na półce — wskazówka zsuwała się wolniutko do godziny osiemnastej.

\* \* \*

Królowa poświęciła obmyśleniu tej wizyty prawie godzinę przed południem, zasięgnęła też rady Wynna O'hore, a teraz zbierała plony właściwie podjętych decyzji. Słusznie podejrzewała, że oficjalne posłuchanie w jednej z dużych sal zdeprymowałoby tych młodych ludzi. Odebrałyby zapewne zwyczajowe hołdy, zamieniłyby kilka grzecznościowych frazesów z każdym i nie dowiedziały się niczego konkretnego. Kazała więc nakryć do stołu w prywatnej jadalni, przygotować obfity posiłek, napalić w bawialnym w kominku pachnącym drewnem i w odpowiednim czasie przysłać dzieci. Skoro Atael był zmuszony odegrać rolę sędziego — „aktora w czarnej masce”, ona wzięła na siebie postać „białą”. Nie słyszała jeszcze o chłopcach, którzy nie byłiby wiecznie głodni. A młodzi zawsze ciągną do młodych, więc obecność dzieci ociepli nastrój. Miała zamiar doprowadzić do paktu nieagresji między Torojem a Iskrą. Jana natomiast była mistrzynią zadawania niedyskretnych pytań, co doprowadzało do rozpaczki opiekunki, lecz w tej sytuacji bardzo odpowiadało jej matce.

Obserwowanie młodych magów było prawdziwą ucztą. Cóż za piękne typy! Niby jednolicie ciemnowłosi, smagli po wieśniaczemu, na pierwszy rzut oka niemal identyczni, lecz już po chwili każdy wydawał się jedyny w swoim rodzaju. Królowa czuła się jak podekscytowana ogrodniczka, która otrzymała właśnie pudło egzotycznych sadzonek. Ekeri — maszt pośród włóczni, chmurny rycerz o niepokojącym spojrzeniu ukośnych oczu; Greaff — piękna twarz i obfita czupryna, łobuzerski uśmiezek nałogowego uwodziciela. Uważać na tutejsze dziewczęta! Hemm'aut — imię dała mu rzeka oraz wąż i zgodnie z tym ma płynne



ruchy, każdy gest jest celowy, żadnego obijania się o meble. Sab'lan — następny przystojny młodzieniec w kolekcji, smoliście czarne włosy, a przy tym zadziwiająca, jaskrawoniebieskie oczy jak dwa szafiry. Mieszaniec? Dyskretnie zapytać o pochodzenie rodziców. Mówca Ano zwraca uwagę wśród długonogich, smukłych towarzyszy. Jest wręcz prostokątny, z dużymi dłońmi oraz masywną czaszką. Przysadzisty i nieładny, zadziwia za to darem wymowy. Gdyby nie błękitna szarfa, wzięłaby go za przebranego kopacza rudy. Fail'ess natomiast jest jego absolutnym przeciwieństwem — wygląda, jakby Boski Kowal odlał go w formie, gdzie wszystko było wąskie i długie. Chętnie by go odkarmiła, taki jest chudy. Twarz ma trójkątną, a oczy niby dwa cięcia nożem. Nie ufa się ludziom o takim wyglądzie, ale to biedne „winogrono” wydaje się najłagodniejszym stworzeniem na ziemi. Jest wzruszająco nieśmiały. Nie wie, co robić z rękami, co chwila wbija wzrok w podłogę. Bardziej płochliwy jest chyba tylko najmłodszy, najmniejszy Kial'an, którego inni magowie trafnie przezywają Sori, czyli po prostu Myszka. Śliczne dziecko. Niejedna ze zmanierowanych dam zapłaciłaby majątek, by taki chłopaczek nosił za nią szal i koszyczek z pachnidłami. Na szczęście jest obdarzony czymś więcej niż tylko urodą. Obiecał sprowadzić hardego Promienia, który (rzecz niesłychana) nie stawiał się na zaproszenie, więc królowa miała okazję zobaczyć na własne oczy, jak Wędrowiec znika, przenosząc się jakimś niepojętym sposobem wprost do zamierzonego celu. W sumie nie było to jednak zbyt widowiskowe. Jana nawet odezwała się z rozczarowaniem: „Nie będzie nic więcej?”.

Dziewczynka bez trudu obłaskawiała młodych magów, dowodząc jednoznacznie, że są tylko ludźmi, choć niewątpliwie ponadprzeciętnymi. Najpierw oznajmiła, że uwielbia błękitny kolor, następnie z ogromnym przekonaniem chwaliła hafty i krój ich tunik, istotnie bardzo twarzowy. Potem odkryła, że wypchana kieszka Mówcy Zwierząt zawiera pstrokate zwierzątko. Jej zachwyty były tak żywiołowe, że mag z własnej chęci pokazał jej, jak zmusza zwierzątko do robienia sztuczek, kierując go tylko myślą. To zachęciło innych. Jana ze śmiechem łapała ich za szarfę i dopytywała się ze słodką otwartością: „Co jeszcze? Co jeszcze pokażesz, panie czarowniku?”.

Tak więc Mówca bawił się z nią w odgadywanie „Co teraz myślę?”, Stworzyciel wybierał z misy drobne owoce i zamieniał je w srebrne oraz złote cacka, a Tkacz Iluzji wysnuwał wprost z powietrza ogromne, barwne motyle, oszałamiająco pachnące kwiaty i fantastyczne zwierzęta. Roztaczał przed oczami zachwyconych widzów zapamiętane z podróży krajobrazy. Specjalnie dla następcy tronu, który nie był już w stanie hamować ciekawości i podniecenia, mag zainscenizował walkę na miecze między lekkozbrojnym żołnierzem lengorchiańskim a półdzikim Hajgiem. Królowa pomyślała, że jej córka nie powinna oglądać obnażonego aż do pasa mężczyzny, nawet jeśli jest on tylko mirażem, lecz słowa uwięzły jej w krtani. Walka była tak rzeczywista, że służba, roznosząca przekąski na tacach, uskakiwała pod ściany. Królowa ukradkiem zasłoniła oczy jedną

ręką, a drugą zbliżyła do nosa saszetkę z orzeźwiającymi ziołami. Szczęk metalu o metal, ciężkie oddechy wojowników, okropny zapach rzemienia i potu zdawał się wypełniać całą komnatę. Kobieta miała nieodparte wrażenie, że po otwarciu oczu ujrzy trupy oraz porąbane meble. To była prawdziwa magia. Aż za bardzo prawdziwa jak na jej gust.

Gdy jednak cisza oznajmiła koniec pokazu, a królowa odważyła się znów spojrzeć, bawialnia wyglądała tak samo jak przedtem, pomijając fakt, że cała młodzież siedziała na podłodze, gniotąc beztrudnie wykwinne plisy na odświętnej odzieży. Z wyjątkiem Jany, która tak niegodnej pozycji nie mogła przyjąć z powodu znie-nawidzonych obręczy pod suknią. W kącie dostrzegła Myszkę, lecz Iskry z nim nie było. Chłopiec zniknął na dość długo, więc wszyscy przypuszczali, że po prostu czeka, aż Promień się przygotowuje. Coś musiało się wydarzyć, bo mały Wędrowiec miał podpuchnięte oczy, jakby płakał i zdradliwe ślady nie zdążyły zejść. Kiwnęła na niego palcem.

— Stało się coś złego?

Biedaczek zmieszał się okropnie.

— Nic, Jasna Pani. Mam... aaa... katar.

— A pan Promień Iskra? — spytała, ironicznie mrużąc oczy.

— On... on się źle czuje. I... i bardzo przeprasza, że nie może przybyć. Jest mu ogromnie przykro z tego powodu, Jasna Pani. Przekazuje pozdrowienia i prośby o wybaczenie.

— Co mu jest?

— Och, wszystko... to znaczy, boli go wszystko.

Ten milutki dzieciak był bardzo złym kłamcą. Nie zrobiłby kariery w polityce. Było pewne, że impertynencki władca ognia ani nie jest chory, ani nie użył równie eleganckich sformułowań. Raczej wprost odwrotnie. Królowa zacisnęła wargi i zanotowała w pamięci, by w najbliższym czasie znaleźć sposób na wybujały temperament pana Promienia. Miała na tyle dobry słuch, by złowić szept na stronie:

— Jak dorwę tego drania, to dopiero wtedy go wszystko zaboli. Nieźle musiał Myszce dokuczyć.

Dała spokój biednemu Wędrowcowi i wydała polecenie pokojówkom, by w sąsiedniej komnacie zaczęto już wносить półmiski. Była ogromnie ciekawa, jak jej goście poradzą sobie z nożykami do raków.

\* \* \*

Jedli rękami. Królowa Iditalin na to wspomnienie parsknęła śmiechem. Dawno już się tak dobrze nie bawiła na kolacji. Trzeba było zobaczyć na własne oczy,

by uwierzyć, że ktoś może używać palców przy spożywaniu faszerowanego pstrąga i jednocześnie wyjść z tej bitwy bez jednej plamy. Królewskie potomstwo oglądało te popisy ze zdumieniem. Służba natomiast stanęła na wysokości zadania — nikomu nawet powieka nie drgnęła, i natychmiast znalazły się miseczki do opłukania rąk oraz ręczniki.

Konwersacja toczyła się swobodnie, choć trzeba było wykazać się niemałym opanowaniem. Zmęczona wrażeniami Iditalin już w zaciszu sypialni rozpamiętywała tematy poruszane przy stole. Przystawki w postaci raków stały się hasłem do krótkiej dyskusji o sposobach łapania krabów, która następnie przerodziła się w wykład o zaletach żywej przynęty — w wykonaniu Wężownika. Wywiązał się spór między Stalowym a Torojem o to, czy syrena jest już istotą rozumną, czy jeszcze zwierzęciem, i czy w takim razie można ją zjeść bez grzechu ludożerstwa. Królowa, przestraszona wizją dalszego rozwoju tej dysputy, szybko zmieniła temat na bezpieczną pozornie kwestię handlu jedwabiem. Rozmowa niemal natychmiast zeszała na suknie tutejszych szlachcianek, a także krępujące rozważania, co się nosi pod spodem. I wszystkie te niesłychane pomysły wygłaszane były jednym tchem, z absolutnym bezwstydem, pomiędzy jednym kąskiem a drugim! Królowa zaczęła żałować, że włączyła do tego spektaklu córkę. Jana miała wypieki i uszy długie jak królik. Iditalin postanowiła położyć kres tym ekscesom. Lodowatym tonem wygłosiła: „To nie jest temat do dyskusji przy stole. Mężczyzna nigdy nie widuje damy w niewymownej garderobie”. Odpowiedź Gryfa na zawsze pozostanie jej w pamięci. Młody mag wypalił bez namysłu: „Niemożliwe. Przecież miewacie dzieci”. A potem natychmiast zakrył sobie usta dłonią przerażony własną bezczelnością.

Królowa przypomniała to sobie i roześmiała się serdecznie. W tej chwili to pogwałcenie etykiety wydawało jej się ogromnie zabawne.

Dwa razy omal nie doszło do katastrofy. Raz właśnie z powodu gafy Obserwatora, za drugim zawiniło nieszkodliwe prosię. Głównym daniem miała być wieprzowina, a kucharz z duszą artysty upiekł prosiaka w całości. Świnka miała apetycznie zabrązowaną skórkę, oczy z obranych winogron i pieprzu. Wniesiono ją na wielkim półmisku, w przybraniu z marynowanych fenkułów oraz plasterków jajka. Na chwilę przed podaniem kuchcik oblał prosię gorzałką i podpalił. Wtedy okazało się, że przybysze z Południa, którzy są w stanie zjeść potrawkę z węża, zupełnie ze ślimaków lub smażoną małpę, jednego nie jedzą na pewno — płonącej świniny. Iditalin, zajmująca honorowe miejsce u szczytu, miała doskonały widok. Przez chwilę wydawało się, że przy stole siedzi siedem posągów. Tylko oczy rozszerzone ze zgrozy śledziły danie defilujące wzdłuż stołu. Kiedy patera mijała Mówcę Zwierząt, chłopak strasznie pobladł i osunął się na krzesło, jakby nagle zaśląbł. Sąsiedzi natychmiast pochyłili się ku niemu z troską, a siedzący najbliżej królowej Mówca rzekł z zakłopotaniem: „On nigdy nie jada mięsa” — jakby to było dostatecznym wyjaśnieniem. Dopiero wtedy zdała sobie

sprawę, że istotnie na talerzu wątlęgo Mówcy Zwierząt leżą wyłącznie kawałki chleba oraz resztki jarzyny. Chłopiec prawie nic nie jadł i rzadko się odzywał, zakotwicząc wzrok we własnym nakryciu. Myślała, że jest zwyczajnie nieśmiały, a tymczasem prawdziwym powodem musiał być zestaw dań, prawie wyłącznie mięsnych. W dodatku wszystko podawano w całości. Kuchmistrz starał się odtworzyć wygląd zwierzęcia, umiejętnie operując przyprawami i garnirunkiem. Mówca Zwierząt — więc rozmawiający ze zwierzętami. Biedny chłopiec! Skoro płonąca świnka zrobiła wrażenie nawet na jego mięsożernych towarzyszach, on musiał doznać prawdziwego wstrząsu. Królowa wyobraziła sobie, że dostaje na talerzu coś... kogoś, z kim przedtem prowadziła konwersację. Zrobiło jej się trochę mdło. Prosię zostało stanowczo wyproszone za drzwi.

Idit westchnęła i przetała oczy. Przy świetle lichtarza wpisała ostatnią notatkę na kawałku pergaminu: „*Nigdy nie podawać mięsa Mówcom Zwierząt. Ważne!*”. Obok karty leżała garść złotych bryłek, które przedtem były karlimi jabłkami i suszonymi morelami. Rankiem prześle kruszec do złotnika dworu, a jeśli okaże się prawdziwy, uzyskane pieniądze zasilą kasę miejską. Królowa poruszyła wargami, przeliczając w duchu wartość kupki złota na worki z mąką. Uchodźcy znad północnej granicy wciąż napływali. Ceny żywności rosły w tempie zastraszającym. Chłopi, którzy stracili ziemię, garnęli się do miast w nadziei na zarobek, lecz tam nikt nie mógł dać im pracy. Nieźle prosperowali kowale, płatnerze i szewcy — zamówienia dla wojska płynęły szerokim strumieniem. Natomiast wytwórcy luksusowych towarów od dawna żyli z odłożonych zasobów, a ich bezrobotni pracownicy korzystali z dobroczynności lub żebrali pod miejskimi murami. Iditalin potarła miejsce na palcu, gdzie kiedyś nosiła pierścień. Ubrała i nakarmiła za niego kilkudziesięciu ubogich. Był środek zimy, desperaci zabijali dla bochenka chleba lub kładli się w śniegu na noc, wybierając lekką śmierć. Dodatkowa garść złota uratuje kilka istnień.

Królowa złożyła ręce nad małym, marmurowym młotem stojącym na biurku.

— Dziękuję, Panie Zrodzony z Kamienia za Stworzyciela Stalowego — wyszeptwała gorąco. — Dobrze go wykorzystam.

\* \* \*

*Obyczaje Northlandczyków z dziwnych stają się momentami szokujące. Z trudem pogodziliśmy się z tym, że żołnierze lorda w ciągu całej podróży do Kodau sypiali w butach. Lord jako człowiek elegancki codziennie mył twarz i ręce. I nic poza tym. Zaakceptowaliśmy fakt, że tutejsze ubrania raczej się konstruuje, niż szyje. Jedzenie ocieką tłuszczem, ale jest całkiem smaczne. Natomiast wieprz na półmisku był widokiem mieszającym zmysły. Jeżeli Northlandczycy są w stanie zjeść to brudne zwierzę, ryjące w odpadkach i wszelkich nieczystościach, to znaczy, że nie brzydzą się chyba niczego. Przecież powszechnie wiadomo, że od świni*

można zarazić się robakami, które zjadają człowieka od środka. Ohyda! Upieczony prosiak zachował nawet kopytka i zęby, gapił się wytrzeszczonymi ślepiami z wyrazem śmiertelnego wyrzutu, a kiedy otoczyły go niebieskawe płomyczki, wyglądał jak coś, co wylazło z najgłębszej piekielnej dziury. Przez jeden okropny moment wszystko, co zjadłem przedtem, w panice usiłowało uciec mi z żołądka. Losie, co chronisz niewinnych, dzięki, że oszczędzono nam tego wstrząsającego dania!

Dzieci króla są całkiem miłe. Dziewczynka zupełnie przypomina mi Liskę. Uwielbia się wdzięczyć. Królowa sprawia wrażenie kobiety silnej i mądrej. Konięc twierdzi, że ma poczucie humoru i stalowe nerwy. Sprawdzała nas tak samo, jak Mówca sondował ją, to nie ulegało wątpliwości. Na szczęście okropna komplikacja Gryfa została przez nią zignorowana. Królowa jest prawdziwą damą. Nadal jednak nie jestem pewien, dlaczego Bogini skierowała nas wprost do niej. Kłós wręczony mi w zaświatach, szpilka Arn-Kallana, godło królowej — wszystko wiąże się ze sobą. To nie do króla przybyliśmy, tylko do jego żony. Ale jak mamy jej służyć? Niczego od nas nie chciała, niczego ważnego się nie dowiedzieliśmy.

Promień za to stał się ostatnio środkiem rozmaitych denerwujących wydarzeń. Po powrocie od królowej zastaliśmy drzwi nie tylko zaryglowane, ale jeszcze podparte od wewnątrz krzesłem, a nasz książe siedział pod nimi z moim mieczem na kolanach. Podobno mieliśmy niezapowiedzianą wizytę jakiejś tajemniczej postaci. Tłumaczenia Iskry były mętne. Siedział pod stołem i czytał napisy, nie widział twarzy włamywacza. Dlaczego nie wyszedł, by przepłoszyć, zatrzymać lub — w ostateczności — zabić intruza? Bo nie chciał, i już. Stalowy przekazał mi komentarz, że Promień mógł to wszystko po prostu zmyślić. Wszystkie cenne przedmioty były łatwo dostępne, a nic nie zginęło. Ani pieniądze, ani dokumenty. Mapy Wężownika i Myszki były nienaruszone. Pudło z miniaturowym laboratorium chemicznym Stworzyciela — tak samo. Narzędzia, książki moje szkła optyczne, lekarstwa — wszystko na miejscu. Jednak żaden z czytających myśli nie mógł zarzucić Iskrze kłamstwa. Gdyby Promień akurat tego wieczora nie miał ataku złego humoru, byłby razem z nami na przyjęciu u królowej i nikt by się nie domyślił, że ktokolwiek obcy tutaj zaglądał. Ale czego chciał?

Dopiero dziś rano Stalowy odkrył, że jednak zginęła jedna jedyna rzecz: owo brylantowe jajo przeznaczone pierwotnie dla króla. Położył je na gzymsie kominka i zupełnie o nim zapomniał. Ciekawe, że złodziej miał do wyboru tyle przedmiotów naprawdę wartościowych, a zabrał sprasowany węgiel, który może co najwyżej służyć do krojenia szkła. Stalowy z dziką uciechą twierdzi, że przy próbie przeszlifowania klejnot rozsypie się na drobny szklany żwirek. Odbiorca kamienia już wkrótce może być ogromnie rozczarowany.

A my jeszcze dziś dołożymy kolejną zasuwę do drzwi.

\* \* \*

*Nowe pismo od Jej Wysokości. Na krótko jedzie w pewnych sprawach poza zamkowe mury. Domaga się towarzystwa Stalowego (...???....). Jeśli nie mamy innych planów, możemy wybrać się z nimi. Zaleca skromny, nierzucający się w oczy strój. Coraz ciekawiej.*

\* \* \*

Promień znów jako jedyny odmówił towarzyszenia królowej. Ostatecznie zostawiła mu wolną wolę. Postanowił zaczekać na odpowiedniejszą chwilę. Dwudniowy siniec rozkwitł właśnie pełną paletą barw i Iskra nadal uważał, że jego twarz nie nadawała się do publicznej prezentacji. Wciąż utrzymywała się mroźna, lecz słoneczna pogoda. Za murem widać było zaśnieżone świerki w zamkowym ogrodzie. Promień postanowił wykorzystać czas na ćwiczenia łucznicze w jakimś ustronnym zakątku.

Ogród spał pod zaspami. Jedyną zielenią, jaka się w nich zachowała, były najeżone szpilkami karłowate świerczki, jałowce wystrzyżone w kosmate wachlarze i cisy. To w ich gałązkach właśnie żółto brzuche ptaszki szukały czerwonych jagód. Najwyraźniej ogrody jednak odwiedzano nawet o tak zimnej porze roku. Główne ścieżki były odśnieżone. Ktoś na kamiennej ławce rozsypał jakieś nasiona i tu również ucztowało kolorowe ptactwo. Słomiana tarcza zawisała na zbitej ścianie cisowego żywopłotu. Łucznik zaczępił cięciwę na łączysku. Tuż przed wyjazdem z Miasta Na Drzewach Rijen pokazała mu metodę celowania z „igłą”, podobno bardzo poprawiającą wyniki przy większych odległościach. Miał wielką ochotę ją wypróbować. Zanim jednak wybrał odpowiednie strzały, gdzieś z boku najpierw usłyszał szybki tupot i sapanie, a potem na ścieżce ukazała się biegnąca dziewczynka w kapturku z fryzką. Kapturek był zielony, a płaszczyk oraz suta, falbaniasta spódnica w kolorze malwy. Całość upodabniała się do odwróconego kwiatu, któremu nagle wyrosła para nóżek i umknął z cieplarni. Dziewuszka zatrzymała się tuż przed Promieniem, machając rękami dla równowagi. Rzuciła niespokojne spojrzenie za siebie, po czym smyrnęła za ławkę, do wyrwy w żywopłocie, którą chłopak przeoczył. Ledwie się tam zmieściła. Przed kim ten dzieciak uciekał?

— Panienko! Panienko Janael! To nie uchodzi! — usłyszał Promień piskliwe krzyki. Nim zdążył się zastanowić, co właściwie robi i jakie to uczucie szarpnęło go gdzieś koło serca, stopił cienką warstwę śniegu wokół. Ziemia odsłoniła się na pokaznym obszarze, a ślady dziewczynki odbite w zdradliwej bieli rozplynęły się w wodzie. Zaraz potem zza zakrętu truchtem wyłoniły się dwie pękate damy — najwidoczniej świta niesfornej Janael. Obie przytłoczone stertami tkanin, futer,

szali i kokardek, a do tego uzbrojone w koszyczki, woreczki i owe niedorzeczne wachlarze na długich trzonkach.

Promień spokojnie przebierał strzały. Sytuacja była patowa: zasapane dworaki usiłowały ignorować jego obecność — z wzajemnością. Potrzeba odnalezienia podopiecznej musiała być jednak na tyle silna, że zdecydowały się do niego odezwać.

— Czy była tutaj królowna?

— Istotnie była — odparł obojętnie.

— A gdzie jest teraz?

— No cóż, nie widać jej, prawda?

Dama zasznurowała wąskie usta, ze złością trzepnęła wachlarzem o żebrowaną spódnicę, po czym obie kobiety odplynęły w dal, ostrożnie unosząc suknie nad śniegową breją. Jana odczekała przezornie kilka minut, zanim wypłatała się spomiędzy kłujących gałązek. Pożerała wzrokiem Promienia, aż zaczął czuć się nieswojo i odwrócił głowę, by ukryć siniak. Krucze włosy związane w zawadziacką kitę, czarne linie pod oczyma, łuk, rzemienne pasy na przegubach i kontrastowo najdroższe futro srebrnego larga narzucone niedbale na sfatygowaną kurtkę... i jeszcze owa błękitna szarfa, oznajmijająca o magicznej potędze właściciela — wszystko to sprawiało, że w oczach dziewczynki rósł do rangi postaci wielce malowniczej oraz bohaterkiej, choć sam o tym nie wiedział.

— Pozdrowienie, królowno — odezwał się Iskra.

— Wzajemnie, panie czarodzieju — uśmiechnęła się, produkując dołeczki w policzkach.

— Znów uciekłaś. Niegrzeczna dziewczynka.

— Dziękuję, że nie powiedziałeś im, gdzie jestem.

— Drobiazg. Cenię umiłowanie wolności. Ale te dwie kwoki będą cię szukać do upadłego.

— Niech szukają. Są okropnie nudne. Na nic mi nie pozwalają i ciągle powtarzają, że mam się zachowywać odpowiednio.

Promień zabrał strzały, odmierzył trzydzieści kroków od tarczy. Jana cały czas dreptała za nim. „Igła” okazała się istotnie znakomitym wynalazkiem. Strzała trafiła o grubość palca od zamierzonego punktu. Ustalił poprawkę i następna utkwiała dokładnie w plamce farby.

— Pięknie! — pochwaliła go królowna. — Ja też chcę! — Tylko mi nie mów, że to nie dla dziewczynek! — dodała surowo.

Promień wzruszył ramionami. W Bukowinie łuki dostawali zarówno chłopcy, jak dziewczynki, i to młodsze od Janael. Nie wspominając o tym, że Rijen — mężczyzna tylko z nadania — dorównywała... a nawet przewyższała go w sztuce łuczniczej.

— Ten łuk jest dla ciebie za duży, Jana. Nie naciągniesz go.

Oczywiście upierała się, że da radę i oczywiście omal nie naderwała sobie ścięgna. Z tym większym podziwem przyglądała się, jak Promień z łatwością dokonuje tej sztuki.

— A ja umiem pisać — pochwaliła się nagle, chcąc zaimponować Iskrze przynajmniej taką umiejętnością. — Umiem napisać wszystkie swoje imiona jednym ciągiem. Popatrz.

Drzewcem strzały zaczęła kreślić na śniegu kunsztowny ciąg znaków, istotnie nie odrywając narzędzia od podłoża.

*Janael Kariawis Seni Toho*

— Umiesz tak?

Promień bez słowa odebrał jej strzałę i obok powstało:



— I to jest całe twoje imię: Promień? — spytała Janael Kariawis Seni Toho, przypatrując się ideogramowi krytycznie.

— Tak.

— Oszczędne — orzekła trafnie dziewczynka.

Podniosła na niego oczy, po czym zadała następne pytanie, znów zmieniając temat.

— To mój brat zrobił? — Dotknęła palcem własnej twarzy. — Bardzo boli?

— Trochę. Kiedy jem albo rozmawiam.

— To nie rozmawiaj, tylko słuchaj — poradziła gładko i zażądała: — Pochyl się!

Posłuchał, nie podejrzewając niczego, a wtedy raptem złapała go za szyję i cmoknęła w poszkodowany policzek. Puściła natychmiast, zanim zaczął się wyrywać.

— Mama zawsze tak robi. Mówi, że wtedy mniej boli i prędzej się zagoi.

— Dzięki, ale obędę się bez takich leków — burknął Promień, wycierając twarz wierzchem dłoni. Jeszcze tego brakowało, żeby ktoś go oskarżył o napastowanie smarkatej królewianki. Nieznośny bachor!

Gdzieś z oddali znów napłynęło rozpaczliwe nawoływanie: „Ja-naeeel! Pa-nieeenkooo! Jaanaaaeeel!...”. Dwoje przypadkowych spiskowców spojrzało po sobie porozumiewawczo. Jana pierwsza rzuciła się w przejście między żywopłotami, a Promień za nią.



Znaleźli się wewnątrz labiryntu, gdzie ściany z iglastych gałęzi sięgały wysoko nad głowę, tłumiąc dźwięki. Dawały jednocześnie wrażenie przytulności i tajemnicy, gdyż za każdym zakrętem mogły czaić się niespodzianki. Promień uznał, że latem musi być tu wprost rozkosznie. W zielonych niszach stały marmurowe ławki, terakotowe wazy — gdzie wiosną sadzono kwiaty — i nieczynne małe wodotryski, nad którymi w oczekiwaniu końca zimy dumały statuetki jednorożców, żab i pulchnych dzieci. Jana doskonale знаła wszelkie zakamarki, więc pod jej przewodnictwem prędko dotarli do samego serca labiryntu. Od małego placyku odchodziło promieniście sześć ścieżek wiodących do roślinnych korytarzy, pośrodku znajdowała się studnia z kołowrotem, nakryta kopulastym daszkiem. Dookoła cembrowiny biegła kamienna ławka. Płaskorzeźby na jej podporach przedstawiały karykaturalnych ludzików z narzędziami ogrodniczymi. Jana wspięła się na cembrowinę i pochyliła nad ciemną gardzielą studni.

— Na dnie mieszka wodnik — oznajmiła. — Jest bardzo stary, cały pomarszczony. Ma zieloną, plamistą skórę jak żaba, a włosy i brodę jak zbutwiała trzcina. Owija się tą brodą jak kołdrą i śpi po całych dniach. Trzeba ostrożnie opuszczać wiadro, bo jak spadnie na wodnika, to on się złości. Ma taki długachny ropuszy język, może nim chwycić cię za szyję, wciągnąć do środka i zakopać w szlamie. Czasem zamienia się w człowieka, żeby porywać dziewczęta i małe dzieci. Można go poznać po tym, że zawsze ma wilgotne ręce, ale nie ma uszu ani paznokci.

Dziewczynka rozsmakowywała się w makabrze niczym w rodzynkowym ciastku.

— Ile masz latek, Janael? — spytał Promień z politowaniem.

— Jedenaście i pięć miesięcy — wyliczyła skrupulatnie.

— I wierzysz w wodniki?

— Oczywiście, że nie! Niczego takiego tam nie ma. To bajka. Tak naprawdę... tak naprawdę... — rzuciła chłopcu łobuzerski uśmiezek. — To tam mieszka wielki wąż! W zeszłym roku zjadł ogrodnika!

Nagle jej twarzyczka ściągnęła się ze zgrozy, spojrzała gdzieś nad ramieniem Promienia i krzyknęła przejmująco. Iskra odwrócił się błyskawicznie, gotów do walki. Serce waliło mu jak młotem.

Nikogo. Pusto. Obrane z liści krzewy, zaśnieżony trawnik, na którym nie było nawet śladu czegokolwiek.

— No i co?!

— Nic — odparła Jana spokojnie, z niewinną miną. — Toroj też się na to nabiera.

— Upiorne dziecko! — wycodził Promień przez zęby.

Jana ani się nie obraziła, ani nie przejęła. Siedziała na ocembrowaniu, machając beztrąsko nogą i pokazując ją prawie do kolana.

— To jest specjalne miejsce — odezwała się znowu. — Tutaj ojciec oświadczył się mamie.

Jako że Promień nic nie powiedział, Jana ciągnęła dalej, splatając palce na piersi i wzdychając z ukontentowaniem.

— Ogromnie romansowo. Mateczka siedziała tam, gdzie ty teraz, a tatko ukląkł przed nią i powiedział: „Iditalin, kocham cię jak słońce i ziemię. Jeśli zechcesz mnie na męża, przysięgnę ci wierność, przyjaźń i szacunek do końca życia.. Jeśli ktoś inny jest w twoim sercu, zrozumie to i będę życzył ci szczęścia”. A wtedy mama powiedziała: „Dobrze, Ataelu, ja też cię kocham” i pobrali się zaraz potem.

Promień ze zdumieniem wysłuchiwał szczegółów prywatnego życia northlandzkiej pary królewskiej. Były dość niecodzienne.

— Chcesz powiedzieć, że to było małżeństwo z miłości? Nie po to, żeby połączyć dwa rody?

Jana miała malinowe rumieńce i błyszczące oczy.

— To było naprawdę bardzo, bardzo wzruszające. Wszyscy o tym mówili, w całym kraju. Był wielki bal wiosenny...

— I tam król poznał narzeczoną.

— Nie przerywaj! Wcale nie. Dziadunio powiedział do taty, że ma się ożenić, bo on już nie wytrzyma tych ciągłych swatów. A tatuś na to, że nie ożeni się z portretem. Więc dziadek zaprosił na święto wiosny mnóstwo panien z najwyższych rodów, żeby tatko mógł je obejrzeć. Są o tym piosenki. Do tej pory je śpiewają w kuchni i w garnizonie.

Jana zaczęła śpiewać cienkim głosem. Słowa były proste, a melodia złożona zaledwie z paru powtarzających się fraz — jedna z tych piosneczek, które lepią się do pamięci niczym smoła.

*We wszystkich dworach list ogłoszony,  
Że król dla syna szukać chce żony.  
Cała stolica huczy od plotek,  
Dziedzic korony idzie pod młotek.  
Poznał królewicz panienek sto  
I ciągle wzdycha, że to nie to!*

*Pierwsza jak słońce, druga jak brzoza,  
A za to trzecia pysk ma jak koza.  
Czwarta modnisia, piąta skromnisia,  
Oj, trudny wybór chłopak ma dzisiaj.  
Poznał królewicz panienek sto  
I ciągle wzdycha, że to nie to!*

*Czarne i jasne, jak miedź czerwone  
Którą Atael weźmie za żonę?*

*Jedna ma tutaj, a druga tam,  
Jak tu wybierać wśród tylu dam?  
Poznał królewicz panienek sto  
I ciągle wzdycha, że to nie to!*

*Pół setki dziewczyn rwie włosy z głowy,  
Drugie pięćdziesiąt umrzeć gotowe.  
Sto pierwsza panna w zbożowym wieńcu  
Na ślubny kamień złożyła ręce.  
Poznał królewicz panienek sto  
Ale sto pierwsza dostała go!*

Iskra usiłował nie udusić się od skrywanego śmiechu.

— Pod młotek? — wykrztusił. — Dlaczego pod młotek?

— W świątyni Zrodzonego Z Kamienia wisi na łańcuchu taki wielki młot. Narzeczeni stają pod nim, a kiedy któreś krzywoprzysięgnie, to ten młot zleci. Zawsze specjalnie na niego patrzę na ślubach, ale nigdy nawet nie drgnął — zakończyła Janael z lekkim rozczerowaniem.

Promień pomyślał, że gdyby ten przesąd był prawdą, większość małżeństw skończyłaby się w momencie rozpoczęcia. Z mimowolnym zaciekawieniem zaczęła czekać, co jeszcze powie ten niesamowity dzieciak.

— Tej piosenki z koszar nie wolno mi śpiewać — ciągnęła dziewczynka. — To znaczy właściwie obu. Ale za tę pierwszą Haliana najwyżej wymyje mi język mydłem, a za tę drugą wrzucą ją do lochu.

— Nie powiem, że śpiewałaś tę pierwszą — obiecał chłopiec. — Co było dalej?

— Mateczka nie przyjechała na bal, chociaż miała zaproszenie, bo akurat mój drugi dziadek zmarł i była w żałobie. Napisała piękny list z podziękowaniem i posłała tatusiowi pachnącą poduszczkę z ziołami w środku. Rozumiesz, na balu było tyle dam, że tata nie mógł się zdecydować i tylko bolała go od tego głowa. Spał potem na tej poduszcze, a potem zaprosił mateczkę specjalnie do zamku, już nie na tańce, bo był ciekaw, jaka jest. A potem się zakochali i mateczka rzeczywiście ślubowała w wianku z kłosów. Ja też sobie wybiorę narzeczonego sama. Będzie piękny, mądry i dobry, jak mój tata. — Jana zrobiła kilka tanecznych kroków.

— Chyba że zaraz wpadniesz do tej studni, a wtedy ożeni się z tobą wodnik — ostudził dziewczynkę Promień, zdejmując ją z ławki. — Zmarłem. Chodź, odprowadzę cię do zamku.

— Dobrze — zgodziła się. Bezceremonialnie wzięła go za rękę i otarła głowę o męskie ramię, jak łaszący się kot.

Promień westchnął. Jedenastolatka? Tylko tyle? Musiałby być ślepy i głuchy, a do tego martwy, by nie zauważyć jej wdzięczenia się, kierowania rozmowy na

sprawy „romansowe” oraz szukania okazji do cielesnego kontaktu. Tej zbikowanej smarkuli zdawało się, że już zaczyna być kobietą, więc robiła ryzykowne eksperymenty na przypadkowych obiektach odzianych w spodnie. Promień przy tym coraz bardziej utwierdzał się w podejrzaniach, że naiwność Janael to maska i dziewczynka w rzeczywistości jest sprytniejsza, niż to okazuje. Oby tylko nie ściągnęła dodatkowych kłopotów na głowę sobie i jemu.

\* \* \*

Bramka z ozdobnie kutego żelaza odgradzała ogrody od niewielkiego dziedzińca otoczonego arkadami i wysypanego drobnym żwirem. Dwie postacie w pikowanych kaftanach oraz drucianych przyłbicach — jedna duża i barczysta, druga chłopięco szczupła -fechtowały się na florety.

— Siedem! — Mężczyzna trafił chłopca w ramię.

— Tata! — zawołała Jana, puszczając się biegiem. Szymierz zdjął zasłonę, ukazując lwie oblicze i zadzierzyste wąsy króla.

— Moja mała dziewczynka!

Twoja mała dziewczynka nie dalej jak pół godziny temu pocałowała obcego mężczyznę. Za dwa lata pewnie straci cnotę z jakimś paziem albo nadwornym poetą, pomyślał Promień z ironią, obserwując jak Atael przytula córkę. Ukłonił się bez słowa, gdy król skierował na niego wzrok. Monarcha z uśmiechem oddał mu dość niedbały salut floretem.

— Sztywny dziś jesteś, Toroj — zwrócił się do przeciwnika. — Ale to przejdzie za kilka dni, nie martw się.

Z wieży zegarowej ozwał się uroczysty dźwięk gongu, a zaraz potem donośne wołanie czas-stróża: „dziewiąąątaaa!”, podejmowane kolejno przez warty zamkowe. Król raptem bardzo zaczął się spieszyć.

— Obowiązki wzywają! Niestety, niestety. . . ! Bawcie się dobrze, dzieci.

Promień podniósł porzucony floret. Miał półtora łokcia długości, trzy krawędzie oraz okrągły czubek. Żeby zrobić komuś krzywdę czymś takim, trzeba by go długo i uparcie walić po głowie. Jana pociągnęła go za rękaw, podsuwając maskę szmierczą.

Kiedy król w drodze na naradę wyrzął przez okno, chcąc ostatni raz popatrzeć na dzieci, zobaczył walczących chłopców. Przez kilka minut z zainteresowaniem obserwował starcie. Widać było, że młodzi próbują się nawzajem i popisują nieco, chcąc od razu zaznaczyć swą wyższość nad rywalem. Mag radził sobie nadszpiewanie dobrze. Raz trafiony w udo, drugi w bark, w ciągu dwóch minut wyrównał wynik, a potem — po serii ciosów zupełnie sztampowych — nagle użył cudownej sztuczki szmierczej i łupnął królewskiego potomka sztychem prosto w przyłbicę, aż się siatka wgięła.

— Skąd on zna manewr Wirliga? — mruknął król do siebie w zamyśleniu.

\* \* \*

Są na świecie miejsca niewyobrażalnie piękne. Takie, które zapadają tak głęboko w serce, że można płakać z żalu, gdy trzeba je opuścić. Być może jako naturalna równowaga dla nich istnieją także takie, których nigdy nie chciałoby się oglądać. Należał do nich przykładowo Plac Wołowy na przedmieściach Kodau — kawałek ziemi najbardziej odsunięty od królewskiego zamku, zarówno pod względem rzeczywistej odległości, jak i poziomemu życia. Kiedyś znajdowały się tutaj rzeźnie. Od kilku lat porzucone szopy niszczały bez dozoru. Teren był tak nieatrakcyjny, że właściciel nie mógł go sprzedać, a inwestowanie weń również się nie opłacało. W końcu oddał go darmo na potrzeby miasta. Obecnie pod dziurawymi dachami koczowała ponad setka biedaków zapomnianych przez Los i jego wysłańców. Lecz nie przez królową Iditalin.

Kiedy grupa jeźdźców oraz anonimowa karoca bez herbów na drzwiach zatrzymały się w ponurym zaułku przed starą kamienicą, na powitanie przybyłych wyszedł tylko jeden człowiek. Wyglądał na około sześćdziesiąt lat. Skórę miał woskowo żółtą, podpuchnięte oczy i wyraz zafrasowania jakby na stałe wprawiony w twarz. Odziany był bardzo skromnie, wręcz ubogo. Chciał uklęknąć na zdeptanym śniegu, lecz królowa go powstrzymała.

— Nie trzeba, panie Galt. Znów nie dojadasz?

— Słońce moich oczu, królowo... Jak ja mogę się objadać, kiedy tu na jednego człowieka wypada kromka chleba dziennie?

— Kupiec umówiony. Dziś jeszcze będzie mąka, oliwa i rzepa. I parę worków węgla.

Starzec w milczeniu ucałował rękę królowej.

Zaprosił gości do wnętrza zaniedbanego domu, który okazał się jednocześnie magazynem, kancelarią i siedliskiem owego skromnego człowieczka. W jednej izbie ustawiono stół do pisania, zarzucony papierami, i wąskie wyrko ze złożonymi porządnie cienkimi kocami. Na palenisku tliła się kupka węgla, symbolicznie ogrzewając pomieszczenie. Jeden kąt został przemieniony w rodzaj składu: znajdowało się tam kilka skrzynek, leżało trochę próżnych worków. Tylko jeden, suto wypchany, opierał się o ścianę, a na nim stała blaszana miara zbożowa i waga. Młodzi magowie rozglądali się po tym ubóstwie, podczas gdy mieszkaniec rozmawiał z królową, pokazując jej jakieś kwity i zapisy na rolkach pergaminu.

— Panie Galt, chciałabym, żeby tutejsi ludzie wiedzieli, komu zawdzięczają nową dostawę.

Staruszek pochylił głowę z szacunkiem.

— Zawsze błogosławimy twoją szczodrość i dobre serce...

— Tym razem należy błogosławić kogoś innego. Panie Stalowy...!

Wezwany Stworzyciel z niemałym zdumieniem dowiedział się, że w sposób nieumyślny stał się ofiarodawcą sporej sumy pieniędzy, przeznaczonych na wspomnienie biednych. Chłopcy skupili się przy wymizerowanym urzędniku i królowej, słuchając relacji o rozpaczliwym losie uciekinierów z północnych rejonów Northlandu.

— Pokażemy ci tych, których dziś nakarmisz, panie magu — odezwał się na koniec pan Galt i poprowadził wszystkich do kuchennego wyjścia. Na tyłach domu znajdował się mały placzyk, na którym błoto zamarzło w nierówne grudy. Królowa ostrożnie stąpała w wysokich koturnach chroniących buciki, więc Gryf podał jej ramię. Wzdłuż placzyku stały dwa duże, szkaradne baraki. Wewnątrz było mroczno, duszno, cuchnęło brudem. Tylko nieznaczny ruch i dobiegający do nich szmer rozmów świadczyły o tym, że ktoś tu jest. Ludzie, zakopani w nędznych barłogach z siana i rozmaitych szmat, skrzętnie chronili zgromadzone przy sobie ciepło. Oszczędzali siły — nauczeni doświadczeniem, że jedzenia zawsze jest zbyt mało, a czasu między jednym a drugim posiłkiem zbyt dużo. Wzrok szybko oswajał się z półmrokiem, więc można było dostrzec smutne, wychudłe twarze. Większość należała do starców, kobiet i dzieci. Nawet te ostatnie nauczyły się tej straszliwej cierpliwości, która brała się ze skrajnej nędzy — nie bawiły się nawet, bo to było zbyt wyczerpujące. Łatwo zgadnąć, iż marna kondycja zarządcy brała się z tego, że wszystko, co tylko mógł, oddał bardziej potrzebującym. Podstawowym celem tej społeczności było: przeżyć.

Królowa musiała bywać tu wcześniej, gdyż jej widok wywołał poruszenie. Ludzie podnosili się z trudem, by złożyć jej pokłon. Pozdrowiała wszystkich z jednakową uprzejmością, nikogo szczególnie nie wyróżniając. Opanowanym głosem powtórzyła wiadomość o darowiźnie Stalowego, ku jego wielkiemu zmieszaniu.

— Lengorijeny, Pani nasza? — odezwał się ktoś z niedowierzaniem. — Czarownicy? Piniądz dają? Dla nas?

— Tak... tak się godzi — wykrztusił po northlandzku Koniec przez ściśnięte gardło. Odchrząknął i dodał już pewniej: — To godne. Tak trzeba pomagać. Myśmy są sąsiady... z drugiego domu. Będzie jedzenie, będą też inne rzeczy. My teraz są ludzie waszej królowej.

Zapadła martwa cisza, ale zmiany w aurach powiedziały Mówcy, że obok zdziwienia i nieufności zakiełkowała również akceptacja. A kiedy ci nędzarze niebawem zobaczą namacalne dowody hojności Stalowego, z pewnością już całkowicie ocieplą się ich uczucia. Gdzieś obok zaczęło chlipać dziecko. Był to płacz niemowlęcia, zredukowany do stłumionego zawodzenia, jakby maleństwo straciło już nadzieję na zaspokojenie głodu.

— Dużo jest tu teraz małych dzieci? — spytała królowa zarządcy.

— Coraz mniej — odpowiedział. — Chorują i mrą. Parę zdołałem umieścić w sierocińcu. Kilka matek z niemowlętami przy piersi i brzemiennych wzięli do

siebie dobrzy ludzie. Ale zostało tu jedno, którego matka karmić nie chce, a nikt inny się nim nie zajmie.

— To przecież nieludzkie!

— Może lepiej, aby zmarło — szepnął poufnie Galt. — Kobietę gwałtem obcoziemiec wziął. Cudem, pod opieką boską chyba, ujść zdołała z niewoli. Dzieciak niechciany, a ona dotąd jakby nie całkiem przy rozumie.

Przyprowadzono kobietę tak chudą, że była niemal przezroczysta.. Cienka skóra opinała kości jej twarzy, tworząc ostro załamujące się płaszczyzny. Jak wygięte z kartki papieru, pomyślał Koniec. Kiedyś chyba była bardzo ładna i resztki tej urody przy pewnym wysiłku można było dostrzec. Przez dłuższą chwilę patrzyła bezmyślnie na królową, wreszcie dotarła do niej obecność możnej pani, więc dygnęła niezgrabnie. Sąsiadki wciąż trzymały ją pod ramiona, jakby bały się, że upadnie.

— Weź dziecko — powiedziała królowa z naciskiem. — Weź je. Pojedziesz ze mną. Będiesz miała co jeść. Ale masz wziąć swoje dziecko!

Kobieta kiwnęła głową.

— Jak masz na imię?

— Kamian — było to ledwo słyszalne.

— Dobrze. Idziemy.

Kamian podeszła do barłogu i podniosła kwilącego noworodka, łapiąc jedną ręką za spowijający je gałgan, jakby miała do czynienia ze zwykłym tobołkiem. Przestraszony Mówca natychmiast odebrał jej dziecko, po czym zawinął w poję swego płaszcza. Sięgnął do maleńkiego umysłu, chcąc ukoić jego rozpacz bliską obecnością.

— Matko nasza łaskawa. . . — jęknął w następnej sekundzie i zachwiał się jak uderzony.

Wyszedł czym prędzej na zewnątrz, przyciskając żywy tobołek do piersi. Za nim wysypała się reszta. Koniec oparł się o obskurną ścianę, oddychał ciężko, twarz mu pobladła.

— Co się. . . ? — zaczął Gryf.

— Sięgnij do niego — rzekł Koniec.

— Do kogo?

— Do tego malca.

Gryf i Stalowy posłuchali, a potem równocześnie wzdrygnęli się jak ugryzieni.

— Na Miłosierdzie!

— Wygląda jak kłab błyskawic!

— Czuję się tak, jakbym trzymał na rękach chmurę wyładowaną piorunami — wyszeptał Mówca. — My przy nim wyglądamy jak zwykłe świeczki. To jest. . . pierwotna magia.

Królowa wyłoniła się z mrocznego wejścia baraku. Zmarszczone brwi świadczyły, że naruszyli zasady dobrego wychowania i ona tego bynajmniej nie pochwala.

— Ani słowa! — syknął Koniec. — Chronimy dziecko. Naradzimy się potem.

\* \* \*

*Nigdy w życiu nie widziałem takiej nędzy. U nas nawet uliczni żebracy mają się lepiej. W tych podłych szopach ludzie po prostu marli z głodu i zimna. Była to już druga wojenna zima w Northlandzie. Prawie trzecia część kraju została zajęta przez najeźdźców, którzy wczepiali się w każdy kawałek ziemi jak kleszcze. Wiele pól leżało odłogiem od pozazeszłego roku. Im dalej na północ, tym bardziej krucha było z żywnością. To dlatego królowa nie nosiła żadnych klejnotów, a w komnatach królewicza Toroja tkwiły w ścianach puste haki. Jak twierdzi Promień, władczyni tego zamku oszczędza nawet na oświetleniu korytarzy. Zapewne skarbiec jest pusty lub król przeznaczą pieniądze na wojsko, nie znajdując ich już dla ofiar wojny. Przynajmniej wiemy, jaki cel nam przeznaczyła Bogini w tym umęczonym kraju. Mielśmy służyć pomocą Iditalin Ainel — Pani Zielonego Kłosa — wyróżnionej przez Matkę.*

*Jest jeszcze sprawa chłopczyka obdarzonego magicznym talentem. Zetknięcie się z tak silną emanacją, na dodatek w tak niespodziewanym miejscu i formie, okazało się prawdziwym szokiem. Kamian była tak wycieńczona, że nie miała pokarmu dla dziecka, ale można je uratować kozim mlekiem. W zamku, choć tylko w izbie czeladnej, z pewnością wyżyją oboje. Starzy magowie znad Enite dostaliby amoku, gdyby zdarzyła się im okazja zajrzeć do tej małej główki. Koniec miał wrażenie, jakby dostał kopytem w środek czoła. Przy takim potencjale chłopiec może przejść w stan czynny bardzo wcześnie. Przed trzecimi, albo nawet przed drugimi urodzinami. Nie chciałbym wtedy być blisko. Nie będzie panować nad własną siłą. Może dojść do pogromu. Nie przeczę, że myśl o zlikwidowaniu problemu w zarodku postąpiła mi w głowie, lecz natychmiast przegnałem ją ze wstrętem. Czyż nie byliśmy takimi „kłopotami” my sami — ja, Śpiewak, Jagoda...? Losie, spraw, by nigdy nikt nie decydował o prawie do życia dzieci, które są inne niż reszta. Zastanowiło mnie jedno. Ten chłopczyk jest dzieckiem Northlandki i przybysza. Jakby coś się złożyło z dwóch równoważnych części. Młot i kowadło. Dwa ostrza nożyc. Klucz i zamek. To tylko hipoteza, ale ma potwierdzenie w wielu innych, znanych mi przypadkach. Wiatromistrz Miedziany — Mówca o niebieskich oczach, którego spotkałem podczas swej pierwszej podróży, dzieci z Bukowiny... sam Wiatr Na Szczycie przyznał, że jest mieszańcem. To dziecko jest najwyraźniej ostatnim fragmentem mozaiki. Ostatecznym dowodem na to, że nasze teorie, nieśmiało wysuwane w Ogorancie, okazały się słuszne. Także do niego przysłała nas Matka*



*Świata. Za kilka lat będzie pewnie największym magiem na tej ziemi. Nie wyobrażam sobie jednak, aby tutejsi ludzie, z tak wielkim urazem wobec magii, zdołali wychować kogoś takiego. Prędzej go zabiją.*

*Na wojnie, niestety, chyba dość powszechnie gwałci się kobiety. Takich niechcianych dzieci może być więcej. Jeśli mam rację, w tej chwili w śniegach Północy wznoszą się ziarna, które na zawsze mogą zmienić obraz tego świata.*

\* \* \*

Dla królowej Iditalin nie było zaskoczeniem, że chłopcy z Lengorchii z zapalem ofiarowali swoją pomoc w jej niewdzięcznej pracy. Na coś takiego właśnie liczyła, zabierając ich ze sobą, by ujrzeli podopiecznych rządcy Galta. Pokoje przyległe do komnaty magów w ciągu godziny zamieniły się w manufakturę czy może raczej w magofakturę, do której obaj Wędrowcy dostarczali z grubsza jednorodnego materiału w postaci piasku nadrzecznego, drewna, płyt kamiennych (obawiała się spytać o ich pochodzenie). Stalowy przerabiał to wszystko na grubą materię, podobną do filcu — idealną na koce i do szycia płaszczy, grudy węgla, dające więcej ciepła niż drewno opałowe, lampy i świece oraz naczynia. Tkacz Iluzji dostarczał mu matryc, ułatwiając modelowanie materii. Niestety, Stworzyciel nie chciał wytwarzać żywności. Tłumaczył, że prosty rachunek zysków i strat daje wynik bezwzględny: stworzone jedzenie będzie smaczne, lecz udawane i nie dające sytości; na zrobienie absolutnie prawdziwej kromki chleba będzie musiał zużyć tyle siły, że straty nie wyrówna nawet zjedzenie tegoż chleba. Wyrabiał za to całymi garściami bryłki złota, którymi Iditalin mogła opłacić kupców zbożowych, wciąż podnoszących ceny. Magowie mówili coś o równowadze rynku, i że tego złota nie może być za dużo. Nie zrozumiała ich tłumaczeń do końca. Na razie najważniejsze było to, że mogli wspomóc nie tylko biedotę w Kodau, ale i innych rejonach.

Od odwiedzin na Placu Wołowym ośmiu młodych magów odnosiło się do królowej w specjalny sposób, który po zastanowieniu określiła jako mieszanie respektu i czułości. Zaczęli zwracać się do niej: „Fial-maran’kou”, co można było przetłumaczyć jako „Władczyni Wzrastającego Zboża” lub „Pani Zielonego Kłosa”. Nie przeszkadzało jej to. Przywykła, że należy traktować tę gromadkę w specjalny sposób. O ile tutejszą hierarchię można było prosto przedstawić sobie jako schody prowadzące z nizin na same szczyty władzy oraz dostojęstwa, to magowie zdawali się stać zupełnie poza tą gradacją i niewiele ich ona obchodziła. Nawet królewskich potomków traktowali jak równych sobie, a Toroj i Jana coraz częściej szukali ich towarzystwa — zafascynowani zdolnościami młodych Lengorchian. Królowa zezwalała na te kontakty, rozumiejąc tęsknotę dzieci za choćby rozmową z kimś młodszym niż jej dworki czy ministrowie królewscy. Alternatywą byłyby nielegalne wyprawy do kuchni, stajen czy siedziby garnizonu,

gdzie królewicz i królowna przestawaliby z dziećmi służących oraz nieokrzesanymi żołdakami.

\* \* \*

— Jesteś absolutnie pewien? — spytał Myszka, tonem w którym pobrzmiwał niepokój.

— Ab-so-lut-nie! — wyskandował Toroj. — Dziś rocznica. On musi się pokazać!

Powyższa wymiana zdań odbywała się na zwieńczeniu wewnętrznego muru, tuż przy zadaszonej kładce, wiodącej do Ustronnej Wieży. Nad głowami następcy tronu i małego Wędrowca rozciągało się bezchmurne nocne niebo, w które wbito srebrne ćwieki zimowych gwiazd. Niżej, na wewnętrznych dziedzińcach, mrok rozjaśniały nieliczne pochodnie zatknięte w uchwyty na ścianie, lecz u góry jedynym źródłem światła był wąski pazur dużego księżyca. Mniejszy pełził na linii horyzontu, ledwie zaznaczając swą obecność nikłym blaskiem, seledynowym jak lśnienie próchna. To jednak wystarczało oczom przyzwyczajonym już do mroku.

— Nie mógłbyś sam? — znów zapytał Myszka, nieco bojaźliwie. — To przecież twój przodek. On może sobie nie życzyć mojego towarzystwa.

— Po pierwsze: on jest duchem i dużo nie ma do gadania; po drugie: sam będę się nudził, czekając; a po trzecie: jakby zrobiło się niebezpiecznie, to nas szybciotko znikniesz i już.

— Mhm. . . — mruknął Myszka twierdząco, niezupełnie jednak przekonany.

Toroj wszedł na kładkę, kierując się do wieży, a Myszka pokornie podreptał za nim. Tak naprawdę królewicz nawet przed sobą nie chciał się otwarcie przyznać, dlaczego upierał się przy towarzystwie małego maga. Po raz pierwszy w życiu zamierzał spędzić noc poza własną sypialnią, a na dodatek w bezpośredniej bliskości istoty z zaświatów. A wybór padł na Jodłowego dlatego, że wszyscy z pozostałej siódemki magów zbyt onieśmielali Toroja. Znacznie bardziej życzyłby sobie obecności spokojnego, rozsądnego Końca, dużego Kamyka albo kpiarza Gryfa — lecz właśnie. . . właśnie przeląkł się kpin. Zbyt mocno wryła mu się w pamięć reakcja Promienia na wieść o zjawie straszącej w latrynie. Lecz czy to była jego, Toroja, wina, do licha?! W sumie zaczął odczuwać złość na Sorneta, że zabił się akurat w miejscu tak mało romantycznym. A Jodłowy. . . Nad Jodłowym łatwo było zapanować. Mniejszy od Toroja, zapewne też trochę młodszy. I bał się jeszcze bardziej niż sam inicjator nocnej wycieczki — to było widać.

Przed drzwiami do wnętrza wieży Toroj otworzył przesłonę trzymanej w ręku latarni. Krążek światła padł na kłamkę. Chłopiec ostrożnie zajrzał do wnętrza i poświecił.

— Dobrze. Nikogo nie ma. Chodź.

Pomieszczenie było spore, z dwoma drewnianymi słupami pośrodku podtrzymującymi skośny dach. Z jednej strony biegła pod ścianą podkowiasta skrzynia z okrągłymi otworami, przykrytymi starannie dopasowanymi pokrywami. Obok stała duża paka wypełniona do połowy sianem. Było zimnawo, a w powietrzu unosił się charakterystyczny zapaszek.

— Śmierdzi tu — mruknął Myszka.

— Trochę — zgodził się Toroj. — Myślałeś, że będzie czuć fiołkami? Z lampą w rękę podszedł do ściany gęsto pokrytej rysunkami i napisami.

— „Sraj do woli to — jedyna przyjemność za darmo” — przeczytał głośno i parsknął śmiechem. — Pomijając fakt, że to się inaczej pisze — sama prawda!

Przetłumaczył sentencję na użytek Myszk. Obaj zaczęli z ciekawością przeglądać twórczość szaletową, zapominając na chwilę o właściwym celu wyprawy. Na eksponowanym miejscu, otoczony starannie wyskrobaną ramką, widniał dwuwiersz: „Jakie łóżko — takie spanie; jakie żarcie — takie sranie”. Jakiś anonimowy wielbiciel koni pokrył część ściany mnóstwem mniej i bardziej udanych portretów rumaków. Jak w większości przybytków tego rodzaju — nie brakło również rytów obscenicznych, w których pomysłowość autorów i brak anatomicznej logiki szły ramię w ramię. Toroj szybko znudził się lekturą ścienną, postawił latarkę na brzegu latryny, a sam ułożył się w skrzyni z sianem.

— Trochę to potrwa — wyjaśnił. — Chodź tu, Jodłowy. Siadaj.

— Kiedy ta zjawa się pojawi? — zapytał Myszka, zajmując miejsce obok królewicza. Po raz pierwszy docenił tutejszy obyczaj używania siana w toalecie. Lengorchiański zbiornik z wodą byłby nieporównywalnie mniej wygodny.

— Czy ja wiem... — zastanowił się Toroj. — Niedawno był gong na dwudziestą. Może godzinę... a może więcej.

— W środku nocy...?

— Może. Przyznaj, że się boisz.

— Nie boję się, tylko nie jestem przyzwyczajony do duchów — wyszeptał Myszka. — Nigdy żadnego nie widziałem. Ty zresztą też nie. I wcale nie ma pewności, że się pokaże.

— Pokaże się — odparł Toroj z niezachwianą pewnością.

— A jak już przyjdzie, to o czym będziesz z nim rozmawiał? — indagował dalej Myszka zniżonym głosem.

— Racja. Muszę się zastanowić — powiedział Toroj i obaj zamilkli na czas dłuższy.

Było bardzo cicho. Gdyby chłopcy przyszli do wieży w porze letniej, z pewnością ciszę tę mąciłyby szelesty nocujących pod dachówką ptaków. Na zewnątrz czasem wykrzyczałby swą monotonną śpiewkę puchacz albo dotarłoby do nich głucho dudnienie podkutych butów straży na pomoście. Ptaki jednak odleciały w cieplejsze rejony, a i straż wołała spędzać jak najwięcej czasu w ogrzanej kordegardzie. Myszcze, okutanemu grubym płaszczem, wtulonemu w miękkie siano,

nie dokuczało zimno. Niebawem oczy zaczęły mu się kleić. Zdrzemnął się nawet. Z pierwszego snu wyrwało go tarmoszenie za ramię. Ocknął się natychmiast. Tuż obok twarzy ujrzał rozszerzone niczym dwa talerzyki oczy Toroja.

— Coś słyhać na galerii... — tchnął mu królewicz prosto w ucho. — Cicho...

Wygramolili się z siana tak ostrożnie, jak tylko byli w stanie to zrobić. Na palcach podkradli się do tych z dwojga drzwi, które prowadziły na galerię od strony fosy. Myszka zaciskał w garści połę płaszcza Toroja i bardzo starał się, by towarzysz nie dosłyszał szczękania jego zębów. To przecież absolutnie idiotyczne, łajał sam siebie w myślach. Uspokój się, głupku! Po prostu ktoś przyszedł się załatwić! Był niemal pewien, że za chwilę zetkną się nos w nos z jakimś gwardzi-  
stą, spieszącym w ustronne miejsce za potrzebą, a cała wyprawa skończy się na obopólnym śmiechu. Toroj powolutku nacisnął klamkę. Ustąpiła bez skrzypnięcia. Uchylił drzwi, robiąc wąską szparkę. Myszka wspiał się lekko na palce, patrząc nad ramieniem wyższego chłopca. Do środka wtargnął powiew lodowatego powietrza. Prawie na wprost drzwi, na wierzchu balustrady kulił się jakiś nieokreślony kształt. Dojrzeli go, gdy akurat poruszał się, prostował nieco... Oczy Myszkę złowiły i rozpoznały zarys niemal ludzkiej głowy ze sterczącymi spiczastymi uszami. Niespodzianie przepołowiła się, prezentując straszliwą paszczę, w której tkwiły długie kły. Błyskawiczny ruch skręconego w dziwacznej pozycji cielska, błysk czerwonych jak rozżarzone węgle ślepi, w których odbił się blask księżycowego sierpa! Nocną ciszę rozdarło niskie, bulgoczące warknięcie, niczym głos z samego dna otchłani piekielnej. Natychmiast odpowiedział mu okropny wrzask z dwóch gardeł chłopięcych. Toroj usiłował zatrzaskać drzwi, lecz uderzyło w nie od zewnątrz cielsko potwora. Myszka oplótł królewicza ramionami, wcisnął twarz w szorstką materię jego płaszcza, skowycząc niczym przerażony psiak. Toroj stracił równowagę, nagle podłoga uciekła mu spod stóp, wokół zaległa nieprzenikniona ciemność, a płuca bezskutecznie walczyły o powietrze. Przedłużony upadek zakończył się uderzeniem w coś, co poddało się pod ciężarem ciała. Toroj zachły-  
snał się, złapał dech. Mrugając, rozglądał się wokoło. Z niedowierzaniem zgarnął i zbliżył do oczu garść śniegu. Noc dokoła pachniała mrozem i igliwem.

\* \* \*

W Ustronnej Wieży oswobodzone wierzeje huknęły jak z armaty, waląc w ścianę. Postać, która wtargnęła do środka, zatrzymała się, wężąc. W jej gardle nadal przelewał się gniewny charkot. Pomieszczenie było jednak puste. Po nieproszonych gościach pozostał tylko nikły zapach i pałaca się wciąż malutka latarnia. Stwór zamarł na chwilę, po czym podszedł do światła. Szponiaste łapsko z zaskakującą precyzją uchyliło osłonę lampy, dmuchnięcie zgasiło płomyk. W zapadłych

ciemnościach lśniła już tylko para czerwonych ogników — ślepi bestii. Gdyby był jakikolwiek świadek tego zdarzenia, usłyszałby, jak prycha z irytacją, a warczenie przemienia się w całkiem wyraźne słowo:

— Smarrrrkacze...!

\* \* \*

— Jodłowy! Jodłowy!!! Przestań wyć! — krzyknął Toroj, potrząsając towarzyszem jak workiem szyszek. Myszce skończyło się powietrze w płucach i umilkł.

— Gdzie my jesteśmy? — syknął z pasją królewicz.

— Chy... chy... chyba... w lesie — wyjąkał Myszka, przytomniejąc powoli.

— Co ty powiesz...? A zasadniczo w jakim lesie?

— A... zasadniczo to chyba nie wiem — odpowiedział płacząco Myszka. — Ten twój przodek to kompletny wariat! Rzucił się na nas!

Toroj nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

— A w ogóle to nie był żaden duch! — zawołał mały Wędrowiec.

— Tak? No to co to było? — fuknął Toroj.

— Demon! Albo zwierzar! Duchy się snują! I nie warczą! I nie mają takich zębów!

— No, no... Uciekliśmy, wszystko dobrze — próbował załagodzić Toroj, czując, że Myszka znów wpada w histerię. — Wróćmy już lepiej.

Myszka nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Wreszcie Toroj usłyszał drżący, bardzo niepewny głos małego Wędrowca.

— Chyba nie możemy. Nie wiem, gdzie jesteśmy... Skoczyłem na ślepo. Nie potrafię wrócić, jeśli nie wiem, skąd — dokąd...!

Toroj wstał, odruchowo otrzepując się ze śniegu. Myszka poszedł za jego przykładem. Zasy sięgały im powyżej kolan. Wokoło stały majestatyczne kolumny czarnych pni. Blask wąskiego jak diadem księżycy sprawiał, że rzucały na biel śniegu fantastyczne cienie. Było mroźno, z ust chłopców buchały kłęby mgły. Myszka skulił się, chowając dłonie pod pachami. Królewicz naciągnął kaptur płaszcz na głowę.

— No to mamy kłopoty.

— Może tu są wilki... — wysunął przypuszczenie Myszka.

— Dasz się zjeść? Jesteś magiem, u licha!

— No... — potwierdził markotnie Mistrz Wędrowiec. W następnej chwili wzdrygnął się, wciągając gwałtownie powietrze, gdyż tuż nad ich głowami przeleciał bezszelestnie jakiś kształt.

— To tylko sowa — rzekł Toroj lekceważąco. — Czy jest coś, czego się nie boisz?

— Nie — burknął Myszka. — Boję się wszystkiego. Koniec mówi, że mam za dużo wyobraźni.

— Chodźmy stąd, bo zamarzniemy. Może trafimy na jakąś chatę myśliwego albo wieś, albo cokolwiek. . . — powiedział Toroj bez przekonania, wybierając na chybił trafił kierunek. Jako wyższy, przecierał szlak w głębokim śniegu. Myszka, nie mając innego wyboru, brnął za nim. Dwa razy wydawało się królewiczowi, że zza drzewa, patrzy na nich jakiś człowiek, ale zawsze było to złudzenie. Nie mówił o tym nic, nie chcąc niepotrzebnie straszyć towarzysza wędrowki. Długo trwała, zmęczeni się wreszcie tak, że przystanęli, wsparci ramionami o gruby pień sosnowy.

— Możemy nie dojść nigdzie — wyszeptał Toroj i zakasłał głucho. — Nie mógłbyś spróbować?

W nikłym świetle księżycy zobaczył, jak Myszka potrząsa głową.

— Nie, nie. . . W żadnym wypadku. To już nawet nie o to chodzi, że możemy trafić w inne obce miejsce. Jeśli fałszywie obliczę skok, to możemy trafić na coś twardego — skałę, ścianę i tak dalej. A z tego nie wyjdziemy żywi.

Toroj z wysiłkiem przełknął kulę, która nagle stanęła mu w gardle.

— Skoczyłeś „na ślepo”! Tak powiedziałeś! Mogliśmy przecież. . .

— Przepraszam. Naprawdę nie chciałem. . . Przecież nic nam się nie stało. Poczekajmy do rana — mówił szybko Myszka, proszącym tonem. — Może tu już byłem. Może coś rozpoznam.

\* \* \*

Świt zastał ich na ostatnich nogach, przemarzniętych do szpiku kości. Myszka cierpiał tym bardziej, że nie przywykł do tak surowych warunków. Zimowe słońce wstawało powoli, niechętnie. Czerwone jak dogasający węgiel w palenisku pełzło niemrawo po popielatym niebie. Skąpo rzucało promienie, lekko różowiac biel śniegu i wyblękitniając sine cienie w zagłębieniach. Toroj potknął się na wykrocie, ukrytym pod płaszczem białego puchu, sturlał się ze stoku i zatrzymał dopiero wśród jakichś suchych, szeleszczących badyli.

— Jezioro! — usłyszał nad sobą tryumfalny krzyk Myszkki.

Mały Wędrowiec zjechał za nim na siedzeniu.

— Jezioro! — zawołał jeszcze raz radośnie, klepiąc Toroja po ramieniu.

Rzeczywiście siedzieli na skraju trzciniowiska. Dalej ciągnęła się równa płaszczyna zawianej śniegiem, uśpionej pod lodem wody.

— No i co? — spytał obojętnie królewicz.

— Patrz, tam jest zwalone drzewo — Myszka pokazywał palcem. — A tam wielki buk z gniazdami czapel! To Czaple Jezioro! Jesteśmy u Wiewiórek!

— U Wiewiórek? — powtórzył Toroj tępo.

— Co za szczęście. Musiałem wybrać to miejsce całkiem instynktownie, jako bezpieczne schronienie.

— A to ci się udało — rzekł Toroj kwaśno i chuchnął w zgrabiałe dłonie. — Co to za miejsce? Mów natychmiast!

— Jak to „jakie”? Ogorant! U podnóża Zwierciadlanych.

Parę sekund musiało upłynąć, zanim do Toroja dotarła ta wieść w całej pełni. Zanim uświadomił sobie, jaka odległość dzieliła jego dom i miejsce, w jakim przypadkiem się znalazł.

— O boże... — szepnął tylko.

\* \* \*

Skok do Miasta Na Drzewach był już dziecinnie prosty. Rampa, którą Myszka przygotował swego czasu w obrębie osady, była ukryta głęboko w śniegu. Obaj chłopcy wpadli w zaspę prawie po pas. Myszka miał największą ochotę odwiedzić Jagodę, lecz u Srebrzanki istniała większa szansa otrzymania gorącego posiłku, a wędrownicy byli nie tylko strasznie zmarznięci, ale i głodni.

Słońce wstawało, lecz w obrębie osady wciąż jeszcze było pustawo. Gdzieś szczeknął leniwie pies, między pniami mignęła czyjaś postać — człowiek ten nie zauważył przybyszów i zniknął natychmiast w pobliskiej schodni. Myśliwi wyszli już dawno na obchód pułapek, a inni mieszkańcy nie kwapili się do wysuwania nosa na mróz, skoro nie musieli. Myszka zauważył pojedyncze, świeże ślady wiodące od znajomego wejścia ziemianki — sądząc z rozmiaru to Nocny Śpiewak wyruszył z domu o poranku, w przedśionku było ciemno. Kilka kroków zrobili po omacku. Natomiast popchnięte drugie drzwi otwarły się na pomieszczenie wręcz buchające jasnością.

Toroj rozglądał się nerwowo, nie nadążając wzrokiem rejestrować całości.

— Ależ... to przecież Myszka!

Skądś pojawiła się czarnowłosa, smągła dziewczyna. Śmiejąc się, uściskała małego Wędrowca. Nie dając mu dojść do słowa, wołała z radością:

— Myszka! A to dopiero! Zaraz zawołam Jagodę i Pożeracza Chmur... A to kto?

Czarne oczy obrzuciły Toroja ciekawym spojrzeniem.

— Toroj Brianon Idael Toho — przedstawił go mag. — Jest księciem. Toroj, to jest Srebrzanka, ukochana żona Nocnego Śpiewaka, Stworzyciela.

— Jeszcze jeden? — rzuciła lekko dziewczyna, jakby tytuł Toroja wcale nie zrobił na niej wrażenia i natychmiast zmieniła temat: — Na Miłosierdzie, obaj wyglądacie jak ścierki! Rozbierzcie się. Myszeko, weź tego swojego księcia do ognia i ogrzejcie się. Rozwieszę wasze płaszcze... Kasza zaraz dojdzie. Książę lubi kaszę?

— Ja lubię wszystko — zapewnił ją Toroj skwapliwie. Istotnie, w tej chwili byłby w stanie zjeść nawet kawałek marmuru, gdyby ten dało się pokroić. Obaj z Jodłowym przysiedli na ławce przed paleniskiem. Królewicz za przykładem towarzysza zdjął buty, grzejąc odrętwiałe z zimna stopy. Wyciągał ręce do ognia i czuł, że nasiąka ciepłem, jak kawałek chleba wrzucony do pucharu wciąga w siebie wino. Przez zamknięte powieki przesączało się pomarańczowe światło tańczących płomieni. Kiedy wreszcie poczuł się bezpiecznie, zaczął doceniać tę niespodziewaną wyprawę. Po raz pierwszy w życiu nie spał we własnym łóżku, stawiał czoło potworowi oraz niebezpieczeństwu nocnej puszczy. Zmarzł, był głodny jak pies... i prawie wcale się nie bał. Właściwie wszystko to było nadzwyczajnie ekscytujące.

Tymczasem Srebrzanka zdjęła garnek z ognia, rozdzieliła do misek kaszę na mleku i zawołała niespodziewanych gości do stołu. Jedli, obserwując, jak ubiera zaspaną Różyczkę. Malutka przywitała nowy dzień pogodnym uśmiechem, zupełnie nieonieśmielona widokiem obcego chłopca.

— Ooo... Myska — powiedziała, wyciągając paluszek. — Ooo...

— Ooo... jedzonko — zawtórowała jej Srebrzanka, sięgając po łyżkę.

— Dlaczego nazywasz Jodłowego Myszką? — zapytał Toroj, przerywając na moment jedzenie.

— To tylko takie przezwisko. Dla najbliższych przyjaciół. Pasuje, prawda?

Srebrzanka dmuchnęła na łyżkę z kaszą i zaczęła karmić dziecko.

— A może powiecie mi teraz, co właściwie was tutaj przyniosło bladym świtem?

Myszka opowiadał oszczędnymi słowami, pojadając w trakcie. Toroj dyskretnie rzucał oczami na boki, dziwiąc się otoczeniu. Wspaniałe oświetlenie, które tak zaskoczyło go na początku, pochodziło od całych dziesiątków świec, palących się rozrzutnie w podziemnym domu. Okien nie było, jedynie wąskie szpary pod powałą. Proste, skromne sprzęty sąsiadowały bezpośrednio z wyszukаныmi okazami sztuki meblarskiej. Na szafkach i półeczkach tłoczyło się mnóstwo ozdobnych pudełeczek, bibelotów, naczyń i rzeczy nierozpoznawalnych na pierwszy rzut oka. Łóżeczko dziecięce odgrodzone było od reszty pomieszczenia zasłoną pokrytą misternymi rysunkami zwierząt i kwiatów. Naczynie, w którym królewicz dostał posiłek, było zwyczajną, drewnianą miską, ale łyżka... Przyjrzał się bliżej trzymanemu w ręku przedmiotowi. Czerpak miał zgrabny kształt, a uchwyt kończył się ozdobą w formie listka i kiści jagód. Całość połyskiwała charakterystycznym, żółtym kolorem.

— To złoto? — zdziwił się królewicz.

— Jesteś przecież w domu maga — rzekł Myszka.

— Nocny Śpiewak zrobił cały komplet jeszcze jesienią — powiedziała Srebrzanka. — Odkąd spadł śnieg i większość czasu siedzi się w domu, wciąż coś dłubie po prostu z nudów. Świec mam tyle, że mogłabym na nich gotować. Suk-



nie już zaczynam rozdawać sąsiadkom, a te wszystkie drobiazgi — ze śmiechem machnęła ręką wokoło — doskonale nadają się do zbierania kurzu. Ale co robić, Śpiewak jakoś musi się wyżyć, a wolę to, niż gdyby miał pić.

— Chyba nie zaczął znowu...? — wtrącił Myszka niespokojnie.

— Nie. A... Stalowy? — spytała Srebrzanka i natychmiast spojrzała ukradkiem na Toroja, przypominając sobie, że jest on obcy. — Zresztą, nieważne.

— Na razie w porządku — powiedział Myszka krótko.

W ciszy zapadłej po tych słowach cienki głosik Różyczki zabrzmiał jak szczebiotanie ptaka.

— Tatic! Tatic idzie!

Srebrzanka opuściła Różyczkę na podłogę. Dziewczynka natychmiast pobiegła do drzwi i stanęła pod nimi, wpatrując się w zasuwkę jak psiak domagający się spaceru.

— Tatic! — powtórzyła.

— Nieomylny znak, że Śpiewak będzie tu za minutę — wyjaśniła Srebrzanka. — Nie wiem jak, ale ona go wyczuwa.

— Magiczne dziecko? — wymruczał Toroj prawie niedosłyszalnie, z lekkim przekąsem, wciąż bawiąc się łyżką.

— A tak. Magiczne — odszepnął Myszka. — Przyzwyczajaj się, bo...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, gdyż usłyszeli skrzypnięcie, kroki w sionce i zaraz potem w drzwiach stanął Nocny Śpiewak. Toroj jęknął i z wrażenia upuścił łyżkę, która z łoskotem poturlała się po stole. Poczł jak Myszka zaciska palce na jego nadgarstku. Bardzo mocno.

— Spokojnie! — syknął Wędrowiec cicho. — Nie zje cię przecież!

Na szczęście nikt prócz Myszkę nie zwrócił większej uwagi na reakcję królewicza. A ten zdołał w porę zapanować nad twarzą. Już w chwilę później żałował swojego zachowania, widząc, jak dziewczynka bez najmniejszej obawy wita kosmatego przybysza. Różyczka zaśmiewała się, usiłując schwytać „potwora” za wąsy, a ten podrzucał ją lekko do góry, trzymając pod paszki. Nocny Śpiewak postawił wreszcie dziewczynkę na podłodze i wyciągnął z kieszeni duże czarne pióro. Natychmiast porwały je chciwe łapki Różyczki, która schowała się pod stół z nową zabawką i świat przestał dla niej istnieć. Słyszeć było tylko, jak szczebiocze do siebie dziecinnym językiem.

Myszka był zmuszony po raz drugi powtórzyć swą opowieść na użytek Śpiewaka. Opowiedział też o pracy dla królowej i rozpaczliwym stanie nędzarzy z Kodau. Stworzyciel słuchał, jedząc. Od czasu do czasu zadawał jakieś pytanie lub wtrącał komentarz. „Więc ten obibok Stalowy nareszcie wziął się do uczciwej roboty. Jego lenistwo dorównywało zdolnościom”.

Toroj miał okazję przyjrzeć mu się dokładniej. Brązowe włosy, pokrywające twarz maga, zacierały rysy twarzy. Nie sposób było określić, co kryje się pod tą

maską. Wrażenie obcości potęgowały skośne jak u wilka oczy, w których odbijały się płomyki świec.

— Zapewniam cię, że jednak jestem człowiekiem — Stworzyciel zwrócił się nagle wprost do królewicza, który wzdrygnął się nerwowo i zawstydził, słysząc odpowiedź na pytanie, które sam sobie zadał w myślach.

Nocny Śpiewak wyciągnął do niego rękę.

— Jak widzisz, nie mam szponów. Ani kłów... — Podciągnął górną wargę, prezentując zęby. — Ogoną też nie mam, ale tu radzę uwierzyć na słowo.

Myszka wydał z siebie osobliwy dźwięk, jakby jednocześnie usiłował przełknąć coś i kichnąć.

— Czemu przestałeś się golić? — spytał.

Śpiewak wzruszył ramionami.

— Oszaleć można było. Ciągłe się zacinałem, obrzydło mi. I tak już wszyscy tu wiedzą, że jestem magiem.

— I co?

— I nic. Przywykli. Mam żonę i dziecko. Nie zgadniesz, jak to poprawia człowiekowi opinię. A kiedy wyleczyłem tę małą Messil, to już chyba wszyscy mnie pokochali.

— To ona widzi? — ucieszył się Myszka.

— Prawie. Odróżnia światło od ciemności, ale powinno być coraz lepiej. Krwiak uciskał nerwy. Przydały się te opracowania Burona, które ukradliśmy z wieży. W sumie to była dość prosta operacja, jednak strasznie się bałem, że coś pójdzie nie tak. Gdyby mała umarła, tubylcy pewnie próbowaliby utopić mnie w przerebli.

Toroj nadal przyglądał się z ciekawością Nocnemu Śpiewakowi.

— Czy właśnie dlatego zostałeś i nie pojechałeś ze wszystkimi do Kodau? — zapytał królewicz.

Mag skinął twierdząco głową.

— Kiedy człowiek wygląda tak jak ja, nie ma co liczyć na miłe przyjęcie. Zwłaszcza w Northlandzie. Tam nie kocha się magów. Ani zwierzarów.

— A ty jesteś zwierzarem? — zdumiał się Toroj głupio.

— Nie, przecież przed chwilą mówiłem.

— To talent — wtrącił się Myszka. — Stara zasada: dostajesz więcej — więcej płacisz. Z im większą rodzimy się mocą, tym bardziej nas niszczy. A Nocny Śpiewak jest bardzo, bardzo potężny. Lepszy nawet od Stalowego, a widziałeś przecież, co on potrafi.

Toroj był pod wrażeniem. Dowiadywał się oto rzeczy, o jakich dotąd nigdy nie słyszał. Przekazywano mu jakieś ważne prawdy, osobiste tajemnice.

— Nie przechwalaj mnie, Myszkko. Przecież i ty masz z czego być dumny — rzekł Stworzyciel swobodnym tonem, jakby uczestniczył w zwykłej pogawędce, dokładając sobie kaszy do miski. — Popatrz na niego — zwrócił się do Toroja,

jednocześnie machając łyżką w stronę Myszki. — Na oko miedziaka niewart, a to najlepszy Wędrowiec, jaki urodził się w Lengorchii od wieku albo i dwóch.

To był dla Toroja dzień ciężkich przeżyć i wielkich niespodzianek. Gdy nadeszła Jagoda, którą zawołał Śpiewak tylko za pomocą myśli, królewicz miał okazję zapoznać się z jej wyjątkową, stworzoną przez kaprys magii urodą. Wysłuchał skróconej historii dziewczyny ze Smoczego Archipelagu. Zadawał wiele pytań. Niektóre wzbudzały pobłażliwą wesołość, ale na każde otrzymywał odpowiedź. A że padały one zwykle bez namysłu, przypuszczał, że są szczere. W sumie dowiedział się w krótkim czasie więcej o magach i czarach niż przez całe dotychczasowe życie. Miał w głowie zamęt. Czuł, że musi sobie w spokoju poukładać i rozważyć wszystko. Nagle ziewnął rozdzierająco, uświadamiając sobie, że wcale nie spali z Myszką tej nocy. I właściwie...

— Która to może być godzina? — zapytał, nagle zaniepokojony. Po plecach przebiegł mu tabun mrówek o zimnych nóżkach. Było więcej niż pewne, że odkryto jego nieobecność i w zamku musiało rozpętać się coś w rodzaju huraganu. Nagłe zniknięcie bez śladu następcy tronu z pewnością postawiło na nogi całą służbę. Trzeba było wracać jak najprędzej i, niestety, wysłuchać lawiny wymówek od królowej matki. Dobrze przynajmniej, że ta wyprawa była tak owocna.

Myszka, zarażony pośpiechem Toroja, wbijał nogi w niedosuszone buty, nerwowo szukał rękawiczek. Żegnał się z przyjaciółmi, obiecując niedługo zajrzeć ponownie. Królewiczowi przeszło przez myśl, że to nawet zabawne — dzieliła ich od stolicy ogromna odległość, a Wędrowiec planował wizytę w Ogorancie tak samo, jak zamierza się odwiedzić u najbliższego sąsiada. Nocny Śpiewak zapowiedział, że niedługo zakończą sprawy w Mieście Na Drzewach i będą gotowi, by dołączyć do reszty Drugiego Kręgu. Stalowemu bardzo by się przydała pomoc drugiego Stworzyciela.

\* \* \*

Powrót był równie błyskawiczny, jak przybycie na ziemię Wiewiórek. Chwila ciemności, głuchej ciszy, zawrót głowy, a potem okropny wstrząs — Toroj spadł twardo na wyprostowane nogi. Z wysokości zaledwie dłoni, ale to wystarczyło, by doznał wrażenia, jakby uda wbiły mu się do brzucha, a mózg podskoczył i obił się o wierzch czaszki. Brrr!

Wylądowali pośrodku największego dziedzińca zamkowego. Przechodzący właśnie w pobliżu jeden z gwardzistów królewskich stanął jak wryty. Oczy wyszły mu na wierzch w wyrazie najwyższego zaskoczenia. Toroj przyoblekł twarz w wystudiowany wyraz obojętnej uprzejmości i zwrócił się do żołnierza spokojnym tonem kogoś wracającego właśnie z krótkiej przechadzki.

— Proszę zawiadomić Jej Wysokość królową, że wróciłem i złożę jej wizytę tuż po obiedzie.

Gwardzista odruchowo stanął na baczność, a królewicz minął go jakby nigdy nic.

Im bliżej było do jego apartamentów, tym bardziej ciążyły Torojowi nogi. Wręcz kleiły się do posadzki. Miał nieodparte wrażenie, z każdym krokiem zmieniające się coraz bardziej w pewność, że na pokojach czeka go nie tylko zatroskany Margor. Wyobraźnia podsuwała mu kolejne postacie dramatu: zdenerwowaną królową matkę, guwernera, paskudną bonę królowny, która była czcicielką dobrych manier i wyrocznią, jeśli chodzi o etykietę... może zjawi się także ten okropny lord protektor, który — jako dalszy krewny władcy — miał wgląd w wychowanie królewskich potomków. A może nawet sam król... och nie! Toroj zastanawiał się, ile nakazów i zakazów złamał od poprzedniego wieczora, i doszedł do wniosku, że sam siebie obdarłby za to ze skóry. Kiedy razem z Myszka natknęli się na magów zmierzających do łaźni, dołączył do nich prawie bez wahania, ze straceńczą odwagą druzgocąc ostatnie zasady, byle odwlec nadchodzący sąd. Od zamierzchłych czasów żaden członek northlandzkiej rodziny królewskiej nie zniżył się do kąpieli z pospólstwem we wspólnej myjni. Ale też żaden z przodków obecnego królewicza nie zetknął się tak blisko z lengorchiańskimi magami. Ich bezpośredniość była po prostu obezwładniająca. Zagarnęli go ze sobą wraz z Myszka, nie robiąc żadnej różnicy między jednym a drugim. Miejsca było dość, wody starczy dla wszystkich, a obaj podróżnicy byli przecież bardzo zmęczeni.

W łaźni było gorąco jak w kotle. Powietrze przesyciła para. Toroj zanurzył się w niej jak w mleku. Wzrok sięgał na wyciągnięcie ramienia i ani krzty dalej. Czyjeś ręce pomogły mu zdjąć ubranie, ktoś wziął go za ramię i prowadził przez ścianę gęstej, gorącej mgły.

— To lengorchiańska łaźnia — usłyszał i rozpoznał głos Winograda.

— Gorąco. Dlaczego tyle pary? Nie widzę wanny.

— Kąpiel na końcu — tuż obok ukazał się Gryf. — To całkiem co innego niż te wasze smętne kadzie z wodą, która stygnie w parę minut.

Rzeczywiście, co innego. Toroj miał wrażenie, że znów przeniesiono go do zupełnie innego świata. Pośrodku pomieszczenia znajdował się duży kamień z dołkiem na wierzchu. Bił od niego skwar, choć chłopiec nie mógł dostrzec żadnego ognia. Dopiero gdy zobaczył, jak Promień przesuwając powoli nad głazem ręką, domyślił się, że znów działa tu magia. Zasyczała woda, wylana do zagłębienia, a w powietrze uniósł się nowy kłęb pary. Spowijała smagłe nagie ciała, odrealniając je, zmieniając w postaci ze snu, jaki roi się w upalną noc. Gorąco porażało, wlewało się w członki, które ciążyły coraz bardziej. Napięte mięśnie rozluźniały się błogo. Ogólne rozleniwienie udzielało się jak choroba, lecz miło było chorować w ten sposób. Kłopoty zostały gdzieś za drzwiami. Toroj poczuł się bezpiecznie i swojsko jak w przytulnym schronieniu. Chłopcy legli w swobodnych pozach na słomianych matach. Nadszedł czas, by Myszka i królewicz opowiedzieli o swojej niezamierzonej podróży w nieznaną. Młodych magów niewiele

interesował fakt, że mały Wędrowiec osiągnął jednym magicznym skokiem tak daleko położone miejsce. Za to ożywioną dyskusję wywołała wiadomość o stworze na wieżowej galerii. Kto czy też „co” to mogło być? Szczególnie Promień chciwie wypytywał obu chłopców o szczegóły, choć niewiele wiedzy byli w stanie mu przekazać. Widzieli stwora tylko przez chwilę, ale mieli pewność, że nie był to przebrany człowiek. „Czerwone oczy w mroku” — szepnęła Iskra do siebie w zamyśleniu, tak cicho, że tylko najbliższy sąsiad go usłyszał.

Pot spływał strużkami po skórze. Z początku, dla przyzwoitości, Toroj próbował owinać biodra ręcznikiem, ale wkrótce go odrzucił. Nawet ten skrawek materiału parzył. Nie sposób było zatrzymać na sobie nawet jednej nitki. Lengorchianie nie przejmowali się drobiazgami. Chłopiec doszedł do wniosku, że nagość jest dla nich najwyraźniej tak samo naturalna jak jedzenie i oddychanie.

— Dlaczego miałbym się wstydzić? — zdziwił się zagadnięty o to Koniec. — Co innego, gdyby były z nami jakieś kobiety — wtedy nie wypada, ale przecież tu są sami mężczyźni. Nie różnimy się od siebie niczym.

— Nawet kolorem niezbyt — dodał Winograd.

Z pewnym zaskoczeniem Toroj spostrzegł, że faktycznie naturalną barwą skóry Lengorchianie niewiele różnią się od niego. Jasny pas w okolicach łądzwi, zwykle zasłoniętych przepaską, wyraźnie wskazywał, iż brąz ich ciał jest w istocie mocno utrwaloną opalenizną. Słońce Południa musiało być niewiarygodnie silne, a chłopcy w domu chyba wciąż chodzili półnago.

Królewicza zachwyciły tatuaże przybyszów. Na ramionach Promienia czarne sylwetki jeleni umykały przed wilkami. Gryf miał na rękę kwiat róży, a Winograd nosił wysoko na bicepsie wizerunek konia w galopie. Szczególnie podobał się Torojowi wspaniały, kolorowy motyl na plecach Tkacza Iluzji. Kiedy Kamyk poruszał łopatkami, owad zdawał się wachlować lekko skrzydłami. Królewicz myślał z zazdrością, że nigdy by nie mu pozwolono na taką ozdobę. Nigdy i w żadnym wypadku. Na co zresztą by się przydała, jeśli w komnatach zamku królewskiego nawet publiczne podwinięcie rękawów było powodem do plotek i nikt nie mógłby podziwiać dzieła tatuownika? Znaki na piersiach magów były dużo skromniejsze, ale zapewniali królewicza, że właśnie owe niepozorne kółka były marzeniem i celem każdego adepta magii chcącego dostąpić zaszczytu bycia członkiem Kręgu Magów. Toroj uczył się rozpoznawać poszczególne znaki: „oko” dla Obserwatora, „płomień” pośrodku zielono-czarnego krążka dla Stworzyciela, „dłoń” przeznaczono dla Tkacza Iluzji, Koniec był oznaczony „ustami” jako Mówca, Myszka i Wężownik nosili znak „węzła”, a Winograd miał wytatuowane coś w rodzaju odciśniętej łapy.

Nie był to koniec przyjemności. Kamyk uległ prośbom obecnych i uruchomił swe zdolności. W gorącej parze pojawiły się mgliste postacie, a nieco monotony głos Tkacza snuł opowieść o Władcy Wilków i jego księżycowej małżonce.

— Dawno temu, u zarania dziejów, kiedy jeszcze bogowie nie dzielili się władzą z ludźmi, w najgłębszym zakątku puszczy żył Władca Wilków, który wdziewał swą czarodziejską ludzką skórę jak płaszcz i jak płaszcz ją zdejmował.

Zafascynowany królewicz śledził widmową postać wilka, który przemyczał przez iluzyjny las.

— Miał Władca Wilków żonę, która jednak nie była wilczycą, lecz jedną z pomniejszych bogiń. Każdego dnia wspinała się po srebrnym sznurze aż do nieba, by wypolerować tarczę wielkiego księżyca, aby lśnił w nocy i dawał światło w zastępstwie słońca, które szło spać do jaskiń pod światem.

Na chwilę pojawiła się postać pięknej dziewczyny wycierającej złoty krąg ściereczką. Była podobna do Jagody, którą Toroj widział w Mieście Na Drzewach.

— Księżycowa Bogini była piękną i dobrą żoną, a Władca Wilków dzielnym mężem. Miał tylko jedną jedyną wadę... ogromnie lubił zakładać się ze wszystkimi o wszystko. Kiedy widział okazję do hazardu, zupełnie tracił rozsądek.

Opowieść rozwijała się dalej. Władca Wilków wygrał od pawia jego śpiew, a od zająca, odwagę. Wpadł jednak w sidła sprytnego lisa, który miał wielką ochotę na magiczną zapasową skórę Władcy Wilków.

— „Założę się z tobą, że nie upilnujesz klucza do mojego domu nawet przez jeden dzień”, powiedział lis i dał Władcy Wilków duży klucz. Ten znał spryt lisa, więc położył się na kluczu i postanowił nie ruszać się z miejsca aż do nocy. Tymczasem klucz był zrobiony z lodu. Rozpuścił się pod ciałem Władcy Wilków tak, że śladu z niego nie zostało. Biedny Władca Wilków przegrał zakład i musiał oddać skórę lisowi. Wrócił do domu na czterech łapach, bardzo przygnębiony. Księżycowa Bogini załamała ręce. „Czy nie mówiłam ci, że to się źle skończy? Nie mogę z tobą zostać, skoro już nie jesteś człowiekiem, tylko niemym zwierzęciem”. Wspięła się po srebrnym sznurze aż do księżyca i już tam pozostała. Od tamtej pory wilki śpiewają swoje smutne pieśni pod jego tarczą, skarżąc się na zły los i prosząc Księżycową Boginię o powrót. Lisy natomiast wkładają ludzką skórę, by bez przeszkód okradać kurniki, spiżarnie i bałamucić dziewczęta.

Kiedy rozprażona skóra chłopców wyraźnie miała już dość, dopiero nastąpiło zasadnicze mycie. Znowu nieznany obyczaj wprowadził Toroję w zdziwienie, bo żaden z jego towarzyszy nie używał miękkiej myjki szmacianej. Wszyscy magowie energicznie tarli się na zmianę mydłem, piaskiem i kłębkami twardego łyka. Poszedł za ich przykładem, a miał przy tym uczucie, że za chwilę zostawi skórę na podłodze niczym wąż. Woda do spłukania mydlin była niemal wrzątkiem.

— To jeszcze nie koniec? — spytał królewicz, gdy znów usadowili się w kłębach pary.

— Tym razem i tak krótko — zapewnił go Myszka zupełnie poważnie. — Dobra łaźnia powinna trwać parę godzin.

— Parę?

— Oczywiście. To odpoczynek. Raz na dziesięć dni każdy w Lengorchii tak się wyparza. Nawet niewolnicy. Chyba że jest się chorym albo zupełnie, ale to zupełnie biednym. Każdy się myje swoją drogą, lecz łaźnia to wypoczynek i rozrywka. Można spotkać się ze znajomymi, porozmawiać, wypić herbatę albo w coś zagrać.

— Podoba mi się — stwierdził Toroj. — Ciekawe dlaczego u nas tego nie ma.

— Bo wy jesteście barbarzyńcy — wtrącił Promień, uśmiechając się krzywo.

— Tego mi było trzeba! — Koniec przeciągnął się z zadowoleniem. — Ale na dziś starczy, idziemy się opłukać.

Niczego niepodejrzewający królewicz poszedł za innymi do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie na marmurowej posadzce stało kilka obszernych wanien z malowanego w kwiaty grubego fajansu. Po gorącu łaźni chłodny powiew na rozprażonej skórze sprawiał dziwne, lecz nawet przyjemne wrażenie. Raptem Toroj zachłysnął się i omal nie przewrócił od nagłego szoku, kiedy oblała go kaskada zimnej wody. Parsknął, odgarnął z twarzy mokre włosy. Obok stał Promień z pustym wiaderkiem.

— Zrobiłeś to specjalnie! — wrzasnął królewicz z oburzeniem.

— Ależ oczywiście — odparł spokojnie Iskra. Złapał królewicza za ramię i okręcił o pół obrotu. Rzucił krytyczne spojrzenie na jego plecy.

— Ależ piękny wzorek — mruknął. — Czy to pamiątka po naszej bójce?

Toroj wyrwał mu się, wściekły, i przylgnął plecami do ściany. Przekleństwo! Od kąpieli minęło parę dni, ból ucichł, więc całkiem zapomniał, że sińce bledną powoli i nadal mogą być świadectwem jego hańby. Dokoła trwało wzajemne oblewanie się lodowatymi strugami, przy akompaniamencie krzyków oraz wybuchów śmiechu. Nikt nie zwracał na nich uwagi.

— Król kazał cię ukarać? — spytał Iskra znowu.

Toroj spojrzął spode łba.

— A co cię to obchodzi? To moje prywatne sprawy.

Promień wzruszył tatuowanymi ramionami.

— Zapewne. Ale powiązane z moimi.

Zostawił królewicza w spokoju i zanurzył się w najbliższej wannie. Prócz niego, nikt więcej nie dał po sobie poznać, że zauważył cokolwiek niezwykłego w wyglądzie następcy tronu. Promień jak zawsze był szalenie denerwujący. Toroj sam już nie wiedział, jak go traktować.

Po tej lengorchiańskiej torturze parowo-wodnej chłopiec czuł się, o dziwo, znakomicie. Trochę jak wyprana, wyżęta bielizna, ale poza tym lekko i świeżo. Niespodzianie napełniła go nowa porcja energii. Nawet odechciało mu się spać. Szkodliwość kąpieli w zimowej porze była chyba jeszcze jednym mitem wartym obalenia. Ale wraz z przekroczeniem progu łaźni rzeczywistość upomniała się o swoje.

W królewskim skrzydle zamku Toroj wpadł prosto w ręce rozdrażnionego lorda protektora, czego właśnie najmniej sobie życzył. Był to mężczyzna w sile wieku, przystojny, o pewnym sobie sposobie bycia i nienagannych manierach, które zjednywały mu ludzi. Mimo to od najmłodszych lat królewicz nie lubił tego człowieka, choć łączyły go z nim więzy pokrewieństwa. Najpierw była to niechęć instynktowna — obawa dziecka przed dorosłym, który niezyczliwość powierzchownie skrywał pod warstwą uprzejmości, zwłaszcza na pokaz. Z upływem lat Toroj nabierał pewności, że lord Stallan jest mu nieprzychylny, choć przed królem i królową grał troskliwego opiekuna potomków rodu Toho. Na widok królewicza lord wznosił obie ręce we wzburzeniu, a jego pierwsze słowa nie pozostawiały wątpliwości, że burza już się rozpętała na dobre.

— A więc panicz raczył się pojawić! Wasza Wysokość, to doprawdy nie uchodzi w najwyższym stopniu — wykradać się jak pospolity rzezimieszek! Przeszukiwano już studnie i fosę! Jako opiekun odpowiedzialny za...

— Odwiedziłem przyjaciół, lordzie — przerwał mu Toroj niegrzecznie.

Magnat aż sapnął z irytacją.

— Muszę przyznać, że ostatnio zachowanie Waszej Wysokości pozostawia bardzo dużo do życzenia.. Do tego stopnia, że sam Najjaśniejszy Pan był zmuszony interweniować w wiadomym incydencie. Zawierane znajomości panicza uważam za nieodpowiednie i nawet niebezpieczne. Czuję się zmuszony powiadomić Najjaśniejszą Panią.

— Matka uważa moje znajomości za odpowiednie — burknął Toroj, wymijając rozmówcę i przyspieszając kroku. Ku jego zaskoczeniu lord Stallan chwycił go pod ramię. Zbliżył twarz do twarzy chłopca, a następnie rzekł cierpko:

— Aż tak bliskie znajomości? Czy obnażanie się przed pospółstwem również będzie aprobowane przez królową? A także ucieczki i obracanie się w niewiadomych miejscach? Lub lekceważenie osób starszych wiekiem?

Toroj tylko zacisnął zęby, wysłuchując wymówek. Ktoś zdążył donieść o wspólnej kąpieli z lengorchiańskimi gośćmi, więcej niż pewne. Chłopiec nie znalazł argumentu, który mógłby posłużyć za broń w tej nierównej walce.

— Gdzie właściwie panicz przebywał? Czy doczekam się odpowiedzi?

— W Ogorancie. Spacerowałem po puszczy — wycedził Toroj ze złością.

Lord protektor zacisnął gniewnie usta, po czym rzekł lodowatym tonem:

— Doprawdy, paniczu, twoja pozycja powinna zobowiązywać do mówienia prawdy, a moja godność nie licuje z wysłuchiowaniem podobnych kłamstw.

Purpurowy z gniewu Toroj pozwolił prowadzić się korytarzem. Opieranie się mogło tylko zwrócić uwagę służby i przynieść mu jeszcze większy wstyd.

— Czuję się zobowiązany osobiście dopilnować, by panicz dotarł do swych komnat i nie zawieruszył się znów po drodze — mówił lord Stallan. — Jestem także zmuszony przedsięwziąć odpowiednie środki...



Byli już na progu pokoi Toroja. Lord otworzył przed nim drzwi i przepuścił przodem, po czym cofnął się na korytarz. Szczęknęła klamka, zazgrzytał klucz w zamku. Zaskoczony chłopiec stwierdził, że został zamknięty. Z wściekłością wymierzył kopniaka drzwiom, aż zadudniły głucho.

— To także nie przystoi następcy tronu — ozwał się zza drzwi głos lorda protektora. Wyczuwalna była w nim dość wyraźna nuta drwiny. Nie posiadając się ze złości, Toroj popędził do wejścia na przeciwległym końcu apartamentu. Niestety, tutaj także szarpanie za klamkę nie dało żadnych rezultatów. Był zamknięty na dobre, jak złoczyńca, jak zwierzę, jak... Torojowi zabrakło porównań. Z rozmachem padł na fotel w gabinecie, waląc ze złości pięściami w podłokietniki.

— Bydlak! Nie daruję mu tego!

Po chwili jego gniew opadł o tyle, że zaczął zastanawiać się nad swoim położeniem. Lord Stallan zapewne właśnie dociera do królowej, by wyrobić Torojowi odpowiednią opinię. Jak najciemniejszą oczywiście. Matka wymyśli z pewnością dotkliwą karę, a kto wie, czy nie skończy się to znów laniem. Wrócił pod drzwi i przywołał strażnika.

— Hej tam! Otwieraj! — zażądał.

— Przykro mi, ale nie mam klucza, Wasza Wysokość — odparł halabardnik. Jego głos przytłumiało grube drewno.

— Czy ten potwór poszedł do królowej?

— Nie, Wasza Wysokość. Najjaśniejsza Pani wcześniej rano opuściła zamek wraz z ministrem skarbu.

— A król?

— Słyszałem, że Jego Wysokość jest w sali posłuchań.

No tak, jeśli ojciec Toroja raz znalazł się w sali zebrań, by zajmować się sprawami państwowymi, a były ich ostatnimi czasy ilości straszliwe, nie należało się spodziewać, że skończy przed nocą. To znaczyło, że chłopiec może tkwić w zamknięciu przez wiele godzin. Wrócił do sypialni i rzucił się w ubraniu na łożo. Z rękami pod głową, wpatrując się w baldachim, wyobrażał sobie lorda protektora rozciągniętego na ławie tortur.

— Przysięgam, że go zabiję, jak tylko zostanę królem! — warknął mściwie, po czym natychmiast przysłała mu do głowy refleksja, że ojciec, na szczęście, cieszy się doskonałym zdrowiem i nie będzie szans na objęcie tronu przynajmniej przez następne dwadzieścia lat. Toroj westchnął ponuro, jego wzrok błądzący po wyszywanych psach, koniach, myśliwych i ogromnych liściach dębu zatrzymał się na ozdobnym sznurze od zasłon. Zerwał się natychmiast, olśniony nowym pomysłem. Lord Stallan nie będzie miał tej satysfakcji, by myśleć: „zamknąłem go”. Przynajmniej tyle. Królewicz otworzył okno sypialni, ocenił odległość od parapetu do ziemi, po czym zaczął odczepiać sznury od słupków baldachimu.

\* \* \*

Król Atael był błądy jak śmierć, gdy wkroczył do sypialni syna. List pospiesznie skreślony ręką lorda protektora w krótkich, lecz sugestywnych słowach donosił o skandalicznym zachowaniu królewskiego potomka — chłopiec nie spał tej nocy we własnym łóżku, zachowuje się w najwyższym stopniu nieprzyzwoicie, naraża zdrowie i życie w całkowicie nieodpowiedzialny sposób, a na dodatek bezczelnie kłamie w żywe oczy. Te wieści sprawiły, że król przerwał obrady, by natychmiast zająć się własnym dzieckiem. W komnacie panował lekki nieład. Służący zbierał z podłogi części odzieży królewicza. Sam następca tronu z hardą miną siedział na posłaniu podparty stosem poduszek. Medyk badał jego spuchniętą kostkę. W powietrzu rozszedł się mocny zapach octu, gdy skrapiał okład jakąś tajemniczą miksturą, a potem sporządzał opatrunek. Przyglądał się temu lord protektor, skubiąc wargę z posępnym wyrazem twarzy. Dostrzegłszy króla, podobnie jak reszta obecnych, złożył dworski ukłon.

— Boże, litości! Co tym razem?! — wybuchnął Atael. — Co mu się stało? Złamał nogę? Jak?

— Miał sporo szczęścia, Wasza Królewska Mość — odezwał się lord. — To nie złamanie. Zaledwie zwichnięcie. Ostatnie wybryki królewicza sprawiły, że byłem zmuszony zamknąć go za karę w komnatach. Usiłował uciec oknem i oto skutek. Sznur się zerwał.

Król westchnął ciężko, zmęczonym ruchem przecierając oczy. Jego żona akurat przebywała poza murami zamku, zajmując się wdowami i sierotami, więc musiał chwilowo przedłożyć sprawy rodzinne nad państwowe. Jeszcze jeden ciężar nałożony na ramiona władcy. Los jest nielitościwy, pomyślał z rezygnacją.

— Zostawcie nas samych — rzekł głośno. Lekarz pospiesznie zebrał swe narzędzia, i wraz ze sługą zniknęli w przejściu do sieni. — Ciebie to także dotyczy, lordzie — dodał, widząc, że Stallan nie ruszył się z miejsca. Urażony dworzanin skłonił się sztywno i spełnił polecenie.

— Toroj — odezwał się Atael smutno, gdy tylko za lordem zamknęły się drzwi. — Ja cię nie poznaję. Dawniej byłeś posłuszny, szanowałeś rodziców i krewnych, nie dręczyłeś służby, nauczyciele cię chwalili. To Jana była tym niespokojnym duchem, a nie ty. Od pewnego czasu — ciągle pasmo udręk. Co się z tobą dzieje?

Królewicz spuścił głowę. Przygnębienie w głosie ojca sprawiało mu większą przykrość niż gniew i wymówki.

— Poprawię się, ojczu. I będę więcej czasu poświęcał na naukę, obiecuję.

— A mnie się wydaje, że to przybysze z Południa mają na ciebie zły wpływ. Ostatnio stale przebywasz w ich towarzystwie i nabierasz złych manier. Tak więc zabraniam ci spotykać się z nimi. A przez najbliższe dni nie opuścisz tego miejsca. W tym zgadzam się z lordem Stallanem.

— Och, nie!

Ten okrzyk sprawił, że Atael, który sprawę uznał za zakończoną, zmienił zamiar. Toroj poderwał się z łoża, stanął niepewnie, oszczędzając obolałą nogę. Był błądy jak kreda, ale na policzki już wypełzał mu rumieniec wzburzenia.

— Czy ja dobrze słyszałem? — Ton władcy nie wróżył niczego dobrego. — Czyżbyś powiedział „nie”? Czyżby to był jakiś nowy obyczaj: sprzeciwić się swemu ojcu i królowi?

— Jeżeli jestem więźniem, to proszę umieścić mnie w celi na wieży — tak będzie stosowniej. A jeśli wolnym człowiekiem, to powinienem mieć wolną wolę chodzenia tam, gdzie zechcę — odparł królewicz krnąbrnie.

Atael patrzył na syna. Co się zmieniło? Kiedy? — spytał w duchu sam siebie. Kilka zaledwie dni temu karał nieposłuszne dziecko, które korzyło się przed nim i nie śmiało podnieść głosu. Teraz stał przed nim. . . kto właściwie? Z pewnością nie dziecko, ale i nie mężczyzna — młody człowiek, który właśnie pokonywał wysoki próg między chłopięctwem a dorosłością i nie wiadomo było, jak traktować owo stworzenie. Królewicz nieznacznie zmienił pozycję, chwycił ręką za kolumnkę łoża — widać noga go bolała i nie mógł się na niej opierać.

— Nie możesz włóczyć się gdzie bądź, zwłaszcza bez opieki — powiedział Atael. — Jednego tylko mam syna i on ma po mnie objąć tron.

— Jeżeli tylko z tego powodu mam być więźniem we własnym domu, to wolę ten zakichany tron oddać byle komu — odparł Toroj ze złością.

Rozgniewany Atael przyskoczył do niego, chwytając pełną garścią fałdy koszuli, i potrząsnął mocno.

— Nigdy. . . ! Nigdy więcej tak nie mów!! Ród Toho zasiada na tronie Northlandu od sześciu pokoleń i ty będziesz następny, czy ci się to podoba, czy nie! Dla ciebie prowadzę tę wojnę, dla ciebie giną ludzie, po to wczepiamy się w każdą garść ziemi, żebyś miał co dziedziczyć, ty niegodziwcze! Jesteś cenniejszy niż całe złoto tego kraju!

— To mnie zamknijcie w skrzyni, skoro jestem taką cenną inwestycją. Całą tę wielką wojnę tam przesiedzę, a potem się mnie wyciągnie i odkurzy ściereczką! I wszyscy będą mówić: to jest nasz królewicz, przyszły król, taki wartościowy, że nie mógł iść do walki, bo jeszcze by się nam nieco sfatygował!

W króla jakby grom strzelił. W jednej chwili pojął, co tak naprawdę działo się w duszy syna. Dotychczasowi towarzysze zabaw Toroja opuścili zamek, udając się do domów. Starsi wiosną mieli przywdziać zbroje i stanąć w szeregach bojowników. Młodszy będą asystować ojcom, by uczyć się taktyki i nosić za nimi miecz. Wykluczenie z wojennego grona musiało od dawna ogromnie zawstydząć następcę tronu. Sumowało się to ze zwykłą nudą — Atael przypuszczał, że obecność młodszej siostry w najmniejszym stopniu nie wyrównywała braku przyjaciół. W czas wojenny nikomu nie było w głowie urządzenie polowań i balów — zamek królewski stał się smutnym miejscem. Ani młodszy wiekiem służący, ani żołnie-

rze w żadnym wypadku nie byli odpowiednim towarzystwem dla królewicza. Egzotycznych gości z Południa trudno było zaliczyć do jakiejś kategorii, ale byli niewątpliwie czymś lepszym od nisko urodzonych. Fascynowali Toroja ogromnie i zapewne rekompensowali z nawiązką nieznośne rygory dworskiej etykiety.

Atael objął chłopca ramieniem i posadził na brzegu pościela.

— Musimy porozmawiać.

Królewicz rzucił mu niepewne spojrzenie, przecesał włosy palcami, gestem przejętym od rodzica. Atael postanowił być cierpliwy. Uświadomił sobie bowiem, że gdyby teraz uniósł się znów gniewem, gdyby krzyczał na Toroja lub, co gorsza, uderzył go -straciłby, może bezpowrotnie, szansę na porozumienie z synem.

— Nigdy nie kłamałeś — odezwał się. — Cokolwiek twierdzi twój opiekun, to się nie zmieniło, prawda?

— Oczywiście — odpowiedział Toroja, prostując plecy w pozie urażonej godności.

— Więc mam pewność, że odpowiesz mi na wszystkie pytania zgodnie z prawdą, nawet jeśli nie będzie dla ciebie korzystna?

— Oczywiście — powtórzył królewicz, odrobinę zdziwiony. Prawdopodobnie była czymś, z czym zżył się od najwcześniejszego dzieciństwa. Honor nie pozwalał kłamać, więc dlaczego ojciec dopuszcza do siebie takie myśli?

Atael odetchnął głęboko i zaczął przesłuchanie:

— Gdzie spędziłeś dzisiejszą noc?

— U podnóża Gór Zwierciadlanych — odpowiedział Toroja bez namysłu. Lord protektor nie uwierzył w to wytłumaczenie, biorąc je za bezczelne i głupie łgarstwo, ale teraz przecież pytanie zadał ojciec. I powinien uwierzyć. Na pewno uwierzy.

Król Atael kiwnął powolutku głową, zastanawiając się nad słowami syna.

— To... dosyć... niezwykle — rzekł, cedząc słowa.

Toroja oparł się na poduszkach, układając wyżej zwichniętą nogę.

— Chyba powinienem opowiedzieć wszystko od początku, ojcze. A więc to było tak: postanowiliśmy razem z Jodłowym zapolować na ducha w Ustronnej Wieży...

\* \* \*

Opowieść królewicza była długa, a kiedy skończył, król miał na głowie zamiast starannie ułożonej fryzury coś, co przypominało zaniedbane ptasie gniazdo — tyle razy targał włosy w zdumieniu i desperacji. Pod koniec relacji patrzył na własnego syna jak na jakieś zdumiewające monstrum, które przybrało ludzkie kształty. Gdyby zechciał go teraz ukarać, chyba rzeczywiście musiałby go zamknąć w wieży albo przykuć łańcuchem do ściany... albo wbić na pal, jak to

sugerowała beztrąsko królowa. Z drugiej strony Toroj zebrał wiedzę wprost bezcenną. Jeśli się nie mylił, kłopotliwi goście z Lengorchii — do tej pory zlekceważeni jako domniemana pomyłka i kwestia do późniejszego rozpatrzenia — byli doskonale zgraną drużyną magów najwyższej wartości. Najbardziej niepozorny chłopiec z tego grona potrafił w jednej chwili przenieść się na obrzeża kraju — taki wyczyn z trudem mieścił się w granicach pojmowania. Co w takim razie potrafili inni? A Toroj, jako zbliżony do nich wiekiem i uznany za godnego zaufania, miał możliwości dowiedzieć się rzeczy, jakich pewnie młodzi magowie nie zdradziliby starszemu rozmówcy. Iditalin okazała się bystrzejsza od swego męża — niemal od razu wzięła grupkę magów pod swe skrzydła i już teraz zbierała pierwsze owoce mądrej decyzji. Atael po raz kolejny wbił palce w zmierzwioną czuprynę, rozważając wszystko, co usłyszał. Bezwzględnie należało zacząć poważną współpracę z Lengorchianami, wyzyskując wszelkie możliwości, jakie dawały ich talenty. A jakie to możliwości, należało się rzetelnie zastanowić. Sprawy właśnie balansowały na cienkiej nici. Nie można było tych chłopców kupić. Z opowiadania Toroja wynikało, że jeden zaledwie Stworzyciel jest istną kopalnią złota. Wyraźnie nie cenili bogactwa, skoro nosili się tak skromnie. Przekonać ich? Do walki o obcą ziemię, obojętną im zupełnie? Litują się jednak nad ludźmi... Mają uczucia. Na uczuciach da się grać — byle wiedzieć, w jaką strunę uderzyć. Są młodzi, szukają młodego towarzystwa. Toroj... Toroj może...

Jak zza ściany dotarło do króla, że syn czegoś się domaga.

— Słucham...? — myślam Atael wciąż błędził w innych rejonach.

— Ojczy, a co z duchem? Po zamku grasuje bestia! Rzucił się na mnie i na Jodłowego. Miał taaaką paszczę!

— Porozmawiam z nim — odparł król z roztargnieniem. Po czym nagle zdał sobie sprawę, co właściwie powiedział. — To znaczy... nikt do tej pory nie został zjedzony, prawda? A więc nie ma się czym przejmować. To na pewno nie było niebezpieczne... cokolwiek to było — szybko zmienił temat. — Synu, jeżeli obiecasz mi, że będziesz zachowywał się rozsądnie... Nie będziesz narażał na szwank zdrowia ani reputacji — dam ci więcej swobody.

— Och! — było to westchnienie pełne nadziei.

— Kontakty z magami powinny poprawić twoją znajomość lengore oraz obyczajów tamtego kraju — ciągnął Atael. — Postaraj się wyciągnąć z tego jak największe korzyści. Zaufam ci i nie będę wymagał, byś opowiadał się ze wszystkiego, co robisz, nauczycielom, lordowi Stallanowi albo matce. Ale jeżeli będziesz chciał wyjść poza mury — to nigdy bez ochrony, pamiętaj. I zapisuj to, czego dowiesz się o magii. Może okazać się bardzo pożyteczne. Przemyślę też twój udział w wiosennej kampanii. Chyba jesteś zadowolony?

Wyciągnął do syna rękę, a ten ucałował ją z powagą.

— Tak, ojczy, całkowicie. Jestem bardzo wdzięczny.

— Nie zasłużyłeś na to, rozumiesz?

— Tak, tato.

— Dobrze. Chyba powinieneś się przespać. Przecież całą noc wędrowałeś po puszczy.

Król poklepał syna po policzku, po czym ruszył ku wyjściu. Wspominał przygodę chłopców w Ustronnej Wieży. Porozmawiać z „duchem”? Tak, rzeczywiście będzie musiał z nim porozmawiać. Bardzo poważnie.

\* \* \*

— Możemy tylko domyślać się, skąd przybyli i co zamierzają — mówił Sekretarz. — Odmienny język. Ignorują nasze próby jakiegokolwiek zbliżenia. Nie chcieli nauczyć się nawet tak prostych, niezbędnych słów jak „chleb” czy „woda”. Teraz tylko trzech ich zostało z dziesięciu.

— Resztę wybiliście? — rzucił Promień zgryźliwym tonem, wspinając się po krętych schodach za królewskim urzędnikiem. Druga wizyta w Pokutnej Wieży odświeżyła jego przykre wspomnienia, choć tym razem nie przebywał tu w charakterze więźnia.

— Dwóch poległo, gdy ich oddział ogarnęło nasze wojsko. Następny rzucił się na miecz. Z siedmiu jeńców zostało czterech od razu po pierwszej nocy, kiedy podusili własnych towarzyszy — wyliczał Sekretarz beznamiętnie. — Dopiero wtedy ich rozdzielono. Ostatni zagłodził się już w tutejszej celi. Zdaje się, że niewolę mają za ostateczną hańbę i wolą wybrać śmierć.

— Odważni są, nie da się ukryć — mruknął Stalowy z tyłu.

— Czemu im nie ułatwicie samobójstwa? Tracą na wartości z każdym dniem — rzekł Koniec prowokacyjnie. — Jeńcy, których nie da się przesłuchać. A po tak długiej niewoli sami już pewnie nie znają rozmieszczenia własnych sił. To bezsens.

Sekretarz przystanął i spojrzał w dół schodów na Mówcę.

— Razem z nimi zdobyliśmy ich broń. Broń, jakiej dotąd nie miałem w ręku ani nie widziałem na oczy. To ona daje im przewagę w tej wojnie. Gdyby udało się zmusić, przekupić czy zastraszyć choć jednego z więźniów, aby pokazał, jak taką skonstruować, byłoby to znaczącym postępem.

— Nie potraficie skopiować łuku albo ulepszonej kuszy?

— Gdybyż to była kusza. . . wszystko byłoby prostsze — odparł O'hore.

— A czemu mamy oglądać jeńców, skoro są tak mało użyteczni?

— Jego Wysokość uważa, że może to przynieść niespodziewane korzyści. Podejrzewamy związki. . . dlatego chcieliśmy kontaktu z Kręgiem. Może nic z tego nie wyniknie, a może uchwycimy jakąś nić przewodnią.

Nie były to zbyt klarowne wyjaśnienia, lecz gdy stanęli wreszcie na najwyższej kondygnacji więzienia, wszelkie inne komentarze przestały być potrzebne, przynajmniej na razie.

Gdyby spojrzeć na plan wieży z góry, narzuciłoby się skojarzenie z pokrojonym na sześć części okrągłym ciastem. Jedna część i kawałek wolnej przestrzeni pośrodku stanowiły podest schodów oraz korytarzyk, pozostałe tworzyły pięć niewielkich cel ze stalowymi prętami zamiast drzwi. Więźniowie mogli widzieć się nawzajem, lecz nie byli w stanie się dotknąć. Chłopcy natychmiast zrozumieli, co miał na myśli Sekretarz, mówiąc „podejrzewamy związki”. Kamyk wymienił porozumiewawcze spojrzenia z Końcem. Wystarczająco długo żyli na wyspie Jaszczur, gdzie zachowało się wiele kamiennych wizerunków dawnych mieszkańców, by od razu dostrzec niezwykle podobieństwo osadzonych tu ludzi do tamtych rzeźb, a także do malunków ocalałych na ścianach podziemnych korytarzy. Mężczyźni byli czarnowłosi i ciemnoskórzy, w intensywnym brązowym odcieniu prażonego ziarna. Wysokie kości policzkowe, wąskie podbródki, skośne oczy oraz wydatne nosy jak kliny — wszystkie te elementy były już chłopcom znane. Przedtem widywali je rozproszone w twarzach przyjaciół i znajomych albo w lustrach, teraz ujrzeli zgromadzone wszystkie naraz w tych obcych fizjonomiach. Kiedy dwaj więźniowie wstali, można było przekonać się także, że są niewiarygodnie wysocy. Trzeci spał lub udawał obojętność, jawiąc się jako bezosobowy tobół nakryty derkami i sianem.

— Przodkowie...! — wyrwało się Stalowemu.

— Wiele na to wskazuje — rzekł Sekretarz. — Choć tym razem przybyli z północy, a nie z zachodu. Historia się powtarza. Zakotwiczą się na zdobytych terenach w identycznie bezwzględny, okrutny sposób. Nie biorą jeńców. Mordują wszystkich mężczyzn i chłopców bez względu na wiek. Zabijają też małe dziewczynki, które nie mogą ciężko pracować. A kobiety zmuszają do pracy niewolniczej i...

— Nie identycznie! — przerwał mu Stalowy ze złością. — Wojownicy i magowie nie mordowali dzieci! To nieprawda!

— Mylisz się — odparł spokojnie Sekretarz. — Zachowały się przekazy z tamtego okresu. Listy, urywki zapisów ocalonych... W tamtej wojnie pod nóż szły całe miasta. Kiedy ruszyła inwazja ze Smoczego Archipelagu, bez żadnej litości wybijano wszystkich zdolnych do uniesienia miecza. Dzieci także.

— Kłamiesz!! — ryknął Stworzyciel i pchnął go w pierś, aż urzędnik zatoczył się do tyłu. Więzień błyskawicznie skorzystał z okazji. Brązowe ramię wystrzeżliło pomiędzy prętami, palce zachłannie chwyciły O'hore za płaszcz. Szarpnięty gwałtownie, rąbnął głową o metal, a już ręka napastnika chwyciła go za twarz, z zamiarem ukręcenia karku. Nim którykolwiek z magów zdążył ruszyć na pomoc, napadnięty wywinął się z uścisku, wykręcając jednocześnie dłoń obcego. Coś trzasnęło, tamten zawył z bólu, chwytając się za nadgarstek. Sekretarz zadał cios, precyzyjnie celując pomiędzy prętami i trafił wroga prosto w zęby z siłą, która obaliła go na posadzkę — zalanego krwią z rozbitych warg. Mieszkaniec

sąsiedniej celi przezornie odsunął się w głąb, spoglądając z nienawiścią na przybyłych.

— Trzeba uważać — burknął Sekretarz, poprawiając ubranie. — Są szybcy jak żmije. A pan, panie Stalowy, powinien trzymać nerwy na uwieży.

— Ale to nieprawda... nieprawda, że nasi żołnierze... — podjął Stalowy z oburzeniem, lecz zamilkł, czując na ramieniu zaciskające się palce któregoś z towarzyszy.

— Nie uczono nas takich rzeczy, panie O'hore — odezwał się Koniec.

— Nie dziwię się — odparł Sekretarz, a w jego oczach na chwilę pojawiło się coś w rodzaju współczucia. — To niezbyt chwalebny okres w historii Lengorchii. A jednak takie karczowanie ludzi bywało praktykowane nawet jeszcze w poprzednim stuleciu. A teraz powtarza się znowu. Jeśli przegramy, northlan przetrwa jedynie jako gwara niewolników. Tak samo jak dawna mowa Niskich Księstw zachowała się jedynie w zapadłych zakątkach Gór Igielnych. Całe cesarstwo Lengorchii jest zamieszkałe przez mieszaińców, choć oficjalnie się o tym nie pamięta. Co jak co, ale pan, panie Stalowy, nie powinien być tym zdziwiony — dodał, czyniąc aluzję do niebieskich oczu maga.

— Ci tutaj nie mają nawet szczątkowych talentów — odezwał się Koniec, patrząc na jeńców. Poszkodowany ostrożnie badał wywichnięty nadgarstek, spluwając co chwila krwią. Drugi odzywał się do niego burkliwie, w gardłowym języku pełnym przydechów. — A co z innymi? Czy jakieś przejawy magii widać na północy? Tam gdzie toczą się walki?

— Nie ma żadnych znikających regimentów, rozstępującej się ziemi ani żywych pochodni, jeśli to masz na myśli, panie Mówco — rzekł O'hore z goryczą. — Gdyby to była walka z magią, te potwory już byłyby w Ogorancie. Za to jest nieco innych niespodzianek. Na przykład takich.

Sekretarz podszedł do krańcowej celi i zaczął kopać w zakratowane drzwiczki, wzbudzając nieznośny, metaliczny łomot.

— Wstawaj! Wstawaj! No, już! Nie zdechłeś jeszcze, to wiem na pewno!

Kupa szmat poruszyła się nieznacznie. Wynurzyła się z niej powoli, niechętnie ciemna głowa, a potem cała postać trzeciego więźnia.

— Ojej... — westchnął Myszka.

— Mogę panu już teraz powiedzieć, że obcy są znacznie dalej niż w Ogorancie — rzekł Promień z pewną nutą satysfakcji. — Ostatnio w Puszczy Wschodniej łapacze zaczęli chwycić centaury i wystawiać na targach.

Centaur był dużo niższy niż jego ludzcy sąsiedzi, ale miał równie ciemną karnację i podobny kształt szeroko rozstawionych oczu. Tylko jego nos był płaski, jakby ktoś mu go złamał. Charakterystyczne spiczaste uszy sterczały spomiędzy skudlonych włosów. Zajrzał do pomieszczenia zajmowanego przez pobitego mężczyznę, po czym rzucił kilka słów w tonie wyraźnie obelżywym, śmiejąc się brzydtko. Kiedy stanął bokiem, można było zobaczyć na jego bicepsie wzór po-



dobny do odwróconej jodełki, jaką rysują dzieci. Tworzyły go odbarwione blizny, jakby ślady po piętnowaniu rozpalonym żelazem.

\* \* \*

Koniec wyglądał przez okno sypialni. Było umieszczone tak wysoko, że musiał stanąć na krześle, by oprzeć łokcie o parapet. Przyłgnąwszy skronią do szkła, mógł zobaczyć z boku, nad dachem sąsiedniego budynku, sam wierzchołek Pokutnej Wieży. Różowa szyba lekko zniekształcała widok, dając równocześnie złudzenie blasku zachodzącego słońca. Mówca rozmyślał nad wszystkim, co pokazał im tego dnia sekretarz królewski. Zwłaszcza nad jeńcami, gdyż właśnie nimi miał zająć się on i Tkacz Iluzji.

Tatuże zawsze miały swoje drugie dno — magowie oznaczali nimi rangę, górale przynależność do klanu, zwykli obywatele Lengorchii z próżności ozdabiali ciało ornamentami, a żołnierze, chcący popisać się męstwem, preferowali głębokie nacinanie skóry. Wypalanie tego rodzaju dekoracji musiało być ogromnie bolesne, więc centaur był albo chełpliwym wojownikiem, albo „jodełka” stanowiła piętno niewolnicze. Sądząc z wyczuwalnego uczucia niechęci, a nawet wrogości do towarzyszy niedoli z sąsiednich cel, centaur rzeczywiście musiał stać w hierarchii dużo, dużo niżej od ludzi. Być może nitka lojalności wobec jego panów była u niego bardzo wątła. A to dało się umiejętnie wykorzystać. Zgodnie z sugestią Końca Sekretarz zarządził, by jeszcze tego samego dnia przygotowano wygodniejsze pomieszczenie dla centaury, a potem przeniesiono go tam, całkowicie izolując od dotychczasowych towarzyszy. Możliwe, że wtedy będzie znacznie łatwiej nawiązać z nim porozumienie. Mogłoby nabrać chęci na rozmowę choćby z powodu zwykłej nudy. I tutaj zaczęłaby się rola jego — Mówcy, a także okazja do wykorzystania umiejętności Kamyka. Śledzenie myśli centaury, poddawanego wciąż nowym wrażeniom, mogłoby Końcowi znacznie ułatwić opanowanie przynajmniej podstaw obcego języka.

Po opuszczeniu ponurego wnętrza Pokutnej Wieży O'hore powiodł młodych magów przez nieokazane części zamku przeznaczone na potrzeby służby. To tutaj wrzało właściwe życie tej rozrośniętej budowli, tutaj mieli swe kwatery wartownicy, tu też mieściły się kuchnie, magazyny, izby czeladne oraz małe warsztaty, w których naprawiano sprzęty niezbędne do gładkiego funkcjonowania owej skomplikowanej służebnej maszynerii. Ludzie przynależni do tego miejsca byli zwykle tak zapracowani, że nie tracili czasu na długie przyglądanie się gościom. Mężczyźni krótko kłaniali się, kiedy dostrzegali krocącego przodem Sekretarza, kobiety dygały, po czym natychmiast wracały do przerwanej czynności. U wylotu krótkiego korytarzyka stał wartownik pozornie niepilnujący niczego. Sekretarz powiodł magów stromymi, ale dość szerokimi schodami dwie kondygnacje w dół.

Wreszcie stanęli przed masywnymi drzwiami, przed którymi pełnił wartę kolejny strażnik.

— Tutaj ma prawo wejścia jedynie sam Najjaśniejszy Pan oraz ludzie przez niego wyznaczeni. Nie wolno też opowiadać na zewnątrz, co dzieje się za owymi drzwiami — przestrzegł urzędnik, zanim weszli do środka.

Wnętrze okazało się obszernym lochem o łukowatym sklepieniu, najwyraźniej dawną winiarnią. Pod jedną ze ścian wciąż jeszcze stały gigantyczne beczki na trunki. Resztę usunięto, robiąc miejsce tajemniczemu warsztatowi oraz czterem przenośnym piecykom mającym za zadanie ogrzać to zimne i nieco wilgotne pomieszczenie. Przebywały tu dwie osoby. W siwowłosym jegomościu chłopcy rozpoznali nerwowego posiadacza tajemniczej skrzyni widzianego przez nich w przedsionku sali przyjęć. Drugim był Tait Jorel Nardo. Siedział okrakiem na wielkiej pace, trzymając w rękę wypchaną sowę. Z namaszczeniem wrywał puch z jej skrzydeł, po czym dmuchnięciem posyłał go w powietrze. W piwnicznej izbie latało już mnóstwo pierza, osiadającego na wszystkim. Także na rozgrzanych piecach i lichtarzach. Smród palonych piór niemal całkowicie zagłuszał woń chemikaliów oraz charakterystyczny zapaszek prochu.

— Pozdrowieeeeeeeee... pozdrowieeeeeeeee... słooonce po-luuu-dnia śleeee! — zaśpiewał Nardo na widok gości i zabębnił piętami o skrzynię.

— Pozdrowienie, panie Nardo. Pozdrowienie, panie Biliar — odrzekł uprzejmie O'hore. — Przyprawiam pomoc.

Mężczyzna nazwany Biliarem skłonił głowę, nie odrywając jednak bystrego spojrzenia od przybyszów. Chyba niezbyt był zachwycony perspektywą przebywania z magami. Nardo znów zaśpiewał, tym razem w northlanie, stukając do taktu obcasami w drewno:

— In galla wit-tigo afa're man, in poge fas-ma-no nastewa ran... Zagadka — dodał, mrużąc oko. — Małe, okrągłe i fruwa?

— Mały księżyc? — odpowiedział niepewnie Myszka.

— Latawiec? — spytał Promień, który rozpoznał bezbłędnie fragment piosenki o latawcach i dmuchawcach.

— Jajko! — objaśnił tryumfalnie szaleniec, rzucając podskubanego ptaka w kąt. Iskra dyskretnie postukał się palcem w skroń. Nardo zeskoczył ze skrzyni. Wyjął z miski wydmuszkę, wetknął w nią długie źdźbło słomy, następnie podpalił słomkę od świecy. Chwilę trzymał skorupkę w palcach, po czym puścił. Ku zdumieniu obecnych jajko uniosło się leciutko w powietrze, puknęło delikatnie w sklepienie i dopiero wtedy opadło z cichym traskiem pomiędzy przyrządy na stole.

— Piękne! Piękne, nen? — zachwycił się Nardo, wyraźnie oczekując pochwał ze strony gości.

— Wspaniale — rzekł Gryf ze sztuczną powagą. — Śliczna zabawka. Bardzo ładne.

— Zabawka? Nen! — zaprzeczył Nardo. Zmarszczył brwi, mimowolnie wsunął końce palców we włosy, jakby obmacywał niewidoczną ranę. Na jego twarzy odbił się wysiłek umysłowy. — Latanie. Oni latają. Wielkie, wielkie... fruwacze. Ogromne latające... jajka.

Biliar poklepał Nardo po ramieniu, podsuwając mu pod nos jakiś drobny przedmiot, który okazał się cukierkiem. Ssąc karmelek, młodzieniec oparł się łokciami o wierzch paki, znów przybierając wyraz twarzy roztargnionego dziecka.

— Ogrzane powietrze — wyjaśnił starszy mężczyzna. — Tak się unoszą. Nardo zrobił wczoraj szkice. To się da zrobić.

— Są więc postępy — ucieszył się O'hore.

— Obyśmy zdążyli zrobić następne — mruknął Biliar.

— Czy możemy się wreszcie dowiedzieć, o co tu chodzi? — odezwał się Stalowy głosem z głębi brzucha. Zaczynał tracić cierpliwość. Biliar obrócił na niego wypłowiałe oczy.

— Najeźdźcy umieją latać — rzekł po prostu. — Nie na skrzydłach. Wygląda to raczej na okręty unoszące się wysoko w chmurach. Poza zasięgiem strzał. Nie do trafienia pociskiem z maszyny miotającej. Za to oni znakomicie sobie radzą, atakując z góry coraz to nowe twierdze. Ogrzane powietrze, to ich pcha w górę. Tak jak nadęty pęcherz wypływa zawsze na powierzchnię wody, takie same pęcherze wynoszą powietrzne statki pod niebo. Pan Nardo to wymyślił, a doświadczenia potwierdziły.

— Pan Tait Nardo pracuje nad powietrzną flotą, a pan Biliar próbuje rozwiązać zagadkę metalurgiczną — uzupełnił Sekretarz.

— Z niewielkim skutkiem na razie — westchnął Biliar, posępnie spoglądając na swą prawą rękę. Dopiero teraz magowie zauważyli, że jest zabandażowana.

Biliar okazał się mianowanym królewskim specjalistą od broni. Na półkach — okręcone naoliwionymi szmatami — leżały długolufe samopały. Było w nich pewne podobieństwo do armat, które chłopcy znali doskonale z obronnych murów zamkowych, lecz były na tyle małe i lekkie, by mógł je unieść jeden człowiek.

— Te odebraliśmy jeńcom — wyjaśniał zbrojmistrz, kładąc kolejno metalowe rury na stole. — Różnią się między sobą, ale zasada jest ta sama: wybuch prochu wyrzuca z lufy kęs metalu. Zasięg strzału wynosi około sześciuset kroków.

Któryś z chłopców zagwizdał w podziwie.

— A jak z celnością? — spytał rzeczowo Promień.

— Nieszczególnie — przyznał Biliar. — Za to pociski z łatwością przebijają zbroje.

— Bełt z dobrej kuszy też przejdzie przez blachy — zauważył Koniec.

— Ale nie na czterysta kroków — odparł zbrojmistrz, a w jego głosie zabrzmiała wyraźna gorycz. — Przy takiej sile nawet celność schodzi na dalsze miejsce. Wystarczy, że skieruje się tę parszywą... proszę wybaczyć słowo... ru-

rę w stronę oddziału konnicy, a zawsze się w kogoś trafi, nawet z zamkniętymi oczami.

— A nie można przecież przy ataku rozstawiać żołnierzy w odstępach co dziesięć kroków jak zęby w grabiach — uzupełnił O'hore, sadowiąc się na wyciągniętym spod stołu zydlu. Chłopcy poszli za jego przykładem, znajdując sobie miejsca na nielicznych stołkach, na skrzynkach i workach napełnionych czymś twardym. Tylko Kamyk zignorował Sekretarza, zajmując się oglądaniem broni. Był pewien, że później Koniec przekaze mu skrót całej narady i dołoży własne komentarze. O'hore skrupulatnie zaczął opowiadać wszystko, co było mu wiadome o sytuacji na północy. Najeźdźcy byli liczni i bardzo dobrze uzbrojeni. Pojawiwszy się na północnym wybrzeżu, błyskawicznie zagarniali kolejne wsie i małe forty — zwykle otoczone zaledwie jednym pierścieniem palisady, słabo bronione przez nieliczne oddziały. Na północnej granicy królestwa rozciągały się tylko lasy i wrzosowiska. W granatowym, gniewnym morzu nurzały się skaliste, zamglone wyspy, zamieszkane przez zapracowanych rybaków, których bardziej interesowały rybne wędrówki niż polityka w stolicy. Któż mógł się spodziewać niebezpieczeństwa z tej strony? A jednak groźba nadeszła właśnie stamtąd — w postaci smukłych galer o złowieszczo czarnych burtach. Wkrótce potem pojawiły się zadziwiające statki powietrzne, podobne do gigantycznych rybich pęcherzy lub grzybów kurzawek. Dwie bitwy stoczone przez wojska northlandzkie skończyły się ich sromotną klęską. Armia Ataela musiała ratować się ucieczką, podczas której bezlitośnie szarpano jej tyły. Małe oddziały wrogów zjawiały się niby duchy w środku nocy albo nad ranem, kiedy ledwo świtało, a wartownicy byli najmniej czujni. W northlandzkich obozach, obrzucanych płonącymi garnkami z olejem skalnym, wybuchała panika. Oszalałe konie zrywały pęta, łamały nogi i tratowały ludzi. Napastnicy zadowalali się ustrzeleniem kilku albo kilkunastu żołnierzy. Od czasu do czasu znajdowano ciała bez uszu lub nosów, jakby obcy zbierali trofea. Największe szkody czyniły pożary. Wrogowie z niezwykłą zaciętością niszczyli, co się tylko dało, a potem znikali niczym rosa o poranku. Jeśli udawało się otoczyć kilku wrogów, zwykle walczyli do ostatka jak wściekłe wilki złapane w pułapkę. W ostateczności sami zadawali sobie śmierć. Większych oddziałów niż trzydziestu ludzi nigdy nie widziano. Według Biliara owi fanatyczni barbarzyńcy nie mieli pojęcia ani o cywilizowanej wojnie, ani o ludzkich uczuciach. Za to byli przerażająco wręcz skuteczni, do perfekcji doprowadziwszy metodę walki podjazdowej. Nim powiadomieni przez zwiadowców żołnierze Ataela zbliżali się do wroga, ślad po nim już trawą zarastał. Zdobyte warownie cudzoziemcy obsadzali siłami niepomiernie większymi, a okolice pustoszyli tak, że trudno było znaleźć nawet paszę dla koni. Pod tym względem przypominali prawdziwą szarańczę. Niewolnice zmuszano do zbierania zboża, jeszcze niedojrzałego, o kłosach wypełnionych mlecznym sokiem, a gdy siły northlandzkie podchodziły zbyt blisko, dozorczy podkładali ogień na polach. Ogołacali sady z owoców, a jeśli nie nadążali

z kradzieżą — nakazywali ścinać drzewa. Zatruli studnie i stawy, wrzucając do wody trupy, by tam gniły. W twierdzach, zamienianych w ogromne obozy niewolnicze, panował bezwzględny terror. Opieszałość karano biciem, najmniejszy opór — śmiercią. Sekretarz zdążył już przesłuchać Kamian, więc poznał ponure szczegóły życia za palisadą, która z osłony stała się więzieniem.

— Tak niegospodarnie sobie poczynają, że chyba niebawem zabraknie żywności nie tylko dla więźniów, ale i dla ich wojska?

— Obawiam się, że nie martwią się o to wcale — O'hore zawahał się na moment. — Ta kobieta, którą królowa sprowadziła do zamku, mówiła, że pewnego razu obcy żołnierze zabili dziecko, a potem je zjedli.

Odpowiedział mu zbiorowy jęk grozy. Myszka poszarzał i oparł się o skrzynię, jakby zastął. Winograd kurczowo przełknął ślinę.

— Mięso jest dobre — powiedział Nardo, na moment wypływając z odmętów zamyślenia. — Polowanie. Z łukiem... z psami. Taki obraz malowałem... kiedyś... — dokończył wolno, wbijając wzrok w ścianę, jakby tam właśnie zobaczył wspomnienie z przeszłości. Jego siwoblękitne oczy nabrały wyrazu, twarz wykrzywiła się kurczowo, lecz już po chwili rozplynęła się w zwykłej aurze senności. Zdezorientowani chłopcy patrzyli na niego zbici nagle z tropu.

— Dlaczego zabijają wyłącznie mężczyzn, zostawiając przy życiu kobiety? — zastanowił się Mówca, wracając do przerwane wątku. — Przecież są słabsze i nie potrafią pracować tak ciężko.

— Może uważają, że kobiety są łatwiejsze do opanowania i nie umieją walczyć? — rzekł Sekretarz.

— Powinni poznać Rijen — mruknął Promień, jakby do siebie.

— Najpotężniejsze twierdze macie od południa, najlepiej wyszkolone garnizony też od południa — dodał głośno. — Największych wrogów zawsze mieliście na południu, a teraz co? Po pomoc zwracacie się również na południe. To byłoby śmieszne, gdyby nie było tragiczne.

— Tak — zgodził się O'hore. — Ale ostatnie walki z Lengorchią były ponad sześćdziesiąt lat temu. Od tamtej pory żadnej ze stron nie opłacało się utrzymywać w gotowości wielkich armii. Usprawniać broni, szkolić żołnierzy ani robić tego wszystkiego, co wypada w razie wojny. Rzeźnicy, jak miemam, nie zaspokoją apetytu jedynie Northlandem, kiedy za górami leży tak piękny i zasobny kraj jak Lengorchia. Do kogo zwrócicie się po pomoc wy, kiedy nadejdą złe czasy?

— Nie nadejdą — burknął Promień. — I poradzimy sobie.

— Oby — rzekł Sekretarz. — Król śle listy na dwór cesarza Ogniwo, lecz odpowiedzi są wykrętne.

— Toteż należy zwrócić się do samego Kręgu, a nie do figury zastępczej — rąbnął Koniec bezceremonialnie, aż wszyscy skierowali na niego oczy w najwyższym stopniu zaskoczeni.

\* \* \*

*Broń rozłożona na stole przypominała mi w jakiś sposób kości. Długie piszczele obrane z mięsa. Czuję do nich instynktowną odrazę. Siwowłosy mężczyzna przekładał jednak te brzydkie przedmioty z czułą troską, jakby dla niego stanowiły prawdziwy skarb. Podnosił je kolejno, pokazywał, ważył w rękach. Moi towarzysze gapili się na tę stertę żelastwa z równą fascynacją. Spróbowałem podnieść jedną taką rurę, a wtedy okazało się, że jest cięższa, niż przypuszczałem. Jeden koniec był otwarty, drugi kończył się kolbą pasującą do ramienia, podobnie jak kusza. Metal był brudny, wysmarowany kopciem i tłusty w dotyku. Prawdopodobnie jednak te rury były ogromnie cenne dla byłych właścicieli. Pewnie odnosili się do nich z równym uszanowaniem jak tutejsza szlachta do swych mieczy. Długie lufy ozdobiono pierścieniami, na których wygrawerowano rozmaite ornamenty. Niektóre kolby były drewniane i te ozdobiono srebrnymi gwoździkami. Inne wyglądały na odlane z brązu — spod brunatnej patyny gdzieniegdzie wylaniał się lśniący metal. Przeplatały się na nich faliste linie, małe kółeczka — jakby fragmenty łańcucha, dziwaczne symbole kojarzące się z pismem, ale nic nieznaczące, przynajmniej dla nas. Rzeczywiście to były miniatury armat, przynajmniej w samej istocie działania. Tak samo jak w paszczę armaty — w smukłą szyję samopatu sypało się proch i wkładało ołowianą kulę. Obserwowałem wraz z innymi, jak ów siwowłosy mechanik opatruje broń, celuje do ustawionej pod ścianą deski. Przycisnął język spustu, a wtedy w powietrzu rozrósł się obłok śmierzącego dymu. Wszyscy jednocześnie unieśli ręce do uszu. To ręczne działo musiało być koszmarnie hałaśliwe. Za to bardzo skuteczne. Okazało się, że deskę grubą na dwa palce pocisk przebił prawie na wylot. Zniekształcona grudka metalu tkwiła w drewnie jak łeb robaka wgrzyzionego w jabłko. Dokoła niej sterczały drzazgi, na podobieństwo korony cudaczego, kolczastego kwiatka. To samo doświadczenie powtórzone z następnym samopatem i starym pancerzem spowodowało, że kula wgniotła solidną blachę niczym tekturę, przerwała ją, po czym rozplaszczyła się na ścianie, na dodatek odłupując kawałek cegły. Gdyby w tej zbroi znajdował się człowiek, po tym zabiegu dałoby się go nawlec na wstążkę jak paciorek. Przygnębienie sphywało mi powoli do brzucha, ciężkie i lepkie niczym smoła. Jeżeli wszyscy przybysze są tak uzbrojeni, Northlandczycy faktycznie nie mają wielkich szans na obronę. Samopaty niosą daleko, mają wielką siłę przebijania i chyba łatwiej się nimi posługiwać niż łukiem, który jest narzędziem mocno fanaberyjnym. Pan Biliar pokazał Stalowemu, jak używać tych paskudztw. Narobili przy tym tyle dymu, że prawie nie było czym oddychać. W stropie były zakratowane otwory, ale cuchnące siarką wyziewy ulatniały się stanowczo zbyt wolno. Sekretarz króla wyciągnął z jakiegoś kąta następne kawałki pancerzy. W pierwszej chwili pomyśleliśmy wraz z Końcem, że posłużą za kolejne cele. Były to jednak osłony odebrane jeńcom. Kiedy O'hore włożył mi taką zbroję do rąk, od razu zorientowałem się, że jest w niej coś nienor-*

*malnego. Była za lekka. Dopiero kiedy dokładnie obejrzałem ją przy blasku świec, zobaczyłem, że została wytłoczona ze skóry. Po wewnętrznej stronie pancerz pokryto warstwą zastygłej żywicy lakowej, a pod nią wiły się jakby kosmyki długiej sierści. Całość leciutka i twarda. Żołnierz w takim uniformie poruszałby się szybko i bez wysiłku. Co jednak z ochroną przed ciosami? Koniec przekazał Sekretarzowi moje wątpliwości, a ten podsunął nam kirys, noszący długi ślad cięcia mieczem. Skóra wierzchnia pękła, jej brzegi zostały wepchnięte w szramę. Po wewnętrznej stronie lakę pokryła siateczka pęknięć, trochę się wykruszyła, a spod niej wyłoniła się warstwa włosów, najwyraźniej końskiego. Okazało się na tyle twarde, że nie przepuściło głowni dalej i posiadacz tego dziwnego pancerza wykpił się co najwyżej złamanym żebrem. Godne podziwu. Niech to zaraza...*

*Dowiedzieliśmy się też wreszcie, czego dokładnie oczekuje od nas Jego Wysokość Atael. Krótko i dosadnie — cudu.*

\* \* \*

Problem Nardo nie polegał na tym, że ów człowiek nie myślał, ale raczej na tym, że myślał zbyt wiele. Stalowy już pierwszego dnia przekonał się, iż umysł szalonego geniusza przypomina garnek z nader urozmaiconą potrawą. Wrzało to wszystko pod pokrywką czaszki, a na wierzch wypływały coraz to inne składniki. Biedak najczęściej nie był w stanie opanować tego gejzeru pomysłów i ciągów skojarzeń długich jak węzowe ogony, gdyż było ich za dużo naraz. W ten sposób Nardo, zaprzątnięty teorią gazów, konstrukcją gołębiego skrzydła, smarem grafitowym oraz rafinacją skalnego oleju, zapominał o sprawach tak trywialnych jak jedzenie czy włożenie obu butów do pary. Takich rzeczy teraz musiał dopilnować Stalowy, zmuszony królewskim rozkazem do współpracy z człowiekiem, który upadł na głowę. Nie było to właściwie zbyt uciążliwe, choć trochę przypominało opiekę nad dzieckiem. Obaj wynalazcy otrzymali do dyspozycji pomieszczenie na samym szczycie pękatej wieży, dokąd prowadziły kręte schody mogące przyprawić o zawroty głowy. Przed wieloma laty komnatę zajmował pewien alchemik obiecujący wyprodukować eliksir nieśmiertelności. Podobno zniecierpliwiony miernymi wynikami dziad Ataela napoił go owym eliksirem i wyrzucił przez okno. Po pechowym alchemiku pozostał niegustowny nagrobek oraz cała kolekcja zakurzonych retort. Stalowy odziedziczył po nim wyposażenie i miał pracować tym razem nad cudowną bronią — trucizną, ulepszonym prochem, środkiem odymiającym — czymkolwiek, co przydałoby się na wojnie. Przy okazji miał pilnować, by Nardo nie zabił się przez zwykłe roztargnienie.

Nardo wyglądał młodo, lecz pewne oznaki świadczyły, że z wieku młodzieńczego wyszedł już jakiś czas temu. Jego jasny zarost był twardy i gęsty, a w kącikach oczu tworzyły się pierwsze drobniutkie zmarszczki od śmiechu. Kiedy

jednak Stalowy spytał go o wiek, Nardo wprawdzie zastanawiał się długo, potem odparł wesoło, że chyba ma dwadzieścia pięć lat, a może dwadzieścia osiem? Gdyby miał trzydzieści, również by go to nie zdziwiło. Nie pamięta dokładnie, czy to ważne? Mimo umyślowego kalectwa Nardo zachował pogodne usposobienie i był we wszystkim bardzo zgodny. O nic się nie obrażał, bez trudu też można go było namówić do regularnego spożywania posiłków. Żywność służba codziennie dostarczała pod drzwi pracowni. Zwykle była to gęsta, pożywna zupa w której pływała kasza, kawałki warzyw, mięsa oraz grube oka tłuszczu. Na pokrywie garnka nieodmiennie leżało pół bochenka chleba, zawinięte w serwetkę. Od czasu do czasu pechowego konstruktora skrzydeł niespodzianie dopadał okropny ból głowy. Cierpiał, ściskając skronie rękami, jakby w obawie, że pęknie mu czaszka. W takich przypadkach należało sięgnąć po flaszkę z ciemnego szkła i podać Nardo lek, którego głównym składnikiem był wyciąg z maku. Migreny Nardo zdarzały się, niestety, coraz częściej. Stalowy ze smutkiem podejrzewał, że jego towarzysz albo już jest uzależniony od opium, albo stanie się to niebawem. W jego własnej kieszeni spoczywało pudełko zamykane na kluczyk, w nim natomiast kryła się bryłka szarawego ciasta. Dwa razy na dzień, kryjąc się przed wszystkimi jak złodziej, nękany wyrzutami sumienia oraz lękiem przed Boginią, Stalowy odcinał nową dawkę swojego „lekarstwa”. Formował z niego wałeczek i przyklejał do dziąsła, gdzie rozpuszczało się powoli, wnikając do ciała przez wilgotną wyściółkę ust. Próbował odstawić je jeszcze w górach, lecz przekonał się, że nie jest w stanie egzystować w narkotycznym głodzie ani nawet myśleć w miarę normalnie. Los, ten ironiczny bożek, pewnie uważał za dobry żart, że król Atael pokładał nadzieje właśnie w Stalowym i Jorelu Nardo — dwóch ludziach którzy nie panowali dostatecznie nad własnym życiem

\* \* \*

Bielone wapnem ściany pracowni prawie w całości pokryto dziwacznymi freskami. Rozczochrany, usmarowany węglem po łokcie Nardo jak w transie wykańczał najnowszy szkic. Podłoga zasłana była papierami oraz zużytymi piórami. Geniusz konstruktora nie mieścił się jednak na ograniczonej przestrzeni kartonu, więc ostatecznie zapełniał on swymi wizjami przestrzenie od podłogi aż do powały. Czynił to z niemałym rozmachem. Wciąż gadał sam do siebie, a w chwilach frustracji rzucał rozmaitymi przedmiotami. Stalowy, którego warsztat pracy mieścił się na paru stołach zsuniętych razem pośrodku pomieszczenia, usiłował ignorować humory Nardo i tylko chronić przed nim kruche próbówki. Chwilami miał wrażenie, iż siedzi na malutkiej wysepce pośrodku oceanu, a wokoło szaleje cyklon. Aktualnie Nardo kreślił węglem po tynku, kreując coś, co wyglądało jak bliski kuzyn rekina płaszczowego i nietoperza, który połknął kufer.



— Gallo — rzekł z zadowoleniem, przypatrując się efektom swej pracy i wycierając brudne ręce o koszulę. — Munaro fre' gesta na-stewa. . . To może latać — dokończył w lengore.

Stalowy podniósł na chwilę wzrok nad trzymanej w ręku kolby, po czym znów skupił na niej uwagę. Zawierała nieco żółtawego, oleistego płynu — wynik mieszania przypadkowych kwasów z olejem lnianym (a właściwie tym, co było zwykłym olejem, zanim Stworzyciel wtrącił się do jego struktury). Sedno tkwiło w tym, że sam nie wiedział, co ma osiągnąć. Zamówienie Sekretarza sprowadzało się do określenia, że ma to być „coś pożytecznego”. Zirytowany mag stwierdził w duchu, że najbardziej pożyteczny prezent dla northlandzkiego dworu stanowiłoby po prostu mydło. Wszyscy tutejsi mieszkańcy myli się zdumiewająco rzadko. „Pożyteczne” pomysły Stalowego na razie krążyły wokół żrących substancji i ich wykorzystania w walce. Ciągłe jednak nie widział sposobu, by niepewna broń chemiczna robiła szkody jedynie w szeregach wroga. „Łzy salamander” z lubością przegryzały się przez miedziane garnki, natomiast gliniane i szklane naczynia łatwo było potłuc w transporcie. Osłabienie mocy stężonego kwasu miało się z zamierzonym celem — i tak w kółko. Wyglądało na to, że płonące kubły ze smołą nie oddadzą łatwo swego miejsca w arsenale. Stworzyciel westchnął z głębi serca, po czym zamieszał substancję patyczkiem. Nardo mamrotał znów coś do siebie, wpatrując się w najnowszy rysunek i rozkładając ramiona, jakby były skrzydłami. Wiosłujące w powietrzu ręce zbliżały się niebezpiecznie do delikatnego wyposażenia laboratorium.

— Tait, odsuń się! Stań dalej! — powiedział ostro Stalowy i machnął zamoczonym mieszadłem dla podkreślenia swych słów. Zagłuszył je niespodziany huk, po którym cisza wydawała się tym głębsza. Mag ostrożnie poruszył głowę — czuł się dziwnie, jakby nagle coś go uderzyło wielką, miękką łapą. W uszach mu szumiało. Powoli odłożył trzymane w rękach przedmioty. Część stołu zasłana była drobinami potłuczonego szkła, w powietrzu unosił się pył. Ze ściany po prawej stronie odpadł kawałek tynku. Oszołomiony chłopak obszedł stół, natykając się na zszokowanego Nardo, który siedział skulony na podłodze, nakrywając głowę ramionami. Krótkie oględziny pozwoliły stwierdzić, że nic mu się nie stało. Był jedynie mocno przestraszony. Stalowy z niedowierzaniem obejrzał uszkodzoną ścianę oraz pobojuwisko na krańcu stołu. Podobne zniszczenia mogłyby powstać przy odpaleniu małego ładunku prochu. Chłopak powęszył, szukając charakterystycznego smrodku spalonej siarki i saletry. Nic, jeśli nie liczyć woni palonego papieru — w kominku zwijał się od żaru kawałek kartki rzucony tam podmuchem.

Nardo ostrożnie odstąpił głowę i łypnął nieufnym okiem na maga.

— Ja nic nie zrobiłem — poskarżył się żałośnie. — Nie zawadzam, nen? A ty we mnie rzucasz przeklęcia!

— Niczego nie rzucam — zaprotestował Stalowy. — To był wypadek!

— Wypadek! — jęknął Nardo, ściskając czaszkę rozczapierzonymi dłońmi. — Wypadek! Wypadek! Wypadek! — powtarzał coraz szybciej. — Upadek! Niedobrze! Oooh, niedobrze!

Zakłopotany chłopiec objął go niezgrabnie i poklepywał po karku, dopóki atak lęku nie minął.

— Nic się nie stało. Nic, nic... Tylko hałas, śmiesznie, prawda? Cha, cha...

— Cha, cha...? — zawtórował niepewnie Nardo. Dotknął palcem policzka maga. — Krew... Wypadek...

— Nic mi się nie stało — zapewnił Stworzyciel, ukradkiem macając twarz. Rzeczywiście, musiały pokaleczyć go drobiny szkła, gdyż na końcach palców zostawały ślady czerwieni. Miał szczęście, że żaden odłamek nie uderzył go w oko.

Stalowy wetknął Nardo do rąk pióro i kawałek papieru.

— Skopiuj ten nowy rysunek. Już nie ma miejsca na następne szkice. Jutro pomalujemy ściany, dobrze? I zrobisz model, a potem zobaczymy, czy polecą z okna.

W ten sposób znalazł Nardo zajęcie, co uspokoiło go do reszty, a sam wrócił do badania własnego warsztatu. Z pewnością nie miał tam nic, co mogłoby wybuchnąć samoistnie. Żadne chemikalia nie stały na ogniu ani w jego pobliżu. Nieufnie powąchał oleistą ciecz w kolbie. Wyglądała niewinnie, nie miała przykrego zapachu. Mieszadełko było zwyczajnym patyczkiem, jednym z wielu, które przygotował jakiś czas temu na zapas. Nie przypominał sobie, by przedtem wkładał go do jakiejś innej substancji. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie ogrzać całej kolby nad świecą, lecz instynkt mówił mu, że powinien zachować ostrożność. Zanurzył koniuszek nowego drewnianka w płynie, a potem powoli zbliżył do płomienia, przezornie zasłaniając twarz książką. Nastąpił gwałtowny, głośny trzask, jakby ktoś tuż obok rozłamał gruby kawał drewna. Koniec patyczka zamienił się w poczerniały, dymiący pędzel, który mag obejrzał z osłupieniem, nie dowierzając własnym oczom.

— Wybuchło — rzekł Nardo, machając ręką, by przepędzić dym. — Niebezpiecznie, Stalowy, nen? Ty uważaj na głowę. Co to jest, to znaleźne?

— Wynalazek — poprawił Stalowy odruchowo. — Chyba można to nazwać olejem piorunowym. Król będzie zadowolony. Gallo, panie Nardo, wielkie gallo!

Z najwyższą ostrożnością, prawie nie oddychając, zatkał kolbę korkiem i umieścił w szafce, w której trzymał silne trucizny. Nie było to szczególnie pewne miejsce, lecz zdecydowanie bezpieczniejsze niż otwarta półka. Domyślał się już, co zaszło. Machając mokrym patyczkiem, widać strzepnął z niego kilka kropel płynu, który trafił w poblizze świeczki. Olej piorunowy musiał być niezwykle wrażliwą substancją, a do tego o wielkiej mocy, skoro śladowa ilość potrafiła poczynić tyle szkód. Może dałoby się go wykorzystać do robienia lżejszych i bardziej wydajnych pocisków? Albo zastąpić nim ciężki, wrażliwy na wilgoć proch? Ależ huknęło! Coś niesamowitego...!

Stalowy czuł, jak płomień podniecenia oblewa mu policzki. Po raz pierwszy od dawna dał się bez reszty ponieść emocjom — jak w czasach, gdy jeszcze był dzieckiem o podrapanych kolanach i rozwianej czuprynie. Już przemykały mu przez głowę strzępy projektów i nowych możliwości. Po tylu nieudanych próbach, błędzeniu we mgle, w momencie kiedy już miał ochotę rzucić wszystko — nareszcie coś się udało! Duszę Stalowego wypełniło światło. Lepiej teraz rozumiał Nardo, bez reszty oddanego naukowym ideom i temu nierealnemu marzeniu o skrzydłach. Gdyby nie brak miejsca, zacząłby chyba tańczyć. Z rozmachem otworzył drzwi, zaczął zbiegać po krętych schodkach na dół.

— Trzeba powiedzieć innym! — krzyknął przez ramię. — Zawiadomić Sek. . .

W tym samym momencie coś chwyciło go za nogę. Ręka, którą wiodł po ceglanym wsporniku, ześliznęła się. Stalowy zdążył jeszcze pomyśleć „lece!”.

Ocknął się z zamętem w głowie, nie wiedząc, gdzie góra, gdzie dół. Ktoś krzyczał bez słów, nieznośnie głośno. Spróbował się poruszyć, a wtedy całe jego ciało przeszył dotkliwy ból, jakby nabito go na rożen. Ognisko bólu znajdowało się gdzieś w okolicach prawego barku, a cierpienie oplatało ognistymi pasmami szyję, głowę i plecy. Zorientował się, że leży na schodach, w niewygodnej pozycji, z nogami w górze. Przed oczami latały mu żółte płatki. Zamrugał, bezskutecznie starając się je odpędzić. Parę schodków wyżej stał przerażony Nardo, zawodząc jak zwierzę i waląc się po uszach pięściami.

— Tait. . . — wykrztusił słabo.

Nardo go nie słyszał. Chłopiec sięgnął więc wprost do jego bezładnego umysłu, szukając wrażliwych punktów, wysepek spokoju w chaosie. Wycie ustało, jak nożem uciął.

„Tait, pomóż mi wstać. . . Rozumiesz?”

— Tak. Ja rozumiem — odpowiedział Nardo chrapliwie. Zszedł niżej i niezdarnie próbował podnieść rannego, niestety, sprawiając mu jeszcze więcej udręki. Stworzyciel spostrzegł, że rękaw jego bluzy został rozdarty na znacznej długości, a obszycie mankietu zaczęło się o hak, podtrzymujący sznurową poręcz. Prawe ramię było odrętwiałe.

Chyba złamałem rękę, pomyślał, kurczowo wczepiając palce lewej w ubranie Nardo, kiedy ten prowadził go ostrożnie z powrotem na górę. Stalowy czuł, jak coś ciepłego zalewa mu oczy i spływa wzdłuż nosa. Odruchowo oblizwał wargi. Krew.

— Spadłeś. Spadłeś na głowę — rzekł Nardo, sadzając chłopca pod ścianą. — Niedobrze. Będiesz taki jak ja.

Twarz konstruktora skrzydeł zmieniła się w posępną maskę. Stalowy z obawą pomacał bark, który wyraźnie zmienił położenie. Pod skórą można było wyczuć wystającą kość. Zrobiło mu się trochę mdło. Krew z rozbitego czoła wciąż spływała mu po twarzy.

— Tait, daj mi swoje lekarstwo — szepnął. — Bardzo mnie boli. Boli mnie głowa.

— Tak. Rozumiem.

Opium. To było chyba najlepsze wyjście, przynajmniej chwilowo. Opium uśmierzy ból. Jeśli znów zemdleje, Nardo pozostawiony samemu sobie z pewnością przerazi się na nowo i kto wie, co mu podsunie rozchwiany umysł. Póki ktoś go prowadził, Tait Nardo radził sobie doskonale z prostymi poleceniami. Tak jak w tej chwili, gdy cała jego uwaga skupiona była na nalewaniu leku na łyżkę. Stalowy przełknął gorzki płyn, a potem czekał, aż narkotyk zacznie działać. Na jego życzenie Nardo znalazł kawałek płótna, które mag przyłożył do rany na czole. Potem kazał młodemu mężczyźnie pozbierać wszystkie zabazgrane kartki i ułożyć je w stosik. Tait na każde polecenie odpowiadał: „Tak, rozumiem. Dobrze”. Kiedy tylko nie miał nic do roboty, natychmiast zaczynał uderzać się rytmicznie w usta, a na twarz wypływał mu wyraz kompletnego zagubienia, więc Stworzyciel wymyślał mu nowe zajęcia.

Jako pierwszego Stalowy zdołał odnaleźć Gryfa. Bez najmniejszych wyrzutów sumienia, a nawet z niejaką satysfakcją przerwał mu flirtowanie ze służącą.

„Gryf, rusz się. Niech ktoś przyjdzie do mojej pracowni. Jestem ranny”.

\* \* \*

Kamyk wystrzygł włosy nad czołem Stalowego i zszył rozciętą skórę. Kiedy jednak przyszło do nastawiania zwichniętego ramienia, zabrakło mu odrobiny umiejętności, a Stworzycielowi hartu ducha. Nie pomogło uprzednio zażyte opium. Bładoszary z bólu Stalowy nie dawał się nikomu dotknąć. Nadwornego medyka samej królowej nie dopuścił nawet do łóżka, krzycząc, że nie pozwoli torturować się niedomytemu pigularzowi. Obrażony lekarz zniknął za drzwiami, mamrocząc pod nosem coś o „rozwydrzonych smarkaczach” oraz „przybłędach nie wiadomo skąd”.

— Długo jeszcze będziesz skamlał?! — rozzłościł się Koniec, który był najrozsądniejszy ze wszystkich. — Widziałeś, co Kamyk mówił... to znaczy pisał. Puchniesz coraz bardziej. Niedługo nie da się wcale nastawić tego ramienia albo zrobimy to źle. A lekarza wygoniłeś!

— Miał brudne paznokcie! — jęknął z oburzeniem Stalowy. — Chyba nie sądzisz, że powinien mnie dotykać proszaków z brudnymi rękami.

— Jeśli już mówimy o proszakach... — syknął Mówca. — Masz źrenice jak ziarnka maku. Znów odurzasz się jakimś świństwem. Nic dziwnego, że spadłeś ze schodów!

— Byłem trzeźwy. O coś się potknąłem.

— O pudełko z cukierkami — wtrącił Promień zjadliwie.

— Coś mnie podcięło! Nic nie brałem! — bronił się Stalowy rozpaczliwie. — Dopiero później. Nardo ma opium. . . Ja nie. . .

— Chyba nie myślisz, że w to uwierzę! Pamiętaj, z kim rozmawiasz! — złościł się Koniec.

Wywiązała się krótka, lecz zajadła kłótnia, podczas której Stalowy bronił z góry przegranej pozycji. Tym bardziej więc nie zwracano uwagi na Myszkę. Chłopiec najpierw w milczeniu przysłuchiwał się argumentom Stalowego, potem cichutko odszedł do kąta i zniknął. Nikt tego nie zauważył, zwłaszcza że właśnie nadszedł Sekretarz w towarzystwie jakiegoś obcego mężczyzny. Jak się okazało, spotkali wzburzonego medyka, który nie omieszkął w gorzkich słowach nakreślić sytuacji w kwaterze magów oraz okropnych manier „tego Lengorijena”.

— To pan Dervan Ti Arn-Herewer — przedstawił O’hore oficjalnie swego towarzysza. — Jest. . .

— Kupcem — wpadł mu w słowo tamten. — Sprowadzam towary aż z za gór. Stąd dobrze znam lengore.

Kupiec liczył sobie około czterdziestu lat. Dość wysoki jak na Northlandczyka, szczupły. Długie, ciemne włosy związał na karku prążkowaną wstążką. Twarz miał pokrytą pudrem w eleganckim odcieniu kwiatu wieczernika, a złote paski na powiekach i wzdłuż nosa podkreślały jasnobrązową barwę oczu. W przeciwieństwie do Sekretarza, który jak zwykle tonął w swoim bezkształtnym uniformie, Arn-Herewer odziany był modnie, łącznie z owym nieodzownym dodatkiem w postaci laski nadzianej ostrym szpikulcem.

— Bardzo przykry wypadek — rzekł, podchodząc do Stalowego. — Pan pozwoli, że spojrzę?

— Proszę bardzo — mruknął poszkodowany ponuro, oceniwszy przedtem czystość rąk gościa. — Choć naprawdę nie wiem — palce Arn-Herewera sprawnie obmacały mu czaszkę — dlaczego to pana interesuje.

— Trochę studiowałem medycynę, zanim zająłem się handlem. Żebra całe?

— Yhm. . . Znamy lorda Arn-Kallana. Może krewny?

— Daleki. Nader rzadko się do mnie przyznaje. Czy tu pana boli? — Ruchliwe dłonie Dervana Arn-Herewera zsunęły się na szyję Stalowego.

— Aaa! Ojej. . .!

— No proszę, mało brakowało, by skręcił pan kark. Jest nadwerężony, o tu. . . — przy tych słowach Dervan silnie nacisnął miejsce poniżej ucha chłopca. Stalowy wzdrygnął się, a potem zmiękł jak szmata, przewróciwszy oczami.

— Wszystko w porządku — uspokoił obecnych O’hore. — Teraz będzie można nastawić mu bark.

Przytrzymał nieprzytomnego Stalowego zgodnie ze wskazówkami towarzysza, który dość brutalnie poczynął sobie z ręką chłopaka. Rozległ się wstrętny chrzęst, stłumione trzaśnięcie. . . i już było po wszystkim.

— Trzeba usztywnić mu na parę dni ramię — rzekł Dervan spokojnie. — I powinien przynajmniej dwie noce spać na desce. Te schody musiały być bardzo strome.

— Jak drabina do nieba — potwierdził Gryf. — A skąd pan zna tę sztuczkę?

— Och, przecież jestem kupcem, a w podróżach sporo się można nauczyć — Dervan uraczył go czarującym uśmiechem. — Spotykam mnóstwo ludzi. Najemnicy to istna kopalnia umiejętności, więc gdy...

Urwał. Myszka, który zdążył wrócić ze swej tajemniczej wyprawy, od dłuższej chwili próbował zabrać głos. Zniecierpliwiony wszedł na stołek i wrzasnął: „cisza!”. Cel osiągnął, lecz raptem stał się ośrodkiem uwagi i to ogromnie go zawstydziło.

— Obejrzałem całe schody na wieżę — powiedział z zakłopotaniem. — Stalowy mówił, że coś go podcięło. . . znalazłem TO.

W dwóch palcach trzymał długi kawałek cienkiego sznurka. Na jednym jego końcu dyndał duży gwóźdź.

\* \* \*

*Jeżeli miał być to żart, to wyjątkowo bezmyślny i w złym guście. Sznurek rozciągnięto w poprzek krętych schodów na wieżę. Jednym końcem przymocowany był do ćwieka wbitego nisko w spoinę między cegłami. Drugim — do zardzewiałego uchwyty we wnęce na latarnię. Stalowy wykpił się stosunkowo małym kosztem. Gdyby nie zaczepił o hak rękawem, poleciałby na sam dół i następnego dnia już miałby pochówek, bo z pewnością rozwaliby sobie głowę na ćwierci. Gdy Myszka podniósł ten nieszczęsny kawałek postronka, od razu przypomniały mi się niemiłe wydarzenia w Mieście Na Drzewach i ów człowiek, którego Arn-Kallan był zmuszony zakuć nożem. Wykonywaliśmy pożyteczną pracę dla tutejszego władcy, więc niejasno spodziewaliśmy się większej przychylności ze strony Northlandczyków. Niestety, jak widać, nawet słowo króla nie chroniło nas dostatecznie. Ktoś nas tutaj bardzo nie lubił. A może nawet kilku ktosiów. Służba? Nigdy nie mieliśmy żadnych zatargów nawet z najmarniejszą podkuchenną. Któryś z tutejszych urzędników lub lordów? Lecz czy człowiek wysoko stojący w hierarchii zniżyłby się do tak prymitywnej sztuczki, jak rozciąganie sznurka na schodach? Z drugiej strony, ów wybieg — żałosny w swej prostocie — był na tyle skuteczny, by mocno zaszkodzić tak krzepkiemu chłopakowi jak Stalowy. Sekretarzowi i jego znajomemu stężały twarze, kiedy oglądali znalezisko Myszk. Pewnie pomyśleli to samo co ja: że niekoniecznie miał to być dowcip. Wyeliminowanie Stworzyciela z naszej gromadki poważnie by nas osłabiło. Później Koniec powtórzył mi, że Dervan użył dosadnego, lecz właściwego określenia „gównodziejna niespodzianka”. Koniec miał też podejrzenia (z czym się zgadzam całkowicie), iż pan Dervan Ti*

*Arn-Herewer jest w tym samym stopniu kupcem, co Wyrn O'hore skrybą. Pewne znaczące spojrzenia, ukradkowe gesty, jakie wymieniali i ten szczególny wyraz oczu u obu — niby nie patrzą na nic konkretnie, a widzą wszystko. Rozważane w myślach możliwości... I to, w jak sprytny sposób Dervan podszedł Stalowego... Bystry obserwator z łatwością doda jedno do drugiego, po czym dojdzie do wniosku, że głównym towarem tego kupca nie jest pieprz czy jedwab, ale informacje. W Dervanie uderzyło mnie jeszcze jedno: mało uwagi poświęcał lince, wzrok wciąż uciekał mu do Myszki. Miałem wrażenie, że oblizuje go oczami. Czyżby jeszcze jeden o „hajgońskich” przyzwyczajeniach? Mysz powinien trzymać się od niego z daleka.*

\* \* \*

Arn-Herewer czekał na Myszkę w korytarzu. Jego strój tym razem utrzymany był w barwach liliowo-niebieskich, a farba wokół oczu miała odcień błękitny, co sprawiało, że zdawały się lśnić jak mosiądz. Chłopiec mimowolnie porównał z tym wykwintem własną szarą tunikę i podniszczone buty. Poczł się jeszcze bardziej myszkowato niż zazwyczaj.

— Chciałbym z tobą chwilę porozmawiać. W sprawie osobistej. — Mężczyzna, wydawał się nieco spięty.

— Nie mamy wspólnych spraw osobistych — odparł Myszka sztywno, próbując wyminąć kupca. Zagroziła mu drogę laseczka.

— Chciałbym tylko o coś spytać. To nie zajmie wiele czasu — nalegał Dervan przyciszonym głosem.

Myszka lekko wzruszył ramionami.

— Czy twoja matka ma na imię Jabłoń?

Chłopiec powoli skinął głową, nie zdejmując czujnego spojrzenia z rozmówcy. Arn-Herewer westchnął cicho.

— Dziecko Jabłonki... — powiedział do siebie. Wyciągnął rękę, jakby chciał pogłaskać Myszkę po twarzy, lecz chłopiec uchylił się szybko i dłoń mężczyzny zawisła w powietrzu.

— Jesteś niezwykle podobny do matki. Myślałem wpierw, że to przypadek, ale musiałem spytać. Nie dawało mi to spokoju.

— Pan znał moją matkę?

— Dawno temu.

Kupiec rozejrzał się niespokojnie po pustym korytarzu.

— Strasznie tu głos niesie. Może jednak pójdziemy gdzieś?

To „gdzieś” okazało się małą bawialnią, gdzie stał już stolik nakryty do herbaty. Arn-Herewer był najwyraźniej człowiekiem przewidującym. Myszka przypchnął na brzeżku fotela, bardzo starając się, by nie dotknąć przypadkiem kolana

gospodarza, który przysiadł się bardzo blisko. Obiecywał sobie, że w razie najmniejszego uchybienia po prostu użyje talentu.

— Syn Jabłoni — powiedział po raz drugi Dervan, potrząsając głową. — Dlaczego Myszka?

— Jodłowy — poprawił chłopiec. — Myszka to przydomek.

Kupiec nalewał herbatę z parującego dzbanka.

— Nie będę ukrywał, że chcę zapytać właśnie o twoją matkę. Znałem ją. Dawno... Przed laty...

Przed siedemnastoma, pomyślał Myszka, starając się opanować dreszcze. Przygryzł wargę, wbijając wzrok w haft na obrusie. Dervan mówił dalej:

— Miałem wtedy skład z tkaninami w Lenenji. Oddawałem część jedwabiu do szwalni, a tam Jabłonka... twoja matka była hafciarką. Śliczna jak sen. I taka miła... Kiedy wyszyła mi już wzory na wszystkich tunikach i koszulach, zacząłem jej nosić obrusy, ręczniki, a nawet chustki do nosa! — Roześmiał się krótko, lecz zaraz potem spowaźniał. — Miałem szczerą intencję, ale... musiałem wracać do kraju. I już jej więcej nie spotkałem. A teraz nagle widzę ciebie! I wszystko wraca.

Myszka podniósł wzrok, lecz nadal milczał. Dervan sięgnął do kieszeni, po czym na dłoni pokazał mały, składany nożyk.

— Ona mi go dała. Uważała moje imię za zabawne.

Istotnie, słowem „ti” w lengore określano ogół drobnych przedmiotów, noszonych zwykle w kieszeniach lub szarfie.

— Może i ty nazywałbyś mnie Ti? To byłoby mile — rzekł Dervan. Zabrzmiało to jak prośba, choć zapewne mężczyzna nie miał takiego zamiaru.

— Nie! — Myszka niemal krzyknął. — To nie byłoby właściwe — dodał cierpko.

Dervan w zamyśleniu otworzył, a potem złożył na powrót ostrze.

— Z jakiegoś powodu mnie nie lubisz, choć nie zrobiłem ci nic złego. Rozumiem cię. Twoja lojalność wobec ojca dobrze o tobie świadczy, Jodłowy. Wyobrażam sobie, co o mnie myślisz. Oto zjawia się jakieś indywiduum i plecie nonsensy. Jabłoń wyszła za mąż, ma dzieci. Nie będę jej niepokoił, chcę tylko wiedzieć, jak jej się wiedzie. Czy jest szczęśliwa. Zaslugiwała na to.

— Zaslugiwała — zgodził się Myszka.

— Masz rodzeństwo?

— Nie.

— A... twój ojciec? Jaki on jest?

Myszka ukradkiem wbił paznokcie we wnętrze dłoni.

— Nie żyje od dawna — wymamrotał przez zaciśnięte zęby.

— Przykro mi.

Wcale nie, pomyślał chłopiec ze złością. Wcale ci nie jest przykro, ty draniu.



Miał serdecznie dość. Mdlilo go ze zdenerwowania. Wstał nagle i nie dbając już o konwenanse, rzucił w twarz Dervanowi:

— Moja matka była szczęśliwa. Doskonale radziła sobie bez twoich umizgów i fałszywych obietnic. Wszyscy ją kochali, a ja najbardziej! A tak przy okazji mówiąc, nie żyje od pięciu lat! Możesz to dołączyć do swoich słodkich wspomnień!

Uciekł, zostawiając tego niemożliwego Northlandczyka o jasnych oczach i ujmującym uśmiechu... tego całego Ti, razem z jego pamiątkami, wspominkami i nietkniętą herbatą. Następnie odszukał drogę do ustępów, a potem z premedytacją włożył sobie palce do gardła.

\* \* \*

Dwa dni minęły, zanim Stalowy zaczął ostrożnie używać prawej ręki. Kolejny — nim przygotował opis swoich doświadczeń i próbki wybuchowego oleju, by zaprezentować je królowi. Tym razem w poczekalni przed królewskim gabinetem nie było nikogo prócz maga. Za to wciąż przemierzali ją zaaferowani posłańcy. Król pracował. Stalowy czekał — to bębniąc palcami po wieku piastowanej na kolanach skrzyneczki, to znów sprawdzając nerwowo, czy nie zniszczyła mu się fryzura, którą ułożył tak, by ukryć brzydką szramę na głowie. Prawe ramię nadal miał na temblaku i trzymał się sztywno, gdyż każdy gwałtowniejszy ruch sprawiał, że kark i okolice przeszywały ostre igielki bólu. Na szczęście cierpliwość chłopca nie została wystawiona na zbyt ciężką próbę. Niebawem władca Northlandu znalazł dla niego czas. Odkąd Stalowy był tu ostatnio, komnata posłuchań została zagracona tak, że trudno było znaleźć w niej miejsce niezajmowane przez stojaki z mapami, pulpity zarzucone zwojami pergaminu i przyborami do pisania, fragmenty zbroi czy kosze, z których przesypywały się otwarte listy. Jediną wyspą ładu w tym chaosie był kącik, gdzie na ścianie wisiał portret królowej, a pod nim na małym stoliczku stały wazony z bukietami żółtych i różowych nieśmiertelników. Stworzyciel bezskutecznie rozglądał się za choćby skrawkiem wolnej powierzchni, gdzie mógłby złożyć swój delikatny bagaż. Stół po lewej w całości zawalony był księgami, po prawej — w fortyfikacji z futerałów na zwoje — rezydował O'hore. Arael stał przed portretem, pozornie zatopiony w lekturze jakiegoś dokumentu.

— Gdzie twoje dobre wychowanie, młody człowieku? — odezwał się surowo. — Mógłbyś przynajmniej kiwnąć mi głową!

— Pozdrowienie i wyrazy szacunku, władco Northlandu. Błagam o wybaczenie, lecz moje dobre wychowanie zginęło tragiczną śmiercią na wieżowych schodach — odparł Stalowy z lekkim zakłopotaniem, próbując obrócić w żart swój nietakt. — Niestety, nadal nie mogę się schylać.

— Omal nie złamałeś karku, jak słyszałem. Za to nie złamałeś sobie języka, nad czym może należy ubolewać. Cóż to przydźwigales, panie Stalowy?

Na znak dany przez króla Sekretarz uwolnił nareszcie maga od pudła i ustawił je w niepewnej pozycji na pochyłym pulpicie kopisty. Wyobraźnia Stalowego natychmiast podsunęła mu sugestywny obraz skrzyneczki zsuwającej się na posadzkę oraz wszelkich tego konsekwencji. Delikatne kocie pazurki przesunęły się po jego plecach aż do czubka głowy, stawiając mu włosy na sztorc. Powstrzymał się jednak od komentarza. Podniósł wieko — wewnątrz, starannie zapakowane w grubą warstwę wiórów, spoczywało dziesięć kulek z cienkiego szkła. Wszystkie były zbliżone wielkością do dużej wiśni, a w każdej zamknięty był pęcherzyk żółtawego płynu.

— Co to jest? — spytał Arael, wyciągając jedną kulkę z jej miękkiego gniazdu.

— Płynna śmierć — rzekł sucho Stworzyciel. — Nie potrząsać!! — wrzasnął w następnej sekundzie, gdyż król odruchowo podniósł szkiełko do ucha, by przekonać się, czy chlupocze. Odebrał mu czym prędzej śmiertcionośny drobiazg. — Toroj jest jeszcze za młody, żeby odziedziczyć tron! — sapnął z irytacją. — Tego nie wolno ogrzewać, potrząsać, a już w żadnym razie upuścić!

— To jest ta zapowiadana cudowna broń? Mamy tym rzucać we wrogów? — zapytał król z niedowierzaniem oraz szczyptą ironii.

— Nie inaczej. Panie O'hore, czy mógłbyś otworzyć okno?

Stalowy sprawdził, czy nikt nie przebywa w niebezpiecznej bliskości, po czym wypuścił kulkę z palców, pozwalając, by roztrzaskała się na bruku pod oknem. Grzmot wybuchu przeszył uszy na wskroś, a kłęb kwaśnego dymu sięgnął okna. Na ścianie poniżej wykwitł wachlarz osmalenia. Król skrzywił się, powiercił palcem w ucho, po czym kciukiem wskazał za siebie.

— Wyrn, zestaw to pudełeczko na podłogę. OSTROŻNIE. Nieźle, zupełnie nieźle. — Spojrzał z uznaniem na młodego maga. — Butelka tego czegoś pewnie mogłaby wysadzić mur forteczny.

— I jeszcze więcej — rzekł Stalowy. — Martwi mnie tylko, że substancja jest bardzo niestabilna. Proch nie wybucha od potrząsania. A to... łatwo można sobie wyobrazić, co się stanie, jeśli ktoś się przewróci, mając taką kulkę w kieszeni.

— Czy to... ten... ta ognista woda jest używana w Lengorchii?

— Nie, na całe szczęście. Choć zapewne nie jestem pierwszym, który coś takiego wynalazł. Podejrzewam, że powtórzyłem odkrycie niejakiego Ostrowca zwanego Rozdrobnionym.

— Rozdrobnionym?

— To stara historia. Opowiada się ją wszystkim dzieciakom z kasty Stworzycieli ku przestrodze. Nie wiadomo, co dokładnie wynalazł Ostrowiec, ale faktem jest, że potem trudno było go oddzielić od szczątków wyposażenia pracowni. Podobno zeskrobywano go nawet z powały.

— Zeskrobywano, powiadasz? Wygląda na to, że bycie magiem to nie sam miód.

— O nie. W tym miodzie jest całkiem spora garść piołunu. Ciężko pracujemy jako dzieci, a jeszcze ciężiej, kiedy dorośniemy. Robota intratna, ale często niebezpieczna i brudna. Do tego ludzie zwykle się nas boją. Nic przyjemnego.

Król jeszcze raz zajrzał do śmiercionośnej skrzynki.

— Tak. Jestem zadowolony. Jest to jakiś przełom. A teraz zabierz to stąd, panie Stalowy i wymyśl, jak tego używać, nie zabijając siebie samego.

Stalowy zrozumiał, że spotkanie jest zakończone. Usiłował się uklonić, jęknął, dotykając odruchowo szyi. Król odesłał go niecierpliwym ruchem ręki.

— Idź, idź... I uważaj na schodach.

Sekretarz odprowadził maga do drzwi, a potem wyszedł z nim do przedsionka.

— Król jest cierpliwy — rzekł zniżonym głosem, przytrzymując chłopca za rękaw. — Bawicie go na razie, ale to się może szybko zmienić. To nie jest wasz dobry wujaszek, ale władca, który musi dbać o prestiż. Więc kiedy następnym razem spotkacie go na korytarzu w otoczeniu dworzan, szczerze radzę zadać sobie trud dotknięcia podłogi kolaniem. Radzę też unikać słów w rodzaju: „nie”, „mylisz się” albo „nie chcę”.

— Przecież staramy się być uprzejmi! — zaoponował Stalowy.

— Za mało się staracie! — syknął O'hore. — Od początku wprowadzacie zamęt i prowokujecie ludzi. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, co się tu naprawdę dzieje. Sama wasza obecność sprawia, że na dworze wrze jak w garnku. Jeżeli król większymi łaskami darzy obcych, to jest ogromnie źle widziane. Najpierw nie chciano dopuścić do waszego przybycia, teraz ktoś chce was usunąć. Lekceważycie samego króla, a to może komuś poddać myśl, że Atael jest słaby i może należy zmienić władcę. Jeżeli do tego dojdzie, lepiej połknijcie truciznę, zanim was dopadnę.

— Nie groź mi! — szepnął Stalowy złowrogo. — Bardzo tego nie lubię! I bynajmniej się nie boję.

— A może powinienes, panie „Nie-mogę-się-schylać”? — zaszydził Sekretarz. — Radzę trochę niżej nosić głowę. To ci wyjdzie tylko na dobre. Przestańcie wreszcie zachowywać się, jakby cały zamek do was należał. Wręcz prosicie się o wizytę cichorękiego. A my nie jesteśmy w stanie upilnować wszystkich przeciwników magii. Za dużo ich.

— My? To znaczy kto?

— Ludzie króla, patrioci. Ci, co wierzą, że król jeszcze nie sprzedaje nas Kręgowi. Ci, którzy nawet oddadzą za ciebie życie, ty niedowarzony smarkaczu, tylko dlatego, że on im kazał cię chronić.

— Dzięki — mruknął Stalowy ponuro. — Oby nie było takiej okazji. A teraz puść mnie, muszę wracać do swojej pracy.

\* \* \*

*Stalowy pracuje najciężej z nas wszystkich. Prócz wytwarzania złota i wszystkich tych rzeczy, jakie niezbędne są podopiecznym królowej, musi znaleźć jeszcze czas na spełnienie życzeń króla i pomóc mechanikowi o imieniu Biliar. O ile stary zbrojmistrz z łatwością skopiował mechanizmy zapłonowe zdobyczej broni, musiał poddać się przy lufach. Odlewane mosiężne rury były za ciężkie, by mógł je nosić swobodnie jeden człowiek. Odchudzenie ścianek powodowało, że po kilku strzałach próbnych lufa się odkształcała, więc nawet przy najstaranniejszym celowaniu nie dało się przewidzieć, w co się trafi. W ten sposób zostało zmasakrowanych kilka drzew i szopa na narzędzia ogrodnicze, kiedy Biliar dokonywał prób w odległym kącie sadu. O dziwo, najlepiej sprawdzało się spiralne zakuwanie stalowej taśmy na twardym rdzeniu, co dawało w rezultacie długą i stosunkowo lekką rurę. Ołowiane kule leciały tam, gdzie miały lecieć, za to lufa wytrzymała jedynie dziesięć strzałów, po czym rozwinęła się niczym wstążka, omal nie obcinając głowy strzelcowi. Biedny pan Biliar w desperacji już snuł plany samobójcze, lecz w końcu schował dumę głęboko do skrzyni i zdecydował się zwrócić o pomoc do obcych. Stalowy chętnie wykonał dla niego pierwszą lufę samopatu — z „utrwalonego” mosiądzu. Pierwowzór okazał się lekki oraz wytrzymały, za to kule dziurawiły niebo i ziemię, jakby złośliwie omijając tarcze. Trafiały z grubsza w cel dopiero z dystansu piętnastu kroków, a z takiej odległości łatwiej dźgnąć wroga patykiem w oko — jak stwierdził zgryźliwie nasz Stworzyciel. Zagadkę, dlaczego samopat z blaszanej wstęgi był celniejszy, rozwiązał Promień. Śledził trudy Bilara i Stalowego, najpierw z poczuciem wyższości (nadal zresztą uważa łuk za broń dalece pewniejszą i bardziej elegancką), a potem z coraz większym zainteresowaniem. Wiedział doskonale, że w strzałach skośne ustawienie lotek powoduje, iż ich lot jest bardziej stabilny. Zaproponował, aby zastąpić ołowiane, miękkie pociski brązowymi szpicami, ukośnie ponacinanymi po bokach. To wyprostowało znacząco ich lot, ale kule takie były zbyt kosztowne. A przecież od razu trzeba by wyposażyć w nową broń co najmniej kilkuset żołnierzy. Prosty obrachunek daje przygnębiający wynik około pięciu tysięcy pocisków, które trzeba by odlać w sztabach, pociąć, żłobkować i wypolerować, żeby nie blokowały się we wnętrzu lufy. Tyle na początek, a mieliśmy coraz mniej czasu. Rozgoryczony porażką Stalowy wykonał wzmocnioną kopię „tasiemkowej” lufy i właśnie wtedy Promień odkrył, że zarówno brązowe jak i ołowiane kule opuszczają ją z charakterystycznymi zadrapaniami, jakby odbijało się na nich wnętrze rury. Żłobkowane spiralnie wnętrze lufy (co początkowo wszyscy uznawaliśmy za wadę), sprawiało, że pocisk wirował w powietrzu, podobnie jak strzała, którą tak samo obracają lotki. To było bardzo znaczące odkrycie. Promień nadyma się dumą aż nieco przesadnie. Jednak Stalowemu błyskawicznie skisł humor, kiedy okazało się, że będzie najszybszym i najrzetelniejszym wykonawcą elementów do nowej broni. Od tej pory z trudem*

dzieli czas między swoje laboratorium, pracownię pana Biliara, gdzie produkuje średnio od dziesięciu do dwunastu żłobkowanych luf na dzień, oraz zlecenia królowej. Wraca zwykle do komnaty późnym wieczorem, pada w ubraniu na łóżko i najczęściej musimy zdejmować mu buty, bo zasypia, zanim jeszcze do końca się przewróci. Budzimy go, żeby coś zjadł, a on zasypia przy stole z łyżką w ustach. Tłumaczymy mu, że niemożliwe jest, aby sam zdołał uzbroić northlandzką armię, nawet jeżeli wytwarza jedynie pojedynczy element całości. Wykonywanie drewnianych kolb, imadetek do lontów albo odlewanie kul Biliar zlecił rzemieślnikom z Kodau — ogromnie zadowolonym, że zarobią na chleb. Stalowy niepotrzebnie i bezsensownie zabija się na raty. (Ciekawe, czy król i królowa zdają sobie sprawę z jego poświęcenia). A to i tak wciąż za mało, choć niebawem dołączy do nas Nocny Śpiewak. Do tak gigantycznej pracy potrzeba co najmniej sześciu błękitnych Stworzycieli. Koniec twierdzi, że też już zastanawiał się nad tą sprawą. Knują coś na spółkę z Wyrnem O'hore, ale na razie z niczym się nie zdradzają.

Wężownik i Myszka ślęczą nad geograficznymi opracowaniami, które pozwolono im zabrać z zamkowej biblioteki. (Zdaje mi się rozczulająco uboga, gdy wspomnę księgozbiory Zamku Magów). Porównują je z tymi, które są ich własnością, wykreślają nowe plany. Uczą się wszystkiego na pamięć. Obudzeni w środku nocy mogliby wskazać bez namysłu dowolny punkt na mapie i wyrecytować wszystkie szczegóły dotyczące położenia, wysokości względem morza, ukształtowania terenu, punktów orientacyjnych i przewidywanych niebezpieczeństw. Ich stół usłany jest płachtami posklejanych kawałków papieru i zabazgranymi świstkami, z których każdy jest na wagę złota, choć na pierwszy rzut oka zawierają jedynie niezrozumiałe cyfry. Wędrowcy opracowali już na tyle dobrze sieć koordynatów samego Kodau i okolicy, że bez ryzyka mogą rozprowadzać najpilniejszą pocztę, która wychodzi z królewskiej kancelarii. Otrzymali też pierwsze zlecenia prywatne — od klientów zażenowanych i spłoszonych tak, jakby przyszli do wyrwizęba, a nie wysłać list.

Promień zaczął uczyć chłopców northlanu, bo twierdzi, że przynoszą wstyd ojczyźnie swoją fatalną wymową. W długie, ciemne wieczory nasza kwatera zamienia się w szkołę — jak za dawnych czasów, z tą różnicą, że Promień nie jest nawet w połowie tak cierpliwym nauczycielem jak Kowal i nie cieszy się nawet w ćwierci podobnym szacunkiem. Koledzy kpią sobie z niego w żywe oczy. Chłopaki mażą northlandzkie znaki wapnem na desce albo tłumaczą fragmenty książek. Promień zabrania odzywać się im podczas lekcji w lengore. „Lepiej, żebyś milczał, niż obrażał moje uszy jakimś beznadziejnym bełkotem pół na pół” — tak podobno mawia. Pewnego razu Gryf dostał kartkę z napisem, który miał przeczytać po northlandzku. Powiedział „dzisiaj”, a potem zamilkł. „Co dalej?” — zapytał Promień. „Dalej nie znam ani słowa — odparł Obserwator — więc milczę”. Jak widać, jest u nas wieczorami wesoło. Chciałem nauczyć się pisać na northlandzki sposób, ale to chyba niemożliwe, a w każdym razie zajęłoby mi całe

*lata. Northlandczycy używają wyłącznie ideowego klucza drugiego stopnia, jakimi stosujemy przy słowach zapożyczonych. Jeden znak — jeden dźwięk. To w sumie całkiem proste, jeśli się przyzwyczaić. Proste, ale dla słyszających. Znaków jest tylko trzydzieści dwa, lecz musiałbym nauczyć się na pamięć dokładnej ich kolejności dla każdego słowa i absolutnie nie wolno by mi było się pomylić! Zacząłem liczyć możliwości ustawienia tych trzydziestu dwóch podobnych do siebie zygzaków i już na wstępie wyszły mi liczby tysięczne. Raczej zostanę przy rodzimym języku. Nauczyłem się tylko własnego imienia.*

KAWYK      A

*Jest dość znaczna różnica, prawda?*

*Winograd również znalazł sobie zajęcie, wchodząc w bliższą komitywę ze stajennymi i dozorcą psiarni. Znika na całe godziny, a powraca, cuchnąc mokrą psią sierścią, końmi i gnojem. Ja i Koniec pracujemy nad jeńcami. Nad jeńcem... potem napiszę o tym obszerniej. W sumie z nas wszystkich tylko Gryf próżniaczy się bezwstydnie, bo prócz niewielkiej pomocy przy rozdzielaniu i pakowaniu rzeczy dla ubogich, jego głównym zajęciem jest bałamucenie pokojówek, robienie słodkich oczu do co ładniejszych dam z otoczenia królowej oraz gra na flecie. Od kiedy takie obowiązki jak na przykład noszenie wody, palenie w kominku, pranie oraz gotowanie znów zdjęta z nas służba, Gryf nawet nie czyści sobie sam butów. Powiada, że jako dziecko musiał harować jak niewolnik w polu, w drwalni i przy strzyżeniu owiec, a teraz ma zamiar odpoczywać, owce oglądając jedynie na półmisku w postaci pieczeni. A tłuszczem nie obrośnie, mili moi, bo ma aż nadto ruchu, głównie w nocy. Czasem mam przemożną ochotę trzepnąć go tak, żeby się nogami nakrył.*

\* \* \*

*Jak przedtem wspominałem, pracowaliśmy nad pojmanymi wojownikami. Nie można ich było nakłonić do mówienia, więc chcieliśmy ich zmusić, żeby myśleli — jak najwięcej i to o rzeczach nam przydatnych. Koniec chciał przesiać ich głowy. Rozeznać się — skąd przybyli, jak wygląda ich kraj. Może wtedy zrozumielibyśmy, czego chcą, dlaczego są tak bezwzględni zarówno dla Northlandczyków, jak i siebie samych. A poznanie choćby niewielu słów z ich języka ułatwiłoby — nie porozumienie, skoro nie chcą go oni — ale może szpiegowanie? Tak więc przypadła mi rola, która kojarzy mi się ze szturchaniem kijem psa, by szczekał. Miałem pokazywać jeńcom rozmaite obrazy. Postanowiłem głównie korzystać ze wspomnień,*

*jakie pozostały mi z Domu Innych Ludzi na Bursztynowym Wybrzeżu. W pracowni malarskiej Monety wielokrotnie widziałem rysunki wykonane przez ułomnego Obserwatora Liścia i potrafiłem sporo z nich odtworzyć z pamięci. Byłem niemal całkowicie pewien, że Liść swym talentem sięgał aż za ocean, a jego prace wyobrażały właśnie fragmenty tamtego tajemniczego świata. Twarze z rysunków musiały należeć do pobratymców obcych żołnierzy. W domach podobnych tym kreślonym węglem musieli kiedyś mieszkać. Otaczały ich rośliny pokrewne kwiatom, które wychodziły spod niespokojnych palców Liścia. To dawało nam nadzieję, że odpowiednie wizje popchną więźniów do wspomnień. Czas pokazał, jak bardzo się myliliśmy.*

*Z początku Koniec próbował skłonić ich choćby do tego, by wymienili swoje imiona. Jediną reakcją więźnia z nadwężonym nadgarstkiem było pogardliwe splunięcie. Odwrócił głowę, wbijając wzrok w ścianę. Drugi z zaciętym wyrazem twarzy drapał się zawzięcie po głowie. Z pewnością w tej ponurej norze złapał wszy. Zacząłem łagodnie — przed mężczyzną wyrósł wprost z podłogi egzotyczny kwiat, rozwijając jaskrawo-czerwone płatki. W celi rozszedł się ciężki zapach przypominający woń cesarskiej róży. Nie mogłem mieć żadnej pewności, czy dobrałem odpowiednią barwę (kwiat ten widziałem jedynie jako czarno-szary wizerunek na kawałku papieru), nie wspominając już o zapachu. Jednak chodziło przecież tylko o to, by obudzić ciekawość mieszkańca celi. Raptownie podwinął pod siebie nogi, jakby kwiat miał zamiar go ukąsić. Widziałem, jak jego usta otwierają się na krótko. Według Końca krzyknął tylko jedno słowo, ale nie jestem w stanie zapisać go tutaj, bo przypominało raczej kraknięcie drapieżnego ptaka. Jego towarzysz natychmiast rzucił się do krat, wciskając twarz między zimne żelaza. Obaj — podejrzliwi, chmurni — obserwowali dalszy ciąg mego pokazu. Do kwiatu podeszła ciemnoskóra, czarnowłosa dziewczynka — nie dałem jej więcej niż dziesięć lat, chcąc, by pozbawieni od dłuższego czasu kobiet mężczyźni skojarzyli ją raczej z własnymi dziećmi i domem niż z obozowymi dziwkami. Dziecko zerwało kwiatek, potem stworzyłem w murze drzwi, przez które przeszło. Ośmielony, zacząłem podsuwać jeńcom obrazy budowli, jakie zapamiętałem z rysunków Liścia. Troszkę fantazjowałem, dodawałem rośliny, zwierzęta. . . nieco żywszą reakcję wywołała iluzja gryfa. Nie tej ciężkiej bestii o lwim korpusie, którą przedstawiano na malowidłach i rzeźbach, lecz realnego (śmieszne słowo w takiej sytuacji) zwierzęcia ze zgrabną ptasią głową, kocimi łapami oraz puszystym ogonem. Nadałem mu rozmiar mniej więcej psa, lecz oczywiście nie miałem absolutnie żadnego pojęcia, jakiej wielkości był naprawdę. Mężczyzna z wielką ostrożnością dotknął zjawy, a ja już zadbałem, by poczuł pod dłonią pióra i sierść. Cofnął rękę, trąc palcami o siebie, jakby tknął czegoś brudnego. Jego pierś poruszała się szybko — dyszał ze wzburzenia lub lęku. Mówił jakieś pojedyncze słowa, które chciwie łowił Koniec.*

*Drugi jeniec wciąż tkwił w tej samej pozycji, zaciskając ręce na prętach. Jego twarz zastygła w wyrazie utajonej pasji. Przypominała maskę, w której całe uczu-*

cie skupiło się w oczach, a nie było w nich ani śdźbła życzliwości. Ten człowiek, którego wraz z Końcem wybraliśmy, był młodszy, mniej napastliwy i wydawał się nieco bardziej otwarty. Po rozmaitych przedmiotach spróbowałem pokazać mu malowidła oraz znaki z Labiryntu, w nadziei, że któryś z nich rozpozna. Ze zmarszczonymi brwiami patrzył na malowane postacie dostojników, kobiet o wymyślnych fryzurach i wojowników. Przy wizerunkach lamii zrobił się bardziej niespokojny, oczy biegały mu od miraży do nas i z powrotem. A kiedy freski zastąpił obraz węża połykającego własny ogon, niestety, wszystkie nasze plany rozsypały się jak wieża z piasku.

To stało się tak nagle, że okropnie się przeraziłem. Jeniec uderzył całym ciałem w kraty, wyciągając przez nie ręce o palcach zagiętych na kształt szponów. Jego wargi wygięły się w koszmarnym grymasie, odstaniając zęby. Krzyczał coś, pryskając śliną. Oddalając się odruchowo od niego, zbliżyłem się nieostrożnie do starszego więźnia. Natychmiast skorzystał z okazji, by złapać mnie za włosy. W ostatniej chwili uniknąłem niebezpieczeństwa i wyrwał mi tylko kilka. Splunął, wykonując jednocześnie wyraziste gesty podcinania gardła oraz rozrywania piersi. Drugi jeniec miotał się po celi, ciskając w nas słomą z bartłogu i waląc pięściami o kraty w bezsilnej złości. Wstrząśnięci, wycofaliśmy się z Końcem na schody, by mężczyźni nie mogli nas widzieć.

„Widocznie pokazałeś mu coś, czego nie powinien” — osądził mój towarzysz.

„Skąd miałem wiedzieć, co powinienem, a co nie? To niebezpieczni furiaci. Jeden się ciska, a drugi atakuje znienacka. Sam już nie wiem, który gorszy. Przecież niczym im nie groziliśmy”.

Koniec chciał uspokoić obcych, sięgając ku nim myślami i próbując przekazać choćby mglistą deklarację dobrych zamiarów. Wpatrywał się w szczyt schodów, a twarz marszczyła mu się coraz bardziej z przygnębienia. Potrząsnął głową i zakrył uszy rękami. Później zwierzył mi się, że jego wysiłki miały zupełnie odwrotny skutek. Z pomieszczenia powyżej dobiegał nieskładny dwugłos, powtarzający coś, co brzmiało jak zaklęcie lub modlitwa, lecz wyrzaskiwana obelżywym tonem, z całej mocy gardła, aż słowa zmieniały się momentami w zwierzęce niemal wycie. Światelka jaźni więźniów nie lśniły jasno i równo, lecz kotłowały się jak świetliste meduzy katowane przybojem. Czując obecność Mówcy, który zanurzał palce mentalnego kontaktu w ich głowach, byli bliscy obłędu z odrazy i strachu. Dalsze próby nie miały najmniejszego sensu. Odeszliśmy, by jeńcy mogli odpocząć i uspokoić się.

Wróciliśmy po dwóch godzinach, ale widok, jaki zastaliśmy, był bodajże jeszcze gorszy. Młodszy więzień siedział pośrodku swej ciasnej komórki, tyłem do krat. Był całkowicie nagi, dygotał z zimna. Dopiero teraz mieliśmy okazję zobaczyć, że jego plecy i ramiona w całości pokryte są zawitym, czarnym tatuażem. W takim samym miejscu, w jakim ja miałem swojego kolorowego motyla, u niego rozpoście-



*rało skrzydła wielkie ptaszysko o masywnym dziobie. Mógł być to orzeł, jastrząb lub jakikolwiek ptak drapieżny, gdyż rysunek był dość uproszczony. Wokoło niego wiły się desenie podobne jednocześnie do płomieni, liści i macek ośmiornicy. Kiedy tylko Koniec próbował odezwać się do jeńca, ręce tamtego natychmiast wystrzeliły ku górze, zakrywając uszy, a monotonne powtarzanie wersetów zaczęło się na nowo. Drugi mężczyzna zbliżył się do kratownicy, podciągnął złachmaniony kubrak, po czym próbował nas obsikać. Prawie mu się udało. Cuchnąca uryna rozlała się po kamiennej podłodze, opryskała mi buty, które potem długo czyściłem w śniegu. Nie pozostało nic innego, jak uznać się za przegranych i pozostawić przybyszów własnemu losowi. Koniec zdołał się tylko zorientować, iż młodszy mężczyzna karze sam siebie za to, że okazał nam tę odrobinę zainteresowania, co zbrukało go w oczach towarzysza. Całe to wydarzenie pozostawiło w nas głębokie poczucie zniechęcenia oraz gorzkiej krzywdy. Odeszła nas całkowicie ochota do bliższych kontaktów z centaurem. A miało być jeszcze gorzej.*

*Następnego dnia dotarła do nas wiadomość, że obaj jeńcy nie żyją. Nauczenni doświadczeniem dozorczy nie pozostawili w ich celach niczego ostrego, nawet gwoźdźcia. Miski dostali drewniane, by skorupą nie mogli zrobić krzywdy sobie ani nikomu innemu. A jednak znaleźli sposób, by we własnym pojęciu uciec. Młodszy splótł sznur z ubrania i powiesił się na kracie. Górna poprzeczna sztaba była mimo wszystko za niska, więc samobójca niemal kłęczał. To musiało wymagać ogromnej siły woli. Z pewnością agonია była długa i bolesna. Drugi wojownik siedział pod ścianą, podkurczywszy nogi. Skrył głowę w ramionach — zdawało się w pierwszej chwili, że śpi w tej niewygodnej pozycji. Jednak pod nim rozlewała się wielka, ciemna plama krzepnącej krwi. Odgryzł sobie język.*

*Nie mogliśmy oczywiście przewidzieć takiego finału naszych usiłowań — ci ludzie byli jednak zupełnymi szaleńcami — lecz mimo to czuliśmy się winni ich śmierci. Nie miałem wątpliwości, że to zetknięcie się z magią popchnęło jeńców do czynów ostatecznych. Sekretarz kazał spalić ciała na stosie, a potem rozsypać prochy z wierzchołka muru obronnego. Ceni się tu odwagę i w innym wypadku ludzie owi spoczęliby w ziemi, jak każe tutejszy obyczaj. Jednak mieszkańcy zamku bali się, że ściągnie to na nich przekleństwo. W zmarłych było zbyt dużo nienawiści, by lekkomyślnie oferować im wieczny dom obok żywych. Czarny dym ze stosu długo kłębił się ponad murami. Po raz pierwszy od czasu hajgońskiej strzyży ja i Koniec upiliśmy się. Na smutno.*

\* \* \*

Powietrze pocięplało. Nie czuło się już w nim gryzącej obecności mrozu. Śnieg pokrył się na powierzchni warstwą kryształków lodu, jakby niewidzialne duchy posypały go cukrem. Potem ciepły wiatr zaczął pochłaniać z apetytem zaspę w ogrodach. Wszędzie zrobiło się mokro. „Na dobrą wróżbę” — cieszyli się

spragnieni słońca i ciepła Lengorchianie, wierząc, że są to pierwsze oznaki wiosny. W rozpiętych kozuszkach, beztrąsko rozchlapywali butami kałuże, obrywali spod okapów kąpiące sztyleciki sopli, dla psoty wrzucali sobie nawzajem za kołnierze kawałeczki lodu. Na odstoniętych spłachetkach czarnej ziemi szukali pierwszych kiełków. „To tylko chwilowa odwilż” — mówił Toroj z pobłażliwym uśmiechem, ale nie chcieli mu wierzyć. To musiała być wiosna. Czyż nie wystarczająco długo dręczył ich śnieg i mróz? Jednak zamiast wiosny przyszedł katar, a potem gorączka i nie tylko spacer w ogrodach, ale także prace zlecone przez parę królewską zostały zawieszony na czas nieokreślony.

Pierwszego dnia rano w łóżku pozostał Myszka, ale już wieczorem dołączył do niego Winograd, skarżący się na dreszcze, zawroty głowy i bóle w stawach. Drugiego dnia identyczne objawy skosiły w ciągu paru godzin całą resztę. A za kolorowymi szybkami komnaty, jak na ironię, znów opadały leciutkie płatki śniegu. Sprowadzony medyk zapewnił zaleknionych pacjentów, że nie ma mowy o żadnej zaradzie. Rozpoznał wszystkie typowe objawy przykryj, lecz pospolitej choroby zwanej czterodniową influencją, a krócej czterodniówką. Czterodniówka upodobała sobie właśnie okresy zawilgłych chłódów, a roznosiła się z zadziwiająco łatwością. Najczęściej zapadały na nią dzieci. Kto raz ją odchorował, rzadko miewał nawroty i ofiary śmiertelne należały do nielicznych wyjątków. Należało przyjąć influencję jak każdy niefart losu — przecierpieć i zapomnieć. Służba miała zadbać o potrzeby chorych, a lekarz obiecał przynieść lekarstwo na obniżenie gorączki.

— Jaaak cudooownie... — wymamrotał Stalowy głosem pełnym rozmazanego zachwytu. — jestem chory... nic nie muszę robić. To naprawdę... podarunek Bogini. Wreszcie mogę odpocząć.

— Ale tylko przez cztery dni, słyszałeś? — powiedział Gryf z sarkazmem, po czym wysmarkał nos w róg ręcznika. — I na pewno nie umrzemy. Jest się z czego cieszyć.

- Co ty tam wiesz o umieraniu — mruknął Promień. - Umieranie nie bolało, o tym już zdążył się przekonać. To życie boli, a zwłaszcza wtedy, gdy ma się uczucie, że pod czaszką przesypuje się żwir. Kiedy oczy pieką od światła, zakatarzony nos jest obcym tworem przyczepionym do twarzy, a na piersiach osiada duszący ciężar. Bycie martwym to luksus. Jednak Promień nie miał ani siły, ani ochoty do rozwinięcia tych przemyśleń na głos. Łamało go w plecach, nie mógł znaleźć sobie wygodnej pozycji. Z jednej strony miał widok na smętny profil Winograda, na którego głowie umościł się jok, z drugiej mógł oglądać zirytowanego i zasmarowanego do ostatecznych granic Gryfa. Żadna z tych możliwości go nie pociągała. Wpatrywanie się natomiast w półkolisty sufit komnaty sprawiało, że ornamenty na nim zaczynały pływać, a zamykanie oczu pociągało za sobą uczucie spadania w jakieś ciemne głębin. Promień jęknął z irytacją i zaciągnął zasłonki po obu stronach łóżka. Cztery dni? Oby wytrzymał następne cztery godziny!

Lek przysłany przed królewskiego lekarza okazał się brunatną cieczą o konsystencji rzadkiego błota. Do tego z niewiadomych powodów śmierdział przeraźliwie zgniłym masłem. Nikt nie był w stanie tego wachać, nie mówiąc już o pokłnięciu choćby łyżeczki. Nawet Kamyk stracił resztki szacunku dla northlandzkiej medycyny i nie nalegał na zażycie tego paskudztwa. Obie butelki wetknięto do kąta, po czym natychmiast o nich zapomniano. Wychowanek medyka Płowego wyciągnął z osobistych zapasów jakieś tajemnicze korzonki i suszone zielska, by ratować kolegów na własną rękę. Przepis na wywar ściągający gorączkę nadal przechowywał w jakimś zakątku pamięci. Pokroić, zalać wrzątkiem... czy najpierw namoczyć w zimnej, a potem zagotować? Co najpierw, a co potem? Czy aby na pewno ma wszystko, co potrzeba? Gdyby tylko ręce mu tak nie drżały...

Wtedy to po raz pierwszy wkroczyła w życie młodych magów kobieta o imieniu Fargolia. Należała do osób, które sprawiają wrażenie, że są w stanie przejść przez mur, nie zmieniając tempa marszu. Nie była ani szczególnie otyła, ani przesadnie muskularna, lecz po prostu duża i to samorzutnie wzbudzało respekt. Stała pośrodku komnaty, wspierając pięści na biodrach i zmierzyla spojrzeniem otoczenie jak generał szykujący się do bitwy. Nawet jej suknia w brązowo-białych barwach służby pokojowej wydawała się mieć coś wspólnego z mundurem.

— Nazywam się Fargolia — odezwała się szorstko w northlanie. — Pani Fargolia. A wy, panowie czarownicy, teraz pod moją opieką i przewodem. Mówi tu który po ludzku?

Palce słuchaczy natychmiast wskazały Promienia. Prawie wszystko rozumieli, ale składanie słów w obcym języku nadal przysparzało im trudności. Przybyła obejrzała szkliste oczy Iskry, ceglasty rumieniec, pomacała za uszami, po czym pokręciła głową.

— Ten tu mi dużo nie powie.

— Ja mówię w northlanie — zachrypiął Koniec.

— Medyk był?

— Był.

— Co rzekł?

— Że mamy przechorować.

Fargolia zachnęła się gniewnie.

— On tam dużo wie, ten pigularz zatracony. Swoich wszystkich sześcioro przeprowadziłam przez czterodniówkę, cudzych ani nie policzę. Influa na piersi się rzuca, na uszy albo rozum wypala. Lepiej na zimne dmuchać. A ten co tam skrobie?

Odebrała Kamykowi nóż i zagnała go z powrotem do łóżka.

— Mięta, żółcieniec i krzywian... dobre to, ale ja swoje leki mam. Niech leży i się nie obziębia, bo w lędźwia mu choroba wejdzie.

Pani Fargolia na dobre objęła rządy w kwaterze magów. Miała własne poglądy na leczenie i prędzej kamień by zakwitł, niż ona zmieniłaby zdanie. Osłabieni

chłopcy nie mieli siły z nią walczyć i z rezygnacją poddawali się jej zabiegom. W sumie było to nawet pewną ulgą, że ktoś wziął na siebie całą odpowiedzialność. W powietrzu mieszały się wonie topionego masła, miodu, ziół i przypraw. Zapach palonego bursztynu walczył z upiornym odorem czosnku, przegrywając sromotnie jedną bitwę po drugiej. Dwie pomocnice pani Fargolii krzątały się, pojąc chorych tłustym rosołem, grzany winem albo tajemniczymi naparami, gorzkimi niczym żółć. Myszka natychmiast stał się ich ulubieńcem, a na drugiej pozycji umieścili pięknego Obserwatora. Natomiast Fargolia traktowała wszystkich z jednakową, szorstką lecz sprawiedliwą troskliwością.

Wkrótce jednak zaczęła wyróżniać Promienia, co było jednakże objawem niepokojącym. Kładła mu dłoń na czole i cmokała z niezadowoleniem. Gorączka nie spadała. Wszyscy inni, nawet delikatnej konstrukcji Myszka, już trzeciego dnia czuli się w miarę dobrze, a stan Iskry wcale się nie poprawiał. Według Fargolii „influza zesłała mu na piersi”.

Królowa nie zapomniała o chorych. Przysłała w podarunku kosz wypełniony słodkimi bułkami, garnczkiem konfitur z owoców róży i legendarnymi już saszetkami pachnących ziół, robionymi własnoręcznie. Dodatkiem do kosza był lekarz, który miał obejrzeć Promienia. O dziwo, nie ten sam, który składał wizytę poprzednio.

— Dziwne to trochę, ale mój poprzednik wyjechał bardzo nagle, ponoć w sprawach rodzinnych. Padł do nóg Najjaśniejszej Pani, błagał o natychmiastowe zwolnienie z obowiązku — objaśnił zagadnięty medyk. — A wyjechał w takim pośpiechu, że nawet połowy swej własności nie zabrał. Musiało wielkie nieszczęście na jego dom spaść.

— Kiedy wyjechał? — spytał Koniec.

Lekarz zastanowił się, jednocześnie oglądając wewnątrz powiek swego pacjenta.

— Akurat dziś będzie trzy dni. Proszę głęboko oddychać.

Przyłożył ucho do piersi Promienia.

— To musiał zebrać się natychmiast po tym, jak był u nas! — zdumiał się Mówca. — Przedziwne!

— Istotnie. Nie będę fałszywie nad tym ubolewał. Dla mnie było to szczęśliwe wydarzenie.

Policzył choremu puls, po czym z niewiadomych powodów zaczął oglądać jego paznokcie.

— Jak wiadomo, materia składa się z czterech żywiołów, czyli esencji — odezwał się wreszcie z powagą. — Została w ciele zachwiana tych esencji równowaga. U pana ogień wziął górę, co i niedziwne z racji profesji. Logicznym więc się zdaje, by wyrównać niedobory. Wody zimnej miarkę pomieszać z półmiarką kredy drobno zmielonej i pić cztery razy na dzień.

— Pół miarki powietrza wdmuchiwać miechem w tyłek... — odezwał się Gryf scenicznym szeptem.

Promień przewrócił oczami.

— Zabierzcie go, błagam.

Lekarz uznał chyba, że mowa o Gryfie albo nie znał dostatecznie lengore, gdyż nie zareagował, rozwodząc się z kolei nad kształtem paznokci Iskry, świadczącym ponoć o słabej przeponie.

Stalowy zakrył głowę poduszką, dusząc się ze śmiechu. Gryf w nocnej koszuli tańczył za plecami lekarza, robiąc mocno obraźliwe grymasy.

Pani Fargolia napała na medyka brzuchem, uśmiechając się przymilnie.

— Kreda, powiada pan? Taka jak do czyszczenia sreber?

— Najlepsza byłaby dobywana pod Bunorgiem. Z powodu bliskości morza dobroczynna sól wchodzi tam w kamienie.

Fargolia, wciąż miło uśmiechnięta, rozplływająca się w podziękowaniach, wymanewrowała medyka za drzwi.

— Kreda!! — ryknęła z furją, kiedy tylko zniknął jej z oczu. — Szczęście i dobrodziejstwo boże, że Miłościwa Pani cieszy się dobrym zdrowiem, bo ten na złą krew rdzę by jeść jej kazał, że czerwona! Rozumu nie ma ani ćwierci! Panie Gryf, nie lataj boso!

Gryf posłusznie skierował się do swego posłania, po drodze wyciągając z kosa jeszcze jedną bułeczkę. Przy tym znalazł list. Pismo nie było zapieczętowane, a na wierzchu niezdarnie, lecz w sposób rozpoznawalny, ktoś wyrysował ideogram „promień”.

— Promyczek dostał list! — zawołał Gryf, wymachując papierem. — Pewnie od jakiejś panienki.

Z ręką na sercu zaczął recytować piskliwie, udając, że odczytuje pismo:

— Kocham cię tak, że tchu mi nie staje, z tęsknoty zniosłam już jaje. Kocham cię bez przerwy, aż drżą mi nerwy. O każdej godzinie, w łaźni i w kominie, na drągu i w przeciągu, w męce i w sukience, w łożu i na nożu, w kożuchu i na brzuchu. W każdej pozycji... — urwał nagle, bo skończył mu się zarówno oddech, jak i zły rymy.

— Idiota — mruknął Promień apatycznie.

— Z tobą jest naprawdę źle — stwierdził Gryf, rzucając list na jego koldrę.

Chłopak, nie czytając, zmiął liścik w kulę, rzucił w stronę płonącego kominka. Śmieć potoczył się pod stołek i już tam został, niezauważony przez panią Fargolię, która właśnie nadciągała, by wmusić w chorego kolejną porcję czosnku rozartego z miodem i masłem oraz natrzeć mu piersi wódką.

\* \* \*

Noc nie przyniosła ulgi. Trawionemu gorączką Promieniowi zdawało się, że ściany chylą się ku sobie. Znajome sprzęty, oświetlone jedynie lampką czuwajką i żarem z kominka, zmieniały się w przyczajone stwory. Po suficie pełzały wstrętne, pająkkształtne cienie. Chłopcu okropnie chciało się pić. Woda stała na stole... Promień zdołał wstać, czepiając się słupka podtrzymującego zasłony łóżka. Chwiały się nie tylko ściany, również podłoga ugiwała się pod nogami, jak coś żywego. Jestem chory. Wszystko to gorączka, pomyślał Iskra, uparcie brnąc do celu na miękkich nogach. Pił chciwie, nie zważając, że oblewa się wodą. Odpoczywał, nie kwapiąc się do męczącej wędrówki z powrotem, Poczł coś pod stopą. Przy taborecie białł wyśmiany przez Gryfa liścik. Półmrok zwodził oczy, upodabniał zmięty papier do porzuconego pąka kwiatu. Promień podniósł go i drżącymi rękami rozprostował. W nędznym świetle na pół odczytywał, na pół odgadywał litery.

*Drogi mój przyjacielu, smutna była dla mnie wiadomość, żeś zachorował. Nie wolno mi cię odwiedzić, bo sama na influencę nie chorowałam i mateczka moja zabrania mi nawet wyjść z komnat. Pytam za to co dnia służki, co się dzieje u was. Wczoraj klęczałam przed świętym młotem i prosiłam o zdrowie dla ciebie. Może Zrodzony z Kamienia wysłucha tego, chociaż jesteś Lengorchianinem. Czy nie ma żadnego czarodziejskiego leku na influencę? Torojowi i mnie przykrzy się bez was. Wyzdrowiej prędko, panie Iskro, gdyż brat mój pragnie rewanżu na florety, a ja chciałabym zabrać ciebie na spacer w ładne zakątki ogrodu, gdzieś jeszcze nie był. A także do cieplarni, bo tam rosną kwiaty z twojej ojczyzny. Jak mi mateczka zezwoli, zerwę orchideę i pošlę tobie, abys się rozweselił. Janael Kariawis Seni Toho*

Był to ciepły, zabawny liścik, pisany mieszanym stylem dworsko-dziecinny. Promień starannie złożył kartę. A więc królowna uważała go za przyjaciela, troszczyła się i modliła za niego. To było miłe i komiczne jednocześnie. Gdzieś w głębi cynicznego serca młodego maga zapłonęła ciepła iskierka. Jakże łatwo było zasłużyć na te wszystkie serdeczne słowa. Wystarczyło ukryć grzeszki psotnej królowny, stać się współnikiem jej drobnych wykroczeń. Zdobyć się na odrobinę uprzejmości dla dziewczynki, którą lekceważył starszy brat. Tak niewiele trzeba... Promień przetarł dłonią rozpaloną twarz. Wrócił do łóżka i schował list od Jany pod prześcieradłem. Po raz pierwszy w życiu napisał do niego ktoś poza matką.

\* \* \*

Dziewczynka stała na ogrodowej ścieżce, nakryta gigantycznym szklanym słojem, złowiona weń niczym mucha. Tłukła pięściami w przezrocyste ściany,

łyzy spływały jej po policzkach. Krzyczała, lecz żaden dźwięk nie przedostawał się przez grube szkło. Promień próbował podejść bliżej, ale wysypana drobnym żwirkiem ziemia okazała się luźna niczym bagno. Chłopak zapadał się w niej po kostki, po kolana... pogrążał się coraz bardziej, aż gleba sięgnęła mu do piersi, ściskając je zimną obręczą. Nadszedł gruby ogrodnik z taczkami. Z łatwością podniósł słój z królowną i załadował.

— Co ty robisz! — wyrzeźił Promień ostatkiem tchu. — Wypuść ją! Zostaw! Co chcesz zrobić?!

— Zasadzić ją, oczywiście — odparł rzeczowo mężczyzna i nagle skądś wydobyl łopatę. — A tobie podsypię kompostu.

Zaczął narzucać na Promienia wielkie kupy śmierdzącej mazi, odcinając mu światło i powietrze.

\* \* \*

Fale z sykiem rozplaszczały się na brzegu morza. Podmywały wysoki na wiele pik mur. Na jego szczycie przycupnęły dwie figurki z obawą spoglądające w dół. Ich suknie powiewały na wietrze. Odległość zamazywała twarze, lecz Promień skądś wiedział, że jedna z tych postaci jest jego matką, a druga siostrą. Próbował obejść mur, a wtedy przekonał się, że jest to potwornej wielkości kartka papieru, złożona na pół i postawiona sztorcem. Kobieta i dziewczynką balansowały niepewnie na ostrej jak nóż krawędzi. Spomiędzy papierowych ścian, jak z trójkątnej bramy, wyłonił się ojciec chłopca.

— Matka jest na górze! — zawołał Promień. — Matka i Janael Trzeba je zdjąć!

Mężczyzna jakby nie słyszał. Chwycił go za rękę i zaczął ciągnąć z powrotem w ciemny otwór międzymurza. Promień opierał się, rył piach obcasami, lecz książę zdawał się mieć siłę byka.

— Czas na zrękowiny! — wykrzykiwał. — Cesarzówna czeka!

— Nie chcę! Puść mnie! Muszę wracać! One spadną!

— Niech spadają — warknął książę. — Przydaj się wreszcie na coś bezużyteczny robalu! Masz przedłużyć ród, spłodź syna, a potem możesz zdychać!

Po raz kolejny Promień usiłował wyrwać rękę. Z niebotycznym wstrętem dostrzegł, że palce ojca są w rzeczywistości czarnymi lepkimi pijawkami, wgrzyzającymi się w jego skórę. Odrywał je łkając z obrzydzenia i szoku. Uciekł w stronę światła, potykając się na kamieniach. Na wierzchołku ściany już nikogo nie było, ale u podnóża nie widział też martwych ciał. Widocznie obie uciekły przed księciem, zdołały się uratować. Powinien je odnaleźć. Biegł po gorącym, sypkim piachu. Pod palmami spółkowały smoki. Mała dziewczynka w zielonej sukience bawiła się węzem.

- Widziałaś kobietę i dziewczynkę? Muszę je znaleźć.
- Są w mieście — odparła mała, owijając węża dokoła szyi.
- W jakim mieście?

Pokazała palcem. Za pasem strzępiastych palm wyrastały wieże o spiczastych wierzchołkach, a wprost z piasku wznosiła się ażurowa konstrukcja pomostu, wyglądającego jakby zbudowano go z trzcinek. Zawijał się ponad koronami drzew, prowadząc wprost do miasta. Chłopiec wszedł na niego bez namysłu. Trzciny trzeszczały i uginały się pod jego ciężarem, w końcu zaczęły pękać. Szedł coraz szybciej, wreszcie zaczął biec. Gnał na złamanie karku, a za nim sypały się szczątki mostu. Ostatnim wysiłkiem dopadł kamiennego podestu, zdyszany, z sercem walącym jak młot. W tym mieście nie było ulic, tylko niekończące się pomieszczenia, jak w nadnaturalnych rozmiarów zamku. Okna wychodziły na inne komnaty i korytarze. Chłopiec szedł i szedł po wyludnionych salach i pustych krużgankach, słysząc jedynie echo własnych kroków. Od czasu do czasu nawoływał:

— Mamo! Janael! Mamo! Siostrzyczko!

Po drodze znajdował mnóstwo drogocennych przedmiotów, porzuconych nie dbale. Stosy złotych monet, szlachetne kamienie, przepiękne naczynia, rzeźby... Nie mógł oprzeć się pokusie, włożył do kieszeni kilka drogich kamieni i kunsztownie wykonany posążek centaury napinającego łuk. Miał jednak uczucie, że źle zrobił. Coraz bardziej ogarniało go bowiem przekonanie, że cała ta budowla jest żywa. Złośliwy duch zaklęty w murach nie tylko nie pozwoli mu niczego stąd zabrać, ale jeszcze będzie wymagał ofiary. Promień pozostawił statuetkę, opróżnił wszystkie kieszenie. Szedł dalej, nawołując bezskutecznie. W końcu zaczął pozbywać się części ubrania, wrzeszcząc i przeklinając ducha zamku:

— Niczego nie chcę, widzisz?! Niczego! Oddaj mi matkę! Zostawię ci wszystko, tylko oddaj mi matkę!

Upadł w końcu na posadzkę, skrajnie wycieńczony. Ogarnęło go dziwne uczucie spadania...

\* \* \*

Powoli podniósł powieki. Rozmazana plama cielistego koloru zafalowała, po czym zamieniła się w zatroskane oblicze Fargolii. Kobieta przetarła mu twarz i szyję czymś chłodnym o kwaśnym zapachu octu. Malowidła na ścianie za nią były nowe i nieznane.

— Gdzie...?

— W komnacie za rogiem, tuż obok czeladnej — ubiegła go pani Fargolia, wzdychając z ulgą. — Musieliśmy pana przenieść, bo do cna zmysły straciłeś. To się przez ręce lałeś, to znowu trzeba było cię do łóżka wiązać. A przez te krzyki nikt spocząć nie mógł.



— Długo?  
— Dzień i noc. Akurat świta.  
— To pani... całą noc tu siedziała?  
— Trochę ja, trochę dziewczki. W pół nocy trzeba było wszystkie koce i prześcieradła zmieniać, boś był mokruteńki jak wodny szczurek, panie Promień. Ale to dobrze. Poty ruszyły, choroba poczęła wychodzić i teraz żeś przy zmysłach.  
Uprzedzając życzenie chorego, kobieta przytknęła mu do ust kubek. Woda miała posmak ziół i miodu. Promień powtórnie rozejrzał się po izbie. Na małym stoliku obok łóżka stał flakon, a w nim tkwiła fioletowo-żółta orchidea.  
— To od Jany...?  
Pani Fargolia położyła mu świeży okład na czole.  
— Skąd zgadłeś? Od Jaśnie Panienki. Przyszła sama i uparła się, że ten kwiatek musi tu stać.  
— Śniła mi się.  
— To i wiem, bo ciągle bredziłeś: Janael i Janael. Na dobre się zwidywała czy na złe?  
— Czy ja wiem? — mruknął Promień. Powieki mu ciążyły. — Jakby...  
Zasnął na nowo, zanim zdążył dokończyć.

\* \* \*

A jednak owa odwilż była zapowiedzią nadchodzącej wiosny, z którą miały zacząć się nowe walki na północy kraju. W zamku wszczął się wzmożony ruch. Przez główną bramę kilka razy dziennie przejeżdżały kawalkady jeźdźców dążących w jedną lub drugą stronę. Przywozili wieści albo wieźli pisma z królewskiej kancelarii do książęcych i lordowskich siedzib. W kuźniach na podzamczu od rana do nocy tłukły młoty. Nastął czas wykuwania zapasowych podków dla koni, osi bojowych wozów czy też grotów do strzał i włóczni. Zbrojmistrze przeglądali arsenały, sortując zgromadzoną broń. To czy tamto należało wyczyścić, przekuć, naostrzyć albo wymienić niepewne drzewce. W nocnej ciszy słychać było nieustanny turkot prochowego młyna, gdzie żółtą siarkę, węgiel i białe kryształy gorzkiej soli zmieniano w niepozorny brudny piach o groźnych właściwościach. Niewielu wiedziało, że tuż obok powstaje jeszcze bardziej niebezpieczna broń. Metalurg Biliar nadal katował tarcze strzelnicze i to z coraz większym powodzeniem. Wybrano pierwszą drużynę strzelców spośród żołnierzy gwardii królewskiej. Stworzyciel, ledwo wstał z łóżka po chorobie, rozpoczął próby uczynienia bezpieczniejszym wybuchowego oleju, rozrabiając go na gęste błoto z kredą, rzecznym piaskiem i gliną. Szalony malarz i wynalazca w jednej osobie z samozaparcie budował latawiec. Wędrowcy, mimo osłabienia po influency, na nowo zabrali się do rozprowadzania najpilniejszej poczty. Promień, którego najgorzej

sponiewierała choroba i nie nadawał się do cięższych prac, tymczasowo zajął się kronikami w bibliotece, jako jedyny, który biegle czytał w northlanie. Z coraz większym zainteresowaniem poznawał historię „oczami wroga”. Krótko: wszyscy mieli jakieś zajęcie. Wszyscy, prócz przystojnego Obserwatora, któremu król znów zapomniał przydzielić roboty.

\* \* \*

Wężownik stracił już rachubę, ile razy przeklinał northlandzką pogodę. Nad Kodau słońce było jeszcze bledziutkie, ale w powietrzu czuło się nadchodzącą zmianę. W nocy i nad ranem jeszcze ścisnął mróz, lecz o południu z sopli kapąła woda, spod śnieżnej pokrywy wyciekały wesole strumyczki, łączące się w większe rzeczulki, które płynęły do siebie tylko znanych ujść. Sterty śniegu chudły co dnia bardziej i bardziej. Na stawach ciemniały lodowe szyby, dając znak, że już niebawem uwolnią śpiące w głębi ryby i przytające drobne zwierzątka wodne. Tymczasem zaledwie nieco dalej na północ zima królowała nadal w pełni. Od razu przy pierwszym skoku Wężownik wpadł niemal po pas w przyzmę mokrego śniegu, który dostał mu się do butów i pod płaszcz. Nie poprawiło to jego humoru, a już w prawdziwą wściekłość wprawiła go załoga strażnicy, do której miał dostarczyć rozkazy. Dobre ćwierć godziny musiał stać pod bramą, wyklócając się ze strażnikami, zanim zdecydowali się posłać po oficera. Czarne włosy, obcy akcent, nagłe pojawienie się bez konia i eskorty — wszystko to budziło nieufność. Dopiero gdy Wędrowiec rzucił komendantowi srebrną broszę z czteroskrzydłym smokiem i pałkami — emblematem królewskiego posłańca, pozwolono mu wejść w obręb fortu. Wężownik miał zwizytować w ten sposób dziesięć fortec oraz pomniejszych stałych obozów, a za każdym razem przyjmowano go podobnie, jakby uczestniczył w tej samej sztuce teatralnej, powtarzanej do znudzenia. Same fortece również stanowiły monotony ciąg bliźniaczych dekoracji. W jednym z garnizonów nerwowemu strażnikowi drgnął palec na spuście kuszy i belt przedziurawił Wężownikowi poję płaszcz. W innym musiał poddać się upokarzającemu przeszukaniu. Nie znaleziono jednak przy nim niczego, prócz listów z królewskimi pieczęciami oraz kawałka chleba z serem, więc dowódca musiał dać wiarę, że mag nie jest szpiegiem ani nasłanym szkodnikiem. Żołnierze byli rozdrażnieni długim zamknięciem i marnym jedzeniem. Zima odchodziła, ale wraz z nią kończyła się żywność, pasza dla koni i opał, a nadchodząca wiosna nie miała przynieść dobrych wieści. Wężownik przekazywał kolejne listy, za każdym razem żądając odpowiedzi, krótkich meldunków o stanie placówki oraz listy potrzeb. Na obietnice, że prowiant, uzupełnienie broni oraz wszelkie inne niezbędne rzeczy zostaną dostarczone w ciągu kilku dni, dowódcy reagowali w pierwszej chwili niedowierzaniem. Czyż nie stacjonowali na „żałosnej ziemi” — najdalej wysuniętym paśmie obronnym Northlandu? Potem jednak pozwalali sobie na odrobinę

nadziei. W końcu mieli do czynienia z magiem. Może niegodnym szczególnego szacunku z racji młodego wieku ani zbytniego zaufania z powodu pochodzenia, ale jednak magiem, czyli osobą o nadnaturalnych możliwościach. Kilku oficerów pozostawiło rodziny w stolicy. Z pewnym zawstydzeniem, jakby pozwalali sobie na rzecz nielegalną, prosili o przekazanie skreślonych w pośpiechu listów. Pożegnania z reguły były uprzejmiejsze od powitań.

Wężownik w każdym forcie jeszcze raz sprawdzał swoje obliczenia. Gdy choćby na moment wyglądało zza chmur słońce, mierzył jego drogę na niebie. Z wysokości palisady rozglądał się po okolicy za pomocą lunety, po czym zaznaczał na podręcznej mapie takie niezbędne szczegóły, jak kępy zarośli, pnie, zagłębienia okresowo wypełniające się wodą, duże głazy albo parowy na tyle niewielkie, że kartografowie lekceważyli je przy tworzeniu swych rycin. To, co przeciętnemu człowiekowi wydawało się nieważne, dla każdego Wędrowca stanowiło podstawę niezbędnej wiedzy. W sytuacji gdy w tym samym punkcie miały się raptem pomieścić dwa przedmioty, po prostu wygrywał twardszy, w najlepszym wypadku takie starcie kończyło się dla człowieka bolesnymi potłuczeniami, w najgorszym — zmiążdżeniem i śmiercią. Northlandzkie mapy były niedoskonałe. W Zamku Magów określono by je dosadnie mianem śmieci. Wężownik przed każdym skokiem zwracał się w myśli do Matki Świata z prośbą o opiekę. Tego dnia najwidoczniej była dla niego życzliwie nastawiona, gdyż nie stała mu się żadna krzywda, poza bliższym a nader przykrym zetknięciem z krzakiem głogu oraz stłuczeniem kolana o zwalone drzewo. Tenże pień z łatwością mógł połamać chłopcu obie nogi, gdyby znajdował się o dwa palce bliżej, więc Wężownik czuł prawdziwą wdzięczność. Miał jednak niemiłe wrażenie, że jego niebezpieczna i wyczerpująca robota nie zostanie w najmniejszym stopniu doceniona. Król nie zdawał sobie sprawy, że jego posłaniec ryzykuje życie — przecież pozornie była to praca niezwykle łatwa. Pod koniec dnia Wężownik był już tak zziębnięty, przemoczony i głodny, że marzył jedynie o wannie pełnej gorącej wody, obfitym posiłku oraz łóżku, przy czym gorąca kąpiel wysuwała się zdecydowanie na czoło. W dodatku zaczął zapadać zmierzch i każdy skok stawał się coraz bardziej ryzykowny. Ostatnie pięć placówek królewski goniec postanowił odwiedzić następnego dnia. I tak wykonał pracę, która zwykłemu konnemu posłańcowi zajęłaby wiele dni.

\* \* \*

Pomieszczenie nazywane starą łaźnią istotnie kiedyś nią było, choć od tamtej pory upłynęło zapewne dobre kilkadziesiąt lat. A wtedy musiała być jednym z najpiękniejszych pomieszczeń zamku. Teraz jednakże wyglądała tak, jakby w jej wnętrzu trudził się ktoś wyposażony w solidny młotek. Na szczęście znudził się

lub zmęczył, po czym zaniechał dzieła zniszczenia w połowie. W ten sposób ocalała większość położonych wysoko ozdobnych stiuków, przedstawiających rozbrane (lub rozbierające się) nimfy, a także wszystkie freski na suficie, o treści — delikatnie mówiąc — frywolnej. Najwyraźniej obyczaje northlandzkie nie zawsze były tak surowe. W jednym końcu komnaty stały dwie ławy do masażu, w drugim mieściła się wanna wielkości ogrodowej sadzawki. Poprzedni właściciel tego zakątka pewnie lubił się moczyć i to w większym towarzystwie. Precyzyjnie dopasowane klepki z dębiny ujęto w obramowanie z pięknego zielonego marmuru. Drewno lepiej trzymało ciepło niż kamień czy terakota, więc woda stygła wolniej. Dodatkowo w kamiennej obudowie znajdowały się drzwiczki zamykające wlot do paleniska, gdzie można było umieścić rozżarzone węgle i podgrzewać kąpiel przez długi czas. W izbie obok znajdowały się wielkie żelazne kadzie na wodę, którą ogrzewano do żądanej temperatury. Z nich wychodziły długie rury przebijające ścianę i z drugiej strony zwisające nad wanną. Ich wylotom nadano kształt zwierzęcych pysków. Jak na warunki northlandzkie były to niewiarygodne luksusy, zaniedbane i porzucone w karygodny sposób. Nic dziwnego, że Lengorchianie po odkryciu starej łaźni natychmiast zagarnęli ją dla siebie. Dla Wężownika stanowiła upragnioną przystań, a przynajmniej na najbliższe dwie godziny, które zamierzał spędzić bez ruchu, po szyję w gorącej wodzie. Jedno tylko go niepokoiło — nawet gdyby poprosił o przysługę Promienia, by korzystając z talentu podgrzał mu kąpiel, samo napełnienie kotłów wodą zabierało sporo czasu. Jakaż więc była radość zdrożonego Wędrowca, gdy złożył wreszcie listy w kancelarii, a szczerzący się od ucha do ucha Gryf pokiwał na niego palcem, po czym poprowadził korytarzem w znajomym kierunku.

— Mam dla ciebie niespodziankę, włóczykiju. Wiedziałem, że wrócisz z tej dziczy w stanie ścierkowanym, więc zawczasu kazałem napełnić wannę. W wojennych obozach, jak słyszałem, na jednego wojaka przypada jakieś sto pięćdziesiąt pcheł. Kto wie, czy parę dziesiątek właśnie nie zdezerterowało na tobie.

— Nie czuję. Wszystkie chyba tam zamarzły.

— Zbyt piękne, by było prawdziwe. Jednak to nie koniec niespodzianek. Ty włóczysz się po odrażających dziurach, a ja zawieram interesujące znajomości.

— To też włóczenie się po dziurach, drogi chłopcze. W pewnym sensie.

— Ale o ileż bardziej interesujące są to dziury!

Gryf pchnął ciężkie drzwi, które uchylily się z jękiem dawno nieoliwionych zawiasów. Dwie czarujące główki kobiece — jedna ciemna, druga płomiennie ruda — obróciły się ku wchodzącym. Dwie pary oczu zmierzyły uważnie przybyszy, po czym czerwone usta ułożyły się w dwa identyczne uwodzicielskie uśmiechy.

— Oto Adina i Ridis. Nie pamiętam, która jest która. Zresztą nieważne. Wybieraj, która ma umyć ci plecy. Nie rozumieją ni słowa w lengore, więc nie trudź się podejmowaniem rozmowy. One zresztą, nie na rozmówki tu przyszły.

W pomieszczeniu było gorąco i parno. Obie ślicznotki miały na sobie jedynie bieliznę odsłaniającą gołe ramiona i pięknie ukształtowane nogi. Przez cienkie płócienko odznaczały się sutki. Na rozgrzanej skórze osiadały kropelki wody, lśniąc jak drobniutkie perełki.

— Zlituj się, Gryf. . . ! Jestem wykończony! — jęknął Wężownik.

— A czy ja twierdzę, że masz coś zrobić? — zakpił Obserwator. — Nie musisz się fatygować, te panie wszystko zrobią za ciebie.

Ciemnowłosa piękność podeszła do niego i zaczęła rozpinać mu guziki u bluzy. Rudowłosa zajęła się Wędrowcem. Przyglądał się jej egzotycznej urodzie. Wilgotne włosy okrywały jej głowę niczym gładki miedziany hełm — związane na karku ozdobnym sznurkiem z dużymi niebieskimi paciorkami. Skórę miała bardzo białą, ożywioną rumieńcem na policzkach. Na moment utkwiała w młodym magu spojrzenie metalicznie szarych oczu, po czym lubieżnie oblizwała czubkiem języka górną wargę.

— Czy to są tutejsze „kwiatki”? — spytał Wężownik, występując ze spodni. — Skąd je wzięłeś? Z miasta?

— Zamówiłem obsługę do łaźni u zarządcy, a jak tu zajrzałem, to już były. Rządca może i jest stary dziad, ale wie, czego trzeba mężczyźnie. Mięsko pierwszego sortu. — Gryf udał, że chce ugryźć ciemnowłosą w ucho. — Pewnie zapłacę za nie zbójcką cenę, ale warto są każdych pieniędzy.

— Już ci się znudziły pokojówki?

— Czasem człowieka nachodzi chęćka na coś wykwinniejszego niż kasza ze słoniną. A nawet nie przypuszczałem, że w tym barbarzyńskim kraiku istnieje coś więcej.

Woda była w sam raz — w pierwszej chwili sparzyła nieprzywykłą skórę, lecz potem zaczęła wlewać w ciało błogie ciepło. Wężownik westchnął głęboko, przymykając oczy i rozkoszując się bezruchem. Po przeciwległej stronie wanny rozwalił się Gryf w niedbalej pozie. Ciemnowłosa Ridis (lub Adina) zrzuciła cienką halkę. Stojąc na marmurowym obrzeżu, polała ramiona olejkiem z małego dzbanuszka. Jej dłonie zataczały zmysłowe spirale na piersiach i brzuchu, a nagie ciało wyginało się w kusicielskich pozach. Paciorkowe ozdoby wplecione we włosy grzechotały cichutko. W powietrzu rozchodził się odurzający kwiatowy aromat.

— Gallo — mruknął Gryf z aprobatą, kontemplując widok.

— He sitjam lengorchijel tasso'li — odrzekła kurtyzana czułym tonem, kłękając za magiem i przystępując do masowania jego karku.

— Czy ja się mylę, czy nazwała cię swoją lengorchiańską rybą? — spytał Wężownik.

— Śliczną lengorchiańską rybką — uściślił Obserwator, leniwie wodząc dłonią po śliskim od różanego olejku udzie masażystki. — Co za rozumna kobieta.

Wędrowiec wysunął stłuczone kolano ponad powierzchnię wody, spoglądając na nie ze zmartwieniem. Pod skórą zdążył już się rozlać ciemnogrnatowy krwiak, pewnie jutro będzie sztywne i obolałe. Niespodzianie tuż przed oczyma chłopaka pojawiło się białe ramię Adiny-Ridis oraz różowo zakończony stożek piersi. Kurtyzana ze sztuczną powagą ucałowała poszkodowaną kończynę, po czym zaoferowała magowi usta — wydęte pożądliwie, czerwone i wilgotne jak rozkrojony owoc. Sprytne, bezwstydne dłonie odszukiwały na jego ciele wrażliwe punkty.

— Jestem zmęczony — mruknął Wężownik z namysłem, sięgając ku miseczkce z mydłem — ale nie aż tak bardzo. Jednak najpierw raczej się umyję. Tak będzie uprzejmiej.

— A oczekiwanie zaostrza apetyt — dodał Gryf i zaśmiał się z pobłażliwą kpiną. Pstryknął niedbale palcami, wskazał pozostawiony na ławie dzban z winem. Kobieta natychmiast przyniosła mu napełniony po brzegi puchar.

Ruda tymczasem mydliła Wędrowcowi włosy. Nie przerywając swego zajęcia, rzuciła spojrzenie na towarzyszkę, nieznacznie przymrużając oko. Tamta, niedbale muskając jednym palcem szyję sączącego wino maga, drugą ręką sięgnęła wolno ku głowie i wyciągnęła z włosów opaskę z jedwabnego sznura.

\* \* \*

Gryf widział, jak rudowłosa nakłania Wężownika do zanurzenia głowy, by wypłukać mu z włosów mydło. W chwili gdy zanurkował, na twarz kobiety w jednej sekundzie wypłynął drapieżny wyraz. Z głuchym okrzykiem zwała się kolanami na pierś chłopaka, całym swym ciężarem przyciskając go do dna. Na powierzchni z bulgotem rozpękły się bąble powietrza, które wyrwało się ze ściśniętych płuc.

— Co... khhhh...! — tyle tylko zdołał wydobyć z siebie Gryf.

Jakaś straszliwa siła szarpnęła go za szyję, zaciskając krtań i odcinając dopływ powietrza. Zaszamotał się, ciągnięty bezlitośnie w górę, niczym ryba, która nieopatrznie połknęła haczyk.

— He lengorchijel tasso! — syknął mu prosto w ucho szyderyczy głos ciemnowłosej.

Na oślep sięgnął do tyłu, lecz śliskie od olejku ciało z łatwością wymknęło się jego rękom. Usiłował rozluźnić pętlę na gardle, desperacko szukał węzła, punktu zaczepienia, czegokolwiek... drapał bezsilnie paznokciami własną skórę i metal ujścia wodociągu, do którego przywiązano go za szyję. Usta bezskutecznie walczyły o haust powietrza. Przed oczami Gryfa pojawił się rój żółtych, a potem czarnych płatków. Przez nie ledwo widział ciemnowłosą dziwkę, która stanęła przed nim z nożem w ręku i bez zbytniego pośpiechu szukała najlepszego miejsca, by wbić ostrze. Ramiona chłopca opadły bezwładnie. Ostatnią rzeczą, jaką słyszał, był głośny huk i wysoki wrzask przerażonej kobiety.

\* \* \*

Topiony Wężownik zareagował odruchowo. Głęboko utrwalony nawyk kazał mu przeciwstawić się chęci nabrania powietrza, która zdradliwie napełniłaby mu płuca wodą i mydlinami. Usiłował przekreślić się, zrzucić napastniczkę — wanna była za płytka, kobieta za ciężka i zbyt zdeterminowana. Ścisnęła kolanami jego klatkę piersiową. Jedną rękę zacisnęła na jego czuprynie, trzymając mu głowę pod powierzchnią, drugą chwyciła go za ramię, którym tłukł na oślep. Była bardzo sprawna i silniejsza, niż na to wyglądała.

Następną instynktowną reakcją było: uciekać! Niewidzialna sfera przerzutu otoczyła ciało Wędrowca. W następnej sekundzie fala gorącej wody przelała się z gwałtownym szumem przez komnatę, ochlapując z impetem ściany. Kawał marmurowej obudowy walnął z łoskotem w posadzkę, rozpadając się na kilka części. Wężownik rąbnął plecami o podłogę, zrzucił z siebie ciało zabójczynie. Linia skoku czysto odjęła jej głowę, lecz serce biło jeszcze i z kikuta szyi tryskała obrzydliwa fontanna krwi. Ciemnowłosa wrzasnęła przeraźliwie, rzucając się na Wędrowca z nożem w ręku. Magiczny talent pochwycił ją w skoku, rozciął na pół jak lalkę z ciasta. Nowa fala czerwieni chlusnęła na posadzkę.

Nieprzytomnemu Gryfowi pętla nie pozwoliła upaść — zwisał pod żelazną lwią paszczą w dziwacznej pozycji, z ugiętymi nogami, jak kłękający właśnie pokutnik. Wężownik porwał nóż z podłogi. Jednak sznur werznął się głęboko w ciało i operowanie nożem mogło skończyć się dla Obserwatora poderżnięciem gardła. Pętla nie dawała się rozluźnić — była mocno zablokowana na jednym z tych dziwnych, stożkowatych w kształcie, koralu. Dopiero gdy Wężownik przeciął go talentem na pół, sznur można było zdjąć. Przestraszony chłopiec masował szyję kolegi, klepał go po policzkach i nawoływał. Wreszcie Gryf odetchnął głębiej, otworzył oczy — od razu pełne przerażenia. Ręce odruchowo uniośł do gardła.

— Już po wszystkim — szepnął Wężownik, trzęsąc się jak galareta.

Gryf potoczył osłupiałym wzrokiem po zrujnowanej łaźni, po rozkawałkowanych trupach, a następnie dostał torsji.

\* \* \*

W pierwszej chwili nie było wiadomo, jak wejść do łaźni. Tuż za progiem stała brudna woda, głęboka na co najmniej trzy palce. Wewnątrz unosił się drażniący odór krwi, kału, wymiocin i zupełnie w tej sytuacji nonsensowna nuta różanego aromatu. Nikt nie kwapił się, by moczyć buty w krwawej zupie. Drżący posługacze długo czerpali ją szuflami do cebrów i wylewali do rynsztoka. Rdzawa rzeczka spływała do fosy, budząc po drodze rozmaite domysły. Sekretarz wszedł do łaźni jeszcze przed skończeniem tej niewdzięcznej pracy — stając na pomoście z desek położonych na odwróconych do góry dnem wiadrach. Pozbył się przy tej okazji

po raz pierwszy swego luźnego stroju i chłopcy mogli zobaczyć, że przy szczupłej posturze oraz niezbyt wysokim wzroście jest jednocześnie bardzo zwinny i muskularny. W skupieniu oglądał miejsce krwawego zajścia, zakrywając nos i usta chustką zamoczoną w ziołowej nalewce.

Wspaniała marmurowo-dębowa wanna przestała praktycznie istnieć. Więcej niż połowa poniewierała się dokoła w postaci szczątków kamienia i rozsypanych klepek. Miejsce, gdzie Wędrowiec dokonał skoku, wyglądało jak wnętrze muszli lub porcelanowej filiżanki — w podłodze zostało idealnie gładkie wgłębienie, resztką metalowego rusztu spod wanny zyskała krawędź wypolerowaną jak lustro, podobnie pozostałość kamiennej obudowy. Pośrodku niecki leżała w jezioru krwi odcięta głowa. Długie mokre włosy oblepiły jej twarz niczym rdzawe wodorosty. Ciało leżało kilka kroków dalej — blade, dziwnie odrealnione, jak porcelanowa lalka pozbawiona głowy przez niegrzeczną dziewczynkę. Dużo gorzej prezentowała się ciemnowłosa. Z rozdzielonego w talii ciała wypadły wnętrzności, rozciągając na mokrym kamieniu nieopisanie ohydne macki. Jeden rzut oka mógł doprowadzić człowieka do mdłości.

— I to wszystko twoja robota, Wędrowcze? — upewnił się O'hore. Głos miał stłumiony przez chustkę.

— Jakoś tak się zdarzyło... — bąknął stojący w progu Wężownik. Starał się nie zaglądać do wnętrza komnaty.

Sprzątacze wreszcie zakończyli pracę, po czym wynieśli się w pośpiechu.

— Jeśli usłyszysz plotki, rozstaniecie się z językami! — zawołał za nimi Sekretarz, schodząc ze swego stanowiska na mokrą podłogę. Podszedł do niego Koniec i urzędnik bez słowa podał mu wyciągniętą z kieszeni buteleczkę z balsamem do nasączenia chusteczki. Mówca wziął z niego przykład, zakrywając twarz.

— Czy pan je zna? — spytał wprost.

— Nie.

— To skrytobójczynie.

— Skąd pomyśł, że mogę coś wiedzieć o skrytobójcach?

— Mówisz i poruszasz się jak cichoreki.

— Gratuluję spostrzegawczości. Powtarzam: nie znam ich.

— Ale jakoś musiały się tu dostać. Gryf był przekonany, że to „kwiatki”, to znaczy kobiety... do zabawy.

— Czyli po prostu kurwy — podsumował O'hore beznamiętnie.

— Podobno miały poręczenie od rządcy tego skrzydła.

— Sprawdźmy. Z pewnością nie widziałem ich tu nigdy przedtem.

Uważając, by się nie pośliznąć, Koniec zbliżył się do zwłok ciemnowłosej. Odgiął jej kolejno oboje uszu, starając się nie kierować wzroku poniżej piersi. Te same czynności powtórzył z odciętą głową. Krzywiąc się, starannie wytarł ręce w powieszoną na wodociągu koszulkę.

— Nie są też z Lengorchii, choć używają trupiego naszyjnika.



Podniósł dwoma palcami przeciętą jedwabną linkę. Cienki sztylet leżał tuż obok. Mówca, tknięty przecuciem, zajrzał w otwory rur i w jednej znalazł drugi nóż — mały, lecz za to niewiarygodnie ostry.

— Profesjonalistki. Wygląda na to, że Gryfa uratował tylko zbieg okoliczności. Nie przypuszczały, że nie będzie sam. Spodziewały się słabego oporu, stąd tak małeńki arsenał. Z łatwością utopiłyby chłopaka w wannie albo zakłuły. Czy da się odszukać ich patrona?

Sekretarz obejrzał uważnie oba noże. Widać dostrzegł w nich jakiś ważny szczegół, bo potwierdził lakonicznie:

— Da się.

— A uda się wytrząsnąć z tego patrona nazwisko zleceniodawcy?

— Obawiam się, że nie. Rejestr klientów prowadzi tylko Mistrz Gildii, a do tego nawet ja nie dotrę. A w każdym razie nie bez wywołania jeszcze gorszego zagrożenia niż obecne. Od zawodowego mordercy groźniejszy jest tylko obrażony zawodowy morderca.

— To prawda — mruknął Koniec.

— Na Miłosierdzie Losu, to już przecież drugi zamach! Mamy czekać, aż w końcu im się uda? — krzyknął ze wzburzeniem Wężownik. Splótł ręce na pierśsiach, by ukryć ich drżenie.

— Trzeci — skorygował Promień, który do tej pory przysłuchiwał się rozmowie w ponurym milczeniu. — Trzeci — powtórzył, gdy obecni obrócili na niego zdumione oczy. — Pierwszy był skierowany na mnie.

\* \* \*

Jako że pojawiły się nowe okoliczności, sprawa wymagała dokładnego omówienia. Komnata magów nadawała się do tego znacznie bardziej niż plugawa rzeźnia..

— Co znaczy „trzeci zamach”... no co?! Oczywiście nie pisnąłeś słowa, żebyśmy... mieli się na baczności! Ty bezmyślny... egoisto! — wypytywał napaśliwie Gryf, przyciskając dłoń do obolałego gardła. Każdy oddech przeciskał się przez jego krtani ze świstem. Jego rozdrażnienie wzrosło, gdy przekonał się, że sfera skoku Wężownika musiała minąć go dosłownie o włos. Jedyne szczęśliwy traf uchronił go przed utratą części ciała.

— Bezmyślny! I kto to mówi! Ja przynajmniej wiedziałem, kto mnie napadł i broniłem się, a ty masz w głowie tylko dupy! — warknął Iskra.

— Wyglądały na... uczciwe dziwki. Skąd miałem... wiedzieć?! — krzyknął Gryf wysiłonym szeptem.

— Litości! I to mówi Obserwator!

— Przestańcie się kłócić — wtrącił Sekretarz. — Chciałbym wyjaśnić kilka rzeczy. Po pierwsze: rzeczywiście, jak to możliwe, żeby czytający w myślach mag nie zorientował się w zamiarach tych dwóch zabójczyń?

Gryf zawstydził się jakby.

— Kiedy one... faktycznie były... podniecone. Podoba... ło im się i by... ły chętne.

— O tak, i chętnie by się nawet z tobą zabawiły, a potem sprawiłyby cię jak cielaka. Może nawet któraś wzięłaby sobie pewną część ciała na pamiątkę rozkosznych chwil! — prychnął Promień szyderczo.

— Po drugie: panie Promień, czemu drugi zabójca nie dokończył dzieła? Siedziałeś w Głodowej Jamie, wystawiony na strzał jak uwiązany za łapę królik. Po trzecie: dlaczego ja się o całej sprawie dowiaduję dopiero teraz? — ciągnął Sekretarz, ignorując drwiny chłopca.

— Bo masz marnych szpiegów — wymamrotał Iskra pod nosem, a głośniejszym głosem dodał: — Mogę tylko snuć przypuszczenia. Pierwszego zabiłem, ale drugiego w ogóle nie widziałem. Tylko mogę się domyślać, że było ich dwóch, bo potem zniknęło ciało, więc ktoś musiał je zabrać. A ja... ja... straciłem przytomność — wykrztusił z wysiłkiem, zawstydzony. — Pewnie ten drugi myślał, że strzałka trafiła i właśnie dogorywam. Zostawił mnie w spokoju. Nie mówiłem nic nikomu, bo nie było żadnych śladów. Wszyscy przecież uważacie, że mam obsesję.

— Trzeba było powiedzieć. Przecież byśmy ci uwierzyli — rzekł Winograd.

— Zaczęliście od wrzasków i pretensji — odparł Iskra z goryczą. — Poza tym myślałem wtedy, że za tym stoi król. Że chciał się zemścić za tę bójkę pod wieżą.

— Jego Wysokość nigdy by się nie zniżył do takich metod — oznajmił O'hore cierpko. Jego nozdrza, drgały lekko ze wzburzenia. — Pod tym dachem nie morduje się gości, choćby nawet byli bardzo dokuczliwi. Szkoda — dodał po chwili — po tak długim czasie w Jamie nie znajdziemy już żadnych śladów.

Z ponurą miną stukał palcami po blacie stołu.

— Macie tu jakieś wino? — spytał. — Zdaje się, że nam wszystkim przydałby się łyk.

Uczynny jak zwykle Myszka ustawił na stole kubki i wyciągnął z jakiegoś zakamarka kilka butelek. Kiedy otwierał drugą, w powietrze nagle buchnął okropny odór.

— Faj, przecież to ten lek na influencę! Kto go postawił z winem? — skrzywił się mały Wędrowiec, zatykając czym prędzej flaszkę. — Trzeba było to już dawno wylać!

Sekretarz powęszył badawczo.

— Lek na zimową gorączkę? Pokaż no to, chłopcze!

Wziął naczynie z rąk Myszkę, przechylił wysoko nad kubkiem. Gęsta ciecz spłynęła ciemnobrunatną strugą.

— Cokolwiek to jest, z całą pewnością nie jest to lekarstwo na influencę — orzekł Sekretarz.

— A jak powinno wyglądać? — spytał Myszka.

— Zwykle robi się je z miodu, lnianego oleju, wyciągu z łyka wierzbowego i kilku rodzajów ziół. Jest jaśniejsze i nie śmierdzi tak potwornie, nawet jeśli jest nieświeże.

— No to sprawdźmy!

Zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, Stalowy wsadził palec do kubka, po czym rozsmarował kroplę płynu na języku.

— Nie połykaj tego!! — ryknął Koniec.

Stalowy zamarł z wywieszonym językiem.

— Podziwiającie portret idioty — odezwał się Promień z niesmakiem.

Stworzyciel zmarszczył wściekle brwi, zrobił kilka gwałtownych ruchów, które miały być może coś znaczyć, ale nadal wyglądało to bardzo głupio. Znow znie-ruchomiał na moment z rękoma uniesionymi w jakimś niedokończonym geście. Jego oczy zbiegły się powoli, jakby zezem próbował obejrzeć własny język, po czym raptownie rzucił się do dzbana z wodą. Oblewając się z pośpiechu, płukał usta, pluł, znow płukał. . . Trwało to kilka minut, podczas których padło mnóstwo pytań, mających jednak ten sam sens: co w tym było?

— Lepiej spytać, czego nie było — odparł Stalowy. — O ile się nie mylę, jest tam wyciąg z lilii sercówki, rdzenia paproci, krew wężorza, śluz ropuchy rogatej. . . uuuu, ohydne!

Jakby dopiero teraz dotarło do niego, czego spróbował, z obrzydzeniem wytarł sobie język rękawem.

— Czwarto zamach — rzekł Promień takim tonem, jakby sprawiało mu to satysfakcję. — I co, nadal ktoś uważa, że jestem przeczulony? Przecież od tej mieszanki paść można trupem w mgnieniu oka.

— Trzeci — poprawił go Myszka. — Twój był pierwszy. Drugi to linka na Stalowego. Trzeci to trucizna, a na Gryfa i Wężownika jest ostatni. Zaczynam się bać — dodał cichutko.

— Zaczekajcie chwilę. Coś tu jest niejasne. — Palec Sekretarza postukał w brzeg kubka wypełnionego trucizną. — Medyk z całą pewnością wiedział, co wam podaje. Wyniósł się jeszcze tego samego dnia. Już tylko to dowodzi jego winy. Skoro mieliście to wypić, dlaczego nie przemycił trucizny w czymś smaczniejszym? Toż ten specyfik cuchnie jak psie ścierwo wyciągnięte z dna fosy.

Nikt nie mógł znaleźć żadnego sensownego wytłumaczenia tego faktu.

— Tak czy owak, porozmawiamy sobie z panem od pigułek. Powinien wiedzieć, kto mu dostarczył trutkę czy też kazał ją przyrządzić.

O'hore wstał i włożył obie flaszki z trucizną do jednej z licznych kieszeni swego obszernego płaszcza. Wolnym krokiem skierował się ku drzwiom.

— Truciciel, nożowniczi... to tylko ręce, które na dodatek okazały się nieskuteczne. Mieliście dużo szczęścia. Do moich zadań należy znalezienie głowy. Albo głów.

— Przyjaciół lorda Garanso — powiedział Koniec, w zamyśleniu oglądając zabrany z łaźni trupi naszyjnik. Jednym ruchem zacisnął pętlę na własnym nadgarstku, po czym z pewnym trudem wyciągnął z niej dłoń. — Są na tyle bogaci, by kupić najdroższe usługi. Na tyle potężni, by ignorować wolę króla. I tak dobrze ukryci, że nie lękają się porażek, tylko próbują ciągle nowych sztuczek. Szkoda, że lord nie żyje. Z pewnością miałby sporo do powiedzenia.

— Wystarczy zapytać każdego, czy miał coś wspólnego z tymi morderczyniami. Rozpoznamy kłamcę i wskażemy winnego — zaproponował Gryf.

— Głupiś — zbeształ go Mówca. — Już widzę, jak chodzisz od drzwi do drzwi i pytasz: „Czy wie pan coś o tej dziwce, która chciała mnie udusić w kąpielni?”. Większość się obrazi, część uzna, że zwariowałeś, a prawdziwi winowajcy będą cię unikać. Wprowadzisz jedynie zamieszanie. Pan O'hore lepiej zna się na tych sprawach, więc siedź cicho.

— Źle się stało, że nie ocalał nikt z zamachowców — rzekł O'hore. — Wysłałem swego człowieka, by znalazł rządcę, ale mam złe przeczucie, że ten biedak też już nie żyje. Nadzieja w lekarzu królowej. Zaszył się gdzieś, lecz na pewno go odnajdziemy. Może coś wie. A jeśli wie, to potrafimy to z niego wycisnąć. Na razie żegnam.

Już w progu odwrócił się jeszcze, spoglądając na Stalowego.

— Czy to jest normalne u was? To znaczy lizanie trucizn?

— Oczywiście — odparł Stalowy, nie mrugnawszy nawet powieką. — Jak inaczej sprawdzić składniki?

Mężczyzna potrząsnął głową, jakby nie dowierzał.

Gdy wreszcie wyszedł, Promień natychmiast odwrócił się ku Końcowi, agresywnie wysuwając szczękę.

— A ty, mądralo, wyjaśnij mi parę rzeczy. Nie jestem ślepy ani głuchy, ani też nie szwankuję na umyśle. Czego szukałeś za uszami tych zwłok? Co to były za niewyraźne aluzje? Te półsłówka wymieniane z Sekretarzem?

Koniec podniósł sznur ze stożkowatymi paciorkami.

— Nazywają je trupimi naszyjnikami, bo znajduje się je na szyjach ofiar. Raz zadziergnięte, już nie dają się zdjąć. Są ostrzeżeniem dla żyjących. Ktoś chciał nas dodatkowo przerazić. Gdybym był na miejscu Gryfa albo Wężownika, rozpoznałbym je natychmiast, choć wyglądają tak niewinnie. Widywałem je wielokrotnie... w domu.

Podniósł oczy na Iskrę.

— Tak, Promień. Kiedyś zadałeś mi pytanie i wtedy nie chciałem na nie odpowiedzieć, bo wiedziałem, jak byś zareagował. Skrytobójcy też mają domy i rodziny. Nie są potworami, tylko ludźmi. Uczciwie wykonują brudną robotę za innych.

Promień patrzył na niego, jakby zobaczył upiora. Ręka sama powędrowała mu do gardła, na którym kiedyś zacisnął się sznur dusiciela.

— No właśnie — ciągnął Mówca. — O tym mówiłem.

— Ty...?

— Nie ja. Mój ojciec i moi dwaj starsi bracia. Kręgowi było na rękę, żebym kontynuował rodzinne tradycje, ale ja wolałem zostać kimś innym. Brzydzą się zabijania. I dlatego jestem tutaj, z wami.

— A co mają do tego uszy cichorękich? — spytał Wężownik.

— Za uszami mają maleńkie tatuaże, po których można rozpoznać, jakiemu patronowi podlegają. Te były czyste. Można więc wykluczyć, że nasłał je Krąg.

Koniec odgiał własne uszy, prezentując gładką skórę.

— Jak widzicie, ja też nic nie mam.

— Dobrze, dobrze... — burknął Promień z urazą. — Niepotrzebne te demonstracje. Tylko niech nikt nie zachodzi mnie od tyłu, bo ostatnio jestem trochę nerwowy i może być nieszczęście.

\* \* \*

Przecucia Sekretarza sprawdziły się co do joty. Intensywne poszukiwania zaginionego ochmistrza doprowadziły do odkrycia jego zwłok pod stertą ciężkich worków z mąką w kącie jednego ze składów. Został zabity ciosem w samo serce, zadany od tyłu. Zapłakana wdowa przyznała się, że mąż zaledwie pięć dni temu przyniósł do domu okazańnię wypchaną sakiewkę. Miał ją otrzymać za jakąś tajemniczą usługę. O co dokładnie chodziło — kobieta nie wiedziała. Przysięgała tylko na wszelkie znane jej bóstwa, że jej małżonek z pewnością nie przyłożyłby ręki do tak grzesznej rzeczy jak próba morderstwa. Nie był może wzorem cnoty i uczciwości, ale zachowywał zdrowy umiar w swych matactwach. Po namyśle zarówno O'hore jak i młodzi magowie doszli do wniosku, że istotnie zarządca, nie miał pojęcia o prawdziwej tożsamości pań Ridis i Adiny. Ich porzucone suknie skrojone były według najnowszej mody, a biżuteria mogła należeć do prawdziwych dam. Prawdopodobnie uznał je za młode arystokratki spragnione erotycznych przygód z magiem. Przyjął pieniądze za zorganizowanie schadzki, nie przypuszczając, że podpisał tym samym na siebie wyrok śmierci.

Byłego lekarza królowej odnaleziono z pewnym trudem, gdyż wbrew wcześniejszym deklaracjom nie wrócił do rodzinnego domu, lecz wybrał się w długą podróż do zachodniej części Ogorantu. Patrol zawrócił go w pół drogi. Ku rozczarowaniu wszystkich zainteresowanych przesłuchanie jedyne go świadka pozostałego przy życiu nie przyniosło im żadnej pożytecznej wiedzy. Medyk omal nie stracił rozumu z przerażenia i niczego nie można było z niego wydobyć, prócz historycznych krzyków i błagań o litość. Prawo bowiem — całkiem stosownie —

przewidywało dla trucicieli śmierć przez zadanie tej samej trucizny, jakiej użyli. Dopiero obietnica złagodzenia kary uspokoiła złoczyńcę na tyle, by odpowiadał na zadawane pytania. Otrzymał jadowity płyn od człowieka, którego nie byłby w stanie rozpoznać, gdyż ten przybył w sukiennej masce, zakrywającej całą głowę. Miał na sobie długi płaszcz bez żadnych ozdób. Lekarz widział tylko jego ręce, ale ani one, ani widoczne fragmenty rękawów nie odznaczały się niczym szczególnym. Sądząc po wyglądzie dłoni, był w średnim wieku. Na palcach miał ślady po zdjętych pierścieniach. Nie przeoczył ani jednego szczegółu, który mógłby go zdradzić. Mężczyzna mówił cicho i niewiele, ale jego żądania były jasne — lekarz miał podać chorym truciznę albo następnego dnia wartownicy znajdą jego trupa w fosie. Medyk nie miał odwagi sprzeciwić się, ale dodał do trutki zjełczałego oleju, w nadziei, że pacjentów odrzuci wstrętny zapach i nie spróbują „lekarstwa”. Był słabym człowiekiem o skromnych ambicjach i mógł zdobyć się jedynie na tak niewielki heroizm — akurat na swoją miarę. W trybie łaski nie stracono go, lecz został osadzony w więzieniu na czas nieokreślony, za co wyrażał gorącą wdzięczność, ku niemałemu zdumieniu sądowych urzędników.

\* \* \*

*Wiosna w tym mieście, na szczęście, nie oznacza tylko podstępnych knoń, zbrojeń, śmierci, przednówkowego głodu i nużącej pracy. Całe zamkowe otoczenie przygłębiało mnie szalenie, wciąż przypominając o przykrych wydarzeniach. Skorzystałem więc z nadarzającej się okazji, by powędrować za mury razem z kurierem, który miał dostarczyć pieniądze od królowej dla przytułku Galta. Może i nie było to najprzyjemniejsze miejsce, lecz przynajmniej stanowiło jakąś odmianę. Poza tym chciałem się przekonać, czy nasza pomoc odnosiła jakieś zauważalne skutki. O dziwo miasto, które wydawało mi się poprzednim razem brzydkie, szare, brudne i posępne, wraz z ustąpieniem śniegu dziwnie poweselało. Nie przyczyniło się do tego bynajmniej błoto na ulicach ani zaniedbane budynki. To ludzie spragnieni słońca otwierali szeroko okna i drzwi, wpuszczając wiosnę do zatęchłych izb. Kobiety myły kolorowe szybki, wymiatały za próg utuczone przez zimę kłębki kurzu. Wysoko na parapetach i galeryjkach wykładaly do wietrzenia barwne kilimy, poduszki albo części ubrań. Gdzieniegdzie najwyraźniej odbywały się akurat wielkie porządki i pranie, bo służba wylewała wielkie cebry brudnych mydlin do rynsztoków. Dzieciarnia puszczała w nich łódeczki wystrugane z patyków. Malcy przyglądali mi się otwarcie wyraźnie zafascynowani moimi skośnymi oczami. Niektórzy nawet biegli obok mego konia. Dorośli rzucali ukradkiem ciekawe spojrzenia. Tym razem nikt nie cisnął kamieniem. Może sprawiła to obecność kuriera, a może wieści o względach okazywanych nam przez królewską parę. Nawet nędzarze odczuwali wiosenną odmianę — widziałem, że poruszają się żwawiej, wyżej*

noszą głowy, a na ich wychudzonych twarzach pojawiały się blade uśmiechy. Plac Wołowy po roztopach stanowił jedno wielkie grzędawisko, w którym zapadały się końskie kopyta. Jednak i tutaj, ku memu zadowoleniu, widać było zmiany na lepsze. Ludzie nie kryli się już w nędznych bartogach, lecz wychodzili na zewnątrz. Dzień był dość ciepły. Widziałem kobiety siedzące pod ścianą baraku i łatające ubrania. Dwóch małych chłopców bawiło się na progu drewnianymi kukielkami. Jeden z nieśmiałości zastonił buzię rękami i tylko spoglądał przez palce, za to drugi odpowiedział szczerbatym uśmiechem na mój uśmiech. Poczulem zapach jedzenia, a gdy zajrzałem do wnętrza szopy, zobaczyłem zgromadzone przy kotle postacie. Akurat jedzono zupę. Jakiś staruszek drobił do miski kawałek chleba, pewnie za twardy dla bezzębnych szczęk. Tuż obok pożywiała się młoda matka. Rzuciła mi pogodne spojrzenie znad brzegu naczynia. Jedną ręką przytrzymywała niemowlę ssące jej pierś. Również u Galt'a zmieniło się to i owo. Chyba ostatnio jadał lepiej, gdyż nie był już tak chudy. W jego izbie unosił się zapach rosółu zmieszany z wonią rozgrzanego metalu. Wydobywała się przez szparę w uchylonych bocznych drzwiach. Za nimi ujrzałem grupkę ludzi — zarówno kobiet, mężczyzn, jak i starszych dzieci — pracujących przy stołach skleconych z tarcicy. Po chwili zorientowałem się, że oglądam właśnie zaimprovizowany warsztat, gdzie wykonuje się ołowiane pociski do broni Biliara. Mężczyźni, z dolnymi połowami twarzy zastoniętymi szmatami, topili trujący ołów w tyglach i wlewali porcje metalu do foremek ustawionych w schludnych rządkach na stołach. Kobiety wysypywały zastygłe, lecz wciąż gorące kule do ceberków, skąd wybierali je następni pracownicy. Zdejmowali ostrymi nożykami nadlewki i nierówności, od czasu do czasu dmuchając na sparzone palce. Gotowe pociski znajdowały ostateczną przystań w płaskich skrzynkach. Zarządca Galt z zadowoloną miną pokazywał je wystannikowi królowej. Obaj kiwali głowami z aprobatą, notowali coś na skrawkach papieru. Ich rozmowa musiała dotyczyć przyjemnych spraw, gdyż widziałem, jak robotnicy zerkają na nich, uśmiechając się ukradkiem. Przychylność Northlandczyków objęła nawet mnie — obcego przybysza. Z poprzedniej atmosfery rozpaczony nie zostało tu nic. Bładzi, wychudli ludzie mieli oczy jaśniejsze nadzieją. A tak niewiele im było trzeba — trochę więcej jedzenia, nieco ciepła, pożyteczna praca, która odpędzała złe myśli i sprawiała, że czuli się potrzebni. Każda odlana przez nich kula była częścią spodziewanej zemsty na tych, co pozbawili ich domów, zabijali ich bliskich i sąsiadów. Przejazdka po mieście przywróciła mi w pewnej mierze równowagę ducha. Zrobiło mi się lżej na sercu. Nawet jeśli jednego dnia życie przypomina miską piołunu, to następnego ranka można znaleźć w nim tyżkę miodu. Choć czasem jest na odwrót. Myślę, że jestem gotów znów spróbować pracy nad centaurem. Może nie będzie tak wojowniczy jak tamci dwaj? Nic o nim nie wiemy, prócz tego tylko, że nie jest człowiekiem. Matko Świata, miej w opiece nas i jego także.

\* \* \*

W zamku Kodau tradycyjnie co roku wczesną wiosną urządzano wielki bal — zwany „Słonecznym” lub żartobliwie „Słonecznikowym” z powodu wielkiej ilości tych kwiatów hodowanych zawczasu w oranżeriach — który pozwalał się otrząsnąć z zimowego marazmu. Oczywiście był jednocześnie doroczną okazją do prezentacji: lordowskich córek dorastających do zamążpójścia, klejnotów ogromnej wartości, oszałamiających sukien i całego tego blichtru, jaki zwykle towarzyszy wszelkiego rodzaju balom. Siedziba rodu Toho pękała wówczas w szwach. Goście zajmowali wszystkie komnaty — od reprezentacyjnych apartamentów do ciasnych komórek. Służba zmuszona była do sypiania w stajniach i na wiązkach słomy rozkładanych w korytarzach. Kucharze i kuchty zwijali się jak w ukropie, by nakarmić co dzień wielką rzeszę ludzi i jeszcze przygotować wykwinną ucztę. Wszędzie było pełno podnieconych do ostatecznych granic dzieci. Pod nogami kręciły się ulubione psy przybyszów, gryząc się z miejscowymi. Obcy służący gubili się ustawicznie w płataninie korytarzy. Z klatek uciekały kłopotliwe pieszczochy — takie jak małpki, wielkie jaszczurki albo śpiewające ptaszki. Pewnego razu jeden z książąt przywiózł ze sobą niewyrośniętą mantikorę, która wzbudziła bezkrytyczny zachwyt następcy tronu. Zwierzę omal nie zamieszkało w komnatach królewicza, lecz przyjęcia podarunku od szczodrego wielmoży stanowczo zabroniła mu matka. Jak na jej gust mantikora miała zbyt dużo zębów, pazurów i kolców, pomijając już, że cuchnęła paskudnie.

Wojna sprawiła, że dwa ostatnie bale wiosenne były o wiele skromniejsze niż zwykle. Królowa Iditalin rozważała nawet, czy tym razem nie zrezygnować całkowicie z festynu, który wydawał się jej w tych okropnych czasach niepotrzebną, kłopotliwą (i kosztowną) zachcianką. Kiedy jednak córka wbiegła do jej komnat, klaszcząc w ręce i wołając: „Słonecznikowy Bal, bal się zbliża! Jak dobrze, mateczko kochana, bo tak smutno w domu było! Czy dostanę długą sukienkę w tym roku?” — królowej zmiękło serce. Biedna Jana nie miała ostatnio zbyt wielu rozrywek. Rok dla dorosłego mija z nieprawdopodobną szybkością, ale dla dziecka trwa długo jak wieczność. Całą wieczność dziewczynka czekała na tańce, fajerwerki i linoskoczków. Poza tym... może to miał być ostatni Słonecznikowy Bal w Kodau? Iditalin wezwała ministra skarbu, by ustalić, ile pieniędzy można wydać na tegoroczną zabawę. Wyrn O'hore, obdarzony fenomenalną pamięcią oraz doskonale zorientowany we wszelkich sprawach politycznych i plotkach, miał ułatwić ułożenie listy gości.

Tak więc wkrótce zaczęły do królewskiej siedziby ściągać herbowe powozy. Wyludnione dotąd mury zapełniły się barwnym tłumem. Zrobiło się bardzo gwarnie — czasem wesoło, czasem kłótliwie — lecz zdecydowanie interesująco. Panowie i damy ze zdumieniem, ciekawością oraz pewną dozą podejrzliwości oglądali się za młodymi Lengorchianami, którzy nie tylko sprawiali wrażenie bardzo



zadomowionych, ale też pozostawali w bliskich stosunkach z królewskim potomstwem. Rodziło to mnóstwo plotek i raczej niewielu northlandzkich wielmożów patrzyło pobłaźliwie na „panoszących się” obcych.

A dzień Słonecznikowego Balu zbliżał się nieuchronnie.

I wreszcie nadszedł.

\* \* \*

— Tylko pamiętajcie. . . — zaczął Promień, blady ze zdenerwowania.

— Oooo maaa-nieeee-rraaach! — dokończyli zgodnym, acz znudzonym chórem jego koledzy. Niejeden przewracał oczami, wyrażając irytację. Promienia, który poprzednio demonstrował głęboką pogardę dla konwenansów, a z niedbałego odziewania się uczynił niemal sztukę, niespodzianie bardzo zaczęło obchodzić, jak go widzą inni. Inni — czyli tutejsza arystokracja. Porzucił swą ulubioną, wyszmelcowaną bluzę na rzecz jedwabiu i aksamitu. Przestał też malować pod oczami ciemne krechy, które nadawały jego twarzy agresywny wyraz. Swą nową obsesją objął towarzyszy, męcząc ich ciągłymi wskazówkami: komu i w jaki sposób należy się ukłonić, jak jeść tę czy inną potrawę podczas uczyty, jakich tematów unikać w rozmowie z damą i jak się zachować, jeśli rzeczona dama wyrazi chęć zacieśnienia znajomości. Twierdził, że członkowie Drugiego Kręgu są równie obcy towarzysko jak stado owiec. Jasna rzecz, że młodzi magowie zzymali się na takie niesprawiedliwe uwagi. W ich domach, choć biedniejszych od pałacu szlachetnie urodzonego Iskry, zwykle ceniono uprzejmość i takt. Natomiast pod względem zachowania przy stole nikt chyba nie przeszedł gruntowniejszej tresury niż chłopcy uczący się w szkołach pod patronatem Kręgu. Mimo to Promień był wciąż podrażniony jak zamoczony smok, a wielkie słowa w rodzaju „godność”, „reprezentacja”, a nawet „ojczyzna” nie schodziły mu z ust. Jedynym, którego nie zdołało dotknąć nudziarstwo Promienia, był Kamyk. Ale Kamyk i tak żył w zasadzie obok, odgradzony od rzeczywistości ścianą ciszy.

W przeddzień balu do komnaty magów posłaniec dostarczył niewielkie pudełko, zawierające osiem jednakowych szpil w kształcie kłosa — bliźniaczek tej, która była w posiadaniu Arn-Kallana. Ten podarunek królowej uświadomił wreszcie młodemu magom, że Promień ma słusność. Bal miał być nie tylko zabawą, ale przede wszystkim publiczną prezentacją. Jeżeli któremuś z nich przydarzy się jakieś potknięcie, na pewno skompromitują siebie, ale również wystawią nie najlepszą notę ogółowi magów i sprawią przykrość swej protektorce. Już na początku postanowili, że ubiorą się jednakowo — w proste tuniki z lśniącego jedwabiu miedzianego koloru, bardzo wąskie czarne spodnie, ozdobione na szwach jedwabnym sznurem, oraz wysokie, również czarne buty. Rzecz jasna, niezbędnym elementem tego ujednoliconego stroju była błękitna szarfa.. A gdy wszyscy już byli gotowi

i ostatnią czynnością pozostało spięcie tunik przy szyi klejnotem królowej, każdy raptem poczuł się jak żołnierz w uniformie.

— Panowie... godność, honor i ojczyzna — odezwał się Gryf pogrzebowym tonem, otwierając drzwi. Nikt jakoś się nie roześmiał.

\* \* \*

Sala balowa w dni powszednie służyła celom bardziej prozaicznym. W obszernej hali odbywały się niewielkie spotkania towarzyskie. Grano tu w kule, gdy na zewnątrz panowała zła pogoda; spacerowali po niej dworzanie, rozkoszując się spokojem, zwłaszcza że przypominała swym wyglądem ogród. Pełno w niej było donic z bujnie rosnącymi roślinami, a pośrodku kaprys architekta umieścił niewielką, płytką sadzawkę, w której pływały czerwone rybki. Sala miała jeszcze tę niezaprzeczną zaletę, że niezwykle łatwo było schować się między roślinami lub za kolumną — co sprzyjało podsłuchiowaniu albo zabawie w chowanego. Zwłaszcza Jana bez skrępowań wykorzystywała okazje, by w tym miejscu niezauważalnie wyzwolić się spod kurateli guwernantek, czym doprowadzała je do choroby nerwowej. Tym razem wyniesiono część roślin, a pozostałe przestawiono w taki sposób, by stworzyły po bokach zaciszne kąciki, gdzie można będzie usiąść na miękkich ławeczkach, gdy ktoś zmęczy się tańcem. Między kolumnami zwieszały się długie festony uplecione z cisowych gałązek, w które powpinano setki złocistych atlasowych kwiatów słonecznika i motyli zrobionych z piórek. W wazonach stały pęki gałązek obsypanych młodziutkami jasnozielonymi listeczkami. A gdzieś tam pomiędzy zielenią umieszczono drewniane figury przedstawiające postacie pasujące do sielankowego wyobrażenia wsi: bosą pasterkę, o której fałdzistą spódnicę zaczepił rogiem koziołek; żniwiarkę z sierpem, w wieńcu z kłosów; pszczelarza, na wieki zastygłego z palcem w ustach, jakby oblizywał go ze słodyczy, a może wysysał ślad użądlenia; chłopczyka z wędką, dumnie pokazującego rybę drewnianej dziewczusce, oraz temu podobne. Tu i ówdzie na małych stolikach stały koszyczki z łyka, wypełnione ciastkami i owocami w cukrze, gliniane pucharki, butelki wina oplecione łykiem i dzbanki na wodę o smukłych szyjkach. Na powierzchni wodnego oczka unosiły się lekkie tace, również z drewna, którym zręczne ręce rzemieślnika nadały kształt kaczek. Pływały swobodnie, niosąc na grzbietach stopy orzechów, rodzynek i słodkich strączków kofeiny. Dekorator konsekwentnie postanowił wszystko utrzymać w jednym, niby wiejskim stylu i efekt był, o dziwo, bardzo przyjemny dla oka. Na wysokiej galerii, obiegającej wkoło komnatę, przygrywali dyskretnie muzycy.

Jednak nie każdemu przypadło to do gustu. Wśród gwaru rozmów zbierających się gości Koniec wyłowił słowa rzucone półgłosem: „Skarbiec musi być pusty, skoro robią aż takie oszczędności”. Zabrzmiało to dość wzgardliwie. Mówca

bezbłędnie znalazł autorkę powyższej uwagi. Była to chuda kobieta w średnim wieku, przesadnie wymalowana i obwieszona biżuterią. Zasłaniając niedbale usta wachlarzem, rzucała ciche, kąśliwe uwagi o dekoracjach, gościach, a nawet samej królowej. Słuchała jej przyjaciółka, na odmianę tęga, z przylepionym do warg sztucznym, słodyczkowatym uśmiechem.

Ożeż wy! Zapamiętam was, kwoki podskubane! — pomyślał Koniec z gniewem.

Odźwierni rozsunęli wielkie, czteroskrzydłowe drzwi między salą do tańca a bankietową, gdzie przygotowano dwa ciągi stołów zastawionych już do uczy. Po jednej stronie obrusy były śnieżnobiałe, po drugiej — zielone jak trawa. Kamerdynerzy, pod kierunkiem mistrza ceremonii, zaczęli prowadzić gości do miejsc wyznaczonych im według stanowisk i urodzenia. Wszyscy młodzi magowie znaleźli się przy stole zielonym. Ku pewnemu zaskoczeniu i zmieszaniu biesiadników na zielonym obrusie stały bardzo proste, drewniane talerze. Noże i szpikulce do mięsa były brązowe w kościanej okładzinie. Kielichy do wina — z grubego, zielonkawego szkła. „Biały” stół tymczasem lśnił od złota, srebra i rżniętego kryształu. Porcelanowe wazy kipiały egzotycznymi kwiatami, z których ogołocono zanikową oranżerię. Na „zielonym” stały proste wazony z pomarańczowej gliny, wypełnione różnorodnymi kłosami zbóż, zasuszonymi ostami, trawami, płowowąsami gałązkami leszczyn i oczywiście małymi słonecznikami.

Promień znalazł się między jakimś starcem w niemodnej szacie oblamowanej lisim futrem a bladą panią w szarej sukni. Przez moment zastanawiał się, jakże to dziwna fanaberia skłoniła dziewczynę do włożenia tego paskudnego koloru na tańce, gdy zauważył broszkę w kształcie czaszki z otokiem drobnych perełek i zorientował się, że jego sąsiadka jest w żałobie. Goście białego stołu nie kryli wesołości. Pochylali się ku sobie, by wymienić jakieś uwagi, a co chwila ktoś chichotał, spoglądając z drwiną na poniżonych sąsiadów. Starzec splótł palce i zaciskał je tak, że białały mu kostki. Dziewczyna w żałobie wbiła oczy w talerz, gryząc wargę. Promień czuł przez skórę, że coś się szykuje. Podział miał jakiś ukryty sens. Ale jaki — któż to mógł wiedzieć? Zdążył jednak poznać na tyle królową, by wiedzieć, że Pani Zielonego Kłosa nie poniżyłaby nikogo publicznie. To po prostu nie leżało w jej naturze.

Mistrz ceremonii pojawił się w przejściu, stuknął niezbyt głośno laską w podłogę i powiedział z naciskiem:

— Jego Wysokość król Northlandu. Jej Wysokość królowa.

Gwar ucichł jak nożem uciął. Goście powstali. Wszystkie oczy skierowały się na drzwi.

Królewska para zatrzymała się na chwilę, by skinać przybyłym głowami na powitanie. Atael musnął ustami końce palców żony, po czym oboje rozdzielili się. On podszedł do stołu białego, ona do zielonego. Za Iditalin kroczyły z poważny-

mi minami jej dzieci. Toroj niósł wysoki dzbanek, a Janael porcelanową miszkę i ręcznik.

— Serdecznie witamy gości na Słonecznikowym Balu — odezwała się królowa, stając u szczytu stołu. — Jestem tym bardziej rada, że przybyli wszyscy mili memu sercu. Oto przy tym stole zgromadziłam ludzi szlachetnego serca, którzy są czuli na ludzką niedolę. Wielu z was, wielmożni panowie i panie, z ochotą wspomagało tych, którym wojna odebrała wszystko. Przyjmowaliście ich pod swoje dachy, wspieraliście hojnymi datkami, nieraz ze szkodą dla własnej wygody. Ocaliliście w ten sposób wiele żywotów ludzkich. Za to pragnę wam podziękować.

I władczyni Northlandu z wdziękiem zanurzyła się w szerokie spódnice, składając dworski ukłon przed swoimi poddanymi.

— O Panie Młota, że też ja dożyłem takiego zaszczytu. . . — wymamrotał starsuszek obok Promienia, czepiając się kurczowo oparcia krzesła, gdyż nogi się pod nim ugięły. Szara panienska schyliła głowę, chlipiąc ze wzruszenia. Łzy kapały jej na suknię. Wszyscy ludzie w zasięgu wzroku Iskry byli niesłychanie poruszeni. Widział, jak umieszczeni przy wystawniejszym stole goście to bledną, to zielenieją z zazdrości. Król stał przy swoim krześle bez ruchu, nie kwapiąc się do siadania, przez co zmuszał do stania wszystkich obecnych. Splótł ramiona na piersiach i przyglądał się poczynaniom małżonki, ignorując magnatów przed sobą. A królowa wzięła z rąk syna dzban i wraz z dziećmi podchodziła kolejno do każdego ze swych gości, by ceremonialnie obmyli ręce. Trwało to nieco, choć stół był krótszy od sąsiedniego i zasiadało przy nim mniej osób.

— Co się dzieje? — szepnął Promień do Toroja, kiedy przyszła jego kolej.

— Matka wynagradza szlachetność charakteru — wycedził królewicz przez zęby, prawie nie otwierając ust. — Porozmawiamy potem.

— Patrz na tamtych! — syknęła Jana, podając Iskrze ręcznik. Jej piwne oczy lśniły z podniecenia jak gwiazdy.

Kiedy królowa powróciła na swoje miejsce u szczytu stołu, oczekiwano, że wreszcie ona lub król da znak rozpoczęcia biesiady. Jednak Atael Toho oddał całkowicie inicjatywę żonie. Iditalin zasiadła na swoim krześle i wszyscy obecni nareszcie także mogli spocząć. Uśmiechnęła się tajemniczo i psotnie zarazem.

— Zanim zaczniemy rujnować ciężką pracę mistrzów kucharskich, proszę, abyście na chwilę odwrócili swoje talerze do góry dnem.

Zdumieni goście spełnili tę dziwną prośbę. Na spodzie każdego talerza znajdował się napis w wpuszczonego w drewno złotego drutu: „*Prawdziwa cnota nie oczekuje zapłaty*”.

— Sprawiliby mi wielką przyjemność, gdybyście zatrzymali te skromne naczynia na pamiątkę dzisiejszego dnia — powiedziała królowa i uderzyła młoteczką w gong stojący obok jej nakrycia. Do sali zaczęli wchodzić służący dźwigający wielkie półmiski z potrawami.

— Ona jest niezwykła. Niesamowita, naprawdę niesamowita — powiedział z podziwem Promień, obracając na powrót swój talerz. Przed chwilą był świadkiem artystycznie rozegranego manewru politycznego. Królowa nie tylko nikogo nie obraziła, ale wręcz niebotycznie wywyższyła tych, którzy na to zasłużyli, jednocześnie nie dając widocznego powodu do niezadowolenia stronie przeciwnej.

— To prawda! — potwierdził gorąco młody człowiek, siedzący naprzeciwko. — Mój ojciec mówił, że dawno nie mieliśmy tak wspaniałej królowej.

Uśmiechnął się, patrząc na ozdobną szpilkę przy stroju Promienia.

— Pan jest zaufanym Najjaśniejszej Pani, jak widzę. Niewielu może się poszczycić tym znakiem.

— Służę jej z ochotą — odrzekł Iskra ostrożnie. Rzucił okiem na biały stół, gdzie atmosfera była kwaśna jak kompot z niedojrzałych jabłek. Jakimi kryteriami kierowała się królowa, układając listę „swoich” gości? Dla dobra podopiecznych Galta najwięcej uczynił Stalowy, a zaraz potem obaj Wędrowcy i Tkacz Iluzji. Iskra miał pewne zasługi przy pracy nad bronią palną, lecz to raczej stawiało go w rzędzie ludzi króla. Może jednak powinien znaleźć się przy niesławnym stole, ociekającym ostentacyjnym bogactwem?

— Pan nic nie je? — usłyszał ze swej lewej strony. — Proszę spróbować perliczki. Jest doskonała.

Właściciel lisiego kołnierza włożył mu na talerz kawałek mięsa.

— Dziękuję — bąknął Iskra i zrewanżował się równą uprzejmością, napieniając winem kielich staruszka oraz szarej damy po drugiej stronie.

— Lengorchia... to taki ładny kraj — powiedział starzec, wznosząc puchar. — Bywałem parokrotnie, za młodych lat. Macie piękne kobiety. I dobre wino! Miło wspominać.

— Ja jeszcze nigdy nie podróżowałem tak daleko — rzekł trochę nieśmiało młodzieniec z przeciwka — ale chciałbym. Słyszałem, że jest w Lenenji świątynia waszej Matki Świata, a w niej posąg wysoki jak pięciu ludzi. Figura ponoć ma szatę z nefrytu i złota. Wspaniałych musicie mieć rzemieślników...

Promień zrozumiał, dlaczego magowie otrzymali miejsce przy skromnym, ale jakże godnym stole królowej. Przy sąsiednim zapewne nie znalazłby się ani jeden człowiek, który miałby do powiedzenia coś dobrego o Lengorchii.

Biesiadę uprzyjemniała ściszona muzyka. Na szczęście nie znano tu zwyczaju bawienia gości popisami karłów. Jedzenie, w porównaniu z podawanym w Pałacu Tysiąca Komnat, było niewyszukane, lecz bardzo smaczne. Promień z wprawą wychwytywał braki w składach: do Northlandu nie docierały już świeże cytryny, pomarańcze ani inne owoce lubiące ciepły klimat, umiarkowanie szafowano też imbirem oraz przyprawami całkiem pospolitymi w ojczyźnie Iskry. Zastępowały je miejscowe ingrediencje — o ile Promienia nie mylił węch i smak, rozpoznawał większość ziół, którymi w ogoranckiej puszczy Rijen doprawiała swe skromne potrawy. Na stołach znalazł się wielki wybór mięs i ryb, łącznie z tłustymi, wę-

dzonymi wstężnikami, lecz brakowało takich wykwintnych dań, jak na przykład ośmiorniczki w słodkiej marynacie czy szczypcie krabów obłęźników. Za to po długiej degustacji, kiedy chłopak już się zastanawiał, czy znajdzie w żołądku miejsce na choćby jedną kandyzowaną wiśnię, służba wniosła ciasta i wielkie michy sorbetu. No tak, czego jak czego, ale śniegu do przygotowania tego wytwornego deseru nie brakowało w tym kraju.

\* \* \*

Po bankiecie nastał czas swobodnej konwersacji — w każdym razie taką nazwę nosił oficjalnie. W istocie potrzebna była przerwa, by najedzonym ludziom nieco ułożył się w brzuchach ten niesamowity miszmasz ciężkich potraw. A także by można było dać ulgę pewnym potrzebom ciała. Damy znikwały pojedynczo i parami, aby poprawić fryzury, suknie oraz zmienić obuwie na miękkie pantofle do tańca. W maleńkich, odosobnionych państewkach kobiecych komnat musiały też rozkwitać plotki, bo panie powracały najczęściej w wyśmienitych humorach.

Koniec skorzystał z pierwszej okazji, by podejść do królowej i w wyszukanych słowach pogratulować jej doskonałego smaku.

— W Zamku już jakiś czas temu porzuciliśmy marny blichtr na rzecz stylu skromniejszego, lecz finezyjnie skomponowanego z jednorodnych elementów — ciągnął, prawie nie mijając się z prawdą. — Gdyby był tu ktoś ze starszyny Kręgu, pewnie natychmiast próbowałby wypożyczyć dekoratora Najjaśniejszej Pani. I krawca także. Doskonała suknia. Nie mam słów. Po prostu idealna — dodał, spostrzegając z niekłamanym zadowoleniem, że jedna z „kwok podskubanych” stoi dostatecznie blisko, by słyszeć wszystkie te komplementy.

Istotnie, strój królowej idealnie współgrał z całym otoczeniem. Jej Wysokość sprawiła sobie suknię balową nie z jedwabiu, lecz — ku ogromnemu zgorzeniu co bardziej tradycyjnych dam dworu — ze zwykłej lengorchiańskiej bawełny barwy jasnego miodu. Tkanina tego gatunku nie dziwiłaby na mieszcze, z pozycją królowej natomiast kontrastowała wyzywająco. Za to krój sukni stanowił arcydzieło sztuki krawieckiej, przybrane bardzo starymi i cennymi koronkami, które przypominały delikatne pajęczyny z drobnymi perełkami w miejsce kropelek rosy. Szyję Iditalin otaczał pojedynczy sznur turkusów, a kunsztowną fryzurę przytrzymywały grzebienie — same w sobie miniaturowe cuda w kształcie bukietów kłosów i kwiatów polnych wykonane z połączonych różnych gatunków wielobarwnego drewna. Królowa nie miała na sobie nawet okruszka złota, lecz i tak coś sprawiało, że promieniował z niej niezwykle majestat i pogoda. Przy niej większość obecnych dam przywodziła na myśl przeładowane lukrem dzieła szalonego cukiernika.

Rozpoczęły się tańce. Wpierw spokojne, wyważone układy, przypominające niemal przedstawienia teatralne — z akcesoriami w postaci lekkich jedwabnych

szali, róż na długich łądogach oraz wianków winorośli, potem coraz weselsze i skoczne, wzorowane na tańcach ludowych, w miarę jak z towarzystwa opadały więzy konwenansów. Zwłaszcza Gryf był zadowolony z tej odmiany. Nudziło go chodzenie po kilka kroczków to w jedną, to w drugą stronę. Poza tym ukłuł się kolcem róży pozostawionym przez czyjeś niedbalstwo na łądydze. Natomiast jego partnerka, całkiem ładna i apetyczna, z dwuznacznym uśmiechem wciąż prezentowała mu ukradkiem odgięty frywolnie mały paluszek, dając znak, że miałyby ochotę na o wiele, wiele bliższą znajomość z przystojnym Obserwatorem. Kiedyś zapewne chętnie skorzystałby z propozycji, lecz teraz, ilekroć spojrzął na zapłonioną kokietkę, w uszach brzmiało mu echo urągliwego szeptu: „He lengorchijel tasso!”. Skoczne melodie choć trochę odpędzały niemiłe skojarzenia, poza tym istniała szansa, że nachalna panna zmęczy się i Gryf będzie mógł się od niej uwolnić.

Przerwa w płaśach dostarczyła rozrywki innego rodzaju. Tancerze rozsiedli się na fotelikach i ławeczkach między zielonią. Wystąpił mocno ufryzowany osobnik, lśniący od brokatu niczym tropikalny chrząszcz, a następnie rozpoczął deklamację poezji tonem przesadnie afektowanym. Po paru minutach słuchacze byli już na tyle znudzeni, że zaczęły się przyciszone rozmowy. Deklamator podnosił głos, by je zagłuszyć, co z kolei powodowało, że rozmawiano jeszcze głośniej. Czerwony pod pudrem ze złości recytator nie poddał się aż do końca, niemal wykrzykując finałowe wersy. Gryf odszukał wzrokiem parę królewską. Atael robił wrażenie, jakby śmiał się „do środka”. Królowa zasłoniła usta wachlarzem, lecz talent maga wykazał, że i ona doskonale bawi się tą niezamierzoną bitwą na głosy. Miejsce deklamatora zajęła grupka słodkich dziewczątek w białych sukienkach. Zaśpiewały chórem piosenkę, w której roiło się od ptaszków, kwiatków i jagniątek. Była to poezja jeszcze niższych lotów, lecz przynajmniej miło było popatrzeć na młodziutkie śpiewaczki.

Korzystając z tego, że uwaga obecnych skierowała się na dziewczynki, partnerka Obserwatora złapała go za kolano. Gryf stracił ostatecznie cierpliwość. Nie, tym razem stanowczo nie miał ochoty na intymne zabawy. Dość oziębłym tonem podziękował urażonej kobiecie za towarzystwo i zmienił miejsce pobytu. Traf chciał, że za kolumną natknął się na lorda Arn-Kallana, który przyciszonym głosem rozmawiał z osobą płci niewątpliwie żeńskiej, lecz o dość swoistej anatomii. Kobieta była bardzo niska, właściwie zaliczała się już do karlic. Torsem mogłaby obdzielić dwie osoby, za to natura niemal całkowicie pozbawiła ją szyi. Szeroko rozkloszowana dołem suknia balowa sprawiała, że łatwiej byłoby ową damę przeskoczyć, niż obejść dokoła. Zgodnie z nakazami grzeczności lord dokonał wzajemnej prezentacji. Wielkie, wypukłe oczy osadzone w uderzająco nieładnej twarzy — czego nie zdołał zamaskować puder ani barwiczka — otaksowały Gryfa od stóp do głów, a szerokie usta rozciągnęły się jeszcze szerzej w łaskawym uśmiechu.

— Miło poznać — skinęła głową.

Gryf nieświadomie oczekiwał, że karlica będzie skrzeczeć, lecz okazało się, że jej głos ma niespodziewanie przyjemne brzmienie. Arn-Kallan i malutka dama na nowo pograżyli się w konwersacji. Młody mag spacerował po sali, obserwując, jak goście znów ruszają w tany. Jego poprzednia towarzyszką już znalazła sobie nową ofiarę, którą okazał się Stalowy.

— Czyżby samotny? — Tuż obok Gryfa znalazł się Winograd. — Jak to możliwe? Ty?

— Nie jestem w nastroju do czułości. Właśnie uwolniłem się od pewnej lepszej panią o zbyt ruchliwych rękach — odpowiedział Obserwator.

— A jak znajdujesz inne? Jest tu mnóstwo interesujących dam.

— O tak — mruknął Gryf zjadliwie. — Zwłaszcza jedna zrobiła na mnie niezwykle wrażenie. Wstrząsająca kobieta. Rozpoznasz na pewno. Wzrost aż dwa łokcie, wygląda jak żaba ubrana w parasol.

Bestiarowi nagle zrzęła mina. W tej samej chwili Gryf poczuł dotkliwe szturchnięcie w zębra. Obejrzał się, zaskoczony, a jego wzrok zatrzymał się na czubku czarnego koka. Niżej znajdowała się płaska twarzyczka o wielkich, wypukłych oczach, w których płonęła furia. Dama cofnęła rączkę wachlarza i rzuciła oschle w całkiem poprawnym lengore:

— Jest takie powiedzenie, że im wyżej ktoś nosi głowę, tym boleśniej na nią upada. To się bardzo ciebie tyczy, młody człowieku.

I oddaliła się z godnością, pozostawiając Gryfa mocno zmieszanego. Nie był to jednak koniec jego upokorzenia. Spędził przyjemnie czas w towarzystwie nowej tancerki, po czym znów nastąpiła przerwa „na konwersację”. Jednak teraz przed królem i królową stanął nie kto inny, tylko właśnie owa „żaba w parasolu”. Gryfa nagle szarpnęło za kark nieokreślone przecucie — w przeciwieństwie do poprzednich popisów tym razem zaległa cisza jak w świątyni. Brzydka kobieta wzięła głęboki oddech, aż jej beczkowata klatka piersiowa rozděła się jeszcze bardziej groteskowo... i zaśpiewała.

Gdyby malarz chciał oddać jej głos kolorem, musiałby użyć wszystkich barw i odcieni, a jeszcze nie osiągnąłby ideału. Gdyby o to samo pokusił się tkacz, z jego krosien spłynąłby aksamit. „Żaba” śpiewała bez żadnego akompaniamentu. Każdy instrument, który w zamierzeniu miałby ulepszyć jej śpiew, byłby dodatkem zbędnym i może nawet bluźnierczym. Gryf nie wiedział, o czym śpiewała. Były tam jakieś słowa, lecz przepływały przez jego świadomość niemal niezauważalnie — miękkie, nieprzeszkadzające. Zamknął oczy i nurzał się w tej cudownej pieśni, doznając niemal ekstazy uniesienia. Głos śpiewaczki wypełniał całą wielką salę. Nie mieścił się w niej, szukał dróg ku wolności. To wznosił się w wysokich tonach, jak strzała wypuszczona z kuszy ku słońcu, to opadał, kołysząc się łagodnie, niczym ciemna, oleista toń nocnego morza. Kiedy zamilkł, cisza trwała jeszcze długą chwilę, jakby słuchacze oczekiwali z nadzieją dalszego ciągu. Do-



piero potem podniosły się okrzyki podziwu, pochwały. Obserwator widział, jak król własnoręcznie miesza wino z wodą i podaje kubek zmęczonej artystce.

Winograd trącił Gryfa łokciem.

— Ale wpadłeś. Hej... ty płaczesz?

— Nie! — warknął Obserwator, mrugając wściekle. — Oko sobie zatarłem! Odczep się!

Był wstrząśnięty. Stracił całą ochotę do zabawy. Ze wzruszenia drżały mu ręce. Czuł, że musi natychmiast wyjść, inaczej zaraz się rozsypie. Chciał zaszyć się gdzieś w ciemnym kącie, by rozpamiętywać to cudowne uczucie, jakiego doświadczył. Gdyby nie tamta straszliwa gafa, mógłby podejść do tej wspaniałej kobiety i zamienić z nią choćby kilka słów o muzyce. Pałace uczucie wstydu w przedziwny sposób mieszało się z zachwytem, kiedy uciekał od światła i gwaru. Dimanda... Dimanda o aksamitnym głosie. Zapamięta to imię do końca życia.

\* \* \*

Stalowy miał wrażenie, że znalazł się w innym świecie. Jeszcze dziesięć dni temu harował jak wół od rana do nocy, aż krew mu szła z nosa. Wpierw oglądał głównie ściany własnej pracowni, a potem powałę sypialni — zmagając się z gorączką i katarem. Z entuzjazmem korzystał teraz z niespodzianego odpoczynku, delektując się wykwinnym jedzeniem, rozrywkami i wesołym towarzystwem. A gdy jeszcze podjęła z nim pogawędkę urodziwa młoda dama, doszedł do wniosku, że niczego już mu nie brakuje do szczęścia — przynajmniej w najbliższym czasie. Jego rozmówczyni nosiła osobliwe imię Filiarai Toe, co kojarzyło mu się ze słowem „farai”, czyli „rzepką” w lengore, i była chyba najbardziej chichotliwą osobką, jaką zdarzyło mu się spotkać. Perlistym chichotem okraszała każde wygłoszone zdanie. Bardzo szybko przestał jej słuchać, stwierdziwszy przedtem, że pod elegancką fryzurą o pustawie wewnątrz czaszki obija się jej parę nieciekawych myśli, na podobieństwo rybek w słoiku. Damulka świergotała radośnie rozmaite banały i najwyraźniej zupełnie jej wystarczało, że młody mag nie odrywa od niej oczu, zasnutych tajemniczą mgiełką, oraz wtrąca od czasu do czasu słówko w rodzaju „oczywiście”, „nie może być?” lub „cudooownie”, z fascynującym obcym akcentem. Nie przypuszczała przy tym, że młodzieniec właśnie doprowadza do perfekcji sztukę niestuchania.

— Ćwir-ćwir-ćwir...! — zaćwierkała Filiarai.

— Słucham? — mruknął nieprzytomnie Stalowy.

— Ciasteczko! Ja chcę ciasteczko! — zaszcebiotała grymaśnie, trzepocąc do taktu rzęsami i wachlarzem.

Znajdowali się tuż obok sadzawki, na której pływały tace z łakociami. Stworzyciel uprzejmie przysunął ślicznotce najbliższą tratwę, lecz zawartość jej nie zadowoliła.

— Nie, nie! Tu nie ma ciastek z orzeszkami. Chcę ciasteczko z orzeszkiem!

Następne ciastka również nie znalazły uznania i Stalowy był zmuszony łowić kolejną drewnianą kaczkę, unoszącą się prawie pośrodku zbiornika. W tym celu wychylił się najdalej jak mógł, opierając się kolaniem o obrzeże. Końce jego palców prawie już dotykały tacy. . .

— Tamto! Tamto! — zapiszczała Filiarai, przechylając się także, by wskazać rzeczony łącok końcem wachlarza. Oparła się przy tym o ramię maga. To wystarczyło, by stracił równowagę. Jedną rękę wyrzucił w przód, by się podeprzeć, drugą odruchowo chwycił najbliższy przedmiot. Na nieszczęście był to bufiasty rękaw sukni szczebiotliwej damy. Z przeraźliwym kwikiem runęła prosto do sadzawki, aż woda chlusnęła z impetem na wszystkie strony. Najbliżsi świadkowie tej sceny wprawdzie zamarli w osłupieniu, a potem gruchnęli śmiechem. Rozpięta na wiklinowych obręczach suknia zadarła się, przykrywając kobietę z głową, za to ujawniając wszelką „niewymawialną” bieliznę. Namoczone halki skrępowały swą właścicielkę, więc szamotała się tylko bezradnie, nie mogąc wydostać z wody. Zakłopotany a jednocześnie rozbawiony Stalowy usiłował ją wyciągnąć, lecz okazało się to niemożliwe. Rozhisteryzowana panna okładała go wachlarzem, zachłystując się piskliwymi obelgami. Puder i tusz spływał jej po twarzy brudnymi smugami, z eleganckiej fryzury zostało coś na kształt mokrego szurczego gniazda. Widzowie płakali ze śmiechu. W końcu jakiś wielmoża, z pomocą dwóch lokajów, wywlókł z sadzawki zawodzącą z mokłą kurę i wyprowadził na zewnątrz. Po drodze rzucił mordercze spojrzenie magowi wycierającemu sobie mokre ręka wy serwetą.

Do Stalowego podszedł roześmiany od ucha do ucha lord Arn-Kallan.

— Jest pan nieznośny — wysapał, ocierając kąciki oczu koronkową chustką. Bił od niego ciężki, słodki zapach starego wina. — Ale doprawdy. . . na mą duszę, dawno się już tak dobrze nie bawiłem!

— To był wypadek — usprawiedliwił się mag. — Nie miałem najmniejszego zamiaru jej topić. Choć doprawdy. . . na mą duszę, zasługuje na to — dodał z przekąsem, dotykając ostrożnie skroni, gdzie trafiła go twarda rączka wachlarza.

— Oczywiście, lecz nie jestem pewien, czy tego samego zdania będzie jej kuzyn.

— Naśle na mnie morderców? To zaczyna, być monotonne.

— Ależ nie. Hołduje starym, przestarzałym wręcz obyczajom. Wyzwie pana na pojedynek. Jestem tego pewien.

— Z powodu głupiej gęsi, która przypadkowo skąpała się w tej płytkiej kałuży? — upewnił się zdziwiony młodzieniec.

— Dokładnie z takiego powodu. Pani Filiarai — Arn-Kallan konfidencjonalnie zniżył głos — jest dość kłopotliwa. Jej pierwsze zaręczyny zostały zerwane z niejasnych powodów. Potem wyszła za mąż za namiestnika Baltu i została wdową w ciągu siedmiu miesięcy. Co prawda różnica wieku

wynosiła około trzydziestu lat, ale i tak powiadają, że literalnie wpędziła go do grobu. Biedak zemścił się zaocznie, nic jej nie zostawiając w testamencie. Teraz rodzina próbuje znów się jej pozbyć, a dzisiejszy wypadek z pewnością mocno obniży wartość narzeczonej. Nieszczęsny Palgir będzie musiał bronić honoru rodziny, nawet jeśli nie ma na to ochoty.

— To głupie — skomentował krótko Stalowy. Nalał wina sobie i lordowi, po czym wzniosł puchar w szyderczym toaście.

— Za zdrowie naszej syreny. Niech schnie w spokoju!

\* \* \*

Wielmożny Palgir był albo istotnie bardzo rozwścieczony, albo nagle wezbrało w nim poczucie godności — rezultaty nie dały na siebie długo czekać. Nie minęła nawet godzina, kiedy Stalowego odszukał na sali oficjalnie usztywniony kamerdyner piastujący przed sobą niewielkie, płaskie pudełko. Stanął przed magiem i otworzył je gestem jubilera prezentującego swoje wyroby ze słowami:

— Z wyrazami szacunku od jaśnie wielmożnego pana Palgira Minao-Terne.

Na dnie pudełka spoczywała pojedyncza rękawiczka z czerwonego safianu. Młody mag podniósł ją w dwóch palcach, unosząc brwi w niemym zdumieniu.

— A gdzie druga? Zgubiłeś po drodze? Czy może ukradłeś? — spytał z kpiną. Mentalna fala uczucia niepewności i urazy ze strony sługi była oznaką, że powiedział coś niezupełnie odpowiedniego. Już to, że dotknął rękawiczki, miało najwyraźniej znaczenie.

— Czy mam rozumieć, że wielmożny pan przyjmuje wyzwanie?

Aha, więc o to chodziło. Czy nie można było powiedzieć tego w normalny sposób, nie bawiąc się w niezrozumiałe symbole? Stalowy niedbale wrzucił rękawiczkę na powrót do puzderka.

— Przyjmuję.

— Pan powinien mieć ją przy sobie w dniu pojedynku — zwrócił mu uwagę służący, a ton jego głosu sugerował, że z chwili na chwilę traci szacunek dla nieokrzesanego młodzika. Wyjaśnił, że starcie odbędzie się dnia następnego, równo o godzinie jedenastej, na małym dziedzińcu obok smętnika. Panu Palgirowi, jako stronie poszkodowanej, przysługuje wybór broni. Stalowy schował rękawiczkę w fałdzie szarfy. Sługa wycofał się, złożony sztywny ukłon.

— Prościej byłoby, gdybyśmy wyszli na chwilę i zwyczajnie dałbym mu po pysku — wymamrotał Stworzyciel do siebie, wzruszając ramionami.

Arn-Kallana, nieco już zaproszonego wypitym winem, cała sprawa raczej śmieszyła. Doskonale zdawał sobie sprawę, że ktoś o talencie Stworzyciela nie da się zarżnąć z tak idiotycznego powodu jak pojedynek o zranioną ambicję. Rozpijając kolejny puchar, opowiedział zaciekawionemu Lengorchianinowi o starej

tradycji rzucania rękawicy. Jeszcze za czasów dzieciństwa lorda czerwona barwa oraz rękawice pewnego określonego fasonu zarezerwowane były wyłącznie dla szlachty. Utało się, że są oznaką szlacheckiego honoru. Obecnie zmieniło się prawo i przywilej przywdziewania drogiego szkarłatu otrzymali również mieszczanie, lecz nadal przekazywanie przeciwnikowi czerwonej rękawiczki jest uznawane za symboliczne. Skoro utraciło się część godności, należy ją odzyskać — zwykle odbierając swą własność trupowi. Zwycięzca bierze obie. Niektórzy awanturnicy zbierają całe kolekcje takich par.

Stalowy potraktował ten epizod bardzo lekko. Pojedynkowa rękawica noszona w szarfię nie ciążyła mu w najmniejszym stopniu. Zabawa toczyła się dalej — ożywiona jeszcze nieoczekiwanym skandalikiem oraz coraz większą ilością spożywanych trunków. Oglądano popisy żonglerów, pieśniarzy i żywe obrazy. Królowa z wyrozumiałym uśmiechem przyglądała się, jak jej stateczni dworzanie rozgrywają między sobą zawody w chwytaniu na klingę szpady krążków z kandyzowanych jabłek. Jakiś młody człowiek złapał w objęcia drewnianą figurę żniwiarki i puścił się z nią w tany, ku uciechu rozbawionych widzów dowcipnie rozwodząc się nad niezwykłymi przymiotami swej partnerki, sławiąc jej skromność i błogosławioną małomówność. Wśród tych rozrywek Stalowy wręcz zapomniał o czekającej go następnego dnia konfrontacji. Przypomniał mu o niej dopiero następca tronu, z którym los zetknął maga na zewnętrznym tarasie, gdzie wyległa większość uczestników balu, by podziwiać sztuczne ognie. Na tle ciemnego nieba rozwijały się z hukiem złote, zielone i czerwone kwiaty, które kwitły nie dłużej niż dwa uderzenia serca. Może właśnie z tego powodu ten nietrwały ognisty ogród był tak fascynujący i upragniony.

— Palgir zapewne wybierze rapiery — odezwał się Toroj, stając niespodzianie tuż obok Stalowego. Nie odrywał oczu od widowiska na niebie. — Umiesz walczyć na rapiery?

— Nie.

— No, to on cię zabije — stwierdził chłopiec z rozczarowaniem.

— Nie.

— Tak.

— Bredzisz.

— Jak ty do mnie mówisz!?! — rozgniewał się królewicz. — Jestem z królewskiego rodu i należy się do mnie zwracać z szacunkiem!

— Bredzisz, Wasza Wysokość.

— O! Ten jest piękny! — zachwycił się Toroj na widok biało-złotej fontanny sypiącej ku ziemi lśniące gwiazdki. — Stanowczo uważam, że powinieneś potraktować tę sprawę poważnie — dodał już całkiem innym tonem. — Głupi czy nie, Palgir jest bardzo dobrym fechmistrzem. Może cię poranić, a nawet zabić i sam mój ojciec ci nie pomoże.

— Cóż to jest śmierć..? — odezwał się lekceważąco Promień, nagle stając za nimi. — Zaledwie zmiana miejsca pobytu. Któż by to traktował poważnie?

Jego protekcyjny ton nastroił Toroja agresywnie. Promień działał mu na nerwy. Od czasu niesławnego starcia pod wieżą, królewicz w obecności maga czuł się nieswojo, jakby miał coś na sumieniu. Paradoksalne — czuł się też gorzej. Raptem zarówno zachwycające widowisko na niebie, jak i jutrzejszy pojedynek zeszyły na plan dalszy wobec denerwującej obecności Iskry.

— Ach, więc wielki lengorchiański mag nie boi się niczego? — rzekł chłopiec zgryźliwie. — Lengorijeny są takie odważne?

— Niewiele jest rzeczy, których się boję. I na pewno żadnej z nich nie znajduję w tym zamku — odparł Promień.

— To samo mnie dotyczy — dodał natychmiast Stalowy, chcąc bronić narodowego honoru. — Mogę się nawet o to założyć.

— Zakład? — zastanowił się Toroj. — A więc gdybym wam pokazał coś, czego na pewno się przestraszycie, to co? Jaka jest wasza stawka?

— Tyle złota, ile ważysz — zażartował Stalowy. — A twoja?

— Koń wierzchowy. Spotkamy się na korytarzu po lewej stronie. Pokręćcie się trochę po sali i wyjdźcie osobno. Weźcie świece — zarządził Toroj półgłosem, by nikt postronny go nie usłyszał. Nie przypuszczał, że ktoś jednak śledzi tę konwersację od samego początku. Smukła rączka nagle przesunęła się między poprzeczkami balustrady i szarpnęła królewicza za brzeg płaszcza.

— Weźcie mnie ze sobą! — rozległ się cichy, ale pełen namiętej prośby okrzyk.

Cała trójka przechyliła się poza barierę, by z zaskoczeniem ujrzeć zaledwie łokieć niżej przyczajoną między krzewami ligustru Janael.

— Co ty tu robisz, Jana? — rozgniewał się Toroj. — Wiesz, co rodzice sądzą o podsłuchiowaniu!

— To nie moja wina, że stanęliście akurat tutaj! — odcięła się jego siostra. W ogrodzie ogniomistrze podpalili nowe fajerwerki i wirujące koła sypiące zielonymi iskrami oświetliły jej urażoną minę. — Chowam się przed boną.

— Kazała ci iść spać?

— Nie, ale jak mnie znajdzie, to każe. A ja nie chcę być nieposłuszna, więc wolę, żeby mnie nie znalazła.

— To logiczne — zgodził się Stalowy, parszcząc zduszonym śmiechem.

Toroj nie był zachwycony.

— Nie możesz iść z nami, Jana. Małe dziewczynki o tej porze śpią.

Wybrał argument najgorszy z możliwych.

— Widocznie nie jestem już mała, gdyż jeszcze nie śpię, choć jest środek nocy — zripostowała Janael zimno. — Ja też chcę się dobrze bawić!

— To zostań w tych krzakach i dalej baw się w banitkę! Ale bez nas!

— Okienko w kredensie — odezwała się Jana ni stąd, ni zowąd, ale za to z wielką satysfakcją. Z gardła jej brata wydobył się osobliwy dźwięk, przypominający dogorywającą kobzę.

— Żmija! — wyrzeźił z obrzydzeniem. — Szantażystka!

— To mogę iść — skostatowała dziewczynka z zadowoleniem.

— Za pół godziny pod drzwiami do świątyni. Jak cię bona albo protektor złapią, to ja za nic nie odpowiadam!

— Nie złapią — oświadczyła Janael niezłomnie, wyślizgując się niemal bezszelestnie spomiędzy zarośli. — A gdzie idziemy?

— Do podziemi. Do zimnych, paskudnych i strasznych podziemi — odparł Toroj szyderczo.

\* \* \*

— To straszne miejsce — zapewniła Janael, kiedy czwórka spiskowców zesłała się na umówionym stanowisku. Dziewczynka miała oczy pociemniałe ze zgrozy i wielkie jak spodki. W jej głosie brzmiały jednak nutki fascynacji. Oblizwała wargi, a potem wyskandowała z upodobaniem:

— Prze-ra-ża-ją-ce!!

Toroj przypatrywał się magom, mrużąc ironicznie oczy, a na jego ustach igrał wyzywający półuśmieszek.

— Cokolwiek to jest, ja na pewno się nie będę bał — odparł Promień niedbale. Był przekonany, że lista jego przerażających rzeczy byłaby niezwykle krótka, gdyby kiedykolwiek zechciał ją spisać. Niczego okropniejszego od własnego ojca nie spotkał nigdy, a jego przecież tutaj być nie mogło. Cóż takiego — według królewskiego rodzeństwa — miałoby ich zaszokować? Odwrócił twarz ku Stalowemu i wzruszył ramionami. Tamten odpowiedział tym samym.

— To jest bardzo specjalne miejsce! — powiadomił ich z naciskiem królewicz. — Macie zachowywać się cicho i niczego nie dotykać. A ty — zwrócił się surowo do siostry — jeśli zaczniesz wrzeszczeć, to już nigdy nigdzie nie wezmę cię z sobą!

Do „specjalnego miejsca” wiodły wysokie wierzeje, sprawiające wyjątkowo ponure wrażenie. Czarne drewno gęsto pokrywały żelazne okucia oraz wytłaczane w blasze czaszki, ostrza mieczy i — nie wiedzieć czemu — ćmy. Toroj i Jana rozejrzeli się czujnie w obie strony. Królowa położyła palec na ustach. Jej brat sięgnął w zanadrze, wydobywając dziwny przedmiot, kojarzący się z końskim zgrzebłem. Na końcu płaskiej deseczki osadzonych było kilka metalowych kołków. Chłopiec wetknął przyrząd w szczelinę metalowego pudełka, przymocowanego przy framudze drzwi. Pchnął w górę, potem pociągnął, coś szcęknęło. Operację powtórzył po przeciwnej stronie. Promień zorientował się, że tajemnicze narzędzie jest po prostu kluczem starego typu, za pomocą którego królewicz

odciągnął rygle ukryte w żelaznej obudowie. Toroj napał na ciężką płytę, aż ta obróciła się z lekkim skrzypnięciem na centralnym trzpieniu. Mrok za drzwiami wydawał się wręcz gęsty niczym galaretka z jagód. Promień zapalił świece poprzednio ukradkiem wyciągnięte z lichtarzy na sali balowej. Toroj pierwszy wkroczył do tajemniczego pomieszczenia, nie omieszkał pokiwać palcem na swych towarzyszy. Jana powtórzyła ten sam lekceważący gest za bratem, lecz jej twarz przybrała kolor papieru, a niby dziarski uśmiech był jedynie przymuszonym rozciągnięciem ust.

Ciekawe, co tam jest? — pomyślał Promień, mimo woli zaintrygowany. Coś, czego nie bał się kilkunastoletni chłopiec, ale lękała się jego młodsza siostra. Izba tortur? Pająki? Szczury? Jakieś groźne i niezwykle zwierzęta? A może stworzenia takie, jakie Promień widział kiedyś w menażerii cesarza: dwugłowe karły, potworki o powykręcanych kościach albo zaślinione dziwolągi, wciskające między pręty klatek główki skurczone do rozmiarów pomarańczy? Lecz dokoła panowała głęboka cisza, świadcząca, że prócz czworga poszukiwaczy przygód nie ma tu nikogo. Wątle płomyki świec wydobyły z mroku kamienny ołtarz zwieńczony atrybutem tutejszego boga — młotem osadzonym pionowo w surowym głazie. Obok stały na trójnogach misy do palenia kadzideł. Światło wydzierało ciemności lichtarzy, figury o martwych, malowanych oczach i twarzach lśniących od werniksu, by po chwili z powrotem odesłać je w niebyt. Była to kaplica poświęcona Zrodzonemu z Kamienia. Toroj nie zatrzymał się jednak ani na chwilę. Jana sunęła tuż za nim — najbliżej jak tylko mogła. Poprowadzili magów za ołtarz, do kolejnego przejścia otwierającego ciemną puszcę pod łukowatą arkadą. Natknęli się na następną bramę — tym razem w postaci kraty z kutego żelaza. Toroj wyciągnął drugi klucz i z wysiłkiem obrócił go w masywnym, staroświeckim zamku.

W obszernym pomieszczeniu oczy maga wyluskały z mroku dalsze rzeźby. Ustawiono je w długich szeregach ginących gdzieś w przestrzeni, której nie były w stanie całkowicie rozjaśnić ani cztery świeczki przybyszów, ani tym bardziej niewielkie okna — trzy plamy fioletu przyszpilone do czarnej kotary ciemności. Promień uniósł świecę, by oświetlić twarz najbliższej statui. Uderzyło go, że różni się bardzo od poprzednich. Światło padło na fizjonomię starca — niezwykle chudą, pomarszczoną, o zapadniętych ustach i nieprzyjemnej, szarej cerze. Oczy o jaskrawo niebieskich tęczęwkach oraz białkach mlecznej barwy zdawały się patrzeć wprost na chłopca przenikliwie i arogancko. Drobną rączką wsunęła się w dłoń Promienia, który nie mógł opanować nerwowego wzdrygnięcia.

— To dziadek — usłyszał cichutki szept Jany. — Był taki kochany, zanim umarł. Ale teraz... teraz jest jakiś nieprzyjemny.

Ręka dziewczynki była zimna i wilgotna. Promień miał ochotę wyrwać jej dłoń, wytrzeć o ubranie, lecz mała coraz mocniej zaciskała palce, przyłgnawszy do jego ramienia. Czuł, że dziewczynka drży. Patrzył na niesamowitą figurę i nagle spłynęło na niego olśnienie. To nie był posąg. Nie było to nic wykonanego

ręką człowieka, z drewna czy twardego metalu. Miał przed sobą najprawdziwsze ciało. Nieboszczyka, trupa, truchło, zwłoki... — wszystkie te określenia raptem zaczęły brzmieć mu w uszach nieskładnym chórem. W jego drżącej ręce zachybiła się świeca, gorący wosk kapnął na skórę. Promień syknął z bólu. Gdzieś z tyłu dobiegło głucho stęknienie, a potem stłumione przekleństwo w lengore. Zapewne Stalowy jako następny odkrył prawdziwą tożsamość „posagów”.

— Mówiłem, że się przestraszycie — odezwał się Toroj z tryumfem.

— Owszem, to jest straszne — odparł Stworzyciel ze złością i oburzeniem. — Ale przede wszystkim wstrętne! W głowie się wprost nie mieści! A cóż to ma być?!

— Moi przodkowie — odrzekł Toroj z odcieniem dumy. — Wszyscy z linii królewskiej Toho. I z poprzednich dynastii.

Uniósł świecę, starając się oświetlić i pokazać jak najwięcej ciał. Były ich rzeczywiście krocie. Uwiecznieni królowie i królowe Northlandu ze śmiertelną godnością zajmujący swe ostatnie na tej ziemi trony. Niegdyś władcy — obecnie makabryczne przedmioty pokryte warstwą kurzu.

— Myślałem, że w Northlandzie ciała oddaje się ziemi — powiedział Stalowy.

— Ale nie z królewskiego rodu — wyjaśnił Toroj. — Taka tradycja. Powiadają, że jeśli król nie spocznie w ziemi, zawsze będzie miał pieczę nad swym krajem i ludem. Dusze dawnych władców czuwają nad zamkiem. Póki oni tu są, Kodau jest bezpieczne.

— Musi tu panować nielichy tłok — mruknął Promień. — Duchy pewnie deptają sobie po nogach.

Janael pociągnęła go za rękę.

— A to moja siostra — wyszeptała, jakby bojąc się, że głośniejsze słowo obudzi zmarłych.

Dopiero wtedy Promień zwrócił uwagę na kołyskę stojącą obok krzesła byłego króla. W niej, pośród poszarzałych koronek, leżało skurczone, wyschnięte ciało dziecka. Miało zamknięte oczka, jego wychudzona buzia upodobniła się do małego pyszczka. Na kołderce leżała, zmatowiała srebrna grzechotka i niebieski ptaszek z porcelany.

— Ma na imię Tiana — ciągnęła dziewczynka. — Czasem martwię się, czy nie jest jej tu smutno samej. Ale potem przypominam sobie, że jest z nią dziadek. Chociaż on może niezupełnie umie opiekować się niemowlętami.

— O, zapewne — bąknął Promień. Czuł, jak podnoszą mu się włosy na karku. Nie bał się śmierci. Oczywiście, że nie. Trudno, aby lękał się czegoś, czego już doświadczył. W duchy też nie wierzył. Mimo to w obecności milczącej rzeszy zmarłych, przewiercany szklistym spojrzeniem nestora rodu Toho, czuł się wyjątkowo nieswojo. W dodatku Jana mówiła o tej części swojej rodziny tak, jakby byli żywi.

— Chcecie iść dalej? — odezwał się Toroj. — A może macie już dość?



— Wypychacie trupy pakułami czy może suszycie na sznurku jak kiełbasę? — odgryźł się Promień natychmiast. Królewicz fuknął urażony.

Powędrowali dalej. Toroj prowadził, za nim szedł Stalowy, rzucający trochę niepewne spojrzenia na boki. Maleńki pochód zamykali Promień z Janą. Królowna wciąż trzymała go za rękę. Powietrze w sali było chłodne i suche. Wokół unosił się niepokojący zapach starzyzny, jaki czasem można spotkać w opuszczonych magazynach. Arystokratyczne mumie były podobne do siebie jak krople wody z tej samej kałuży. Kobiętę od mężczyzny odróżniał wyłącznie strój albo peruka. Popielate twarze, z wyostrzonymi przez śmierć rysami, miały otwarte oczy o podobnym, bezmyślnym lub wrogim wejrzeniu. Promień bardzo szybko doszedł do wniosku, że te źrenice są sztuczne. Jego przypuszczenie potwierdziło się, gdy zeszli na niższą kondygnację, gdzie ciała miały oczy ze złota lub szlachetnych kamieni. Wyglądały jednak przez to jeszcze bardziej upiornie. Pod delikatnym woalem kurzu niekiedy błyskały oczka pierścieni, brosze zagubione w pożółkłych zaroślach koronek lub misterne złote łańcuchy wiszące bezużytecznie na trupich ramionach. Promień mimowolnie zaczął szacować wartość spostrzeżonych drogocЕННОści i popadał w coraz większe zdumienie. Na tym cmentarzysku bez pożytku marnowały się ogromne sumy pieniędzy. Tymczasem królowa zastawiała osobistą biżuterię, a nawet — co magowie zauważyli z zażenowaniem — srebrne i złote guziki. Dlaczego nie pozbierano po prostu kosztowności z tych sal? Widocznie jednak byłaby to profanacja tak straszliwa, że nawet ciężkie wojenne czasy nie mogły jej usprawiedliwić. Pewnych rzeczy po prostu się nie robiło, bez względu na wszystko. Promień skrzętnie zanotował w pamięci nowo odkrytą cechę Northlandczyków.

Czas nie oszczędzał szczątków, bezlitośnie czyniąc wśród nich spustoszenie. Niektóre ciała zapadły się w swych siedziskach, jakby ktoś przetrącił im grzbiet. Niemal wszystkie szczyrzyły się w koszarnej parodii uśmiechu, gdyż pergaminowe wargi kurczyły się, odsłaniając resztki uzębienia. Była to wędrówka wstecz ścieżki czasu — coraz dalej w głąb cmentarzyska i do coraz dawniejszych królów. Na niektórych czaszkach skóra popękała jak stary papier, odsłaniając po żółką kość. Ostatni umarli byli jedynie tobołkami kości, zawiniętymi w całuny, złożonymi po kilka na kamiennych płytach. Żaden z chłopców nie odezwał się ni słowem. Jana patrzyła już tylko pod nogi, czepiając się ręki Promienia niczym ostatniej więzi z rzeczywistym światem. Zapewne gorzko żałowała, że nie została na balu. Piętro wyżej jeszcze cała ta wyprawa była po prostu przygodą — awanturniczą wyprawą na teren zakazany. Mocnym przeżyciem z dreszczem emocji i bezpiecznego strachu. Teraz czuli się intruzami. Wkroczyli do obcej dziedziny, gdzie znaleźć się nie powinni. To było królestwo zmarłych, a oni byli żywi.

Niespodzianie coś poruszyło się, zachrobotło na granitowych marach. W tej grobowej ciszy nawet tak nikły odgłos wydawał się wręcz ogłuszający. I przerażający. Przez jedną straszliwą chwilę zdawało się Torojowi, że to szkielet poruszył

ręką i że zaraz koścista dłoń wysunie się, by chwycić go za ubranie. Mały, ciemny kształt smyrznął tuż pod jego nogami, a z kąta odezwał się charakterystyczny, swarliwy głosik. Krzyk, który utknął chłopcu gdzieś między płucami a gardłem, wydobył się na zewnątrz w postaci świszczącego westchnienia ulgi.

— To przecież jok!

— Co... on... tu robi? — wysapał Stalowy, ukradkiem przyciskając rękę do serca, jakby bał się, że wyskoczy mu z piersi.

— Łapie myszy — odgadł Promień. — Chyba nie myślisz, że żywi się trupami? Za stare, za łykowate i za bardzo wyschnięte.

— Toroj, ja już chcę do domu — błagalnie pisnęła Jana. — Tu jest tak strasznie!

— Dobrze — zgodził się jej brat. — Tylko obejrzę tego najwcześniejszego. — Machnął ręką w kierunku ostatniej kamiennej płyty.

— Wygląda jakoś podejrzanie świeżo — odezwał się z powątpiewaniem Stalowy, gdy już wszyscy dotarli do celu.

Ciało spoczywające na kamieniu należało do starego mężczyzny. Jego długie, białe włosy rozsypały się na czerwonym granicie — cienkie i delikatne niczym wachlarz z pajęczyny. Twarz była chuda, lecz nie wyglądała na wysuszoną. Równie szczupłe były skrzyżowane na piersiach ręce starca. Skórę miał bladą jak surowe ciasto.

— Wygląda tak, jakby umarł zupełnie niedawno — odezwał się Toroj przyciszonym głosem.

— To dlaczego leży tak daleko? — zapytał Stalowy równie cicho. — To jakiś twój krewny?

— Skądże? — odparł Toroj. — Zupełnie go nie znam.

— A właściwie dlaczego szepczecie? — odezwał się Promień pełnym głosem. Zaczął mu się udzielać lęk towarzyszy, więc był zły z tego powodu.

— Właśnie, dlaczego? — zawtórował mu blady trup, otwierając znieczeka oczy i siadając na śmiertelnym łożu.

Jana wrzasnęła jednocześnie ze strachu i bólu — Promień omal nie połamał jej palców. Wężownik upuścił świecę. Koścista łapa nieboszczyka zacisnęła się na ramieniu zeszywniałego ze strachu królewicza.

— Dlaczego tu łożą? — zazgrzytał chrypliwy głos. — Hałasują, świecą i niepokoją?

Oczywiście nikt nie odpowiedział na te pytania.

— Znam cię! — rzekł starzec, przybliżając twarz do twarzy Toroja. — Następny Toho. Znam cię, chociaż ty mnie nie znasz. Jeszcze nie czas na ciebie, nie. Spiesz ci się? Otworzę ci brzuch i wyjmę trzewia. A potem zakopię w gorącym piasku i saetrze. Oczy! — krzyknął nagle dziko. — Pokaż oczy!

Drugą ręką chwycił chłopca za policzki, aż Toroj upodobił się do ryby, zdychającej na powietrzu.

— Błękitna emalia, turkusy i biały marmur. Zrobię ci oczy, chłopcze. Piękne oczy, akurat na całą wieczność! Tylko będziesz musiał w zamian oddać mi te!

Torój przemógł bezwład. Szarpnął się z całych sił i wyrwał z potwornego uścisku. Starzec zwrócił spojrzenie na Janę. . .

— I ty do mnie trafisz, mały ptaszku. Dla ciebie mam tygrysi kamień.

. . . potem na Promienia. . .

— I ty, wspaniały dziecie. . . Ale nie ty! — Szare jak kurz źrenice spoczęły na Stalowym, a sękaty palec zaczął wygrażać. — Dla ciebie nic nie mam. Dla ciebie nic!

Chude nogi stuknęły o poszczerbioną posadzkę. Promień odruchowo zasłonił Janę. Paluch starca jak igła magnetyczna znów zwrócił się do niego.

— Będziesz mój. Nie oszukasz śmierci po raz drugi! Czekam. Pamiętaj, czekam na ciebie!

— A czekaj sobie! — wybuchnął Iskra, popychając jednocześnie Janę i Stalowego w stronę wyjścia. — Służę Bogini i to ona zadecyduje, gdzie trafię i kiedy! ONA, a nie ty, obdzieraczu trupów!

Starzec tylko zachichotał drwiąco. Kiedy w pośpiechu opuszczali cmentarzyisko, gonił ich jeszcze ten urągliwy chichot i wykrzykiwane w kółko słowa:

— Turkusy, dzety, tygrysie kamienie i nic więcej! Turkusy, dzety. . .

Torój o mało nie przytrzasnął sobie palców, pragnąc jak najszybciej zamknąć drzwi. Stalowy otarł spocone czoło.

— Na Miłosierną Matkę! — sapnął ze zgrozą. — Co to za typ? Kompletny wariat! Sypia w grobowcu z trupami!

— To balsamista. Zdaje się, że nigdy nie wychodzi. — Torój także był wstrząśnięty. — Widzieliście, jaki blady? Jak pleśń. Cały czas pośród martwych. Nic dziwnego, że oszalał. Słyszeliście, co wygadywał? Te rzeczy o oczach. Zupełnie bredził.

— Taaa. . . — rzekł Promień posepnie, usiłując zeskrobać wosk z ubrania.

— W każdym razie jest jeden pożytek z tej wycieczki! — raptem ucieszył się Stworzyciel.

— Jaki pożytek?

— Nie umrę jutro w pojedynku. On nie ma dla mnie oczu. Czeką na was wszystkich, a na mnie nie! Czyli mogę spać dziś spokojnie — wyjaśnił Stworzyciel tryumfalnie.

Jana raptem zalała się łzami, po czym zaczęła okładać brata pięściami.

— To przez ciebie! To twoja wina! Ja nie chcę umierać!

Torój zdołał złapać ją za rękę.

— Czyś ty całkiem oszalała? Nie umrzesz przecież już jutro, ty głupi dziecaku!

Janael jednak nie mogła się uspokoić. Szlochając i siakając nosem, jęczała, że nigdy nie zapomni tego, co widziała. Boi się iść spać, bo może rano się nie obudzi,

a wtedy ten straszny człowiek rozkroi jej brzuch i wydłubie oczy. Wcale nie chce iść po śmierci do wielkiej sali, by siedzieć tam na krześle jak lalka. Skonfundowany Toroj łamał sobie głowę, jak uspokoić siostrę i skłonić do milczenia. Po części czuł się winny, gdyż nie powinien ulegać jej naleganiom i brać na tę makabryczną wycieczkę. Po części niepokoił się, że Jana opowie o wszystkim matce. Wtedy, rzecz jasna, oboje zostaną ukarani, a on o wiele surowiej, jako prowodyr.

— W Lengorchii pali się zwłoki — odezwał się nagle Promień. — W całości.

Jana wzdrygnęła się.

— Nie chcę! To też jest okropne!

— Czy możesz poczekać ze zgonem, aż ja zostanę królem? — spytał Toroj niecierpliwie. — Wtedy wydam odpowiedni edykt i zakopimy cię po prostu w ogrodzie!

— Robaki mnie zjedzą!!

— Histeryczka!

Jana chlipała żałośnie w koronkowy mankiet sukienki. Sytuacja robiła się coraz bardziej niezręczna. Na domiar złego energicznym krokiem nadszedł lord Stallan — osoba, którą Toroj najmniej życzył sobie oglądać. Brwi miał zmarszczone, a usta zaciśnięte w wąską, gniewną linię.

— Co się tu dzieje? Dlaczego Jej Wysokość płacze? Szukam panicza i panienki od prawie godziny! Proszę natychmiast. . .

Podczas gdy zarówno królewicz, jak i młodzi magowie szukali gorączkowo w myślach stosownego usprawiedliwienia, Janael — z godną podziwu przytomnością umysłu — podniosła mokrą od łez buzię, przywołując na nią najbardziej niewinny i słodki wyraz.

— Witam, lordzie — rzekła drżącym głosem. — Czy pan również chce się z nami pomodlić w świątyni?

— Pomodlić. . . ? — powtórzył Stallan w nagłym oszołomieniu. — Na balu?

— Przecież nasz biedny wuj zmarł zaledwie tej jesieni! — zawołała Jana dramatycznie, składając ręce na chudej piersi gestem tragicznej dziewczycy. — Nigdy już nie ujrzy słońca, a my się tu bawimy, jakby nigdy nic! Czyż to nie jest niegodziwe?

— Właśnie — potwierdził Toroj ze sztuczną powagą, szybko ochłonawszy ze zdumienia. — A ja towarzyszę mej drogiej siostrze, która jest, jak widać, aż zanadto wrażliwa. Ogromnie się wzruszyła, biedactwo.

— A panowie? — Lord zmierzył magów podejrzliwym spojrzeniem.

Promień zachował kamienną twarz.

— Zaczęliśmy interesować się tutejszą religią. Doznaliśmy oświecenia, jeśli chodzi o pewne aspekty życia. Być może nawet się nawrócę.

Stalowy ukradkiem kopnął go w kostkę. Nie należało przesadzać. Dobre kłamstwo zawsze powinno trzymać się za rękę z prawdą.

— Czy będziesz towarzyszył mi do komnat, drogi lordzie? — spytała Jana, ufnie wsuwając rękę w dłoń mężczyzny. Konsekwentnie grała rolę maleńkiej, naiwnej dziewczuszki.

Ku wielkiej uldze Toroja lord protektor dał się powlec korytarzem, nie zadając już więcej kłopotliwych pytań.

— Masz bardzo inteligentną siostrę — rzekł Promień z chłodnym uznaniem.

Torojowi nie pozostało nic innego, jak zgodzić się z tą opinią. W cichości ducha był nawet dumny z Jany. Po raz pierwszy w życiu doszedł do wniosku, że ten piskliwy, denerwujący berbecę wyrósł na sprytną pannicę i sojusz z nią może być całkiem korzystny.

— A nasz zakład? — przypomniał Stalowy.

— Nierozstrzygnięty — uznał królewicz. — Wszyscy się przestraszyliśmy.

\* \* \*

*Śniłem na jawie. Sen miał smak wina i woń pachnideł. Lśnił światłem tysiąca świec, wabił oczy setką barw. Bal wiosenny — dla wszystkich realny, namacalny, jak najbardziej prawdziwy — a dla mnie złudzenie. Czy było to rezultatem tego jedyne kielicha wina, który jednakże wychyliłem niemal duszkiem? A może upiłem się samą aurą tego zgromadzenia? Przy stole zasianym zielonym obrusem ludzie jeszcze byli żywi, a już niedługo potem wydawali się zjawami, kukielkami, które bezgłośnie poruszały się w takt szarpnięć niewidzialnych sznurków. Gdzieś na dnie mego brzucha wzbierała groza niczym kałuża napętniająca się roztopionym ołowiem. Byłem otoczony duchami i bałem się, że sam zmienię się w marę. Jak nigdy dotąd zatęskniłem za Pożeraczem Chmur. Za pełnym kontaktem, który tylko on był w stanie mi ofiarować. Byliśmy wtedy jedną duszą w dwóch ciałach. Los jeden wie, jak bardzo potrzebowałem, by ktoś znów przybliżył do mnie świat. Czy może mnie do świata? Tymczasem stałem w rogu sali balowej, ogarnięty irracjonalnym przerażeniem, jak dzikie zwierzę wypuszczone na rojną ulicę miasta. Poszukiwałem wzrokiem drogi ucieczki i wtedy na galerii, ponad tłumem tancerzy, zobaczyłem Taita Nardo. (Ze zrozumiałych powodów nie zaproszono go na bal, lecz widocznie chciał przyjrzeć się zabawie). Stał przy barierce, założywszy ręce na piersi. Przechylił głowę na bok w pozie łagodnej zadumy. Nie poruszał się, chyba nawet nie mrugał, lecz ponad całym tym ruchliwym tłumem on jeden wyglądał jak żywy człowiek. Poszedłem... pobiegłem do niego na górę. Stanęliśmy ramie w ramie. Znajdowałem się wtedy chyba w stanie nadwrażliwości, gdyż wręcz czułem leciutką emanację ciepła z jego ciała. Pachniał znośnym ubraniem, prochem i olejem, a nie sztucznym aromatem maskującym pustkę. W dole poruszały się plamy kolorowych strojów i sukien podobne do rojowiska parzących się motyli. Obserwowaliśmy je ze spokojem, z beznamiętnością, jaką daje oddalenie. Uspokoilem się całkowicie. Obaj znajdowaliśmy się w świecie realnym.*

\* \* \*

Gryf krążył dziwną, zagmatwaną trasą po korytarzach zamku. Słońce wzeszło już dawno, lecz nadal wszędzie czuł emanację śpiących i śniących ludzi. Strzępy snów unosiły się tu i tam, jak przedziwne obrazy malowane na pajęczynach — ulotne, zmienne, nieokreślone. Może innym razem bawiłby się łowieniem tych zjaw, oglądaniem osobistych wszechświatów powstających i ginących w ciągu paru minut, rządzonych przewrotną oniryczną logiką. Teraz jednak poszukiwał jednego umysłu, należącego do konkretnej osoby. Gdyby ktoś w chwili kaprysu chciał nakreślić szlak maga, wynikiem byłby wzór przypominający pajęczynę albo spiralną muszlę ślimaka. Obserwator zataczał coraz ciaśniejsze kręgi, niczym pies myśliwski zdążający do źródła zapachu. A szukał... Dimandy. Brzydka kobieta o posturze ropuchy wbiła się w jego pamięć na podobieństwo drzazgi pod paznokciem — tak samo irytująca i trudna do usunięcia.

A oto już właściwe drzwi — nieco odrapane, widać prowadziły do ostatnich pomieszczeń. Gryf musiał pukać kilkakrotnie, zanim uchyliły się, ukazując naburmuszoną twarz pokojówki.

— Pani śpi — burknęła, nim jeszcze Gryf zdążył otworzyć usta.

— Nie śpi, co doskonale wyczuwam — odwarknął, dostosowując się do jej nieuprzejmego tonu. — Powiedz, że przyszedł mag. Oddaj list i spytaj, czy będzie odpowiedź.

Wetknął dziewczynie do ręki liścik, który do tej pory palił mu kieszeń.

Po paru minutach pojawiła się znów. Tym razem ton jej głosu był znacznie uprzejmniejszy i nawet zadała sobie trud lekkiego dygnięcia.

— Pani Dimanda prosi.

Niewielka komnata, zajmowana przez śpiewaczkę, była dalszym ciągiem zapowiedzianym wcześniej przez zaniedbane drzwi. Obicia na ścianach spłowiły. Sprzęty stanowiły żalostną zbieraninę mebli wysiedlonych z lepszych pomieszczeń. Stało tu tylko jedno wąskie łóżeczko z krzywym baldachimem, które musiała zajmować sama Dimanda. Służąca zapewne spała na podłodze. Wszędzie porozkładane były barwne części kobiecej garderoby oraz tajemnicze słoiczki, pudełeczka i świecidełka.

Gryf objął cały ten kram jednym rzutem oka. Ukłonił się uprzejmie, po czym wypalił bez namysłu:

— Powinni umieścić panią w lepszej kwaterze!

— Nie mam dużych wymagań — odparła gospodyni sucho. — I zajmuję mniej miejsca niż wielkie damy, razem z ich kuframi, lokajami i pieskami obsikującymi nogi krzesel.

Słowo „wielkie” zabrzmiało w jej ustach jak przekleństwo. Sama była tak nieduża... a wydawała się jeszcze mniejsza, kiedy siedziała skulona w fotelu,

otulona obszerną szatą poranną, wyszywaną w gąszcz jaskrawych liści, żółtych i pomarańczowych kwiatów wielkości pięści.

— Pan prosił o spotkanie. Pan miał do mnie jakąś pilną sprawę. Słucham więc.

— Ja... a więc... — Gryf raptem poczuł, że słowa zalegają mu w gardle niczym gęsty klej. Odchrząknął, czerwieniąc się z zażenowania.

— Pan nie jest już tak wymowny, jak wczoraj — zaszydziła Dimanda. Bez wątpienia go pamiętała.

— Chciałem prosić panią o wybaczenie. Za to, co wtedy powiedziałem. To było... grubiańskie. Głupie. Okrutne — wybąkał, wciąż czując zionący od niej mentalny chłód i irytującą obecność służki za plecami. — Nie powinno się sądzić ludzi po pozorach.

Śpiewaczka popatrzyła na niego jak na niespotykany okaz owada. Ze zdziwieniem, pewną dozą odrazy, ale i rosnącym zainteresowaniem.

— Nigdy nie powinienem o tym zapominać, bo przecież... i mnie tak najczęściej sądzą — dokończył.

— Proszę usiąść — rzekła śpiewaczka, wskazując palcem krzesło. — Nie lubię zadzierać głowy, a przy twoim wzroście, chłopcze, narażam się na złamanie szyi. Kiedyś wyrzuciłabym cię za drzwi razem z twoimi przeprosinami — ciągnęła. — Duma nie pozwoliłaby mi ich przyjąć. Jestem bardzo dumną kobietą, Obserwatorze, ale już nie tak dumną, jak przed laty. Wiem, jak wyglądam. To porównanie z żabą i parasolem było, niestety, bardzo celne. Tutejsza moda jest kosztowna. A ludzi po wyglądzie ocenia się powszechnie. Pan na przykład wygląda jak pustogłowy bawidamek i bezczelny utracjusz. Śliczna buzia i wiatr między uszami.

— No i kto kogo teraz sądzi po pozorach? — odparł Gryf z lekką urazą. — Ja naprawdę jestem mądrzejszy, niż to się wydaje. I naprawdę jest mi ogromnie przykro.

Niespodzianie małeńka dama zachichotała.

— Nie mogłam sobie tego odmówić. Jestem starą, zgorzkniałą kobietą. Istnieję tylko, wtedy gdy śpiewam, a kiedy milknę... — szerokim gestem wskazała zaniedbany pokój — ...zsyła się mnie w takie miejsca. Jestem jedynie niezbędnym dodatkiem do własnego głosu.

— Ale pani kocha śpiewać! — zawołał Gryf żarliwie. — Słyszałem to! Pani żyje muzyką i dlatego... Mam dla pani podarek. Wiem, że damom darowuje się kwiaty albo klejnoty, ale na kwiaty za wcześnie, a błyskotek ma pani chyba dość, więc... przyniosłem pani piosenkę. — Gryf plątał się nieco, nagle znów okropnie zawstydzony. Jak mógł sobie wyobrazić, że artystka tej miary zechce łaskawie wysłuchać jego nieszczęsnych wydumek?

Wyjął z torby rozłożony na części flet. Był zdenerwowany, ale już nie wypadało się wycofać. Postanowił nie patrzeć na gospodynię i udawać, że wcale jej

tam nie ma. Dmuchał na próbę w ustnik, przebiegł palcami po otworach w króciutkim wstępie, po czym popłynęły delikatne dźwięki „Pięknej nieznajomej”.

— To bardzo ładna melodia — osądziła Dimanda, kiedy skończył. — Znam wiele lengorchiańskich pieśni, ale tej nigdy nie słyszałam.

— Nic dziwnego. Niewielu ją zna. Ja ją ułożyłem.

— Ach, być nie może!

— Dlaczego nie? Mówiłem, że jestem mądrzejszy, niż wyglądam. Są do tego też słowa. — Obserwator odchrząknął i zaczął nucić:

*— O, piękna nieznajoma! Znowu widzę cię w oknie,  
Oblaną słonecznym miodem, jak piękny obraz ze snu.*

*O, piękna nieznajoma! Nigdy nie spojrzysz w dół,  
A ja jestem codziennie tu...*

*Ja paciorki sprzedaję, paciorki!*

*Grzebienie do włosów dla dam!*

*Prześliczne szarfy przeróżnej barwy*

*Za kilka piątek ci dam.*

*Paciorki sprzedaję, paciorki!...*

Dimanda podparła policzek dłonią, jak zasłuchana dziewczynka. Jej nieładna, surowa twarz złagodniała. Gryf coraz śmielej śpiewał kolejne zwrotki:

*— O piękna nieznajoma! Kup ode mnie choć szpilkę,*

*Ja serce na niej podam ci, jakby było motylkiem.*

*O piękna nieznajoma! Ozdoba to byle jaka,*

*Ale za serce swe nie wziąłbym nawet miedziaka.*

*Ja paciorki sprzedaję, paciorki!*

*Grzebienie do włosów dla dam!*

*Prześliczne szarfy przeróżnej barwy*

*Za kilka piątek ci dam.*

*Paciorki sprzedaję, paciorki!...*

Wreszcie zakończył łagodnie, w tonacji kołysanki:

*— Być twoim pragnę cieniem — to jedno tylko wiem.*

*Wspomnienie twoich oczu nad moim czuwa snem.*

— Ładne — pochwaliła oszczędnie śpiewaczka, choć oczy jej lśniły. — Rymy są nieco chropawe. Przydałyby się przeróbki i trochę polerowania, ale sama muzyka jest bez zarzutu. Dziękuję, to bardzo odpowiedni podarunek. Proszę zapisać mi formułę.



Podsunała Gryfowi arkusz papieru pokryty liniami w kratkę, przygotowany do uwieczniania melodii, oraz ołówkę w tekturowej oprawce.

— Ja się na tym nie znam — wyjaśnił zakłopotany Obserwator. — Wszystkie swoje piosenki mam w głowie. Nigdy ich nie zapisywałem.

— Miał pan w takim razie bardzo niedbałego nauczyciela. Zapis melodyczny powinno opanowywać się wraz z instrumentem.

— Wcale nie miałem nauczyciela. Chyba żeby nazwać tak tego pastucha, który wyciął mi pierwszą fletnię z trzciny.

Coraz bardziej zaciekawiona Dimanda ciągnęła maga za język, więc zmuszony był opowiedzieć, że wychowawcy bynajmniej nie przewidywali dla niego kariery flecisty, lecz raczej spokojną posadę urzędniczą w jakiejś kancelarii prawniczej, co napawało go szczerym wstrętem. Cokolwiek umie, opanował samodzielnie, metodą prób i błędów. Kiedy tylko miał okazję, podglądał zawodowych muzyków, nawet tych najbiedniejszych, którzy wędrowali po kraju i wymieniali swój talent na żywność. Starał się nie afiszować ze swoją pasją, bardzo wcześnie odkrywszy, że może narazić się jedynie na drwiny ze strony starszych. To mu tylko wychodziło na dobre. „Niech sobie gra” — mawiali opiekunowie i nauczyciele pobłażliwie. Uczniom wolno było mieć prywatne zainteresowania, póki nie sprawiali większych kłopotów.

Zachęcony aprobatą artystki zagrał jeszcze kilka rozmaitych melodii. Nagle zerwał się na równe nogi, z niepokojem szukając wzrokiem zegara.

— Która godzina?! Na Miłosierdzie Losu, o jedenastej ten bałwan Stalowy ma się pojedynkować!

— Zdaży pan — uspokoiła go śpiewaczka. — Niedawno głosili dziewiątą.

Po chwili wahania spytała:

— Czy pana przyjaciel zna się na szermierce?

Gryf zaprzeczył. Stalowy wiedział tyle, że za jeden koniec miecza się trzyma, a drugim robi dziury. Nie mógł równać się z wytrawnymi fechtmistrzami w żadnej mierze. Jego główną bronią był talent magiczny.

— Uważam, że nie powinien dopuścić do walki. W jakikolwiek sposób. Za każdą cenę. Niech się podda, niech w ogóle nie idzie na plac — zawyrokowała Dimanda.

— Okrzykną go tchórzem.

— Niech okrzykną. Będzie tchórzem, ale żywym.

— Ależ Stalowy jest Stworzycielem! Nie pozwoli się nawet skaleczyć!

Oczy Dimandy zwężyły się.

— Ja nie mam powodu lubić was — wysokich. Właściwie obojętne mi są sprawy zarówno lordów, jak i magów, ale ty, Obserwatorze, ugłaskałeś mnie trochę i nie chcę, żebyś miał kłopoty. Nieuczciwi szermierze zatruwają czasami ostrza. Walczy się niby do pierwszej krwi, a draśnięty przeciwnik umiera w kilka dni

później z niejasnych powodów. To może zdarzyć się również teraz. Natomiast jeśli mag zabije albo choćby zrani northlandzkiego szlachcica, rozpęta się piekło. Taki incydent będzie ogromnie na rękę wielu osobom, które w tej chwili udają neutralne. W najlepszym razie będziecie zmuszeni do opuszczenia Kodau, a nawet granic kraju. W najgorszym — więzienie. Obie rzeczy król zrobi z wielką przykrością, pod presją ogólnej opinii dworu. Nie zmuszajcie go do podejmowania takich decyzji.

— Skąd pani to wie?

— Jestem mała. Mali ludzie mają wyostrzony słuch.

Grzyf na pożegnanie z szacunkiem ucałował dłoń małej damy.

— Ja również dziękuję. Ma pani słuszność. Nie powinniśmy dodawać zmar-twień Pani Kłosa ani jej mężowi.

Kiedy chłopak wyszedł, Dimanda położyła na kolanach deseczkę i na zaim-prowizowanym pulpicie zaczęła notować melodię „Pięknej nieznanymej”. Spod jej palców wykwiwały zawiłe symbole oplatające kratki na kształt fantastycznej dżungli.

— Chcieli zrobić z niego kancelaryjnego szczura! — burczała Dimanda gniewnie. — Banda osłów. Byłby znakomity, gdyby ktoś z nim popracował. Sa-modzielnie opanował nie tylko podstawy. Boże mój... sam doszedł do poślizgów, znaczenia, progów, a nawet kontrapozycji.

— A może by go pani trochę pouczyła? — odezwała się nieśmiało służąca, która do tej pory w kąciku szyła coś, udając niewidzialną.

Dimanda utkwiała w niej ostre spojrzenie.

— A ty czego pchasz nos w cudzy sos? Wpadł ci w oko? Herbaty mi zaparz le-piej! I nie myśl o głupstwach! I ta też... przekleństwo jakieś. Ten chłopak roznosi swój urok jak zarazę — wymamrotała pod nosem do siebie, a głośniejszą dodała: — O jedenastej pójdziesz na plac, a potem opowiesz mi, jak skończyła się sprawa pojedynku.

\* \* \*

Spodziewana walka między northlandzkim lordem a lengorchiańskim magiem wzbudzała zrozumiałe emocje. Niecodzienne wydarzenie ściągnęło mnóstwo cieka-wskich, mimo iż pora była zbyt wczesna dla ludzi bawiących się całą poprzed-nią noc. Na obrzeżu dziedzińczyka tłoczył się całkiem spory tłumek dworzan, dyskutujących z zapałem. Stalowy obserwował to zbiegowisko zza węgła. Lord Palgir już czekał, niecierpliwie tupiąc czubkiem buta. Z pewnych względów ko-jarzył się Stalowemu z podenerwowanym kogutem. Obok wielmoży stał znajomy sługa dzierżący dwa rapiery. Uczucia widzów przypominały wielogatunkowy bu-kiet, w którym zgromadziła się ciekawość, podekscytowanie, okrucieństwo, nie-chęć oraz inne podobne „zielska”. Stalowy zauważył pośród obserwatorów kilka

kobiet i prawie go zemdliło — wszystkie pożały widoku krwi tak bardzo, że popadały w niemal erotyczne uniesienie.

— Ciekawe. Czy jak ktoś zostanie ranny, to rzuca się i zaczyna chleptać krew? — szepnął z niesmakiem Gryf stojący tuż za Stworzycielem. — Mówiłem ci... Chyba nie zależy ci na ich wiwatach? Skończ sprawę szybko i chodźmy stąd. Królowa wygląda przez okno. Jest zmartwiona — dodał.

— Chodźmy — westchnął Stalowy, ruszając naprzód. Za nim postąpiła reszta magów.

Na widok przeciwnika lord pospiesznie wziął broń i oddał salut ostrzem. Wydawało się, że jest również niezadowolony ze zbiegowiska. Stalowy odepchnął podsuniętą mu rękę.

— Nie potrzebuję broni. Sam nią jestem. Nadal czujesz się obrażony, lordzie?!

— Tak! — odkrzyknął tamten, stając w pozycji szermierczej. — Weź ostrze!

— Chcesz mnie zabić?

— Tak!

— Jesteś głupcem — rzekł Stalowy z pogardą. — Ryzykujesz życie własne i cudze dla nieistotnego drobiazgu, o którym za tydzień nikt nie będzie pamiętał.

— Stawaj, tchórze! — Twarz Palgira posiniała.

— Nigdzie nie stanę. Powtarzam: jesteś idiotą. Czułbym się, jakbym zamordował dziecko. Masz tu swój honor. Nie mam czasu ani ochoty na takie bzdury!

Rzucona przez Stworzyciela rękawica upadła na żwir przed lordem. Stalowy odwrócił się do przeciwnika plecami. To był błąd. Znieważony Palgir stracił panowanie nad sobą i zaatakował. Ostrzegawczy krzyk stopił się w jedno z głuchym westchnieniem widzów, które zabrzmiało jak pomruk głodnego stada drapieżników. Sztych trafił Stalowego w plecy, dokładnie na wysokości serca. Mag zachwiał się, z twarzą wykrzywioną nagłym bólem, po czym upadł na kolana, sięgając ręką do tyłu, ku rozszerzającej się na opończy krwawej plamie. Otoczyli go przerażeni towarzysze.

Kredowoblady Palgir cofał się tymczasem, popatrując z rozpaczą i osłupieniem to na maga, to na złamaną klingę własnej broni — kończyła się na cztery palce od jelca. Wśród świadków podnosiły się głosy niezadowolenia i wzgardy. Zabić bezbronny cios w plecy? Lord upuścił szczątek rapiera i zakrył twarz dłońmi.

Ponad wrzawę wybił się nagle głos wrzeszczący energicznie w lengore:

— Na Miłosierdzie, dajcie mi spokój! Zostawcie mnie! Nic mi nie jest, do nędzy zasranej! Nie szarp mnie!

To Stalowy, jak najbardziej żywy, z furią wydzierał się z troskliwych rąk przyjaciół.

— Zdążyłem?! Zdążyłem! — krzyczał Myszka niemal równie głośno. — Jak tylko zobaczyłem, co on... ale zdążyłem!

Podniósł i pokazał wszystkim skrócony rapier Palgira. Stalowy pomacał się po plecach. Na dłoni została mu krew, bolała go skóra przecięta ułomkiem rapiera, lecz oddychał normalnie. Widać metal nie sięgnął płuca. Uściskał mocno małego Wędrowca.

— Dzięki, Myszo. Mam u ciebie spory dług.

Sprawy jednak nie były zakończone. Stalowy wyciągnął w stronę Palgira zakrwawioną dłoń.

— Po to przyszedłeś!? Masz, oto krew Stworzyciela! Rzadki widok, napatrz się! Jak chcesz zabijać, to idź na wojnę! Przydaj się na coś swojemu królowi, a nie morduj mu sojuszników! Chcesz umierać dla honoru? Głupcze, lepiej żyj dla swojego władcy!

Szedł wzdłuż cofającej się z lękiem bezładnej gromady widzów. Unosił zakrwawioną rękę, jakby było to jakieś godło i wylewał im w umysły całą swą nagromadzoną gorycz i wstręt.

— To i was dotyczy, wy bestie nienasycone! — ciągnął mag. — Wy, psy! Bijecie się o ochłapy, przegryzacie gardła nawzajem, a wasz pan musi szukać pomocy u obcych! Leniwe zwierzęta! Precz stąd! Wracajcie do nor!

Zaniepokojeni ludzie czuli przez podeszwy leciutkie drżenie gruntu. Włosy rozgniewanego maga unosiły się pojedynczo, jakby wiatr wiał mu w twarz. Lżył ich i oskarżał, a oni odsuwali się od niego, jak stado owiec cofa się przed górskim lwem.

— Precz!! — powtórzył po raz ostatni. Żwir z dziedzińca, jak niesiony nagłym podmuchem przetoczył się od jego stóp wachlarzowatą falą i sypnął po nogach przestraszonych ludzi. Umknęli w ogromnym pośpiechu niczym wielkie, kolorowe szczury.

*Ślicznie* — osądził Kamyk, biorąc Stalowego pod ramię. — *Długo tego nie zapomną. Ale teraz musimy już iść, żebym mógł ci zrobić opatrunek. Cały grzbiet już masz we krwi.*

Na wyludnionym placyku zostały tylko ślady niedawnego zajścia, w postaci złamanego rapiera i porzuconej niedbale rękawicy. Stalowy mylił się, mówiąc, że nikt nie będzie pamiętał o tym pojedynku. Ktoś zabrał oba przedmioty z dziedzińca i przytwierdził je do drzwi przed salą posłuchań. Przez długie lata nazywano ten niechlubny symbol „hańbą Palgira”. Pojedynki stały się rzadkością. „Zamiast umrzeć dla honoru, żyj dla króla” — stało się dość popularnym powiedzeniem, choć bardzo szybko zapomniano, że pierwszy powiedział to cudzoziemiec. Ale to przecież zupełnie normalne. . .

\* \* \*

Iditalin spojrzała przez szparę między kotarami łoża. Ciemność za oknami bladła. Do wschodu słońca pozostało jeszcze nieco czasu i można by ponownie

zanurzyć się w słodkie odměty snu, zwłaszcza gdy jest się królową, do której przywilejów należy przecież późne wstawanie. Poczwała jednak, że cała senność odbiegła od niej błyskawicznie. Leżała jeszcze przez chwilę bez ruchu w dusznym mroku brokatowego namiociku, ciesząc się zgromadzonym ciepłem. Potem wysunęła się ostrożnie z pościeli, dbając, by niepotrzebny hałas nie zbudził śpiących tuż za drzwiami służebnych. Ziąb sięgnął natychmiast pod cienką koszulę nocną. Z kątów ciągnęło chłodem. Dokoła panowała głęboka cisza. Od chwili, w której osiemnastoletnia Idit Ainel-Wannaro została Jej Wysokością Iditalin Majane Wisenna Ainel-Toho, nie miała zbyt wielu okazji, by pozostawać w samotności. Jedną z takich nielicznych chwil były właśnie poranki, kiedy obudziła się wcześniej, zanim jeszcze do drzwi zapukały służące odpowiedzialne za toaletę królowej. W statecznej małżonce króla, matce dorastających dzieci, wciąż jednak tkwiła w ukryciu dawna pełna temperamentu dziewczyna o jasnych, potarganych warkoczach, która wymykała się o świtanie z kobiecych komnat ojcowskiego zamczku, by biegać boso po zroszonych łąkach, straszyć żaby i zbierać pachnące zioła. Królowa podeszła cicho do okna, uchyliła skrzydło z barwnych szybek. Wczesnowiosenne powietrze pachniało ziemią i obietnicami.

— A czemu nie? — szepnęła Idit do siebie, drżąc zarówno z zimna i podniecenia.

Cicho jak waż wśliznęła się do garderoby, szukając dotykiem płótna i wełny prostej sukni do jazdy konnej.

W ten sposób wartownicy mający aktualnie służbę przed królewskimi apartamentami zostali kompletnie zaskoczeni widokiem swej władczyni — nieuczesaanej, odzianej dziwnie niestarannie, wymykającej się z domu w samych pończochach, z butami w ręku. Jej Wysokość położyła palec na wargach.

— Wasza Wys... — zaczął zmieszany gwardzista, bezwiednie zniżając głos do szeptu.

— Macie pilnować tych drzwi, chłopcy? — przerwała mu królowa.

— Tak, Waszsz...

— To pilnujcie dalej. I nic nie widzieliście, prawda?

Żołnierzowi błysnęło oko. Wyprostował się, prezentując broń i wbijając wzrok gdzieś w przestrzeń nad głową kobiety.

— Według rozkazu. Nic nie widzimy.

— Miłego spaceru, Najjaśniejsza Pani — dodał jego towarzysz, również szepem. — Drzwi od strony kordegardy mniej skrzypią.

— Tak?

— Jaśnie Panienska zawsze tamtędy chodzi, Wasza Miłość.

\* \* \*

Po ogrodach snuła się poranna mgła. Białawe, przejrzyste strzępy kłębiły się nisko nad ziemią, czepiały wilgotnymi, ciepłymi łapkami spódnicy, pozostawiając na włochatej wełnie drobnieteńkie aplikacje z kropelek. Widać było rozpoczęte prace ogrodnicze. Żywopłoty — zaniedbane przez zimę, kosmate niczym brwi złego olbrzyma — zostały już częściowo przystrzyżone, podobnie jak gałęzie karłowatych czereśni. Ptaki czyniły w nich ćwierkliwy rejwach, spierając się o jakieś ptasie sprawy. Niebawem spod słomianych osłon miały wynurzyć się krzewy różane. Na wielkich, wyczesanych grabiami, gładkich jak obrusy trawnikach kiełkowały jasnozielone źdźbła trawy. Idit rozejrzała się przezornie na boki, po czym zaczęła tańczyć na ścieżce. Obracała się w takt niesłyszalnej muzyki, śmiejąc się do siebie. Szal zsunął się z jej włosów, które fruwały niczym słomkowej barwy skrzydło. Zawrót głowy zmusił wreszcie Idit do zatrzymania. Parsknęła głośnym śmiechem, chwając się lekko i odgarniając włosy z twarzy. Och, jak cudownie! Żadnego „nie wypada”. Nikomu nie trzeba dawać dobrego przykładu. O, niesfor-na Janael, jak dobrze w tej chwili rozumie cię matka! Idit podniosła kamyczek ze ścieżki i cisnęła nim w najbliższą statwę ogrodową. Ku jej satysfakcji, rzut był celny — pocisk odbił się od nosa figury. Królowa, bardzo zadowolona, owinęła szalem ramiona, założyła ręce za plecy gestem małej dziewczynki i ruszyła zamaszystym krokiem przed siebie, próbując gwizdać w rytm marszu.

Odgłosy nieregularnych uderzeń zwały ją w boczną alejkę. Przezornie kryjąc się za żywopłotem, wysunęła zza narożnika jedynie oko i czubek nosa, upodabniając się nieświadomie do płochliwego joka. Na maleńkim placyku z altanką, latem oplecioną różowym powojnikiem, ktoś ćwiczył walkę na kije, z pasją okładając to wypchany czymś worek, to znów drewniany filarek podtrzymujący kopulasty dach pawilonu. Królowa rozpoznała małego maga imieniem Jodłowy. Chłopiec zaprzestał masakrowania worka i w skupieniu studiował jakiś papier przypięty do belki. Musiał ćwiczyć już od dłuższego czasu — był zdyszany, miał bardzo brudne kolana i ręce, nawet twarz przecinały mu ciemne smugi. Spróbował kolejnego manewru kijem. Jeden jego koniec opisał w powietrzu krzyżową pętlę, natomiast drugi rąbnął chłopca w goleń.

— Aaa...! Kas't fah!

— A, nieładnie — odezwała się Iditalin, wychodząc zza żywopłotu. — Skąd ty znasz takie słowa, chłopcze?

Na twarzy Myszki odmalowała się cała paleta uczuć — od niekontrolowanej paniki, poprzez zdumienie aż po rozpoznanie i spokojną akceptację. Upuścił kij, ukłonił się sztywno.

— Bardzo wczesnie dziś wstałeś.

— Wasza Wysokość także — odparł natychmiast. Ku zdziwieniu Iditalin, głos chłopca, zwykle cichy i jakby niepewny, teraz brzmiał całkiem śmiało. Ale

też okoliczności były inne. Zamglony ogród nie przypominał okazałych komnat, a wygląd królowej daleko odbiegał od tego, co prezentowała zazwyczaj.

Przyjrzała się Myszce, jakby zobaczyła go po raz pierwszy w życiu. Bez towarzystwa swych wysokich i barczystych towarzyszy chłopiec nie wydawał się tak wąły. Mówił też głośniejszym głosem i nie spuszczał oczu.

— Czy nie łatwiej byłoby ćwiczyć z partnerem? — spytała królowa.

Chłopiec potrząsnął głową.

— Kamyk jest dla mnie za wysoki. Koniec i Wężownik nie mają czasu, a reszta... — Machnął ręką. — Dla Gryfa na przykład byłaby to okazja do wygłupów. Niektórzy moi koledzy są trochę niedojrzali.

Zabrzmiało w tych słowach coś jakby nuta lekceważenia. Idit przygryzła wargę, by nie wybuchnąć głośnym śmiechem. Oświadczenie małego maga w połączeniu z jego delikatną, dziecinną twarzą dało efekt wręcz absurdalny.

Na pergaminowej karcie skopiowane były rysunki przedstawiające szermierzy walczących na halabardy. Myszka wytarł brudne ręce o bluzę, złożył pergamin starannie i schował w zanadru.

— Nie można wciąż tylko uciekać. Takie umiejętności mogą się przydać. No i ruch na powietrzu jest zdrowy.

Królowa wolnym krokiem skierowała się w najbliższą alejkę, skinąwszy na Myszkę, by towarzyszył jej w spacerze.

— Chłopcy w twoim wieku już dawno biorą lekcje fechtunku. W każdym razie ci z wysokich rodów.

— Aha, w moim wieku? — Spojrzenie, które Myszka rzucił na królową, miało wyraz, jakiego nie była w stanie określić. Ni to głębokiego namysłu, ni to przekory.

— Nie masz zbyt wysokiego mniemania o swoich towarzyszach? Dlaczego? Na przykład Stalowy doskonale sobie poradził. Wyszedł z pojedynku z twarzą — rzekła. — Choć oczywiście największą zasługę masz jednak ty — dodała pośpiesznie. — Uratowałeś mu życie.

— Nie można zaprzeczyć — przyznał. — Oni wszyscy są tacy zdolni i energiczni. Drażni mnie to, że wciąż mnie lekceważą, bo jestem najmłodszy. Ale z drugiej strony... — Nagle Myszka pokazał zęby w złośliwym uśmiechu. — Nikt nie oczekuje ode mnie jakichś szczególnych wysiłków i odpowiedzialności. Czasem wygodnie jest być dzieckiem.

— Szelma — rzekła Idit, również się śmiejąc. Młodziutki mag szedł obok statecznym krokiem dojrzałego mężczyzny. Nawet ręce założył za plecy gestem właściwym osobom dużo od niego starszym. Wyglądało to zabawnie i rozczerwiająco.

— Zawsze myślałam, że jesteś taki cichutki, nieśmiały i ciągle przestraszony. A to wszystko maska? Naprawdę jesteś odważny, mocny i strasznie brutalny?

— A ja sądziłem, że królowa jest poważna, wyniosła i zawsze wszystko ma z góry ułożone. Że nie stać ją na samotne spacery po rosie, w kusej sukience i rozczochranej.

— Och! Mała myszka jest również bezczelna! Same niespodzianki spotykają mnie dzisiaj. A myślałam, że znam już was wszystkich doskonale. Kiedy dowiedziałam się, że przybędą do Kodau magowie, wyobrażałam sobie ich całkiem inaczej. Nie spodziewaliśmy się, że będą tacy... — przez chwilę szukała odpowiedniego słowa — ...ludzy.

— Przecież jesteśmy ludźmi — rzekł Myszka. — Wszyscy. Magowie, królowie i cała reszta. Jesteśmy tak samo weseli albo smutni. Albo samotni... albo mamy pstro w głowie. Mag przeklina, a królowa ucieka służącym.

Idit odgarnęła włosy z twarzy, próbując je związać w węzeł na karku.

— Kiedy byłam mała, często wymykałam się z domu tuż przed świtem, nawet zanim jeszcze wstała pierwsza pomywaczka. Dokoła było tak spokojnie. Byłam sama, samiuteńka i wydawało mi się wtedy, że cały świat jest tylko mój. Janę też ciągnie do takich wypraw, a ja nie mam sumienia jej za to besztać.

Myszka raptownie zboczył na trawnik, gdzie wyrastała kępka świeżej zieleni. Po chwili wrócił i podał królowej kilka wiotkich, bladożółtych kwiatków.

— Proszę. W domu zawsze przynosiłem mamie pierwsze kwiaty. Wyrastały po ustąpieniu wylewów wiosennych, kiedy księżyc wschodził pod znakiem Lwa. Ale tamte były większe, białe i masywne. Rosły na rozlewiskach i musiałem po nie brodzić. Mama mówiła: „Lilie w dzbanku, a Myszka suszy sandały, czyli wiosna nadeszła”.

Królowa z uśmiechem przyjęła skromniutki podarek.

— Kto przynosi jej kwiaty teraz, kiedy jesteś daleko?

Myszka wzruszył ramionami. Blask w jego oczach przygasł.

— Któż to wie? Może duchy, a może sama je zrywa na łąkach Dalekiej Krainy? — Umknął wzrokiem w bok. — Kiedyś znów zaniosę jej kwiaty. Zaczeka na mnie.

Królową ogarnęło współczucie. Biedny dzieciak. W obcym kraju i bez rodziny... Nie myśląc, co robi, starła mu brudną smugę z policzka. Poglądziła lśniące czarne włosy. Przez jedną krótką chwilę miała wrażenie, jakby dotykała własnego syna. Chłopiec nie uchylił się, tylko na moment zamknął oczy.

— Wiosna nareszcie — powiedział nagle głośno i tonem oschłym, jakby nie było tego mgnienia poufałości. — Wszystko wyrasta i budzi się do życia.

— Nie do życia. Nie w tym roku — szepnęła Iditalin, cofając rękę. — Kiedy tutaj pojawiają się pierwiosnki, to oznacza, że na północy niebawem będzie dość trawy dla koni. Wojna rozpocznie się na nowo. Mój mąż wyjedzie. Znów nadejdzie śmierć i rozpacz dla wielu rodzin.



Poranne słońce wspinało się coraz wyżej nad horyzontem — oślepiająca kula złotego ognia. Mgła rozpraszała się, barwy nabierały wyrazistości, lecz im obojgu zdawało się, że właśnie nad nimi zawisła ciemna chmura, rzucając ponury cień.

KONIEC TOMU TRZECIEGO